

FELIKS W. KRES

GROMBELARDZKA

LEGENDA



Feliks W. Kres

Grombelardzka legenda

Księga całości

Grombelardzka legenda

Copyright © by Feliks W. Kres

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracje map: Maria Łepkowska

Ilustracja na okładce: Albert Rieger, fragment obrazu *Górski potok (Gebirgsbach)*,

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-24-8

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Mapy



*Jej Dostojność N.R.M.Werena
Pierwsza Namiestniczka
Najwyższego Sędziego Trybunału Imperialnego
w Grombie*

Wasza Dostojność!

Najpierw proszę o przebaczenie, iż nie stawiam się przed Waszą Dostojnością osobiście. Uczynię to tak szybko, jak tylko będzie możliwe, teraz jednak, złożony dolegliwościami właściwymi wiekowi podeszłemu, w żaden sposób nie mogę ruszyć do Waszej Dostojności, albowiem naraziłbym Jej oczy na widok naprawdę nader przykry. Nie skarżę się, przeciwnie, bo tylko usprawiedliwiam. Wiem, jak ważny jest dla Waszej Dostojności czas, spieszę więc przekazać owoce zleconej mi pracy, licząc że sama moja osoba nie jest tu najważniejsza.

Wasza Dostojność, zgodnie z odebranych rozkazem nie szczędziłem trudu i wysiłku, by zebrać jak najwięcej pożądanym przez Nią wiadomości, dotyczących życia wiadomej Osoby. Niech mi będzie wolno nieskromnie zapewnić, że w ciągu zaledwie dwóch lat — bo tyle Wasza Dostojność przydzieliła mi czasu — nikt nie zdołałby dowiedzieć się więcej, a przecież moim obowiązkiem było jeszcze staranne spisanie wszystkich zebranych historii. Ogromną większość tego czasu pochłonęły liczne podróże, szczególnie podróż do Dartanu, choć nie ukrywam, iż ta część zadania była dla mnie najprzyjemniejsza. Ciężkie Góry — Wasza Dostojność to przyzna — nie są miejscem, które można by jakkolwiek przyrównać do dartańskiej Złotej Rollayny. Lecz nie mogę czuć się pokrzywdzony i nie śmiałbym narzekać, albowiem dla skromnego kronikarza zlecone przez Cesarską Córkę zadanie, samo jest już dostatecznym wyróżnieniem, a nie sposób przecież zapomnieć także o Jej wielkiej hojności. Pozostaje mi teraz już tylko prosić Waszą Dostojność o przebaczenie, że posyłam tak krótki list. Lecz nie ważyłbym się rozciągać go na wiele stronic, wiedząc jak cenny jest czas Pierwszej Namiestniczki Sędziego. Setki zapisanych kart, które położy przed Waszą Dostojnością mój posłaniec, dostarczą zapewne dość zajęcia Jej oczom.

Na sam koniec pozwalam sobie dodać staranne i rzetelne wyliczenie

wszystkich kosztów, których nie pokryła wypłacona mi przez skarbnika Waszej Dostojności zaliczka.

Z nadzieją, że Wasza Dostojność nie zapomni o mej skromnej osobie, gdyby jeszcze kiedyś zechciała zlecić podobną do tej pracę, kreślę się z największym szacunkiem, dziękując za niezwykle wyróżnienie

C.Zerizes

— kronikarz

Księga pierwsza. Serce Gór

Prawo sępów (Czyn wojownika)

1.

Izby oficerów garnizonu znajdowały się na piętrze; wiodły do nich strome, wiecznie pogrążone w mroku schody. Nadsetnik sforsował je i pokonał krótki korytarz. Wnętrze budynku mocno przywodziło na myśl armektański zajazd z pokojami gościnnymi. Od pewnego czasu setnicy i podsetnicy Legii Grombelardzkiej w Badorze żyli sobie dosyć wygodnie; każdy miał własną izdebkę — wielka rzadkość w innych garnizonach. Znalazłszy właściwe drzwi, komendant otworzył je bez żadnej zapowiedzi. Oślepiło go, wciąż mocne, pomimo wieczoru, światło dzienne, wpadające przez szeroko otwarte okno. Półnaga dziewczyna, wsparta rękami o framugę, obejrzała się przez ramię, mając chyba na języku jakieś ostre słówko. Zamiast tego odwróciła się i wyprostowała z nieudawanym szacunkiem. Z szacunkiem — prawie goła...

Przez długą chwilę patrzył, nic nie mówiąc. Nie potrafił postępować z... kimś takim. Niepotrzebnie wchodził na górę, należało posłać dyżurnego legionistę. Ba, lecz kiedy właśnie chciał wejść. Miał zamiar rozporządzić wolnym czasem podkomendnej i chciał pokazać, że nie jest to rutynowy obyczaj. Ale w wojsku nie było miejsca na takie grzeczności. Zresztą, choćby i nawet...

Poirytowany, uświadomił sobie z całą jasnością, że sytuacja jest niezręczna i krępująca tylko dla niego. Ta tutaj, armektańska łuczniczka, po prostu czekała na rozkazy. Chyba nawet nie wiedziała — a na pewno nie pamiętała — że jest rozebrana.

— Przyjdiesz do mnie. Zaraz. Ubrana — podkreślił z naciskiem, rozzłoszczony nie na żarty, bo wina była tylko i wyłącznie po jego stronie; po służbie, we własnej kwaterze, miała prawo chodzić w stroju najzupełniej dowolnym. — Dość mam widoku tych waszych gołych cycków. To jest wojsko, miejski garnizon w Badorze, w Grombelardzie. W

Grombelardzie! Czy dotarło to do ciebie, Armektanko?

Odwrócił się i wyszedł, hałasując buciorami na schodach. Nie zdążyła nawet potwierdzić przyjęcia rozkazu. Wykrzywiła się ze złością, tupnęła i pokazała pustym drzwiom język.

Była równie wściekła jak komendant Argen.

Tak, to była prawda niestety: znalazła się w Grombelardzie. Armektańska swoboda nie pasowała do tego wstrętnego, ponurego i dżdżystego kraju; zresztą nie pasowała do żadnej prowincji imperium. Czasem silono się na nią w Dartanie, lecz kaprysy dartańskich magnatów także pasowały do gór Grombelardu niczym... pięść do nosa. Dzicz! Tu była zwykła dzicz! W Armeckie oficer po służbie chętnie pił piwo lub wino w towarzystwie prostych żołnierzy — i potrafił jakoś zachować autorytet. Tutaj — rzecz zupełnie nie do pomyślenia. Miała stale paradować w mundurowej tunice, sypiać w strasznej nocnej koszuli (a jakże, dostała ją z przydziału!) a może i udawać, że nigdy nie chodzi za potrzebą, bo to pewnie oficerom nie wypada!

Nie myślała, że będzie tak ciężko.

Przysłano ją na czele dziesięciu łuczniczek, by szkoliły Grombelardczyków w posługiwaniu się łukiem; była to broń rzadko tutaj używana i niepopularna. Nie wiadomo, kto wymyślił, by posłać same dziewczyny — dość, że był to pomysł chory, ech! głupi! Wydumano zapewne, że kobiety — prawie całkiem nieobecne w Legii Grombelardzkiej — zawstydzą miejscowych wojaków i skłonią do zacieklej rywalizacji. I faktycznie, dwie już zaczęły tyć (komendant jeszcze o tym nie wiedział..). Szczytna misja armecktańskich łuczniczek miała się zakończyć blamażem i kompletną kompromitacją. Nadsetnik Argen od początku nie taił obaw. „Przysłano mi was tutaj do pomocy, ale czuję, że będę miał kłopot” — powiedział na powitanie. I dodał jeszcze: „Pilnuj się, podsetniczko, i pilnuj swoich podkomendnych. Znam Armekt, to zupełnie inny kraj, niż Grombelard.” I miał rację. Ale jednak nie myślała, że będzie aż tak ciężko.

Siedząc na łóżku, nerwowo obgryzała paznokcie. Nagle przypomniała sobie rozkaz komendanta i zerwała się na równe nogi. „Przyjdź zaraz” — powiedział. U Argena „zaraz” oznaczało: zaraz.

Mundurową spódnicę miała na szczęście na sobie, koszula leżała na łóżku, ale przeszywanica gdzieś się zapodziała; znalazła tylko kolczugę i

wciągnęła ją wprost na koszulę. Oficerska tunika wisiała na kołku wbitym w ścianę i pospieszne, nieostrożne szarpnięcie wyrwało w niej sporą dziurę. Buty były na miejscu. Pas z mieczem dopinała już na schodach, klamra stawiała opór, ale w końcu dała się zapiąć. Żołnierze na dziedzińcu chyba nie zauważali obrzydliwej mżawki, za to z wielką ciekawością spoglądali na biegnącą podsetniczkę (zapewne powinna kroczyć z godnością i dostojnie). Wpadła do budynku komendantury i wycelowała palec w wartownika.

— Melduj mnie u komendanta, już!

Zatrzymała się w sali odpraw. Żołnierz zniknął za drzwiami sąsiedniej izby i natychmiast wrócił. Chwilę później znalazła się w izbie Argena. Tkwił przy oknie, z rękami założonymi za plecy. Musiał widzieć jej szarżę przez dziedziniec.

— Nie melduj — powiedział, odwracając się ku niej.

Popatrzył badawczo... i pojęła, że jak zawsze, tak i teraz żaden szczegół mu nie umknie. Oczekiwała surowej reprimendy, lecz nadsetnik westchnął tylko i powiedział nadspodziewanie cicho, troskliwie, zupełnie niesłużbowo:

— Na wszystkie moce świata, córeczko.

Po czym dodał, wciąż z tym samym smutkiem:

— Bez przeszywanicy, a w tunice dziura. Spódnica wymięta i brudna, a buty, idę o zakład, nie smarowane od miesiąca. Jesteś pośmiewiskiem i fatalnym przykładem dla żołnierzy. Zrobię wszystko, by przerwać twoją wojskową karierę, bo ubliża mi, że oboje jesteśmy oficerami. Poślę raport do twojego komendanta w Rinie.

Jakieś ciemne siły zdecydowały, że ją zniszczą — oto bowiem źle dopięta klamra pasa puściła, miecz o mały włos byłby upadł na podłogę. Przytrzymała go w ostatniej chwili. Argen nawet nie zareagował, tak jakby gubienie rynsztunku przez jego oficerów było czymś normalnym. Patrzył tylko, jakby oczekiwał, że zaraz odpadnie jej ręka, lub odepnie się noga.

— Koniec szkoleń — powiedział. — Nie będzie już strzelania z łuków, odsyłam was. Mam dla ciebie ostatni... — nie powiedział rozkaz. — Mam jeszcze jedną prośbę. Jestem w kłopotcie i chciałbym, żebyś mi pomogła.

— Tak, panie — powiedziała cicho, nawet nie kryjąc rozpacz.

— No, to siadaj.

Na stole leżały jakieś pergaminy i wielki dziennik garnizonu. Odsunął wszystko na bok. Usiedli po obu stronach blatu.

— Jesteś kiepskim oficerem, Kareniro, ale dość porządną i niegłupią dziewczyną — rzekł i zrozumiała, że rozmowa będzie miała charakter zupełnie nieoficjalny. — Chcę powiedzieć, że czuję się winny, bo mogłem zrobić z ciebie żołnierza, ale niezbyt próbowałem. Od samego początku założyłem, że twoja misja tutaj skończy się... spełźnie na niczym. No, dobrze. Mam dla ciebie zadanie, które jest chyba za trudne dla niektórych moich oficerów. A przynajmniej dla tych, których mam pod ręką. Więc pomyślałem o tobie.

Wytrzeszczyła oczy.

— Otrzymałem list od mędrca Szerni — ciągnął, udając że nie widzi jej miny. — Od Dorlana-Przyjętego.

Było to imię człowieka znanego w całym Szererze. Jej zdumienie przerodziło się w osłupienie. Komendant Argen otrzymywał listy od największego mędrca świata. Od najpotężniejszego ze wszystkich ludzi kiedykolwiek przyjętych przez Szerń.

— Z jakichś przyczyn Dorlan-Przyjęty nie może pojawić się Badorze. Nie wiem, dlaczego, to jego sprawa, nie powinna obchodzić ani ciebie, ani mnie. Wyświadcz mi wielką przysługę, wyjaśniając powody, dla których sępy upodobały sobie ostatnio te rejony gór — skrzywił się nieznacznie, wspomniawszy o skrzydlatych rozumnych. — Przez kilka najbliższych dni będzie bawił w okolicach Krzywych Skał, to dwa dni drogi stąd, zresztą dostaniesz przewodnika. Tam nic nie ma, nie wiem, dlaczego mędrzec Szerni... ale to też nas nie obchodzi. Mam sporo wątpliwości i pytań do Dorlana. Doręczysz mu list ode mnie. — Wziął ze stołu zapieczętowane pismo i uniósł w górę. — Pochodzisz z dobrego domu, znasz trochę historię Szereru, o ile wiem, mówisz trochę po dartańsku, czy tak? — wyliczał.

— Przez rok służyłam w dartańskim garnizonie... właściwie na pograniczu.

— Pamiętam, znam przebieg twojej służby. Takie więc są powody, dla których wolę posłać do Dorlana ciebie, niż niedźwiedzia znajdującego tylko regulaminy i potrafiącego wymachiwać mieczem. A najważniejsze, że niewiele wiesz o Ciężkich Górach i sępach. Wątpię, żeby Dorlan-

Przyjęty miał czas i ochotę bawić się w pisaninę. Odpowiedzi na moje pytania przekaże zapewne ustnie, a ty je zapamiętasz i powtórzysz mi słowo w słowo. Moi oficerowie od dawna mają wyrobioną opinię o tych wszystkich sprawach, więc gdy pošlę takiego, to zapamięta wyłącznie te rzeczy, które sam uzna za ważne, bo tak działa ludzki rozum. Liczę, że ty zapamiętasz wszystko bez wyjątku i powtórzysz mi wiernie, a ja sam oddzielę ziarna od plew. Weźmiesz pięciu legionistów, jako eskortę. W górach spokój, ale chcę, żebyś była bezpieczna. Ta misja, chociaż nie ma wojskowego charakteru, jest dla mnie bardzo ważna. Ponadto, jako przewodnika i do pomocy, dostaniesz dziesiątnika Barga, z kuszników. Zdaje się, że mimo wszystko, dość dobrze wam się współpracowało.

— Tak, ja bardzo... — zająknęła się. — Bardzo go lubię — dokończyła niegłęboko, bo nie miało to przecież znaczenia.

— Tak myślałem. To wszystko. Tu masz pismo, wymarsz jutro, jeszcze przed świtem.

Zerwała się z miejsca.

— Tak, panie. Ja... dziękuję.

Była już przy drzwiach, gdy powiedział:

— Wywiąż się.

Zrozumiała, że dano jej szansę. Że nadsetnik, z jakichś powodów, nie chce pisać raportu do Riny.

Bardzo starannie i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

2.

L.S.I.Rbit, ogromny bury kocur z rodzaju gadba, którego imię głośne było w całym Grombelardzie, przyjaciel i zastępca Basergora-Kragdoba, króla gór i górskich rozbójników, leniwym truchtem pochłaniał mile. Miał do spełnienia bardzo ważną misję — tak ważną, że nie mógł jej powierzyć żadnemu ze swoich podkomendnych. Musiał odszukać kryjówki trzech dużych miejscowych oddziałów, ocenić ich siłę i sposób, w jaki były dowodzone. Zakończona jakiś czas temu wojskowa obława w znaczący sposób zmieniła układ sił w okolicach Badoru. Rbit chciał wiedzieć, kto tu teraz rządzi; od jakiegoś czasu docierały doń rozmaite pogłoski i plotki...

Wbrew powszechnemu mniemaniu, dzikie górskie bandy, tłukące

się po grombelardzkich wertepach, ujęte były w karby dyscypliny. Od niepamiętnych czasów, zawsze istniał silniejszy od innych wódz rozbójników, którego — przynajmniej nominalnie — wszystkie grupy uznawały za swego przywódcę. Lecz przywództwo to sprawowane było z niejednakową siłą. Ustna tradycja przekazywała imiona kilku zbójceckich hersztów, którzy rządili w Ciężkich Górach żelazną ręką — lecz stu innych na zawsze przepadło w mrokach niepamięci. Jednak teraz, od kilku lat, Ciężkimi Górami władał człowiek używający przydomka Kragdob — co znaczyło: pan, albo król. Niemal każdy zbójcecki przywódca sięgał po to miano; prawie żaden nie potrafił zmusić podkomendnych, by powszechnie tego miana używali... Lecz tym razem nosił je człowiek będący legendą już za życia. Nikt nigdy nie rządził Górami tak zdecydowanie; nikt wcześniej nie cieszył się tak powszechnym uznaniem i szacunkiem.

Rbit pojawił się pod Badorem by sprawdzić, czy władza jego przyjaciela nie doznała żadnego uszczerbku. Zdarzało się czasem, że jakaś grupa zbyt urosła w siłę; bywało, że dowódca takiej grupy zaczynał snuć dalekosiężne plany...

Drobna plamka, zawieszona tuż pod niskimi chmurami, nie zwróciłaby zapewne niczyjej uwagi w żadnym kraju świata. Ale tutaj, w sercu Ciężkich Gór, ptaki były rzadkością. Szczególnie wielkie ptaki... Rbit przypadł do ziemi i znieruchomiał; bure futro bardzo nieznacznie odcinało się barwą od okolicznych skał, zaś dość szeroki i długi, niezbyt wypchany worek przymocowany do grzbietu, kojarzył się z nimi jeszcze bardziej...

Rbit zobaczył sępa.

Rozumny skrzydłak nie mógł mu poważnie zagrozić; sępy prawie nigdy nie atakowały wędrowców, obojętne: czworonożnych, czy dwunożnych. Lecz dla tych drugich stanowiły śmiertelne zagrożenie — bo potrafiły się bronić. Dziwny kaprys Szerni sprawił, że mocy sępiego spojrzenia i głosu żaden człowiek nie potrafił się oprzeć. Z kotem rzecz wyglądała inaczej. Koci rozum, będący chyba nieudanym dziełem Pasm, nie pojmował istoty sił rządzących światem. Nie czując Szerni, koty wręcz ostentacyjnie okazywały jej swą niechęć. Żaden kot nigdy nie został przyjęty przez Pasma — było to niemożliwe. Ale owa dziwna ułomność, niemożność zrozumienia spraw niekonkretnych, dawała

czworonożnym rozumnym swoistą niezależność i odporność. Na armektańskiej Północnej Granicy, gdzie Szerń graniczyła z inną zawieszoną nad światem potęgą, Alerem, ludzie trafiający pod obce niebo tracili panowanie nad sobą. Poczucie bycia nie na swoim miejscu było tak dojmujące, że najdzielniejsi wojownicy upadali na duchu. Koty niczego podobnego nie czuły. Zaś tutaj, w dżdżystej prowincji, nazywanej czasem Krajem Chmur, nie mogła im zagrozić siła sępich oczu. Do walki z kotem ścierwożerny skrzydłak miał tylko swoje szpony i dziób. Gdy na ziemi czekał wielki grombelardzki gadba — taki oręż mógł nie wystarczyć....

Rbit nie miał pewności, czy sęp zdążył go dostrzec. Ukrył się nie z obawy przed spotkaniem, przeciwnie — miał nadzieję, że ptaszysko opadnie na ziemię, może gdzieś niedaleko... Z napuszczonym ogonem i zjeżonym na grzbiecie futrem, tuląc uszy, gotów był odłożyć na później wszystkie swoje sprawy; mógł przez cały dzień, a może dwa lub trzy dni kręcić się po okolicy i czatować, byle tylko pochwycić pazurami opierzone paskudztwo. Nienawidził sępów z całej siły. Jak każdy kot.

Bez powodu.

Wielki ptak, pomimo niezwyklej bystrości oczu, chyba nie zauważył rozpląszczonego na ziemi wroga, bo spokojnie zataczał wielkie kręgi. Zapewne wypatrywał żeru. W ciężkich górach zwierzyny było bardzo niewiele, a więc brakowało i padliny. Rbit nigdy nie zastanawiał się nad tym, w jak skrajnym niedostatku żyją nieliczne sępie plemiona, obywające się bez wszystkiego, co potrzebne człowiekowi, a nawet kotu. Skrzydlaci rozumni, w setkach praw zaklinający odkryte prawdy o Szerni, żyli jak ich zwierzęcy przodkowie. Potrzebowali tylko pożywienia.

Lecz świat skąpił im nawet tego.

Niedaleko rósł karłowaty górski lasek. Roślinność w Ciężkich Górach była czymś równie rzadkim jak zwierzyna. Trawy, mchy, krzewy i drzewa nie przypominały zresztą niczego, co można by zobaczyć w innych krainach Szereru. Wszystko to nauczyło się odżywiać samą tylko wodą, bo tej w Ciężkich Górach na pewno nie brakowało: pokraczne sosenki oplatały korzeniami skały w miejscach, gdzie trudno było dojrzeć choć ślad gleby...

Rbit, zgodnie ze swą kocią naturą, ani myślał dziwić się tym cudom.

Z doskonałą obojętnością przyjmował świat takim, jakim go zastał i ani w głowie mu było dociekanie „co” i „dlaczego”. Obserwował lasek, bo sęp, zataczając swoje kręgi, czasem znikał za koronami drzew... Gdy stało się tak raz jeszcze, kocur, sprężony i przygotowany, wyprysnął spomiędzy swoich skałek i pognał, jakby go ścigały wszystkie legie imperialne razem wzięte. Dotarł do lasku i zaszył się w kępie jakichś rachitycznych krzewów-nie krzewów. Tutaj sęp nie mógł go dojrzeć.

Gdy koci rozum pojawił się w Szererze, świat już od dawna urządzony był na ludzką modłę. Nowy rodzaj rozumnych bez żadnego trudu znalazł sobie miejsce w tym świecie — biorąc to, co mu się spodobało, odrzucając zaś z pogardą wszystko inne. Teraz czworonożny, kosmaty rozumny z mozołem, trochę niezręcznie i niezgrabnie, przy pomocy pazurów i zębów, odpinał rzemienie, którymi przymocowany był do grzbietu płaski worek z lnianego płótna. Przedmiot starannie wykonany przez człowieka — dla kota. I sprzedany za wymyślone przez człowieka pieniądze.

W worku znajdowała się kolczuga, o której można było powiedzieć to samo: wykonał ją zbrojmistrz specjalnie dla kociego wojownika.

Metodycznie, bez pośpiechu, z kocią starannością, Rbit wpełzał do swojej zbroi. Przepchnął łeb przez dziurę na końcu i znalazł krótkie rękawy dla przednich łap. Dopasowana kolczuga prawie ściśle przylegała do grzbietu i boków, nieznacznie tylko zwisając pod brzuchem. Pokrywała niemal całe ciało kocura — od karku, aż do nasady ogona.

Porzuciwszy niepotrzebny już worek, Rbit wyjrzał ze swoich krzaków i szukał ptaka, spoglądając między koronami karłowatych sosen. Gdy wielkimi susami pomknął na skraj lasku, zbroja raz i drugi zadzwoniła o kamienie — głośno dla kota, niegłośno dla człowieka i bardzo cicho dla sępa.

3.

Do przełęczy Hogrog, przez którą wiódł szlak do Krzywych Skał, dotarli późnym wieczorem. Rozłożyli biwak na skraju wąskiego lasku; w okolicy rosło sporo takich nędznych kęp. Żołnierze sprawnie sporządzili z patyków i wojskowych płaszczy trzy małe namioty; w każdym, z niejakim trudem, położyć się mogło dwóch ludzi. Armektańska

łuczniczka też umiała zbudować taki namiot... lecz miała tylko jeden płaszcz. Z nagłą przykrością pomyślała, że w tym kraju nic nigdy jej się nie udało. Miała teraz pytać swoich, oddanych na krótko pod komendę, legionistów, z którego namiotu wyjdzie na wartę pierwszy żołnierz, żeby mogła zająć jego miejsce...

— Wasza godność — rzekł stary dziesiętnik, podchodząc.

Małe i drobne sprawy wyzwalają czasem bardzo silne uczucia; przełknęła ślinę i niemal z rozrzewnieniem wzięła do ręki wojskową pelerynę. Ten stary wojak niósł w swym żołnierskim worku zapasowy płaszcz dla niej; aż z Badoru targał zupełnie zbędny mu przedmiot, bo wiedział, że ona zapomni. I będzie musiała spać — kobieta i oficer — z mężczyznami-legionistami, co w Grombelardzie nie było czymś zwyczajnym.

— Dziękuję, Barg — powiedziała.

Żołnierze ze słabo skrywaną ciekawością patrzyli jak dowódczyni stawia swój namiot. Zrobiliby to za nią, na rozkaz. Ale była armektańską łuczniczką w gronie grombelardzkich kuszników... W garnizonie przekonali się już, że i ona, i pozostałe dziewczyny, znakomicie strzelają z łuków. Lecz teraz byli w górach i przyszła kolej na prace obozowe.

Przygotowała sobie schronienie na noc równie sprawnie jak oni. I zyskała mały kęs uznania.

Barg wyznaczył kolejność wart. Potem rozpalono maleńkie ognisko z wilgotnego chrustu; ci ludzie podpaliliby nawet wodę, gdyby nic innego do palenia nie było... Lecz słyszała o górach tyle złego, że zdziwiła ją podobna niefrasobliwość. Ogień, w starannie wybranym miejscu, mógł być niewidoczny, ale zapach dymu rozchodził się z pewnością na milę, albo dalej. Zastanawiała się nad tym, dołączając do kręgu posilających się przy ognisku podkomendnych.

Barg, jak się zdawało, potrafił czytać w myślach.

— Jeszcze niedawno palenie ognia na biwaku było nie do pomyślenia. Ale odkąd zrobiliśmy obławę, zbóje siedzą cicho. Jeszcze przez miesiąc, albo i dwa miesiące, będzie tutaj spokój.

— Mimo wszystko, ostrożność chyba nie zaszkodzi?

— Zaraz każę to zgasić, tylko powiedz, pani.

— Nie. Jesteś bardzo doświadczony, na pewno jest tak jak mówisz. Trzeba słuchać rad starych żołnierzy.

Pochlebiła mu, podnosząc jego doświadczenie w obecności pozostałych legionistów. Odpiął miecz i położył przy nodze. Uśmiechnął się do młodziutkiej dowódczyni.

— Jak to jest w Armeckie, wasza godność? — zapytał. — Z kim walczyacie? Żołnierze rozmawiali z twoimi legionistkami, i ja też. Ale legionistki zmyślają, wiadomo, jak to żołnierze i żołnierki między sobą... Jak jest u was naprawdę?

Skupieni przy ognisku kusznicy nadstawili uszu.

— Lekka służba — powiedziała. — U was... nie wiem, bo pierwszy raz posłano mnie w góry, ale chyba cięższa, z tego co widziałam i słyszałam. Nie mamy rozbójników.

— Mówi się o Jeźdźcach Równin.

— Jeźdźcy są jak wiatr — machnęła ręką i zaśmiała się. — Dzisiaj tu, jutro tam... Po prostu jeżdżą, byli na Równinach zawsze i nikt nie chce, żeby ich nie było, bo to... — Nie wiedziała jak wytłumaczyć. — No, oni byli zawsze, jak Armekt. Ale rzadko zrobią coś naprawdę złego, że spalą dom, albo kogoś zabiją. Polują w lasach, chociaż im nie wolno, dla mięsa i dla futer. Chłopi dają im jedzenie, trochę z dobrej woli, trochę z musu, ale Jeźdźcy często pomogą, narąbią dREW, postawią szopę albo dREWutnię, bo nie chcą mieć wszędzie wrogów. Tacy to rozbójnicy. Czasem nawet pomagają legionistom.

— Jak to?

— No, bo najlepiej znają Równiny. Wszystkie strumienie i rzeki, wszystkie przeprawy i brody. Kiedyś, jak spod szubienicy w Sar Soa uciekli prawdziwi bandyci, Jeźdźcy pokazali nam ich kryjówkę. Bo nie chcieli, żeby uczynki tych ludzi poszły na ich rachunek.

Barg pokręcił głową z niedowierzaniem, ale zaraz zmarszczył brwi.

— U nas też się zdarzało — powiedział. — Słyszałem jak gadali, że w Grombie do garnizonu ktoś przywiózł kiedyś pomyleńca, co wyrznął swoją rodzinę, wszystkie dzieciaki. Nikt go nie mógł złapać, aż przywiózł go ktoś od Kragdoba, tak mówili.

— Od tego... Króla Gór? A widzisz.

Postawiony na ogniu maleńki kociołek zaczął wydawać bulgoczące odgłosy. Już wcześniej wsypano do wody trochę sproszkowanego mięsa i teraz każdy z żołnierzy mógł wypić dwa łyki gorącego wywaru. Napiła się i podsetniczka.

— Po co to? — zapytała, trochę ubawiona. — Ładnie pachnie i dobre, ale po co?

Barg najpierw nie zrozumiał.

— A... że tak mało? — domyślił się po chwili. — Dzisiaj, pani, nie pada, ale jeszcze może zacząć. Tutaj zawsze wszystko jest mokre, każdy śpi w mokrym. Taki łyk to niby niewiele, ale jednak rozgrzewa jak gorzałka, a wcale nie idzie do głowy. Jeśli tylko można, to każdy chce się napić zupy. Chociaż parę łyków.

Skinęła głową.

— To co wy robicie w tym Armekcie? — zagadnął, odstawiając opróżnione naczynie na bok.

— To samo, co i wy, kiedy nie jesteście na patrolu w górach. Pilnujemy porządku w miastach i na traktach.

— My też pilnujemy traktu — wtrącił jeden z żołnierzy.

— Tak, ale w Armekcie mamy wiele dróg, bardzo dobrych — wytłumaczyła. — Takich, po których można jeździć nawet w największym deszczu, utwardzonych.

— Dużo dróg? Znaczą, jak: utwardzonych? — żołnierz nie uwierzył, bo w całym swoim życiu widział tylko jedną przyzwoitą górską ścieżkę, łączącą miasta Grombelardu; ścieżkę, nazywaną szumnie traktem.

Zaśmiała się i wzruszyła ramionami, bo niewiele wiedziała o budowie dróg. Były zawsze. I prawie wszędzie, bo wiodły do wszystkich wielkich miast Armektu.

— No, ale mamy jeszcze wojnę, prawdziwą wojnę — powiedziała. — Na Północnej Granicy, tam gdzie Szerer styka się z Alerem. Tam trzymamy stаницe. Wiecie, co to jest Aler?

Legioniści popatrzyli po sobie. Coś słyszeli.

— Kraj za Armektem — powiedział jeden, widać najbardziej rozgarnięty i bywały. — Alem słyszał, że tak samo nazywa się coś takiego jak nasza Szerń, tylko wrogie. Była kiedyś wielka wojna Szerni i Aleru.

— Bardzo dobrze — pochwaliła. — Na Północnej Granicy Szerer styka się z Alerem, a Pasma Szerni ze Wstęgami Aleru. Legia Armektańska na północy bije się z tym wszystkim, co przychodzi z za granicy. To nie są ludzie, ani koty, tylko stwory... Nigdy ich nie widziałam, nie byłam tam — przyznała.

— Nasz komendant był — powiedział Barg.

— Tak, bo każdy oficer legii, obojętne z jakiej prowincji, żeby dalej awansować od setnika w górę, musi odbyć służbę na Północnej Granicy.

— Nasz komendant tam był? I widział tych... znaczy, te stwory? — dopytywał się jeden z żołnierzy.

— Co ty, głupi, nie wiedziałeś? — obruszył się inny.

— Nie wiedział żem. Niby skąd?...

— Bo każdy wie.

— A u was? — zapytała Karenira. — Jestem tutaj już długo, ale nie wytknęłam nosa z garnizonu. Tylko strzelanie i strzelanie, nadsetnik bardzo goni.

Wszyscy uśmiechnęli się, bo każdy wiedział, że to prawda. Komendant Argen nikomu nie pozwalał na zbijanie bąków, nie pobłażał, był wymagający wobec swoich oficerów, ci zaś, chcąc nie chcąc, wobec swoich żołnierzy.

— Ciągłe słyszę o jakiejś obławie — dodała podsetniczka. — Że obława, że...

Nie bardzo chciała się przyznać, iż wstyd jej było wypytywać o to innych podsetników, którzy zresztą patrzyli na nią jak na intruza. Armektankę, zadzierającą nosa, szkolącą ich żołnierzy w sztuce, której oni sami nauczyć nie potrafili.

— Była obława — rzekł Barg. — Poprzedni komendant Legii Grombelardzkiej, całej Legii, ten z Grombu, ten co był bardzo krótko, chciał się wykazać... Tak mówią. Przyszedł i zarządził obławę. Wszyscy byli przeciwni, wszyscy komendanci garnizonów, nasz też. No bo, jeżeli na trakcie i w miastach spokój, albo prawie spokój, to czego szukać po górach? Zbóje tłuką się między sobą, to i dobrze. Ale były takie racje, że spokój jest tylko dlatego, że zbóje zapuszczają się na niziny, a w górach wszyscy się okupują Kragdowowi. Kupcy co wiozą towar, a w miastach kramarze, nawet byle szewc, albo krawiec... Może to i prawda. Jak było, tak było, ale poszła w góry obława. Myśmy też poszli — skinął głową do swoich żołnierzy, a trzech odpowiedziało mu tym samym. — Co żołnierza było w górach, pani, to aż dziw. Ale nie szło od samego początku — przyznał. — Niby tajemnica była o tej obławie, ale wszyscy w garnizonie wiedzieli. A Kragdob to chyba nawet wiedział wcześniej, niż my wszyscy... Tam, gdzie szliśmy, to albo nikogo nie było, albo czekali przygotowani w takiej sile, żeśmy zmykali na łeb, na szyję, taka prawda...

A najbardziej brakowało łuczników — powiedział i widać było, że nie po to, by zrobić jej przyjemność. — Ja, pani, nie umiem strzelać z łuku, ale wiem, co to za broń, wiedziałem nawet zanim przyszedł do Badoru. Kusza, o! — poklepał dłonią masywny samostrzał, położony w zasięgu ręki. — To, pani, machina niechybna i bije tak daleko, że żaden łuk nie wyrówna. Zwykle w górach, pani, łatwiej dojrzeć kogoś, niż go złapać, no bo jak idzie taki krętym szlakiem, jeszcze po trudnym stoku, to ile czasu musiałby czekać, żeby do niego dojść? Ale kusza, pani, ciężka kusza, jak się dobrze przyłożysz, to na sześćset kroków trafisz smroda w sam krzyż, i na nic wtedy kolczuga! Ale to nie może być tak, jak my wtedy: bitwy, zasadzki, ucieczki a pościgi... Myśmy raz obsadzili taki wąwóz niedaleko Egdorbu — wskazał gdzieś na wschód. — Wyszli nam pod nosy jak po sznurku, pani, a my żeśmy tak strasznie pokpili... Czy to był jakiś kamień, co uciekł któremuś z naszych spod nóg, czy ktoś nie wytrzymał i za wcześnie posłał im bełt... Nikt już nie wie, ale zbóje zawrócili i zaczęli zmykać. Posłaliśmy im wszystko, cośmy mieli, ale potem, pani... Gdyby weszli głębiej do wąwozu, byłoby więcej czasu. Mocnej kuszy nie napniesz tak, jak łuku, bo to trzeba lewara, albo korby, nawet te lekkie, nic nie warte, hakowe ze strzemieniem... trzeba czasu! Twoje łuczniczki, pani, wszystkich by ich wyflukły, co do ostatniego! A my żeśmy kręcili korbami naszych kusz.

Potrząsnął głową.

— I wyszło, podczas całej tej obławy, że kusza rzecz najlepsza w górach — zakończył — ale trochę łuczników też by się przydało. Żeby osłonili kuszników, kiedy ci napinają cięciwy i kładą bełty, albo nie dali żyć zbójom, którzy już uciekają.

— Niewiele was nauczyłam — powiedziała.

— Ci nowi, z tego klina, co złożyli go z nowego naboru, to już całkiem dobrze strzelają — zaproponował dziesiątnik. — A ja, pani, będę już umiał poprowadzić dziesiątkę, gdzie jedna trójka będzie łuczników. Wiem, co takim potrzebne i jak ich postawić. To się przyda.

— Może — nie chciała mówić, że w Armekcie klin łuczników strzelających „jak ci nowi z nowego naboru” ubrano by w kirysy i przesunięto do formacji toporników. — Lepsze to, niż nic.

— Oni się douczą. Potrafią już tyle, żeby dalej ćwiczyć. Nawet bez ciebie, pani.

To akurat było zgodne z prawdą. Wytrwałe ćwiczenia rzeczywiście mogły przemienić tych żółtodziobów w zupełnie niezłych strzelców. Lecz wątpiła, by ktoś w Badorze poważnie myślał o dalszym szkoleniu.

Ognisko zgasło. Rozmawiali dalej w ciemnościach — wprawdzie nie tak głębokich, jak zwykle w Grombelardzie, bo dzień był bardzo pogodny.

— Dlaczego... no, łuczniczki? — zapytał Barg. — Nie bierz tego do siebie, pani. Ja wiem, że w Armekcie dziewczyny idą do legii. U nas też czasami... ale rzadko i najczęściej do służby miejskiej, czasem tylko trafi się jakaś... Ale u was łuczniczek pełno. I najlepsze. Mówi się, że łuczniczki lepsze od łuczników.

Legioniści patrzyli pytająco.

— Nie tak wiele ich jak tu myślicie. Ale są, bo w Armekcie nie patrzy się na nic, tylko na to, czy żołnierz się nadaje — wyjaśniła. — U nas w każdej wiosce dzieciak uczy się trzymać łuk, tak było zawsze. Każdy może się zgłosić, gdy legia ogłasza nabór. Ale co może pokazać dziewczyna? Siłę? Silniejsza będzie od chłopaków, będzie machać toporem? Wytrzymała? Nikt, kto trafi w tarczę, nie straci jej włócznią z konia, jeśli pójdzie do jazdy? Naprawdę rzadko która. I przyjmują do wojska tylko takie, które chociaż słabsze, jednak się nadają.

— To znaczy: strzelają z łuku tak jak nikt? Że już nawet mogą być słabe, bo za takie strzelanie je przyjmą?

— To znaczy, że strzelają z łuku tak jak nikt — powtórzyła jak echo. — Mogą nawet być słabe, a i tak je przyjmą.

— I ciebie tak, pani, przyjęli?

Zaśmiała się.

— Jeżdżę konno. Mój ojciec kochał konie. Jeździłam konno jak nikt, od razu zostałam kurierką dowódcy garnizonu. Do łuczniczek przeszłam później, gdy już awansowałam. Ale nigdy nie byłam najlepsza.

— Ale... przecież bardzo dobrze strzelasz z łuku, pani?

— Ach, popisać się? — zapytała.

Sięgnęła po łuk, nałożyła strzałę i nie wstając wypuściła w mrok. Stuknął grot...

— Drugie drzewko, to ze złamaną gałęzią — powiedziała. — Jest bliźiutko.

Żołnierze spojrzeli po sobie; drzewka wcale nie było widać. Jeden

wstał pospiesznie — i zaraz wrócił, z nietęgą miną niosąc w ręku strzałę.

— Tak, pani — powiedział. — Pod samą gałęzią... Musiał zem macać, żeby znaleźć!

— Wcale nie strzelam wyjątkowo dobrze, bo niektóre z moich dziewczyn są lepsze, a to drzewko stoi blisko — powiedziała. — Ale mam oczy, których bym na żadne nie zamieniła. Widzę w nocy jak kot, jestem... nocną łuczniczką — znowu się zaśmiała.

— Jak się zrobi widno — rzekł rozochocony dziesiętnik — to ja też się popiszę przed tobą, wasza godność! Ja mam stare oczy i w ciemności mało co widzą... Ale w dzień wybierzemy najdalsze drzewko, najdalsze jakie tylko będzie widać. I zobaczymy, czy trafię!

4.

Ocknęła się natychmiast, gdy tylko poczuła na ramieniu dotyk ręki wartownika.

— Już wstaję — powiedziała ochryłym od snu głosem; odkaszlnęła. — Budź dziesiętnika.

— Już nie śpi.

Wypełzła ze swojego namiotu. W nocy spadł niezbyt obfity, ale jednak dokuczliwy deszcz i ziemia była bardzo wilgotna. Po raz drugi pomyślała o wojskowym płaszczu Barga, dzięki któremu zbudowała sobie dach nad głową.

Żołnierze zwijali biwak; nie mieli dużo pracy. Odłożywszy na później złożenie swego namiotu, ruszyła w stronę pobliskich krzewów.

— Podsetniczko!

Zatrzymała się.

— Zaraz wracam — powiedziała, uśmiechnąwszy się do Barga.

Dogonił ją na skraju zagajnika.

— Pójdę przodem, wasza godność.

— Nie, ja idę tylko... Zaraz wrócę.

— Wasza godność, jesteś oficerem i dowodzisz. Nie możesz zostawić swoich ludzi i odejść, nie mówiąc słowa. Gdy między drzewa idzie zwykły żołnierz, to najwyżej utną mu ptaka. Ale gdy idzie dowódca, to ktoś najpierw musi zbadać to miejsce.

— Dziesiętniku — powiedziała — od wczoraj opowiadasz mi, że w

górach panuje spokój. Pozwalam rozpalić ognisko. Teraz słyszę, że między drzewami ktoś może uciąć mi ptaka. Wracaj do żołnierzy.

— Tylko sprawdzę...

— Wracaj do żołnierzy — rozkazała.

Zrozumiał, że dziewczyna postanowiła mu pokazać, kto tu rządzi.

Spór rozstrzygnął ktoś inny.

Wydarzenia nastąpiły po sobie tak prędko, że pojęła, co się dzieje dopiero wtedy, gdy już leżała na ziemi. Barg wyciągnął miecz i rzucił się ku czemuś, co było szybkie i ruchliwe jak płomień. O ile istniał bury płomień okryty stalowoszarą zbroją... Odkoczywszy na bok, wielki kocur błyskawicznie wdrapał się na drzewo, z którego wcześniej skoczył, prychnął i powiedział niskim, mrukliwym głosem, w którym jednak wyraźnie pobrzmiwało uznanie:

— Schowaj miecz, gruby legionisto! Skąd w dużym ciele taka szybkość? Słusznie dziwię się ludzkiej ochocie do żartów, bo swój własny żart mógłbym dziś przyplącić życiem. Chciałem dać nauczkę kobiecie; nie jesteśmy wrogami.

Z miejsca biwaku nadbiegli pozostali żołnierze. Barg zatrzymał ich gestem. Czujny, z nastawionym mieczem, wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że kot chwalił go mocno na wyrost. Szybki, czy powolny — dziesiętnik nie był w stanie sprostać ruchliwości przeciwnika. Mógł go może odpędzić, ale na pewno nie osiągnąć.

— Schowaj miecz, legionisto — powtórzył gadba. — To na pewno jest jedyny dzień w twoim życiu, kiedy Basergor-Kobal przyszedł do ciebie nie po to, żeby zabić. Chcę porozmawiać, a nawet więcej: chcę wam oddać przysługę.

Armektanka, przestraszona i oszołomiona, pobierała się z ziemi. Z niedowierzaniem patrzyła na ogromne kocisko, pod którym skrzypiała gałąź. Widziała już koty gadba... Ale cztery takie jak ten tutaj, mogły ważyć więcej niż ona.

— Basergor-Kobal — powtórzył legionista. — Gdyby jakikolwiek nieznany mi człowiek posłużył się tak sławnym imieniem...

— Człowieka byś wyśmiał — rzekł Rbit, siedzący na swej krzywej gałęzi. — Lecz kotu przecież nie zarzucisz kłamstwa. Jestem tym, za kogo się podaję i nie proś, bym powtórzył raz jeszcze.

Barg schował miecz.

— Nie wiem, panie, o czym chcesz rozmawiać — rzekł do kota. — Ale oczywiście wysłuchamy cię. Skieruj swoje słowa do mojej dowódczyni.

Kocie gesty nigdy nie są tak wymowne jak ludzkie — lecz wszyscy, od podsetniczki aż do ostatniego żołnierza, bez trudu zrozumieli, co oznaczają stulone uszy i niecierpliwy ruch ogona.

— Mam rozmawiać z tobą, Armektanko? Ale sprawa jest bardzo poważna.

Dziewczyna poczerwieniała. Najpierw musiała gramolić się z ziemi, po tym jak olbrzymi kocur skoczył jej na plecy. Potem patrzyła na swojego dziesiętnika, który tytułował obcego kota panem, a gotów był chyba „godnością”... Teraz, w obecności żołnierzy, ten kot ostentacyjnie okazywał jej lekceważenie. Jeśli zgoła nie politowanie.

— Obojętne mi, co mówi mój dziesiętnik — powiedziała z wysiłkiem. — Będziesz rozmawiał ze mną, kocie, albo z nikim.

— Każdy ma gdzieś swoje miejsce, a miejsce łuczniczki w armektańskiej tunice nie jest w Ciężkich Górach. Jesteś tu gościem, podsetniczko. Mam rozmawiać o odwiecznych prawach rządzących tym krajem z kimś, kto wczoraj przyszedł, a jutro odejdzie?

Kimkolwiek był ten gadba, jego sposób wystawiania się dowodził obycia. Na gałęzi pokracznego drzewka (obojętne jak dziwaczne to było) siedział nie jakiś koci złodziejasek, albo goniec, zarabiający w ludzkiej służbie lada grosz. Przypomniała sobie dziwne imię i zmarszczyła brwi, bo coś przecież kiedyś słyszała... Prawie nie zdarzało się, by mówiąc o Kragdobie, Królu Gór, ktoś nie rzucił imienia: Kobal, Basergor-Kobal.

Nie wiedziała nawet, co to znaczy.

— Nie możesz wiedzieć, kocie, czy jestem tu od wczoraj i czy jutro rzeczywiście odejdę.

— Mogę i wiem, podsetniczko, albowiem gdyby na stałe przeniesiono cię do Legii Grombelardzkiej, miałabyś na sobie zieloną tunikę, tak jak ci żołnierze. Lecz nosisz niebieską. Wziąwszy pod uwagę, że w Badorze uparli się szkolić łuczników, mogę łatwo zgadnąć, z kim mówię. Dowódczyni oddziału armektańskich łuczniczek. Dziesięć kobiet, o ile pamiętam.

Zatkało ją; z wysiłkiem przełknęła ślinę. Ten gadba wiedział najdokładniej, co działo się w badorskim garnizonie. Legia

Grombelardzka chciała walczyć z rozbójnikami, których wodzowie wiedzieli zgoła wszystko o wszystkim.

— Zresztą, to nieważne i nudne — rzekł kot. — Nie wiem, czego szukacie w górach, ale idziecie szlakiem, który jest zamknięty. Ledwie o półtorej mili stąd siedzi całe stado skrzydłaków. Nie widziały was, bo przyszliście wieczorem. Chciałem dostać jednego, ale znalazłem aż kilkanaście i zrezygnowałem z polowania.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wybawił ją Barg.

— Pozwól mi, pani.

— Mów — poleciła ze starannie skrywana ulgą, sama zaś zwróciła się do żołnierzy: — Kończyć zwijanie biwaku!

Ociągając się, spełnili polecenie. Niepotrzebnie wydała ten rozkaz... ale już wydała i udowodniła coś przeciwnego, niż udowodnić pragnęła: to jak niechętnie słuchają. Legioniści, ledwie żywi z przejęcia, chłonili każde słowo rozmowy. Na własne oczy widzieli żywą legendę, najśłynniejszego kocura w Grombelardzie. Lecz kazano im zwijać zwinięty już obóz... i niestety musieli posłuchać.

Rbit siedział na gałęzi, spoglądając w dół. Niedawno tak samo patrzył na nią jej dowódca... Nadsetnik Argen. Z troską i powątpiewaniem.

Miała ochotę wrzasnąć.

— Wiemy, że sępy znajdują się w tych stronach, lecz nie wiedzieliśmy, że właśnie na szlaku. Czy na samym szlaku? — pytał Barg.

— Tak, na samym szlaku. Nie powiem ci, legionisto, dlaczego wybrały to miejsce, bo nikt nie wie, co powoduje skrzydłakami. Nic mnie to zresztą nie obchodzi — rzekł kot i była to prawda.

— Dlaczego ostrzegasz nas, panie?

— Bo to są skrzydłaki. Niczego szczególnego nie odczuwam, gdy widzę ludzi. Lecz gdy widzę skrzydłaka, zawsze coś odczuwam i zawsze chcę coś zrobić. Nie muszę mówić, co. Żaden ścierwojad nie będzie miał pożytku z czegokolwiek i kogokolwiek, jeśli mogę temu zapobiec. Koniec pytań „dlaczego” — oznajmił przeciągając się, aż zbroja zadzwoniła. — Prowadź dalej tych żołnierzy, Armektanko. Z powrotem prosto do Badoru.

Zeskoczył z gałęzi i nie powiedziawszy ani słowa więcej, leniwie polazł w głąb zagajnika.

— Dziękuję, panie, żeś nas ostrzegł! — zawołał Barg.
Usłyszeli coś w rodzaju prychnięcia, a potem odległe:
— Drobnostka.

*

— Co powiedziałaś? — zapytała z niedowierzaniem.
— Powiedziałem, że nie ma innego szlaku, pani. Musielibyśmy okrążyć pół Grombelardu.

Przyzwyczajona do szerokich równin, gdzie istniały zawsze setki jakichś szlaków — obojętne, utwardzonych traktów, czy szlaków wiodących przez bezdroża — z trudem pojmowała, że... naprawdę mogło nie być innej drogi. Że na przeszkodzie stały nie jakieś wysokie trawy, spowalniające marsz koni, albo las, uciążliwy do przebycia, lecz góry: kamienne ściany, niedostępne dla nikogo od wieków i po wiek wieków; rozpadliny, których dna nie sięgał wzrok; zbocza tak strome, że nie do pokonania.

— Ale musimy iść.

— Najwyżej powietrzem, pani — rzekł, chyba trochę zniecierpliwiony. — A i tam coś może nas spotkać... może więc lepiej: pod ziemią.

— Dostałam rozkaz od komendanta — upierała się. — Muszę go wykonać. To jest bardzo ważne zadanie.

— Jeśli nawet zależą od niego losy całego Grombelardu, to nie wykonamy go, pani.

— Ale dlaczego? Sępy?

— Sępy, pani. Całe stado.

— Może to nieprawda?

Westchnął.

— Powiedział nam o tym kot.

Słabo znała koty. Ale wiedziała to, co wszyscy: że nie kłamią nigdy, bo po prostu tego nie potrafią. Nawet surowe imperialne sądy uznawały kocie świadectwo za dowód. Gdy świadczył człowiek, mógł być świadkiem niewiarygodnym. Gdy przychodził kot, przynosił z sobą dowód: własne słowa. I tak to traktowano.

— Co mogą zrobić nam sępy?

— Nie przepuszczą nas.

— W jaki sposób?

Cierpliwie opowiedział jej o władzy sępich oczu nad wolą każdego człowieka.

— Chyba w to nie wierzysz? — zapytała z największym zdumieniem.

— W co miałbym nie wierzyć, pani?

— W to, co mi opowiedziałeś! To przecież bajka, nic więcej!

Zniżył głos, by nie usłyszeli żołnierze:

— Posłuchaj, pani: jestem ci winien posłuch i wypełnię każdy rozkaz. Lecz rację miał kocur: jesteś tutaj gościem, pani. Jesteś Armektanką. Nic nie wiesz o Ciężkich Górach, więc posłuchaj, co mówi stary żołnierz. Powiedziałaś wczoraj, że trzeba takich słuchać. Wracamy.

— Wypełnisz każdy rozkaz — powtórzyła.

— Ale nie taki.

— Nie zawrócę. To już prędzej pójdę dalej sama.

— Żartujesz sobie, pani?

— Nie żartuję. Nadsetnik... komendant obdarzył mnie swoim zaufaniem.

— Komendant, gdyby tu był, natychmiast kazałby ci wracać, wasza godność.

— Pójdę dalej — zacięła się. — Możecie mi towarzyszyć, albo nie. Czy każdy grombelardzki włóczęga na czterech łapach może zmusić cię do złamania rozkazu?

— Ten grombelardzki włóczęga, pani — rzekł Barg, wyraźnie rozeźlony — to najbardziej znany kocur Szereru, mający przed imieniem trzy monogramy imion swoich przodków, których wywyższył sam cesarz. Powiadają, że jego ród wygrał wojnę z całym Wiecznym Cesarstwem, bo dowodził słynnym Kocim Powstaniem. A tutaj tego włóczęgę, jak mówisz, nazywają Księciem Ciężkich Gór i jest to odwieczne miano drugiego po Kragdobie. Zawrócił, gdy ujrzał stado sępów, chociaż nie musi bać się ich oczu, bo koty nie czują tego, co ludzie. Lecz ty, pani, pójdiesz dalej? Zrobisz to, przed czym cofnął się bez ujmy sam Basergor-Kobal?

— Pójdę dalej — rzekła, głucha na wszelkie tłumaczenia.

— Nie pozwolę na to, wasza godność.

— W jaki sposób?

— Nie wiem.

— Więc zatrzymaj mnie — powiedziała sięgając po swoją sakwę z prowiantem i różnymi drobiazgami.

— Zwiążę cię, pani, i zabiorę do Badoru. Komendant ukarze mnie najpierw za bunt, a potem nagrodzi za roztropność.

Wyjęła łuk i nałożyła strzałę na cięciwę.

— Spróbuj, dziesiętniku. Nie, co mówię, nie próbuj! — ostrzegła tak groźnie, że nie odważył się sprzeciwić. — Możesz sobie myśleć, co chcesz, bohaterze... Jeśli spróbujesz dotknąć mnie choćby palcem, zastrzelę jak wściekłego szakala.

Z napiętym łukiem, cofnęła się o kilka kroków.

— Hej! — zawołała. — Kto idzie ze mną?

Legioniści, od dłuższego czasu gotowi do drogi powrotnej, z ciekawością śledzili rozmowę dowódców, próbując odgadnąć przyczynę zwłoki. Teraz zobaczyła ich zdumienie i zaskoczenie.

— Kto ze mną?! — powtórzyła.

— Nikt nie idzie! — zawołał Barg, dodatkowo powstrzymując żołnierzy gestem. — Dalej, pani, strzel do mnie... Jeśli nawet podsetniczka mnie zastrzeli — znów zawołał do legionistów — niech nikt nie waży się z nią iść!

— Dobrze, idę sama... — powiedziała niegłośnie, nie opuszczając jednak łuku. — Wracajcie do Badoru. Poprowadź ich, dziesiętniku.

Zrobiła tyłem jeszcze kilka kroków, wciąż ze strzałą przyłożoną do cięciwy, a potem odwróciła się i pobiegła przed siebie.

5.

Rbit wierzył swoim zmysłom, bo z kocim słuchem, wzrokiem i wrażliwością na dotyk prawie nic nie mogło się równać. Lecz był właśnie kotem, nieudanym dziełem Szerni — i zyskawszy rozum, nie postradał tego, co mieli zwierzęcy przodkowie: instynktu. To, co mówił mu instynkt, było równie ważne jak to co widział i słyszał.

Zatrzymał się, bo był obserwowany. I nie z góry; nie śledziły go sępie oczy.

Odskoczywszy w szczelinę między kamieniami — nasłuchiwał. Rozpoznał człowieka, bo odgłos ludzkich kroków brzmiał inaczej, niż cokolwiek na świecie. Nie kryjąc się, zmierzał ku niemu człowiek, szedł

po stoku — i w dół stoku, o czym świadczyły zarówno osypujące się kamyki, jak i długość kroków. Posłyszawszy oddech, Rbit rozpoznał niemłodego mężczyznę.

I usłyszał jeszcze — jak idący poklepał się rękami po głowie... Plaskanie dłoni o owłosioną czaszkę. Ktokolwiek szedł ku niemu, wiedział jak koty myślą i poznają świat. Słowa mogły być kłamstwem; to klaskanie było dowodem. Idący nie trzymał w ręku, ani nawet pod pachą, kuszy, ani żadnej innej broni. Chyba, że miał cztery ręce.

Rbit wyszedł ze swojej kryjówki i patrzył wyczekująco. Stary, lecz rzeński człowiek zmierzał prosto ku niemu, nic nie mówiąc — lecz wykonał oszczędny gest, jakby chwytał coś tuż przed sobą. Koci gest, Pozdrowienie Nocy. Rbit oderwał łapę od ziemi i wysunąwszy pazury, zagiął je a następnie wciągnął z powrotem.

— Niejeden kot biega po tych górach — rzekł mężczyzna, przysiadając na dużym kamieniu — ale tylko jeden, o jakim słyszałem, jest tak duży, przy tym bury i nosi tak dobrą zbroję. Pozwól, panie, że odpocznę — ciągnął, przykładając dłoń do piersi, jakby chciał w ten sposób uspokoić oddech, a może silne kołatanie serca. — Czuję już swoje lata. Nie chciałem hałasować, nawołując.

Trudny język grombelardzki, obfitujący w liczne akcenty i przydechy, pozwalał każdą myśl wyrazić na wiele sposobów. Grombelardzki góral-rozbójnik znał tylko sposoby najprostsze. Lecz ten człowiek nie był rozbójnikiem, ani jakimś włóczęgą — i nie chodziło tylko o sposób, w jaki posługiwał się językiem.

— Wiem już, że rozumiesz kota, wasza godność — rzekł Rbit — więc nie zdziwisz się, gdy powiem: nienawidzę zagadek.

— Jestem Dorlan-Przyjęty — rzekł mężczyzna.

— Pierwszy raz spotykam Przyjętego. O Dorlanie słyszałem, jak każdy. Co robisz w Ciężkich Górach, mędrco Szerni? Sądziłem, że siedzicie w Złym Kraju, zajmując się tym, co tam wisi, lub leży.

Przyjęty uśmiechnął się lekko, słysząc lekceważenie, z jakim kocur mówił o rozpostartej nad światem potędze. Lecz wiedział, że to lekceważenie nie rozciąga się na jego osobę.

— Wielu przez całe życie nie opuszcza granic Romogo-Koor — przyznał. — Lecz jeśli naprawdę słyszałeś o Dorlanie, to wiesz, że mówią o mnie lah'agar — wędrowiec, lub podróżnik. Bywałem w Armekcie i

Dartanie, zaś po Ciężkich Górach przechadzam się wcale często. Wcale często, za pozwoleniem, książę.

Koci śmiech brzmi dość nieprzyjemnie dla ludzkiego ucha, lecz Przyjęty widocznie był przyzwyczajony.

— Próbowałem dogonić cię, koci wojowniku, żeby ostrzec. Zajmuję się tutaj czymś, co na pewno uznasz za niewarte uwagi, poprzestańmy więc tylko na tym, co cię może obchodzić. Niedaleko znajduje się teren zajęty przez stado sępów. Być może już o tym wiesz? Wprawdzie nie zmierzasz w tamtą stronę...

— Stamtąd przybywam. Wiem o sępach, lecz jestem wdzięczny.

— Biegłem więc niepotrzebie — rzekł Przyjęty bez żalu, powstając ze swojego kamienia. — Pożytek taki, że poznałem istotę niezwykłą. Przekonany jestem, że masz tutaj własne ważne sprawy, wasza godność — zatytułował kocura — więc nie proszę, byś poświęcił mi mój czas. Historia Szereru niezwykle mnie zajmuje, zaś twój ród, o ile mi wiadomo, tworzył tę historię. Lecz skądinąd mam świadomość, iż kota nie obchodzą takie sprawy. Wielka szkoda.

— Grzebanie w starych dziejach istotnie uważam za mozolne i na ogół zbędne, choć zdaje mi się, że czasami coś z tego wynika — uprzejmie powiedział gadba. — Lecz być może, mędrcze, który tak dobrze znasz koty, nie doceniasz jednak kociej ciekawości. Żadne sprawy nie są dla mnie teraz aż tak ważne, bym odmówił rozmowy z Dorlanem. Czy gdzieś tutaj mieszkasz, masz biwak?

Przyjęty uradował się, wcale tego nie kryjąc.

— Więc zostawmy sępy i ich sprawy — powiedział. — Zapraszam cię do siebie, wasza godność. W samej rzeczy, przy Krzywych Skałach znalazłem wygodną wnękę, wystarcza mi takie schronienie, więc zapewne wystarczy i tobie. Ale, ale... — uniósł brwi. — Nie idziesz wprost od Hogrogu, lecz mówisz, że wiesz o sępach, a nawet że stamtąd przybywasz... A nawet, że stamtąd przybywasz. Jest tu zatem szlak, o którym nie wiem. Czy to tajemnica?

— Jest szlak, ale nie dla ludzi. Gdy pomyślisz, panie, to łatwo zrozumiesz, że w górach szlaki kocie i ludzkie to nie zawsze są te same szlaki.

— Nigdy nie patrzyłem na to z tej strony. Ale tak, to prawda. Znam koty, przyznam, najbardziej z równin Armektu.

Przyjęty wskazał kierunek. Ruszyli.

Lecz po kilku krokach lah'agar zatrzymał się nagle, przymykając oczy i dotykając czoła dłonią.

— To dziwne — rzekł — ale mam poczucie, że nie znalazłem tego, kogo miałem ostrzec... Nie pytaj mnie, wasza godność, skąd wiem takie rzeczy. Otóż sępy są niejako częścią Szerni... jak ja sam...

— Nie pytam, bo na nic mi taka wiedza — uprzejmie przerwał kot z właściwą temu rodzajowi rozumnych szczerością, która nie każdemu człowiekowi była miła. — Jest ktoś jeszcze w tej okolicy. To żołnierze. Ale już ich ostrzegłem.

— Ostrzegłeś ich?

Kot nie odpowiedział. Rzekł swoje i musiało wystarczyć.

— Lecz sępy właśnie sposobią się do walki, wypatrzyły kogoś — rzekł Przyjęty, wciąż z dłonią przy czole. — Nie neguję twoich słów, kocie. Lecz nie posłuchano twojego ostrzeżenia, albo to jeszcze ktoś inny... Powiedziałeś: żołnierze? Posłałem list dowódcy Badoru, przez człowieka godnego zaufania. Ostrzegałem właśnie przed posyłaniem patroli... Prawda, że pisałem nie o tym miejscu, nie było wówczas sępów na tym szlaku. Do Krzywych Skał! — zauważył. — Czyżby posłał kogoś do mnie, dziękując za mój list?

— Nie wiem, mędrze — rzekł kot, chyba zniecierpliwiony. — Tych żołnierzy prowadziła Armektanka, nic nie wiedząca o górach. Może to ona wpadła w pułapkę, ale, prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi.

— Ci ludzie... — zaczął Przyjęty.

— Nie obchodzi mnie, co to za ludzie — przerwał kot. — Ale jeśli można im pomóc, to pomogę. Nie chcę ścierwojadów w moich górach. Im mniej skrzydłaków, tym lepiej.

— Nie wiem, czy można im pomóc.

— Także nie wiem. Dotrzymaj mi kroku, panie, jeśli zdołasz. Albo lepiej poczekaj tu, aż wrócę.

6.

— Nie zostawię jej — powiedział Barg. — Nie mogę. Nie zostawię. Żołnierze spoglądali nań w milczeniu.

— Więc co mamy zrobić, dziesiątniku?

Stary legionista spoglądał to na nich, to na przełęcz, z której już schodzili.

— Macie wracać do Badoru — powiedział. — Albo poczekajcie tutaj na mnie. Wrócę sam, albo z nią. A jeżeli nie wrócę... to wtedy wróćcie do Badoru.

Trójkowy, najstarszy funkcją, obrócił się ku czterem pozostałym.

— Dziesiętnik idzie, to my też — powiedział niepewnie jeden.

— Z podsetniczką żaden nie poszedł! — rozgniewał się Barg.

— Bo zakazałeś! Bo i ty żeś nie poszedł, bo tylko głupi by poszedł. Na sępy, he!

— To czemu teraz chcecie iść?

— No, bo z tobą. Ona... znaczy podsetniczka... Armektanka! Co ona wie o górach? Ale jak ty gadasz, że idziesz...

— To trza iść — dokończył trójkowy.

Barg, jak każdy mężczyzna w sile wieku skłonny do nagłych wzruszeń, popatrzył na żołnierzy z prawdziwie ojcowską czułością.

— Wy głupki — powiedział, trochę z chrypką.

Żołnierze otoczyli go półkręgiem.

— Szkoda czasu. Idziemy? Dogonimy ją!

— Młoda koza i zdrowa, a nogi ma jak koń... I rozeźlona... Może być już daleko.

— No, to gońmy ją!

Dziesiętnik spoglądał po twarzach. Raz powziąwszy postanowienie, legioniści wyzbyli się wahań. Nikt nigdy nie szedł na sępy, dobrze. Ale oni pójdą. Tylko oni, jak wcześniej przed nimi nikt inny.

No — bo trzeba.

— Sprawdzić kusze i bełty — rzekł Barg.

Wykonali rozkaz.

— Marsz.

Ruszyli szybko, tak szybko jak potrafią chodzić po górach żołnierze Legii Grombelardzkiej. Wkrótce osiągnęli szczyt przełęcz i minęli miejsce nocnego biwaku.

Wszyscy rozglądali się po niebie.

*

Przyjęty nie mógł nadażyć.

Rbit wiedział, na co go stać. Był kotem; nie został stworzony, jak

wilk albo pies, do długich, niekończących się biegów. Nie popędził przed siebie — lecz ruszył z miejsca tym drobnym kocim truchtem, który sprawia, że grzbiet i całe ciało zdają się zupełnie nieruchome, a pod brzuchem prawie nie widać poruszeń miękkich łap. Lecz ten wytrwały trucht był dość szybki, by zasapany niemłody mężczyzna musiał wkrótce przystanąć, łapiąc oddech z ręką na piersi. Rbit nie zatrzymał się i nawet nie obejrzał; biegł pod górę nie zwalniając tempa, z podniesionym ogonem, spowity w cichy chrzęst swojej kolczugi.

Tak pokonał półtorej mili.

Potem dojrzał z daleka rozrzucone rumowiska skalne i gdzieś przyczepione do nich rachityczne krzewy. To było miejsce, do którego zakradł się w nocy i policzył śpiące jeden przy drugim sępy.

Wydało mu się, że usłyszał krzyk, a w jego tle klekot sępiego dzioba. Nie było już daleko...

Drobny trucht zmienił się w rozfalowany koci bieg.

Dobrze obliczył siły. Gdy między wątlymi krzakami dojrzał czarno-białe pióra ścierwojada, był zmęczony — lecz daleki od zupełnej utraty tchu. Usłyszał okrzyki ludzi, świsnął w powietrzu wystrzelony z kuszy pocisk — był to dźwięk doskonale znany kociemu wodzowi rozbójników. Sępie głosy zły się w monotonne, złowrogie klekotanie.

Rozfalowany bieg przemienił się w długie skoki, wynoszące całe ciało w powietrze. Okryty żelazem, wielki bury kocur wystrzelił spomiędzy skał jak pocisk, wyrzucony z gardzieli okrętowej bombardy. Klekotanie dzioba przeszło w dziwaczny skrzek, urwany bardzo wysoko i ponowiony jeszcze wielokrotnie; kot i wielkie ptaszysko skotłowani między kamieniami, przez chwilę stanowili nie dającą się rozpoznać kupę futra, żelaza, piór i skrwawionego pierza. Wyrwał się z kłębowiska skulony wielki kształt, dzwoniący stalową kolczugą, odbił potężnie od ziemi — i pazurami porwał z powietrza drugiego sępa, który właśnie zerwał się do lotu. Ściągnięty na ziemię ciężarem kociego wojownika, sęp szarpnął szponami, próbując odeprzeć atak — gdy tymczasem pierwsze pokraczne ptaszysko, porzucone między skałami, wciąż skrzeczało z połamanymi skrzydłami, trzepiąc się niezdarnie w kręgu wyrwanych piór i posoki. Rozdarta, prawie oderwana naga szyja nie mogła utrzymać ciężaru łba, który leciał do tyłu... Sęp skonał, z głową odrzuconą na grzbiet, z wyprężonymi szponami, podparty na resztkach przetrąconych

skrzydeł, jakby siedział.

Cztery wielkie ptaki z hukiem skrzydeł oddalały się od ziemi, dźwigając ku niskim chmurom. Klekot sępich dziobów umilkł, rozbrzmiewało tylko bulgotliwe, niewyraźne sapanie ścierwojada, którego wielki kot trzymał zębami za gardło. Sęp zakrywał go niemal zupełnie, lecz kocur, leżąc pod nim, mocno trzymał przednimi łapami. Ptakiem nieustannie podrzucało; Rbit schował naraz pazury przednich łap i puścił sępią szyję, a wtedy ostatnie potężne wierzgnięcie odrzuciło padlinożercę, odsłaniając skrwawione tylne pazury kota, który jednym ruchem przekręcił się na ziemi — i znów stał na wszystkich czterech łapach. Leżące w odległości dwóch kroków ptasie ścierwo wystawiło na widok rozerwany brzuch, z którego wydoszły się podarte wnętrzności. Połamane o zbroję szpony jeszcze zaciskały się i otwierały spazmatycznie.

Zza pobliskich skał wynurzył się jakiś człowiek w zielonej tunice legionisty. Trzymając się za głowę, zrobił kilka kroków i ukląkł, a potem upadł twarzą na ziemię. Zaraz nadbiegł drugi — ten był niemal przytomny, choć rozdygotany. Lecz cały czas trzymał w ręku kuszę i teraz niezręcznie próbował nałożyć nowy bełt na cięciwę. Raz już zrobił użytek ze swej broni, on lub któryś z jego towarzyszy — albowiem poza kręgiem skał leżał wielki biało-czarny ptak przebity pociskiem na wylot.

Nieco dalej spoczywał na boku zwinięty w kłębek legionista, z dłońmi zaciśniętymi na mieczu, który chyba sam sobie wbił w brzuch...

Jeszcze dwaj żołnierze wyszli zza skał chwiejnym krokiem, wodząc dokoła nieprzytomnymi oczami. Ten, który zdołał na nowo załadować kuszę, powiedział coś do nich i podbiegł do krawędzi szerokiej rozpadliny. Rbit ruszył za nim. Usłyszał ciężkie westchnienie legionisty...

Na dnie głębokiego skalistego dołu siedział, wtłoczony między dwa kamienie, jeszcze jeden nieruchomy sęp, a przed nim spoczywały dwa ciała w mundurowych tunikach. Jedna z tunik była niebieska, z oznaczeniami podsetnika legii.

— On strzelił i trafił.. ale próbował szybko zejść do niej... — chrapliwie powiedział żołnierz. — Wtedy spadł.

Usłyszeli za plecami ciężki oddech. Spocony i czerwony na twarzy, ledwo żywy Dorlan podszedł do krawędzi rozpadliny.

— Zejdźmy tam — powiedział.

— Czy możesz dotykać silnych Geerkoto, mędrcze?

Przyjęty w milczeniu spoglądał na kocura.

— Nie pochwalam tego — odparł. — Porzucony Przedmiot nie służy do zabawy.

— Toteż nie do tego chcę go użyć. Pomóż mi go wyjąć spod zbroi, tylko tyle.

Przyjęty pociągnął zawieszony na kociej szyi ramię i z niedużej płaskiej sakiewki wytrząsnął symbol jednego z Ciemnych Pasm: Srebrne Pióro. Wbrew swej nazwie, połyskujący metalicznie przedmiot o kształcie długiego liścia, był prawie całkiem biały. Marszcząc brwi, Przyjęty patrzył na kota, który chwyciwszy w zęby potężny Geerkoto, skoczył w dół — i nienaturalnie wolno, jakby ważył tyle, co puch, zbiegł po stromej ścianie skalnej na dno rozpadliny. „Kocie szlaki” w górach na pewno istniały — ale istniały też Przedmioty, które wynoszono z Bezimiennego Obszaru, które sprzedawano i których używano, czy podobało się to mędrcom Szerni, czy nie.

Wylądowawszy na dole, kocur pobiegł do nieruchomych ciał, wciąż trzymając w zębach swoje Pióro.

— Nie mamy takich rzeczy, więc zejdziemy inaczej, tak jak robią to wszyscy ludzie na świecie — rzekł Dorlan. — Legionisto, na pewno masz jakiś sznur, ty lub któryś z twoich towarzyszy. Wojsko zawsze ma wszystko, co trzeba.

Nadchodzący żołnierz ze zboląłą twarzą był już chyba całkiem przytomny i dosłyszał, co powiedziano, bo od razu sięgnął do worka.

— Ja, ja niosę linę — wybełkotał.

— Jestem żołnierzem Legii Grombelardzkiej — opowiedział się legionista stojący przy Dorlanie. — Kim ty jesteś, panie?

Przyjęty docenił starania prostego wojaka, który — będąc przecież w mundurowej tunice — przedstawił się tylko po to, by następnie bez ujmy zapytać o tożsamość nieznanego, będącego chyba ważną osobą.

— Jestem Przyjętym, nazywacie nas mędrkami Szerni — rzekł krótko.

W oczach legionisty pojawiło się zdziwienie — lecz podano mu sznur i znów myślał tylko o swoim dziesiętniku i leżącej obok podsetniczce.

— Przyjęty. Więc znasz się, panie, na ranach? — zapytał; w oczach

prostych ludzi Przyjęci uchodzili za magów, znających się na wszystkim. — Skoro nie chcesz użyć swojej mocy, to zejź pierwszy, opuszczę cię na linie.

Dorlan natychmiast przepasał się sznurem. Nie był ciężki; legioniści bez trudu popuszczali linę, łokieć za łokciem.

— Oni żyją! — wrzasnął z dołu kot. — Kobieta nie ma oczu!

Dorlan zawisł w bezruchu. Wstrząśnięci żołnierze na krawędzi rozpadliny zapomnieli o spuszczeniu liny. Krzyknął na nich i po chwili wylądował na dnie dziury. Odwiązał szybko sznur i podszedł do ciał na ziemi. Kocur siedział pomiędzy nimi.

— Wojownicy — rzekł ze szczerą nienawiścią, której nie mogło stłumić niewyraźne brzmienie niskiego kociego głosu. — Wojownicy przeciw ścierwojadom. To jest świat pod niebem twojej Szerni.

— Tylko Szerni — sucho rzekł Przyjęty. — Nie mojej i nie naszej.

Pochylił się nad dziewczyną, a zaraz potem nad żołnierzem. Gruby legionista był przytomny.

— Nie czuję ciała — powiedział powoli, bardzo spokojnie i wyraźnie. — Nic nie boli... ale nie czuję.

Dorlan przygryzł usta.

— Co z dziewczyną? — zapytał Barg.

Dorlan znów spojrzał na leżącą. Pod uchylonymi powiekami ziały dwie szkarłatne, puste jamy, z których sączyły się wąskie strużki krwi. Posłuchał oddechu i dotknął tętniącego miejsca na szyi. Obejrzał rozciętą skórę na głowie.

— Oślepiły ją — powiedział. — Nieprzytomna. Potłukła się, ale to nic wielkiego.

— Oczy — rzekł legionista i było słychać jak zadrżał mu głos. — Jedno... i drugie?

— Tak.

Pierwszy z legionistów opuścił się na linie i podbiegł do grupki na dnie skalnego kotła.

— Dziesiątniku — powiedział.

Barg nie słuchał.

— Kim jesteś, panie? — zapytał.

Dorlan opowiedział się po raz trzeci tego dnia.

— Jej oczy — nalegał legionista. — Ona by ich na żadne nie

zamieniła... To jest nocna łuczniczka, czarodzieju. Uratuj jej oczy.

— Nie jestem czarodziejem — rzekł Dorlan.

— Com ja się w życiu napatrzył na takich, co skręcili kark na wertepach — żołnierz wciąż mówił wolno i spokojnie. — A siebie nawet obejrzeć nie mogę... I co mi po tych oczach? Ja bym jej oddał te oczy... Nie takie dobre jak te co zabrał sęp... ale lepsze takie, niż żadne. Mnie tam się już na nic nie przydadzą.

Dorlan z trudem panował nad wzruszeniem. Siedzący przy swoim dziesiętniku żołnierz głośno przełknął ślinę.

— Dasz jej moje oczy, mędrcze Szerni? — pytał Barg. — Mówią, że wy wszystko możecie... Ale to pewnie tylko takie bajki?

— Tak, mój przyjacielu... To są bajki. Nikt nie potrafi zrobić tego, o co prosisz.

— Ale to jest nocna łuczniczka, panie. Ten dzieciak... pokazywał naszym jak się strzela z łuku...

— Powiadam ci, żołnierzu — głucho powiedział Przyjęty — że dziś mógłbym złamać wszystkie reguły święte dla... kogoś takiego jak ja. Ale nie potrafię zrobić tego, czego żądasz.

— Jeśli chcesz to zrobić, to zrób — rzekł kot tak niewyraźnie i mrukliwie, że prawie go nie zrozumieli.

Przyjęty i siedzący przy Bargu legionista obejrżeli się nań. Kot aż dygotał, wstrząsany tym wszystkim, co go przepełniało.

— Wojownicy zabijają wojowników, to dobrze — rzekł głosem jeszcze niższym. — Ale ścierwojady... Ścierwojady i wojownicy... To nie są prawa wojny, tu masz tylko prawa sępów. Oddaj jej oczy tego legionisty!

— Zrób to, panie — rzekł Barg.

— Gdybym mógł — szepnął Przyjęty, powstając w odruchu bezsilności.

Wtłoczony w wąską szczelinę między kamieniami, przebity bełtem sęp ożył niespodziewanie, słabo klekocząc dziobem. Dyszący nienawiścią kocur zasyczał i skoczył w górę, jakby kopnięto go w brzuch, lecz nim spadł na wyprężone łapy, z których już wysunęły się pazury, porzucony na ziemi Potężny Przedmiot załśnił nagle. Siedzący przy Bargu żołnierz krzyknął i zerwał się na równe nogi, gdy turkusowy wir zaszumiał na dnie rozpadliny; z suchym trzaskiem strzeliły z tego wiru dwie lub trzy

zielone błyskawice, trafiając zdychającego ptaka. Wytrysnęły spomiędzy skał spalone pióra, kłęb dymu przyniósł odór zwęglonego mięsa. Jednocześnie leżąca na ziemi dziewczyna, podrzucona jakąś siłą, targnęła się nagle, wygięła w łuk i z krzykiem usiadła, przyciskając dłonie do twarzy.

Turkusowy wir wsiąkł w Srebrne Pióro.

Wstrząśnięci ludzie spoglądali po sobie. Kocur dyszał, szeroko rozcapierzony na ziemi, wciąż gotowy do ataku na sępa, dygoczący i oszołomiony.

Armektanka oderwała ręce od twarzy — i ujrzeli błysk przerażonych szarych oczu. Wciąż krzyżąc, rzuciła się na Przyjętego, pierwszego człowieka, jakiego zobaczyła, i przywarła doń z płaczem.

— Sęp! — powtarzała roztrzęsiona. — Sęp... sęp...

Przyjęty objął ją ramieniem, lecz nie mógł wykrztusić słowa.

— Dziękuję, panie — rzekł dziesiątnik. — A więc czasem... może się jednak ziścić niemożliwe... Teraz już mogę umrzeć. Wiem, że warto było tu przyjść.

Dziewczyna raz jeszcze krzyknęła przeraźliwie, ujrawszy ponad ramieniem Dorlana bladą twarz dziesiątnika i sączące się z pustych oczodołów dwa wąskie strumyczki krwi.

— Barg! — powiedziała z płaczem. — Barg... o nie!...

— Czy pomożesz mi, stary przyjacielu? — zapytał nieszczęsny żołnierz, zwracając się najwyraźniej do swego towarzysza. — Ja już nawet tego sam nie zrobię...

Trójkowy zrozumiał — lecz nie mógł wykrztusić słowa, jął tylko potrząsać głową.

— Pomożesz?

— Ja — powiedział Rbit. — Odejdźcie wszyscy.

— Basergor-Kobal... — rzekł mężny dziesiątnik. — To zaszczyt.

— Dla mnie — rzekł kocur. — Nie dla ciebie, wojowniku, lecz dla mnie.

Po czym raz jeszcze zwrócił się do Przyjętego i płaczącej dziewczyny:

— Idźcie stąd.

Osobno zaś przemówił do stojącego jak posąg, wyłamującego sobie palce żołnierza:

— Pozwól mi, legionisto. Albo zrób to sam.

Mężczyzna nie wiedział, co powiedzieć. Lecz wreszcie stare, zahartowane w bojach serce zabiło mocniej — i trójkowy zapłakał jak czasem płaczą wojownicy: roniąc tylko dwie, najszczerze w swoim życiu, łzy.

— Przebacz mi, dziesiątniku — powiedział. — Pozwalam ci, kocie... Tak trzeba.

Po czym odwrócił się i podszedł do skalnej ściany, z której zwieszała się lina. Pomógł Przyjętemu obwiązać w pasie ciągle płaczącą podsetniczkę.

Wspiął się na górę ostatni.

*

Po niskim niebie Deszczowego Kraju przesuwaly się kłęby chmur. Kocur patrzył na chmury i powiedział o nich legionście.

— Zawsze były i będą — rzekł Barg. — Pożegnajmy się, panie. Już czas.

— Czy teraz?

— Teraz, kocie. Już... tak.

Szarpnięta pazurami tętnica na szyi trysnęła szkarłatną krwią.

— Będę o tobie pamiętał, wojowniku.

Rbit czuwał przy żołnierzu — do końca.

Przełęcz Mgieł

*Jego Godność R.W.Ambegen
Nadtyśnięcznik-Komendant
Legii Grombelardzkiej
Honor-Setnik Gwardii Grombelardzkiej
w Grombie*

Zawsze obecny w mej pamięci Towarzyszu i Przyjacielu!

Wspomniawszy dawne wspólne przejścia w służbie dla chwały i bezpieczeństwa Cesarstwa, polecam się względem Waszej Godności, prosząc o pomoc w niezwykle ważnej, acz osobistej sprawie. Oto dwudziestu wiernych i wypróbowanych ludzi z mojego prywatnego pocztu udaje się w podróż, której niebezpieczeństwa i trudności Wasza Godność sam najlepiej będziesz umiał ocenić, jako Grombelardczyk i doświadczony żołnierz. Chodzi mianowicie o dotarcie do granic Bezimiennego Obszaru, zwanego zwykle u was Złym Krajem. Liczę bardzo na wskazówki, jakich Wasza Godność zechcesz udzielić dowódcy wyprawy, polecam go Twoim szczególnym względem, jako mego syna, przyjaciela i dziedzica. Wszystkie wątpliwości skieruj Wasza Godność do niego, a uzyskasz odpowiedzi szczere i wyczerpujące, tak jakbym ja sam ich udzielił..

— Przyznam panie — rzekł R.W.Ambegen, wojskowy komendant Grombu — iż ciągle pozostaję pod wrażeniem. Mam na myśli zarówno samo przedsięwzięcie, jak i jego rozmach.

Oveten, syn B.E.R.Lineza, komendanta Legii Armektańskiej w Rapie, był dość wysokim, szczupłym jak jego ojciec mężczyzną w wieku lat trzydziestu, o śmiałej i szczerzej twarzy żołnierza. Zgodnie z armektańską modą nie nosił brody, a tylko mocne, ciemne wąsy, z których jeden unosił się nieco ku niewielkiej bliźnie na policzku. Odziany był skromnie (zbyt wyraźne okazywanie zamożności było w Armekcie źle widziane; nadmiernie zadbany mężczyzna mógł łatwo narazić się na śmieszność) — miał na sobie dobrą lamelkową zbroję, a na niej brunatną kurtekę skórzaną, spiętą pasem, u którego z jednej strony wisiał myśliwski nóż,

zaś z drugiej zwykły gwardyjski miecz, krótki i dość szeroki, z pochylonym w dół jelcem. Spod zbroi wystawała prosta czarna spódnica, zaś spod niej sukienne nogawice, wpuszczone w cholewy wysokich butów. Ambegen z dużą przyjemnością widział, że młody mężczyzna nosi w sobie cechy urodzonego wojownika, co czyni go podobnym do ojca nie tylko z sylwetki i rysów twarzy.

Siedzieli przy dużym prostokątnym stole, w pomieszczeniu kojarzącym się nieco z celą w twierdzy więziennej... Lecz tak właśnie wyglądały zwykle „apartamenty” cesarskich dowódców w Grombelardzie. I komendantura stołecznego garnizonu nie była tu wyjątkiem.

— Łatwo pojmuje — rzekł znowu stary żołnierz — że jakiś awanturnik idzie do Złego Kraju po skarby, nie oglądając się na nikogo i na nic. Ale przecież jego godność Linez — Ambegen postukał palcem w leżące na stole pismo — ma możliwości i środki. Czemu nie morzem? Prawda, że wody przybrzeżne leżą już w granicach Obszaru, ale jednak łatwiej przebyć parę mil wodą, niż przemierzyć całe Ciężkie Góry!

Oveten skinął głową.

— Były wyprawy morzem — odparł zwięźle. — Dwie. Żadna nie wróciła.

Komendant sposepniał.

— Jednak, pomimo tego, prowadzisz panie trzecią wyprawę?

Oveten potwierdził.

Ambegen, nachmurzony, wziął list do ręki i raz jeszcze przebiegł wzrokiem treść, szczególnie zaś początkowe zdania, gdzie jego godność Linez, powołując się na starą przyjaźń (bo walczyli razem pod Północną Granicą) prosił o udzielenie jego ludziom wszelkiej możliwej pomocy.

Ambegen zamyślił się.

Linez był Armektańczykiem znakomitego rodu, człowiekiem bogatym, potężnym i wpływowym. Dla jakiegoś kaprysu (bo chyba nie dla złota?) słał oto trzecią z rzędu wyprawę w granice Romogo-Koor — Bezmiennego Obszaru, zwanego nie bez kozery Złym Krajem... Czas płynął tam inaczej, niż w innych częściach Szereru, a ponadto szalały niepojęte, potężne i wrogie moce. Jednak Porzucone Przedmioty, za które dawano niebotyczne sumy, wciąż kusily. Ambegen rozumiał, że będąc poważnie chorym, warto może ryzykować życie dla zdobycia Listka

Szczęścia, chroniącego skutecznie przed wieloma dolegliwościami. Pojmował nawet, że można pożądać Przedmiotów dla pieniędzy. Jednak człowiek tak bogaty, jak Linez, mógł sobie po prostu kupić każdy Przedmiot, jakiego potrzebował, pomnażanie zaś bogactwa w równie ryzykowny sposób było niedorzecznością. Oto przepadły już dwa statki; teraz to samo stać się mogło z owym poczem zbrojnych. Straty przewyższyły już chyba spodziewane zyski. O cóż więc chodziło w tej grze? Oveten wyjaśniał, że ojcu nie zależy na jednym czy dwóch Przedmiotach, lecz zdobyciu pokaźnej ich ilości. Czemu miało służyć, prowadzone z takim rozmachem, przedsięwzięcie?

— W moim wieku nieokiełznana ciekawość to rzecz rzadka — powiedział w końcu komendant. — Myślę jednak panie, że łatwo ją zrozumiesz. A zatem...?

Oveten skinął głową.

— Nie ma tu żadnej tajemnicy, wasza godność. Ojciec upoważnił mnie zresztą, bym powiedział prawdę. Może wyda ci się to panie niezwykle, lub nawet zabawne, ale chodzi o... przegrany zakład.

Stary komendant zdumiał się.

— Przegrany... zakład?

— Tak właśnie.

Ambegen pomyślał (a konstatawał to nie po raz pierwszy w życiu) że Grombelard i Armekt rozdzielone są bezdenną przepaścią. Oto siedział przed nim syn człowieka, któremu podobało się przegrać jakiś zakład. Tonęły statki i ginęli ludzie, których, co prawda, na pewno nie zmuszono do wyprawy, a za ryzyko po królewsku zapłacono... Ten tutaj, junak, właśnie żegnał się z życiem (Ambegen w głębi duszy był tego prawie pewien) — ale próżno by w nim szukać choć cienia wątpliwości co do racji, którymi kierował się ojciec. Mało tego: Ambegen wiedział coś jeszcze, albowiem spędził w Armekcie wiele lat. Wiedział mianowicie, że zwycięzca owego zakładu był najpewniej człowiekiem niepokieszonym. Bo nie dane mu było uczestniczyć w takim pięknym szaleństwie! Oto właśnie był Armekt. I Armektańczycy.

— No cóż, panie — rzekł po namyśle, usiłując zapanować nad twarzą — może wymieniłeś jedyny powód, który potrafię zrozumieć. Pomimo, iż jestem Grombelardczykiem... — parsknął jednak na koniec krótkim śmiechem i zaraz przeprosił gestem. — Czasem niezmiernie

żałuję, że moja młodość minęła — dodał jeszcze i była w tych słowach cicha akceptacja dla zuchwałych poczynań; ale też i wypowiedział je człowiek, który przed kilkunastu laty, z kilkuset żołnierzami, uderzał na tysiące najeźdźców.

Oveten zrozumiał.

— Ojciec zawsze powtarzał, panie, że masz armektańską duszę.

Była to bodaj największa pochwała, jaką mógł wygłosić syn narodu rządzącego Szererem.

— Rozumiesz oczywiście, wasza godność — rzekł Ambegen, jeszcze raz unosząc pismo przyjaciela — że pomimo sentymentu, jaki żywię dla twego ojca, niepodobna bym wsparł przedsięwzięcie prywatne siłami cesarskich żołnierzy? Bo powody, dla których tam idziesz, niech lepiej zostaną między nami... Tu jest Grombelard, nie Armekt.

Oveten rozłożył ręce.

— Na Szerń, panie — powiedział szczerze — nawet mi do głowy nie przyszedł taki pomysł! Legie imperialne nie służą do kwitowania zakładów.

— Jak więc mogę pomóc? Nie mam w garnizonie nikogo, kto wiedziałby o Obszarze coś więcej, niż wie w Grombelardzie każdy. Wyprawa do Kraju to hazard. Żadna wiedza nie uchroni cię, panie, przed tym co tam czyha. Ale muszę powiedzieć, że sam Obszar jest chyba mniej niebezpieczny, niż droga tam... i z powrotem.

— Rzecz w tym, wasza godność, że ta droga to jedyny mój problem. Ojciec zlecił mi, bym niczego przed tobą nie taił, a zresztą... nie chcę, byś pomyślał, że pragnę schlebiać ci panie, ale ojciec często, bardzo często, polecał mi twoją osobę jako niedościgły wzór. Nie znając cię, nauczyłem się szanować i ufać całkowicie.

Komendant dołożył starań, by ukryć przyjemność, jaką sprawiły mu słowa gościa.

— Do czego zmierzasz, panie? — zapytał.

— Do sedna tajemnicy. Mówiłem o dwóch morskich wyprawach, otóż druga powiodła się częściowo... Duża ilość Porzuconych Przedmiotów została wyniesiona z Obszaru. Utraciwszy okręt, siedmiu ludzi ruszyło lądem, przez góry. Jednak, wydostawszy się z granic Złego Kraju, nie mogli nieść swej zdobyczy, dotknięci wcześniej jakąś tajemniczą chorobą. Prawie wszyscy zmarli, zaś skarb został ukryty. Do

Armektu powrócił tylko dowódca wyprawy, mając u boku jednego towarzysza, obaj bardzo osłabieni dolegliwościami. Przeżyli tylko dlatego, że mieli Przedmioty zwane Listkami Szczęścia i nie myśl, wasza godność, że nie próbowali ratować nimi swoich towarzyszy... Lecz te rzeczy potrzebują sporo czasu, nim zaczną służyć osobom, które je stale noszą. Więc niestety przeżyli tylko właściciele, bo ich Listki chroniły najlepiej. Ci ludzie przynieśli wiadomość o schowanych Przedmiotach. Moja misja polega na odnalezieniu ich i dostarczeniu do Armektu. Oto cała sprawa.

Ambegen milczał, oszołomiony wieścią.

— Na Szerń, panie — rzekł w końcu — czy wie o tym ktoś jeszcze oprócz ciebie? Twój ludzie?

— Nie, nikt.

— A ci, co przynieśli wiadomość?

Oveten pociągnął zawieszony na szyi rzemyk, pokazując płaski zielony kamyk, kształtem przywodzący na myśl liść.

— To ja i jeden z moich żołnierzy. Ale on pozostał w Armekcie, nie jest już człowiekiem młodym i wyprawa zużyła jego siły.

Stary żołnierz omal chwycił się za głowę. Powstał i zaczął chodzić po komnatce.

— Posłuchaj mnie, panie, uważnie — przemówił po długiej chwili. — Jesteśmy w Grombelardzie. Nie chcę mówić źle o własnym kraju, ale jednak, to ojczyzna rozbójników. Gdy jakiś śmiałek rusza do Obszaru, to zwykle nikt o tym nie wie, a jeśli nawet wie, to lekceważy taką jednoosobową wyprawę, która z całą pewnością nie wróci. Czasem jednak rusza nieźle wyposażona i przygotowana grupa, taka weźmy, jak twoja. Oddział dobrze dowodzonych, zdecydowanych i odważnych ludzi, ma niejaki szanse na sukces. Wieść roznosi się szybko, a potem do granic Złego Kraju ściągają bandy łotrów, rzezimieszków i awanturników, pragnących cudzymi rękami wyciągać kasztany z ognia. Wyprawa jest tropiona zajadle, a gdy wraca (i jeśli wraca!) bandy owe już czekają w gotowości, by wydrzeć cenny łup.

Zatrzymał się przed Ovetenem i patrzył surowo.

— Teraz dowiaduję się, że skarb (nawet nie chcę słyszeć, ile jest tych Przedmiotów!) leży sobie w górach, w jakimś miejscu, gdzie byle pastuch może dotrzeć i wziąć sobie tyle, ile zdoła unieść. Pochwalasz,

panie, zakłady? Lecz jeśli wieść o tym przedostanie się do obcych uszu, twoje życie nie będzie warte zakładu o kwartę piwa. Czy rozumiesz? Pięć mil za murami Grombu czekać będą na ciebie i twoich ludzi wilcze stada, które porwą was wszystkich i obedrą ze skóry, byle poznać prawdę o miejscu, gdzie jest skarb. Mało tego: nawet jeśli tajemnica nie wyjdzie na jaw, tropić was będą tak czy owak. Jak zamierzasz zabrać te Przedmioty? Jak zamierzasz je przenieść przez całe Ciężkie Góry?

— Wasza godność, jestem pewien, że moi ludzie...

Żołnierz wybuchnął niespodziewanie i gwałtownie:

— Bredzisz, chłopcze! To nie są twoi ludzie, tylko twoje trupy, jeszcze żywe, ale już prawie zimne!

Oveten umilkł skonsternowany. Ambegen jednak uspokoił się równie nagle, jak rozzłościł.

— Wybacz mi, panie. Nie znasz Ciężkich Gór. Tak, rozumiem, przemierzyłeś je mając u boku tylko jednego towarzysza. Rozumiem i podziwiam, to niemała rzecz. Ale ta sama sztuka rzadko udaje się dwa razy. Czyżbyś podczas tej swojej wędrówki niczego się nie nauczył? Tu nie Armekt! Znam twoją ojczyznę niezgorzej, wiesz przecież. Jeźdźcy Równin, których tam nazywacie zbójami, to po prostu wesołe gromady rozbrykanych urwisów, w porównaniu z mordercami Mavali, rzeźnikami Hagena, czy wyborną, na wojskowy sposób urządzoną gwardią Basergora-Kragdoba. Niech już będzie tylko ten ostatni, a w istocie najpierwszy ze wszystkich. Czy wiesz panie, ilu ludzi mu służy? Trybunał Imperialny — postukał palcami w stół — szacuje ich liczbę na blisko dwa tysiące! Dwa tysiące, panie, dwa tysiące szpiegów, wywiadowców, złodziei, włóczęgów, skrytobójców, a wreszcie i wojowników z mieczami i kuszami w garści. Czy rozumiesz teraz, panie, o czym mówię? Jeśli chcesz porównania, to powiem, że twoje Przedmioty są równie łatwo osiągalne, jakby leżały w głębi terytorium Aleru. To już powinieneś zrozumieć, twój ojciec przesłużył na granicy wiek życia, a wciąż, jak mi się zdaje, macie tam spore majątki.

Oveten milczał, marszcząc brwi.

— L.S.I. Rbit — rzekł jeszcze Ambegen. — Książę Gór, prawa ręka Kragdoba. To kot. Ma całe tuziny donosicieli i szpiegów. Powiadają, że nawet w legiach, nawet wśród ludzi Trybunału, nawet na samym dworze Księcia Przedstawiciela. Szepnij komu na ulicy „wyprawa”, a on jutro

będzie o tym wiedział.

— Co mi radzisz, panie? — zapytał Oveten. — Mam dwudziestu pewnych, bardzo dobrze wyszkolonych ludzi, swoją odwagę i... sporo złota. To wszystko. Doradź mi, co z tym począć, a na pewno posłucham twych wskazówek.

— Nie zrezygnujesz?

— Nie mogę i nie chcę.

Zafrasowany komendant usiadł, podpierając czoło ręką.

— Najpierw potrzebny będzie przewodnik. I to nie pierwszy lepszy. Ktoś, kto zna Ciężkie Góry na wylot, kto was przeprowadzi każdym szlakiem i potrafi zgubić idącą w trop bandę.

— Wasza godność znasz kogoś takiego?

— Hm... Może znam.

— Gdzie szukać tego człowieka?

Ambegen myślał jeszcze przez chwilę, po czym, niespodziewanie, uśmiechnął się lekko.

— A jednak los ci nieco sprzyja, przyjacielu... Gdzie szukać? No cóż, jeszcze wczoraj powiedziałbym, że nie wiem, ale dzisiaj mówię: akurat tutaj, w Grombie.

1.

L.S.I.Rbit nie wybuchał gniewem prawie nigdy — opanowany, chłodny i cyniczny, jak każdy kot. Jednak stulone uszy były dla tych, co go znali, wyrazem ponurej wściekłości.

— To nie sprawka Armektańczyków. To sprawka Hageny — powiedział, gdy zebrano zwłoki do kupy; nieforemny stos złożonych na tułowiu rąk i nóg, uwiecznony rozłupaną głową, omal trudno było nazwać trupem. — A raczej nie samego Hageny, tylko jego ludzi. Czy dano mu znać, że Kragdob przejmuje tę armektańską wyprawę?

— Tak — odpowiedziano krótko.

— Ale — rzekła Kaga, malutka zielonooka brunetka, śliczna jak czarny obłok — wiadomość mogła nie dotrzeć. Nie wierzę, żeby Hagen wydał nam wojnę.

— Wydał jednak — Rbit odwrócił się od poćwiartowanego zwiadowcy. — Tylko jego grupy są w tej okolicy. A musieli przecież

wiedzieć, kogo zarzynają. Pierwsze, co od niego usłyszeli, to moje imię.

Dziewczyna kręciła głową.

— Hagen polega często na przypadkowych najemnikach. Ci, co to zrobili, ledwie pewno wiedzą, komu służą. A już że Hagen przyjął zwierzchnictwo Kragdoba i twoje, to w ogóle nie mają pojęcia. Zresztą każdy, kogo tutaj złapią, od razu zaczyna krzyczeć, że jest waszym żołnierzem, bo to może ocalić mu głowę. Sama takich łapałam, co bez przerwy przysięgali, że służą, no, w moim własnym oddziale i pod moją komendą, bo tutaj Kragdob znaczy tyle, co Delen albo ja.

Powszechny pomruk poparł jej wypowiedź.

Rbit pomyślał krótko. Pod nieobecność Delena, który był w Rahgarze z Basergorem-Kragdobem, Kaga dowodziła grupą. Dobrze znała okolicę i wiedziała, o czym wiatr w górach szumi. Mogła mieć rację, i pewnie ją miała.

— Pochowajcie go — polecił krótko. — Kaga, jak odnaleźć Hagara?

Rozłożyła ręce.

— W Badorze albo w Grombie. Ale raczej w Badorze. Tam siedzi jego człowiek. Jeśli o czymś trzeba powiadomić Hagara, to przez niego. Tutaj, w górach, możemy go szukać sto lat.

Rbit znów stulił uszy.

— Więc wybierz paru dobrych zwiadowców, niech mi dogonią ten oddział. To nasza wina, Kaga, byliśmy zbyt pewni siebie. Jakim sposobem przez tyle dni nie zorientowaliśmy się, że ci ludzie przed nami to nie są Armekańczycy? Chcę mieć wieści, bez przerwy. Obojętne mi, czy to ludzie Wer-Hagara, czy nie. Jeśli mi się nie podporządkują, to wyrzniemy ich, Kaga. Do nogi.

Skinęła głową, bardzo zadowolona. Nie lubiła Hagara. Jego ludzie zbyt często wchodzili jej w paradę.

Kocur stał i obserwował grupę, nieruchomy. Znała Rbita dobrze i wiedziała, że potrafi tak tkwić bardzo długo, z zastygłymi tarczami żółtych oczu i uszami zwracającymi się bez przerwy ku źródłom różnych dźwięków, których najczęściej mogła się co najwyżej domyślać. Lubiła koty, na pewno bardziej niż ludzi. Wychowała się na ulicy w Badorze i znała koty od zawsze; właściwie to złodziejska kocia szajka była jej rodziną...

Po grombelardzku kaga znaczyło: kotka.

— Lubię wasz oddział — rzekł niespodziewanie Rbit. — Delen zrobił z tych ludzi wojowników, a ty zaprowadziłaś porządek. Dlaczego ludzie boją się ciebie, Kaga?

Wzruszyła ramionami, zbyt zdziwiona i zaskoczona pochwałą, by udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi. Kocur bardzo rzadko wyrażał komuś uznanie.

— Nie pójdziemy już dzisiaj dalej, nie warto. Zarządź co trzeba.

Wykonała rozkaz bez zwłoki.

Wiadomość przyjęto z dużym zadowoleniem; forsowne marsze przez góry były chlebem powszednim, ale teraz, już od kilku dni, pędzili niemal bez wytchnienia. Ktokolwiek wiodł oddział, za którym podążali, wybornie znał wszystkie szlaki, a zawsze i niezawodnie wybierał drogę najkrótszą, nie przejmując się wcale, jeśli wiodła akurat środkiem lodowatej górskiej strugi. Brodzili tak ostatnio na odcinku dwóch mil, wciąż pod górę, pogrążeni w straszliwie wąskim, choć płytkim żlebie, którego dnem rwał lodowaty potok. Zahartowani w wędrówkach przebiegacze gór, co i rusz musieli przystawać, by rozetrzeć stopy, odmrożone niemal, sztywne jak kawałki drewna.

Sprawnie rozłożono obóz, wystawiono czaty. Nie rozmawiano dużo, chyba tylko, z żalem, o zamordowanym zwiadowcy — i z pogardą o ludziach Wer-Hagena, którzy chcieli ich zastraszyć, zostawiając zwłoki na samym środku szlaku.

Kaga wróciła do Rbita, wylegującego się pod skalnym okruczem.

— Ale zwiadowców, tych co chciałeś, posłałam — oznajmiła siadając. — Im szybciej znajdziemy Hagenowych, tym lepiej.

— Dobrze.

Milczeli. Wstała i przyniosła bukłak z winem oraz wędzone mięso. Zjedli. Napiła się z bukłaka, po czym bez ceremonii wylała trochę wina na dłoń i dała kocurowi.

— Zmieniłaś się — rzekł z pogardliwym pomrukiem, bo wino było bardzo marne.

— Niedojrzała — potwierdziła skrzywiona, kwitując smak napitku. — Zmieniłam się? A, już wiem, no tak... — skinęła głową, znów się krzywiąc. — Będę miała młode. Nie myślałam, że już po mnie widać.

— Zobaczyłem ja, więc niedługo zobaczą inni. Z kim?

— Skąd mam wiedzieć? — spojrzała zdziwiona. — Najpewniej z

Delonem.

Kocur poruszył łbem i w wieczornej szarówce zobaczyła jego okrągłe źrenice.

— Za stara już jestem — powiedziała z uśmiechem, łatwo odgadując jego myśli. — Mam piętnaście lat, Rbit, a połowę z tego wzięły Góry. Muszę mieć je bez przerwy.

— Nie chcesz pomieszkać trochę w Grombie?

— Po co? Nie pierwszy to taki kłopot..

— Nie pierwszy, bo drugi — przerwał. — W ciągu półtora roku, a nawet nie.

— Wiedziałaś? No tak. Poskaczę po wertepach i zgubię pewnie tak samo jak poprzednie — machnęła ręką ku szczytom. — A jak nie, to pomyślimy później.

Zmarszczyła nagle brwi.

— Miałabym zostawić Góry? — zapytała z niebotycznym zdziwieniem, poirytowana. — Tak sobie, bez powodu? Przecież nie straciłam władzy w nogach!

Rozbawiła go jej złość. Ale pojmował łatwo, że bez Gór nie da się wytrzymać, gdy już zdążyły zająć pół życia.

— Zawsze chciałam być mężczyzną — powiedziała posepnie. — Szkoda, że nie jestem. A najbardziej to kocurem gadba — spojrzała ponuro i zupełnie poważnie. — Chciałabym być taka jak ty. Wiesz?

— Jesteś, siostró — rzekł tak samo poważnie, jak ona. — Tylko jeszcze tego nie widzisz. Bo niełatwo to zobaczyć, trzeba czuć.

Wyciągnęła rękę i podrapała prężny, aksamitny kark.

— Warto pospać.

— Warto. Jutro pewnie znów ruszymy biegiem. A jak znajdziemy tych od Hagena, może bitwa.

— No. Bitwa.

2.

Oveten spojrzał na czoło pnącego się krętą, górską ścieżką oddziału — i omal nie runął w dół stromego zbocza, wraz z lawiną kamieni, uciekających spod stóp. Z trudem utrzymał równowagę.

Oglądano się na niego. Uniósł dłoń, dając znak, że wszystko w

porządku, po czym ruszył znowu, bacznie patrząc pod nogi. Oto kraj, w którym każdy krok mógł być ostatnim. Morderczy marsz zabił już dwóch jego ludzi. A on sam, przedwczoraj, skręcił nogę. I miał szczęście, bardzo dużo szczęścia, bo mogło skończyć się gorzej.

Zimny wiatr przybrał na sile. Oveten spojrzał w niebo. Na twarz spadły mu pierwsze grube krople; nadciągała wieczorna ulewa.

Kobięcy, lekko schrypnięty głos od czoła zawołał:

— Dalej! Tu jest rozpadlina, chroniąca dobrze przed wiatrem!
Ćwierć mili!

Żołnierze ruszyli z wawiej. Przepuściła ich, czekając na Ovetena.

— Jak noga? — zapytała.

— Dokucza — rzekł szczerze. — Ale nadążam.

— Ledwo, ledwo.

Skinął głową, ogarniając spojrzeniem jej zgrabną sylwetkę. Chyba nie wiedziała, co to chłód — oprócz mocnych butów, miała na sobie tylko rozchełstany pod szyją, futrzany kaftan (brudny i tłusty tak, że deszcz nie chciał przezeń przenikać) oraz wojskową spódnicę do kolan, rozciętą z boku aż do biodra, by nie krępowała ruchów. Skrzyżowane na piersi pasy przytrzymały dużą sakwę oraz łubie z łukiem i kołczan ze strzałami.

— No, to zostaw mnie, pani.

Roześmiała się, pokazując zęby.

Mówiono na nią: Łowczyni. Ovetena dziwił trochę ten przydomek, ale stary komendant, jeszcze w Grombie, wyjaśnił mu, że kobieta która tropi i zabija sępy, w pełni nań zasługuje.

W okolicach Badoru i Grombu znano ją doskonale. Z gór od dawna płynęły wieści o niezwyklej tępicielce ścierwojadów. Raz i drugi pokazała drogę zabłąkanym ludziom; pojawiała się przy ogniskach wojskowych patroli... Wraz z kupieckimi karawanami schodziła czasem z gór, aż do Riksu. Wcale nierzadko bywała w miastach; posterunki przy bramach zwracały na nią uwagę, bo samotna, uzbrojona kobieta w sercu Grombelardu nie była zjawiskiem codziennym. Oficerowie garnizonów szybko nauczyli się doceniać wieści, jakie czasem przynosiła.

Los chciał, że rankiem tego samego dnia, gdy Oveten przybył do Grombu, Ambegenowi zameldowano o pobycie łuczniczki w mieście. Rozpoznali ją żołnierze z posterunku przy bramie. Oveten pomyślał, że wtedy jeszcze nie umiał ocenić, jak bardzo łaskawy w istocie był ten

uśmiech szczęścia.

— Nie patrz na mnie, panie, jak na chmurę deszczową — powiedziała, pokazując jednocześnie, że trzeba gonić oddział. — Chodźmy.

Ruszyli śladem żołnierzy. Zrobili ledwie paręnaście kroków, gdy niebo smagnęło góry ulewą. W strugach dżdżu pięli się wąską ścieżką, uczęszczaną chyba tylko przez kozice. Nie rozumiał, skąd brały się podobne szlaki w miejscach, gdzie ludzka noga nie powstała może nigdy. Pośród górskich szczytów nie było żadnych wiosek, bo nie było terenów, na których dało się pasać owce. Kozice? Ale nawet one musiały coś jeść. Żywiły się może tymi skałami? Pomimo wilgoci, nawet mchy nie bardzo na nich rosły... Tylko w niektórych miejscach widział kępy wątlej roślinności.

— Było kiedyś wielkie i liczne plemię — powiedziała, jakby widząc jego myśli. — Bardzo potężne, właściwie to było wiele plemion, tworzących wielki naród. Pozostały po nim ruiny przedziwnych budowli, tutaj, pośród szczytów. Zdaje się, że niektóre z tych ścieżek to ślady dawnych dróg Shergardów.

Spojrzał zdziwiony. Nie po raz pierwszy popisywała się wiedzą, której źródeł próżno dociekał.

— Skąd to wiesz, pani? — zapytał. — To i wiele innych rzeczy?

Wzruszyła ramionami.

— Moim opiekunem... a właściwie przybranym ojcem prawie... jest człowiek, który widział narodziny sępiego rozumu.

Popatrzył zdumiony.

— Był kiedyś mędrzem-Przyjętym — wyjaśniła. — Teraz żyje tu, w Ciężkich Górach, zajmując się tylko historią Szereru. Nazywają go Starcem.

— Mędrzec-Przyjęty — powtórzył.

Znów wzruszyła ramionami.

— W Armekcie wiemy o nich tyle, że są — skonstatowała; była wyjątkowo rozmowna, rzecz rzadka. — Lah'agar, człowiek przyjęty przez Szerń. Pojmujący istotę Smug i Pasm Szerni. To nie żaden czarownik, żaden mag. Istota z krwi i kości. Obcowanie z Szernią czyni długowiecznym, tylko tyle. Ponadto Przyjęty większość życia spędza w granicach Obszaru, gdzie czas płynie inaczej, dziewięć razy wolniej. To

znaczy, że gdy Szerer posunie się o lat dziewięćdziesiąt, Przyjęty w Złym Kraju przeżyje ich dziesięć. Nic więcej nie powiem ci panie, bo nic więcej nie wiem. A jak nawet wiem, to nie rozumiem — wyznała z całkowitą szczerością.

Pokręcił głową i uniósł brwi.

— Armektanka w Ciężkich Górach. Jak do tego doszło? — zapytał, zachęcony dobrym nastrojem dziewczyny.

Uchyliła się od odpowiedzi.

— To bardzo długa historia.

Szli w milczeniu. Odległość dzieląca ich od grupy przestała się powiększać, ale skręcona w kostce noga Ovetena nie dawała szans na jej zmniejszenie.

— Czy daleko jeszcze? — zapytał.

Popatrzyła uważnie. Miała niezwykle oczy — nie pasowały do twarzy i wydawały się w jakiś sposób... stare.

— Do granicy Obszaru niedaleko. Ale może pora, byś powiedział mi, panie, coś więcej?

— Czy złoto, które bierzesz, nie przytępia twojej ciekawości?

Płacił po królewsku. Bo królewska była cena, jaką wyznaczyła. I nie pozwoliła na żadne targi.

„To uczciwy układ — oświadczyła jeszcze w Grombie. — Nie wodzę wypraw po górach. Jeśli już mam to robić, to trzeba mnie przekonać, że warto”.

I na tym stanęło.

— Złoto, które biorę... Dobrze, panie. Ale czy pomyślałeś, że chcę je może zarobić... hm, uczciwie?

Popatrzył pytająco.

— Dlaczego chcesz dotrzeć do granicy Kraju w tym akurat, a nie innym miejscu? Jakie to ma znaczenie? Widzę, że znasz trochę Grombelard i same Góry, dlaczego nie przyznajesz się do tego? — pytała. — Mam was nie tylko doprowadzić do celu. Mamy jeszcze wrócić. Czy nie byłoby lepiej, gdybym wiedziała wszystko?

Pokręcił głową.

— Nie, to nie — rzekła sucho. — Od wczoraj jesteśmy tropieni.

Wiadomość przyszła tak nagle, że prawie nie uwierzył.

— Tu są góry — przypomniała z naciskiem. — Czasem masz

człowieka w zasięgu wzroku, ale dzieli was, tak naprawdę, pół dnia drogi, lub więcej. Powtarzam: jesteście tropieni, podąża za nami jakiś oddział. I raczej nie zdołam go zgubić.

— Dlaczego? — zapytał rzeczowo.

Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

— Droga przez Przełęcz Mgieł jest jedyna. Przynajmniej ja innej nie znam. Potem Morskie Dno i już Zły Kraj. Jeśli pójdziemy tak, jak tego żądasz, trafią za nami jak po sznurku. Do miejsca, gdzie chcesz wejść do Obszaru. Bo żądasz, byśmy szli przez Morskie Dno, czy tak?

Zagryzł wargi.

— Jaka rada?

Pokazała ręką przed siebie, odgarniając z czoła zlepione deszczem włosy.

— Tam Przełęcz Mgieł. Na Przełęczu łatwo się ukryć. I przepuścić ich. A potem zawrócić, wybrać inną drogę i wejść do Obszaru bardziej na południe od Morskiego Dna. Stracimy trochę czasu.

— Musimy iść przez Morskie Dno. Zresztą, czy twój plan na pewno się uda?

— Na pewno — rzekła niecierpliwie — to wiem tylko jedno: za mało mi płacisz, wasza godność. Moja ciekawość wciąż żyje. Złoto wcale jej nie zadusiło.

*

Półożąc pod skałą, wsparta na łokciu, obserwowała krzątanie żołnierzy. Zmierzchało już, ale wciąż wyraźnie było widać ich żółtoniebieskie tuniki, skrojone na wzór munduru legionisty. Nie nosili jednak kolczug, jak armektańska lekka piechota, lecz zbroje lamelkowe, a pochwy mieczów okute były mosiądzem, nie żelazem. Z mosiądzu też wykonano kłamry pasów.

Piękny poczet. I z dobrych ludzi złożony.

Już w Grombie oceniła grupę. Nie tworzyli jej chłopcy. Pomimo tego nie przyjęłaby pewnie przedłożonej oferty, gdyby nie to, że byli Armektańczykami.

Armektańczycy... Jak przyjemnie było rozmawiać!

Usiadła pod swoją skałą, podciągając nogi i obejmując je ramionami. Oparła podbródek na kolanach.

Wciąż padało, ale wiatr rzeczywiście nie docierał do rozpadliny.

Posilano się przed snem. Oveten wyznaczył warty i pokuśtykał ku łuczniczce. Usiadł obok i milczał, z nieruchomym, tępym spojrzeniem, wbitym w jaśniejące w półmroku szerokie, mocne udo dziewczyny.

— Mm? — zagadnęła po długiej chwili, podciągając spódnicę, tak że rozcięcie przesunęło się wyżej: ujrzał okrągłe biodro i cofnął się odruchowo, zdezorientowany.

Parsknęła śmiechem.

— Na Szerń, panie, jeśli już musisz patrzeć tak bezmyślnie, to może lepiej na jakąś skałę, pełno ich wokół — rzekła sarkastycznie. — Cóż takiego trapi dowódcę wyprawy?

— Jej cel — odparł krótko. — Jak sądzisz, co za ludzie nas ścigają?

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. I właściwie to nawet nie wiem, od jak dawna idą za nami. Zauważyłam ich wczoraj. Najpierw nic nie mówiłam, bo nie byłam pewna.

— Czy możliwe, że wiedzą o celu naszej wyprawy?

— Nie wiem. Może.

— Czy to liczna banda?

— Nie wiem.

— A czy jest coś, co wiesz, wasza godność?

Zdziwiła się.

— Oczywiście, panie. Wiem jak doprowadzić twój oddział do Złego Kraju. Płacisz mi za to. I chyba tylko za to?

Odwrócił głowę, przygryzając usta.

— Czego mogą chcieć od nas?

Znowu wzruszyła ramionami; ulubiony gest.

— Jeśli wiedzą, albo domyślają się celu naszej wyprawy... — po czym z grubsza powtórzyła to wszystko, co mówił Ovetenowi Ambegen.

— Przechwycenie powracającej wyprawy nie jest wcale takie trudne — kończyła. — Porzuconych Przedmiotów szuka się na Czarnym Wybrzeżu, prawda? Tylko szaleniec wracałby z głębi Obszaru inną drogą niż ta, którą już przebył, narażając się na sto nowych niespodzianek i pułapek. Wyprawa wychodzi więc z Kraju przeważnie w pobliżu miejsca, gdzie weszła. Wystarczy rozstawić czaty i czekać. Prawda, że dość długo, bo czasem kilka tygodni. Ale widać opłaca się.

— Nie idziemy do Obszaru — rzekł nagle, bez namysłu; gdyby znów

zaczął rozważać, czy powiedzieć jej, czy też nie, pewnie by się nie zdecydował.

Pokiwała głową.

— Ślicznie. A dokąd?

— Do samej wodnej ściany.

Opowiedział jej wszystko.

3.

Przełęcz Mgieł była miejscem niezwykłym. Krążyły o niej niezwykle opowieści; nie zawsze dało się ocenić, ile zawierają fałszu, a ile prawdy. Białozółte tumany, spowijające Przełęcz i spływające dalej, aż na Dno Morza, nie były właściwie mgłą, nie były też parą buchającą z gorących źródeł, czy gejzerów. Najbardziej może przywodziły na myśl dym, bo w powietrzu wisiała nieustannie wyraźna woń spalenizny — ale jeśli były dymem w istocie, to szczególnym, bo nie drażniącym oczu ani gardła.

Z historii opowiadanych o Przełęczu Mgieł najczęściej może powtarzały się dwie: o skrzydlatych węzokoniach, przed wiekami przeklętych przez Szerń i o sinoczarnych zjawach.

Silny oddział, pośród grombelardzkiej mżawki przedzierający się przez niezwykle opary, tworzyły jednak nie zjawy, a istoty z krwi i kości. Była to grupa Rbita i Kagi — dwudziestu kilku mężczyzn oraz dwie kobiety, nie licząc pary przywódców. Z pewnej odległości łatwo można było wziąć oddział za silny wojskowy patrol, tak rzucały się w oczy karność i porządek w szyku. Nikt nie rozmawiał, ani o nic nie pytał, nikt nie przystawał. Złudzenie było tym większe, że wszyscy wydawali się podobnie odziani, uzbrojeni i wyposażeni; brakowało oczywiście mundurowych tunik, ale każdy miał mocną kolczugę, na plecach kuszę okrytą natłuszczonym skórzanym pokrowcem i worek z bełtami przy biodrze. Wszyscy też nosili miecze, a przez ramię lub przez pierś przewieszane mieli duże sakwy z koziej skóry.

Rbit, dość rzadko używający uzbrojenia (krępowało ruchy i hałasowało — czego nie znosił), także miał na sobie kolczugę, podobną do tych, jakie nosili członkowie kociego oddziału gwardii w Rahgarze. Prowadził grupę pewnie i szybko, co nie było wcale sztuką łatwą. Ludzkie drogi w górach rzadko są wygodne dla kota — i odwrotnie.

Dwudziestołkciowa ściana, pełna różnych uchwytów dla człowieczych dłoni, bywała dla kocura przeszkodą nie do pokonania; ale znów skalna półka szerokości trzech palców widziała mu się niczym gościniec... Ogromne rumowisko wielkich głazów, na które ludzie pięli się mozolnie, ze skały na skałę, Rbit łatwo forsował potężnymi skokami, z których każdy trwał tyle, co kłaśnięcie w dłoń.

Na Przełęczy mgieł teren nie był, na szczęście, bardzo trudny, a już zejście wschodnią stroną — całkiem łatwe, choć ciągnące się omal bez końca, bo aż w dolinę nazywaną Dnem Morza, czy też — Morskim Dnem.

Dno Morza było nim kiedyś naprawdę. Przed wiekami, gdy nad niebem Grombelardu Szerń zmagala się z podobną do niej, lecz wrogą potęgą — Alerem, jedno z Jasnych Pasm miało upaść na ziemię, odparowując całą zatokę. Morska woda, należąca do Bezmiarów, obcego i nieprzyjaznego Szerni żywiołu, nigdy nie wróciła do miejsca dotkniętego przez Pasma. Tyle mówiła jedna z najstarszych legend Grombelardu. A co nie było legendą? Z całą pewnością nie była nią ćwierćmilowa ściana wody, trwająca nieruchomo na granicy Złego Kraju, jakby odgradzona od doliny niewyobrażalnie wytrzymałym, przezroczystym murem. Ścianę spowijały, podobnie jak całą lądową i morską granicę Obszaru, kłęby białozółtej mgły-nie mgły, takiej samej, jak ta na Przełęczy, ale nieporównanie gęściej się ścielącej.

Rbit znał doskonale Morskie Dno i Przełęcz Mgieł, widział też Ścianę Wody. Ale tajemnice tych miejsc obchodziły go akurat tyle, co zeszłoroczny śnieg, i to śnieg armektański lub dartański (bo Grombelard nigdy śniegu nie widział, wiecznie chłostany deszczem, którym Szerń chciała obmyć skalaną przez Aler ziemię). Niepojęta zagadka wodnej ściany zaistniałaby dla kota dopiero wówczas, gdyby ściana owa miała runąć mu na głowę. Czemu jednak miałyby runąć? Równie dobrze mogłoby runąć niebo, tak samo — bo od tysiącleci — wiszące nad Szererem.

Rbit, choć postać ze wszech miar nieprzeciętna, nosił w sobie jednak typowe kocie cechy: obchodziło go to tylko, co bezspornie wiązało się z życiem samym, zagadki zaś i tajemnice natury uważał za beznadziejnie nudne, podobnie jak dumanie o nich — za zbędne. Przedzierając się przez dymy na przełęczy nie poświęcił im też, oczywiście, nawet najmniejszego skrawka myśli. Były. Miał problemy poważniejsze, niż

jakieś cuchnące opary.

Nie udało się odnaleźć oddziału Wer-Hagena. A przecież gdzieś musiał krążyć. Zwiadowcy, których Kaga rozesłała, byli wytrawnymi przebiegaczami gór. Donieśli tyle tylko, że poprzedzający ich ludzie są, bez żadnej wątpliwości, Armektańczykami — tak jak uważano od początku. Gdzie zatem kryła się grupa Hagenowych rzeźników? Którędy przedzierała się przez góry. A może nie było jej wcale? Czyżby poćwiartowane zwłoki porzucili Armektańczycy? Nieprawdopodobne. Armektańczyk nie okaleczał zabitego w walce wroga, prawa wojny były dlań uroczyście i święte. Masakrowano tylko Alerów na północy — celowo podkreślając w ten sposób, że potworów szlachetne reguły oręża nie dotyczą; Alerowie byli dla Armektańczyków parszywymi półzwierzętami. Rbit znał dobrze siłę Armektańskich obyczajów i tradycji. Nie łamano ich prawie nigdy.

Kto więc zabił zwiadowcę?

Koci wódz rozbójników wiedział doskonale, że podkomendni Kagi uczynili wszystko, co w ludzkiej mocy, by odnaleźć tajemniczy oddział.

Postanowił, że ruszy na zwiady sam.

Tymczasem jednak z wolna zbliżał się wieczór. Osiągnęli już prawie szczyt przełęczy i Rbit zarządził postój. Ludzie porzysiadali się na ziemi, sięgnięto do zapasów żywności. Kaga napiła się wody i porozmawiała krótko ze swoimi podwładnymi, by ocenić nastroje — choć i bez tego widziała, że są dobre. Ci ludzie kochali złoto, walkę, wino i zabawę, ale najbardziej kochali Ciężkie Góry. Przypominali trochę armektańskich Jeźdźców Równin, dla których galop konia i bezkresne, pocięte rzekami przestrzenie były treścią życia. Tak u jednych jak i u drugich, dopóki mogli robić co chcieli, w górach lub na równinach — wszystko było w porządku.

Kaga czuła to samo i tak samo.

— Myślisz — oceniła podchodząc do Rbita.

Wyciągnęła rękę, chwytając powietrze palcami w kocim Pozdrowieniu Nocy, geście będącym zarówno powitaniem, jak życzeniem szczęścia, czy też wreszcie oznaką: wszystko dobrze. Było to u niej równie naturalne, jak skinienie głową; gdyby miała pazury, wysunęłaby je po kociemu.

Rbit milczał.

— Mam niejasne przeczucie, Kaga — rzekł wreszcie — że dojdzie do jakiejś tragedii. I to przeczucie pochodzące z dwóch źródeł.

Popatrzyła czujnie.

— Pióro — wyjaśnił krótko.

Zmarszczyła brwi. Wiedziała, że Rbit posiada najpotężniejszy z Geerkoto — Ciemnych Porzuconych Przedmiotów, zdobyty kiedyś w Obszarze. Noszenie go było niebezpieczne, ale zapewniało też mnóstwo korzyści. Rbit ukrywał Pióro w małej sakiewce na brzuchu, teraz schowanej pod zbroją.

— Drugie źródło to ja sam — dorzucił po chwili, niepotrzebnie zresztą, bo odgadła natychmiast.

— O co chodzi? — zapytała.

— Nie wiem, Kaga. Powiedziałbym, że to sprawa tego oddziału Hagena, ale Pióro nie zajmuje się takimi bzdurami. To coś daleko poważniejszego.

Poczuła się nieswojo. Nie lubiła Szerni i jej sił.

— Posłuchaj — rzekł z namysłem — pošlij ludzi na zwiady. Znowu. Wszędzie. Szczególnie do tyłu. Ja pójdę na szczyt przełęczy i, jeśli będzie trzeba, jeszcze dalej, tam gdzie stara twierdza. Nie wiesz? Może to i dobrze, to złe miejsce. Nie ruszymy się stąd tak długo, aż stanie się jasne, o co chodzi. Potoku nie szukaj, nie warto, nałap deszczówki. Może trzeba będzie zostać tu dłużej.

Popatrzyła na snujące się wokół opary.

— Przecież nie są trujące — powiedział odgadując jej myśli. — Miejsce dobre jak każde inne, a może nawet lepsze, bo z pewnej odległości nawet w biały dzień nikt nas nie wypatrzy. Rozstaw czaty i zarządzaj wszystko, jak zwykle.

— Pójdiesz sam? — zapytała obojętnym głosem, ale leciutko przygryzając wargę.

— Tak, Kaga. Ktoś musi tu rządzić.

To nie był prawdziwy, czy też raczej — to nie był jedyny powód. Owszem, gdyby była kocicą, poszliby we dwoje.

Skinęła tylko głową, ze starannie skrywana goryczą.

*

Pośród skalnych rumowisk, spowite kłębami tajemniczych mgieł, leżały ruiny starodawnej fortecy. Mało kto o nich wiedział. Po tej okolicy

nikt nie włączył się dla przyjemności; szło się tedy do Dna Morza, albo wracało — tak samo przez Przełęcz. Nikt nie zbaczał ze szlaku, bo po co?

Rbit jednakże wiedział o ruinach. Zmierzał teraz ku nim — nie dlatego wcale, by spodziewał się znaleźć tam coś szczególnego. Powód był prosty: pośród skalistej pustyni, jaką była ta część Ciężkich Gór, stara twierdza Shergardów stanowiła jedyne konkretne miejsce, ku któremu mógł się udać, jeśli nie chciał po prostu łązić tam i nazad.

Wiekowe gruzowisko, pośród ścielących się pasm mgły, było jak wyjęte z baśni, ale baśni ponurej. Kontury murów i resztki rozpadających się wieżyc nie przypominały żadnych innych budowli na kontynencie Szereru; prędeż można by je odnieść do najstarszych budowli garyjskich, tak samo pozbawionych wszelkich załamania linii. Dominowały tam łuki, wieże i baszty budowano na planie okręgu lub półokręgu. Stara twierdza tak właśnie wyglądała. W poszczerbionych murach ziały czarne kontury półkoliście zakończonych bram, drzwi i okien, przez które przesączały się cuchnące spalenizną opary.

Rbit nie uległ nastrojowi miejsca. Czujny i ostrożny, zapuścił się pomiędzy martwe kamienne mury, z każdą chwilą bardziej przekonany, że trafił gdzie trzeba.

Pióro prawie parzyło mu myśli.

Warownia wydawała się całkowicie zapomniana i opuszczona; niewielki dziedziniec, zavalony gruzem, ział ciszą. Rbit jednak, zamiast przemierzyć go w poprzek, wolał obejść dokoła, kryjąc się w cieniu wyszczerbionego, pogryzionego przez wichry i deszcze muru. Dotarł do rozsypujących się zabudowań mieszkalnych.

Przemawiały pustką.

Ostatnie światła dnia tylko gdzieś przenikały w głąb budowli, choć wszystkie stropy dawno się zapadły. Kocurowi jednak ciemność wcale nie przeszkadzała — tylko źrenice przemieniły się w dwie lśniące tarcze, osiagając największe rozmiary. Pomimo zbroi, w razie konieczności, wódz rozbójników potrafił poruszać się bezszelestnie, choć wolniej i mniej swobodnie, niż czynił to zwykle. Żadna żywa istota nie powinna nawet podejrzewać jego obecności.

A jednak czuł się śledzony.

Wciąż z tą samą, cierpliwą i ostrożną powolnością, badał zakamarki korytarzy i komnat. Odnalazł ciasne, bo do połowy zasypane, wejście do

podziemi. Zapuścił się w nie bez wahania. Kręte stopnie wiodły w dół i w dół — zrujnowane, pełne szczelin... W kompletnej ciemności nawet koci wzrok przestał być zmysłem jakkolwiek przydatnym i Rbit zdał się całkowicie na słuch oraz dotyk. Co jakiś czas lekko tarł zbroją o ścianę, nasłuchując jak rozchodzi się dźwięk, łowiąc ślady echa. Przeszkody na drodze — małe i większe przyzmy gruzu, dziury w stopniach — rozpoznawał dotykiem, wystawiwszy naprzód wrażliwe wąsy i brwi. Poruszał się niesłychanie powoli, lecz pewnie.

Stopnie skończyły się. Kocur uczynił dwa powolne kroki i przystanął. Nie wierząc pierwszemu odczuciu — bo zetknął się z czymś doskonale znanym, czymś będącym niemal częścią jego duszy — pochylił łeb, wodząc nosem po tym, co mu zagradzało drogę. Potem usiadł i z niejakim mozołem wyciągnął spod zbroi zawieszoną na rzemieniu sakiewkę. Przygniótł ją łapą i zębami wydobył swoje Pióro. Nosił je od tak dawna, że pomimo znanej kociej niewrażliwości na aurę Pasm, nauczył się wyczuwać, kiedy przepelniające Przedmiot moce zaczynają się burzyć.

Tak było w tej chwili.

Wyrzekł krótką Formułę, jedną z najprostszych. Pióro natychmiast połączyło jej brzmienie z odpowiednim obszarem tych Pasm Szerni, które Przedmiot symbolizował. Na krótką chwilę łagodna zielonożółta poświata rozjaśniła otchłań lochu i Rbit ujrzał to, co spodziewał się ujrzeć.

Powróciło wrażenie obcej obecności. Kocur odwrócił się zwinnie, po raz drugi używając Formuły. Jeszcze raz blade światło posłusznie rozlało się po lochu, ukazując pełznące w dół po krętych stopniach coś czarnego jak cień... coś co mogło być żywą istotą równie dobrze, jak — żywą rzeczą...

Pochwyciwszy w zęby swoje Pióro, Rbit wykonał nieprawdopodobny wręcz skok, wysoko na ścianę lochu, i odbiwszy się od niej wszystkimi czterema łapami, jak sprężyna wystrzelił ku schodom, próbując osiągnąć jak najwyższe stopnie.

4.

Spośród licznych zwiadowców, rozesłanych przez Kagę, dwaj mieli

już nigdy nie wrócić do obozu. Byli to ludzie posłani do tyłu, w kierunku Badoru. Wytrawni przebiegacze gór, trafili tym razem na równie dobrych, albo i lepszych od siebie. Wpadli bowiem w ręce, wyglądającej ich, straży przedniej silnego oddziału Gwardii Grombelardzkiej.

Zaskakująca z pozoru obecność żołnierzy na bezdrożach, w części gór, gdzie niczego do pilnowania nie było, miała bardzo prosty powód: żołnierze ci tropili właśnie grupę Rbita i Kagi, od dawna — bo właściwie od samego początku — wiedząc o jej istnieniu... Oddział, w największej tajemnicy, wyruszył z garnizonu na osobisty rozkaz nadtyśnięcznika R. W. Ambegena. Stary komendant, który istotnie nie mógł wzmocnić armektańskiej wyprawy wojskiem imperialnym, miał przecież ochotę upiec, przy tak wielkim ogniu, swoją pieczeń — a i wspomóc (choć pośrednio) syna starego przyjaciela. Komendant był pewien, że jedna lub kilka rozbójniczych band puści się w trop za poczem Ovetena. Uważał, że trafiła się doskonała okazja do zlikwidowania tych oddziałów, oczywiście przy zachowaniu jak najdalej posuniętych środków ostrożności. Główna trudność polegała na tym, że jego żołnierze działać mieli poza własnym rewirem, na terytorium innego garnizonu. Do miejsca, które wskazał Oveten, można było dotrzeć tylko z Badoru. Nadtyśnięcznik nie przedstawił więc swych zamysłów Armektańczykowi, bo najpierw musiał porozumieć się z badorskim dowódcą. Będąc komendantem stołecznego garnizonu, a zarazem naczelnym dowódcą całej Legii Grombelardzkiej, Ambegen nie mógł jednak (przede wszystkim: nie chciał) panoszyć się na podwórku swego podkomendnego, zwłaszcza że tyśnięcznik Argen był człowiekiem zasługującym na najwyższe uznanie i szacunek. Ambegen uzgodnił więc z nim zasady współdziałania, ale wtedy syn Lineza był już w górach, a próby nawiązania kontaktu mogły zdemaskować całą grę.

Nadtyśnięcznik miał w garnizonie ludzi, którym mógł zlecić każde zadanie, wymagające wojskowej sprawności. Grombelardzkie wiarusy, zaprawione do walk z wszelkimi mętami, znały góry wybornie. Wybrał najlepszych. W trzydziestoosobowym oddziale znalazły się dwie dziesiątki elitarnej Gwardii Grombelardzkiej, resztę stanowili najbardziej doświadczeni legioniści z garnizonu Badoru. Całością dowodził Sehegel — stary setnik, mający za sobą niejedną podobną eskapadę.

Ambegen, podsunąwszy młodemu Armektańczykowi

przewodniczkę, zyskał możliwość wybadania jej — pozornie mimochodem. Pytał o drogę, jaką zamierza poprowadzić oddział. W ten sposób poznał szczegóły, które niewiele mówiły Ovetenowi, za to wszystko — Sehegelowi. Dzięki temu żołnierze bezpiecznie, bo w dość znacznym oddaleniu, posuwali się za grupą Ovetena, a potem także za oddziałem kocura i Kagi. Dopiero w pobliżu Przełęczy Mgieł zmniejszyli odległość, planując starcie z rozbójnikami w sprzyjających warunkach — właśnie pośród legendarnych oparów. Co więcej, w stosunkowo niewielkiej odległości od przełęczy, bo w dolinie Dno Morza, znajdowała się stacja legii, gdzie można by zawlec znacznieszego jeńca, gdyby udało się pojmać takiego.

(O istnieniu tej stancy, sprawującej pieczę nad kilkoma położonymi w dolinie wsiami, Oveten dowiedział się dopiero od Ambegena... Wracając z nieudanej morskiej wyprawy, której omal nie przypłacił życiem, nie miał najmniejszego pojęcia, że nieopodal miejsca, gdzie ukrył swój skarb, znajduje się wojskowa placówka, której komendant wskazałby mu przynajmniej najdogodniejszą drogę do Dartanu, albo do Badoru, a może i znalazł jakiegoś przewodnika...)

Przyspieszając tempo marszu, a więc zbliżając się do poprzedzających ich oddziałów, żołnierze przygotowani byli na możliwość zetknięcia się ze zwiadowcami obu grup. W tym stanie rzeczy, przychwycenie ludzi Kagi nie było żadnym cudem, ani nawet szczególnym uśmiechem losu...

*

— Mówią, Maveder?

Przesłuchujący jeńców dziesiętnik uniósł smagłą, ozdobioną dużym, grombelardzkim nosem twarz.

— Nie — odparł z flegmą. — Już nie.

Sehegel pochylił się bardziej, zaglądając w nieruchome oczy leżącego.

— Tamten też? — upewnił się.

— Też, panie.

Maveder powstał i mogło się wydawać, że czeka na słowa nagany. Lecz Sehegel dobrze znał dziwaczne poczucie humoru, cechujące dziesiętnika. I wiedział, że Maveder nigdy nie zabił jeńca, który mógł być jeszcze przydatny.

— Dwudziestu pięciu ludzi, setniku — zameldował teraz widząc, że żart się niestety nie udał. — Obozują niedaleko, będą umiał odnaleźć to miejsce. Ale na ich czele stoi naprawdę nie byle kto...

Oficer gestem ponaglił legionistę.

— Basergor-Kobal, panie.

Sehegel cmoknął wargami i mruknął coś niewyraźnie. Dziesiątnik nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć, że wiadomość zdeprymowała dowódcę.

— Powiedzieli — rzekł jeszcze — że kocura nie ma w obozie. Poszedł na rekonesans. Na szczęście nie ku nam, ale w drugą stronę.

— Wróci.

— Tak. Jeśli mogę, panie...

Sehegel przyzwolił skinieniem.

— Radzę, żebyśmy się pospieszyli. Gdy Kobal wróci, nie uda nam się podejść pod obóz. Pojmanie lub zabicie tego kota byłoby wielkim czynem, ale nie damy rady. Nie w takich warunkach, setniku.

Oficer pokiwał głową. Sam dobrze znał koty, a Maveder był najlepszym zwiadowcą badorskim, i co więcej — przesłużył parę lat w garnizonie rahgarskim, mając za towarzyszy kocich gwardzistów gadba. Potem Sehegel przez rok miał go pod komendą w Grombie i wiedział, że ponury dziesiątnik nie rzuca słów na wiatr. Zawsze warto go było wysłuchać.

— Zwołaj odprawę — polecił. — Wybicie oddziału dowodzonego przez Kobalą będzie wielką rzeczą nawet wtedy, gdy sam herszt nam umknie.

Maveder ucieszył się, że służy pod dowódcą potrafiącym przytomnie myśleć. Chwilę później Sehegel, jego zastępca i trzech dziesiątnicy odbyli krótką naradę. Niebawem dano sygnał do wymarszu. Przodem poszło ubezpieczenie pod wodzą Mavedera.

Była noc, gdy dotarli do celu. Oddziałek Mavedera miał zgładzić wartowników, rozstawionych wokół zbójckiego biwaku. Wiarusy Legii i Gwardii Grombelardzkiej wywiązały się z zadania najlepiej, jak umiały — ale nie dość dobrze. Tym razem zabrakło szczęścia, zawsze niezbędnego na wojnie. By osiągnąć pełne zaskoczenie, należało nie dopuścić do zaalarmowania obozu przez placówki. Nie udało się. Rozpacзлиwa walka czujnego wartownika sprawiła, że ludzie Kagi, wyrwani ze snu, chwycili

za broń. Zaraz potem trzydziestu żołnierzy runęło na ich obóz.

Nocna walka pod chmurnym grombelardzkim niebem, na dodatek wśród spowijających przełęcz oparów, nie miała nic wspólnego ze sztuką wojenną. Pośród krzyków, potykający się na skałach ludzie chwytali niewyraźne, chybotliwe cienie, zderzali się, przewracali, bili pięściami i gryźli, kłuli nożami, tłukli głowicami mieczowych rękojeści... Nikt nie strzelał, bo nikt nie widział celu, brano się za bary, dopiero dotykiem poznając, czy ten drugi to przyjaciel, czy wróg. Żołnierze mieli hełmy i tuniki — rozbójnicy ich nie nosili. Pośród nieopisanego zamieszania zderzały się czasem parosobowe grupki, by poznać, że swoi atakują swoich; to znów dalej dwaj śmiertelni wrogowie ramię przy ramieniu odpierali czyjeś ciosy, by nagle dostrzec omyłkę i chwycić się wzajem za gardła... Spośród tych, co mieli przeżyć starcie, nikt nie zdołałby przysiąc, czy nie atakował czasem w tym boju przyjaciela.

Wszystko to nie trwało długo. Przekleństwa i bojowe okrzyki milkły, coraz gęściej za to ścieliły się jęki i skowyty rannych. Wreszcie walka ustała.

Nie było z czego rozpaść ognisk (rzecz zwykła w Ciężkich Górach), wiązano więc jeńców i opatrywano rany towarzyszy po ciemku. Zresztą, nawet gdyby rozpalenie ognia było możliwe, zwycięzcy nie śmieliby tego uczynić — bo nikt nie mógł przewidzieć, czy w ciemności nie kryją się niedobitki pokonanego oddziału, z kuszami w dłoniach czekając na blask płomienia...

Rozstawiono silne posterunki i wyglądano świtu.

5.

Gdy przewodniczka wróciła z rekonesansu, Oveten natychmiast pokazał jej odkrytego przed chwilą trupa wartownika.

— Nie pojmuję tego — powiedział.

Odwróciła spojrzenie od rozkawałkowanych zwłok, nad którymi tańczyły białozółte opary.

— Czego? Tego, że Wer-Hagen szarpie nasze czaty?

Zmarszczył brwi.

— Właśnie. Niewiele wiem o Ciężkich Górach i zbójckich sposobach. Ale słyszałem, że na ataki naraża się dopiero wracająca z

Obszaru wyprawa. Komu może zależeć na osłabieniu nas teraz? Im słabsi wejdziemy do Kraju, tym większe ryzyko, że nie powrócimy. A przecież chodzi o to, żebyśmy wrócili. I to z łupem, czy tak?

Kiwała głową, zamyślona. Potem spojrzała na otaczających ich żołnierzy.

— Trzeba go pogrzebać — mruknęła. — Chodź ze mną na spacer, wasza godność. Za dużo tutaj uszu.

Odwrócili się i poszli niespiesznie.

— Wszystko co mówiłeś, było słuszne. Ale pod warunkiem, że Hagen-Rzeźnik wie o twoim zamiarze dotarcia do Obszaru. Może nie wiedzieć. Albo przeciwnie, może wiedzieć zbyt wiele... — zawiesiła głos.

Popatrzył badawczo.

— No właśnie — przytaknęła. — Czy na pewno nikt nie wie, że wcale nie idziemy do Obszaru?

Myślał długo.

— Od wczoraj ty wiesz.

Przystanęła na chwilę.

— Czy chcesz...

— Nic nie chcę! — przerwał gniewnie. — Wiedzą cztery osoby: stary wojak, z którym tu byłem i który ze sto razy stawał przy moim ramieniu, potem mój ojciec, jeszcze komendant Ambegen i ty. Gdyby zapytano, kogo z tej czwórki obdarzam najmniejszym zaufaniem, powiedziałbym: przewodniczkę! Czy to niezrozumiałe? Cóż w końcu wiem o tobie, oprócz tego, że znasz góry?

— Przecież wiedziałeś, że prędzej czy później poznam prawdę.

— Co nie znaczy, że naraz miałaś stać się dla mnie bardziej godna zaufania, niż własny ojciec, albo wierny żołnierz, którego znam od dziecka.

— A komendant?

Oveten wzruszył ramionami.

— On? Jeden z najsłynniejszych żołnierzy w całym Szererze? Piastujący stanowisko, które sam sobie wybrał, bo nikt mu nie śmiał odmówić? Ten stary człowiek wygrał kiedyś prawdziwą wojnę; uważasz, że teraz zechciałby się bawić w złodzieja, okradając syna dawnego towarzysza broni?

Wzruszyła ramionami. Też była Armektanką i wiedziała równie

dobrze jak Oveten, że nadtyśnięcznik, będący Grombelardczykiem co najwyżej w połowie, nigdy nie naruszyłby świętego Przymierza Arilory, zawartego na polu walki. Zresztą, to nie był człowiek ubogi, zaś jego ambicje dawno już zostały zaspokojone. Po co miałyby wdawać się w haniebną awanturę?

— Przemierzyliśmy w poprzek całe Ciężkie Góry — dodał jeszcze Oveten. — Gdyby jego godność Ambegen pożądał Porzuconych Przedmiotów, zginęłaby już pewnie połowa moich ludzi. Ale nie, zginął jeden, bo dwóch, co spadli w przepaść, nie liczę. Zginął jeden. Zaraz po tym, jak ty poznałaś tajemnicę.

— W związku z czym poćwiartowałam tego biedaka, bawiąc się w Hagen-Rzeźnika — powiedziała przystając. — Wystarczy. Nie masz już przewodniczki.

— Kobieto — rzekł, zatrzymując się, jak i ona — co trzeba zrobić, żebyś zaczęła myśleć? Chwycić ten twój długi, brudny warkocz i potrząsnąć?

Wyciągnął rękę. Uchyliła się odruchowo.

— Pytałaś, czy nikt nie zna celu wędrówki. Wymieniłem cztery osoby. Z tych czterech tobie ufam najmniej. Ale gdybym naprawdę sądził, że zdradziłaś, to zabiłbym na miejscu, nie szukając specjalnych dowodów. Wiem, że to nie ty. Od chwili, gdy ci powierzyłem tajemnicę, nie spuszczo cię z oka nawet na chwilę.

— Zauważyłam. I domyśliłam się, po co mi towarzystwo twoich ludzi na zwiadach.

Przygryzła wargę i nagle uśmiechnęła się lekko.

— To nie jest zabawne — oznajmiła wbrew uśmiechowi.

— Bycie obserwowaną? Cena zaspokojenia ciekawości — skonstatował.

— No dobrze, zapytam ponownie, ale trochę inaczej: czy oprócz tych czterech osób ktoś jeszcze mógł poznać tajemnicę?

— Wątpię. Ale mógł, oczywiście, poznać ją każdy, komu by przyszło do głowy przyłożyć ucho do właściwych drzwi... we właściwej chwili. Wyjawiwszy raz pewną tajemnicę, nigdy już nie można być pewnym, czy jest tajemnicą nadal.

Przytaknęła.

— Ale, ale... Czy twój rekonesans przydał się na coś? — zagadnął.

Pokiwała głową.

— Hm... Myślałam, że już nie zapytasz. Wiem, gdzie są.

— Rozbójnicy?

— A któż by? Dosyć blisko: tuż pod szczytem przełęczy, z drugiej strony. Jest ich coś dwudziestu.

Oveten zaświstał.

— Dwudziestu, mówisz. I dosyć blisko, mówisz...

— Może ze trzy mile. A teren prawie równy.

Stał długo, zamyślony.

— Co radzisz?

— A co ja mogę radzić? Jestem twoją przewodniczką, nikim więcej. Przyniosłam wiadomość i rób z nią co chcesz, wasza godność.

— A gdyby ich zaatakować?

Rozłożyła ręce.

— Atakuj. Ja się do tego nie mieszam. Nic nie mam do rozbójników. I oni do mnie też nic nie mają... zazwyczaj.

Popatrzył przeciągle.

— Jak więc sobie to wszystko wyobrażasz?

— No... nijak. Mówię: chcesz, to ich atakuj, wasza godność. Pokażę ci, gdzie są, zresztą twoi ludzie byli ze mną i też to wiedzą. Usiądę sobie gdzieś i poczekam. Jak zwyciężysz, to przyślesz kogoś po mnie. No, a jeśli przegrasz, to moja misja się skończy. Pójdę sobie wtedy, szukać sępów.

— Albo moich Przedmiotów.

Wzruszyła ramionami.

— Po śmierci też zamierzasz ich, panie, pilnować? — zapytała sarkastycznie.

Zastanowił się.

— A jednak, pani — rzekł poważnie — mam wrażenie, że zbyt wąsko pojmujesz swoje obowiązki. Zapłaciłem naprawdę niemało. I wydaje mi się, że mam prawo żądać przynajmniej twojej opinii na każdy temat, związany z naszą wyprawą, górami i tym wszystkim, co się w nich dzieje, albo działa może.

Przygryzła usta.

— A więc tak, wasza godność: myślę, że warto spróbować szczęścia. Po tym, co spotkało twojego wartownika, raczej wątpię, by pozostawili nas w spokoju. Obojętne, jakie powody nimi kierują. Gdybym ja

dowodziła twoją wyprawą, starałabym się uprzędzić cios. Czy coś jeszcze?

— Owszem. Jak oceniasz nasze szanse?

Z namysłem przechyliła głowę.

— Raczej nieźle... Będą zaskoczeni. Twój lud może i nie zna gór, ale walka jest walką, a do tej, tak w ogóle, są przygotowani chyba nieźle. Gdybyś miał, na czele swego pocztu, bawić się z góralami w chowanego, to sprawa inna. Ale walka, oko w oko... Myślę, że to powinno się udać. Choć straty na pewno będą, bo nie ruszasz przeciw chłopcom z wierzbowymi witkami w rękach.

Mruknął coś pod nosem.

— Potrafisz więc radzić, jeśli chcesz. Powiedz no mi, pani, dlaczego stale usiłujesz zachować... dystans?

— Szczerze? — zapytała.

— Oczywiście.

— Przyczyn jest kilka. Pierwszą już wymieniłam: nic mi do twoich spraw, panie. Czasem potrzebne mi złoto, dlatego postanowiłam zarobić go trochę. Ale, prawdę mówiąc, gdy pominąć wątpliwość sympatii, jaką czuję dla swoich rodaków oraz ich przystojnego dowódcy, jest mi prawie obojętne, czy spotka cię klęska, czy też odniesiesz sukces. Staram się o to drugie, ale dla zasady.

Przyjął rzecz do wiadomości.

— A po drugie i najważniejsze — ciągnęła — nie przywykłam do wodzenia żółtodziobów po górach. Szukasz guza, panie, w tym kraju i może być, że go znajdziesz. Złości mnie to, śmieszy, a przede wszystkim tworzy przepaść nie do przebycia. Bo nie pochwalam głupich awantur. Czy chcesz usłyszeć coś jeszcze, wasza godność? Jeśli nie, puść mnie wreszcie. Chcę zjeść, jestem głodna.

*

Wcale nie żartowała mówiąc, że ręki do tej walki nie przyłoży. Oveten próbował ją przekonać, trochę nawet groził, ale dał spokój, gdy zapowiedziała, że zwróci mu pieniądze i odejdzie. Pozostawił ją, jakieś ćwierć mili przed obozem rozbójników, w towarzystwie dwóch żołnierzy, sam zaś z resztą swoich ludzi poszedł dalej.

Długo czekała na jakiegokolwiek odgłosy, które mogłyby świadczyć, że skradający się Armekańczycy zostali wykryci. Nic jednak nie usłyszała.

Cóż — wiedziała dobrze, iż nocne podchody pod wrogi obóz zawsze są hazardem. Doświadczony wartownik, tkwiący bez ruchu pod skałą, był niesamowicie trudny do wykrycia. Ale znów — wrogich obozów nie podchodziły przecież gromady niesfornych dzieciaków, lecz ludzie, którzy sami nie raz i nie dwa razy trzymali straż w podobnych warunkach, dzięki czemu doskonale wiedzieli, co czatownik może usłyszeć lub zobaczyć, a czego nie.

Łucznicy Ovetena tworzyli naprawdę znakomity zbrojny oddział. Zorientowała się, że niemal wszyscy w niebiesko-żółtej drużynie, służyli wcześniej w wojsku cesarskim, i to nie byle gdzie — bo na północy Armektu. Przeszedłszy na prywatny żołąd (sporo wyższy) wcale nie odbywali parad — przeciwnie. Jeszcze w Grombie, gdy pytała o ludzi, których ma prowadzić, Oveten wyjaśnił, że jego ojciec, komendant wojskowy Rapy, potrzebował doborowego wojska, którego mógł użyć w każdym miejscu i czasie, według własnego uznania. Majątki B.E.R.Lineza rozrzucone były po całym okręgu, zaś Jeźdźcy Równin lubili jednak czasem puścić z dymem parę zagród... Znała przecież świetnie stosunki panujące w Armekcie, domyśliła się więc w pół słowa, że komendant legii cesarskich znajdował się w szczególnie niewygodnym położeniu, bo choć legie winny ścigać Jeźdźców, przecież zaraz zarzucano mu prywatę — gdy posyłał wojska imperialne do ochrony własnych majątków. Dumny magnat nawet myśleć nie chciał o wysłuchiowaniu podobnych zarzutów. Wystawił więc własne poczty, w tym kilka — doborowych.

Gdy noc zszarzała na tyle, że dało się rozróżnić kontury większych skał, z dali dobiegł jakiś wrzask, potem znów. Wychwyciła coś jak bojowe okrzyki... a może były to ryki wściekłości, rozpaczy, bólu...

Wkrótce wszystko umilkło.

A zatem — prawdopodobnie Oveten nie odważył się na nocne forsowanie linii czat. Poczekał do świtu i — jak się domyślała — wystrzelał napadniętych z łuków, gdy tylko dało się odróżnić ich sylwetki. Niedoceniany w Grombelardzie łuk, niezawodny i szybkostrzelny, był w takich warunkach bronią znacznie lepszą niż kusza. Ta zdawała egzamin w walce dziennej, prowadzonej na znaczniejsze odległości.

Towarzyszący przewodniczące żołnierze, niespokojni o wynik walki, kręcili się niecierpliwie, patrząc na swą podopieczną z narastającą

złością. Jednak instrukcje, jakie odebrali były aż nadto wyraźne: „Nie spuścić z oka, nie odstępować na krok”.

Było już całkiem widno, gdy niespodziewanie dziewczyna podniosła się z kamienia, na którym siedziała. Nie po to jednak, by iść na plac boju.

— Sęp — powiedziała prawie szeptem.

Żołnierze wymienili spojrzenia, a potem skierowali wzrok ku niebu, za jej wyciągniętym ramieniem. Na próżno jednak. Jeśli w pasmach mgły była dziura, to zasklepiła się szybko; z trudem dało się zobaczyć skrawki pochmurnego nieba, co dopiero sępa — hen, gdzieś między warstwami chmur.

Łuczniczka wysypała strzały z kołczana i zaczęła pospiesznie je przebierać. Minęła długa chwila, nim do żołnierzy dotarło, co właściwie znaczą te przygotowania.

— Na wszystkie Pasma Szerni — rzekł ze zdumieniem jeden z nich — nie powiesz chyba, pani, że chcesz odszukać tego ptaka? Czy go w ogóle widziałaś?!

— Widziałam — odparła z zawziętością, a zarazem trochę nieprzytomnie. — Był tam. Skrzydłak, widziałam.

Znów popatrzyli po sobie.

— Posłuchaj pani... Mamy rozkaz towarzyszyć ci bez przerwy...

— No to co?

— Nie możesz stąd odejść!

— To weź łuk i mnie zastrzel, baranie.

U jej stóp leżało już wszystko, co uznała za zbędne, trzymała tylko łuk i parę strzał. Odpięła nawet miecz.

— Nie możesz odejść, pani! — powtórzył tępo żołnierz.

Odwróciła się i bez słowa ruszyła przed siebie.

— Idź z nią — rzekł starszy żołnierz nerwowo. — No, idź! Mieliśmy mieć ją na oku, i tyle... Ja tu będę czekał na naszych.

Żołnierz zaklął i ruszył za dziewczyną. Dogonił ją szybko. Zobaczyła go, ale nie powiedziała ani słowa. Po chwili zboczyła ze szlaku, nie zmniejszając tempa. Teren stał się trudniejszy, stromizna była coraz bardziej znaczna... Skakała po kamieniach jak kozica, łucznik nie mógł dotrzymać jej kroku. Zawołał raz i drugi, ale dopiero gdy dziewczynę pochłonęła mgła, poznał że wywiedziono go w pole.

6.

Wiść o zniknięciu łuczniczki wyzwoliła u Ovetena wybuch niepohamowanego gniewu. Miał dość kłopotów i bez tego! Historia o sępie, dostrzeżonym gdzieś między chmurami i pasmami mgły, brzmiała tak niewiarygodnie, że nawet relacjonujący ją żołnierze to czuli. Dość było spojrzeć na ścielące się wszędzie dymy, by zrozumieć, jak nikłą była szansa dostrzeżenia poprzez nie czegokolwiek, a jeszcze gdzie? — na grombelardzkim niebie!

— Durnie! — wykrztusił tylko Oveten, ciskając na ziemię dobytek łuczniczki, który żołnierze przynieśli do obozu. — Durnie i durnie! Precz mi z oczu! Pięć wart poza kolejką, głupcy! I bez żołdu za dwa tygodnie!

Było jasne, że został wystrychnięty na dudka. Niechęć łuczniczki do wzięcia udziału w potyczce stała się nagle zrozumiała i Oveten mógł tylko dziwić się sam sobie, iż jakimś cudem dał wiarę tak mętным tłumaczeniom. Na Szerń, ta kobieta właśnie dowiedziała się o ukrytych w dolinie bogactwach! Prawda, że nie podał żadnych szczegółów, ale jeśli ktoś mógł pokusić się o prowadzenie poszukiwań na ślepo — to właśnie ona.

Co należało zrobić? Wyszedł na głupca, tego już nie dało się zmienić. Ścigać ją? Za późno. Zresztą, czy miał w oddziale choćby jednego człowieka, zdolnego pochwycić dziewczynę — tutaj? W tych przeklętych górach?

Mógł zrobić tylko jedno: iść dalej, i to szybko. Od Przełęczy Mgieł droga była łatwa, zaś dolinę Morskie Dno znał przecież z poprzedniej wyprawy — choć wracał wówczas przez góry inną drogą, wzdłuż wybrzeża, w kierunku Dartanu. Więc wymarsz. I to natychmiast. Co jednak robić z rannymi? Miał ich wielu; atakując o brzasku, zapewnił sobie zwycięstwo, ale poniósł jednak spore straty.

A co z jeńcami? Ba! To był największy problem! Wpakował się w straszliwe kłopoty i zupełnie nie wiedział jak z nich wybrnąć.

Zarządził jednak przygotowania do wymarszu.

*

Miejsce, nad którym krążył sęp, nie było bardzo odległe. Zgubiwszy żołnierza, Łowczyni szybko wróciła na szlak i poszła, a właściwie pobiegła — dalej, ku szczytowi przełęczy. Pochłaniała drogę z wytrwałością wilczycy, przystając co jakiś czas i przepatrując niebo,

poprzez dziury między wstęgami mgły. Ptaka jednak nie było. Zaiste, graniczący z cudem przypadek zwrócił wtedy jej spojrzenie we właściwym kierunku.

Była jednak całkowicie pewna swego. Widziała sępa.

Sępa.

Czas mijał i oddech dziewczyny stawał się coraz cięższy, bo przepełniony zmęczeniem — i bezsilną złością. Zdawała już sobie sprawę z tego, że przegrała. Czy możliwe, żeby znienawidzony ptak wisiał tak długo nad jednym, okrytym mgłą miejscem? Czekał może na nią?

Była jednak inna możliwość: mógł opaść na ziemię, odkrywszy żer. Sępy żyły na sposób swoich zwierzęcych przodków; w Szererze człowiek budował, kot to przyjmował, zaś sęp — tylko odrzucał... Skrzydlate obrzydlistwa wciąż pożerały padlinę i niełatwo dawały się odstraszyć od wypatrzonemu posiłku. Tym bardziej, że umiały go bronić...

Jeśli dobrze zdołała ocenić, ptak krążył wprost nad szlakiem, wiodącym przez Przełęcz. Wskazywać to mogło, że nie czyhał na śmierć zwierzęcia. Górskie zwierzęta, rzadkie w tych stronach, nie korzystały ze szlaków. Tym bardziej zwierzę chore, konające, szukało raczej najdzikszych, najmniej dostępnych miejsc, by złożyć swoje kości. A zatem — to był człowiek. Ranny? Może martwy?

Pomyślała nagle, że na pewno pakuje się w kłopoty.

Niezwykła scena rozegrała się zupełnie nagle, nieopodal. Pośród skłębionych oparów rozbrzmiał naraz, doskonale jej znany, klekot sępiego dzioba, potem dało się słyszeć jakiś przenikliwy świst, zakończony serią trzasków, jakby ktoś przełamał kolejno kilka strzał. Równocześnie turkusowozielony sztych światła przemknął jej nad głową, drugi trysnął w górę, potem trzeci w bok i czwarty, piąty... Odruchowo przypadła do ziemi, wiedząc już, że te błyski niosą śmierć; trafiona skała dymiła, rozkruszona w drobny żwir.

Potem wszystko się uspokoiło.

Leżała nieruchomo, z łukiem w rękach. Czekwała.

Gdzieś w pamięci odżyło niewyraźne wspomnienie. Klekot sępiego dzioba... podobny, dziwny świst... taki sam trzask... Pojęła nagle i strach chwycił ją za gardło. Jednak wciąż leżała, czekając na łaskawy powiew wiatru, który rozerwie opary.

Doczekała się.

Sęp był krwawą miazgą, ulepioną z przypalonego mięsa, potrzaskanych kości, posoki i biało-czarnych piór. Wstała i powoli, a potem coraz szybciej ruszyła ku miejscu, gdzie u stóp skalnej piramidy leżał nieruchomy kształt. Przyklęła, odkładając łuk. Olbrzymi kocur próbował się podnieść, ale uspokoiła go stanowczym ruchem. Przesunęła dłońią po rozszarpanej w wielu miejscach kolczudze, spod której wyzierały krwawe rany.

— L.S.I.Rbit — powiedziała z wyraźniejszą niż zwykle chrypką.

Ku jej zdumieniu i niemal przerażeniu, zaśmiał się nieprzyjemnym dla ludzkiego ucha kocim śmiechem, brzmiącym trochę jak charkotliwy kaszel.

— Mała Armektanka... nieznająca Grombelardu... — rzekł z pomrukiem. — Nie wierzę! Czy to o tobie mówią Góry, Łowczyni?

Znów się zaśmiał.

— Nie mam nic... — powiedziała bez sensu, myśląc o szarpiach i wodzie do przemycia ran. — To... ten sęp?

Lecz wiedziała, że nie. Sępy mogły wiele, ale nie było takiego dzioba, czy szponów, które rozdarłyby żelazny pancerz.

Nie odpowiedział. Poruszył łapą i zobaczyła migoczący lekko, podłużny przedmiot, który wbrew swej nazwie przypominał raczej płaskie dłuto z białozłotego metalu, niż srebrne pióro. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i znów przesunął łapę.

— Nawet na to nie patrz — ostrzegł. — Sam nie wiem, co ta rzecz potrafi... i co może wyzwolić niektóre jej moce. Zabiła sępa... już dwa razy. Wtedy sprawił to gniew, ale dzisiaj... nie wiem... — poruszył łbem.

— Nie mów tyle. Czy gdybym cię poniosła...?

Parsknął pogardliwie.

— Łowczyni, czy ty myślisz, że ja zaraz skonam? Bez obaw... Daj mi jeszcze trochę poleżeć, to wszystko. Potem... tu niedaleko mam swój obóz...

Tknęła ją nagła myśl.

— Na zachód stąd — rzekła. — Niedaleko, jakieś dwie mile.

— Wiesz?

Przygryzła usta.

— Byłam pewna, że to ludzie Hagena. Myślałam... że tylko oni

zostawiają swe ofiary w takim stanie.

— Więc wiesz i o Hagenie? Na Szerń, Łowczyni, gdybym wiedział, że to ty prowadzisz tę wyprawę...

Urwał.

— Gdzie są twoi ludzie? — zapytał nagle.

— Nie moi, ja ich tylko prowadzę. Właśnie o to chodzi, kocie. O świcie napadli na twój obóz.

— Z jakim skutkiem?

— Nie wiem. Czekałam z boku na wynik tej całej awantury. A potem zauważyłam sępa i...

Rbit stulił uszy. Zdawało się, że zbiera siły.

— Weź je — rzekł, odsłaniając Pióro. — Ale przez coś, nie gołą ręką. Oddała brzeg spódnicy i ujęła Przedmiot. Był ciepły.

— Włóż do tej sakiewki. A teraz pod zbroję... Dobrze.

Milczeli przez chwilę.

— Zanieś mnie do moich, Łowczyni.

Skinęła głową.

— Ale jeśli... Jeśli przegraliście, zostaniesz jeńcem, Rbit.

— Zanieś mnie tam.

Podniosła kota z ziemi i z niejakim wysiłkiem położyła sobie na karku. Gadba były największymi kotami Szereru, a ten imponował rozmiarami nawet wśród swoich pobratymców. Sięgnęła ręką, zabierając jeszcze z ziemi swój łuk i wzięła łączysko w zęby. Przytrzymała kocie łapy na piersi i wstała.

Po kilkunastu krokach poczuła, jak wzdłuż szyi cieknie wąska, ciepła strużka.

— Jak będę szła... wykrwawisz się... — wymamrotała z trudem, nie wypuszczając łuku z zębów. — Jak pobiegnę... możesz krwawić bardziej...

— Jeśli możesz biec, to biegnij — powiedział niegłośnie i pojęła, że jest bardzo niedobrze.

Więc pobiegła.

*

Oveten marudził jeszcze trochę i zwlekał, licząc wbrew zdrowemu rozsądkowi, że dziewczyna wróci. Że historia o wypatrzonym sępie nie jest czczym wymysłem. W końcu jednak dał za wygraną.

Podniósł się, by wydać rozkazy i w tej samej chwili, we mgle, od

strony przełęczą, doleciał niewyraźny okrzyk. Oveten nie wierzył własnym uszom. Okrzyk jednak powtórzył się, już bliżej — i to była ona!

Wynurzyła się z tumanów mgły i w pierwszym odruchu Armektańczyk chciał ruszyć na spotkanie... Jednak po dwóch krokach zamarł w miejscu, osłupiały ze zdumienia. Podobnie zareagowali żołnierze.

Nie mogła już biec dalej. Uklękała na ziemi, bez tchu, wypuściwszy łuk, trzymany dotąd w zębach. Na szyi miała zakrzepłą i świeżą krew, ale chyba nie własną. Była bez spódnicy — to co z niej zostało, posłużyło za szarpie, którymi przewiązано rany olbrzymiego kocura, leżącego bez ruchu na ziemi. Pokazała tylko gestem, że trzeba się nim zająć i opadła ciężko na plecy, zamykając oczy. Oddychała chrapliwie.

— Dajcie jej wody! — rozkazał Oveten przytomniejąc. — Zająć się kotem!

Jeden z żołnierzy, najbardziej biegły w opatrywaniu ran, natychmiast pochylił się nad burym olbrzymem w kolczudze. Ktoś przyniósł opatrunki, ktoś wodę i wódkę. Z najwyższym trudem, ostrożnie, zdejmowano poszarpaną zbroję.

Oveten przysiadł przy dziewczynie. Piła chciwie z trzymanego oburącz wora. Ręce i nogi wciąż drżały jej ze zmęczenia.

— Co się stało? — zapytał podtrzymując wór, ale zaraz dał znak, że poczeka, aż będzie mogła mówić.

— To nad nim... ten sęp... — wyjaśniła urywanie. — Stracił mnóstwo krwi... Ci tutaj... to jego oddział nas gonił.

Oveten zmarszczył brwi.

Przychodziła do siebie.

— To nie Wer-Hagena — wyjaśniła już spokojniej i bardziej rzeczowo. — To jego oddział wybiłeś, wasza godność. To L.S.I.Rbit, najbardziej znany kocur Szereru, choć może tobie nic to nie mówi...

Słyszał to nazwisko, a jakże. Z ust Ambegena, a i wcześniej. Lecz w Armekcie niezwykłą historię o rodzie L.S.I. miano za coś w rodzaju legendy, bo w najlepszym razie za półprawdę.

Tak czy owak, nazwisko kocura było teraz dla Ovetena mało ważne.

— Jego oddział wybiłem, powiadasz — rzekł ponuro. — Chciałbym, żeby to była prawda... Wiesz pani, kogo wybiłem? Grombelardzkich gwardzistów.

Nie zrozumiała.

— Kogo? — zapytała ze zdumieniem sądząc, że się przesłyszała. — Gwardzistów?

Potwierdził z westchnieniem.

— Nie mogliśmy wypatrzeć wartowników — zaczął ciężko. — Czekaliśmy na zmianę warty, żeby się ruszyli, ale bądź jej nie było, bądź przegapiliśmy. Ciemna noc i ta przekłeta mgła, wszystko jest możliwe. Dałem sygnał o brzasku.

Zadumał się ponuro.

— Nawet w biały dzień mógłbym się pomylić — powiedział. — Wojskowe płaszcze, lub podobne, wszyscy tutaj noszą, a hełmu spod kaptura nie widać. Ale to żołnierze, jakich mało... — pokręcił z podziwem głową. — Zaraz dostrzegłem pomyłkę, ale było za późno. Ledwie poszło do nich parę strzał, a wszyscy poderwali się z ziemi. Moim ludziom zdawało się pewnie, że nie widać ich, jak ledwo-ledwo wychylają się spoza skał... A ci tutaj ponapinali te swoje kusze tak prędko, że nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył. Raptem może dziesięć bełtów zdążyli nam postać, a położyli trupem trzech moich i ranili czterech. Potem wzięli się za miecze i choćbyśmy nawet nie chcieli, musieliśmy wystrzelać ich do ostatniego. Pojmałem ośmiu, wszyscy ranni. My rannych mamy tyle samo, no i tych trzech zabitych.

Zaległa cisza.

— Jestem pewna — zaczęła — że gdy byłam na zwiadach...

Przerwał jej.

— Wiem, wiem... Przed północą rzeczywiście byli tu rozbójnicy. I są nadal — machnął ręką — zabici, albo powiązani jak balerony. Gwardia urządziła im to, co ja potem gwardii...

Mruknęła coś do siebie, a po chwili zaczęła się cicho śmiać.

— Cóż ci tak wesoło, pani? — zagadnął, nawet nie starając się maskować złego humoru.

— Siedzisz po uszy w kłopotach, wasza godność — stwierdziła. — No, zostałeś rozbójnikiem. To jest szubienica. A w najlepszym razie twierdza. Co teraz zamierzasz?

Podniosła jeszcze raz wór, przepłukała usta i wypluła wodę na ziemię. Ochlapała sobie szyję, zmywając zaschniętą kocią krew.

— A co z jeńcami?

— Właśnie — mruknął.

Znowu milczeli.

Żołnierz, który kawałek dalej opatrywał kosmatego rozbójnika, uniósł głowę.

— Będzie żył — zawyrokował z niezachwianą pewnością. — Rany bardzo niepiękne, ale powierzchowne, tylko że dziwne takie, bo jakby go co pogryzło. Ten zwierz musiał mieć mocne i ostre, ale krótkie zęby, o takie jakby — pokazał na palcu. — Stracił mnóstwo krwi, to tyle, wasza godność. Odpocznie i niedługo będzie biegał, znam koty, wasza godność.

Wrócił do opatrunków. Ale po krótkiej chwili pokazał jeszcze kolczugę.

— Temu zawdzięcza życie, wasza godność. Niech tu trupem padnę, jeśli widział kiedy lepszą kolczą plecionkę. Ta zbroja była warta więcej niż nasze wszystkie razem, wasza godność.

Oveten sięgnął po kolczugę i ocenił ją okiem znawcy. Potem podjął z ziemi podłużną skórzaną sakiewkę.

— Geerkoto — ostrzegła przewodniczka. — Lepiej je zostawić w spokoju. Od wielu lat to Pióro należy do niego i jeżeli uzna, że chcemy zrobić krzywdę temu, komu służy... Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Odzyskała już werwę i zwykłą pewność siebie.

— Widziałam jak ten Przedmiot zrobił miazgę z sępa i pokruszył skały — dorzuciła.

— Znasz tego kota — raczej stwierdził niż zapytał, zamyślony.

— Tak — przyznała krótko, powstając. — Daj mi, panie, jakąś spódnicę. Zimno mi.

Skinął głową, mając przed nosem jej silnie umięśnione uda i miejsce, gdzie się zbiegały, a potem muskularne pośladki, gdy odwróciła się, rozglądając po obozie. Przyszło mu na myśl, że tutaj, w tych przeklętych przez ludzi i Szerń górach, nawet nagość może być tylko nagością. Cieleśną i powierzchowną, odartą z tych wszystkich znaczeń, jakie miewała w Armeckie. Tu nie mogła symbolizować szczerości i dobrej woli, otwartości... Zatęsknił nagle do swego pięknego kraju.

— Popytaj żołnierzy — powiedział. — Własnej spódnicy na pewno żaden ci nie odda, ale może któryś ma jeszcze zapasowe nogawice, jeśli nie podarł na tych przeklętych wertepach.

Znów zwróciła się ku niemu, skrzywiona.

— Chcę spódnicę. Obejrzę sobie twoich jeńców, wojsko ma dobre sukno.

— Nie waż się zabierać nic jeńcom! — zaprotestował gniewnie i zaraz spochmurniał jeszcze bardziej. — Jeńcy...

Przykucnęła na powrót, obejmując kolana rękami i wspierając na nich podbródek. Zakołysała się na piętach.

— No właśnie. Więc co z nimi?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem — wyznał bezradnie. — Puszczę wolno, to Trybunał dobierze się do mnie. Nie zawisnę, bez obaw... Ale jaki skandal! Ojciec natychmiast będzie musiał odejść ze stanowiska, bo przecież nie zaprzeczy, że wiedział o tej wyprawie... Miałaś rację, że znajdę tutaj guza.

Pokręcił głową.

— Ale czy jest inne wyjście, niż ich puścić? — zapytał. — Przecież nie pozabijam! A i to jeszcze pytanie, czy sprawa by się nie wydała. Zbyt wielu ludzi wie o tym. Moi żołnierze... ty...

— O żołnierzy możesz być spokojny, będą milczeć we własnym interesie — zauważyła nie bez racji. — Ale ja? Przyznam, że nie wiem, jak miałabym milczeć w takiej sprawie. Masakra jeńców? I to żołnierzy? Czy możliwe, żebyś w ogóle rozważał coś podobnego?

— Nie rozważałem, no skądże... tak tylko... — odparł szczerze, choć nieporadnie.

Nawet nie bardzo słuchała. Znów się podniosła.

— Sama służyłam w legii! — powiedziała z narastającą złością. — Zresztą kto miałby to zrobić? Zabrałeś z sobą kata?

Odwróciła się i odeszła wściekła, poszukać jakiejś spódnicy w bagażach rozbójników.

7.

Po śmierci całej starszyny gwardyjskiego oddziału, komenda należała do dziesiątnika Mavedera. Co prawda, nie bardzo miał kim dowodzić. Z trzydziestu dwóch ludzi, jacy wyruszyli z Grombu i Badoru, pozostała ledwie czwarta część — w tym kilku poważnie, lub zgoła śmiertelnie rannych. Nie wszystkich nawet wiązano.

Nie będąc wcale skłonny do snucia filozoficznych rozważań,

Maveder (którego — trzeba trafu — ułożono akurat obok dowódczyni zbójckiego oddziału) nie miał nic lepszego do roboty, jak dumanie nad krzywymi uśmiechami losu. Narastała w nim wściekłość, po części pobudzana bólem ranionego boku, głównie zaś — postawą dowódcy armektańskiego pocztu. Wiedząc już o fatalnej pomyłce, której ofiarami padli on i jego towarzysze, Maveder dobrze rozumiał sytuację dowódcy łuczników; jednocześnie jednak zachodził w głowę, na co jeszcze czeka ten człowiek? Wbrew pozorom, podobne nieporozumienia w Ciężkich Górach nie były czymś aż wyjątkowym — chociaż prawdę mówiąc Maveder nie słyszał, by którekolwiek skończyło się tak krwawo. Ale uparte trzymanie żołnierzy jako jeńców w żaden sposób nie mogło poprawić sytuacji Armektańczyków.

Wszyscy pojmani, oprócz najciężej rannych, zarówno rozbójnicy jak i żołnierze, trzymani byli w odległości jakichś czterdziestu kroków od obozu. Pilnowało ich dwóch ludzi, milczących i niezadowolonych ze swej funkcji. Maveder, będąc dziesiątnikiem, musiał kiedyś nauczyć się Kinenu — uproszczonego armektańskiego; teraz próbował skłonić wartowników, by przywiedli swego dowódcę. Nic z tego jednak nie wyszło. Strażnicy zachowali się tak, jak powinni się zachować pełniący służbę żołnierze — co dziesiątnik zmuszony był sam przed sobą przyznać. Jeden powiedział mu:

— Nie możemy odejść stąd, panie. Skoro dowódca wyznaczył nas dwóch do tej służby, to znaczy, że tyłu jest tu stale potrzebnych. Dowódca wie, że leżysz tu, panie. Gdy uzna, że trzeba przyjść, to przyjdzie.

Maveder sklął go głośno — i pochwalił w duchu.

Ku swojemu zdziwieniu usłyszał, jak leżąca obok rozbójniczka, kalecząc mocno Kinen, mówi to, co on sam pomyślał:

— Dobry żołnierz.

Po czym zwróciła się wprost do Mavedera, już po grombelardzku:

— Powiedz legionisto, dlaczego tacy dobrzy wojownicy wyrzynają się wzajemnie, zamiast wspólnie wymieść z Szereru wszystkich ścierwojadów i tchórzów?

Nie odpowiedział. Ale po chwili, prawie bezwiednie, skinął głową. Już raz i drugi, kiedyś, sam sobie zadał to pytanie.

Ból w ranie zaczął pulsować i dziesiątnik zacisnął zęby. Zamarzył o

wódce, którą miał w bukłaku — i znów wróciła wściekłość. Oddałby żołd za kilka tęgich łyków.

Nagły ruch w obozie nie uszedł uwagi jeńców — w żaden jednak sposób nie mogli się domyśleć, że przyczyną wzmożonej krzątaniny jest przybycie Łowczyni z rannym kocurem na plecach. Potem znów wszystko się uspokoiło.

Maveder z ukosa spojrział na dziewczynę. Była bardzo młoda i ładna, co zauważył już wcześniej. Głowę, mocno rozbitą, przechyliła na bok, tak by lekka mżawka, wzmagająca się niespiesznie, chłodziła ranę. Wiedział już — bo ustalono to natychmiast po potyczce z rozbójnikami — że to ona właśnie przewodziła grupie, pod nieobecność Kobala. W jaki sposób to dziecko uzyskało tak wysoką pozycję w oddziale?

Mavederowi płacono za ściganie zbójów. Ale, jak każdy żołnierz grombelardzki, nie wszystkim traktował jednakowo. Oficer takiego Basergora-Kragdoba nie był, w oczach badorskiego legionisty, pierwszym lepszym rzezimieszkiem. Dziesiętnikowi zrobiło się jakoś... dziwnie, gdy nagle dotarło do niego, że już wkrótce po uwolnieniu będzie przesłuchiwał tę, leżącą teraz w pętach jak i on rozbójniczkę, obdzierając ją żywcem ze skóry.

Myśli dziewczyny, zdawało się, biegły w podobnym kierunku. Z zamkniętymi oczami, bo deszcz padał już mocno i grube krople ciekły jej po twarzy, powiedziała:

— Słyszałam, jeszcze w nocy, że wiecie kto nas prowadzi. Bój się, legionisto. On wróci. A gdy wróci, to zaraz potem będę wolna, a wtedy wyjmę i pokażę ci twoje własne flaki. Za moich zwiadowców.

Tym razem odpowiedział:

— Widziałem już swoje flaki. Pod Rahgarem, trzy lata temu.

Leżeli dalej w milczeniu.

*

Żywotność kocura była zaiste zdumiewająca: ocknął się niedługo i pytał o swoich rozbójników; uważnie wysłuchał historii o porannej walce; wkrótce potem wypił trochę wody i zjadł porcję wędzonki. Ledwie skończył — zażądał rozmowy z Ovetenem. Armektańczyka zdumiewał sposób bycia tego herszta zbójców, najwyraźniej świetnie czującego się wśród ludzi, których ścigał na czele zbrojnej gromady i którzy o tym wiedzieli. O swoje życie najwyraźniej wcale się nie obawiał.

Jednak rodowe monogramy przed imieniem tego gadba wywierały olbrzymie wrażenie. Oveten pamiętał ledwie kilka, może kilkanaście, równie znanych nazwisk. Bo też owo nazwisko było w istocie czymś więcej, miało znaczenie sztandaru. Przodkowie L.S.I.Rbita kierowali ponoć słynnym Kocim Powstaniem — i wzięli swoją pozycję z rąk samego imperatora, jako potwierdzenie wywalczonych praw. Ovetenowi z trudem mieściło się w głowie, że ostatni chyba, a na pewno jedyny znany potomek tego rycerskiego rodu, bawi się w wodza grombelardzkich oprychów.

A jednak. W Armekcie, szczególnie zaś w Rinie i Rapie, dobrze znano koty. Było najzupełniej wykluczone, by ten tutaj posługiwał się fałszywym imieniem. Koty nie kłamały, z tej prostej przyczyny, że wymyślenie najprostszego kłamstwa przekraczało możliwości zdrowego kociego umysłu... Ale Rbit na pewno nie był kocim pomyłkiem; gdyby chciał zataić swą tożsamość, posługiwałby się najwyżej samym swoim imieniem, dość zresztą popularnym w Armekcie. Skoro podawał monogramy rodowe — to znaczyło, że miał do nich prawo. Z tego powodu — żołnierze niebiesko-żółtego pocztu odnosili się do ранnego kocura z dużym szacunkiem, choć bez uniżoności, ich dowódca zaś gotów był rozmawiać jak równy z równym. Szybko jednak okazało się, że nie bardzo jest to możliwe.

— Posłuchaj mnie, wasza godność — rzekł kot, przerywając Armektańczykowi w pół słowa — pozostawmy moje nazwisko w spokoju. Tu są Ciężkie Góry, a w górach nazwiska, o których myślisz, nie bardzo się liczą. Noszę pewien przydomek, i prawda o mnie zawarta jest nie w monogramach rodowych, ale w tym przydomku. Pomyśl więc o mnie raczej jako o jednym z władców Grombelardu, o sobie zaś jako o wodzu dwudziestu idących po łupy awanturników, któremu winien jestem wdzięczność za posiłek i opatrunek. To nam ukaże właściwe w tej rozmowie proporcje.

Oveten spłoszował.

— Z tej pozycji patrząc — dodał Rbit — Łowczyni jest dla mnie najważniejszą w tym obozie osobą. Chcę by była przy naszej rozmowie. Nie znieważam cię, armektański wojownik. Przedstawiłem porządek rzeczy, więc najlepiej pogódź się z tym.

— Nie będę rozmawiał w ten sposób — rzekł Oveten.

— Czy fakty ci ubliżają? Czego więc szukasz w tych górach? Może należało zostać tam, gdzie twoja pozycja nie budziła żadnych wątpliwości?

Oveten patrzył w milczeniu.

Rozmowa trochę jednak zmęczyła kocura. Przymknął ślepie, układając się wygodniej na płaszczu, który mu podłożono.

— Czy wysłuchasz mojej oferty? — zapytał nie otwierając oczu. — Ty uwolnisz moich podkomendnych, ja zaś nie tylko, że pozostawię cię w spokoju, ale jeszcze tutaj pomogę zdobyć to, po co chciałeś iść aż do Obszaru. Potem podzielimy się i jeśli nie jesteś wyjątkowym chciwcem, to raczej nie dojdzie do bójk przy podziale zdobyczy.

Armektańczyk zdumiał się.

— Na Szerń... Co ma oznaczać ta „oferta”?

— Prosiłem o obecność Łowczyni — rzekł ze znużeniem kot. — Boję się, że jest przy tej rozmowie niezbędna. Powiedz, wasza godność — żółte ślepie załśniły na powrót — dlaczego koniecznie chcesz mi udowodnić, że twoja duma jest większa, niż twój rozum?

Oveten siedział jeszcze przez chwilę, po czym podniósł się i odszedł. Powrócił wkrótce, prowadząc przewodniczkę.

— Niedaleko stąd — powiedział bez wstępów Rbit wyciągając, na widok dziewczyny, łapę w Pozdrowieniu Nocy — jest miejsce Shergardów, gdzie znalazłem sporo Przedmiotów. Domyślasz się Łowczyni, o jakim miejscu mówię?

Zmarszczyła brwi i krótko skinęła głową.

— Ja jednak się nie domyślam — oświadczył sucho Oveten.

Rbit zwrócił ślepie ku niemu.

— Przecież ona jest twoją przewodniczką? Zaprowadzi cię tam, wasza godność, tak czy nie?

Armektańczyk przygryzł wargę.

— Tam trzeba walczyć — podjął kot. — I nie z ludźmi, a raczej: nie tylko z ludźmi. Połączywszy siły, na pewno zwyciężymy. Może warto? Tym bardziej, że przez Przełęcz i Dno Morza nie dojdziecie do Obszaru.

— A to dlaczego?

— Dno Morza jest teraz dnem morza... Ściana Wody runęła. Myślę, że ledwie parę dni temu.

Nie uwierzyli.

— Co to za bzdura? — rzekła wreszcie kobieta.

— Panuj nad językiem, Łowczyni — łagodnie upomniał ją kot.

Ale tym razem Oveten okazał się przytomniejszy. Choć wieść była nieprawdopodobna, to jednak Armektańczyk nie widział jeszcze w swoim życiu kota, który rzucałby słowa na wiatr.

— Może mylisz się? — rzekł z naciskiem. — Wierzę, kocie, w twoją szczerość. Ale czy sprawdziłeś, że naprawdę jest tak, jak mówisz? Może... ktoś cię oszukał?

Rozbójnik docenił starania mężczyzny, ostrożnie dobierającego słowa, by nie zarzucić kotu kłamstwa.

— Nie, panie. Jeśli pytasz, czy widziałem morze w dolinie, to nie, nie widziałem. A jednak bez żadnej wątpliwości wiem, że tak jest. Nie potrafię tego wyjaśnić. Noszę Porzucony Przedmiot, mający swoje kaprysy... niekiedy. W sprawach dotyczących Szerni i jej spraw mówi do was moje Srebrne Pióro, ja tylko wydaję dźwięki, których nie rozumiem — skwitował z cierpkim humorem. — Za rok, albo dwa lata, tutaj, na Przełęczy Mgieł, będzie granica Obszaru, wiem na pewno. Te opary szybko gęstnieją, a już teraz siedzą tu geh-egy. Strażnicy Obszaru, walczyłem z jednym z nich — wyjaśnił, bo Armektańczyk spoglądał pytająco.

— Geh-egy nie są bardzo groźne, ale żywotne — powiedziała Łowczyni, dając znak Rbitowi, by pozwolił jej wytłumaczyć. — Żywotne, o ile można tak nazwać coś, co nie ma ciała, krwi ani mózgu i jest ruszającą się strugą czarnego piasku nafaszerowaną ostrymi jak zęby skałami. Można je zabić, albo raczej... no, rozsypać, rozrzucić ten piach na wszystkie strony, on się już nie zbierze z powrotem. Tylko że zanim to się uda... — wymownym gestem pokazała poszarpaną kolczugę Rbita. — A mówię że są żywotne, bo geh-egy jako jedyni Strażnicy mogą wydostawać się z Obszaru i nie umierają od tego.

Oveten chciał powiedzieć, że nie spotkał w Kraju nic takiego, ale ugryzł się w język. Nikt nie musiał wiedzieć, że był już kiedyś w Obszarze.

— Są tam ludzie Hageny, ale odebrano im wolę — rzekł znów Rbit, zwracając się do Łowczyni. — Wiąże ich chyba Formuła Posłuszeństwa, czy tak to się nazywa?

Wzruszyła ramionami.

— Wiem o tych cudach tyle, co i ty, albo mniej, bo nie noszę Pióra i nic mi się nie objawia — oznajmiła. — Geh-egy kiedyś widziałam i pytałam o nie Dorlana, stąd cała moja wiedza i mądrość. O Formułach nic nie chcę wiedzieć.

Oveten zamyślił się. Bez względu na to, jak chaotyczna stawała się rozmowa, nie należało już wątpić, że Rbit powiedział prawdę o morskiej wodzie w dolinie. Oznaczało to, że wszystkie plany wzięły w łeb. Mógł wracać.

— Wyjaśnij mi to, Rbit — zażądała nagle przewodniczka, przypomniawszy sobie o tym samym, co Oveten. — Morze? Jakim cudem? Ściana Wody była tam od zawsze! Co mówi przez ciebie twoje Pióro?

— Łowczyni, czy ty wzięłaś to dosłownie?

— No... nie. Ale wyjaśnij mi.

Kocur znowu przymknął ślepie.

— Oto ludzie — rzekł cierpko. — Stała się rzecz nieodwracalna. Zamiast uznać ją i działać w nowych warunkach, lepiej zadać najważniejsze i najmędrsze ze wszystkich pytań: „Dlaczego?”.

Armektanka zdenerwowała się.

— Oto kot — powiedziała tym samym tonem, co rozbójnik. — Zamiast odpowiedzieć krótko na zadane pytanie, będzie biadał, że ludzie są inni, niż on!

Nieoczekiwanie — rozbawiła go.

— Dobrze, Łowczyni — rzekł po krótkiej chwili. — Nigdy nie zaprzętałam sobie głowy próżnymi dociekaniem. Ale dobrze, spróbuję dziś myśleć jak człowiek. Będziemy dociekać dlaczego woda, która dotąd stała, teraz leży jak każda inna. Dociekajmy.

Nawet nie próbował ukryć sarkazmu.

— Powiedziałbym — kontynuował po chwili — że w dolinie pojawiło się coś, co rozproszyło moc utrzymującą Ścianę. Ale skąd wzięły się Przedmioty w starej twierdzy, ani dlaczego są tam Strażnicy, nie wiem i nie domyślam się.

— Te Porzucone Przedmioty o których mówisz, kocie — zagadnął nagle Oveten. — Jakie są?

Rbit popatrzył z uwagą.

— Pytanie wcale nie jest od rzeczy... Dość niezwykle, prawda. Same

Geerkoto. Prawie same Pióra. Nie podejmuję się oszacować, jaką to wartość przedstawia. Ogromną.

Twarz dowódcy Armektańczyków pomroczyła jeszcze bardziej niż dotąd.

— A gdyby — indagował z wymuszonym spokojem — te Przedmioty leżały kiedyś w dolinie, niedaleko Ściany Wody?

Armektanka zaczęła pojmować, o czym myśli Oveten.

— Nie jestem Przyjętym, wasza godność — powiedział kot, coraz bardziej znudzony upartym drażeniem tematu. — Wiem, że w Obszarze Przedmioty przywabiają Strażników. Może mogłyby przywabić ich także leżąc tuż poza jego granicami. Jest ich dużo, więc chyba wołają potężnie... Czy to były twoje Przedmioty?

Zaległo długie milczenie.

— Tak — padła wreszcie odpowiedź. — Ukryłem je w dolinie. Nie wiem, skąd się wzięły w miejscu, o którym mówisz, ale skoro przywołały Strażników, to wiele wyjaśnia.

— Tak — potwierdził Rbit, nie kryjąc wcale ulgi; dla niego Armektańczyk mógł wyciągnąć wnioski jakiegokolwiek, byleby je wreszcie wyciągnął i koniec. — Czy wiemy już wszystko? Więc rozważ wreszcie panie moją ofertę. I pozwól mi chwilę odpocząć.

Oveten próbował zebrać myśli. Niespodziewanie z pomocą przyszła mu przewodniczka.

— Rzecz w tym — powiedziała pozornie bez związku — że z zachodu na wschód wiedzie przez Góry bardzo niewiele szlaków. Po prostu nie da się iść tam, gdzie się nie da... Pojedynczy człowiek, świetnie obeznany z tajnikami wspinaczki, objuczony kilkusetłokciową liną, przejdzie oczywiście wszędzie, albo prawie wszędzie. Ale oddział? Twój ludzie panie, pomijając oczywiście rannych, to silni i wytrzymali mężczyźni, wątpię jednak, by więcej jak połowa z nich przeżyła takie igranie z górami. A jeszcze ranni... Tu nie chodzi nawet o wspinaczkę. Jeśli chciałbyś teraz — zaakcentowała — przejść na najbliższy szlak wiodący do Obszaru, to porwiesz się na rzecz niemożliwą. Dwa dni temu, gdy doradzałam, żeby tak zrobić, owszem. Ale teraz, gdy zginęło już sześću twoich ludzi, a ośmiu masz rannych, nie widzę jak i po co mielibyśmy pchać się dalej. Pozostaje ci, wasza godność, wrócić do Badoru, a stamtąd do Grombu, albo lepiej prosto do Armektu.

Oveten z rozdrażnieniem zacisnął usta.

— Przedstaw mi szerzej swą ofertę, panie — rzekł do Rbita, starając się zapanować nad sobą. — Albo lepiej, propozycję wykupienia się z niewoli, bo skoro tak kochasz fakty, to trzymajmy się ich.

Zmęczony kocur wypowiadał się oszczędnie i zwięźle. Łowczyni obszerniej wyjaśniła te rzeczy, które szczególnie obchodziły Ovetena. Armektańczyk zresztą nie zadawał wielu pytań, poprzestając na uważnym słuchaniu.

Strażników skarbcza było — jak twierdził Rbit — raczej niedużo; sam widział tylko dwóch, choć nie dało się wykluczyć, że w fortecy siedziało ich więcej. Było to jednak niezbyt prawdopodobne, jeśli zważyć, że do pomocy użyto ludzi Wer-Hagena. I to oni, zdaniem Rbita, stanowili główne zagrożenie. Kocur utrzymywał, że w tej chwili nadarza się może jedyna okazja pokonania Strażników; Oveten (który w końcu wyjawiał, że Zły Kraj widział i poznał) przyznał rację temu rozumowaniu. Zdawało się oczywiste, że za rok, a może już tylko za miesiąc czy dwa, Porzucone Przedmioty z przełęczą albo wrócą na Czarne Wybrzeże, albo też, gdy okrzepnie nowa granica Obszaru i czas spowolni swój bieg, będą strzeżone przez tak potężne siły, że zadarcie z nimi stanie się zbyt ryzykowne.

Rbit czekał na deklarację Ovetena. Ten jednak milczał, pogrążony w ponurych rozważaniach. Wreszcie spojrzął na przewodniczkę. Myśleli o tym samym.

— Gwardziści — rzekli prawie jednocześnie.

Rbit czekał, obserwując armektańską parę. Gdy milczenie przedłużało się, powiedział:

— Oto problem nie do rozwiązania.

Wyraźnie usłyszeli kpinę w jego słowach. Oveten już miał na końcu języka jakąś ostrą odpowiedź, gdy kocur — już bez cienia szyderstwa — rzekł:

— A przecież w Armekcie istnieje pewna stara tradycja, która może być bardzo pomocna.

Jego rozmówcy wymienili zaskoczone spojrzenia.

— Mówię o Wyroku Niepojętej — wyjaśnił cierpliwie, wciąż z głęboką powagą.

Przewodniczka lekko rozchyliła usta.

Mężczyzna siedział oniemiały.

W tym niezwykłym dniu, kiedy dokonało się tyle niemożliwych do przewidzenia rzeczy, kiedy powiedziano tyle niezwykłych słów, zdarzyło się coś daleko bardziej niezwykłego: oto grombelardzki kot-rozbójnik przypominał Armektance i Armektańczykowi o wojennych tradycjach ich narodu... Dla córki i syna Wielkich Równin, nic nie mogło być bardziej zaskakujące — i zawstydzające.

Niepojęta Arilora: Pani Wojna, Los Wojenny, ale też: Śmierć. Przebogaty armektański język miał sto słów na określenie tych rzeczy. Ale Arilora — było to imię opiekuńcze dla konających i żołnierzy. Słowo, które wypowiedzieć mógł tylko idący do bitwy wojownik, lub człowiek na łożu śmierci. Zawsze z najwyższym szacunkiem.

Ten zdumiewający kocur — rycerz i rozbójnik — nie tylko znał i rozumiał armektańską tradycję, ale potrafił o niej powiedzieć tak, że surowi w sprawach swych zwyczajów i zasad Armektańczycy nie znaleźli najmniejszego uchybienia.

— Zawstydziłeś mnie, wasza godność — rzekł poważnie Oveten.

Łowczyni skinęła tylko głową na znak, że czuje to samo.

Rbit milczał. Dopiero po długiej chwili powiedział:

— Dowódca gwardzistów może walczyć z moją zastępczynią. Z oczywistych powodów, ja sam nie mogę stanąć do walki. Podporządkuję się jednak jej wynikowi. Jeśli wygra żołnierz, uwolnisz go, panie, razem z jego ludźmi, a ja i wszyscy moi podkomendni zostaniemy jego jeńcami. Jeśli wygra moja zastępczyni, stanie się odwrotnie. Do walki jednak może dojść tylko wtedy, jeśli oboje wyrażą na to zgodę. Tak chce tradycja, a tylko zadośćuczynienie wszystkim jej wymogom może sprawić, że będzie to wyjście sprawiedliwe i honorowe.

Przytaknęli.

— Chodźmy do nich — powiedział Oveten.

Przywołał dwóch ludzi. Żołnierze ujęli płaszcz, na którym leżał Rbit i ponieśli kota śladem Ovetena i przewodniczki.

Na widok rannego Rbita Kaga rzuciła się na ziemi, desperacko usiłując powstać. Na dziewczęcej twarzy zagrały rozmaite uczucia: rozpacz, przerażenie, niedowierzanie i wściekłość kolejno brały górę.

— Rbit — powiedziała prawie z płaczem. — W jaki sposób...

— Wszystko dobrze, siostró — przerwał jej z takim spokojem, że

dziewczyna zamilkła, chwyciwszy spazmatycznie powietrze. W jej oczach zalśniło sto pytań, lecz milczała.

Dziesiątnik spoglądał chmurnie, zachowując niewzruszony spokój.

— Istnieje armektański obyczaj wojenny, który stał się prawem — powiedział bez wstępów Oveten, po czym w zwięzłych i oszczędnych słowach wyjaśnił, o co chodzi.

Na twarzy rozbójniczki odmalowało się niedowierzanie, a potem ogromna ulga. Żołnierz wciąż leżał z nieprzeniknioną twarzą.

— Wiedziałam! — zawołała dziewczyna, znów ze łzami w oczach. — Wiedziałam, Rbit, że z tobą nic nam nie grozi!

— Potwierdź panie warunki tej walki — zażądał niespodziewanie Maveder, zwracając się do Rbita. — Jeśli wygram, zostaniesz moim jeńcem?

— Tak, żołnierzu.

— Słowo kota — przypieczętował dziesiątnik. — Nic mi więcej nie trzeba, przystaję.

Straciwszy na moment swoje opanowanie, uśmiechnął się prawie, spoglądając na leżącą obok rozbójniczkę. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Oboje z ulgą.

8.

Dzień miał się ku końcowi, gdy żołnierz i rozbójniczka zakończyli przygotowania. Rany opatrzone im starannie; rozbita głowa dziewczyny nie była większym problemem; gorzej miała się sprawa z bokiem Mavedera — rana, choć niegroźna dla życia, była bardzo bolesna i zaczynała krwawić przy każdym gwałtownym ruchu. Jednak legionista nie przejmował się tym zbyt.

Ustalono reguły pojedynku, potem przeciwnicy uzbroili się, każde według swej woli i chęci. Nie umawiając się, wybrali to samo: wzięli kusze, miecze i noże. Żołnierz pozostawił hełm, uznając go za niepotrzebny.

Powiadomiono wszystkich jeńców o mającej się odbyć walce i jej celu, po czym zapytano, czy wyrażają zgodę, by przywódcy walczyli o ich życie. Była to czcza formalność, ale armektańska tradycja rządziła się

swoimi prawami. Potem Maveder i Kaga stanęli przed Ovetenem.

— Zanim zaczniecie, chcę coś powiedzieć — rzekł Armektańczyk. — Szczególnie tobie, żołnierzu. Zły los zapragnął, by nasze drogi skrzyżowały się w ten sposób. Po stokroć wolałbym walczyć razem z tobą, a nie przeciw tobie. Stało się. Nic już nie można zmienić.

Dziesiątnik milczał. Po chwili jednak skinął głową.

— Nie jestem mówcą panie — powiedział bardziej szorstko chyba, niż zamierzał. — Powiem tylko, że nie chowam urazy. Sprawiedliwość kazała zwrócić nam wolność bez żadnych warunków. Zrobiłeś inaczej i nie wiem, czy jest to sprawiedliwe. A jednak to dzięki temu mam teraz szansę pojmania największego rozbójnika Ciężkich Gór, co inaczej nie mogłoby się udać. Mnie to wystarcza.

Zmarszczył brwi.

— Każdy ma wielką chwilę w swoim życiu. Moja nadeszła teraz, bo jeśli mi się uda, to moje imię będzie w tym kraju nieśmiertelne. Dzięki tobie panie. Ale wdzięczny ci jestem tylko w swoim imieniu, bo jeżeli zginę, to moi ludzie pójdą pod nóż. Im nie dałeś szansy walki o życie, a ja mogę zawieść. Pojednaj się z nimi, nie ze mną.

— Zrób to — wtrąciła rozbójniczka, po swojemu kalecząc Kinen. — Bo potem będzie za późno.

Oveten spojrzał jej w oczy.

— Życzę ci śmierci — powiedział — choć nie leży to w moim interesie. Nie jesteś warta, by walczyć z cesarskim żołnierzem o cokolwiek.

Pokazał na dłoni srebrną monetę, po czym położył ją na płaskim kamieniu, wy dobył miecz i przeciął jednym uderzeniem. Połówki prysnęły na boki.

— Odszukajcie je — polecił.

Poszli za wezwaniem.

— Najpóźniej jutro rano — rzekł, chowając miecz — jedno z was przyniesie mi obie połówki tej monety. Teraz idźcie.

Przeciwnicy raz jeszcze zmierzyl się wzrokiem; dziewczyna uniosła kuszę, palcami drugiej ręki robiąc ruch, jakby zwalniała mechanizm spustowy broni. Potem odwróciła się i odeszła w mrok. Żołnierz ruszył w przeciwnym kierunku.

Łowczyni i Rbit siedzieli razem, w milczeniu. Badorski legionista był

przy rozbójnicze prawdziwym olbrzymem, jednak Armektanka lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że w tego rodzaju walce wzrost i siła nie mają wielkiego znaczenia. Pocisk, szczególnie wystrzelony z broni tak potężnej jak kusza, nie czuł przed mięśniami żadnego respektu. Inna rzecz, gdyby dojsć miało do walki wręcz. Było to jednak mało prawdopodobne.

Kocur leżał na boku, z doskonałą obojętnością czekając na wynik pojedynku. Przewodniczka sądziła jednak, że to tylko pozór. Wszystko jedno, jak bardzo ufał swojej podkomendnej, grano tutaj o jego życie. Nawet kot gadba miał je tylko jedno.

Podszedł do nich Oveten.

— Już chyba północ — powiedział, siadając przy milczącej dwójce.

— Prawie.

Jak dotąd, nikt w obozie nie zasnął. Ludzie Ovetena, choć w końcu to nie o ich los chodziło, byli zbyt podnieceni, by udać się na spoczynek. Siedzieli w większych i mniejszych grupkach, rozmawiając. Oceniano szanse walczących i powszechnie stawiano na dziesiętnika, choć wcale nie lekceważono małej rozbójniczki. Armektańscy łucznicy widzieli w życiu niejedno, a zresztą nie byli głupi... To jasne, że taka ślicznotka nie została komendantką sporego oddziału dla swoich zielonych oczu. Pomimo młodego wieku, musiała mieć jakieś cechy, które imponowały twardym wojownikom gór.

Wreszcie jednak, gdy czas płynął, a wokół nic się nie działo, ten i ów odszedł na bok, by znaleźć schronienie przed dokuczliwym wiatrem, po czym, otulony płaszczem, zasypiał. Ci, co czuwali dalej, milkli.

Nic już nie było do powiedzenia.

Oveten także zapadł w drzemkę. Wyrwał się z niej raz i drugi, wreszcie ocknął na dobre. Jął przepatrywać niebo, ale był w Grombelardzie, nie w Armekcie... Nic mu nie podpowiadało, jaka jest pora nocy.

— Niedługo świt — rzekł leniwie kocur, widząc że Armektańczyk nie zdoła tego ocenić.

Mężczyzna przetarł twarz dłońmi. Przez chwilę myślał o niezwykłym kocim wojowniku, który, ciężko poraniony, nie poskarżył się dotąd nawet słowem, choć musiał odczuwać nieustanny ból; mało tego, znajdował siły, by czuć przez całą noc. Rozejrzawszy się, odszukał w

mroku kontur ciała śpiącej przewodniczki, po czym zapytał niegłęboko:

— Dlaczego trwa to tak długo? Zaczynam sądzić, panie, że twoja młoda przyjaciółka wzięła nogi za pas...

Oczy kota zalśniły w ciemnościach.

— Mów takie rzeczy ciszej, wasza godność. Nie możesz mieć żadnej pewności, czy nie stoi tutaj, za tą skałą. Nie, nie stoi, bo gdyby stała, oglądałbyś właśnie bełt tkwiący w piersi... Zrzucić możesz jej wszystko, tylko nie kłamstwo i tchórzostwo. Za takie słowa nawet ludzie gotowi są czasem zabić. Cóż dopiero grombelardzka kocica.

— Co przez to rozumiesz, panie?

— To co powiedziałem. Rodzą się czasem mężczyźni, obdarzeni naturą kobiet, bywa też odwrotnie, czy nie tak, wasza godność? Ale rodzą się też ludzie, mający duszę kota. Ta dziewczyna to kot, jest nim tak samo, jak ja.

Oveten milczał.

— Jeśli chcesz — mówił Rbit — opowiem ci przebieg tej walki w ciemnościach. Kaga robi dokładnie to samo, co ja bym zrobił, będąc na jej miejscu. Przede wszystkim, jest cierpliwa.

Mężczyzna słuchał uważnie.

— Gdzieś w tym mroku — kontynuował kocur — krąży mężczyzna z kuszą w dłoni, mający się za doświadczonego zwiadowcę. Według oceny, jaką ty byś mu wydał, jest mistrzem podchodów. Dwukrotnie już przekradł się przez ten obóz. Nikt poza mną nie widział go i nie słyszał, bo widzieć ani słyszeć nie mógł. Tak było, zapewniam — dorzucił, widząc zaskoczenie Armektańczyka. — Był ostrożny, uważny i czujny, ale zdezorientowany i bardzo zmęczony. Mocno doskwiera mu rana.

Oveten przełknął ślinę.

— Kaga idzie wciąż za nim, krąży i nie pozwala odpocząć, bo gdy żołnierz siada gdzieś na chwilę, natychmiast opodal pada rzucony kamień, czasem szczeka żelazo. To go zmusza, by ruszył dalej. Stale jest czujny i spięty. To już trwa prawie całą noc. Kaga boi się niepotrzebnego ryzyka, podjęłaby je pewnie, gdyby chodziło tylko o nią. Ale cokolwiek myślisz na jej temat, panie, ta mała kobieta oddałaby życie za ludzi, których jej powierzono. Teraz mogłaby strzelić już dawno, ale ciemności nie pozwoliłyby dokładnie ocenić efektu. Poczekaj więc do świtu, gdy jej przeciwnik będzie otępiały ze znużenia. Pokaże mu się wtedy, a on,

szczęśliwy że ją widzi, od razu strzeli, nie chcąc marnować upragnionej okazji. Podniecony i wyczerpany, na pewno nie trafi. Kusza to broń wolna w ładowaniu. Kaga podejdzie więc blisko, a gdyby próbował uciec, ukryć się i zyskać na czasie, dogoni go, bo jest młodsza i zwinniejsza. Strzeli z takiej odległości, jaką uzna za pewną. Może pięć lub sześć kroków?

Oveten wciąż milczał.

— Gdybym to ja walczył zamiast niej — dodał jeszcze kot — tak samo najpierw zmęczyłbym przeciwnika. Potem wyrwałbym mu oczy. Albo, w dogodnym momencie, podciął nogi lub skoczył i zepchnął w jakąś dziurę, żeby skręcił kark, mógłbym zresztą próbować wiele razy, aż do skutku. Może udałoby mi się poszarpać mu żyły? Kaga jednak nie potrafi chodzić dość cicho i gorzej niż ja widzi w nocy, nie wspominając o słuchu. Dlatego zakończy rzecz inaczej.

— Opowiadasz mi o egzekucji, nie o pojedynku.

— Nie było tu żadnego oszustwa, wasza godność. Oboje przyjęli warunki tej walki, a każde liczyło na swoje umiejętności. Ale to prawda, że moja zastępczyni od zawsze, bo od dziecka, wraz z kocimi przyjaciółmi podchodziła ludzi. Wyłącznie w nocy... I chociaż nie słyszy tak, jak kot, to jednak polega na słuchu daleko bardziej niż ludzie. Wbrew temu, co się mówi i myśli, koty lepiej słyszą niż widzą, wasza godność. Słuch mówi mi więcej niż oczy. Może kiedyś wiedza o tym pozwoli ci zachować życie, panie, więc zapamiętaj, co powiedziałem, bo nie jestem dziś twoim wrogiem.

Kropiący od paru chwil deszcz zmienił się w zwykłą poranną ulewę. Śpiąca dotąd twardo Armektanka obudziła się i usiadła. Spojrzała na wschód, gdzie niebo przybierało z wolna szarą barwę.

— Świt — wymruczała niewyraźnie, przeciągając się, aż chrupnęły stawy.

W tej samej chwili, z miejsca gdzie trzymano jeńców, dobiegł przeraźliwy okrzyk. Wszyscy w obozie poderwali się na nogi.

— Idź tam panie! — rzekł Rbit, tracąc nagle swój spokój. — No, idź! Zdaje się, że twoi wartownicy posnęli.

Oveten ruszył biegiem, potykając się w rzednących ciemnościach. Łowczyni zdołała go wyprzedzić.

Związanych żołnierzy pozarzynano. Wszystkich bez wyjątku, także

rannych.

— Wasza... godność! — jeden z trzymających straż ludzi bełkotał przerażony, nieomal bliski płaczu. — My... Wasza godność, myśmy zdrzemnęli się... krótko, może chwila!

Oveten nie zapanował nad wybuchem wściekłości; wyrwał miecz i zdawało się, że zabije nieuważnych strażników, ale zgrzytając zębami, zamachnął się, chcąc tłuc płazem. Przewodniczka, wstrząśnięta jak wszyscy, ale lepiej panująca nad sobą, pochwyciła go za rękę i odciągnęła na bok, dając popis nieoczekiwanej siły.

— Przestań! — powiedziała. — Słyszysz mnie?

Oveten dyszał ciężko. Za jego plecami żołnierze w milczeniu spoglądali po sobie. Pochmurny ranek przydał ich bladym twarzom odcień szarości. Armektański dowódca odwrócił się nagle, wyrrywając z uścisku Łowczyni, i podążył ku miejscu, gdzie leżał Rbit.

— Ty! — mówił już z daleka, urywanym głosem. — Ty mi podsunąłeś... ten pomysł! Na Szerń! A ja chciałem tradycje swego kraju... Komu? Zbójcom, mordercom, skrytobójcom... Bądź przeklęty, kocie!

Nagle stanął jak wryty.

— Połówki twojej monety, łuczniku. Obie — rzekła wrogo dziewczyna.

Pod nogi Ovetena upadły dwa drobne przedmioty.

— Sprawdź czy pasują — dorzuciła pogardliwie. — Jeńcy byli moi, więc zrobiłam z nimi, co chciałam. A czego żeś się spodziewał? Że opatrzę i wyposażę?

Postąpił krok naprzód. Uniosła kuszę z nałożonym bełtem.

— Zabiję! — ostrzegła. — Czego chcesz ode mnie? To nie ja wymyśliłam tę walkę.

— I nie ja — rzekł chrapliwie.

— Przedstawiłeś mi reguły i przeciąłeś na pół monetę. Ty, nikt inny. Teraz oddaj wolność moim ludziom. Żołnierz leży tam — wskazała ręką kierunek. — Może jeszcze żyje. Zapytaj go, czy wygrałam uczciwie, pozwalałam!

Oveten krzyknął na swoich ludzi.

Wkrótce odnaleziono Mavedera. Konał.

Otoczono go kołem. W brzuchu tkwił miecz; legionista zaciskał na nim dłonie, kalecząc je o głownię. Spod obojczyka sterczał grot ciężkiego

bełtu, który przeszedł na wylot przez łopatkę. Znaczyło to, że rozbójniczka strzeliła dziesiętnikowi w plecy. Lecz Oveten miał tym razem dość rozumu, by nie czynić z tego zarzutu.

Leżący zobaczył i poznał Kagę, gdy przyklęła nad nim. Poruszył głową i wolno wypluł z ust krew.

— Czemu.. tacy dobrzy wojownicy... — szepnął charkotliwie. — Nawzajem...

Nieznacznie przesunął rękę. Położyła na niej swoją i skinęła głową.

9.

Padało.

Było wczesne popołudnie, gdy na ostrej grani górskiego grzbietu pojawił się oddział, złożony z kilkunastu ludzi. Oprócz broni i zwykłego ekwipunku, prawie wszyscy mieli nieduże zawiniątka, niesione z jakąś szczególną ostrożnością.

Po chwili do oddziału dołączyła jeszcze jedna istota: potężny gadba, poruszający się dość ociężale, jak na kota. Utykał mocno na tylną łapę.

— I to wszystko — rzekła przewodniczka, siadając na mokrej ziemi i kładąc łubie z łukiem w poprzek kolan.

Oveten zamyślonym wzrokiem spoglądał w dół, na rozmazane przez deszcz kontury otoczonego murem miasta.

— Uczciwie zarobiłaś swoje złoto — powiedział.

Po chwili dorzucił:

— Pytanie, czy ja równie uczciwie zdobyłem swoje trofea.

Wydobył okazały woreczek i podał go dziewczynie.

— Druga część zapłaty. Nie musisz iść ze mną do samego Badoru, ani później do Grombu. Daję ci śmieszna sumę — zauważył — w porównaniu z wartością twojej części zdobyczy.

Zamiast odpowiedzi, podała mu zawiniątko.

— Weź je. Nie chcę Przedmiotów.

Uniósł brwi.

— Jeśli nie chcesz, możesz je przecież...

— Nie — ucięła. — Łowczyni nie będzie handlować niczym i nigdzie. Nie będę też nosić przy sobie jakichś... Zresztą Dorlan urwałby mi za to głowę, Przyjęci mają swoje zdanie na temat wynoszenia Przedmiotów z

Obszaru. Weź to, mówię, i daj Ambegenowi, żeby sprzedał. Rodziny żołnierzy, których posłał w góry, będą potrzebować wsparcia... Albo, zresztą, sama mu dam. Też idę do Grombu, należy mi się mały odpoczynek.

Milczący dotąd Rbit powiedział:

— Pora się rozejść. I tak zbyt daleko zapuściliśmy się razem. Byle patrol i będziesz miał, wasza godność, nowy kłopot.

Zwrócił się do Kagi, ale ta już wydawała rozkazy. Rozbójnicy odłączyli od armektańskiego pocztu i ruszyli na północ, wzdłuż grzbietu.

— Moi podkomendni będą od jutra trąbić wszem i wobec — powiedział jeszcze kot — że pobili cały legion gwardii na Przełęczy Mgieł. Możecie mówić, żeście o tym wydarzeniu słyszeli... Z jednym zastrzeżeniem: mnie i Kagi w to nie mieszajcie. Nie chcemy, by sławny czyn żołnierzy Basergora-Kragdoba przypisywano Kadze lub Kobalowi. I nie chcemy, by nas o to pytano.

Oveten skinął głową.

Rbit podszedł do wciąż siedzącej na ziemi przewodniczki.

— Góry są wielkie — powiedział. — Ale my też, Łowczyni, nie jesteśmy mali. Spotkamy się kiedyś.

— Na pewno.

Uniósł łapę w Pozdrowieniu Nocy.

Patrzyli za nim, gdy gonił swoją grupę. Zatrzymał się jeszcze.

— Armektanko! — zawołał swoim niskim, mrukliwym głosem. — Jakie jest twoje imię?! Chcę je poznać!

Roześmiała się.

— A.J.Karenira. Czystej Krwi!

Ponad głową Rbita przeleciał, wysokim łukiem, niezgrabny tobołek i gruchnął u stóp Ovetena.

— Ten dziesiętnik służył w Badorze, więc oddaj to w badorskim w garnizonie! — doleciał dziewczęcy głos. — Powiedz, że spotkałeś rozbójniczkę, która z powodu tych śmieci zabiła dobrego żołnierza!

Prawo gór

Policz rany, nie rachuj krzywd

Zapomnij;

zapomnij;

Zostanie w sercu ból.

Gdy czas nadejdzie, porachuj krzywdy.

Przypomnij;

wspomnij,

Że zemsta jest prawem gór.

(pieśń rozbójników grombelardzkich)

1.

Dzień był chłodny. Żołnierze trzymający straż przed bramą garnizonu w Badorze dreptali w miejscu, próbując się rozgrzać. Obaj byli młodzi, jasnowłosi, mocno zbudowani, o typowych dla Grombelardczyków, grubo rzeźbionych rysach twarzy. Przytupując i rozcierając dłonie, z rzadka zamieniali kilka słów. Bardziej zajęci walką z zimnem, sennością i nudą, niżli pełnieniem służby, dostrzegli zmierzającego ku bramie człowieka dopiero, gdy był o kilkadziesiąt kroków.

— Obwieszony bronią — mruknął jeden z żołnierzy, dostrzegając na biodrach nieznanego pas z mieczem i nożem, a ponad ramieniem łuk.
— Łucznik?

Rzadko tutaj widywano tę broń; zresztą, w służbie miejskiej nie używano nawet kuszy. Zamiast tego, funkcję broni rażącej na odległość mógł od biedy spełnić krótki i masywny oszczep, którego drzewca na ogół używano jak pałki.

Człowiek podszedł blisko i zatrzymał się. Gruba wojskowa opończa z kapturem chroniła go od deszczu i chłodu. Zapięty na niej pas z mieczem nabijany był żelaznymi łuskami. I pas, i sam miecz, nie różniły się zbytnio od tych, jakie mieli wartownicy. Wojskowego ekwipunku nie

można było kupić. Można było tylko ukraść go, bądź... zdobyć.

Przybysz zsunął kaptur, uwalniając długie, czarne jak smoła warkocze i rzekł kobiecym, lekko schrypniętym głosem:

— Chcę zobaczyć się z komendantem.

Żołnierze popatrzyli po sobie.

— Kim jesteś? — zapytał surowo wyższy, kalecząc nieco Kinen, język w którym odezwała się kobieta.

Odpowiedziała uważnym spojrzeniem szarych oczu, dziwnie nie pasujących do reszty twarzy.

— Niezbyt długo w Legii Grombelardzkiej, co? — zagadnęła. — Ale dwaj tacy na warcie to jakiś nowy obyczaj. Przynajmniej jeden powinien być doświadczony i starszy.

Żołnierze po raz drugi wymienili spojrzenia.

— Chcę zobaczyć się z komendantem — powtórzyła kobieta. — Zameldujcie o tym komu trzeba.

Wyższy żołnierz wzruszył ramionami, lecz skierował się ku niewielkim drzwiom w skrzydle bramy.

— Miej na nią oko — rzekł jeszcze po grombelardzku do swego towarzysza; wojskowy, a więc zapewne nielegalnie zdobyty, ekwipunek przybyłej nie wzbudzał zaufania.

Minęło kilka chwil. Wartownik przechadzał się powoli wzdłuż bramy, spoglądając od czasu do czasu badawczo. Kobieta była młoda, miała regularne rysy twarzy; byłaby całkiem ładna, gdyby nie dziwny wyraz tych ołowianoszarych oczu.

— To może potrwać — uprzedził. — Trzeba najpierw...

— Wiem — przerwała. — Najpierw do oficera służbowego.

Wzruszył ramionami i kontynuował swój spacer.

— Skąd pochodzisz? — zapytał i zaraz, jakby przewidując, że mu nie odpowie, dorzucił: — Nie mówisz po grombelardzku, a tutaj mało kto zna Kinen. Będziesz miała kłopoty ze zdobyciem noclegu...

— Kończysz służbę i masz dzisiaj wolne, więc chętnie zakisiłbyś ogórka — dopowiedziała w jego języku, wydymając wargi. — Od kiedy to w Badorze mało kto zna Kinen?

Zamilkł i poczerwieniał nieco.

Minęło jeszcze sporo czasu, nim wyższy wartownik wrócił w towarzystwie podsetnika.

— Do komendanta? — zapytał krótko oficer. — Kto i w jakiej sprawie?

— Skąd was takich nabrali? — zdziwiła się nie na żarty; odwykła od żołnierzy (a cóż dopiero oficerów!) którzy nie umieli jej rozpoznać. Ten tutaj na pewno nie był wychowankiem badorskiego garnizonu. — Skąd przeniesiony, z Londu? Tak, do komendanta — westchnęła.

— W jakiej sprawie?

Rozejrzała się dokoła, szukając chyba świadków wojskowej tępoty.

— Zaraz narobię kłopotów — ostrzegła. — Naprawdę, czyżbym prosiła o audiencję u cesarza? Jestem Armektanką Czystej Krwi. Chcę mówić z tysięcznikiem Argensem. Koniec. Maszeruj, podsetniku, do swojego dowódcy.

— Twoja Czysta Krew, „wasza godność” — zatytułował ją z wyraźną kpiną — nie budzi zaufania. Czy jesteś rozbójniczką?

W niesamowitych oczach przybyłej zamigotał długo wstrzymywany gniew.

— Co za dureń — powiedziała przez zęby.

Postąpiła krok naprzód i walnęła niższego wartownika kolaniem między uda, po czym cofnęła się natychmiast i ruchem tak płynnym, że aż łagodnym, uniosła nogę na wysokość szczęki drugiego. Nie było w tym wysiłku; lecz obrót całego ciała z wielką szybkością powiódł jej stopę po okręgu — i żołnierz zaryczał głucho, chwytając się za wybitą z zawiasów żuchwę. Podsetnik chciał dobyć miecza, lecz skrzyżowanymi w nadgarstkach rękami chwyciła go za mundurową tunikę przy szyi i zaczęła ciągnąć dłonie na zewnątrz, aż oczy oficera wyszły z orbit. Próbował oderwać jej ręce, ale były jak odlane z żelaza. Puściła podduszonego, pchnęła silnie i raz jeszcze zakręciła się wokół własnej osi, powalając go kopnięciem w głowę, które zabołałoby niedźwiedzia. Wartownik z przetrąconą szczęką podtrzymywał ją rękami, roniąc łzy bólu i jęcząc; drugi prostował się, więc z całej siły walnęła go piętą w stopę, aż zaryczał i usiadł. Zostawiła pokonane wojsko przed bramą, otworzyła małe drzwi i weszła na teren garnizonu.

Na dziedzińcu kręciło się sporo żołnierzy, ale nikt jej nie zatrzymał, bo skoro przepuściła ją warta przy bramie... Zresztą, przemknęła bokiem; wiedziała, którądy i dokąd ma iść. Po chwili forsowała stopnie, wiodące do niezbyt obszernego budynku. W sali odpraw siedział na

ławie pod ścianą wartownik.

— Tysięcznik u siebie? — zapytała. — Przysłał mnie oficer służbowy, melduj komendantowi, no już!

Machinalnie skinął głową i spełnił żądanie. Jednak gdy tylko przekroczył próg pomieszczenia, wparadowała tam za nim.

Na szerokim blacie leżały jakieś dokumenty. Siedzący za stołem pięćdziesięciodwuletni mężczyzna z piórem w jednej i baranią łopatką w drugiej ręce, uniósł zdziwioną twarz. Przez chwilę patrzył jej w oczy, słuchając chaotycznych wyjaśnień wartownika, po czym odprawił go skinieniem. Wrzucił łopatkę do stojącej obok miski i sięgnął po kubek z winem.

— Co to za wrzaski za oknem? — zapytał.

— Nie chcieli mnie wpuścić na teren garnizonu — wyjaśniła. — Na warcie stały dzieciaki, a oficer to jakiś nowy.

Rzucił nieprzychylnie spojrzenie, odstawił kubek i wstał.

— Czekać — rzekł wychodząc.

Rozejrzała się po izbie. Wszystko tu było jak dawniej, jak kilka lat temu, gdy przysłano ją z Armektu, by szkolila w Grombelardzie łuczników. Dziś już wiedziała, jak kiepskim była wtedy żołnierzem i jak fatalnym oficerem...

Krzyki za oknem ucichły. Usłyszała spokojny, surowy głos tysięcznika Argena. Uśmiechnęła się, odpięła pas z mieczem i ściągnęła opończę. W kominku płonął ogień; w izbie było prawie gorąco.

Trzasnęły drzwi.

— Chciałbym się dowiedzieć — zażądał ze zwykłym spokojem — co to wszystko ma znaczyć?

Odwróciła się ku niemu, wyprostowana, z szacunkiem.

— Tak, panie! — powiedziała.

Po raz pierwszy w życiu ujrzała na twarzy dawnego dowódcy coś w rodzaju uśmiechu.

*

W zamyśleniu smakowała znakomite wino. W górach zdążyła już odwyknąć od takich napojów. W gospodach piła piwo, w bukłaku miała wódkę... Teraz smak szlachetnego trunku przypominał o wielu, bardzo wielu utraconych rzeczach. Kojarzył się z delikatnym dotykiem sukni, które kiedyś nosiła po służbie; była w nim zaklęta muzyka, był blask

świec, płonących w ozdobnych lichtarzach, delikatny brzęk srebrnych kolczyków i bransolet... Gwar zdawkowych rozmów.

— Dziwne — rzekł Argen.

— No dobrze, dziwne — powiedziała z westchnieniem, wyrwana z miłego świata wspomnień. — Cóż ja na to poradzę? Sępy wielokrotnie napadały na ludzi... — urwała, przygryzając wargi.

— Napadały? Rzadko. Nie słyszałem. Zresztą, nawet nie to mnie dziwi, że napadły, ale że pojmały. Nigdy tego nie robią. Zwykle wystarcza... — zawahał się, widząc zmarszczkę na jej czole.

— Oślepienie pokonanego — dokończyła ponuro. — Ale teraz jest inaczej.

Argen powoli spacerował po izbie.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Nachmurzyła się jeszcze bardziej.

— A dlaczego miałabym kłamać?

Milczenie trwało przez długą chwilę.

— Sępy odebrały mi wzrok — powiedziała dobitnie. — Znasz przecież tę historię i nie muszę jej opowiadać. Żołnierz z tego garnizonu oddał mi swoje oczy, a największy z Przyjętych stracił moc, przekazując jego dar. Winna coś jestem sępom. I spłacam dług bardzo sumiennie.

Zadziornie spojrzała mu w twarz.

— To był twój żołnierz, komendancie. I, o ile wiem, dobry żołnierz. Więc może tylko mi się zdaje, że i ty masz jakiś dług wobec sępów?

Argen wytrzymał spojrzenie.

— Nie jestem tu po to, by się mścić — rzekł spokojnie. — Podsetniczka legii, która porzuciła służbę bez prawa do zachowania stopnia, może sobie na to pozwolić, choć uważam, że i ona nie powinna. Ale jednak wolno ci krążyć po górach i tępić wszystko, co lata, choć tego nie pochwalam. To ciebie nazywają Base-Krehiri, zgaduję? — zapytał, z niezwykłym u niego sarkazmem. — Jakim cudem co druga istota biegająca po wertepach jest tu zaraz „królem”, albo „księciem”?

Królowa Gór... Istotnie, gdzieś tam tak ją zwano.

— Nie ja wymyśliłam to miano — odparła ze złością. — Częściej jeszcze, zapewne, słyszałeś o Łowczyni. Zresztą mniejsza o nazwiska, komendancie. I mniejsza nawet o zemstę. Przyszłam myśląc, że obchodzi cię los sześciu ludzi w zielonych tunikach Legii Grombelardzkiej.

Pomyliłam się i żałuję.

Wstała.

— Jedna dobra rada — rzekła jeszcze, nie kryjąc rozdrażnienia. — Żółtodziobom trzeba przydawać doświadczonych żołnierzy. Jeśli cały ten patrol składał się z takich chłopców, jak ci, którzy wartują przed bramą, no to masz odpowiedź, komendancie, dlaczego wpakowali się w tarapaty.

— Nie pouczaj mnie. Siadaj.

Podszedł do okna i otworzył je. Do izby wtargnęło chłodne powietrze.

— Siadaj, mówię. Jeszcze raz, po kolei.

Wzięła oddech.

— Jest miejsce, niezbyt daleko, parę mil na wschód od Ladory, które nazywają Czarnym Lasem. Karłowaty las skamieniałych drzew, jest mnóstwo legend o powstaniu tego miejsca. Drzewa i skały są rzeczywiście czarne, więc łatwo zrozumieć, skąd wzięła się nazwa...

— Dalej.

— Ostatnio ten teren zajęło duże stado sępów. Wiem, że są tam trzymani twoi żołnierze.

— Związani? Zamknięci?

Popatrzyła ciężko.

— Człowiek pozostający we władzy sępich oczu nie musi być związany. Po prostu jest posłuszny. Znam w Badorze kilku ludzi, którym sępy wydłubały oczy. Każ odszukać któregoś z nich i zapytaj, jeśli mi nie wierzysz.

Argen w zamyśleniu pocierał czoło dłonią.

— Wiem, gdzie jest to miejsce. Prawie trzy dni drogi stąd, bliżej Grombu, niż Badoru. Nie dość, że jest to teren sporny między okręgami, to jeszcze nic tam nie ma. Żadnych wiosek, ani nawet, o ile mi wiadomo, żadnych zbójeckich sadyb, choćby tymczasowych. Wytlumacz mi, co mój patrol robił w tamtej okolicy?

— Mnie pytasz, panie?

Patrzył badawczo i znów ujrzała nieufność na jego twarzy.

— Może ścigali kogoś? — podsunęła. — Czy to był rutynowy patrol?

Nie odpowiedział.

— No, dobrze — mruknął po chwili. — Rozumiem, że masz jakiś plan?

Uniosła do ust kubek z winem.

— Za trzy dni jest pełnia księżyca. W dniu poprzedzającym pełnię, sępy nie latają. Myślę, że to jest jakaś ich tradycja, czy obyczaj. Chociaż Dorlan mówi, że obyczaje sępów odnoszą się do Pasm Szerni i służą zgłębianiu jej natury. Ale nie wie w jaki sposób, a to znaczy, że nie wie nikt w całym Szererze.

— Dorlan? Mędrzec Szerni? Co cię teraz z nim łączy?

— To moja sprawa. Już nie jest mędrce Szerni. Mam opowiadać o Dorlanie?

— Nigdy o tym nie słyszałem. O takim obyczaju. Że przed pełnią sępy nie latają.

— Ile razy widziałeś sępa, panie?

Zmarszczył brwi.

— Tylko raz — przyznał niechętnie.

— I był pewnie bardzo wysoko — powiedziała, z politowaniem prawie obraźliwym. — Możesz kpić sobie, komendancie, z Królowej Gór, ale biegam po nich od lat i o górach, sępach, rozbójnikach, deszczach i całym tym waszym paskudnym kraju wiem więcej niż możesz sobie wyobrazić.

— Dalej.

— To wszystko. Potrzebuję dziesięciu łuczników.

— Mam dwóch. Kiepskich. Przysłano tu kiedyś oddział nauczycielek strzelania, ale nauczyły żołnierzy tylko tego, jak majstruje się dzieci.

Dość miała jego sarkazmu. Udała, że nie słyszy.

— Więc oprócz tych dwóch łuczników, chcę jeszcze dziesięciu kuszników — powiedziała.

Skinął głową.

— W dniu przed pełnią sępy nie latają — powtórzyła. — Zdołamy więc niepostrzeżenie przeniknąć w pobliże Czarnego Lasu. W nocy zapuścimy się między drzewa i otoczmy ich siedlisko. Raczej nas nie usłyszą. O świcie trzeba będzie tylko szybko i celnie strzelać. Połowę tej roboty wykonam sama.

Znów miał na języku jakieś cięte słówko, ale skinął tylko głową. Była kiedyś kiepskim oficerem — lecz strzelać potrafiła znakomicie. Widział to.

— Prosty plan, trudno mu coś zarzucić — mruknął. — Ile ich jest?

— Pięć, lub sześć. Może siedem.

— Czarny Las to szmat ziemi. Jak chcesz tam odnaleźć ich siedlisko?
Na dodatek w nocy?

— Nie muszę odnajdywać. Wiem, gdzie jest.

Widząc pytające spojrzenie, wyjaśniła:

— Byłam tam.

Powstała nagle, podciągając kaftan. Odwróciła się, ukazując plecy. Widniały na nich świeże jeszcze, głębokie i krwawe ślady szponów.

— Ale sama nie dałam rady. Zmniejszyłam tylko liczebność stada.

Patrząc na rany, zapytał:

— Byłaś tam z powodu moich żołnierzy?

Opuściła kaftan.

— Raczej z powodu swego długu — powiedziała szczerze. —
Chociaż zawsze pomogę człowiekowi, któremu zagroził sęp. A jeśli
będzie za późno na pomoc, to go pomszczę. Będę się starała.

— Nie wyniosą się stamtąd, wiedząc że je odkryto?

— Może się wyniosą. Któż to wie, co zrobi sęp?

— Nawet ty? Która o sępach, deszczach i całym tym kraju wiesz
więcej, niż mogę sobie wyobrazić?

— Zwłaszcza ja. Polowanie na sępy nauczyło mnie jednego: pokory.
Owszem, wiem coś, czego ty nie wiesz, panie. Wiem lepiej, niż ktokolwiek
na świecie, jak mało o sępach wiemy. Właściwie, to mamy tylko swoje
wyobrażenia.

Jeszcze raz podszedł do okna.

— Nie możesz tutaj nocować, przyjdź jutro o świcie. Jeszcze dziś
wyznaczę ludzi.

2.

Był wczesny ranek — pochmurny i zimny, jak zwykle w Ciężkich
Górach. Podkowy ostro szczykały na bruku głównej ulicy. Muły dyszały
parą. Kilkunastoosobowy oddział w milczeniu zdążał ku północnej
bramie miasta. Od bramy ciągnął się szlak, wiodący aż do Grombu,
Rahgaru i Londu. Jedyna droga przez góry, wiodąca z południa na północ.

Prowadził oddział Argen, mając tuż za sobą łuczniczkę. Siedziała w
siodle po męsku, na sposób armektański: skrócone strzemiona uniosły

jej kolana wysoko na boki końskie. Żołnierze pokpiwali po cichu z tej dość niestabilnej pozycji, ale rychło okazało się, że dziewczyna powoduje koniem równie sprawnie, jak oni swymi mułami, więc strawy dla żartów zabrakło. Poza tym, dosiadała naprawdę dobrego górskiego wierzchowca i okazało się, że drugiego takiego ma w Grombie, a trzeciego w Rahgarze... Ta kobieta Czystej Krwi nie była wcale uboga; żołnierzom trochę imponowało, że ktoś taki ma zachciankę przemierzać Ciężkie Góry i potrafi w nich sobie radzić. Nawet Argen był trochę zdziwiony, gdy rano zobaczył łuczniczkę w siodle, bo już kazał wybrać dla niej wojskowego muła. „Nie trzeba — rzekła obojętnie. — W każdym mieście opłacam utrzymanie konia, bo czasem schodzę z gór i chcę szybko przemierzyć szlak.”

Wieczorem, gdy Argen wyznaczał ludzi, mających wziąć udział w wyprawie, okazało się, że chętnych jest wielu — więcej, niż potrzebował. Wśród żołnierzy rozeszły się już słuchy o niezwyklej bójce przed bramą garnizonu, a nazwisko Łowczyni było doskonale wszystkim znane; nieszczęśni młodzi wojacy, których poturbowała, nie mogli się opędzić od bezlitosnych docinków i drwin. Ponadto, bez względu na osobę łuczniczki, monotonia ulicznych patroli, okraszona szarpaniną z drobnymi łapserdakami, zawsze dawała się żołnierzom we znaki; niemal każdy wolał patrolować góry, niż ulice miasta. Co prawda, tym razem nie chodziło o zwykły patrol. Miała to być raczej karna wyprawa, choć podjęta nie przeciw rozbójniczej bandzie. Lecz wieść, że tym razem przeciwnikiem będą sępy, sprawiała iż tym bardziej palono się do wymarszu. Rozbójnicy byli ludźmi. Sępy — sępami... I komendant Argen musiał odprawić blisko połowę ochotników, chcących ruszyć na „polowanie”.

Trudno pojąć, dlaczego tak ogromną niechęć żywiono do trzeciego z rozumnych gatunków Szereru, najmniej licznego, nie konkurującego z człowiekiem na żadnym polu. Obecność sępów w najdzikszych partiach Ciężkich Gór nikomu nie mogła przeszkadzać; ale i na odwrót — zabłąkany wędrowiec nie stanowił zagrożenia dla stada, osiadłego na jakimś terytorium. O co więc toczono boje? Nie wiadomo. Lecz wina była obustronna, bo defensywna postawa sępów nie wynikała bynajmniej z ich pokojowej natury — a ze słabości. Liczba stad w górach zawsze była niewielka, nawet wtedy, gdy skrzydlaci padlinożercy byli jeszcze tylko

ptakami. Zaś odkąd Szerń darowała im rozum, gatunek zaczął wymierać, i to nie z powodu wrogości człowieka. Przedziwne obyczaje i obrzędy sępów, które znało niewielu, a już nikt nie potrafił zrozumieć, powodowały powolną agonię gatunku. Dziesiątki i setki par mówiły o łączeniu się w pary, o zakładaniu gniazd... Część potomstwa, z jakichś przyczyn, mordowano. Sępów ubywało; sięgająca stu pięćdziesięciu lat długowieczność w żaden sposób nie mogła tutaj pomóc.

Oddział przejechał przez bramę i niemal natychmiast skręcił na wschód. Wąska ścieżka, okrzyknięta gromko traktem, wiodła ostrymi zakosami na szczyt masywnego grzbietu, górującego nad miastem.

Jechano gęsiego.

Grzbiet osiągnęli koło południa. Ścieżka, która nań prowadziła, stała się nieco szersza i niemal wygodna — biegła dalej, niczym gigantyczny kręgosłup, na północ. Mieli trzymać się szlaku do wieczora. I to była najłatwiejsza część czekającej ich drogi.

Posilono się w siodłach. Niezbyt silny, jednostajny wiatr — oddech gór, jak go tu nazywano — wiał w twarze.

Armektanka jechała pogrążona we własnych myślach, co jakiś czas obrzucając spojrzeniem wiodącego oddział Argena. Nurtowało ją pytanie, czemu zawdzięcza ta niewielka wyprawa osobiste dowództwo samego komendanta garnizonu. Czemuż to uznał, że musi wziąć w niej udział? W prowincjach, komendanci okręgów miejskich byli osobami postawionymi niezwykle wysoko, ale dzielili władzę z cesarskimi urzędnikami i różnymi radami miejskimi... Lecz w Badorze, który podobnie jak inne grombelardzkie miasta, miał status stolicy okręgu wojskowego, nie — miejskiego, Argen nie podlegał nikomu, liczyć się zaś musiał co najwyżej z urzędnikami Trybunału Imperialnego, a dalej z naczelnym dowódcą Legii Grombelardzkiej i samym Księciem Przedstawicielem Cesarza w Grombie. Ktoś taki prowadził teraz kilkunastu żołnierzy w dzikie góry... Gdy ujrzała go rano, z kuszą na plecach i gwardyjskim mieczem przy boku, w narzuconym na kolczugę prostym wojskowym płaszczu, bez białej tuniki tysięcznika legii, w której zwykle paradował, wydał się jej jakimś przebierańcem. Ten szpakowaty, starzejący się powoli, od lat zakopany w raportach i regulaminach mężczyzna — wyruszał w góry. Nigdy nie widziała go z bronią. Nigdy też, nawet w czasach, gdy służyła pod jego komendą, nie zdarzyło się, by

prowadził jakiś patrol czy wyprawę. Dlatego teraz nie bardzo chciała wierzyć, że w razie potrzeby będzie umiał zrobić użytek z broni, którą dźwigał. Dlaczego uparł się wziąć udział w awanturze z sępami?

To proste: nie ufał jej.

Uśmiechnęła się nieznacznie, trochę gniewnie, lecz zarazem z czymś w rodzaju niechętnego uznania.

Było jeszcze widno, gdy zatrzymali się na nocleg. Stanęli nieopodal traktu, na poboczu — tak, by strażę mogły mieć na oku wszelkich wędrowców, zwabionych smuzką dymu z ogniska; tak dyktowała ostrożność — czy może raczej rutyna, bo tutaj, przy trakcie między Badorem a Grombem, stosunkowo silnemu oddziałowi żołnierzy na pewno nic nie groziło. Wiążąc naderwany rzemień kołczanu, Łowczyni patrzyła, jak żołnierze sprawnie krzątają się przy koniach, inni rozpalają ogień (drewno trzeba było wieźć aż z Badoru). Dziesiątnik i jeden legionista rozpakowywali juki. Dziesiątnik twarz miał przewiazaną w poprzek czarną chustą. Zgadywała, że stracił nos w walce; mógł dokonać tego miecz rozbójnika. Człowiek ten rzucał na nią częste spojrzenia. Pozostawił juki i podszedł do głazu, na którym siedziała.

— Nie poznajesz mnie, pani?

Zmarszczyła lekko brwi.

— Pewnie dlatego... — dotknął ręką opaski na twarzy. — Zresztą, nikt nie pamięta prostych żołnierzy, a minęło już sporo lat... Byłem kiedyś pod twoją komendą, pani. Razem z Bargiem.

Mignęło jej przed oczami przerażająco wyraźne wspomnienie: leżący na ziemi żołnierz z czerwonymi jamami zamiast oczu; pochylony nad nim legionista w zielonej tunice... W spojrzeniu legionisty była groza i żal. Teraz, znad czarnej chustki, patrzyły na nią te same oczy.

— Wtedy sami sprowadziliśmy na siebie nieszczęście — powiedział.

Nie była to prawda. Nieszczęście sprowadziła ona, ich dowódczyni.

— A teraz, jak usłyszałem — ciągnął żołnierz — że idziemy ratować naszych, i że przeciw sępom, zgłosiłem się od razu. To dobrze... to jest właściwe, pani. Ja chcę powiedzieć, że nikt z nas nigdy nie winił cię za tamto, ale teraz, to jednak dobrze podsetniczko, że prowadzisz nas przeciw sępom, a naszym na ratunek.

Powściągnęła gorzko-drwiący uśmiech. Nikt jej nie winił... ale jednak dobrze, że zamierzała spłacić dług.

— Nie jestem już podsetniczką. I nie jestem tą dziewczyną, która wtedy prowadziła was w góry, nic o nich nie wiedząc — powiedziała.

— Wiem, pani. Jesteś bardzo sławna...

— Ta sława bierze się głównie z bajek i wymysłów — przerwała, trochę zbyt ostro. — Mówią na mnie Łowczyni. I cała prawda kryje się w tym przydomku, legionisto. Nie wierz, gdy słyszysz o mnie coś, co nie pokrywa się ze znaczeniem tego słowa. Łowczyni! Jestem tępicielką sępów, nikiem więcej. Rozumiesz?

— Tak, pani.

Nie, nie rozumiał. Zresztą... Co miał zrozumieć? Co właściwie chciała mu powiedzieć?

Skinęła głową. Żołnierz oddalił się.

Niewielkie ognisko przytłumiono, gdy tylko posiłek był gotów. Obozowisko powoli tonęło w gęstniejących ciemnościach, lecz malutki czerwony płomyczek wabił spojrzenia. Żołnierze niespiesznie pili gorący wywar z drewnianych kubków. Ktoś poszedł z kociołkiem do wartowników; do gorących posiłków przywiązywano w górach dużą wagę.

Jeden z legionistów zaczął cicho śpiewać starą żołnierską piosenkę. Podparły go inne głosy. Ci ludzie bardzo rzadko mogli sobie pozwolić na korzystanie z nielicznych uroków wojskowego biwaku. Dalej w górach, zarówno obozowe ogniska, jak i śpiewy, były zupełnie nie do pomyślenia. Mogłyby zwabić wroga. Lecz na trakcie między dwoma najsilniejszymi garnizonami Grombelardu duża banda rozbójników nie mogła się panoszyć.

Gdy piosenka dobiegła końca, zaraz rozbrzmiała inna. Żołnierzom, którzy przed chwilą śpiewali o trudach życia w garnizonie, przypomniano nagle o czymś innym... Gdzieś w mroku, oparta o skałę kobieta, śpiewała swym niskim, leciutko schrypniętym głosem słowa, które doskonale do głosu pasowały. Była tam mowa o krzywdzie, zemście i śmierci. Ponura pieśń górskich rozbójników, stara jak sam Grombelard, przypominała o surowych prawach gór, dla których orężni ludzie, w mundurach i bez mundurów, przemierzali bezdroża, nierzadko gubiąc na nich życie. Ktoś nieśmiało zawtórował dziewczynie, ale zaraz umilkł, zerkając na dowódcę; żołnierzom nie wypadało tego śpiewać. Lecz inny legionista, odważniejszy lub po prostu mający mniej wycucia,

zaśpiewał głośniej — i po chwili tysięcznik Argen słuchał kilkunastu męskich głosów, prowadzonych przez głos kobiety. Wszyscy znali tę pieśń; wszyscy ją rozumieli i uważali, że mówi samą prawdę. Może jedyną wspólną prawdę, którą mogły przyjąć wszystkie istoty przemierzające szlaki Ciężkich Gór.

*

Trzeciego dnia wędrownicy zjechali w obszerną dolinę, między lustra dwóch dużych stawów. Od czasu, gdy porzucili trakt, wierzchowce były w równej mierze pomocą, co przeszkodą. Czasem trzeba było prowadzić je za uzdy, zdarzały się jednak odcinki, gdzie jazda była możliwa. W dolinie, po zejściu na jej dno, muły raz jeszcze okazały się przydatne. Na krótko — bo po ominięciu mniejszego stawu, jeźdźcy natknęli się na teren niezwykle trudny, usiany skalnymi złomami. Rozłożono obóz i po krótkiej przerwie na posiłek, rozdzielono część bagaży, wieszonych dotąd w jukach. W dolinie, przy zwierzętach, pozostać miało dwóch ludzi. Reszta oddziału ruszyła dalej pieszo, prowadzona przez tysięcznika.

Łowczyni wciąż uważnie, chociaż dyskretnie, obserwowała Argena, powoli zmieniając o nim zdanie. Miniony dzień — to już nie była wygodna jazda po drodze. Jednak komendant prowadził oddział spokojnie i pewnie. Zdziwiła się widząc, że zupełnie nieźle zna szlaki w górach. Był to najlepszy dowód, że nie całe życie spędził nad raportami, z piórem w dłoni. Miała przed sobą weterana — starego żołnierza, który musiał kiedyś osobiście wodzić patrole po bezdrożach. Właściwie, nie było w tym nic dziwnego. Armektańscy wojskowi — a za nimi wszyscy inni w prowincjach — bardzo poważnie traktowali służbę; sama przecież wiedziała doskonale, że nikt nie rodzi się oficerem. Do najwyższych godności i stopni wiodła w imperialnych legiach tylko jedna droga: od prostego żołnierza, stojącego na warcie z mieczem w dłoni. Pewnie, że urodzenie czyniło tę drogę krótszą i znacznie łatwiejszą... Ale jednak każdy musiał ją przemierzyć. I teraz, obserwując tysięcznika Argena, zyskiwała pewność, że ten człowiek ciężko i uczciwie zapracował na swoją białą tunkę. Trudy dwudniowego marszu nie odcisnęły na nim większego piętna, niż na którymkolwiek z żołnierzy. Od pewnego czasu wspinali się na nieprzyjazne, strome zbocze doliny — i dopiero to odsłoniło pewien brak gibkości u niemłodego już w końcu komendanta. Lecz potrafił nadrobić jej brak, bo oceniła, że był człowiekiem naprawdę

wytrzymałym, a do tego niepospolicie silnym.

Odkryła nagle, z niejakim zdziwieniem i zakłopotaniem, że zaczyna widzieć w nim mężczyznę... Przystojnego, nie było dwóch zdań. Dużego i silnego. To nie był jakiś chłopiec, trzymający wartę przed bramą garnizonu.

— Dlaczego taki nigdy mi nie powie, że słabo znam grombelardzki?
— mruknęła do siebie. — Mógłby udzielić paru lekcji.

Uciekła od niewczesnych pomysłów, wysuwając się na czoło oddziału.

— Pozwól mi, komendancie — powiedziała. — Prowadzisz bardzo dobrze, ale ja tutaj mieszkam. Znam każdy kamień.

Nie do końca było to prawdą, bo w okolicach Ladory i Czarnego Lasu bywała rzadko. Ale przecież częściej, niż Argen.

Pokazał, żeby szła przodem. Sam poczekał, aż miną go żołnierze, chciał teraz zamykać pochód. Zauważył, że legionistom imponowała wytrwałość i odporność Łowczyni. Radziła sobie jak górska kozica; przekonywano się, że półlegendarne opowieści o tej kobiecie, zawierały prawdę. Odkąd objęła prowadzenie, myślała już tylko o tym, co robi. Kilka razy przystawała, wybierając spojrzeniem drogę, zostawała z tyłu, a potem bez wysiłku i oznak zmęczenia doganiała oddział, znowu wysuwając się na czoło.

Byli już prawie u kresu wspinaczki, gdy znów pozwoliła się wyprzedzić. Wkrótce usłyszano jej ciche wołanie. Mierzyła wzrokiem odległość od skalnej grani, ku której dążyli.

— Tutaj się zatrzymamy — powiedziała, podchodząc do tysięcznika.
— W tym miejscu nie zdołają nas wypatrzyć. Musimy poczekać do zmroku.

Argen popatrzył badawczo.

— Podobno przed pełnią sępy nie latają — zauważył.

— Co nie znaczy, że ślepną — odparowała złośliwie. — Zaraz za tym grzbietem, na przeciwległym stoku, rozciąga się Czarny Las. Sępy zawsze pilnują swojego terytorium. Oczywiście, że dziś nie latają. Gdyby latały, już dawno bylibyśmy śledzeni z powietrza. Dalej jednak posunąć się nie możemy. Na tej grani będziemy widoczni, jak na stole.

Stojący obok żołnierz ze zdumieniem spoglądał na drogę, którą jeszcze mieli przebyć, by osiągnąć grzbiet.

— Przed nami najgorszy kawałek — powiedział zapominając, że nie powinien wtrącać się do rozmowy prowadzonej przez dowódcę. — Chcesz powiedzieć, pani, że będziemy wspinać się tędy po ciemku?

Przytaknęła kpiąco.

— Moglibyśmy zatrzymać się tuż pod granią, bliżej...

— Gdzie?

Żołnierz popatrzył na stok.

— Widzisz tam jakieś miejsce, gdzie kilkunastu ludzi zmieści się bez kłopotów? — pytała. — Chcesz czekać do wieczora, kurczowo trzymając się ściany?

— Wystarczy — uciął Argen. — Zatrzymamy się tutaj.

Żołnierze poskładali bagaże na kamieniach. Armektanka przewiązała czoło szeroką skórzaną opaską, upychając pod nią warkocze, by nie majtały na plecach. Wyglądała jak straszdyło. Odłożyła na bok łuk i strzały, odczepiła od pasa pochwę z mieczem i skinęła głową.

— Pójdę się rozejrzeć — oznajmiła krótko.

Argen rzucił kilka słów do żołnierzy. Beznosy dziesiętnik natychmiast podniósł się z ziemi.

— To dla bezpieczeństwa. Nie chcę, by coś ci się przytrafiło, nikt z nas nie ma pojęcia, gdzie trzymani są jeńcy.

— Bzdura... Nie potrzebuję niczyjego towarzystwa — powiedziała niechętnie.

— Lecz otrzymasz je.

— Wasza godność nie ufasz mi?

— Tyle o ile — rzekł otwarcie. — Ale teraz myślę o twoim bezpieczeństwie, przede wszystkim o tym. Po górach nie łązi się samotnie.

— Zawsze łązę samotnie.

— Ale dzisiaj nie musisz.

Zdenerwowała się.

— Nie potrzebuję i nie chcę opieki! — powiedziała. — Nie jestem twoją podkomendną, wasza godność!

Argen uniósł lekko brwi — i zrozumiała, że zdania nie zmieni. Już choćby ze względu na obecność żołnierzy, słuchających gorszącej sprzeczki. Obrzuciła spojrzeniem dziesiętnika.

— No to chodź! — powiedziała z jadowitą i głupią, babską złością.

W odległości kilkuset kroków wznosiła się stroma, prawie pionowa ściana, sięgająca samej grani. Para zwiadowców ruszyła w tamtym kierunku. Obserwowano ich, lecz dopiero po pewnym czasie stało się oczywiste, że łuczniczka obrała tę ścianę za swój cel. Legioniści jęli spoglądać po sobie, pojmując z wolna, że będą świadkami zdumiewającego pojedynku, jaki rozegra się za chwilę między Armektanką a ich najlepszym zwiadowcą.

Argen też to odgadł.

— Zatrzymać ich! — polecił, wyznaczając gestem dwóch żołnierzy. — Ty i ty! Szybko, tylko bez wrzasków.

Żołnierze natychmiast ruszyli śladem pierwszej pary. Ale rychło stało się jasne, że ich szanse są bardzo niewielkie. Łuczniczka znakomicie umiała wybierać drogę; tam, gdzie ona i jej towarzysz posuwali się do przodu dość łatwo, posłani za nimi żołnierze rozpaczliwie czepiali się skał, usiłując utrzymać się na stromym zboczu. Argen bezradnie patrzył, jak Armektanka i jego dziesiętnik docierają do podnóża ściany i rozpoczynają wspinaczkę. Zgromadzeni wokół dowódcy żołnierze jak zaczarowani oglądali niesamowite, karkołomne popisy dziewczyny. Łowczyni pokonywała ścianę w tempie graniczącym z niemożliwością. Jej towarzysz desperacko i mozolnie piął się w górę, radząc sobie nawet wcale nieźle, ale nie mogąc nawet marzyć o utrzymaniu tempa narzuconego przez kobietę.

Niesamowity wyścig trwał i trwał. Legioniści wstrzymali oddech widząc, jak dziewczyna forsuje przewieszkę. Przez chwilę kołysała się z nogami nad przepaścią, potem podciągnęła z łatwością, która dawała wyobrażenie o sile jej ramion. Zadarła nogę w bok, tak wysoko, że zdawało się to zgoła niemożliwe, zaczepiła stopę o jakiś drobny występ i jednym rzutem ciała posunęła się wyżej. Przez krótką chwilę leżała płasko na skale, czekając na idącego za nią żołnierza, a może tylko odpoczywając. Potem ruszyła dalej.

Nikt nie zauważył momentu, gdy dziesiętnik odpadł od ściany. Ujrzano lecącego w dół człowieka, lecz nie rozległo się wołanie o pomoc. Głuchy łomot uderzającego o kamienie ciała zmieszał się z krzykiem patrzących na to legionistów. Wszyscy bez wyjątku rzucili się do podnóża ściany, gdzie doszło do tragedii. Argen ruszył z innymi, nie

próbując zatrzymać podkomendnych. Gdy dotarli na miejsce, dwaj żołnierze wysłani w ślad za pierwszą parą pochyłali się nad nieruchomym dziesiętnikiem.

— Jeszcze żyje — rzekł jeden. — Wołaliśmy, żeby wracał, ale on nie słyszał... Albo nie chciał.

Argon przyklęknął obok funkcyjnego. Z ust i spod czarnej chusty płynęła krew.

— Połamał zebra i nogi — powiedział drugi żołnierz. — Może i coś popękało mu w środku... Strasznie spadł.

Tysięcznik powstał powoli.

Armektanka właśnie zeszła ze ściany i stanęła u jej podnóża.

— Nie chciałam tego — powiedziała. — Przysięgam, że... Ja myślałam, że on zawróci. Przecież... ja nie znam nikogo, kto mógłby wejść na tę ścianę razem ze mną...

Argen zgrzytnął zębami. Żołnierze patrzyli ze strachem, jak krew napływa do twarzy ich, zawsze spokojnego, dowódcy. Podszedł do łuczniczki i pchnął ją tak, że wpadła na skalny mur.

— Słuchaj mnie, suko — rzekł chrapliwie. — Jesteś jak zaraza, zabijasz ludzi samym oddechem. Znowu, przez twoją głupotę, tracę dobrego żołnierza. Wtedy straciłem dwóch, z których jeden tak samo połamał sobie kości... Pilnuj się, bym już nigdy nie stracił przez ciebie żadnego legionisty. Bo wtedy, Królowo Gór... wyczerpie się moja cierpliwość.

Raz jeszcze zrobił ruch, jakby chciał ją popchnąć, ale uniósł tylko palec w geście groźby, odwrócił się i znów przysiadł przy umierającym.

3.

Ktoś musiał pozostać przy rannym, tak więc tuż przed nastaniem zmroku już tylko osiem osób ruszyło ku celowi wyprawy.

Prowadziła łuczniczka. Żołnierze, pomagając sobie nawzajem, podążali jej śladem. Przed wymarszem wszyscy przewiązali się liną, i była to uzasadniona ostrożność. Wąski, kamienisty żleb, głęboko werżnięty w zbocze, pełen był żwiru i okruchów zwięzłej skały, które nie dawały dobrego oparcia stopom. Uciążliwość terenu i konieczność zachowania ciszy sprawiły, że tempo marszu było niezwykle powolne.

Osiągnęli w końcu grzbiet, po cichu i bez wypadku, ale trwało to tak długo, że należało natychmiast ruszać dalej, by nadrobić stracony czas. Na odpoczynek, choćby krótki, nie mogli sobie pozwolić.

Posuwając się za milczącą przewodniczką, ostrymi zakosami schodzili teraz w dół. Przed nimi na stoku leżał — ciemniejszy niż zbocze i noc — Czarny Las.

Wkrótce minęli pierwsze drzewa.

Było to miejsce niesamowite i groźne za dnia, ale teraz, w nocy, wręcz upiorne. Powoli i ostrożnie przesuwali się między kamiennymi pniami, spoglądając niepewnie dokoła. Karłowate niby-dęby nisko nad ziemią wyciągały nieforemne, bezlistne konary, gdzieś trzeba było niemal pełzać. Objuczeni bronią żołnierze z trudem odnajdywali przejścia w koszmarnym labiryncie.

Powłoka chmur, zwykle okrywająca grombelardzkie niebo szczelnym całunem, rozdarła się nagle i na ziemię spłynął blask księżyca. Ale światło, miast udzielić tak potrzebnej pomocy, wypełniło las setkami dziwacznych, tajemniczych cieni, dezorientując ludzi już bez reszty. Jeden z żołnierzy począł kląć szeptem.

— Dalej! — ponagliła łuczniczka.

Zanurzali się w las coraz głębiej. Porośnięty martwymi pniami stok, na szczęście dość łagodny, zdawał się ciągnąć bez końca.

Dziewczyna przystanęła.

— To już niedaleko — rzekła cicho, podchodząc do Argena. — Duża polana, zawałona skalnymi złomami...

Zacisnęła dłoń na ramieniu komendanta.

— Muszę iść się rozejrzeć. Ale lepiej będzie, jeśli tym razem pójde sama, panie.

Milczał przez bardzo krótką chwilę.

— Idź — pozwolił.

Odwróciła się i zniknęła w płątaninie konarów i cieni.

Żołnierze posiadali na ziemi, trzymając gotowe do strzału kusze i łuki. Wstrzymując oddech, próbowali wypatrzeć między pniami oznaki niebezpieczeństwa.

Cisza była przerażająca.

Prawdziwy las nigdy nie jest zupełnie cichy. Zawsze gdzieś w głębi trzaskają gałązki, szeleszczą liście, wiatr szumi w konarach drzew...

Czasem odzywa się krzyk nocnego zwierzęcia. Wszystkie te dźwięki, choć brzmiące niesamowicie, świadczą jednak o tym, że las żyje...

Ale Czarny Las był martwy. Skończenie i całkowicie martwy, pogrążony w ciszy kilkusetletniej śmierci.

Księżyc skrył się za chmurami, jednak tylko na chwilę. Wkrótce wyrzął ponownie i wtedy przysłonił go olbrzymi cień. Załopotały skrzydła. Przerażeni legioniści spoglądali na wielkiego ptaka, zataczającego kręgi nad ich głowami. Jęknęła cięciwa, sęp poderwał się i zaraz runął w dół. Ujrzeli Armektankę z łukiem w dłoni, przedzierającą się ku nim przez pajęczynę cieni. Gdzieś niedaleko, trafiony sęp bił skrzydłami o kamienne pnie, miotając się w agonalnych drgawkach.

— Odkryły nas! — powiedziała, głosem bardziej schrypniętym niż zwykle. — Polana jest opuszczona.

Spojrzała na trupioblade w księżycowej poświacie, śmiertelnie przerażone twarze i nagle parsknęła dzikim śmiechem. Mogło się wydawać, iż pogubiła klepki.

— Cóż to, wojownicy? Trzeba będzie walczyć, ależ to zatrwajające! Żołnierze nieco oprzytomnieli.

— Prowadź — rozkazał Argen. — Potrafisz je odnaleźć?

— Same nas odnajdą! — rzekła, znowu chichocząc; komendant zyskiwał coraz większą pewność, że dziewczyna jest pomyłona. — Na polanę, szybko! Tam nas nie zaskoczą.

Poprowadziła; ruszyli za nią prawie biegiem. Wkrótce otwarła się przed nimi wolna przestrzeń. Zdyszani stali wokół skalnego rumowiska.

Gdzieś na skraju polany rozległ się krzyk żołnierza, który pozostał nieco z tyłu. Po tym krzyku usłyszeli niewyraźny, szczękliwy głos, układający się w niezrozumiałe, monotonicznie powtarzane słowa. Dwaj żołnierze chcieli pobiec w tamtym kierunku, ale Argen zastąpił im drogę.

— Gdzie są moi ludzie? — zapytał, szukając wzrokiem łuczniczki.

Jej głos doleciał gdzieś z mroku:

— Jeńcy? Nie wiem, komendancie, tutaj już ich nie ma...

— Nigdy ich tutaj nie było! — rzekł z największym gniewem.

— Ech, byli — powiedziała, lecz miał niemal pewność, że kłamie; zresztą, wszystko tu było kłamstwem... wiedział już prawie na pewno. — Byli, ale teraz już ich nie ma, są tylko sępy... Tylko sępy i wy.

Zabrzmiało to tak, że żołnierzom zaczęły chodzić ciarki po plecach.

— Dziwka, przeklęta dziwka... — rzekł ktoś bezradnie, z gniewem.

— To największe stado jakie w życiu widziałam i muszę je dostać — powiedziała z innego miejsca i z jeszcze większej odległości, niż poprzednio. — Naprawdę myślałam, że zdołamy je podejść... ale teraz najlepiej zostańcie tam, gdzie jesteście. One przyjdą!

Gdzieś w lesie po raz drugi rozbrzmiał okrzyk nieszczęsnego żołnierza i monotonny klekot sępiego dzioba. Po chwili wyraźniej usłyszeli wrzaski, legionista przedzierał się ku polanie, aż wypadł z gąszczu i wyjąc jak zwierzę, z dobytym mieczem ruszył ku towarzyszom. Argen widział, że ten człowiek jest szalony; zresztą nie on jeden znał opowieści o sile sępich spojrzeń...

— Nie strzelać! — zawołał, lecz było już za późno; ktoś bez rozkazu zwolnił cięciwę, ciężki bełt uderzył legionistę w pierś i powalił. — Powiedziałem: nie strzelać!

Miał ochotę przywołać strzelca i potraktować tak, jak na to zasługiwał legionista bez namysłu mierzący do towarzysza broni. Lecz powstrzymał się.

— Nie strzelać, bo wszyscy wymordujemy się nawzajem! — rzekł dobitnie i stanowczo. — Poczekamy tutaj do rana, a potem wyjdziemy z lasu i wrócimy do Grombu. Zrozumiano?

Spokojny głos tysięcznika podziałał; żołnierze opanowali strach. Miejsce było niesamowite, a wróg inny niż zawsze, lecz wciąż było ich sześciu, mieli broń i mieli dowódcę... Argen wskazał stanowiska wśród skalnych okruchów, każdy żołnierz miał obserwować inny wycinek terenu. Wydawał ostatnie rozkazy, gdy nad polaną mignął duży złowrogi cień, za nim drugi i trzeci... Szczęśliwe, niewyraźne głosy rozbrzmiały wszędzie wokół:

— Ludzie, ludzie — mówił monotonnie głos z przodu — jesteście zgubieni, ludzie, przeszkadzacie, rzućcie waszą broń...

— To ziemia dotknięta alerską Wstęgą, jesteście tu intruzami, ludzie, to nasze miejsce, ludzie — wtórował mu drugi głos, gdzieś z tyłu.

Dwaj żołnierze posłali pociski na oślep między drzewa.

— Nie strzelać! — rzekł Argen. — Tylko na rozkaz.

Klebotliwe głosy nie milkły i komendant przypomniał sobie, że opowieści o sępich oczach — to tylko część prawdy... Słowa przeklętych ptaków także miały ponurą, obezwładniającą moc. Jeden z legionistów

bezmyślnie odłożył kuszę, drugi zaraz uczynił to samo... Tysięcznik poczuł, że sam ma coraz większą ochotę posłuchać wydawanych z mroku poleceń, odrzucić broń i usiąść, i czekać...

— Powstań! — krzyknął. — Marsz w górę stoku! Broń do ręki!

Żołnierze pozbiali się raz jeszcze. Prowadzeni przez komendanta, zanurzyli się w upiornym lesie. Najpierw szli zwartą grupą, otoczeni przez monotonne głosy. Lecz okazało się zaraz, że utrzymanie szyku jest niemożliwe: żołnierze przystawali, rozchodzili się... Argen próbował skupić oddział, ale po chwili zdał sobie sprawę, że sam jest jednym z maruderów; że nie robi tego, co chce robić.

— Przyjdźcie do nas, ludzie, przyjdźcie teraz, zostawcie waszą broń, ludzie...

Gdzieś niedaleko, jeden z kłokających głosów zamarł nagle w przeszywającym skrzeku — i sępy zamilkły. Argen próbował zebrać myśli. Przywołał żołnierzy.

— To ona — powiedział ktoś ze śmiechem. — Ona je pozabija...

— Hu! ha!

Tysięcznik pojął, że komenderuje oddziałem pomyleńców.

Wydając dzikie okrzyki, jeden z kuszników pobiegł przed siebie; zaraz zawadził w ciemności głową o konar kamiennego dębu i upadł jęcząc. Lecz dwaj inni pochwycili go pod ręce i powlekli, a trzeci, z napiętą kuszą w rękach, rozglądał się dokoła, wypatrując celu. Argen zaczął zdawać sobie sprawę, iż nie wszyscy w równym stopniu ulegają sile sępich głosów.

— W górę stoku! — zarządził głośno. — Nie zatrzymywać się!

Niewyraźne głosy ptaków rozbrzmiały znowu. Żołnierz, który przed chwilą szukał celu, przepadł gdzieś. Tysięcznik rozglądał się wokół, poszukując go w plamach księżycowego światła — bo liczył, że ten przytomnie wyglądający legionista pomoże mu w dowodzeniu. Przeszli kilkadziesiąt kroków, gdy po raz drugi rozległ się chrapliwy skrzek — i znów zaległa cisza. W tej ciszy — gdzieś daleko rozbrzmiał jeszcze jeden śmiertelny krzyk sępa... Było niemożliwe, by jedna osoba zabiła dwa ptaki naraz!

— Nie zatrzymywać się! — rzekł Argen. — W górę, cały czas pod górę, marsz!

Przystanął i przez długą chwilę spoglądał do tyłu. Po niedługim

czasie w ciemności zamajaczyła sylwetka goniącego oddział kuznika. Żołnierz niemal wpadł na nieruchomego Argena i przeraził się.

— Wasza... Komendant! — rzekł stłumionym głosem. — Idź, panie, ze wszystkimi, ja poczekam! Widać je, kiedy leżą między drzewami, albo jak fruną i siadają na gałęzi, wtedy można się podkraść... — tłumaczył gorączkowo. — Idź panie, a ja ich tutaj...

Argen klepnął kuznika w ramię, dając tym gestem do zrozumienia, że akceptuje plan. Zostawiwszy jednoosobową ariergardę, ruszył w ślad za swoimi żołnierzami.

Sępy milczały bardzo krótko. Otoczony przez wrogie głosy, tysięcznik zaczął wątpić w możliwość doścignięcia oddziałku. Odsunął na bok wszystkie myśli, starał się pamiętać tylko o tym, że goni swych podkomendnych, osłaniany przez mężnego, samotnego legionistę. Nasłuchiwał agonálnego krzyku sępa, lecz zamiast tego wydało mu się, że słyszy krzyk człowieka. Potem zdał sobie sprawę z tego, że już donikąd nie idzie, że siedzi u stóp kamiennego drzewa, nie ma kuszy... Podniósł się, wyjął miecz i stanął oparty o drzewo. W ciemnościach majaczyły jakieś cienie.

— Usiądźcie, ludzie, odpocznijcie, zostawcie waszą broń, zostawcie, zostawcie na alerskiej ziemi, której dotykała Wstęga...

— Zostawcie broń, ludzie, usiądźcie...

Argen czekał. Zdało mu się, że gdzieś, bardzo daleko, usłyszał nowy śmiertelny krzyk sępa, a w jego tle — przeraźliwy, triumfalny kobiecy śmiech.

Czarne miecze

1.

Stłumiwszy ziewnięcie, jej godność A.B.D.Leyna przeciągnęła się w ogromnym fotelu i niechętnie, ospale niemal, cisnęła w niewolnicę ogryzkiem soczystego jabłka. Dziewczyna nie ośmieliła się uchylić, jednak odruchowo przymknęła powieki, gdy mokra resztką owocu pacnęła ją prosto w policzek. Magnatka odrzuciła głowę w tył potrząsając włosami.

— No? — ponagliła, przechylając się do tyłu jeszcze bardziej.

Zwiesiła głowę ku podłodze; pokój widziany do góry nogami wyglądał o wiele zabawniej. Postanowiła częściej zwieszać głowę w ten sposób.

— Hm? — zapytała po chwili, bo zajęta oglądaniem pokoju, zapomniała o słuchaniu niewolnicy. — Jeszcze raz.

Dziewczyna posłusznie powtórzyła wiadomość.

— Co ty opowiadasz? — zdumiała się Leyna.

Usiadła normalnie, czując leciutki zawrót głowy; zwisanie nie było dobre dla krążenia krwi.

— Co ty opowiadasz? — powtórzyła. — Teraz? Od kiedy przyjmuję gości o tej porze? Nikt nie przyjmuje gości o tej porze. Czy w całej Rollaynie jest ktoś, kto przyjmuje gości o tej porze? A właściwie, jaka jest pora?

— Popołudnie... zaraz wieczór, pani.

— Niech przyjdzie wcześniej. Albo później, powiedz mu. Nie, czekaj. Jak się nazywa?

— L.F.Gold, wasza godność. Z Grombelardu.

— Gold, śmiesznie. Z Grombelardu, Grombelardu, Grom-be-lar-du — powtarzała, bezmyślnie bawiąc się słowem; było nudno. — Grom-be-lar... Wpuść go.

— Tak, pani.

Niewolnica wyszła. Leyna podniosła się leniwie i podeszła do dużego, zawieszzonego na ścianie zwierciadła. Kilkoma drobnymi

ruchami doprowadziła do porządku bujne, ogniste włosy. Wygładziła suknię. Po raz setny, a może tysięczny zdumiona własną urodą, zmrużonymi z zadowolenia oczami badała odbicie pełnych ust, delikatnej linii nosa i wygiętych łuków brwi. Nie zwracając uwagi na stojącego w drzwiach gościa odwróciła głowę i — patrząc z ukosa — podziwiała swój profil. Z namysłem rozburzyła nieco włosy na skroni; uniosła lekko głowę.

— Wiem, pani, że to wbrew dobrym obyczajom... jeśli jednak, jako gość, odzywam się pierwszy, to nie po to, by obrazić panią domu, lecz dlatego, że oboje mamy mało czasu.

Gdy zaczął mówić, spojrzała z bezbrzeżnym zdziwieniem. Głos miał głęboki i spokojny, dziwnie pasujący do szerokiej twarzy i głęboko osadzonych, szarych oczu. Wyraźny gardłowy akcent zdradzał Grombelardczyka.

Patrzyła w milczeniu. Obejrzała, z rosnącym zdumieniem, zakurzony podróżny strój przybysza, wiszący przy boku wojskowy miecz, długie skórzane buty do konnej jazdy, wreszcie powiedziała:

— No nie, tego już naprawdę za wiele... Cóż ty sobie wyobrażasz, mój panie?

Z dziwną łatwością wytrzymał jej spojrzenie. Ale po krótkiej chwili schylił głowę.

— Wybacz, pani — powiedział prawie pokornie, choć widać było, że nie przychodzi mu to łatwo. — Nie chciałem cię obrazić.

Powoli wróciła spojrzeniem do zwierciadła. Uniosła rękę i musnęła małym palcem gęste, wygięte ku górze rzęsy.

— Wyjdź teraz — powiedziała od niechcienia. — Zostaw swoje prostackie maniere za drzwiami i przyjdź po raz drugi. Przez ten czas zastanowię się, czy na pewno chcę z tobą rozmawiać.

Nie oglądając się widziała, jak drgnęły mu mięśnie szczęk. Odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Wydeła lekko wargi, przywołując na twarz wyraz niejakiego lekceważenia, potem zmrużyła oczy i rozchyliła usta w uwodzicielskim uśmiechu. Ściągnęła brwi i to był gniew, potem w szeroko otwartych oczach zalśnił niekłamany zachwyt. Delikatne nozdrza rozwarły się, wraz z uniesionym kącikiem ust tworząc pogardliwą ironię, potem kolejno przemknęły przez twarz: niedowierzanie, naiwna dziewczęca ciekawość,

uwielbienie, odraza, przerażenie, namysł, kpina...

Przeciągnęła się beztrosko i zmarszczyła brwi.

— Zasnąłeś tam, panie, za tymi drzwiami? A może czekasz, żebym wyszła do ciebie?

Drzwi rozchyliły się ponownie. Stanął w nich tak samo jak przedtem. Pochylił głowę i czekał.

— Witam cię panie w moim domu — powiedziała swobodnie po długiej, nienaturalnie długiej chwili milczenia. — Wejdz dalej, proszę.

Zrobił dwa sztywne kroki.

— Witam waszą godność — przemówił lekko stłumionym głosem. — Jestem L.F.Gold, z Grombelardu.

Pokiwała głową.

— Z Grombelardu, no tak.

Uniósł głowę myśląc, że nawiązuje do jego poprzedniego zachowania. Ale nie. Z dezaprobatą patrzyła na popękane, zakurzone buty i wiszący u pasa miecz.

— Jestem prosto z podróży, pani — wyjaśnił. — Wybacz, że rażę twoje oczy takim ubiorem...

— No, dobrze już — ucięła. — Czemu zawdzięczam wizytę waszej godności?

Prawie położyła się w fotelu. Powściągnęła chęć zwieszenia głowy, jak wcześniej; nie chciała, by krew napłynęła do twarzy. Oparła policzek na dłoń.

— Pytałam. I czekam.

Wydobył spod kurty niewielki rulon pergaminu, mocno wygnieciony. Podszedł i wyciągnął rękę.

— Oto list, który wyjaśni cel mojej wizyty, pani.

Z wahaniem rozwinęła zwoik. Przebiegła wzrokiem równe linijki kształtnego pisma. Wyprostowała się gwałtownie. Pobladła.

— To jakiś żart, głupi żart — powiedziała. — Baylay wyjechał do Armektu, miał tam... miał swoje sprawy.

— Znam te sprawy, wasza godność.

— Wiesz o... małżeństwie mojego brata?

— Jej godność Ilara nie przedłużyła ślubnego kontraktu. Baylay pojechał za nią do Armektu, licząc...

— Wystarczy — ucięła. — Znasz treść tego listu?

— Tak pani.

W skupieniu przeczytała pismo po raz drugi i trzeci. Blandość ustąpiła miejsca rumieńcom.

— Nie wierzę. Nie wierzę temu listowi ani tobie, panie. Co mój brat mógłby robić na tym... Czarnym Wybrzeżu?

— Pojechał szukać swojej żony, pani.

Patrząc badawczo, uniosła do góry rękę z listem, jakby z niego właśnie wynikało to, co powiedział.

— Pojechał szukać żony? Na Czarne Wybrzeże?

— Została uprowadzona.

— Na Czarne Wybrzeże? A przez kogo?

— Zdaje się, że przez Przyjętego.

Wciąż patrzyła z najwyższą uwagą, ale był to ten rodzaj spojrzenia, jakim ocenia się pomyleńca.

— Oszalałeś, panie — stwierdziła spokojnie na koniec.

— Nie, wasza godność. Ten list...

Z całkowitym spokojem przedarła pismo na pół i upuściła na posadzkę.

— Żegnam cię, panie. Nie wiem, co to za list, kto go pisał i w jakim celu. Nigdy więcej nie przychodź do mojego domu.

Ku swojemu zdumieniu ujrzała, że oparł dłoń na rękojeści miecza.

— Nie, pani. Baylay jest moim przyjacielem. Zrobię wszystko, by jego życzenie zostało spełnione. Pojedziesz ze mną dobrowolnie, albo z przymusu. Wybieraj.

Nie wierzyła własnym uszom.

— Co słyszysz? — powiedziała powoli, z jakimś złowrogim grymasem.
— Grozisz mi... porwaniem?

Ogorzała twarz Grombelardczyka pozostała niewzruszona.

— Tak właśnie.

Minęło parę chwil nim zrozumiała, że naprawdę ma przed sobą pomyleńca. Ze złością przygryzła usta. Krzyknęła na służbę i w drzwiach komnaty pojawił się niewolnik.

— Odpraw go, pani — rzekł Gold, prawie łagodnie.

Zignorowała ostrzeżenie.

— Żegnam waszą godność — powiedziała, czyniąc gest w kierunku sługi.

Niewolnik stanął za plecami Golda. Gdy stało się jasne, że przybysz wyjść nie zamierza, oparł dłoń na jego ramieniu. Grombelardczyk uwolnił się ruchem tak nieznacznym, że trudno było dojrzeć w tym choć cień wysiłku. Sługa stracił równowagę, dopomogła w tym silna dłoń, które ucapiła go za kark. Gold zrobił kilka szybkich kroków, niewolnik nabrał rozpędu i zderzył się ze ścianą. Przybysz, wciąż trzymając za kark, jeszcze kilkakrotnie rąbnął jego głową o ścianę, a potem puścił i rozłożył bezradnie ręce, odstępując w bok. Sługa leżał nieruchomo, z głową rozbitą do krwi.

Leyna stała z otwartymi ustami i językiem dotykającym górnych zębów. Nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego... Nie rozumiała... nie sądziła, że ktoś może... To nie był turniej, zapasy! To nie była arena ze słabo widocznymi figurkami kaleczących się niewolników...

Z czoła nieprzytomnego sługi ściekała czerwona strużka i Leyna mimowolnie zrobiła krok ku leżącemu. Skonsternowany Grombelardczyk dojrzał w oczach dartańskiej magnatki, obok strachu, wyraz jakiejś... lubieżnej fascynacji.

— Przebierzesz się, pani? — zapytał z wymuszonym spokojem, usiłując pokryć zaskoczenie i narastającą niepewność. — Czy pójdziemy zaraz, tak jak stoisz?

Wymruczała coś niewyraźnie i cofnęła się — ale byłby przysięgł, iż ten mały krok wstecz uczyniony został raczej po to, by go sprowokować, niżli z rzeczywistej chęci ucieczki. Przestał rozumieć sytuację. Gdy Dartanka zrobiła drugi mały kroczek, podszedł szybko i pochwycił rękaw jej sukni. Szarpnęła się, tkanina pękła z suchym trzaskiem i dziewczyna zatoczyła się, a potem upadła na posadzkę. Pochwycił ją znowu, doszło do szarpaniny... i zyskał pewność, że ona wcale nie chce uciec, pragnie tylko walczyć, więc dał jej do tego sposobność. Uderzył ją — niezbyt mocno, ale jednak serio. Rozburzone włosy spadły na oczy. Wolno podniosła rękę do policzka, z niedowierzaniem patrząc na mężczyznę. Po raz pierwszy w życiu została uderzona! Potraktował ją tak samo, jak sługę... jak niewolnika...

Przestała stawiać opór. Trzymał ją za ramię, gdy zbiegali po szerokich, pokrytych wzorzystym kobiercem schodach. Stęknęła głucho, próbując uwolnić się z uścisku. Trzymał tak mocno, że czuła ból w ramieniu.

— Puść... — powiedziała. — No puść, boli!

Na podwórzu przed domem stały dwa duże, osiodłane konie. Kiepsko znała się na koniach; gdyby było inaczej, natychmiast rozpoznałaby ciężkie i wytrzymałe górskie wierzchowce, które tak ceniono we wszystkich prowincjach imperium. Wsadził ją na grzbiet jednego z nich, sam dosiadł drugiego. Ciągle milcząc, chwycił jej konia za uzdę.

Na schodach przed domem pojawiła się służba. Zdesperowany Grombelardczyk oparł dłoń na rękojeści miecza... i zmarszczył brwi, widząc drobny gest swojej branki. Służba cofnęła się; byłby przysiągł, że kazała im iść precz! Po chwili, nie zatrzymywani przez nikogo, drobnym kłusem przemierzali ulice miasta.

— Jesteś szalony — powiedziała. — Wszyscy mnie tu znają, spójrz.

Rzeczywiście — ostatni, uciekający przed zmierzchem przechodnie zatrzymywali się, patrząc zdumionym wzrokiem. Na pewno przesadzała; wątpił, by każdy napotkany mieszczuch wiedział, jak wygląda jej godność A.B.D.Leyna, jedna z pierwszych kobiet stolicy... Niemniej widok jadącej w męskim siodle wielkiej pani, ubranej w kosztowną, choć poszarpaną suknię, nie był czymś zwyczajnym.

— Zatrzyma nas pierwszy napotkany patrol — powiedziała pewnym głosem, w którym jednak więcej było rozbawienia i złości, niż zamierzonej pogardy. — Zresztą nie wydostaniemy się z miasta. Bramy o tej porze są już zamknięte.

Spojrzał przez ramię.

— Nie strasz, pani — powiedział spokojnie. — Bramy są po to, żeby je otwierać, a co do żołnierzy... Nie pierwszy raz jestem w Dartanie i doskonale wiem, ile są warci. Dobrze, jeśli co dziesiąty pojmuje, że mieczem się rąbie, a nie rzuca.

Szybko odwrócił głowę, bo pokazała mu plugawy gest, jaki widywał dotąd tylko u karczemnych dziwek... Nie miał pojęcia, skąd w ogóle wiedziała, co to znaczy.

Jechali w milczeniu. Gold rozglądał się dokoła. Drogę znał... ale niepokoiła go zagadkowa, zdumiewająca bierność Dartanki. To porwanie było szaleństwem; gdy podstęp z listem zawiódł, uprowadzenie dziewczyny nie mogło się udać... Spróbował tylko dlatego, by na własnej skórze odczuć, że się nie uda; chciał chyba mieć poczucie, iż zrobił

wszystko, co było w jego mocy... I oto był porywaczem. Jechała za nim kobieta, za którą okup wypłaciłby sam Książę Przedstawiciel Cesarza. Gdyby, rzecz jasna, została porwana dla okupu...

Nie rozumiał, jak do tego doszło. Poturbował niewolnika... potem uderzył ją... Teraz rozglądał się, odruchowo szukając drogi ucieczki.

Lecz najpiękniejsze, najbogatsze miasto Szereru nie obfitowało w mroczne, dające schronienie zaułki. Rollayna nie powstała tak jak inne miasta, które zmieniały się i rozwijały przez wieki, doroślały, starzały... Legenda podawała, iż wzniesiono ją od razu, w ciągu niespełna dwóch lat. Była miastem, które sama Szerń pomagała zbudować i które miało stać się pomnikiem dla Rollayny — wspaniałej córki Jasnych Pasm; najstarszej, najpiękniejszej i najpotężniejszej z Trzech Sióstr, które przed wiekami Szerń zeszła do walki ze złem.

I Rollayna-stolica była właśnie taka: najpiękniejsza i najpotężniejsza spośród wszystkich miast Wiecznego Cesarstwa. Wzniesiono potężne białe mury — które teraz już niczemu nie służyły, bo imperium ogarnęło cały Szerer i nie miało żadnych wrogów, chyba że alerskie półzwierzęta... Mury tworzyły dwa pierścienie, jeden w drugim. Wzdłuż murów zewnętrznych biegła szeroka, brukowana (jak i wszystkie inne w tym mieście) ulica, poprzegradzana bramami i mostami: Obwodnica Królewska. W samej rzeczy, wielokrotnie przemieszczał się tędy orszak królewski, przy okazji licznych uroczystości; było to jeszcze wtedy, gdy Dartańczycy mieli swój kraj i swego króla... Teraz, otoczona wewnętrznym murem dzielnica, zwała się Książęcą miast Królewską, a najświetniejsze pałace świata zamieszkiwał Armektańczyk... Książę Przedstawiciel Cesarza, otoczony dworem.

Piękne miasto. Jakże różne od ponurych, kamiennych miast Grombelardu! Tu budowano z cegły, ściany tynkowano i bielono, ozdobiły je wymyślne płaskorzeźby, gzymsy i freski, wszędzie rzucały się w oczy zdobione kolumny, szerokie balkony, tarasy, delikatne eleganckie ogrodzenia, otaczające liczne, choć niewielkie, parki i ogrody... Gold wiedział, że rozmach, z jakim Dartańczycy wznosili swoje miasta, próbowano naśladować — zwykle dość nieudolnie — we wszystkich niemal krainach Szereru, odkąd nastało Wieczne Cesarstwo. W samym Armekcie przecież... Doprawdy, Armektańczycy zawojowali Dartan mieczem, Dartańczycy zaś wzięli odwet, narzucając wszystkim i

wszędzie swą architekturę i sztukę. Jeśli Armekt wciąż jeszcze nie był drugim Dartanem, to tylko dlatego, że broniły go odwieczne, uświęcone tradycje, zaklęte w potędze armektańskiego języka.

Dotarli do Królewskiej Obwodnicy. Wciąż spotykali wielu przechodniów. Gold przywykł już, że wszyscy oglądają się za nim i jego branką — i sam zaczął czynić obserwacje. Kłuło w oczy bogactwo i wdzięk zwykłych nawet, mieszczańskich strojów. Kobiety szeleściły pięknymi sukniami, mężczyźni pobrzękiwali srebrnymi kłamrami trzewików. Goldowi jednak wszyscy ci ludzie wydawali się prawie nadzy... Nikt nie nosił broni! Choćby lekkiego, paradnego miecza, choćby sztyletu. Legioniści postukiwali w bruk lakierowanymi na czerwono lub czarno drzewcami halabard, których srebrzone żeleźca nie zasługiwały na miano oręża; dowódcy patroli podpierali się laskami, czerwonymi albo czarnymi, tak jak drzewca halabard. Gold marszczył brwi myśląc, że zdobyłby to miasto, gdyby powierzono mu klin lub półsetkę Legii Grombelardzkiej...

Dotarli do Bramy Pani Delary, nazwanej tak na cześć młodszej siostry Rollayny (była jeszcze Brama Seili i trzecia — Brama Królewska). Czterej gwardziści, w błyszczących od ozdób napierśnikach, kręcili kołowrotem; okuta mosiądzem brona opuszczała się powoli. Z niedalekiej wartowni wyszedł wysoki, szczupły dziesiętnik i szybkim krokiem ruszył w kierunku nadjeżdżających. Gold zatrzymał wierzchowce, zeskoczył z siodła i wyszedł mu na spotkanie. Powiedział coś półgłosem i wyciągnął zza pazuchy jakiś dokument. Dziesiętnik obejrzał go uważnie, po czym spojrzał na Leynę... rozpoznając ją od pierwszego rzutu oka — funkcyjny Gwardii Dartańskiej nie mógł nie znać kobiety stale bywającej w Dzielnicy Książęcej. Skłonił się; odpowiedziała lekkim uśmiechem. Gold także spojrzał na dziewczynę, marszcząc groźnie brwi... Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. Usłyszała, że Grombelardczyk mówi coś ostro, z naciskiem. Odpowiedział mu niepewny głos dziesiętnika. Padło jeszcze parę słów, po czym dartański gwardzista zbliżył się do wierzchowca, na którym siedziała kobieta.

— Wasza godność, proszę o przebaczenie...

Popatrzyła wyczekująco, dostrzegając kątem oka wyraźny ruch Golda, stojącego za plecami dziesiętnika — gotów był zamordować

gwardzistę. Zaczęła się zastanawiać, czy warto zobaczyć taką bitwę. Lecz żołnierzy było aż pięciu, walka byłaby niezbyt długa, a co za tym idzie — niespecjalnie ciekawa.

— Gotów jestem otworzyć bramę, ale chcę się upewnić, czy wasza godność na pewno chcesz wyjechać z miasta?

— Nie, nie chcę — powiedziała niecierpliwie. — Zostałam porwana, zniewolona, przywleczono mnie tu siłą i nie wiem, co tutaj robię. Co jeszcze chcesz wiedzieć, gwardzisto? W jakim celu jadę na przedmieście? I co ze mną zrobi mój towarzysz?

Skonsternowany żołnierz skłonił się i wycofał. Krzyknął na podkomendnych; opuszczona już prawie brona zaczęła powoli pełznąć w górę. Gold wskoczył na siodło, pozdrowił gwardzistę gestem i ruszył ku bramie. Po chwili wraz z Leyną znajdowali się poza murami, przemierzając Wschodnie Przedmieście.

Dziewczyna milczała. Gold skręcił w pierwszy zaułek i zatrzymał wierzchowce.

— Czy wyjaśnisz mi, wasza godność... — zaczął i urwał. — Dlaczego nie uciekałaś, pani? To była okazja, która może się już nie powtórzyć! I wcześniej, na ulicach... A teraz? Dlaczego? Okłamałaś tego żołnierza, pomimo że...

— Okłamałam? — przerwała. — Powiedziałam durniowi, że zostałam porwana! I gdy tylko wrócę, dopilnuję, żeby wyrzucono go z wojska!

— Powiedziałaś to tak, że nie uwierzył!

— A, nieprawda... Powiedziałam to tak, żeby myślał, że będę tej nocy kurwić się na przedmieściu. Przywykł do tego. To jest miasto kurew, wszystkie się tu kurwimy, każda prędzej czy później jedzie na przedmieście, żeby załatwić jakąś sprawę, swoją, albo swojego męża. Choć faktycznie rzadko która wybiera się konno i po zamknięciu bram, bo to zbytnio zwraca uwagę. Opowiedzieć ci więcej, wasza godność?

Gold zamilkł, zapomniawszy języka w gębie.

— Nie... — rzekł wreszcie. — Nic nie chcę wiedzieć, to wystarczy.

Było już niemal całkiem ciemno, ale widziała jego twarz na tyle wyraźnie, by ogarnąć wszystkie rozterki. Ten człowiek gotów był zawrócić.

— Czego nie rozumiesz, wasza godność? — zapytała. — Nudzę się!

Może chcę być porwana? Tyle, co dzisiaj, nie wydarzyło się w moim życiu przez ostatnie dwa lata... A ty na pewno nie jesteś człowiekiem, który zrobi mi krzywdę. Możesz chcieć okupu, wtedy ci go wypłacę, bardzo dobrze. Zdobędę za te pieniądze wspaniałą legendę, której wszystkie tutaj będą mi zazdrościć.

Ruszyła przodem i rad nierad podążył jej śladem.

— I jest jeszcze druga możliwość, taka mianowicie, że jesteś zakochanym szaleńcem, myślącym tylko o zaspokojeniu swojej żądzy. To jeszcze lepsze, niż porwanie dla okupu. Co za dokument pokazałeś temu gwardziście przy bramie? — zapytała, zmieniając temat tak nagle że przez długą chwilę nie rozumiał, o co chodzi.

W jej głosie nie było wyższości, złości, pogardy — była tylko zwykła ciekawość. Tak mogłaby pytać kupca o pochodzenie szlachetnej tkaniny. Gold dopiero co poznał tę kobietę, ale już wiedział, że jej nie rozumie i pewnie nigdy nie zdoła zrozumieć.

— Patent — odpowiedział po długiej chwili. — Nie jestem rzezimieszkiem, wasza godność... Jestem setnikiem Gwardii Grombelardzkiej.

Nie zdołała powściągnąć okrzyku zdumienia. Jak każda kobieta wysokiego rodu, doskonale znała wartość wszelkiego rodzaju funkcji i stanowisk. Setnik gwardii! Nie legii, lecz gwardii! Nie znała stosunków panujących w dzikim Grombelardzie, ale to była właśnie dzicz, więc przyjęłaby zakład, że w całym tym kraju siedziało najwyżej piętnastu wojskowych, którym jej porywacz musiałby oddać honory.

— Nie mogę uwierzyć — powiedziała uszczęśliwiona. — Oficer gwardii, niezwykle! Zniszczysz sobie karierę.

— No, to zniszczę, wasza godność — rzekł zrezygnowany. — Jestem zmęczony... i nie wiem, co robię.

2.

Baylay dorzucił do ognia. Iskry strzeliły w niebo.

— Jesteś rozbójniczką?

Jej twarz pozostała obojętna.

— Nie.

— Nie?

Cisza.

— Więc kim?

— Kimś, kto ci powie: nie podsycaj tak ognia, bo umrzesz.

— Rozbójnicy? — zapytał, wzruszając ramionami. — W tych okolicach jest spokojnie, niedawno była wojskowa obława. Chcę nacieszyć się ogniem, jeszcze dzień lub dwa i już nie będę go palić. Tym bardziej, że pogoda na pewno się zepsuje.

Przez długą chwilę przyglądała mu się uważnie, potem odwróciła spojrzenie.

— Powiedziałałabym ci o obławach... Ale ci nie powiem.

Nie próbując już nawiązać rozmowy, zapatrzył się w ogień. Dziwne nocne spotkanie. Dziwna kobieta... Przyszła z nocy, przyglądała mu się przez długą chwilę tak badawczo... Usiadła przy ognisku, zjadła kawałek suszonego mięsa. Odpowiadała półśłówkami, traktowała go niemal jak powietrze — choć to w końcu był jego biwak i jego ogień.

Miała niski, leciutko zachrypnięty głos. Ten nieustanny cień chryпки był w jakiś sposób denerwujący; Baylay miał ochotę odkaszlnąć lub odchrząknąć po każdej jej wypowiedzi.

Spojrzał z ukosa. Zdecydowany, wyraźny profil, ładne małe usta i długie rzęsy... Ale nie dbała o siebie; chyba od dawna przebywała w górach. Paznokcie u rąk miała połamane i zaniedbane, bujne czarne włosy brudne i pozlepiane w strąki. Jej odzienie było kupą śmierdzących łachmanów, spódnica i koszula ledwie, ledwie okrywały zgrabne, bardzo silnie umięśnione ciało. Leżący na ziemi kaftan także był dziurawy, podobnie peleryna. Tylko buty miała nowe i mocne.

— Co robisz w Górach? — zapytała tak nieoczekiwanie, że przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

— Wędruję — rzekł wreszcie

Popatrzyła z powątpiewaniem.

— Do Badoru?

— Nie do Badoru. Zmierzam do Złego Kraju.

Po raz pierwszy jej twarz nabrała wyrazu. Spojrzała mu szybko w oczy. Miała drobny podbródek, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i szerokie szarne brwi. Ale jednak nie była piękna; chyba nawet nie była ładna...

— Do Złego Kraju. Po co?

Zwlekał z odpowiedzią.

— To długa historia.

Nadal patrzyła mu prosto w twarz. Miała dziwny, niesamowity wręcz wzrok. Nie potrafił go wytrzymać.

Odwrócił głowę.

— Dlaczego tak patrzysz? — zapytał z rozdrażnieniem, którego źródeł nie znał.

Nie odpowiedziała. Dopiero po długiej chwili mruknęła jakby do siebie:

— Do Kraju... Tak po prostu. Po sławę? Bogactwo? A może po śmierć? Znałam takiego, co szedł tam, bo jego ojciec przegrał pewien zakład...

— Nie przegrałem zakładu. Idę po żonę — rzekł ze złością. — Czy już wiesz wszystko, nieznajoma?

Cisza. Potem jej głos, który zabrzmiał niespodziewanie przyjaźnie:

— Po żonę?... Nie powiesz mi nic więcej?

Zatrzymał wzrok na skaczących po gałązkach płomieniach.

— Po co? Dlaczego pytasz o moje sprawy?

— Mogłabym pomóc.

— Nie potrzebuję pomocy. Nie od ciebie.

Czuł wzbierający gniew, pojmując jednocześnie jego bezzasadność. Po co rozpoczął rozmowę, skoro nie chce jej prowadzić? Sam zaczął wypytywać dziewczynę, gdy milczała — teraz złości go jej zainteresowanie... I po co udaje bohatera, skoro nim nie jest? Ledwie rozpoczął swą straceńczą wyprawę, a już zmylił drogę, czuje się zagubiony i bezradny. Cóż dopiero, gdy przekroczy granicę Złego Kraju! Ba, pytanie czy w ogóle do niej dotrze...

Kobieta wstała. Schyliła się, podniosła kaftan, pelerynę i oparty o skałę sajdak z łukiem i strzałami. Zrozumiał, że jest obrażona.

— Rano idź na wschód — powiedziała. — Trafisz na urwisko i wiodącą wzdłuż niego ścieżkę. Kieruj się wtedy na północ. Ścieżka zaprowadzi cię do niewielkiej chatki, choć właściwie trudno tak to nazwać, no, w każdym razie, będzie to ludzka sadyba, na pewno nie zabłądzisz. Tam znajdziesz człowieka, który ci pomoże.

— Nie potrzebuję pomocy.

— Potrzebujesz. Nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Gdzie jest wschód?

No, gdzie jest wschód, wędrowcze zmierzający do Złego Kraju?

Odruchowo spojrział w niebo i, rzecz jasna, nie zobaczył ani jednej gwiazdy. Wprawdzie nie padało, pogoda była wręcz piękna — ale tylko na miarę tego kraju... Nad głowami miał skłębioną opończę chmur.

— Rano, gdy słońce wzejdzie, poznasz która strona nieba jest jaśniejsza.

— Nie zawsze można poznać — rzekł ponuro.

— Jutro poznasz. Poproś właściciela chatki o gościnę i pomoc. Powiedz, że przysyła cię Łowczyni.

Odwróciła się i zniknęła w ciemnościach. Przez długą chwilę siedział oniemiały. Potem zerwał się i chciał zawołać — ale zrezygnował. Już za późno... już było za późno. Obraził ją. Właśnie ją... skończony głupiec...

Łowczyni. Pani Gór.

Usiadł powoli i znów patrzył w płomienie. Bezwiednie ujął w dłoń gałązkę i wzruszył nią węgle w ognisku. Trysnęła fontanna iskier.

Zagryzł lekko wargi.

Właśnie zraził swą opryskliwością kobietę, której szukał. Którą Gold polecił mu jako wyborną przewodniczkę. „Jest kapryśna, mówią też, że trochę złośliwa — wspomniał przestrogi i rady przyjaciela. — Niektórzy oficerowie znają ją osobiście, ja akurat nie, słyszałem tyle tylko, co każdy grombelardzki żołnierz. Droga, którą ci opisałem, prowadzi do człowieka mającego podobno wielki wpływ na tę kobietę. On doradzi ci, gdzie jej szukać, jeśli w ogóle będzie to miało sens. A potem... albo zyskasz przewodniczkę która, jak słyszałem, prowadziła już ludzi do Obszaru, albo może chociaż usłyszysz jakieś wskazówki. W każdym razie poznasz jedyną istotę w Ciężkich Górach, która nie jest zepsuta i zła do szpiku kości. Dałbym ci przewodnika z legii, ale nie mogę. A każdy inny przewodnik zadźga cię pewnie już na pierwszym noclegu w górach. Znajdź więc tę kobietę, lub idź sam... a najlepiej zrezygnuj z tej wyprawy.”

I dalej następowało to, co zwykle: że szaleństwo... że Ciężkie Góry... że poczekaj, że wracaj do Dartanu.

Łowczyni.

Jakim cudem nie rozpoznał jej od razu? O czym myślał? Gdzie miał oczy i rozum? Prawda, że było to aż nazbyt fantastyczne: oto na samym początku wyprawy miał spotkać, nie wiadomo dlaczego, kogoś kogo akurat najbardziej potrzebował... Kobietę, której można było szukać w

Górach przez całe życie, i nie znaleźć. Nikt zdrowy na umyśle nie uwierzyłby w podobnie szczęśliwy przypadek. Tyle się nasłuchiwał o kłopotach, jakie będzie miał z jej odszukaniem; miał uzbroić się w cierpliwość, nie rezygnować... A spotkał ją na samym początku drogi, trzy dni po wyruszeniu z Grombu. I nie poznał.

Prawda, że nie tak ją sobie wyobrażał. Przede wszystkim myślał, że to Grombelardka: jasnowłosa, masywna i krępa, o topornych rysach... Zdawało mu się też, że ta słynna grombelardzka baba będzie starsza: dość leciwa wiedźma, z jakimś wielkim toporem... Skąd takie wyobrażenie? Gold nic nie wspominał, jak wygląda Łowczyni. A tymczasem była wcale ładna. Zaniedbana i brudna... ale młoda i zgrabna. Niebrzydka.

Co teraz? Wskazała mu chyba drogę do człowieka, o którym mówił Gold. Drogę, którą zgubił. Ale ten człowiek potrzebny był tylko do odszukania jej, Łowczyni. Czy teraz... to w ogóle miało sens?

Cisnął patyk w ogień, otulił się peleryną i ułożył na ziemi.

Świtało, gdy po źle przespanej nocy ruszał w dalszą drogę. Szedł równym, niezbyt szybkim krokiem, przytrzymując na biodrze przewieszony przez ramię worek z prowiantem, zapasowymi butami i kilkoma drobiazgami. Miecz, grombelardzkim zwyczajem, niósł na plecach — Gold wyjaśnił, że w przypadku krótkiego miecza wojskowego nie ma to takiego znaczenia, znaczenia, ale miecz dłuższy, zawieszony zwyczajnie u pasa, potrafi stać się prawdziwym utrapieniem w wędrówce po górskich bezdrożach.

Uważnie rozglądał się dokoła. Góry jeszcze spały.

Przyzwyczał się już do nich. Do gór. Nie były wcale aż tak groźne, jak powiadano... Owszem, w pierwszej chwili mogły się takimi wydawać. W promieniach słońca były nawet piękne, ale pod ciężkimi, grubymi chmurami wyglądały ponuro. Najbardziej męczył go wieczny grombelardzki deszcz. Wieczna wilgoć spadająca z góry, szmer uderzających o ziemię kropel. Była jesień i padało niemal bez przerwy. Przez cały dzień siąpiła drobna mżawka, zmieniająca się pod wieczór w ulewę. Potem mżyło przez całą noc, rano zwykle spadała mgła — i znów wszystko od początku. Ale od dwóch dni nie spłynęła z nieba nawet kropla. Cieszyło go to, choć dziwiło, bo już przywykł do bezustannego dżdżu.

Zamyślony, przestał zwracać uwagę na otoczenie. Oszczędzając siły, powoli i ostrożnie, tak jak uczył go Gold, szedł pod górę. Dotarł do przepaści, o której mówiła Łowczyni. Opanowując zawrót głowy spojrzął w dół, a potem na boki. Stroma, pionowa niemal ściana ciągnęła się tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Jakby wielki, wiedziony ręką olbrzyma topór przerąbał masyw na pół... Zrozumiał, że ma przed sobą słynną Paszczę, o której Gold opowiadał mu tak wiele. Okolice po drugiej stronie — odwiedzane przez sępy, pełne zbójeckich kryjówek — cieszyły się bardzo złą sławą.

Po chwili poszukiwań odnalazł coś, co mogło być ścieżką, o której mówiła kobieta. Poprawił miecz na plecach i ruszył na północ.

3.

Zeskoczył z konia i wyciągnął ręce. Zsunęła się w nie i z ulgą stanęła na ziemi. Nie była przyzwyczajona do tak długiej jazdy, na dodatek w męskim siodle. Piekły ją uda i pośladki, a przy każdym poruszeniu odzywał się ból w plecach. Spojrzała z nadzieją na jasne, szeroko otwarte okna gospody, z których buchał gwar rozmów zmieszany z zapachem jadła. Kiedy indziej, propozycja spędzenia nocy w podobnym domu byłaby dla niej obelgą, teraz jednak czekała nań z niecierpliwością. Zapytała sama:

— Czy tu zanocujemy?

Spojrzał, prawie rozbawiony.

— O nie, pani. Rano twoja służba podniesie alarm... a najpewniej już podniosła. Nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek ledwie pięć mil od stolicy. Musimy uciekać, jeszcze kawałek traktem, a potem lasami.

Lubiła słuchać jego głosu, choć za żadne skarby świata nie przyznałaby się do tego. Nawet przed sobą.

Przed gospodę wybiegł posługacz. Gold cisnął mu drobną monetę i odprawił ruchem ręki. Wielkopański gest. Zdumiona, musiała przyznać, że pasował do niego... do tego Golda.

Cóż, był w końcu mężczyzną Czystej Krwi. I oficerem gwardii.

— Poczekaj tu na mnie, wasza godność. Przeprowadzę juczne konie.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, co to oznacza. Rozżłoszczona i przerażona możliwością spędzenia nocy w siodle, nie odpowiedziała.

Gdy odszedł, podeszła do swego wierzchowca i lekko pogładziła go po szyi. Nie wiedzieć czemu polubiła to zwierzę.

Miała wreszcie chwilę czasu na uporządkowanie wrażeń. Było ich wiele, zbyt wiele! I przecież...

Zamyśliła się.

Zdumiewał ją ten człowiek. Zdumiewał jego sposób bycia, słowa, szybkość z jaką podejmował nieodwracalne decyzje... Oto, nie zwracając żadnej uwagi na służbę, porywa najpiękniejszą kobietę Dartanu z jej własnego domu, przy czym robi to z godną podziwu zimną krwią i pewnością siebie, by nie rzec — z wprawą. Wartujących przy bramie gwardzistów, zbywa kilkoma słowy. Ech, pozdrawiają go jeszcze, zamiast krzyczeć, pojmać i wtrącić do lochu...

Potrząsnęła lekko głową, jakby niedowierzając własnej pamięci. Czy to się mogło zdarzyć? Ona, piękna Leyna, porwana, uprowadzona... Gdzie tam uprowadzona. Zabrana! Zabrana z własnego domu wbrew woli, wbrew... O, na wszystkie Pasma, jakże daleko było teraz spokojne (nudne!), gładko płynące życie, jakie wiodła dotąd! Uciekło gdzieś, odpłynęło — może bezpowrotnie. Przeraziła się, że to może być prawda; po raz pierwszy zastanowiła się, jak daleko jest koniec tej przygody. Przygryzła lekko usta, czując dreszcz.

Znów wróciła pamięcią do chwili, gdy wezwała niewolnika. A wtedy on...

Przesunęła językiem po wargach, wbijając oczy w ciemność.

Porwanie, została naprawdę porwana. To było prawdziwe porwanie.

Usiadła na dużym, do połowy ukrytym w ziemi kamieniu, wsunęła ręce pod suknię i, korzystając z mroku i samotności, zaczęła masować obolałe uda. Znów z nagłym gniewem pomyślała o czekającej ją, męczącej podróży. Porwał, no dobrze... Ale mógł przecież zadbać o jakiś zaprzęg, jeśli już nie stać go na lektykę.

No i była głodna.

Fascynował ją. Ten Grombelardczyk. Żołnierz. Setnik gwardii. Uświadomiła to sobie w jednej chwili i od razu z przerażającą jasnością. Był mężczyzną... mężczyzną który...

Nie znała dotąd takich mężczyzn! Mężczyzn, którzy wyzywająco patrzyliby jej w oczy, hamowali gniew wykonując jej polecenia... Ci,

których znała, wszyscy byli tacy sami. Zupełnie tacy sami. Przyjmowała ich hołdy, ale nudziły ją...

Znów poczuła ciarki na plecach. Policzki poczerwieniały.

Mężczyznę z mieczem przy boku w jej domu... bijącego ją po twarzy jak pierwszą lepszą niewolnicę — widziała po raz pierwszy. To było... Och, bała się go po prostu! Bała się po raz pierwszy w życiu... ale zarówno ten strach, jak i ból, były zbyt niezwykle, zbyt podniecające, by od nich uciekać, być może raz na zawsze...

Gold wynurzył się z mroku, prowadząc dwa ciężko objuczone konie. Prędko obciągnęła suknię i wstała. Podał jej jakieś zawiniątko.

— To męski strój podróżny — wyjaśnił. — Przebierz się, wasza godność, za węglem budynku.

Z wahaniem wzięła pakunek do ręki.

— Męski strój... — powiedziała niepewnie.

— Cóż w tym złego? W sukni kiepsko się siedzi na koniu. Poza tym podróżująca kobieta bardzo zwraca uwagę. Co prawda, nie istnieje taki przyodziewek, który dość dobrze ukryje twoją płęć, wasza godność — skonstatował i nie wiedziała, czy to ma być jakiś... grombelardzki komplement?

Popchnął ją lekko ku narożnikowi gospody. Dopiero wtedy dotarł do niej sens polecenia.

— Mój panie, tyś się chyba upił! — powiedziała lodowato. — Zapominasz, do kogo mówisz. Miałabym się rozbierać pod ścianą jakiejś podejrzananej rudery? Jak pierwsza lepsza ulicznica?

— Zrozumiałem, że kurwisz się czasem, wasza godność, na przedmieściach?

Czarna mgła zasłoniła jej wzrok, poczuła narastającą w gardle dziką furję. Wyobrażał... pozwalał sobie... Trzasnęła go w twarz z całej siły i zamierzyła się do nowego ciosu, ale zatrzymał jej dłoń. Patrzył spokojnie, choć z niedostrzegalnym niemal, ironicznym uśmiechem na ustach.

— Nie bij mnie, pani.

Stęknąwszy, wyrwała nadgarstek z jego dłoni.

— To dartańska oberża, prowadzona na dartańską modłę — powiedział.

— Tak? No i co z tego? — zapytała gniewnie, ale zupełnie zbita z tropu.

— Nigdzie w całym Szererze nie ma tak podłych gospód, jak u was — wyjaśnił. — Jest tu tylko jedna wspólna izba noclegowa, gdzie podróżni sypiają na sianie. Armektańska moda przyjęła się w całym Szererze, ale gdy idzie o Dartan, to tylko w niektórych miastach... Biorąc pod uwagę zajazdy, Grombelard zapewnia podróżnym wygody. Możesz mi wierzyć, wasza godność, bo bardzo wiele podróżowałem.

Puścił jej rękę.

Rozwścieczyło ją, że dziki kraj zbójów i pastuchów śmie w czymkolwiek przewyższać Dartan.

— Więc nie będę mogła się przebrać?

— W zajeździe? Raczej nie, chyba że w wielkiej wspólnej izbie, o której mówiłem. Ale ostatecznie możesz, wasza godność, podróżować w tej pięknej, zielonej sukni.

Stała przez chwilę nieruchomo, wreszcie odwróciła się i poszła w stronę budynku. Schowała się za węglem, szybko rozejrzała na boki i zaczęła rozpinać suknię. Nie umiała tego robić, zawsze korzystała z pomocy służby. Rozzłoszczona, potargała i podarła materiał; bardziej zwlekła z siebie suknię, niż ją zdjęła. Po omacku wyciągnęła z zawiniątka obcisłe nogawice. Chłodny wiatr, spływający po nagim ciele, także był czymś nowym, niezwykłym; po raz pierwszy w życiu rozebrała się pod gołym niebem... Zagryzając wargi szybko wciągnęła krótką spódnicę, uporała się z nogawicami, wbiła drobne stopy w skórzane trzewiki. Potem narzuciła cienką, jedwabną koszulkę, na to szorstki, wciągany przez głowę futrzany kaftan. Włosy związała w gruby węzeł i przepasała aksamitną wstążką.

Czuła się jak w obcej skórze. Z odrazą wzięła do ręki zimny pas z metalowych kółek i przytwierdzony doń wąski, lekki mieczyk.

— O, nie — mruknęła do siebie. — Co to, to nie.

Pochyliła się jeszcze i oddarła od sukni duży kawał materiału. Zwinęła go starannie i po krótkim namyśle zatknęła za spódnicę, pod kaftanem.

Wróciła na majdan. Gold obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

— No, nie wyglądasz pani szczególnie pociągająco — zawyrokował ze szczerością, która sprawiła, że zapałyły jej policzki. — Ale na pewno będzie ci wygodniej. I cieplej.

Wyciągnęła przed siebie rękę z mieczem.

— Zabierz to! — powiedziała ze złością. — Nie zamierzam potykać się o jakieś żelastwo!

Odebrał broń i przytroczył do juków.

— Czas w drogę, pani.

— Jestem głodna.

— Później.

— Jestem głodna!

— Ruszamy w drogę.

Obrażona, nie przyjęła pomocy, którą jej ofiarował. Sama niezdarnie wdrapała się na wielkie bydlę udając, że nie dostrzega uśmiechu setnika.

— Zachowujesz się jak dziecko, pani — powiedział wprost; chyba zawsze wszystko mówił wprost. — Wyjaśniłem już, dlaczego nie możemy sobie pozwolić na zwłokę.

— Ale ja jestem porwana i nie muszę ci pomagać.

— Nie musisz pomagać, pani, ja zaś nie chcę kneblować cię i wiązać.

— Ośmieliłbyś się?

Nie odpowiedział. Wziął do ręki cugle koni jucznych i wskoczył na siodło.

Zjechali na gościniec, zadudniły kopyta na belkach wąskiego mostu, przerzuconego nad leniwą rzeczułką. Leyna znów poczuła ból w plecach. Monotonny chód konia nużył ją, ale bardzo wątpiła, czy uda jej się zasnąć w siodle. Ziewnęła głośno, wręcz ostentacyjnie.

Gold uśmiechnął się pod wąsem. Chyba znał tylko jeden rodzaj uśmiechu: lekko ironiczny. Nie widziała go wprawdzie, bo noc była dość ciemna, lecz usłyszała w głosie mężczyzny.

— Widzę, pani — powiedział — że naprawdę traktujesz naszą wyprawę jak jakąś nową rozrywkę, będącą lekiem na trapiącą cię nudę. Ale to nie jest rozrywka i nie zabawa... Prędeż gra. Już teraz grasz o życie Baylaya, a kto wie, może i swoje własne. I zrozum wreszcie, że nie jestem twoim w tej grze przeciwnikiem.

— Jak to „o życie Baylaya”? Co mu grozi?

— Jego własna głupota — rzekł ponuro.

— Licz się ze słowami, gwardzisto, mówisz o moim bracie — upomniała zimno. — To ktoś stojący trochę wyżej od ciebie.

— Nie dał mi tego odczuć. Przeciwnie, stale podkreślał, że jestem dlań wzorem do naśladowania. Ale za to wielokrotnie wspominał o

twoim przykrym usposobieniu, wasza godność.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć.

— Dokąd mnie właściwie wieszysz? — zapytała, starając się, by wypadło to zupełnie obojętnie.

— Do granicy Obszaru, wasza godność. Do miejsca, gdzie będzie czekał twój brat. Przeczytałaś w liście.

Pokręciła głową.

— Nie pojmuję, dlaczego wciąż kłamiesz? Przecież jestem w twojej mocy, zdana na twą łaskę i niełaskę... — urwała nagle spostrzegłszy, że nieomal lubuje się brzmieniem tych słów.

Rozzłoszczona odkryciem, mówiła głośniej i gniewniej:

— Powiedz wprost, że porwałeś mnie dla siebie, nie opowiadaj mi więcej o Baylayu. Przecież prędzej albo później prawda i tak wyjdzie na jaw!

Światła gospody pozostały daleko za nimi. Było zupełnie ciemno, ale mogłaby przysiąc, że długo patrzył w jej kierunku, nim wreszcie powiedział niegłośno i jakby do siebie:

— Czyżbyś naprawdę była aż tak próżna, pani? Nie jesteś w stanie uwierzyć w żadne wytłumaczenie poza takim, że porwano cię dla twojej urody?

— Owszem, mogę uwierzyć.

— A więc...

— A więc podaj mi, panie, jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

— Powinność wobec przyjaciela... to nie jest wystarczający powód?

— Powód? Zgódźmy się na chwilę, że Baylay napisał ten list, że naprawdę znasz mojego brata. Rozumiem, że opłacił twoją podróż do Rollayny... Ale zresztą, wasza godność, to wszystko jest tak głupie, że naprawdę szkoda mi słów. Po co Baylay miałby zlecać porwanie własnej siostry?

Wyglądało na to, że Grombelardczyk w ogóle nie wie, co powiedzieć.

— No, dobrze... Gdzie i kiedy poznałeś mojego brata? — zapytała z westchnieniem. — List który mi pokazałeś...

— List rzeczywiście jest fałszywy — odrzekł ciężko.

— O, proszę — powiedziała. — List od...

Wpadł jej w słowo.

— Nie będziemy więcej rozmawiać na ten temat. Opowiem ci, pani,

jak było, ale tylko raz. Potem możesz wierzyć w cokolwiek, lub nie wierzyć w nic. Mam dosyć słuchania o tym, kto i za ile zlecił mi porwanie.

Zamilkł na moment. Chciała coś powiedzieć, ale znów wpadł jej w słowo:

— Pierwszy raz zobaczyliśmy się w Grombie, w garnizonie. Miałem służbę i przyprowadzono go do mnie, bo żądał rozmowy z komendantem. Zaprosiłem go do siebie tłumacząc, że musi wystarczyć zastępca. Nawet nie usiadł, tylko od razu zaczął pytać, jak trafić do Złego Kraju. Obejrzałem go sobie od góry do dołu... Wiesz, pani, doskonale, że nie wygląda na zabijakę. Powiedziałem mu o tym i jeszcze coś takiego: „Trzy rzeczy ci wyjaśnię, wasza godność. Po pierwsze, do Kraju nie idzie się w aksamitnych pantalonach, tylko w zbroi i z toporem na ramieniu. Po drugie, jak już ma się ten topór, to trzeba jeszcze umieć nim machać. A po trzecie, do Złego Kraju nie idzie się tak sobie, tylko z jakiegoś powodu. Jeśli chcesz, bym pomógł ci zginąć, powiedz chociaż, w imię czego mam to uczynić”.

Gold przerwał i zamyślił się. Leyna jechała z lekkim, niedowierzającym uśmiechem na ustach. Kopyta końskie stukwały monotonnie.

— Pierwszy raz w życiu widziałem wtedy płaczącego mężczyznę — podjął po chwili. — To był widok, jakiego nie zapomnę. Widziałem łzy u ojca, gdy umierała moja matka, ale to nie był płacz, bo łza nie przynosi ujmy mężczyźnie, jest dowodem smutku, ale nie słabości... Co innego rozpaczliwe szlochanie! Nie wierzyłem własnym oczom, w końcu powiedziałem twemu bratu, że obojętne mi jego nazwisko i pochodzenie, ma natychmiast wynieść się z terenu garnizonu, zanim zawołam żołnierzy, żeby go wyrzucili. I poszedł. Myślałem, że na tym koniec sprawy. Ale on przyszedł znowu, nazajutrz, był w nowej lamelkowej zbroi, a w garści trzymał całkiem niezły, chociaż lekki topór... Najpierw ogarnęło mnie zdziwienie, potem złość, a wreszcie śmiech. Koniec końców, wysłuchałem go... Historia uprowadzenia jej godności Ilary brzmi niewiarygodnie, ale w Grombelardzie zdarzają się i takie, i daleko dziwniejsze historie.

— Nie rozumiem — zaczęła kpiąco — dlaczego Ilara...

— Pozwól mi skończyć, wasza godność! — przerwał ostro. — Powiedziałem, że nie chcę rozmawiać na ten temat! Nie obchodzą mnie

twoje dociekania, ile i za co zapłacił mi Baylay. Przedstawiam powody, dla których jesteś tu ze mną, bo masz prawo i powinnaś je znać. To wszystko.

Zaległo krótkie milczenie.

— Twój brat, pani — podjął, starannie ważąc słowa — ma... ogromny dar zjednywania sobie ludzi... Nie zwykłem ofiarować przyjaźni każdemu, kogo napotkam. A jednak ten człowiek zdobył ją. W Grombelardzie mówią „Dartańczyk” myślisz „śmieszny tchórz”. Ale on...

Setnik urwał. Nie potrafił mówić o uczuciach i zdawał sobie z tego sprawę.

— Wiesz, pani, że pojechał do Armektu. Nie odnalazł tam żony, wyjechała z pewnym człowiekiem... podobno dobrowolnie. Nie potrafię wyjaśnić, co mędrzec Szerni robił w armektańskiej Rinie, ale wygląda na to, że twój brat, pani, bardzo dokładnie sprawdził uzyskane wiadomości. Brule-Przyjęty, to imię jest dobrze znane w Grombelardzie. Szukając żony, Baylay trafił aż do Grombu. Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, bo skłonić go do porzucenia myśli o wyprawie. Daremnie. Więc pomogłem mu, jak umiałem.

Gold zamilkł na chwilę. Przed rokiem zmarła mu żona. Nie chciał mówić, jak bardzo wspomnienie o niej zaważyło na wszystkich decyzjach, które podjął, by wesprzeć nowego przyjaciela.

— Nie mogąc zmusić go do pozostania w Grombie, ułożyłem plan. Może zły, może głupi... To prawda, pani, sfałszowałem list, Baylay nigdy go nie napisał. Ale opowiadał mi o tobie, więc myślałem... Jeszcze tego samego dnia, gdy wyruszył, poprosiłem o zaległy urlop i pojechałem do Dartanu. Posłałem twego brata do miejsca, gdzie powinien czekać na najlepszą przewodniczkę, jaką znają Ciężkie Góry. Może spotka się z nią, może nie, ale na pewno zajmie to trochę czasu. Tak czy inaczej, najkrótszy obecnie szlak do Złego Kraju zaczyna się w Badorze, a kończy w miejscu, gdzie niedawno wzniesiono silną stanicę obsadzoną przez garnizon Legii Grombelardzkiej. Powinniśmy zdążyć tuż przed Baylayem. Na wypadek, gdyby jednak przybył pierwszy, posłałem list do komendanta tej placówki. Zatrzyma twego brata choćby siłą. Aż do naszego przybycia. Chcę, byś spotkała się z Baylayem i odwiodła go od tej wyprawy. Jedyne, co może znaleźć w Złym Kraju, to śmierć.

Zamilkł na moment.

— Ale jednak, jeśli i twoja perswazja zawiedzie — podjął — pójdziemy do Obszaru razem z nim. Mój urlop wkrótce się kończy, ale zorganizowałem wszystko w taki sposób, że na Czarne Wybrzeże wyruszy z Baylayem oddział wojska. I ty, pani. To najważniejsze.

— Ja? — zapytała z nieskrywanym rozdrażnieniem.

Przygryzł wargi; nie wierzyła mu.

— Ja? — powtórzyła gniewnie i wyzywająco. — A cóż ja miałabym robić na jakimś Czarnym Wybrzeżu, skoro nawet nie wiem... Jestem kobietą! Mam wywijać mieczem? To akurat Baylay potrafi wybornie, chociaż może o tym nie wiesz, mój panie! — zakończyła z pogardą, śmiejąc się nerwowo.

— Wiem.

Zmarszczył brwi.

— Za to wy, Dartańczycy — dorzucił — nie wiecie nic o niczym, a już zupełnie nie znacie Szerni.

— No dobrze, ale co to ma do rzeczy?

— W Złym Kraju Szerń dotyka ziemi. Sięgnąć do Pasm może tylko Przyjęty, albo człowiek mający Porzucony Przedmiot. Jednak Porzucone Przedmioty w Złym Kraju niewiele pomagają, wręcz przeciwnie, ściągają Strażników Obszaru. Przyjętym zaś żadne z nas nie jest. Istnieje jednak trzecia potęga, umożliwiająca wezwanie sił Szerni. Nikt nie wie dlaczego, ale Pasma, w obliczu niebezpieczeństw, bardzo chętnie wspierają siostry i braci. Przecież jesteś, pani, córką ulubionego kraju Szerni... mieszkasz w mieście noszącym imię najpotężniejszej z jej wysłanniczek... Czyżbyś nigdy nie słyszała o misji Trzech Sióstr? Jak sądzisz, dlaczego Szerń kazała być im właśnie siostrami?

Usiłował dostrzec w mroku jej twarz.

— Powiedz, pani, czy chcesz uratować swego brata? Czy chcesz mu pomóc?

— Posłuchaj mnie, Grombelardczyku — odrzekła poważnie, po długiej chwili ciszy. — Ja ci nie wierzę. Nie wierzę. Nigdy w życiu nie słyszałam tak nieprawdopodobnej historii. Porwałeś mnie, mówisz, bym porozmawiała z Baylayem? Ależ, mój dobry żołnierzyku (o ile w ogóle nim jesteś, w co zaczynam wątpić) przecież Baylay oddałby cię w ręce Trybunału na pierwsza wzmiankę o tym, że zamierzasz podnieść na mnie rękę! Mam wierzyć, że skazałeś się na twierdzą, byle tylko zmusić mnie

do rozmowy z bratem?!

— Gdy dojdzie do tej rozmowy, będę oczekiwał raczej twoich podziękowań, pani, niż oskarżeń.

— Gdy dojdzie! Jeśli dojdzie! Jeśli! — zawołała. — Ale czy dojdzie? Rozmowa, bardzo pięknie!

Gold milczał — bo sam nie rozumiał, co właściwie zaszło. Miała słuszność. Inaczej wyobrażał sobie wszystko, a właściwie: wcale sobie nie wyobrażał... Pojechał do Dartanu właściwie tylko po to, by przypieczętować swą klęskę. Sfałszował list, poczynił przygotowania do uprowadzenia dziewczyny — tylko po to, by mieć czyste sumienie. Chciał powiedzieć sobie: zrobiłem wszystko, co mogłem. W głębi duszy był przekonany, że Dartanka wezwie kilku służących, którzy srodze go poturbują, a następnie oddadzą w ręce zawezwanych żołnierzy. Wykpiłby się jakoś i wrócił do Grombelardu... Lecz wszystko potoczyło się inaczej; wszystko zrobiło się samo. Już wtedy, w jej domu w Rollaynie. Przecież jej godność A.B.D.Leyna dała się porwać tak skwapliwie i ochoczo, jakby tylko na to czekała.

— Prędzej czy później — stwierdziła — będziesz sądzony, wasza godność. Ale wciąż masz szansę uniknięcia kary. Nie muszę oskarżyć cię o nic, bardzo wiele mogę puścić w niepamięć... Nie wiem, jakie plany snujesz względem mnie, ale jestem jedyną twoją nadzieją. Spraw, żebym była zadowolona, a... zobaczymy. No? Czy powiesz mi wreszcie prawdę? Kim jesteś i w jakim celu wymyśliłeś tę historię z moim bratem? Widzę, że naprawdę musiałeś go znać; w jakich okolicznościach się zetknęliście? Słucham, nie zamierzam ukrywać, że jestem bardzo ciekawa!

Nagle zaczął rozważać, czy istotnie nie skorzystać z uchylonej furtki. Może naprawdę powinien wymyślić jakąś historię, która spodobałaby się pięknej brance. Mógł jeszcze wycofać się i uciec...

Mógł uciec.

*

Gdy zeskoczył z konia i wyciągnął do niej rękę, raczej spadła niż zsunęła się z siodła. Była nieludzko, wręcz potwornie zmęczona. Bolało ją wszystko: nogi, plecy, kark. Powieki miała ciężkie, jak z kamienia. Nie pamiętała prawie, jak ją zaprowadził do niewielkiej, straszliwie biednej, ale dość czystej izby, pomógł ściągnąć buty, położył na twardej pryczy i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wymamrotała coś niewyraźnie i

przekręciła się na bok. Zasnęła natychmiast.

Gold obserwował ją przez szparę w niedomkniętych drzwiach, potem wyszedł przed chatę i porozmawiał z drwalem, do którego chata należała. Żaden z nich nie był człowiekiem zamożnym, choć oczywiście zarobki drwala miały się całkiem nijak do żołdu oficera wojsk cesarskich... Targowali się dość zawzięcie, w końcu właściciel chaty odszedł, unosząc dwie sztuki srebra — nie było to dużo zważywszy, że musiał podzielić się pieniędzmi z pracującym w lesie towarzyszem. Gold oporządził konie. Nie mógł pozwolić sobie na głęboki i krzepiący sen, w grę wchodziła najwyżej żołnierska drzemka na siedząco. Ale też setnik nie był człowiekiem, którego powaliłaby doba spędzona w siodle; owszem, odczuwał pewne znużenie, ale przecież nie leciał z nóg.

Zbliżało się południe, rozpakował więc juki i przygotował sobie suty posiłek. Potem przyniósł jeszcze bukłak z winem i usiadł na zrobionej z grubo ciosanego pnia ławie, postawionej przy ścianie domu. Jadł, pił i rozmyślał, wodząc spojrzeniem po szczytach okolicznych drzew. Zdecydował już, że się nie podda. Nie wycofa. Ale ta Dartanka... Jeśli miał wytrwać w swym postanowieniu, to powinien zachowywać się inaczej. Był wobec niej zbyt uległy, niepotrzebnie pozwalał na kaprysy.

Szorstki i twardy grombelardzki setnik umiał zdobyć się na szczerłość wobec samego siebie. Hardość tej władczej pani imponowała mu, choć jednocześnie gardził jej wielkopańskimi nawykami. Nie znał takich kobiet... W jej postępowaniu było coś nieomal... lubieżnego. Piękna kobieta, która wiedziała, że jest piękna i oczekiwała tylko tego, by to uznawano, podziwiano, żądała hołdów, tak jak cesarski poborca podatków. Złościły go kaprysy, ale znowu — jakże podniecająca była kobieta, która tak kaprysiła! Jednak ten jej obrzydliwy stosunek do przyjaźni, która dla niego była uczuciem prawie świętym; potrafił być w przyjaźni bezinteresowny! Wiedział doskonale, dlaczego w przypadku Dartanki jest inaczej. Ona po prostu nie potrafiła zrozumieć, że ktoś z Domu A.B.D., ktoś taki jak jej brat, mógłby się zaprzyjaźnić z człowiekiem niżej stojącym, choćby mężczyzną Czystej Krwi, choćby nawet oficerem gwardii. Nigdzie w całym Cesarstwie nie przywiązywano do urodzenia tak wielkiej wagi, jak w Dartanie, a już w Rollaynie... Armekt, wraz z architekturą i sztuką, przejął także dartańskie formy towarzyskie, stworzył dwory magnackie w swoich miastach. Jednak zawód żołnierza,

uświęcony przez tradycje armektańskie, podwyższał status człowieka. Stopień setnika gwardii stawiał Golda niemal na samym szczycie drabiny; książęta prowincji, ba, nawet sam cesarz, bez żadnej ujmy mogli prosić kogoś takiego do swych stołów. I prosili! Gold dziwił się, że Leyna nie pamięta o tym. Może po prostu nie chciała pamiętać? Pragnęła zachować dystans, patrzeć na niego z góry... Miała piękne ciało i zepsutą duszę. Chciałby wierzyć, że tak nie jest, a przynajmniej — że tak nie będzie zawsze.

Była siostrą Baylaya. Porwał ją... ale nie potrafiłby spojrzeć Baylawowi w oczy, gdyby jego siostrze spadł włos z głowy. Czuł się za nią odpowiedzialny, lecz nie lubił jej, chwilami prawie nienawidził i... z jakichś powodów nie chciał, by pozostała taką, jaką była. Zdawał sobie sprawę, że jest intruzem w życiu tej kobiety, że nie ma prawa żądać od niej czegokolwiek.

A jednak miał ochotę zażądać.

Zjadł, wytarł ręce o brzeg spódnicy i wygodnie rozparł się na ławie. Oparł plecy o ścianę domu. Przymknął oczy i zdrzemnął się trochę, potem ocknął, zmienił pozycję i znów zasnął.

Był późny wieczór, gdy wszedł do ubogiej izdebki, niosąc zapalony kaganek, jedzenie i bukłak z winem. Zły na siebie, że uległ słabości i przybiegł do niej z posiłkiem jak służący, położył chleb i wędzone mięso na stole. Uniósł kaganek do góry i przez chwilę patrzył na twarz dziewczyny. Spała jak dziecko, z policzkiem opartym na przedramieniu. Wyglądała tak spokojnie i niewinnie, że nagle odniósł wrażenie, iż widzi ją po raz pierwszy. Ale wygnieciona i podwinięta spódnica odsłaniała długie i kształtne nogi, opięte nogawicami; nie były to nogi dziecka! Zdał sobie sprawę, jak niebezpieczna jest taka uroda. Jej godność A.B.D.Leyna zupełnie jawnie uważała się za najpiękniejszą kobietę Rollayny — i niestety, miała chyba słuszność... Nigdy dotąd nie widział kobiety o takich kształtach, takich włosach, takich rysach twarzy... Nieomal uradował się, znalazłszy skazę: miała zbyt wysoki, nieprzyjemnie brzmiący, ostry głos. Głos jędzy (a zatem w sam raz). Nie była to wada urody — ale jednak.

Dał jej zbyt mało czasu, by mogła należycie wypocząć. Miał niejasne... poczucie winy. Zbliżył się i lekko dotknął ramienia śpiącej. Potrząsnął. Mruknęła coś, nie otwierając oczu i przetoczyła się na plecy.

Fala gęstych włosów spadła mu na dłoń.

— Czas... czas w drogę, pani — powiedział cicho i tak tkliwie, że aż przygryzł usta, zaskoczony brzmieniem własnego głosu.

Raz jeszcze wyciągnął rękę. Mocno, zbyt mocno chyba potrząsnął jej ramieniem. Otworzyła oczy i gwałtownie usiadła na pryczy.

— Jak śmiesz mnie dotykać bez pozwolenia?! — zapytała. — Kim ty jesteś? Jeśli chcesz mnie obudzić, to zawołaj, ale ręce trzymaj z daleka!

Jakieś ciepłe, przyjemne słowo, które już miał na języku, spłynęło do żołądka wraz ze śliną.

— Czas w drogę — powiedział szorstko. — Za chwilę masz być gotowa, pani. Na stole jest chleb, mięso i wino, gdy będziesz wychodziła, zabierz bukłak. Czekam przy koniach.

Nagle uśmiechnął się szyderczo, widząc jej zapuchnięte od snu oczy, które chciały być władcze i groźne. Obudzona, wyglądała jak każda inna kobieta: nie najpiękniej. Odkrył, że cieszy go najmniejsza nawet rysa dostrzeżona na tym klejnocie...

Zobaczyła jego uśmiech i wpadła w gniew. Nie miał natury dworaka i nigdy dworakiem nie był — teraz udzielano mu bardzo brutalnych lekcji, jak powinien się uśmiechać, co i kiedy mówić, jak wyglądać.

— Wyjdź stąd — powiedziała. — Nie będę jadła przy tobie.

— O, a dlaczego? — zapytał drwiąco.

— Bo to niemożliwe. W twojej obecności mogłabym najwyżej...

Spokojnie i dokładnie opowiedziała, jak ceni jego towarzystwo i co mogłaby przy nim robić. Nie wierzył własnym uszom; nie rozumiał, jak podobne słowa mają się do Złotej Rollayny, starych dartańskich Domów, sukni, form towarzyskich i wszystkich tych baśniowych historii... Mogłaby iść o lepsze z odbywającymi patrol żołnierzami.

— Będę czekał przy koniach — powiedział, zanim skończyła.

I wyszedł.

Wierzchowce stały osiodłane i gotowe do drogi. Popatrzywszy w rozgwieżdżone niebo, Gold oddalił się nieco od chaty i zawołał. Miał pewność, że drwale dawno już wrócili z lasu i teraz czekali gdzieś nieopodal. Nie pomylił się. Z mroku nocy wynurzyły się dwie czarne sylwetki.

— Możecie wracać do swojego domu — powiedział. — Jeszcze nie teraz, dopiero gdy odjedziemy.

Machnął ręką, ucinając potok podziękowań. Brzydzili go ci ludzie. Doprawdy, stokroć wolał dzikich wieśniaków grombelardzkich; nie byli głupszy, niż ci tutaj, bo było to niemożliwe, ale przynajmniej mogli stać się niebezpieczni. W Dartanie spotykał tylko głupie, cuchnące wieprze.

Wrócił do koni myśląc o tym, jak niewiele znaczy pochodzenie. Służąc w Armekcie, pod północną granicą, poznał wieśniaków armektańskich. To nie były zwierzęta! Szanował tych ludzi tak samo, jak swoich żołnierzy. Bo też byli w jego oczach raczej jakimś wojskiem nieregularnym, niżli chłopstwem. Mieli swoją godność, słuchali starszego wioski, wobec obcych zachowywali się powściągliwie, lecz na unізoność ci obcy musieli zasłużyć... A przecież pochodzenie wszyscy mieli takie same: chłopci dartańscy, chłopci grombelardzcy i chłopci armektańscy. Od czego zależy szacunek, jakim darzy się drugiego człowieka?

Wzruszył ramionami. Ostatnio zbyt często rozmyślał o sprawach nie mających żadnego znaczenia.

*

Z obawy przed pościgiem porzucili główny gościniec. Jechali przez lasy, czasem między szeroko rozłożonymi polami — ale jakieś drzewa zawsze były w zasięgu wzroku. Najpiękniejsze lasy Szereru. Liściaste, ale suche, przestronne, jasne, pełne polan, obfitujące w zwierzynę; gibkie sarny niejednokrotnie zrywały się do biegu, śmigając tuż przed końskimi łbami. Leyna zachwycała się urodą tych lasów; tradycje wielkich polowań dawno już odeszły do przeszłości i dartańska kobieta szlchetnego rodu nie знаła krajobrazów Dartanu. Podróże zawsze uważano tutaj za przykrą konieczność; dartański rycerz podróżował tylko wtedy, gdy musiał — nie musiał zaś prawie nigdy. Jej godność A.B.D.Leyna nie była wyjątkiem. Znała tylko Dartan Złotej Rollayny i majątków położonych przy stolicy: Dartan świetnych domów, wielkich nazwisk, hucznych balów i wystawnych uczt; ostatecznie Dartan zapaśniczych zawodów, konnych wyścigów, turniejów i krwawych aren, gdzie szkoleni do walki niewolnicy zmagali się z dzikimi zwierzętami, bądź podobnymi sobie straceńcami. Dartan bezkresnych lasów, szeroko rozrzuconych pól i leniwych rzek był jej zupełnie obcy. Lasy? pola? — ależ, miała jakieś dobra tu i tam; pola uprawne dostarczały plonów, a więc złota, lecz trafił się tym jej zarządca, lub co najwyżej mąż (jeszcze zanim szczęśliwie owdowiała i wróciła — bogatsza! — do Domu A.B.D.);

ona sama, przez dwadzieścia dwa lata życia, nigdy nie była w swoich majątkach — bo i po co? Miała oglądać swoich chłopów? Czy patrzeć, jak rośnie zboże?

Gold spokojnie i pewnie wiódł po bezdrożach; Leyna od dawna już straciła orientację, nie wiedziała dokąd jada; mogliby kręcić się w kółko.

Często mijali wioski — zwykle dość duże, ale biedne. Chłopi na ich widok pospiesznie odpędzali chmary brudnych dzieciaków, bojąc się by wrzaski i bieganina nie obraziły podróżnych. Gold ze stale powracającą niechęcią spoglądał na tych zahukanych niewolników — bo byli właśnie niewolnikami, i to najpodlejszego sortu. Dało się ich sprzedać najwyżej razem z wioską i ziemią, bez tej ziemi nikt by nie kupił... Leyna brzydziła się nawet patrzeć. Letnia chata drwali, w której wcześniej gościli, nie była zwykłym domem, dwaj samotni mężczyźni, uwolnieni od bab, a przede wszystkim od gromady śmierzących dzieciaków, potrafili utrzymać jaki taki porządek — zresztą, była tak zmęczona, że nawet nie obejrzała wnętrza domu. Ale teraz przerażała ją myśl, że następny nocleg wypadnie w jakiejś wsi.

— Pod gołym niebem — krótko odparł Gold, gdy zapytała. — Będziemy nocować pod gołym niebem, wasza godność.

— A jeśli spadnie deszcz? — zapytała, przerażona do tego stopnia, że zapomniała się obrazić.

— Zbuduję szałas — powiedział.

Zrozumiała nagle, że mężczyzna kpi sobie z niej — i wpadła we wściekłość. Spokojnie przeczekał wybuch.

— To moja wina — powiedział na koniec. — Przyzwyczailem cię do słowa „pani”, tytułowałem godnością, a nie należało tego robić. Jedziemy do Grombelardu, a ty wciąż zachowujesz się tak, jakbyś była na przyjęciu wydanym przez któryś z wielkich Domów Rollayny.

Patrzyła na niego z otwartymi w bezbrzeżnym zdumieniu ustami.

— Spójrz — wskazał przed siebie. — Czy widzisz jakąś drogę? Nie widzisz, bo jej nie ma... Ale wkrótce wrócimy na gościniec, a wtedy zobaczysz, jak bardzo jest popękany i nierówny. A od grombelardzkiej granicy będzie to jedyny szlak, łączący cały Szerer z Badorem, Grombem i Rahgarem. Trakt, owszem, ale za Sępią Przełęczą już tylko z nazwy. Jest to taka droga, na której konie łamią nogi, a wozom pękają koła. Niedaleko zresztą mogą dotrzeć wozy, bo tylko do Badoru. Potem już nie

będzie żadnej drogi, będzie tylko ścieżka... A wszędzie góry, góry i góry.

— Czy ty... naprawdę chcesz mnie zawieźć do tego Grombelardu?

Uśmiechnął się ironicznie i już miał odpowiedzieć, gdy spojrzał na jej twarz... Zrozumiał nagle, że gotowa jest mu wreszcie uwierzyć i — rzucić się do ucieczki. Gotowa krzyczeć, walczyć i płakać, gryźć i kopać, gdy ją pochwyci. Dotarło doń, iż podróżują tak spokojnie wyłącznie dlatego, że dartańska piękność wciąż sądzi, że została porwana dla swojej urody. Głęboko wierzyła w istnienie jakiegoś świetnego domu, do którego trafi już jutro, a najdalej pojutrze wieczorem i będzie tam więziona rozkosznie i uroczo, jak księżniczka z dartańskiej legendy. Otoczona niewolnikami, adorowana, pożądana... Szorstki porywacz-rozbójnik przeobrazi się w wykwintnie odzianego mężczyznę, stosującego straszliwą przemoc w sypialni... Wezbrał mu w piersi dziki śmiech; nie wyobrażał sobie nawet, że istnieją na świecie aż tak głupie i próżne kobiety! Przecież historia Baylaya, w którą nie umiała uwierzyć, była wręcz siernięźnie wiarygodna wobec tego, co sobie uroiła jej godność A.B.D.Leyna!

Przyjął wreszcie do wiadomości, że oto dotarł do rozstajnych dróg: albo po raz kolejny potwierdzi, że jadą na pomoc Baylayowi, a wtedy będzie zmuszony wieźć ją skrępowaną i zakneblowaną; albo też zacznie wreszcie kłamać.

— Przebacz mi, wasza godność — powiedział odwracając spojrzenie. — Bałem się powiedzieć ci prawdę, bo czeka nas jeszcze dosyć długa podróż... Czy obiecasz mi, że jeśli powiem dokąd jedziemy, nie spróbujesz ucieczki?

Nie był przygotowany na tak żywiołową reakcję. Dziewczyna poróżnowiała na policzkach i zdawało mu się, że wręcz słyszy, jak mocniej uderza jej serce.

— Zastanowię się — powiedziała mocno stłumionym głosem. — To będzie zależało od tego, co powiesz...

Przymknął na chwilę oczy, a potem zaczął wygadywać niesłychane głupstwa, które koniecznie chciała usłyszeć jego branka.

4.

Baylay przeskoczył wąski, zmierzający ku przepaści strumień i

stanął przed czymś, co Łowczyni nazwała najpierw chatką, a potem „ludzką sadybą”. Druga nazwa była o wiele trafniejsza: miał przed sobą drewnianą ścianę z drzwiami i krzywym oknem; owa ściana wbudowana była w litą skałę, zamykając — jak się zdawało — wylot jaskini, lub obszernego zagłębienia.

Okolice nie była ani mniej, ani bardziej ponura, niż zazwyczaj w tych stronach. Jak wszędzie w Ciężkich Górach — skały, skały i skały. Ale ta ściana z poczerniałych od wilgoci desek, zbudowana nie wiadomo jak dawno i przez kogo, wydała się Baylawi dziwnie niesamowita. Nieprzyjazna.

Zrobił dwa kroki w stronę drzwi. Chciał zawołać, ale naraz wydało mu się to niewłaściwe.

Stare deski patrzyły nań krzywymi ślepiami sęków.

— Hej, jest tam kto? — raczej zapytał, niż zawołał.

Drzwi otwarły się po chwili i Baylay zobaczył przed sobą siwowłosego starca. Twarz i oczy nakazywały szacunek dla sędziwego wieku, ale wyprostowana sylwetka przywodziła na myśl raczej mężczyznę w średnich latach.

— Witam cię, panie, kimkolwiek jesteś. Radują mnie każde odwiedziny.

Baylay starał się nie okazać zmieszania. Czuł się zakłopotany i onieśmielony. Nie próbował dociekać, kim jest gospodarz domu-jaskini, ale od razu zyskał świadomość, że to postać nietuzinkowa. Słowa zostały wypowiedziane w języku Kinen, czyli uproszczonym armektańskim — ale ten człowiek niewątpliwie znał także wysokie języki Armektu. Bo mowa zdobywców Szereru, bardzo piękna i trudna, miała liczne odmiany. Armektański, którego używano na co dzień, bardzo różnił się od tego, który służył do podniosłych opisów; ten drugi, wysoki armektański, zawierał setki i tysiące słów używanych tylko przy specjalnych okazjach. Powiadano, że nikt na świecie nie zna wszystkich uroczystych i odświętnych określeń występujących w tym języku... Ale starzec z górskiej chaty-jaskini na pewno obcował z wysoką mową. Używając Kinenu, wplótł słowo nie należące do prostego armektańskiego.

— Witam, panie — rzekł Baylay, posługując się tym samym językiem, co gospodarz, ale w pełnym brzmieniu. — Zdaje mi się, że

niewygodny Kinen możemy zostawić na użytek grombelardzkich górali... Czy się mylę?

Starzec uniósł brwi i roześmiał się szczerze.

— Żaden prawdziwy grombelardzki góral nie umie porządnie mówić nawet w swoim własnym języku — odparł. — Wejdz, wejdz do mnie, wędrowcze, zapraszam! Nigdy dotąd nie gościłem Dartańczyka!

Baylay skorzystał z zaproszenia.

— Czy to akcent mnie zdradził? — zapytał przekraczając próg.

— Prawie nieuchwytny — potwierdził starzec. — Ściśle mówiąc, domyśliłem się tylko, że nie jesteś, panie, Armektańczykiem... A ponieważ nie jesteś też synem tego oto miłego kraju, to kim możesz być?... Przyznasz słuszność memu rozumowaniu?

Baylay skinął głową z uśmiechem.

— W tej części gór nazywają mnie po prostu Starcem — powiedział gospodarz zamykając drzwi. — Ostrożnie, chłopcze... Łatwo tu się potknąć i przewrócić.

Baylay skorzystał z ostrzeżenia i poczekał przy drzwiach, aż oczy przywykły do panującego w jaskini półmroku. Bo istotnie była to jaskinia, i to nawet dosyć obszerna, chociaż zagospodarowano tylko jej kawałek. Kwadratowe okno wpuszczało sporo światła, więc już po chwili Baylay mógł przyjrzeć się wyposażeniu „izby” — bo tak chyba należało nazywać mieszkalną część sadyby. Tuż przy oknie stał wielki, mocny stół, zasłany gęsto zapisanymi kartami. Obok kart leżały cztery grube księgi; następne cztery położono na solidnym zydłu, stojącym tuż przy stole. Baylay, nie kryjąc zaskoczenia, rozglądał się dokoła. Księgi były wszędzie! Wyglądały z otwartej skrzyni, postawionej pod ścianą; w stosach po trzy lub cztery złożono je na szerokiej ławie, zaś na półkach wielkiej szafy, postawionej w głębi, piętrzyły się liczne zwoje... Baylay ledwie zauważył szerokie i chyba dość wygodne łóżko, palenisko pod skalnym kominem, jeszcze kilka ław i parę zamkniętych skrzyń. Całą jego uwagę pochłonęły zwoje i księgi. Stanowiły pokaźny majątek! Kim był samotny starzec z gór, nie obawiający się o swoje zdrowie i życie w dzikim kraju, gdzie dla sztuki srebra człowiek gotów był zabić drugiego?

— Jak zdołałeś zgromadzić tyle ksiąg, panie? — wyrwało się Dartańczykowi. — Nie obawiasz się o swoje życie? Trzymasz tu istną fortunę!

Starzec spoczął na ławie i uśmiechnął się wyrozumiale.

— Istnieją na świecie daleko obszerniejsze księgozbiory — powiedział, puszczając mimo uszu drugie pytanie. — Dziś w Armeckie zwłaszcza zwoje są dosyć powszechne, a i księgi nie mają takiej wartości, jak kiedyś. Ale usiądź, młodzieńcze. Czy jesteś głodny, lub może spragniony? Niestety, wino skończyło mi się przed paroma dniami, może być tylko woda.

Baylay usiadł na niskim zydelku i podziękował za poczęstunek. Rozejrzawszy się dokoła, położył swój worek i miecz na wieku stojącej obok skrzyni.

— Aż dwoje ludzi skierował mnie do ciebie, panie — powiedział — a pomimo to nie wiem, czy dobrze zrobiłem przychodząc.

Starzec ożywił się.

— Nie zbłądziłeś więc tutaj przypadkiem, szedłeś do mnie.

— Tak, panie. Drogę do ciebie wskazał mi przyjaciel, ale... zbłądziłem. Lecz wczoraj wieczorem spotkałem kobietę, która... Powiedziała, żebym się na nią powołał — Baylay nie wiedział, jak wyjaśnić, że Gold skierował go tutaj, by pytał o przewodniczkę, którą właśnie obraził przy wieczornym ognisku...

Na wzmiankę o spotkanej kobiecie starzec spojrział uważniej.

— Ach, więc to tak... — powiedział z lekkim zdziwieniem. — No, prawdę rzekłszy — mruknął zrzędliwie, jakby sam do siebie — najwyższy już czas, by pokazała, że żyje... Kim jesteś, wasza godność — zapytał głośniejszym, z ledwie uchwytną ironią — że sama Królowa Gór jest ci przyjazna? Bo to ona, Łowczyni, czy tak?

Baylay potwierdził.

Starzec pokręcił głową.

— Pierwszy raz podejmuję u siebie jej protegowanego — mruknął żartobliwie. — Ale słucham cię, panie, słucham cię!

— Lecz to już wszystko. Bardzo potrzebuję przewodnika, albo przewodniczki. Szedłem do ciebie, panie, by prosić o pomoc w odnalezieniu Łowczyni.

— Ale zdaje się, że już ją odnalazłeś? Czy nie powiedziałaś...?

— Nie od razu rozpoznałem ją, panie — pospiesznie wyjaśnił Baylay. — Dopiero gdy odeszła.

— Wybierasz się dokądś?

— Do Złego Kraju, panie.

Starzec zmarszczył się.

— To dziwne — rzekł. — Nie wydaje mi się, byś był panie człowiekiem wędrującym do Romogo-Koor... do Złego Kraju po skarby, albo dla przeżycia byle jakiej przygody.

— Rzeczywiście, nie idę tam bez powodu... Bo skarby, albo przygody, znaczą dla mnie tyle co nic. Jestem, wasza godność, zamożny, a nawet bogaty, zaś przygód szczerze nie lubię. Uważam, że przeżyłem ich w życiu aż nadto.

Zaległa krótka cisza.

— Wasza godność, otóż jestem człowiekiem naprawdę bardzo ciekawskim — rzekł wreszcie, bez ogródek, Starzec. — Ale jeśli pytam o cel twojej drogi, to przede wszystkim dlatego, że może mógłbym ci pomóc. Tak się składa, że wiem bardzo dużo o Romogo-Koor (wybacz, panie, ale ów „Zły Kraj” nigdy nie chciał mi przejść przez gardło). Mogę pomóc.

Baylay pochylił głowę. Z jakichś powodów wydawało mu się, że do mieszkańca tej chaty-jaskini warto mieć zaufanie. Zagryzł wargi, a potem rzekł krótko, po męsku, tak jak powiedziałyby Gold:

— Jak już wiesz, wasza godność, pochodzę z Dartanu. Miałem... mam żonę, którą mi porwano. Porzuciła mnie przed rokiem. To Armektanka, nie potrafiła przywyknąć do dartańskiego sposobu życia...

Starzec przerwał mu łagodnie:

— Powoli, synu... Do życia nie mogła przywyknąć? Czy do ciebie?

Przenikliwość tego człowieka sprawiła, że Baylay poczuł się śmieszny i bezbronny. Poczzerwieniał.

— Do mnie. Masz rację, panie... Pogardzała mną.

Zamilkł. Starzec nie ponaglał go.

— Chciała — rzekł Baylay — żebym był taki, jak Armektańczycy. Ale ja... nie rozumiem i nie cenię armektańskich zwyczajów i tradycji, nie imponuje mi kult miecza i łuku, oręża... Miała mi to za złe, kpiła ze mnie. Uważała, że nie mam w sobie nic z męczyzny. Ale czy żeby być męczyzną, trzeba koniecznie nosić miecz?

Patrzył starcowi w twarz, szukając potwierdzenia swych wątpliwości. Ten jednak pokręcił głową.

— Nosić? Nie, nie trzeba. Ale w razie potrzeby trzeba umieć go

trzymać, młodzieńcze.

Dartańczyk skinął głową.

— Nauczyłem się trzymać miecz, panie — rzekł z nieoczekiwaną godnością i spokojem. — Umiem go trzymać, ale na co dzień nosić nie będę. Ożeniłem się z Armektanką świadom różnic między naszymi krajami. Ale nie może być tak, wasza godność, że i w Armekcie, i w Dartanie, będę miał tylko Armekt. Zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądała, prosząc w zamian tylko o jedno: by nie wystawiła mnie na pośmiewisko.

— I zostałeś wystawiony, wasza godność, niech zgadnę.

— I zostałem wystawiony. Nasze małżeństwo wygasło po okresie próbnym, tylko tyle miała mi do powiedzenia... Że już nie jest moją żoną i wraca do Armektu. A ja... ja zostałem w Dartanie. Żonaty mężczyzna bez żadnej władzy nad żoną...

Starzec skinął głową, pojmując upokorzenie Dartańczyka. Była to historia rzadka, a jednocześnie banalna. Armekt narzucił swoje prawa wszystkim podbitym krajom; większość tych praw respektowano, ostatecznie nie były takie złe. Najgorzej rzecz się miała ze sprawami dotyczącymi obyczajów. Dartańczycy nigdy nie przyjęli do wiadomości rozwodów, a już armektańskie małżeństwo na próbę w Pierwszej Prowincji istniało tylko formalnie. W Armekcie młodzi poślubiali się najpierw na okres roku, nikt nie mógł nikogo poślubić dożywotnio. Po roku każde małżeństwo wygasało samo i należało je przedłużyć (tym razem już bezterminowo) — albo nie, zaś nieprzedłużenie uważano za rzecz całkiem normalną. W zamian raczej krzywo spoglądano na parę, która w okresie próbnym decydowała się na potomstwo; dla Armektańczyka był to przejaw niefrasobliwości, nieodpowiedzialności, albo wręcz głupoty. Lecz w prowincjach inaczej widziano te sprawy. Garyjczycy tradycyjnie negowali wszystko, co kontynentalne, a zwłaszcza narzucone przez Armekt i powiadano, że gdyby istniał dowód, iż nogi do chodzenia wymyślili Armektańczycy, to wyspiarze chodziliby na rękach. Natomiast w starym Dartanie armektańskie obyczaje małżeńskie miano za dziwaczne, zaś sposoby spędzania płodu — za niesmaczne, wstrętne i przeciwne naturze; już choćby tylko dlatego małżeński okres próbny w ogóle nie miał sensu, skoro przychodziły wówczas na świat dzieci i małżonków łączący powinności rodzicielskie.

Dożywotni związek mężczyzny i kobiety pieczętowała w Dartanie przysięga, w której powoływano się na honor i pamięć o przodkach; o żadnych okresach próbnych, a później listach rozwodowych, nie było nawet mowy. Lecz armektańskie prawo, choć rzadko stosowane, jednak istniało i było jedno dla całego Wiecznego Cesarstwa; stąd dochodziło czasem do skandali, zwłaszcza w małżeństwach mieszanych — a najczęściej wtedy, gdy z Armektu pochodziła kobieta... Starzec rozumiał położenie młodego Dartańczyka, który w oczach swoich ziomków był zwyczajnym rogaczem; był nikim dla swojej kobiety! Prawowita żona, powołując się na jakieś dziwaczne i niestosowane prawa, porzuciła go i robiła co tylko chciała... i z kim tylko chciała. Najzupełniej bezwstydnie i jawnie. Tak to postrzegano.

— Pojechałem do Armektu, żeby ją odzyskać. I odzyskałem, wasza godność. Może los to sprawił, lecz nadarzyło się kilka okazji, gdy mogła oprzeć się na mnie. To bardzo młoda, piękna i lekkomyślna dziewczyna — Baylay żarliwie usprawiedliwiał postęпки żony... które w oczach Starca usprawiedliwienia wcale nie wymagały. — Pomogłem jej pozbyć się... wielu różnych kłopotów. Ale nie ustrzegłem przed prawdziwym niebezpieczeństwem. Została uprowadzona.

— I sądzisz, że zabrano ją tutaj? Akurat do Grombelardu?

— Tak uważam, choć nie mam pewności.

— Ale podejrzenia? Skąd się wzięły?

— Znam tożsamość człowieka, który uprowadził Ilarę.

— I któż to taki?

— Grombelardzki mag, panie. Mędrzec-Przyjęty.

Gospodarz jaskini odchylił się do tyłu i jął spoglądać tak, jakby usłyszał dziwaczny dowcip.

— Czyś tego pewien?

— Niestety tak. Znam nawet jego imię.

— I brzmi ono...

— Brule, albo Brul.

Starzec w milczeniu oglądał Dartańczyka.

— Przypuśćmy — rzekł po długiej chwili — że nie mylisz się, młody panie. Bo jest coś, co sprawia, że mógłbym uwierzyć w twoje słowa. Więc przypuśćmy, że nie mylisz się. Lecz teraz? Czy dobrze rozumiem, że zmierzasz do Romogo-Koor, by najpierw odnaleźć, a następnie pokonać

tam Przyjętego, który zabrał ci żonę? Czy jesteś zdrów na umyśle, młodzieńcze? Czy jesteś zdrów na umyśle? Nie obrażaj się o to pytanie.

— Skierowano mnie, panie, do ciebie — rzekł z wysiłkiem Baylay — bym pytał o przewodniczkę... Zdaje się jednak...

— Zdaje się jednak — rozbrzmiał spokojny głos od drzwi — że potraktowałeś ją wczoraj niczym śmieć.

Obejrzeni się — Baylay gwałtownie, gospodarz niespiesznie. Kobieta uśmiechnęła się do starca i złożyła na stole swoje rzeczy, a potem podeszła do rozmawiających.

— Brule-Przyjęty, czy dobrze słyszałam? — mruknęła. — Sam powiedz, ojcze, czy myślałeś, że z ust tego oto chłopca usłyszysz potwierdzenie niektórych swoich przypuszczeń? Brule naprawdę oszalał!

— Co się stało? — zapytał Starzec, puszczając mimo uszu to, co powiedziała. — Podejdź tutaj.

Obejrzał jej głowę. Dopiero teraz Baylay zauważył, że włosy na potylicy ma dziewczyna zlepione zaschniętą krwią.

— Przewróciłam się — wyjaśniła z nieokreślonym grymasem. — O kamień.

— Nie pleć głupstw! — skarcił ją po grombelardzku. — Mogłabyś pojawiać się tu nieco częściej... — upomniał. — Kto ci rozbił głowę? Przecież chyba nie on?

— To żółtodziób, ojcze — odpowiedziała w tym samym języku, spoglądając na Baylaya. — Palił tak wielkie ognisko, że aż poszłam do niego, by na własne oczy zobaczyć największego głupca w Ciężkich Górach. Ktoś mu naopowiadał, że to bezpieczna okolica. I dobrze, że uległam ciekawości... Pewnie już by nie żył.

— Rozbójnicy?

— Kilku. Wielka rzadkość o pół dnia drogi od Paszczy, prawda? — mruknęła sarkastycznie. — Pobiłam się z hersztem, potem zobaczył mój łuk... No, a jak już mnie poznał, to poszli.

Popatrzyła na Dartańczyka. Rozglądał się po izbie, nie pokazując po sobie, iż rozmowa prowadzona w obcym języku jest mu jakkolwiek przykra.

— Podśluchiwałam pod drzwiami — wyznała bez skrępowania. — Ale opowieść, hi!... Gdyby mówił to kto inny, pomyślałabym, że zmyśla,

bądź oszalał. Ale taki... Dartańczyk? — zaśmiała się swym lekko ochrypłym śmiechem. — Okropnie musiał zaleźć za skórę tej dziewczynie. A jednak, może i go poprowadzę do Obszaru.

Starzec popatrzył pytająco.

— Pierwszy raz spotykam człowieka — wyjaśniła — który idzie tam z jakiegoś naprawdę ważnego powodu. To nawet obojętne, czy rzeczywiście tam jest jego żona. Ważne, że szuka żony. Chodzą tam różni po sławę, po skarby, po śmierć, albo z głupoty... Ale po żonę? — pokręciła głową. — Bawiłam się już parę razy w przewodniczkę, przecież wiesz. Teraz też przydałoby mi się trochę srebra. A i cel szlachetny... — zakpiła, ale nie złośliwie.

— Cel szlachetny, a mężczyzna niebrzydki — skwitował Starzec. — Takich nie spotyka się w górach. Przydałoby się trochę srebra i trochę mężczyzny też.

Zarumieniła się lekko, ale nie obraziła.

— No, pewnie — przyznała bezwstydnie.

— Idź do Grombu, Armektanko, albo do Badoru.

— Tak, tak... — mruknęła. — Idź się wyszumieć, Kara, bo armektańskie głupoty ci w głowie... Ale Kara nie może iść do miasta, bo nie ma srebra, ojciec. Nie ma nawet tyle, żeby się upić, a cóż dopiero wyszumieć.

— Ja też nie mam srebra, bo bym ci dał.

— Widzisz więc, że muszę zapracować. I to tyle, żeby starczyło dla nas dwojga, bo jak jutro skończą ci się zapasy, to będziesz jadł swoje księgi, ojciec.

— Ten chłopiec idzie po śmierć — zauważył Starzec.

— Może to nieprawda, że Brule zabrał mu żonę?

— Kiedy otóż, widzisz, wiem że Brule naprawdę był teraz w Armekcie. Pomysł, że udał się tam po kobietę, jest co prawda zupełnie bez sensu — przyznał. — Nie bardziej jednak, niż jakikolwiek inny powód. Nie bardziej, niż inny powód, córeczko. Czy wiesz, kiedy wcześniej Brule był w Armekcie? — zagadnął, nie oczekując wszakże odpowiedzi. — Wtedy, co i ja.

Nawet nie próbowała dociekać, przed iloma laty mogło to mieć miejsce. Na pewno jeszcze zanim przyszła na świat... Zmarszczyła brwi, rozważając coś w skupieniu.

Starzec zaczął chodzić po swojej jaskini.

— Od wielu lat — powiedział — nurtuje mnie podejrzenie, że on oszalał... Notatki, które mi przysłał... Oszalał! Szerer widział już prawie wszystko. Ale jeszcze nie widział szaleństwa człowieka przyjętego przez Pasma.

— A Moldorn? — zapytała.

Żachnął się.

— To bajka, zmyślenia... Staruszek zadurzył się i tyle.

— W Przyjętej.

Niecierpliwie machnął ręką.

— Przestań, dziecko. Slava-Przyjęta istotnie żyła na świecie, lecz nigdy nie miała takiego znaczenia, jakie się jej przypisuje... Zostaw te bajki i daj mi pomyśleć o Brulu.

Wyjęła strzałę z kołczanu i z namysłem obracała ją w palcach. Po długiej chwili, gdy cisza przedłużała się, rzekła:

— Mówiłeś ojcie, że powinieneś jeszcze iść do Obszaru. Chciałeś porozmawiać z Brulem.

— Zdaje mi się, że do czegoś zmierzasz?

— Jesteś Przyjętym, ojcie — powiedziała, wciąż bawiąc się strzałą.
— Gdybyś zechciał...

— Byłem Przyjętym, dziecko. Byłem, lecz już nie jestem.

— Ale mówiłeś, że chcesz jeszcze raz iść do Obszaru. Może teraz?...

Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

— Może teraz — odparł ironicznie, ale zaraz spoważniał. — Ale może lepiej kiedy indziej. Jakże to sobie wyobrażasz? Pójdziemy we troje, tak? Ty poprowadzisz przez góry, a ja przez Obszar, czy tak? Po czym powiemy: to tutaj, chłopcze, masz zginąć, tu oto siedzi Brule. Załatw zatem szybko swoją sprawę, bo Dorlan i Brule mają do pomówienia.

— Nie mówiłam, że wejdziemy do Obszaru razem z nim — powiedziała zmieszana.

— Twoim zdaniem, powinniśmy rozstać się z tym chłopcem na granicy Obszaru?

— Nie... nie wiem... Myślałam, że może mógłbyś porozmawiać z Brulem o tej dziewczynie... no, o tej jego żonie.

Starzec westchnął.

— Wygląda na to, że Brule naprawdę oszalał. O czym mogę

rozmawiać z szaleńcem? Pomyśl tylko: największy z żyjących mędrców Szerni jeździ do Armektu, by porwać jakąś dziewczynę.

— Największym mędrce Szerni jesteś ty, ojcie — powiedziała szybko.

— Byłem! — odparł z gniewem, którego nie oczekiwała. — Byłem! Musiałem odstąpić od Szerni i dobrze wiesz, dlaczego!

Zagryzła usta.

— Tak, wiem.

Starzec złagodniał.

— Przebacz mi, córeczko — powiedział, dotykając dłonią jej policzka. — Nie powinienem tak mówić... Ale oto kolejny dowód, że nie jestem tym, kim byłem kiedyś.

Zaległa cisza. Łowczyni bawiła się strzałą, Starzec obserwował milczącego Dartańczyka. Jakby to wyczuwając, Baylay uniósł na chwilę spojrzenie. Stary mędrzec ujrzał poważne, skupione oczy młodego człowieka, który wiedział, że mówią o nim, choć nie rozumiał słów. Była w tych oczach dawno powzięta, niewzruszona decyzja... Ten mężczyzna szukał przewodniczki i potrzebował wsparcia, ale było oczywiste, że jeśli nie znajdzie jednego ani drugiego, to i tak pójdzie swoją drogą, by uczynić co postanowił. Obojętne mu było, jak bardzo dziwaczne i nieprawdopodobne są przyczyny, dla których wyruszył w swoją podróż.

— Dziwny los zesłał tu tego chłopca — rzekł, wciąż po grombelardzku, Starzec. — Nie wierzę w przeznaczenie, ale wierzę w szczęśliwe przypadki... Oczywiście masz rację, Karo: jeśli zamierzam iść do Romogo-Koor, tak jak zapowiadałem, to teraz albo nigdy. Skoro można załatwić dwie sprawy, w miejsce jednej, to należy tak właśnie uczynić. Czy na pewno chcesz prowadzić go przez góry? Tego chłopca? Ja już jestem na to za stary i powiem wręcz, że sam potrzebuję przewodniczki, albo raczej opiekunki. Bo nie tyle nawet potrzebuję kogoś, kto pokaże mi drogę, ile życzliwej a pomocnej dłoni, ciągnącej po bezdrożach moje stare gnaty. Zaprowadzisz mnie do Obszaru, córeczko? Już dawno chciałem o to poprosić, ale zawsze byłaś taka zajęta.

— Przecież ty żartujesz sobie ze mnie, ojcie? — powiedziała.

— Bynajmniej.

— No to... przecież ty nie jesteś mędrce, tylko... — powiedziała ze złością. — Dlaczego nie kazałeś się prowadzić? Czym byłam tak bardzo

zajęta?

— Życiem, córeczko, samym życiem. W moim wieku inaczej widzi się sprawy młodych. Twoje bezcelowe włóczęgi po górach są może stokroć ważniejsze od wszystkich wypraw starych dziadów...

— Nie, nie będę tego słuchać — powiedziała. — Powiedz temu Dartańczykowi, że znalazł przewodniczkę i zyskał sojusznika wartego tyle, co wszystkie legie cesarskie razem wzięte.

Uśmiechnął się pod nosem i — spojrzawszy na Baylaya — nieoczekiwanie przemówił po dartańsku:

— Pójdziemy z tobą, synu.

Młody mężczyzna drgnął i uniósł rozjaśnioną nagle twarz, nie próbując ukryć przyjemności, jaką sprawiło mu brzmienie ojczyściego języka. Ale zaraz dotarł doń sens wypowiedzi i dla odmiany zmieszał się wyraźnie, bo pomyślał, że gospodarz prawdopodobnie słabo zna dartański i stąd przejęzyczenie...

Starzec uśmiechnął się widząc te rozterki i mówił dalej:

— Jutro czeka nas ciężka praca. Trzeba będzie zabezpieczyć moje księgi i zapiski. Cały ten majątek, który tak cię zdumiał. Jest tu miejsce, gdzie można to ukryć.

Wątpliwości zostały rozwiane — i teraz Baylay, nie znający przecież treści dopiero co przeprowadzonej rozmowy, patrzył z największym zdumieniem na ludzi, którzy nagle podjęli decyzję, że rzucą wszystkie swoje sprawy i zajęcia... by iść na niebezpieczną wyprawę z człowiekiem, którego wcale nie znają.

— Nie... nie pojmuję tego — powiedział.

Spojrzał na przewodniczkę; chciał rozmówić się z nią o zapłacie, ale wyczuł, że nie teraz, że będzie na to czas później.

— Zamierzacie więc zostawić wszystko i iść ze mną? Dlaczego, na Szerń? Dlaczego to robicie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, uznając widać, że tak błahe pytania nie są warte odpowiedzi. Starzec uśmiechnął się lekko i wyjaśnił:

— Pozostawić wszystko, powiadasz? Co pozostawić, mój młody przyjacielu? Te księgi? Poczekają! Moja wolność polega na tym, że w każdej chwili mogę iść choćby do Kirlanu, by zakupić sobie gęsie pióro. Oprócz tej wolności, właściwie nic więcej nie mam. Zabiorę ją ze sobą, młodzieńcze. Zabiorę ją ze sobą.

Łuczniczka pokazała gestem, że jest to i jej wyjaśnienie.

— Ponadto, a nawet przede wszystkim, znam człowieka, którego imię wymieniłeś — dorzucił, już mniej beztrzesko, Starzec. — Brule-Przyjęty, hm... Może być, że mam mu coś do powiedzenia.

5.

Gold poznawał nowe prawdy o ludziach. Przede wszystkim dowiedział się, jak łatwo można okłamać kogoś, kto chce być okłamany. Jej godność A.B.D.Leyna, kobieta powierzchowna i próżna, ale przecież zupełnie zdrowa na umyśle, dawała wiarę oczywistym bredniom. Opowiadał jej historie tak wydumane i głupie, że nie umiał ich nawet spamiętać; toteż każdego dnia potykał się na jakimś oszustwie lub kłamstewku — które wszelako prostował bez trudu, bo sama mu podpowiadała sprostowanie.. Prowadził oto ze sobą kobietę, która zносиła liczne niewygody, protestując i skarżąc się o tyle tylko, o ile wynikało to z odgrywanej roli. Gold poważnie zaczął się zastanawiać, czy grombelardzkie góry otrzeźwią Dartankę i pomogą jej zejść z obłoków na ziemię.

Wkrótce po przekroczeniu granicy Drugiej Prowincji, natknęli się na oczekujący ich oddział legionistów — i setnik z dnia na dzień przestał udawać zakochanego porywacza-galanta. Był tak wyczerpany udawaniem kogoś takiego, że niewiele, a byłby upił się z radości; otoczony trzydziestką podkomendnych nie musiał już kłamać, mógł wlec dalej Leynę choćby siłą. Nie obchodziło go, co Dartanka sobie pomyśli, miał nadzieję, że po spotkaniu z bratem zmieni swoje zapatrywania na owo nieszczęsne porwanie i samą osobę porywacza. Nie chciał wcale traktować jej źle; wręcz przeciwnie... Musiał jednak rozstać się z najśłodsza historią o porwaniu pięknego dziewczęcia z powodu jego wdzięków; musiał rozstać się, albo oszaleć.

Więc od razu się rozstał.

*

Stary jak świat zajazd na Sępiej Przełęczy nie zapewniał specjalnych wygód. Izby noclegowe były dwie — jedna mała, dla bardzo ważnych (i bardzo majątnych) gości; druga wielka, dla zwyczajnych podróżnych, którym za posłanie musiała wystarczyć duża wiązka słomy. Gold wynajął

dla Leyny małą izbę i zapłacił z góry. Suma była porażająca; gwardzista, odprowadziwszy dziewczynę, z nieskrywaną ciekawością oglądał wewnątrz opłaconej „komnaty”. Nie po raz pierwszy gościł w sędziwym „Pogromcy” (bo tak, z jakiegoś powodu, nazywał się zajazd na Przełęczy) ale nigdy dotąd nie nocował, poprzestawał zwykle na zjedzeniu posiłku, a czasem tylko pił piwo.

— Jestem człowiekiem niebogatym — rzekł, ogarniając wzrokiem siermiężne (choć dość czyste i porządne, trzeba przyznać) wyposażenie izdebki. — Może cię to rozbawi, ale rad jestem, że to ostatni wydatek. Być może myśl o marszu przez Ciężkie Góry przyprawia cię o dreszcze, ale ja czuję tylko ulgę. Prawdziwe rzezimieszki wcale nie siedzą w górach. Siedzą we własnych gospodach i bezkarnie łupią podróżnych.

Nie bardzo potrafił żartować.

Dartanka bez uśmiechu podeszła do łóżka — a może raczej dość przyzwoitej i solidnej pryczy — usiadła nań i zagryzła usta, uporczywie wpatrując się w twarz oficera. Gold zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu dziewczyna jest wyjątkowo spokojna, przygaszona i cicha.

— Chcę wracać do Dartanu — powiedziała bardzo spokojnie, z westchnieniem.

Nie był przygotowany na tak jasno przedstawione żądanie.

— Nie wiem, wasza godność — ciągnęła — czy sprawi ci przyjemność, gdy przyznam, że wyleczyłeś mnie ze złudzeń... Nie, nie ze złudzeń. Wyleczyłeś mnie, wasza godność, z głupoty. Powinnam być wściekła i nienawidzić cię za to, ale... ale chyba wolę podziękować.

Nigdy dotąd nie mówiła do niego w ten sposób.

— Nie wiem, do czego mam się odwołać — mówiła dalej. — Do żołnierskiego honoru? Do męskiej godności? A może do życzliwości, bo wydaje mi się, panie, że jesteś mi życzliwy, choć nie umiesz tego okazać... Chcę wrócić do Dartanu. Nie żywię urazy o to, że mnie porwał, ani o to, że zostałam okłamana. Nauczyłam się bardzo wiele... ale teraz już chcę wracać do domu.

— Nie przywiozłem cię tu po to... — zaczął z chrypką i odkaslnął. — Nie przywiozłem cię po to, by teraz odwieźć z powrotem. Zaczynamy od początku, tak? No więc powtórzę to, co tyle razy mówiłem: przy granicy Złego Kraju jest niewielka stacja Legii Grombelardzkiej, gdzie będzie czekał na nas twój brat...

— Dobrze — przerwała. — Wierzę, że jest tak jak mówisz, wasza godność. Ale ja chcę wracać do domu.

Bezradnie rozłożył ręce.

— Co mam zrobić, żebyś wreszcie mi uwierzyła. Baylay...

— Wierzę! — przerwała raz jeszcze, tym razem gwałtownie. — Baylay nic mnie nie obchodzi, a raczej: obchodzi tyle, o ile. To mój brat. Dorosły brat, głupi brat, nielojalny brat. To człowiek, z którym trudno wytrzymać; ani Dartańczyk, ani Armektańczyk... nie wiadomo kto i nie wiadomo co. Zawsze taki był, a Ilara odmieniła go do reszty. Mówiłam, że tak będzie! Ostrzegałam go przed tą armektańską dziwą. Nigdy mnie nie słuchał, może mnie i kochał, ale zawsze uważał za pustą i głupią. Teraz ma, na co zasłużył. Chcesz mnie zawieźć do niego? Bardzo dobrze! Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go umocnić w przekonaniu, że czyni dobrze, że powinien jechać do tego Złego Kraju. Doradzę mu tę wyprawę choćby tylko po to, żeby zemścić się na tobie. On i tak robi po swojemu, bo jeszcze nigdy nikogo nie posłuchał, a już na pewno nie posłucha moich rad. Chyba, że wyjdą naprzeciw jego oczekiwaniom. A teraz, wasza godność, pozwól mi wrócić do Dartanu.

— Czy twój brat naprawdę...

Przerwała mu po raz trzeci.

— Tak, mój brat naprawdę nic mnie nie obchodzi. Obchodzisz mnie ty, setniku Gwardii Grombelardzkiej. Strzeż się, bym nie miała powodu do szukania zemsty na tobie! Odeślij mnie do domu, a ja zapomnę o wszystkim, co się wydarzyło. Albo wlecz mnie dalej, ale nie odwracaj się plecami i nie śpij, bo cię zabiję przy pierwszej okazji. I nie spadnie mi za to włos z głowy, bo dla każdego sądu, bo w ogóle dla każdej istoty w cesarstwie, jesteś tylko nędznym porywaczem!

Uczuł napływ gniewu. Lecz zarazem całkowicie jasno zdał sobie sprawę, iż przyparła go do muru. Właściwie... co mógł odpowiedzieć?

Przeszedł się po izbie w tę i nazad. Jedna krótka rozmowa — i oto całe przedsięwzięcie zostało sprowadzone do właściwych wymiarów. Było szaleństwem, głupstwem. Miał pod komendą trzydziestu ludzi, z którymi mógł ruszyć na pomoc Baylayowi. Leyna była tylko ciężarem.

— Nigdzie nie pojedziesz — powiedział.

— Dlaczego? — zapytała sucho.

Spojrzał na nią i po chwili uczynił niejasny gest uniesionymi dłońmi.

Odwrócił się nagle ku drzwiom, czując że jeszcze chwila, a opowie jej o tym wszystkim, co właśnie odkrył... O przedziwnym kaprysie losu, który kazał mu jechać do Rollayny z przeświadczeniem, że jedzie na próżno, tylko po to, by powiedzieć sobie, że nie zaniedbał niczego. O kaprysie losu, który sprawił, że spotkał tam kobietę wcale niepodobną do zmarłej żony, bo inaczej gestykulującą, o zupełnie innych oczach, innej twarzy i innym uśmiechu... O nie, tamta — strawiona gorączką, wychudzona, już się wcale nie uśmiechała i nie miała siły gestykulować... Lecz właśnie chodziło o to, że ta tutaj, bujnowłosa zjawa dartańska, pełna życia, młoda, wbrew wszystkiemu przypomniała mu dziewczynę, którą poznał przed dwudziestu laty. Niczym innym, jak tylko młodością. Myślał już, że nie ma młodych, pełnych życia kobiet.

— Nigdzie nie pojedziesz — powtórzył, nie oglądając się za siebie.

Chciał wyjść, ale stał jeszcze przez chwilę, mając na końcu języka jakieś słówko...

Nie żartowała. Ten sam los, który wcześniej kazał mu popełniać same głupstwa, teraz podarował mu życie, lub przynajmniej ustrzegł od poważnej rany. Odwrócił się i ujrzał Dartankę w momencie, gdy zamierzała się do uderzenia. Odruchowo pochwycił rękę trzymającą nóż; szamotali się przez chwilę, aż wyrwał broń i odepchnął dziewczynę tak, że z krzykiem wpadła plecami na ścianę. Oszołomiony, zamierzył się — a wtedy z rozpaczą i wściekłością napłuła mu w twarz.

Opuścił rękę i powoli otarł ślinę.

— Przebrałaś miarę — powiedział niewyraźnie. — Powiniennem przysłać tu kogoś, żeby cię oćwiczył.

— Obroń mnie, panie — powiedziała ze łzami. — Proszę, obroń mnie...

Setnik obejrzał się ku drzwiom. Stał w nich jeden z jego dziesiętników.

— Idź stąd, synu.

— Przyniosłem juki, setniku — rzekł żołnierz. — Trzeba trafu, zobaczyłem dowódcę grożącego nożem kobiecie. Krążą plotki, wasza godność, że cię uprowadzono? — zapytał ponad ramieniem zwierzchnika.

— Wtrącasz się w nie swoje sprawy, Rbal — rzekł Gold, siłą narzucając sobie spokój.

— Nie po raz pierwszy. I nie po raz ostatni.

Leyna, nie kryjąc łez płynących po twarzy, gorączkowo zastanawiała się, co znaczy ta dziwna rozmowa. Niezbyt znała się na wojsku; przecież jednak miała pojęcie, że wymiana zdań, której jest świadkiem, niewiele ma wspólnego z wojskowym regulaminem... Rbal — słyszała to imię z ust żołnierzy Golda. Dziesiątnika zaś łatwo poznała: bez wątplenia najmłodszy członek oddziału, chłopiec, prawie dzieciak... Dlaczego pozwalał sobie na tak wiele wobec surowego, nie znającego się na żartach dowódcy? Koniecznie należało to sprawdzić.

— Wracaj na służbę, Rbal — rozkazał setnik.

— Jestem na służbie — kpiąco odparł funkcyjny. — Dopiero co kazałeś mi, panie, przynieść tutaj juki i dopomóc we wszystkim jej godności. Czy będzie potrzebna jakaś pomoc, pani?

— Tak, tak! — powiedziała spieszenie, ścierając dłonią łzy z policzków. — Tak, zostań panie, bardzo potrzebuję pomocy... — mówiła gorączkowo.

— Nie będzie potrzebna żadna pomoc — rozstrzygnął Gold.

— Zacznę krzyczeć — zapowiedziała groźnie, ale znowu ze łzami. — Będę wyła, aż usłyszą mnie w Dartanie. No, gwardzisto? Uderz mnie, zwiąż i zaknebluj!

Gold wymierzył palec i otworzył usta, jakby chciał coś rzec — ale nagle wzruszył ramionami i postąpił ku drzwiom. Wyciągnął rękę i podał nóż swojemu dziesiątnikowi.

— Nie wiem, komu go ukradła, ale nie odwracaj się do niej plecami. A gdyby wyła, zacznij wyc z nią.

To powiedziawszy, wyszedł.

*

Zabiłaby Golda bez wahania, gdyby tylko umiała to zrobić. Nie umiała jednak i dlatego potrzebny był jej Rbal. Nie, nie zamierzała przedzierzgnąć go w skrytobójcę — coś takiego było najzupełniej niemożliwe, albo może raczej: owszem możliwe, lecz nie w takich warunkach. Gdyby miała dość czasu, to kto wie?... Lecz nie miała i dlatego chciała uciec. Korzystając z pomocy młodego dziesiątnika.

Najpierw bawiła się nim tylko, bo nie miała innych rozrywek. Z grombelardzkimi legionistami nie dało się rozmawiać — w jej oczach, była to nieledwie banda zbójców w mundurach. Zastępca Golda,

podsetnik K.P.Daganadan, wyglądał jak niedźwiedź, takie same miał manery i podobnie obrotny język — o reszcie nie warto było nawet mówić. Tylko Rbal... Dziesiętnik pochodził z rodziny o żołnierskich tradycjach, cieszył się też opinią dobrego legionisty; zdaje się, że zdążył już dokonać jakichś chwalebnych czynów. Lecz miał zaledwie osiemnaście lat i pod jej wzrokiem rumienił się jak panienka. No cóż, może istotnie był znakomitym rębajłą i wybornym dowódcą, lecz poza tym stanowił wcielenie naiwności. Nie wiedziała, co o tym sądzić... Wyglądało na to, że jest w niej śmiertelnie zakochany!

Leyna, urodzona, wychowana i mieszkająca w zepsutej Rollaynie, z najwyższym trudem mogła uwierzyć w istnienie kogoś takiego. Gorące porywy młodzieńczej miłości miała za poetycki mit; armektańskie i dartańskie pieśni pełne były takich rycerskich, patetycznych a wzniosłych, zadurzeń od pierwszego wejrzenia. Lecz czy naprawdę mogło dojść do czegoś podobnego?

Powoli przekonywała się, że mogło. Ten chłopiec nigdy dotąd nie widział takiej kobiety... Nigdy dotąd taka kobieta nie okazała mu zainteresowania.

Myślała o tym, jadąc wierzchem przez grombelardzkie góry. Monotonny chód konia był niezmiernie nużący; gdy uporczywy deszcz przybrał na sile, poprawiła na ramionach przemoczoną pelerynę. Nie mogła przywyknąć do takiej pogody. Marzła bez przerwy. Nie pomagały płaszcze, kaptury — deszcz wciskał się wszędzie. Rozglądając się dokoła, widziała że żołnierze w ogóle nie zwracają na to uwagi. Deszcz wyraźnie był dla nich niczym, nie widzieli go, ani nie czuli. Nie widzieli też jej ciężkich od wilgoci włosów, ciągłych dreszczy i szczękania zębami.

Jechali przez coraz dziksze strony. Droga była właściwie wąskim kamienistym żlebem, przywodziła na myśl koryto strumienia, może zresztą istotnie nim była... Konie brodziły w wodzie po pęciny. Z posłyszanych rozmów Leyna zrozumiała, że wkrótce zjadą z tego... tego „traktu”, a niedługo potem zostawią wierzchowce w jakiejś stancy i ruszą dalej pieszo. To przerażało ją najbardziej. Marsz. A dokoła góry. Góry i góry... Tylko.

Jeśli miała uciekać, musiała to zrobić niezwłocznie.

Zadrzała; było bardzo zimno. W tej samej chwili ktoś podał jej płaszcz. Suchy...

— Weź, pani — nieśmiało rzekł młody dziesiętnik.

Podziękowała smutnym uśmiechem. Zrzuciła pelerynę i owinęła się darowanym płaszczem.

— Czy daleko jeszcze? — zapytała.

— Dokąd, pani?

— No... tam, dokąd jedziemy.

Chłopak spieszył się, jakby to on był wszystkiemu winien: temu, że zabrano ją z domu i temu, że pada deszcz. Zdała sobie sprawę, że dziesiętnik boi się jej; to nie był ten sam zuchowaty młodzieniec, który zadziornie sprzeciwiał się dowódcy! Jak to możliwe, by w jednym ciele mieszkały dwie tak różne istoty?

— Wkrótce zboczymy z drogi i ruszymy przez góry — rzekł przepraszająco.

Zrozumiała, że nie chciał powiedzieć wprost, jak długą drogę mają jeszcze do pokonania. Jęknęła.

— Nie wytrzymam tego — powiedziała cicho, zrezygnowanym głosem. — Jak tu można mieszkać? Czy są tu w ogóle jakieś ludzkie sadyby?

— Tutaj? Nie... Najwyżej jakieś gniazda rozbójników.

— Już tu można ich spotkać? — przestraszyła się nie na żarty.

Rbał pojął, że palnął głupstwo.

— Dość rzadko — powiedział, lecz jednak nie chciał kłamać. — To Góry Wąskie, zapuszczają się tu czasem różne gromady. Właściwie od Gór Wąskich zaczyna się prawdziwy Grombelard. Ale my nie pojedziemy znanym traktem do Riksu, Badoru i Grombu, tylko zejdziemy aż do podnóży Ciężkich Gór i pójdziemy wzdłuż południowych ich stoków, a potem, gdy zagrodzą nam drogę — przez nie, aż do samego Złego Kraju. Tam już rzadko spotyka się rozbójników.

— Myślałam, że najwięcej rozbójników jest właśnie w Ciężkich Górach — powiedziała z przymusem.

— Tak, ale w okręgach Badoru, Grombu i Rahgaru.

— Gromb to przecież wasza stolica.

Najpierw nie zrozumiał. Może dlatego, że Kinen był zaledwie szkieletem języka armektańskiego, ułatwiał porozumiewanie się w najprostszych sprawach, ale do bardziej skomplikowanych rozmów niezbyt się nadawał.

— Tak, stolica Grombelardu — potwierdził.

— Ale mówisz, panie, że tam są rozbójnicy?

— W okolicach Grombu, na terenie okręgu, bo w samym Grombie — nie... Chociaż różnie mówią — nachmurzył się nieoczekiwanie.

Znowu pomyślała, że oto znalazła się w dzikim kraju na końcu świata; pod murami stolicy tego kraju hasały bandy rzezimieszków i morderców, a pilnujący porządku żołnierz przyznawał, że i na ulicach bywa niebezpiecznie.

— Gdzie ja jestem? — szepnęła sama do siebie.

— Pytałaś, pani...?

— Boję się — powiedziała głośniej.

— Czego, pani? Rozbójników? Niepotrzebne mówiłem... — zafrasował się. — Jesteś, wasza godność, wśród żołnierzy, nic ci nie grozi.

— Wiem, ale jednak boję się. Na pewno wzgardzisz mną za to, że nie potrafię być dzielna... Ale nie potrafię.

Zaniemówił na chwilę.

— Ja miałbym tobą gardzić, pani? Ja?

— Jeśli nawet nie ty, panie, to inni.

— Kto taki, powiedz wasza godność? Który z nich?

— Leyna — poprawiła go nieśmiało. — Tak mam na imię. Nie chcę, żebyś mówił do mnie „wasza godność”.

Wyciągnęła rękę i przechyliwszy się w siodle dotknęła kolana żołnierza.

— Leyna, Rbał, dobrze? Proszę.

— Nie mogę, pani.

— Ale ja proszę. Mam tutaj tylko ciebie, Rbał.

Zesztywniał pod delikatną pieśczętą smukłych palców. Przełknął ślinę. Dłoń pięknej Dartanki wciąż muskała mokry od deszczu, okrywający jego udo, materiał wojskowej spódnicy.

Spojrzał na nią szybko i ujrzał wilgotne dziewczęce oczy, gotowe znów wezbrać łzami. Zrobił ruch, jakby chciał pochwycić jej dłoń, ale pohamował się.

Leyna widziała w życiu wielu mężczyzn, ale tak daleko posunięta, prawdziwie dziewicza wstydlivość, nie była jej znana. Odgrywanie tej nedorzecznie ckliwej roli przychodziło jej — prawdę mówiąc — z niemałym wysiłkiem. Wolałaby pewnie, by miejsce Rbała zajął jakiś

pogromca kobiecych serc z Rollayny; całe tuziny takich wodziła za nos w swoim życiu. Ale nie. Skazana była na posłuszenie się dzieciakiem, który bez namysłu i wahania każdą łzę w jej oku uważał za zrodzoną z rozpacz, każde skrzywienie ust za przejaw strachu, a zmarszczenie brwi za ból. Przybierając coraz to płaczliwsze miny, drżała za każdym razem, że przeciągnie strunę, albo też że legionista wyprostuje się nagle, uśmiechnie i powie: „Słowo daję, malutka, że bawiłem się świetnie”...

Nic takiego jednak nie nastąpiło. I powoli Dartanka zaczęła wierzyć, że naprawdę wpadł jej w ręce diament podatny na każdą obróbkę; diament który zdoła uczynić dość twardym, by zarysował nawet tak twarde żelazo jak to, z którego wykuty był Gold.

Teren stał się nieco trudniejszy, tempo marszu osłabło. Nie dało się już jechać obok siebie, konie musiały iść jeden za drugim. Żołnierze z przodu i z tyłu zaczęli śpiewać jakąś smutną pieśń. Leyna, nie mając nic lepszego do roboty, słuchała niezrozumiałych grombelardzkich słów. Musiała przyznać, że gardłowy język tego kraju bardzo wiele zyskiwał, gdy słowom towarzyszyła melodia.

6.

Baylay przetarł zaspane oczy i usiadł na pościeli, urządzonej wprost na podłodze. Spojrzał w okno. Był dzień.

Przez chwilę porządkował myśli; gdy się budził, miał odczucie, że wszystko co pamiętał było snem...

Ale nie.

Zauważył zdziwiony, że w izbie nikogo nie ma. Gospodarz i Łowczyńni wstali pewnie dość dawno... Dlaczego go nie obudzili?

Leżał jeszcze przez chwilę, potem podniósł się, podciągnął spódnicę i założył koszulę. Wbił nogi w buty i sięgnął po miecz. Chyba jednak polubił tę broń.

Gold nie wierzył, że Dartańczyk może mieć pojęcie o mieczu. „Ach, turnieje!” — mówił z politowaniem. Baylay zapewniał, że pobierał lekcje u człowieka, który uchodził za mistrza (będąc delikatnym, nie wspominał ubogiemu setnikowi, że stać go było na sprowadzenie owego mistrza z Armektu... i że mógłby sobie kupić stu takich mistrzów). Doszło do próby. Gold był szczerze zdumiony i uradowany. „Na wszystkie Pasma Szerni, to

prawda, że niczego nie możesz się ode mnie nauczyć, bo jest zupełnie na odwrót! — rzekł otwarcie. — W całym garnizonie mam tylko dwóch ludzi, którzy lepiej machają ode mnie, ale wątpię, by dali ci jakieś cenne wskazówki. Nie zgub jednak swoich zdolności. Codziennie rano poświęć trochę czasu na zabawę z żelazem, choćby twoim przeciwnikiem miało być powietrze. I nie bądź zbyt pewny siebie. Co innego wywijać mieczem, a co innego ciąć nim człowieka”. Te słowa głęboko zapadły w serce Dartańczyka. Znał swoją wartość, lecz nie był pewny siebie. I ćwiczył codziennie. Zwłaszcza, że to samo zalecał armektański nauczyciel.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia wyciągnął broń z pochwy. Głownia zaśnieżyła czysto. Położył pochwę na ławie, obok zdjętej wieczorem zbroi i wyszedł przed chatę-jaskinię. Zmrużył porażone dziennym światłem oczy. Chwilę potem zauważył dziewczynę i chciał się cofnąć, lecz było już za późno.

Wychodziła właśnie z lodowatej strugi; machnęła ręką na powitanie i ruszyła ku niemu. W miarę, jak się zbliżała, coraz wyraźniej widział zgrabne, sprężyste ciało — mokre ramiona i małe, śmiesznie sterczące na boki piersi, silne uda i szeroką czarną plamę na podbrzuszu. Zdrowe mięśnie wyraźnie rysowały się pod ogorzałą skórą; aż wzdrygnął się na ich widok. Niejeden mężczyzna mógłby pozazdrościć tej dziewczynie muskulatury. Stała przed nim i wyzymała warkocz, uśmiechając się z lekką kpina. Odwrócił głowę i mruknął coś, czując się niezręcznie i głupio.

— Oto mężczyzna, który przestraszył się widoku nagiej kobiety — powiedziała. — Biegam po tym kraju od lat i wciąż zapominam, że tutaj trzeba kąpać się w kaftanie i spódnicy. Podobam ci się, dartański rycerzu?

Stała na palcach, podniosła do góry ramiona i obróciła się dokoła, pokazując ze wszystkich stron. Mimowolnie ogarnął spojrzeniem okrągły, spięty jak u kłaczy zad.

— Wynająłeś przewodniczkę więc musisz dokładnie obejrzeć, co wynająłeś. Podoba ci się przewodniczka? A prowadzić po górach też umiem.

— Karenira!

Obejrzała się szybko. Nadchodzący Starzec karcąco potrząsał głową.

— Nie sądziłem, że jesteś taka głupia — powiedział z naciskiem. —

Nie sądziłem, że jesteś taka głupia. I pusta.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

— Czego chcesz ode mnie?

Lecz zaraz spuściła wzrok.

— Wybacz, ojcze. I ty też, Dartańczyku.

Szybko przeszła obok Baylaya i zniknęła w drzwiach domostwa.

— Nie miej jej tego za złe — rzekł niegłośno Starzec. — Wcale nie jest głupia. Ale pusta, i owszem.

— Nic złego się nie stało — mruknął Baylay. — Jest... niebrzydka.

— Masz szczerze dosyć wszystkich armektańskich dziwactw, nieprawdaż?

— Ona jest Armektanką?

Starzec uczynił skąpy gest, który miał chyba oznaczać: „Jak nie ona, to kto?”. Bo rzeczywiście: niewysoka, czarnowłosa i smągła Łowczyni swoje armektańskie pochodzenie miała wręcz wypisane na skórze.

— Ale nie mówmy już o tym — rzekł gospodarz jaskini. — Jej pochodzenie i losy to jej sprawa. Jeśli zechce, sama opowie ci o sobie.

Zmienił temat.

— Miecz?

Baylay ze zdziwieniem spojrział na trzymaną w ręku broń, po czym uśmiechnął się lekko.

— Tak, panie, wiem o czym myślisz... Chyba go polubiłem. Ale pomimo tego, nie zamierzam nosić broni w swoim własnym mieście, we własnym domu. Teraz to co innego. Mój przyjaciel przykazywał mi, bym w Górach zawsze trzymał broń pod ręką.

— Bardzo dobrze ci radził. Kim jest twój przyjaciel, czy to ktoś miejscowy?

— Oficer Gwardii Grombelardzkiej — Baylay oparł się o ścianę za plecami. — Wybacz mi, wasza godność, ale chcę się upewnić, czy nie byłem wczoraj zbyt zmęczony... Wyruszamy razem, czy tak? Wszyscy troje?

Starzec roześmiał się.

— To dlatego przegraliście wojnę — rzekł odrobinę kpiąco. — Nie z powodu braku serca do walki.

— Wojnę?

— Wojnę z Armektem. Przegraliście, bo żaden Dartańczyk Czyste

Krwi nigdy nie umiał wstać i po prostu wyjść z domu. Zawsze macie jakieś sprawy, które trzeba załatwić, nim wreszcie możliwe będzie udanie się w podróż. Dartańscy rycerze całymi miesiącami zbierali się na wojnę z Armektem, choć król wzywał, by natychmiast stawili się konno i zbrojno. Król zresztą też nie wyruszył.

— Król był stary, bardzo stary — zaprotestował Baylay. — Mądry, waleczny, lecz niestety zniedołężniały. Rycerstwo ruszyło w pole pod wodzą jego syna. Który nie był nawet cieniem swego ojca.

Starzec nie krył zaskoczenia.

— Kim jesteś, wasza godność? Skąd ta rozległa wiedza? W czasach, gdy nikt nie pamięta najważniejszych wydarzeń z historii! Najważniejszych wydarzeń! Dartańczyk znający historię, niepojęte!

— To łatwo wytłumaczyć — rzekł Baylay. — Moi przodkowie odegrali przed wiekami bardzo znaczną rolę w wojnie, o której mówimy. Nie znam historii, znam tylko dzieje swego Domu.

— A pochodzisz, wasza godność, z Domu...?

Młody człowiek pojął nagle, że gospodarz górskiej sadyby nie zna dotąd nawet jego imienia, cóż dopiero mówić o monogramach rodowych.

— Przebacz mi, wasza godność — rzekł poważnie. — Jestem A.B.D.Baylay.

— Devin! — wykrzyknął Starzec. — Chłopcze! Nie wierzyłem dotąd w coś takiego, jak przypadek i traf, jak zrządzenie losu! I oto w środku Ciężkich Gór przychodzi do mnie potomek A.B.Devina! Przecież się nie mylę?

— Istotnie, to monogram jego imienia dodano do dwóch innych.

— Ależ, wasza wysokość, pochodzisz z jednego z najstarszych i największych Domów dartańskich.

— Nie tytułuj mnie, panie, wysokością. Nikt już w Dartanie nie używa książęcych tytułów. Poza władcą Puszczy Bukowej, dziwakiem i oryginałem. Tanie to zresztą tytuły, gdy co drugi rycerz zostawał zaraz księciem.

— Co drugi rycerz, lecz to nie dotyczy twoich przodków, panie, bo mówimy tu o prawdziwych zasługach. Porozmawiajmy — rzekł Starzec z niezwykle ożywieniem, ujmując młodego człowieka za łokieć. — Czy wiesz, czym zajmuję się tutaj? Jestem historykiem, zaś twoja osoba...

— Jego osoba — przerwała Łowczyni, stając w otwartych drzwiach

domu — należy teraz do mnie. Nie pozwól, panie, sprowadzić się do roli jednej z ksiąg naszego gospodarza — powiedziała, zwracając się z kolei do Baylaya. — Zostaw go, ojcie, proszę.

Nie była już naga — chciałoby się rzec: na szczęście nie była już naga. Miała na sobie nowe i porządne odzienie, wyjęte prawdopodobnie z którejś z przepastnych skrzyń w domu Starca. Uniosła do góry krótki wojskowy miecz.

— Twój gość zamierzał rozprostować kości, ja zaś skorzystam z okazji i sprawdzę, czy jeszcze potrafię tym wywijać. Skrzyżujesz ze mną żelazo, wędrowcze?

Baylay ucieszył się.

— To o wiele lepiej, niż walczyć z powietrzem.

— To poszukajmy jakiegoś równego miejsca.

Baylay zwrócił się do gospodarza, lecz ten machnął ręką.

— Idźcie, idźcie! Nie uciekniesz mi, panie, zdążymy jeszcze porozmawiać.

Poszli w stronę strumienia. Na drugim brzegu dziewczyna wskazała miejsce ostrzem.

— Może tu?

Gwardyjski miecz, którego używała, był bardzo dobrą, wytrzymałą bronią — wytwarzaną jednak z myślą o zwykłych żołnierzach. Broń Baylaya, dłuższa o dobre dwie dłonie, nawiązywała wzorem do czasów, gdy walka na miecze nie była tylko siłową rąbaniną. Jednak Łowczyni wiedziała co robi, nosząc oręż gwardzistów. Baylay nie był przygotowany na tak silny cios; niewiele brakowało, a miecz wypadłby mu ze zdrętwiałej ręki. Cofnął się i z najwyższym trudem sparował następne dwa ataki. Tutaj potrzebna była solidna tarcza! Przyjął na zastawę jeszcze dwa uderzenia, mając przykrą świadomość, że ostrze jego miecza, obojętne jak wytrzymałe, przemieni się od tego w jakąś zębatą piłę, a Starzec chyba nie miał szlifierni... Lecz broniąc się, powoli odzyskiwał pewność siebie. Łowczyni atakowała mocno, ale niewyszukanie. Cała sztuka polegała na tym, by utrzymać żelazo w dłoni. Ta kobieta mogła wykończyć każdego; Baylay miał całkowitą pewność, że po dziesięciu lub dwunastu takich ciosach każdy jej przeciwnik pozostawał bezbronny. Następne uderzenie przepuścił, zamiast sparować — i napastniczka nieomal straciła równowagę. Znacząco

klasnął ją płazem w bark. Spojrzała z uznaniem, zaatakowała raz jeszcze... i wylądowała na czworakach, gdy zrobił szybki zakrok i pochwyciwszy lewą ręką nadgarstek jej orężnej dłoni — pociągnął, wykorzystując impet uderzenia. Solidnie trzasnął płazem przez pośladki.

— Au! Jak to zrobiłeś? — zapytała ze zdumieniem.

Podniosła miecz i wstała, masując ręką tyłek. Patrzyła nieco spode łba, ale jednak z respektem.

— Jesteś, pani, silna jak... kowal — powiedział. — Nie musisz napierać na miecz całym ciałem, sama siła twoich ramion wystarczy, by przerąbać przeciwnika na pół. Wykorzystuj tylko siłę ręki. Wtedy, jeśli nawet nie trafisz, to przynajmniej nie stracisz równowagi.

Pokazał jak. Powtórzyła.

— Bardzo dobrze — ocenił.

Wzięła miecz pod pachę, a drugą rękę oparła na biodrze.

— Mam na imię Karenira, nie mów do mnie pani. Nie poznałam się na tobie, wasza godność.

— Baylay — powiedział. — Tu są Ciężkie Góry, na tytuły jest miejsce w Rollaynie.

Roześmiała się.

— Dobrze, że zgodziłam się na przewodniczkę. To może być udana wyprawa.

Znów ujęła miecz za rękojeść.

— Jak mam to... Tak?

— Właśnie tak.

— Tego nie uczyli w legii.

— Byłaś, pa... byłaś w legii?

— Byłam. Dawno temu.

7.

Deszcz padał nieustannie. Dzień po dniu, siąpiła wstrętna mżawka, zmieniająca się wieczorem w deszcz, bądź ulewę. Leyna nie rozumiała, w jaki sposób taka masa wody może nie powodować powodzi, zwłaszcza że skalisty grunt nie chciał przyjmować wilgoci.

— Gdyby taki deszcz spadł na równiny Armektu, albo w Dartanie, byłaby powódź — tłumaczył jadący obok niej Rbal. — Ale tu są góry.

Tworzy się mnóstwo strumieni, małych rzeczek, jezior, wszystko to spływa ku Bezmiarom, albo do Wód Środkowych, albo w kotliny górskie, gdzie tworzą się stawy. W Ciężkich Górach jest bardzo dużo jezior. Nigdy nie byłem w Dartanie albo w Armekcie, ale ci co byli mówią, że grombelardzkie góry wyglądają zupełnie inaczej, niż inne góry Szereru.

— Nie wiem, jak można żyć w takim deszczu.

— Można, pani — zatytułował ją po swojemu; wciąż nie miał dość odwagi, by używać imienia Leyna. — Można nawet pokochać ten kraj i te deszcze. Zresztą nie zawsze pada bez przerwy. Latem tylko wieczorem, zimą wieczorem i w nocy. Ale teraz mamy jesień, a jesienią i wiosną, sama widzisz.

Jakby na potwierdzenie słów, deszcz przybrał na sile. Dziewczyna poprawiła na głowie kaptur.

— Myślę, że koło południa zrobimy długi postój — powiedział Rbal. — Tu niedaleko są jaskinie, w których zatrzymywałem się raz i drugi, by rozpaść ogień i wysuszyć odzienie. Setnik, on też zna te jaskinie. To bardzo ciekawe miejsce. Niepisane prawo zabrania tam dobywania broni. Zdarza się, że siedzą tam przy jednym ogniu żołnierz i rozbójnik, rozbójnik i jakiś wędrowiec, wędrowiec i dziki pastuch... Zwykle jest w tych jaskiniach zapas drewna. Zobacz, pani — odwróciwszy się w siodle, wskazał juczne muły idące na końcu oddziału. — Niosą drewno. Każdy, kto tam jedzie, zbiera lub kupuje trochę opału. Wprawdzie drewno jest mokre, ale gdy wyschnie, przyda się innym. Dzięki tej tradycji w jaskiniach prawie zawsze można się ogrzać.

— I wszyscy dotrzymują tej umowy?

— Może nie. Chyba nie wszyscy. Ale Grombelard to surowy kraj, pani. Ludzie zabijają się tu często, ale gdy się nie zabijają, to największym ich wrogiem są góry i deszcz. Bez takich miejsc jak te jaskinie, i bez takich tradycji, życie byłoby tu całkiem niemożliwe. Sam widziałem w tych jaskiniach grupkę ludzi, którzy prawie na pewno byli rozbójnikami. Obwiesie nie mieli ochoty wozić ze sobą drewna, żeby zostawić dla innych. Ale przywódca trzymał ich krótko. Ten człowiek miał rozum i swoje wiedział.

— Żołnierze i zbóje razem, przy jednym ogniu? — niedowierzała.

— To Grombelard, pani.

— Dziesiętnicy, do mnie! — zagrział od czoła potężny głos

podsetnika.

Rbal odwrócił się.

— Belgon! — zawołał.

Młody, chudy żołnierz ponaglił konia. Gdy zbliżył się, Leyna spojrzała nań spod oka. Twarz nie była jej obca, wielokrotnie widziała tego człowieka w towarzystwie Rbala.

— Belgon to mój przyjaciel — zarekomendował dziesiętnik. — Dotrzyma ci, pani, towarzystwa. Możesz zdać się na niego we wszystkim, tak jak na mnie.

Ścisnął wierzchowca kolanami i pojechał na czoło oddziału. Belgon uśmiechnął się niepewnie, ale jakby z ukrytą ironią.

— Pewnie nie zechcesz ze mną rozmawiać, wasza godność — powiedział wyraźnym, przyjemnie brzmiącym głosem. — Nie mam w żyłach Czystej Krwi, jak Rbal, nie należę więc do twojego świata.

Przemogła niechęć.

— Mylisz się, żołnierzu — odparła uprzejmie. — Rozmowa z legionistą imperium nikomu nie może przynieść ujmy. Ponadto, jesteś przyjacielem pana Rbala, a to znaczy dla mnie niemało.

— O, domyślam się, pani. Rbal mówił mi o wszystkim.

Spojrzała spod kaptura, zaskoczona i trochę zaniepokojona.

— O wszystkim? Co to znaczy?

Znów uśmiechnął się z maskowaną ironią.

— Widzisz, wasza godność — rzekł, nie odpowiadając na pytanie — dziesiętnik Rbal, mój przyjaciel, to jakby... dwaj ludzie w jednym ciele. Rbal jest znakomitym, nie znającym strachu żołnierzem i bardzo dobrym dowódcą, poza tym zuchwalcem i śmiałkiem, przed którym każdy mężczyzna winien mieć się na baczności. Ale jest jeszcze chłopiec Rbal, śmiertelnie bojący się kobiet, płochliwy, zakochany w tobie, wasza godność... i nie mający żadnej wartości jako twój kochanek.

Zaniemówiła.

— Jak śmiesz mi... takie rzeczy... — wykrztusiła wreszcie.

— Śmiem, wasza godność — powiedział, już nie kryjąc ironii — bo nie boję się kobiet, ani nawet twoich rodowych monogramów. Śmiem, bo chcę usłyszeć od ciebie, dlaczego mącisz Rbalowi w głowie?

Milczała z gniewem na twarzy, a obawą w duszy. Belgon był człowiekiem spostrzegawczym i niegłupim, a więc bardzo

niebezpiecznym.

— Wasza godność — powiedział rozglądając się dokoła, czy na pewno nikt nie słyszy — nie powiedziałem przecież, że przeszkodzę w twoich zamiarach. Ale wiem zbyt mało, by stanąć po twojej stronie.

— Zamiary? Stanąć po mojej stronie? — zapytała pogardliwie. — Chcesz więc stanąć przy mnie, u mojego boku? Pani A.B.D.Leyna i legionista... jak? Belgon?

Żołnierz milczał przez chwilę.

— Nie lubię setnika — rzekł wreszcie. — Nikt go nie lubi. Rbal powiedział mi, że zostałeś porwana, wasza godność, z własnego swojego domu. Czy chcesz uciec? Możemy ci pomóc.

Milczała.

— To jest bardzo dziwna wyprawa — ciągnął dalej. — Nikt nie wie, dokąd prowadzi nas dowódca. Mówi się, że do Złego Kraju. Nikt nie chce tam jechać. Stamtąd się nie wraca. Dlatego pomogę ci uciec, bo może uda mi się pokrzyżować w ten sposób plany setnika.

— Tylko o to ci chodzi?

— O życie. Czy to mało? Nie chcę jechać do Złego Kraju.

Zamyśliła się, marszcząc brwi.

Niedługo potem wrócił Rbal.

— Od teraz maszerujemy w szyku wojennym — rzekł niechętnie. — Twoja trójka, Belgon, ma dzisiaj iść w ariergardzie, pozostałe dwie trójki z naszej dziesiątki idą do straży przedniej. Pod moją komendą.

Spojrzał błagalnie na Leynę.

— Przebaczysz mi pani, prawda?

Zbyt podniecona rozmową z Belgonem, zdobyła się tylko na skinięcie głową.

— Jedź — dodała zaraz. — I wracaj szybko.

Belgon uśmiechnął się krzywo.

*

— Co? Jak myślisz? — zapytał Gold, oglądając się przez ramię na jadący oddział..

Powolny i flegmatyczny Daganadan długo kręcił głową.

— Nie wiem — wymruczał wreszcie. — Obojętne. Zabiegałeś o dowództwo takiej wyprawy. Twój pomysł. Twoja służba.

Gold skinął głową. Istotnie, wyprawa do granic Bezimiennego

Obszaru była jego własnym pomysłem. Nadtysięcznik R.W.Ambegen, stary komendant Legii Grombelardzkiej w Grombie wcale nie ukrywał, że w jego oczach takie przedsięwzięcie nosi wszelkie znamiona niemądrej awantury. „Po co? — pytał — Po co chcesz angażować siły stołeczne do załatwiania spraw w okręgach Riksu i Badoru?”. Gold tłumaczył, że wie o zbójeckich kryjówkach przy granicy Obszaru. Przedstawił fałszywe dowody. I fałszywych świadków... „Dobrze — rzekł na koniec Ambegen. — Jesteś cenionym i odpowiedzialnym oficerem, muszę poważnie potraktować twoje racje. Zgadzam się na tę wyprawę, masz tutaj rozkazy dla komendantów Riksu i Badoru. Lecz nie chcę, Gold, żebyś miał mnie za głupca, a więc prywatnie ci powiem: otóż sądzę, że masz tam do załatwienia jakieś własne sprawy. I ostrzegam cię, że jeśli zmarnujesz ludzi, to przeprowadzę szczegółowe śledztwo. To nie są twoi żołnierze, tylko imperialni i mają pilnować spraw imperium, nie twoich”.

Na tym stanęło. Teraz Gold przypomniał tę umowę swojemu zastępcy.

— Jednak... jeśli ruszymy z Baylayem do Obszaru... — nalegał patrząc na Daganadana.

Chciał usłyszeć coś, co go podtrzyma.

Podsetnik wzruszył ramionami.

— To twój przyjaciel — powiedział. — Wspieraj go, gdy żyje. Pochowaj, gdy zginie.

Gold odetchnął.

— I tak właśnie chcę zrobić. Ale to jest Zły Kraj, Dag.

— A to jest miecz, Gold. Tylko po co ta dziewczyna? Że jego siostra? Co ci wpadło do głowy? Trzeba było od razu samemu. Szkoda na nią czasu. Pieniądzy. Będą kłopoty. Myślisz, zatrzyma brata? Nie. Nic nie wskóra.

W ustach Daganadana pięć słów wypowiedzianych jednym ciągiem było prawdziwą przemową. Gold zagryzł wargi. Jego przyjaciel i zastępca uderzył w czuły punkt.

— Stało się — powiedział. — Ale teraz...

— Co teraz?

Gold nie wiedział.

— No, a co mam zrobić?! — wybuchnął.

Zaraz obejrzał się nerwowo na żołnierzy. Ściszył głos:

— Niepotrzebnie ją tu przywlokłem. Ale co mam teraz zrobić? Odesłać? Muszę teraz doprowadzić do jej spotkania z bratem! Inaczej ona odda mnie w ręce urzędników Trybunału Imperialnego i wiesz, co ze mną będzie?

— A jednak trzeba ją odesłać. Tylko, że teraz to nie takie proste.

— Co masz na myśli?

— Nic.

Gold zirytował się.

— Mów mi, o co chodzi! Jeśli jeszcze my dwaj zaczniemy robić do siebie tajemnicze miny...

— Otóż to. Rbał i jego dziesiątka. Spójrz za siebie.

Gold obejrzał się, na pozór mimochodem. Między luźno jadącymi żołnierzami dostrzegł zwartą, trzyosobową grupkę.

— Co z tego?

— Co z czego? — zapytał Daganadan. — Ile czasu minęło od chwili, gdy kazałeś wysunąć awangardę i ubezpieczyć tył szyku? Rbał zawsze był zdyscyplinowany. To był gorący łeb, awanturnik. Ale dobry żołnierz. A teraz? Owinęła go sobie dookoła palca. W ciągu kilku dni.

Gold zamyślił się. Podsetnik mógł mieć rację. Jemu też nie bardzo podobało się, że Dartanka robi słodkie oczy do jednego z funkcyjnych. Ale jak miał zareagować?

— Co mam zrobić? Przegonić rywala? — zapytał sarkastycznie.

Daganadan nie zrozumiał ironii. Zawsze był wielkim wrogiem kobiet, tak w szeregach legii imperialnych, jak i w ogóle. Niczego o nich nie wiedział, ani wiedzieć nie chciał.

— Była sama — rzekł. — Potem dwoje. Teraz jest ich troje, Gold. Jeśli żołnierz nie słucha dowódcy, to źle. Ale gdy zamiast dowódcy słucha obcego, to bardzo źle. To bardzo źle, Gold.

— Mówisz poważnie? Czego się obawiasz?

— Wyznacz jedną lub dwie trójki, ale nie z dziesiątki Rbała. Niech eskortują ją do Dartanu.

— Przez pół Grombelardu i... Nie, Dag. Ona musi spotkać się z Baylayem.

— Gold. Ona nigdzie nie pojedzie. Rbał nie dopuści. Albo będzie chciał uciec razem z nią. Zobaczymy, co knują.

Daganadan nie umiał żartować. Ale setnik nie mógł uwierzyć, że jego

zastępca naprawdę wietrzy spisek.

— Ty to mówisz poważnie?

— Co? Nie mam racji? Zobaczysz.

— A jeśli jednak... pojedzie do Dartanu?

— To pojedzie. Będzie nienawidzić cię z daleka. Aż przywieziesz jej brata. Wtedy poczuje się winna. Jak chcesz kogoś porwać, to lepiej Baylaya.

— Stracę przyjaciela.

— Zdobędziesz kobietę.

— Ty myślisz, że ja... chcę ją zdobyć?

Daganadan zmarszczył brwi i powiedział coś, co śmiertelnie przeraziło Golda. Bo być może jego przyjaciel nie znał się na kobietach, lecz potrafił dostrzec co innego.

— Ja wiem, Gold, jak brakuje ci Elwy. To nic złego, że po roku od jej śmierci... Jesteś samotny, rozumiem. I zakochałeś się. Ale teraz myśl trzeźwo. Nie możesz niewolić kobiety dlatego, że wracasz do życia. Nie możesz jej mieć. Tutaj. Bo możesz zdobyć w Dartanie.

*

Podobne ulewy były rzadkością nawet w Grombelardzie. Deszcz tłukł z taką siłą, że nieomal przytłaczał ludzi do ziemi. Na kilka kroków nie było nic widać.

— Kto idzie?!

Zza ściany deszczu wynurzył się ociekający wodą wartownik. Rbal dał znak swoim ludziom, by zsiadli z koni i sam uczynił to samo.

— Ze zwiadu! — zawołał, przekrzykując szum ulewy.

Wartownik machnął ręką ku wejściu do jaskini. Po chwili Rbal i jego żołnierze znaleźli się w suchym, bardzo przestronnym wnętrzu. Płonęły dwa ogniska, siedzieli przy nich półnaczy żołnierze, susząc odzienie. Rbal rozejrzał się, szukając dowódcy; zamiast niego, z ciemnego kąta jaskini wynurzył się podsetnik.

— Powrót z patrolu — zameldował dziesiątnik. — Niczego...

— Dobrze — przerwał oficer. — Odprawa, tam — wskazał palcem. — Załóż coś suchego i zgłoś się.

— Tak, panie.

Daganadan odszedł. Rbal stał przez chwilę nieruchomo, potem rozejrzał się dokoła. Wypatrzył Leynę niedaleko złożonych na ziemi

bagaży. Poszedł tam pospiesznie.

— Dobrze, że już jesteś — powiedziała i wtedy spostrzegł z przerażeniem, że dziewczyna płacze. — Nie odchodź nigdy na tak długo...

— Co się stało? — wykrztusił.

— Twój dowódca! — powiedziała z goryczą, nie tając lęku. — Zdaje się, że odsyła mnie gdzieś. Powiedział, że do Dartanu, ale jestem pewna, że nie.

— Odsyła cię?

— Tak powiedział.

Wyglądała tak nieszczęśliwie i bezradnie, że zapragnął ją objąć, przytulić, całować po włosach i oczach... Przełknął ślinę.

— Dowiem się, o co chodzi — obiecał.

— Nie zostawiaj mnie samej.

— Muszę iść na odprawę, pani. Przebacz mi.

Odwrócił się i poszedł w kąt jaskini, który wskazał mu Daganadan.

— A otóż i dziesiątnik Rbal — rzekł Gold ujrzawszy podkomendnego. — To oznacza, że zebrała się cała starszyzna. Zaczynajmy.

Wiecznie z czegoś niezadowolony, miewający humory setnik, nie był lubiany przez podkomendnych — jednak sarkastyczne uwagi i zgryźliwy ton w głosie były dla Rbala czymś zupełnie nowym. Na krótką chwilę skrzyżował spojrzenie z dowódcą, po raz pierwszy myśląc o tym, jakie właściwie kłopoty ma ten człowiek. W co się uwikłał? Jaki był prawdziwy sens tej dziwacznej wyprawy do Złego Kraju?

— Dowódca oddziału zarządza co następuje — rzekł Daganadan. — Po pierwsze: dyscyplina. Koniec z jazdą kupą. Dziesiątki kolejno obejmować będą służbę w straży przedniej i tylnej. Pozostałe dziesiątki marsz w szyku regulaminowym. Chyba że teren nie pozwoli.

Rozkaz przyjęto do wiadomości.

— Po drugie: jej godność Leyna natychmiast musi wrócić do Dartanu. Jako eskorta pójdzie trójka z dziesiątki Ehdeha, pod komendą swojego dziesiątnika. Wymarsz o świcie.

Rbal drgnął.

— Pytania — rzekł Gold.

— Setniku — powiedział Rbal.

Dowódca skinął przyzwalająco.

— Proszę o powierzenie tego zadania trójce z mojej dziesiątki i pod moją komendą.

— To niemożliwe. Twój kuzyn będzie mi bardziej potrzebny, niż topornicy Ehdeha.

— Zatem proszę o powierzenie mi komendy nad żołnierzami Ehdeha.

Gold uniósł brwi.

— Nie widzę przeszkód, o ile Ehdeh wyrazi zgodę. Lecz zdaje się, że nawet wtedy będziesz musiał poprosić jego żołnierzy, by zgodzili się pójść pod twoją komendę.

Rbal przełknął ślinę wiedząc już, że przegrał. Nie był honorgardzistą, a Ehdeh dowodził dziesiątką gwardyjską; jego żołnierze mogli, lecz nie musieli podporządkować się dziesiątnikowi zwykłych oddziałów legii. Najczęściej w takich sytuacjach gwardziści skłonni byli posłuchać prośby swego dowódcy, zdającego komendę — ale Gold właśnie dał do zrozumienia, że nie poprosi ich o to.

— Ehdeh, czy twoi żołnierze zgodzą się pójść pod moją komendę? — zapytał Rbal.

Łysy jak kolano dziesiątnik skrzywił się, nawet nie kryjąc złośliwego uśmiechu.

— Nie wiem. Będziesz musiał ich o to zapytać.

Rbal miał już pewność, że to wszystko zostało ułożone wcześniej. Ehdeh i trzech jego ludzi mieli zawieźć gdzieś Leynę. Nie wiadomo dokąd.

Rbal odmeldował się i wyszedł z jaskini, prosto pod strugi siekającego deszczu. Zamknął oczy i wystawił twarz do góry. Był spokojny. Jak zawsze, gdy rzucono mu wyzwanie.

Wiedział już, co zrobi, choć nie wiedział jak. Leyna ufała mu. Nie zamierzał oddać jej Ehdehowi. Musiał postawić na szalę... no cóż, wszystko. Swą wojskową karierę. Może nawet życie...

Wrócił do jaskini i poszedł prosto do miejsca, gdzie siedziała Dartanka.

— Co postanowili? — zapytała gorączkowo, podnosząc się. — Jesteś przemoczony... gdzie byłeś?

— Nigdzie. Rano masz być odwieziona do Dartanu, pani — powiedział. — Nie powierzono mi komendy nad eskortą, choć zabiegałem o to.

Ciężko oparła się o nierówną ścianę za plecami. W migotliwym poblasku płonącego opodal ogniska widział przygnębienie, smutek i lęk na jej twarzy.

— A więc tak wszystko się skończy — szepnęła.

— Wymarsz o świcie. Czy możesz nie spać tej nocy, wasza godność?

— Dlaczego?

— Bo przyjdę do ciebie i zabiorę cię stąd. Bądź przygotowana do ucieczki w każdej chwili. Sprzeciwiam się rozkazom dowódcy i dezerceruję... — rzekł z krzywym uśmiechem. — To może oznaczać stryczek.

Nie wyglądał na przejętego; przeciwnie. Był dokładnie taki sam, jak wtedy, gdy wszedł do wynajętej izby w zajeździe i zażądał wyjaśnień od dowódcy grożącego nożem kobiecie.

— Twój dowódca jest porywaczem! — powiedziała z największą żarliwością. — Żaden sąd nie skaze cię za to, że pomogłeś uciec kobiecie, którą siłą uprowadzono z jej własnego domu. W Rollaynie jestem... wszyscy tam liczą się ze mną! Są świadkowie, że zostałam porwana. Moja służba. Żołnierze pilnujący miejskiej bramy. Jednego z nich rozpoznam, prosiłam go o pomoc, ale myślał chyba, że żartuję.

— Obojętne, uciekniemy tak, czy inaczej — rzekł, wciąż z lekkim uśmiechem. — Odwiozę cię, pani, do domu. Belgon nam pomoże.

Nagle szybko pocałowała go w usta, wprawiając w osłupienie i niemal — przerażenie.

— Dziękuję — szepnęła i rozplakała się.

8.

Brule-Przyjęty był największym spośród mędrców Szerni.

Olbrzymie, przykute łańcuchami do skały psy, zaczęły radośnie ujadać i przymilnie skomleć na jej widok. Ilara bardzo je lubiła, często siadała na ziemi, otoczona przez nadstawione do głaskania łby i ziejące paszcze, by opowiadać o wszystkim, co było do opowiedzenia. Gdy lizały ją po rękach i po twarzy, broniła się z całej siły, ze śmiechem, a psy nawet nie czuły uderzeń drobnych pięści. Były wielkie i ciężkie jak cielaki. Zwano je basogami. Niedźwiedziami.

Czasem, w przyływie nagłej czułości, przyciskała swój mały,

zadarty i trochę piegowały nos do olbrzymiego, wilgotnego nosa któregoś z nich. Zaciskała dłonie na wielkich psich uszach i wywijiała je śmiesznie na lewą stronę, zaś psy nauczyły się już, że mała istota lubi tę dziwną zabawę i nie rzucały gniewnie łbami. Nawet Brule był zdumiony miłością i przywiązaniem, jakie okazywały jej te krwiożercze bestie, nie obawiające się nawet niesamowitych Strażników Obszaru. Wreszcie doszedł do wniosku, że ta zażyłość z psami jest niewskazana. Prosiła i błagała, ale był nieugięty.

Podeszła jeszcze bliżej. Psy szarpały grube łańcuchy i nieomal wyły z radości. Olbrzymie kudłate ogony kiwały się zamasyście. Arks, wódz sfory, przypadał do ziemi i poszczekiwał jak mały szczeniak. Rozwinęła swój Bicz i smagnęła kudłate boki. Zaraz potem, nie potrafiąc znieść rozumnego, przedziwnie ludzkiego spojrzenia Arksa, krzycząc rozpaczliwie uderzyła go w sam nos. Potem biła na oślep, zupełnie bezpieczna, bo darowany jej przez Brula straszliwy Porzucony Przedmiot nie dopuściłby do niej nikogo i niczego.

Lecz psy nie rzuciły się na nią; skowyczały tylko i szukały schronienia między skałami. Zapłakała nagle, widząc drgawki wstrząsające potężnym ciałem Arksa. Pies leżał na boku i patrzył gasnącymi ślepiami. Jego wielki, paskudny pysk przecięty był Biczem na pół, z mokrego czarnego nosa pozostały tylko krwawe strzępy. Odwróciła się i uciekła niezgrabnie, podtrzymując ręką wyraźnie widoczny pod odzieniem, zaokrąglony brzuch.

„Trzeba było, naprawdę trzeba!” — powtarzała sobie z płaczem.

Była pewna, że postąpiła słusznie, ale świadomość tego nie pomogła. Dobiegła do rozpostartych nieopodal ruin starej twierdzy Shergardów i oparła się o resztki kamiennego muru.

Dopiero tam wyplakała się do woli.

Potem weszła w labirynt wielkich, na pół zburzonych korytarzy i komnat. Proste drewniane chodaki głucho stukały w rytm drobnych, zabawnie statecznych, trochę niepewnych kroków.

W ruinach niepodzielnie królowały kurz i brud. Ogromne, czujące respekt przed Biczem szczury pospiesznie chowały się po kątach.

Poczuła zawrót głowy, oparła ramię o ścianę, przyciskając dłonie do wzdętego brzucha. Dotknęła czołem chłodnego muru, a potem uniosła twarz ku niebu, widocznemu przez dziurę w zerwanym sklepieniu. Obraz

zbitych psów na dobre uleciał z pamięci, myślała znów o tym i już tylko o tym, że wkrótce...

O dziecku.

Uśmiechnęła się lekko i przyklękła, by podnieść upuszczony Bicz. Poszła dalej. Posępny Geerkoto włókł się za nią po posadzce jak długi, czarny ogon. Był to może jedyny Porzucony Przedmiot samym swoim wyglądem mówiący, do czego mógł najlepiej posłużyć...

Wkrótce Ilara znalazła się w bardziej zadbanej części starej fortecy. Nie było tu gruzów ani brudu. Stała przed właściwymi drzwiami. Błyszczące radośnie oczy przygasły nieco, pojawiło się w nich napięcie. Zastukała.

— Wejdz!

Zamknęła za sobą drzwi. Jej wzrok długo błędził wśród stosów książek, kamieni, kości zwierzęcych i tysięcy różnych szpargałów, nim wreszcie natknął się na barczystą, prostą mimo wieku sylwetkę.

— Jesteś, dobrze — powiedział swym mocnym, trochę głucho brzmiącym głosem. — Zrobiłaś, co kazałem?

Zawsze pytał, czy wykonała polecenie, choć dobrze wiedział, że nie mogła nie wykonać.

— Tak — odparła cicho. — Chyba zabiłam Arksa.

— Hm, to źle, wielka szkoda. Ale nie czuj się winna. Podejdz do mnie.

Była wobec niego malutka i bezradna. Onieśmielał, górował nad nią jak wielka i masywna skała nad drobnym kamykiem. Zawsze zbliżała się doń z odrobiną lęku, choć nigdy nie wyrządził jej krzywdy. Przeciwnie, dał to, czego nikt dotąd dać nie umiał: dziecko.

Stała tuż przy fotelu, na którym spoczął. Ujął jej dłoń i ukrył w swoich wielkich dłoniach.

— Usiądz mi na kolanach — polecił.

Posłusznie i skwapliwie zrobiła, czego żądał. Dotknął jej brzucha i przez moment jakby nasłuchiwał, a potem powiedział:

— Za dziesięć lub dwanaście dni urodzisz syna.

Objęła go za szyję. Zaśmiał się i przez chwilę pieszczotliwie drapał ją po karku.

— No, dobrze — powiedział. — Cieszę się razem z tobą, a kto wie, może nawet bardziej, niż ty.

— Nie — orzekła z całkowitą pewnością. — Bardziej nie.

Znów się zaśmiał.

— Zostanę trochę z tobą — powiedziała.

— Przecież nudzisz się patrząc, jak pracuję.

— Będziesz teraz pracował?

— Owszem.

— To lepiej pójdę sobie — rzekła, trochę obrażona.

Wstała i pobiegła do drzwi.

— Powoli! — zawołał, odprowadzając wzrokiem jej niewysoką, wciąż drobną mimo ciąży sylwetkę.

Gdy wyszła, popadł w zadumę.

Jeszcze tylko kilkanaście dni. Mniej, niż dwa tygodnie.

Jakie będzie to dziecko? Jego dziecko... Poprzez napiętą skórę jej brzucha wyraźnie wyczuwał aurę Szerni. Jeśli dziecko już teraz miało w sobie treść Pasm... Demon; być może Ilara nosiła demona. Odmieńca.

Była brzemienna dopiero od czterech miesięcy. Cięża miała trwać o połowę krócej, niż zwykle. To nie wróżyło niczego dobrego.

Odmieniec, demon... Potwór. Niestety, nader często tak bywało. Zbyt często. Dzieci Przyjętych bardzo rzadko były podobne do innych dzieci, a tym razem na świat przyjść miało dziecko Szerni i Aleru. Nie wiedział, czego oczekiwać. Lecz liczył, że poznanie tej niezwyklej istoty pomoże mu zrozumieć, co łączy, a co dzieli dwie wiszące nad światem potęgi. Wobec nadciągającej drugiej wojny Szerni z Alerem, było to zagadnienie najwyższej wagi.

Brule bał się tylko jednego: tego, że nie zdąży. O, był jeszcze zdrowy i silny! Potrafił wciąż biegać, wspinać się na skały, umiałby strzaskać stół uderzeniem topora. Jeszcze...

Człowiek Przyjęty przez Szerń starzeje się prędko, lecz grzybieje późno, bardzo późno. Ale zupełnie nagle. Nieomal z dnia na dzień.

Wyglądając przez okno, Brule widział małą, śliczną Ilarę, o twarzy rozpieszczonego dziecka. Ciągnąc za sobą Bicz, szła w stronę morza. Od smutnej, jednostajnie szarej równiny jaskrawo odcinała się jej biała koszula. Przyjęty zmrużył lekko oczy i coś szepnął. Z namysłem patrzył, jak dziewczyna, nie przyspieszając ani nie zwalniając kroku zaczyna chodzić w kółko. Wciąż był silny, tak... Formuła Posłuszeństwa działała.

Zastanowił się, czy potrafiłby ją jeszcze odwołać. By jej użyć, trzeba ogromnej wiedzy i wybornej znajomości Pasm. By odwołać — wiedzy

jeszcze większej. Tu, w Nienazwanym Obszarze, cień Pasm stale leżał na ziemi i wszystko, co się w nim kryło, przesycone było treścią Szerni. Formuły wtopione w ową treść działały szybko i łatwo. Ale by je odwołać, należało rozproszyć cień. Do tego potrzebna była moc zawarta w samych Pasmach — a tej nigdy nie odważył się dotknąć. Nie wolno przenosić sił Szerni do świata.

Machnął lekko ręką i Ilara, nadal tym samym, spokojnym krokiem, poszła dalej w kierunku morza. Rzadko jej rozkazywał. Zwykle tylko przekonywał, pozostawiając dziewczynie pewność, że postępuje zgodnie z własnym przekonaniem. Nie chciał jej krzywdzić. Umysł, któremu zbyt często zadaje się gwałt, broni się, tworząc własne światy, wypełnione specjalnymi prawami...

Obłąd.

Patrząc przez okno, pozwolił sobie na dumny, trochę pyszny uśmiech. Tam, gdzie inny człowiek ciężko walczyłby o życie, Ilara przechodziła bezpiecznie. W tym rejonie Obszaru wszystko od dawna wiedziało, że małe stworzenie jest własnością Brula. Jeden jedyny Galla zagrażał tak jej, jak i jemu samemu, ale ten rzadko bywał na Czarnym Wybrzeżu. A gdy się pojawiał, mieszkający bardziej w głębi lądu, na granicy Wybrzeża Moldorn dawał mu o tym znać.

Moldorna nie lubił, ale nie byli wrogami. Żyli po sąsiedzku; gdy zachodziła potrzeba, służyli sobie drobną pomocą. Moldorn był matematykiem i filozof-histork Brule, aczkolwiek bardzo niechętnie, musiał przyznać, że jest czasem zupełnie bezradny bez matematycznych modeli struktur Szerni. Lecz Moldornem, jako człowiekiem, pogardzał — był to mężczyzna o słabej woli i po prostu leniwy. A przecież, z całą pewnością, w gronie matematyków to on właśnie znaczył najwięcej — stanowił odpowiednik jego, Brula, w gronie historyków-filozofów.

Patrząc przez okno, Brule zobaczył jak Ilara znika za pasem wydm. Teraz już niczego nie mógł jej nakazać. Wiązały ich tylko niewidzialne nici Formuły Posłuszeństwa.

Brule-Przyjęty, największy spośród mędrców Szerni, był człowiekiem obłąkanym. Pomyleńcem.

— Wasza godność...

Gold obudził się natychmiast i usiadł. Belgon, w najgłębszych ciemnościach, mógł najwyżej domyślać się zarysu jego sylwetki. Obudził się także podsetnik.

— Tu Belgon, trójkowy F.Rbala...

— Znam imiona swoich żołnierzy. O co chodzi?

W głębokim mroku nie widzieli swoich twarzy. Belgon milczał przez długą chwilę.

— Mam wiadomość, setniku.

Znów zaległo milczenie. Gold uśmiechnął się domyślnie, ale niezbyt przyjaźnie; ciemności skryły uśmiech, lecz trójkowy mógł domyślić się go w głosie dowódcy:

— Wiadomość, ale nie za darmo, jak rozumiem. Cóż to za wiadomość? Wiesz, że nie jestem zamożny, Belgon. Czego chcesz?

— Gdyby zwolnił się etat dziesiątnika legii...

— W czasie pokoju trudno o awanse.

— Właśnie dlatego od lat nie awansuję. Wiem na pewno, dowódco, że prędzej albo później uzyskam patent oficerski, lecz nie mogę wystąpić o egzamin bez wykazania się stażem na stanowisku starszego funkcyjnego.

Goldowi zrobiło się niedobrze na samą myśl o tym, że nocny donosiciel, sprzedający dowódcy pofune wieści, stanie się kiedyś jego kolegą-oficerem. Milczał, podejmując decyzję.

— Mogę ci obiecać, że gdy zwolni się jakiś etat, będziesz pierwszy na to miejsce. Ale to może potrwać.

— Nie szkodzi.

— Z czym przyszedłeś?

— Dziś nad ranem Rbał i jej godność A.B.D.Leyna uciekną.

Gold spodziewał się czegoś podobnego. A jednak serce uderzyło mu mocno i boleśnie. Kobieta, o względy której zabiegał... Żołnierze, którym ufał... Wszyscy gotowi byli zdradzać.

— Zwierzał ci się?

— Tak. Obiecałem mu pomóc.

— I właśnie złamałeś obietnicę, przeszkadzając zamiast pomagać.

— To mój obowiązek, setniku.

Gold po raz drugi poczuł, że robi mu się mdło. Z poczuciem, że

spełnia obowiązek, trójkowy Belgon wytargował dla siebie nominację na stanowisko dziesiątnika, zwalniane właśnie przez F.Rbala. Bo było przecież oczywiste, że Rbał przestanie być dziesiątnikiem, a może i legionistą, zaraz po tym, jak wyjdą na jaw jego plany.

— Wynoś się, Belgon. Zostaniesz dziesiątnikiem, pamiętam o obietnicy. Chociaż rozważę, czy nie będzie moim obowiązkiem złamanie jej, tak jak ty złamałeś swoją, daną przyjacielowi. Nie wiem, czy powinieneś zostać dziesiątnikiem, a potem oficerem.

Trójkowy chciał coś powiedzieć, lecz gdy tylko wyrzekł pierwsze słowo, poczuł na ramieniu ciężką dłoń podsetnika.

— Słyszałeś — rzekł Daganadan. — Wynoś się. Bo uderzę. A mam ochotę i może odpaść łeb.

Belgon, upokorzony, zerwał się i zniknął w ciemności.

— Chodź, Dag — powiedział setnik.

Po omacku, starając się zachować jak najciszej, ruszyli ku wyjściu z jaskini. Po jakimś czasie znaleźli się na zewnątrz. Nie padało, powietrze przesycone było zaledwie drobną mżawką. Ale grube chmury wciąż zakrywały niebo i przed jaskinią było niemal równie ciemno, jak w środku. Wartownik chyba drzemał, oparty o mokrą skałę, bo dopiero po długiej chwili usłyszeli gwałtowne i groźne:

— Kto idzie?!

— Setnik i podsetnik — rzekł Gold, podając hasło. — Nie melduj.

— Tak, panie.

Oddalili się.

— I co ty na to? — zapytał wreszcie Gold.

— Nic.

— Zupełnie nic?

— Nic — powtórzył podsetnik. — Wszystko, jak przewidziałem.

— Co zrobimy?

— Złapiemy ich.

— A potem? — Gold nawet nie zauważył, że udzielił mu się oszczędny w słowach styl przyjaciela.

— Reszta w Grombie. Teraz zmiana na stanowisku dziesiątnika. Wszystko.

— Służba tego chłopaka była dotąd nienaganna. A nawet wzorowa.

Daganadan nic nie powiedział i miało to taki sam sens, jakby

zapytał: „I niby co z tego?”.

Gold usiadł na szorstkiej skale, oparł łokcie na kolanach i zaczął mocno przecierać dłońmi twarz.

— To obłąd — rzekł na koniec niegłośno. — Przywożę tu kobietę, którą następnie chcę odesłać pod eskortą do Dartanu. Ktoś, kto ma mi za złe porwanie tej kobiety, teraz sam próbuje zrobić coś podobnego. Odeślę dziewczynę i w zamian będę włókł z sobą żołnierza, który mi nie ufa, nienawidzi mnie... Czy to jest drużyna, z którą warto ruszać na odsiecz komukolwiek?

— Nie — rzekł Daganadan.

— Więc po co tam jedziemy?

— By spotkać się z Baylayem. Twój przyjaciel — przypomniał podsetnik. — Zwiążesz go i zabierzesz do Dartanu siłą, jeśli to będzie konieczne.

Gold kiwał głową.

— Zdaje mi się, Dag, że wymyśliliśmy najgłupszą rzecz. Stracę wszystko: przyjaciela, kobietę i szacunek podkomendnych. Wszystko.

— Lecz kto nawarzył tego piwa?

— Ja sam — rzekł Gold powstając. — Sam je nawarzyłem i teraz muszę wypić. Chodźmy, niedługo świt.

10.

Przewodniczka zatrzymała się na chwilę i spojrzała przez ramię. Baylay wiedział już, co jest nie tak w tej ładnej z pozoru twarzy. Tkwily w niej — właśnie tkwily, jakby osadzono je siłą — zupełnie obce oczy. Szare, mocne i w jakiś dziwny sposób — męskie.

Zauważyła jego badawcze spojrzenie i zrobiła nieokreślony gest. Podjęła wędrówkę.

— Wiem — powiedziała przed siebie. — Też kiedyś... no, bałam się ich.

Nie zapytał o nic.

— Może kiedyś, kto wie, opowiem ci, jak to było. Ale nie teraz, nie dzisiaj. Dobrze?

Skinął głową, choć nie mogła tego widzieć.

Zaczęło kropić. Grombelardzkie niebo powoli budziło się z

kilkudniowego snu. Karenira uniosła ku niemu twarz.

— Wieczorem będzie ulewa — powiedziała. — Ulewa, jakiej Ciężkie Góry nie widziały.

— Skąd wiesz, że aż taka?

— Oj, wiem.

Zasapany Baylay skonstatował ze zdziwieniem, że idą bardzo szybko. Prowadzący mały pochód Starzec był, jak na swój wiek, bardzo żywotny i krzepki. Prowadził teraz pod górę, szerokimi zakosami, omijając najbardziej uciążliwe miejsca.

— Idziemy w stronę Paszczy — zorientował się nagle. — Czyżby w tej okolicy była jakaś droga wiodąca na drugą stronę?

Zaśmiała się krótko.

— Oczywiście, że tak. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie i jak zabrać się do rzeczy.

— Chyba nigdy nie poznam i nie zrozumieję tych gór.

— Tak myślisz? Parę lat temu myślałam podobnie.

Potknął się nagle i wpadł na dziewczynę.

— Patrz pod nogi! — zarządziła z lekką ironią. — Idź przede mną, trochę ci opowiem o Górach. Wygodniej mi będzie mówić do twoich pleców, niż stale oglądać się do tyłu.

Wysforował się przed nią i podjęli marsz.

— Ciężkie Góry to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie nie ma w ogóle śniegu. Nigdy i nigdzie, nawet najwyższe szczyty są zupełnie nagie i czarne. Dorlan mówi, że tutaj jest bardzo ciepło i tylko z powodu wilgoci wszyscy stale marzną. Idziemy przez skalistą pustynię, wszędzie zobaczysz tylko szare, czarne i brunatne skały. Czasem, w niektórych rejonach, rośnie trochę drzewek i krzaków. Za to wszędzie są chmury: nad tobą, czasem pod tobą, czasem wokół ciebie. Jeśli nie chmury, to mgły. Albo ściany deszczu. Teraz mamy, od wielu dni, bardzo piękną pogodę, ale niech cię to nie zwiedzie. Przeważnie nic tu nie widać na odległość większą niż strzał z łuku.

— Wiem — powiedział. — Po bezdrożach chodzę od niedawna, ale jestem w Grombelardzie od wielu tygodni. A byłem w górach w Armekcie, w Szczytach Książących. Nigdzie nie ma tak przejrzystego powietrza jak tam. Ale najdziwniejszy tutaj jest wiatr.

— Oddech Gór — powiedziała i usłyszał, że się uśmiecha. — Tak go

tu nazywają. Grombelardczycy wierzą, że Ciężkie Góry żyją. Mówią, że są takie miejsca, gdzie wyraźnie słycać uderzenia serca, jeśli przyłoży się ucho do ziemi.

— Nie wierzysz w to chyba? — zapytał z niedowierzaniem. — Byłaś w takich miejscach, słuchałaś?

— Słuchałam — powiedziała, wciąż z uśmiechem.

— I co? — zapytał, oglądając się przez ramię.

— Słycać uderzenia serca.

*

Wrócili do tej rozmowy podczas wieczornego biwaku. Maleńki ogienek ledwie ledwie wyławiał z ciemności twarze wędrowców. Karenira powiedziała o sercu Gór.

— Grombelardczycy wierzą, że Ciężkie Góry naprawdę żyją, oddychają i czują — wyjaśnił Starzec. — Bardzo dziwne ludy zamieszkują ten kraj. Poniżej gór pastuchy, bijące się o swoje stada, ledwie znające ludzką mowę. A tutaj tylko mieszkańcy wysokich wsi. Jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób powstają i żyją grombelardzkie legendy, takie jak ta o sercu Gór. Trudno uwierzyć, że wymyśla bądź powtarza je półczłowiek pilnujący owiec, może to zresztą owce i barany pilnują swoich pasterzy... A czy znasz legendę o powstaniu Paszczy? — zapytał, zwracając się do dziewczyny.

— Nie, nie słyszałam.

— Bardzo młoda legenda.

Usiadł wygodniej i na chwilę popadł w zadumę.

— Dwie armie — zaczął — jedna podążająca z Armektu, a druga z podbitego wcześniej Dartanu, wkroczyły do dzikiego Grombelardu. Grombelard nigdy nie był państwem, ani nawet zlepkim księstw, jak przed wiekami Armekt. Nie było więc mowy o regularnej wojnie, bo kto miał ją prowadzić? Rozbójnicy-rycerze, siedzący w swoich warowniach? Co prawda, połączyli swe siły, porozumiawszy się po raz pierwszy i ostatni w historii. Przyjęli bitwę pod murami Brołu, zwanego dzisiaj Riksem. Riks to nazwa armektańska, w wysokim języku oznacza: krwawe, chwalebne i niełatwe zwycięstwo.

— Nie wiedziałem — rzekł.

— Nie wiedziałam — powiedziała w tej samej chwili.

Wymienili spojrzenia i lekkie uśmiechy.

— Szacuję — rzekł Starzec — że legło w tej bitwie półtora tysiąca Dartańczyków i Armektańczyków. Ale może więcej, lub mniej, trudno dociec. W Armektańskich kronikach zawsze jest mowa o „stu setkach zabitych w wielkiej bitwie”, obojętne czy to była wojna Sar Soa z Królestwem Trzech Portów, czy graniczna awantura armektańsko-dartańska... Lecz pozostawmy liczby, bo nie mają tutaj znaczenia, dość że bitwa pod Brolem była pierwszą i ostatnią wielką bitwą tej wojny. Wojny trwającej jeszcze trzydzieści z górą lat, choć i to nie musi być prawdą. Bo niektórzy sądzą, że wojna grombelardzko-armektańska nigdy się nie

skończyła i na dobrą sprawę trwa do dzisiaj. Armekt uwikłał się w długotrwałą, okrutną i bezpardonową wojnę podjazdową, gdzie wszyscy biją się ze wszystkimi. Armektańscy mają szczęście do takich właśnie wojen, najbardziej przez nich znienawidzonych. Mozolnych, nie przynoszących wielkiej chwały, małych wojen na wyniszczenie. Tak szarpani są przez alerskie hordy na Północnej Granicy. Tak właśnie wygląda morska wojna z piratami na Bezmiarach. Nie inaczej jest tu, w Grombelardzie, gdzie każdy staje przeciwko drugiemu, a wojsko od zawsze stacza w górach i na trakcie potyczki ze zbrojnymi bandami. Potyczki, a czasem małe bitwy, w których bierze udział do kilkuset zbrojnych. Koty mogły wygrać swoje powstanie — rzekł nagle, nawiązując do jeszcze innych wydarzeń — bo Armektańscy bardzo szanowali taką wojnę. Wprawdzie kocie armie także stosowały strategię i taktykę podjazdową, lecz jednak były wojskami. Byli wodzowie, były zwycięstwa, był wróg, cel wojny, a na koniec była sława wojenna, bohaterskie czyny, legendy. Armektańscy przegrali wspaniałą wojnę o honor, bo o nic innego przecież nie chodziło. Przegrali wojnę o honor zachowując honor, wspaniale ją przegrali, a kto tego nie rozumie, niech pomyśli o rycerskich turniejach w Dartanie. Armektańscy nigdy nie bawili się w turnieje, lecz znali pojęcie honorowej wojny i honorowej klęski. Coś takiego jest potrzebne Armektowi jak powietrze, bo ten naród wywodzi się wprost od swojej Niepojętej Pani...

Urwał widząc, że Dartańczyk niczego nie rozumie, zaś Armektanka raczej czuje tradycje swego kraju, zaszczerpione jej gdy była dzieckiem, niżli pragnie o nich rozmawiać.

— Grombelardzka wojna trwa do dzisiaj, tak powiadają niektórzy. Ja uważam, że trwała trzydzieści cztery lata. Zbrojne niedobitki grombelardzkich armii, najemnicy wybitych rozbójników-rycerzy, świetnie znający góry, z różnych pobudek: czasem dla łupów, czasem dla wojny jako takiej, ale również z czystej nienawiści do obcych, ścierali się z armektańskimi żołnierzami tak zaciekle, że zupełnie wyrzucono intruzów z Ciężkich Gór i prawie całkiem z Gór Wąskich. Garnizony legionistów wykruszyły się w dziesiątkach i setkach potyczek i utarczek. Zmieniono całą doktrynę wojenną, bo łucznicy lekkokonni, stanowiący rdzeń wojsk Armektu, użyteczni byli tylko w regularnych bitwach, takich jak bitwa pod Brolem, zupełnie zaś nieprzydatni w gonitwach po

górkich wertepach. Grombelardzkim kusznikom przeciwstawiono ciężką piechotę, bo kirys, choć w górach dosyć niewygodny, dość dobrze chronił jednak od dalekosiężnych pocisków. Dziesiątki niewielkich oddziałów, działających w oparciu o warowne obozy i stacje, załazy Grombelard. Walczono na zbójcki sposób, skrycie, z zasadzki, równie często posługując się siłą, jak podstępem. Ale Armekt wygrał wojnę dopiero wtedy, gdy cesarskie wojska raz na zawsze uciekły z Ciężkich Gór — i w moim mniemaniu jest to moment, gdy zakończony został podbój tego kraju... Nie rozumiecie? Grombelardem rządzi ten, kto trzyma miasta i łączący je szlak, cała reszta zupełnie się nie liczy. Ściganie różnych łapserdaków po bezdrożach to nie jest zajęcie dla regularnej armii, zresztą nie ma żadnego znaczenia, czy te łapserdaki tam biegają. Dzisiaj Legia Grombelardzka siedzi w miastach, żołnierze patrolują szlak kupiecki, a poza tym istnieje zaledwie parę stanic, tu i tam. Takich jak ta, do której zmierzamy, przy granicy Obszaru. Większy z nimi kłopot, niż pożytek, ale wojsko nie chciało całkowicie wycofać się z gór. Czasem jeszcze, z hukiem trąb, wszczyna się buńczuczne obławy, które nie wiem komu i do czego służą. No, mniejsza o to. Dość, że w Grombelardzie nie da się zaprowadzić innego porządku, niż taki, jaki jest. Należałoby spalić wszystkie wioski, co do jednej, zwłaszcza niskie wioski pasterskie, bo to one dają oparcie bandom i to w nich przychodzą na świat nowi rozbójnicy. Ale kto wtedy przynosiłby wełnę na sprzedaż? Z czego żyłby Grombelard?

Karenira i Baylay skinęli głowami.

— Pytałem, czy znacie legendę o Paszczy. Otóż, gdy w Grombelardzie w najlepsze trwała podjazdowa walka o bezdroża, zdarzyło się że dość znaczna, kilkudziesiąt głów licząca grupa Grombelardczyków uchodziła na wschód od Badoru, przed ścigającym ich oddziałem Legii Armektańskiej. Położenie uciekających było bardzo trudne, a stawało się beznadziejne z powodu znacznej liczby rannych, których stan pogarszał się na skutek forsownego marszu. Powszechnym w Górach zwyczajem, postanowiono porzucić nie mogących iść o własnych siłach towarzyszy. Pozostało z nimi kilku zdrowych — ktoś, kto nie chciał zostawić konającego brata; inny, co miał przyjaciela. Czekaając na nadejście Armektańczyków, ciężko ranni ludzie sposobili się do walki: mozolnie napinano kusze, szykowano ostatnie bełty. Nie było

to czcze bohaterstwo. Armektańscy legionieści nie traktowali pojmanych rozbójników jak żołnierzy wrogiej armii, lecz jak pospolitych złoczyńców (poniekąd może i słusznie), prawie każdy więc wolał znaleźć szybką śmierć w walce, niżli zgnić w twierdzy więziennej lub zadyndać na szubienicy. Zdesperowani obrońcy przepędzili straż przednią armektańskiego oddziału, lecz gdy nadeszły siły główne, wyglądało na to, że dojdzie do masakry. Ktoś w Grombelardzkim oddziale zaczął gorzko narzekać na los wojenny, który zawsze służy Armektańczykom, mającym swoją Panią Losu i Wojny. Lecz inny dowodził, że w Ciężkich Górach Pani Wojna nie ma żadnej władzy, a oni przegrywają i zawsze przegrywali, bo nigdy dotąd nie prosili swoich Gór o wsparcie. Ktoś znał starą pieśń o tych, którzy krążąc po Górach, stali się ich krwią; pieśń o sercu i oddechu Gór Ciężkich. Gdy śpiewał, przyłączyli się inni, a gdy wreszcie legionieści przypuścili atak — Góry obroniły tych, co im zawierzyli. Pożarły napastników, zaś wszyscy ranni ocaleli. I zawsze odtąd ufali swoim Góróm, bo okazały się silniejsze od armektańskiej Pani Losu Wojennego — Arilory.

Starzec zamilkł.

— Ale... w jaki sposób to mogło się wydarzyć? — zdumiał się Baylay.
— Czy w tym może być jakieś ziarno prawdy?

— Przepaść, na dzień której legionieści znaleźli swój grób, po dzień nazywana jest Paszczą. Tak, to tutaj właśnie. Wcześniej, przed opisanym przeze mnie wydarzeniem, ta nazwa nigdy nie pada, choć znam wiele tekstów z czasów przedwojennych. Pisze się najwyżej o „wielkiej przepaści”, występuje też nazwa: Cięcie... Pytasz, młody przyjacielu, ile prawdy jest w legendzie? Nie potrafię ci odpowiedzieć. Może cała ta historia została wymyślona, a może w samej rzeczy jakiś oddział wojska znalazł śmierć w Paszczy. Mogło być i tak, że ryczący swoją pieśń Grombelardzcy spowodowali zejście skalnej lawiny, która strąciła atakujących na dno urwiska. Są tu miejsca, w których coś podobnego mogło się wydarzyć. Może zginęli wszyscy napastnicy, a może tylko kilku. Może nikt nie zginął i nawet nie było lawiny... To tylko legenda; pytaliście mnie o serce Gór a ja obiecałem, że opowiem młody legendę. Więc ją macie.

Siedzieli w milczeniu, smakując dziwną opowieść. Po jakimś czasie Karenira, rozmyślająca widocznie o różnych wojennych czynach, uniosła

lekko brwi i zapytała:

— Czy to prawda, ojciec, że w oblężeniu Grombu brały udział trzy półsetki łuczniczek?

Starzec zdziwił się.

— A ty skąd wiesz o tym? Prawda, w Armeckie pełno jest opowieści o Wielkiej Wojnie Górskiej...

Pokręciła głową.

— Każde dziecko wie, że była taka wojna, ale o łuczniczkach pod murami Grombu nic wcześniej nie wiedziałam. Ale czasem, kiedy mieszkam u ciebie dłużej, przeglądam twoje notatki, ojciec... Te po armektańsku i po grombelardzku, bo teksty starogrombelardzkie... no, wiem, jak rozpoznać ten język, ale zupełnie nic nie rozumiem. Nie gniewasz się, prawda? Że czytam, co napisałeś?

Starzec uśmiechnął się, patrząc niemal z rozrzewnieniem.

— Nie wiedziałem, że interesuje cię historia Szereru — rzekł. — Czemuś nigdy o tym nie mówiła? mógłbym opowiedzieć ci o wielu bardzo ciekawych wydarzeniach! O wielu ciekawych wydarzeniach.

— Dlaczego w Armeckie kobiety są przyjmowane do legii? — zapytał Baylay i widać było, że jest to problem nurtujący go od dawna; pytanie zostało zadane poważnie, a nawet trochę gniewnie.

— Chcesz zapewne zapytać, dlaczego Armektanki podbiły twój kraj, czy tak?

Nie było to prawdą, bo młody człowiek życzył sobie raczej usłyszeć, skąd wzięły się wszystkie różnice w pojmowaniu roli kobiety... Dlaczego małżeństwo Dartańczyka i Armektanki koniecznie musi być nieudane. Jednak usłyszawszy, co powiedział Starzec, prawie osłupiał.

— Żartujesz sobie ze mnie, wasza godność? Armektanki podbiły mój kraj?

Starzec uśmiechnął się.

— Trochę żartuję — przyznał. — Że podbiły Dartan, to rzecz jasna za dużo powiedziane... Za dużo powiedziane — powtórzył swoim zwyczajem. — Ale miały w tym znaczny udział i, muszę powiedzieć, udział większy, niż się dzisiaj sądzi na ogół. Czy chcesz o tym usłyszeć?

Baylay skinął głową.

— Armektanki doprowadziły do tej wojny — wytłumaczył Starzec. — I miały w niej znaczny udział. Kiedyś, koczownicze plemiona

armektańskie ochraniały swoje kobiety, by bez przeszkód wydawały na świat potomstwo, czyli nowych wojowników. Lecz zarazem w podjazdowej wojnie plemion, każda para ramion liczyła się przy odpieraniu wrogiego ataku na obozowisko, które było i domem, i twierdzą zarazem. Armektanki, zmuszone do obrony swoich domów i dzieci, zawsze walczyły u boku swoich mężczyzn, więc powiedzieć trzeba, że orężna kobieta to w Armeckie naprawdę nic nowego.

— Lecz powiedziałaś, panie, że plemiona chroniły matki swoich dzieci?

— Tak, lecz Wielka Zaraza w Armeckie, w odróżnieniu od bajki o Paszczy, nie jest legendą — rzekł starzec. — Wprawdzie wątpię, by istotnie naraz zaczęło rodzić się mniej chłopców, uważam, że raczej wzrosła śmiertelność wśród niemowląt tej płci i trwało to dość długo, zaś stało się problemem dopiero wówczas, gdy dzieci urosły. Bo dzieci to tylko dzieci, lecz zamieniają się w mężczyzn i kobiety... Dartan podbito dla zdobycia mężczyzn, bo w Armeckie zaczęło ich brakować, a z każdym rokiem brakowało bardziej. Taka jest prawda. Dziwne to były czasy. Życie kobiety, jeszcze niedawno chronione, nagle straciło na wartości, zaś przeciwnie, chłopcy byli hołubieni i rozpieszczani. A ponieważ były to już czasy silnych armektańskich księstw, mających stałe armie, złożone z żołnierzy traktujących wojnę jak rzemiosło, ktoś musiał zasilić szeregi — i do legii zaczęły trafiać kobiety. Mimo wszystko Armektańczycy wyszli z opresji obronną ręką, bo tradycja i odwieczne obyczaje sprawiły, że mężczyźni mężczyznomi pozostali, choć kobiety przejęły wiele, bardzo wiele męskich obowiązków i zajęć.

— Ale mówisz, ojczy, o czasach księstw. Przecież Armekt był już zjednoczony, gdy ruszono na Dartan!

— Bo zaraza wróciła. Były dwie zarazy, córeczko. Pierwsza utorowała kobietom drogę do tradycyjnie męskich zajęć. Druga sprawiła, że uderzono na Dartan. Dla zdobycia mężczyzn, jak już rzekłem.

Baylay był szczerze zdumiony. Ale i Karenira wyglądała na prawdziwie zaskoczoną.

— Dlaczego nic o tym nie wiadomo? — zapytała.

— Wiadomo, córeczko — powiedział Dorlan z westchnieniem. — Lecz nie głosi się tego, bo armektańskiej tradycji taki powód wszczynania wojny jest najzupełniej obcy. Nie wiadomo, co zrobić z wojną, która

zaczęła się dlatego, że kobiety posłały swoich mężczyzn, by zdobyli dla nich innych mężczyzn... Historia armecktańskich wojen i podbojów milczy o takich przyczynach. Świątły Armekt, gdzie każde dziecko uczy się czytać, nie jest aż tak świątły, by każdemu kładli tam do głowy prawdę o wszystkich meandrach historii; pytanie zresztą, czy naprawdę jest potrzebne, by każdy Armecktańczyk był skończonym i kompletnym historykiem. Kto chce takim zostać, ten zostaje.

11.

Gdy rano Łowczyni obudziła Baylaya, ten od razu zauważył, że dziewczyna jest bardzo zła. Być może wszystkie Armecktanki marszczyły się podobnie, gdy nie dopisywał im humor... Na wszelki wypadek, Baylay przetaił oczy i od razu skinął głową na zgodę.

— Zjedz coś szybko i ruszamy — powiedziała. — Późno już.

Nic nie odpowiedział, choć wyraźnie czekała na jakiegokolwiek słowo. Zaczął wdziawać zbroję.

— Nie zdejmuj jej więcej. Tu są góry, nie gospoda w Rollaynie.

Znów czekała — lecz Baylay, jakkolwiek krótko, był jednak człowiekiem żonatym i wiedział, że cokolwiek powie, będzie źle. Zdążył jeszcze pomyśleć, że jeśli niczego nie powie, to także fatalnie...

— Obrażony — powiedziała. — Nic nie powie, nawet jednego słowa. Obudził się i od rana obrażony. Zaczynam żałować, że zgodziłam się prowadzić kogoś takiego.

Gdy i tym razem nie zareagował, nabrała powietrza w płuca i aż się skurczył, oczekując wrzasku... lecz na szczęście zza niedalekich skał wyłonił się Starzec. Ujrzawszy go, Łowczyni zgrzytnęła zębami, odwróciła się i polazła do swoich kłopotów. Zaczęła grzebać w podróznym worku. Zauważył, że ze złością pogryzła i zjadła owczy ser. Dostał, na co zasłużył, ser jeden.

Dorlan podszedł i pomógł Dartańczykowi dopiąć rzemienie zbroi.

— Zaspała — mruknął — i dlatego jest obrażona. Królowa Gór zaspała, sam rozumiesz... Lecz z tym tutaj — poskrobał zbroję — miała rację. Nie zdejmuj tego więcej.

— Skoro przewodniczka i ty, panie, obywasie się bez zbroi...

— Ona — przerwał Starzec — wie, co robi. A ja, mój chłopcze,

wprawdzie noszę na grzbiecie coś w rodzaju worka, lecz pod spodem mam naprawdę solidną kolczugę. Postukaj. No dalej, śmiało.

Baylay spojrzał zaskoczony. Starzec uśmiechnął się.

— Tu są Góry — rzekł, nieudolnie naśladowując głos przewodniczki; udała się tylko chryпка.

Baylay powściągnął uśmiech.

Wkrótce ruszyli w dalszą drogę. Znów prowadził Starzec, dziwnie nie lubiący gawędzić w czasie marszu. Baylay maszerował za nim; Łowczyni trzymała się końca.

Jak na przewodniczkę, było to trochę dziwne miejsce w szyku. Dartańczyk obejrzał się i napotkał jej spojrzenie. Wciąż była w kiepskim humorze...

Zdał sobie naraz sprawę, jak bardzo intryguje go ta dziewczyna. Kim naprawdę była? Armektanka w Ciężkich Górach... Gold, gdy mu mówił o Łowczyni, opowiadał jeszcze o jakichś sępach, coś jej kiedyś chyba zrobiły, ale — prawdę rzekłszy — Baylay niewiele pamiętał. Legenda... Cała jego wiedza o tym kraju składała się z legend. Co łączyło tę dziewczynę ze Starcem? Wyczuwało się, że łączy ich jakaś mocna nić, jakieś wspólne, chyba bolesne i przykre wspomnienie...

Przemierzali dno ogromnego skalnego kotła. Uświadomiwszy sobie niezwykłą dzikość miejsca, Baylay zaczął szukać sposobu na wydostanie się z tej gigantycznej dziury.

— Czy jest stąd jakieś wyjście? Poza drogą, którą przyszliśmy? — zagadnął, obejrzawszy się po raz kolejny.

Już nie była tak bardzo zjeżona. Trochę tylko.

— Głupie pytanie. Jest wyjście, oczywiście — burknęła. — Ale rzeczywiście trudne. Jeśli spadnie deszcz i skały staną się mokre, to będziemy musieli uważać. I zdrowo się namęczyć.

Wzrokiem pokazał jej Starca. Pokręciła głową.

— Martw się o siebie — powiedziała krótko i chciała dodać coś jeszcze, ale urwała w pół słowa i nagle rzuciła się na ziemię.

— Kładź się!

— Co? — zdumiał się Baylay.

Lecz Starzec, który usłyszał okrzyk dziewczyny, zawołał:

— Kładź się, chłopcze!

Baylay zobaczył, że tylko on z całej trójki sterczy jeszcze i zdumiewa

się... Szybko legł na ziemi, patrząc to na Starca, to na przewodniczkę — bo nigdzie wokół nie dostrzegł niczego godnego uwagi.

— Jacyś ludzie — powiedziała normalnym głosem przewodniczka, co znaczyło, że dostrzeżeni nie są zbyt blisko. — Zauważyłam ludzi. Myślę, że nas nie widzieli, ale kiedy mówię „kładź się” to słuchaj od razu.

Skinął głową.

— Pójdę na zwiady — powiedziała.

— Towarzyszyć ci?

Spojrzała z takim zdumieniem, że poczuł się upokorzony. Tym bardziej, że zapomniała już o swoim porannym złym humorze i było to zdumienie najzupełniej szczere, nie obliczone na wzniecenie sprzeczki.

— Towarzyszyć? Łowczyni? Towarzyszyć Łowczyni na zwiadach? Leż cicho i uważaj, żeby ci zadek spomiędzy skał nie wystawał — powiedziała.

Zostawiła swój sajdak i odpięła pas z mieczem. Wyjęła z worka nóż.

— Może mój? — zapytał Starzec.

Baylay zdumiał się, ujrawszy wyjęty spod szaty oręż. Tutaj, w Grombelardzie, broń tę nazywano półmieczem; wytwarzano ją zresztą właśnie ze złamanych mieczy, formując od nowa sztych i po jednej stronie nacinając głównię — tak, że powstawały mocne zęby. Półmiecz umożliwiał wychwycenie broni przeciwnika i — przy pewnej wprawie — wytrącenie jej, lub nawet złamanie. Baylay wiedział, że orężem tym posługiwali się tradycyjnie przybrzeżni piraci z okolic Londu... Posiadanie przez Starca podobnego narzędzia świadczyło bardzo wyraźnie, że człowiek ten potrafił dowodzić swoich racji nie samym tylko słowem.

Karenira uśmiechnęła się lekko.

— Nie, ojcze, zachowaj to... coś — mruknęła. — Wiesz, że nawet nie umiem tego trzymać... Nacinaną stroną do góry? Czy na dół?

Baylawowi przyszło na myśl, że Starzec pokazał swój oręż z tego samego powodu, dla którego wcześniej mówił mu o swojej kolczudze. Tutaj — były góry, Ciężkie Góry. Należało traktować je poważnie.

— Czekaście tu — rozkazała łuczniczka.

Przyglądali się, jak zręcznie przemyka między skałami. Przepadła gdzieś nagle i Baylay nie zauważył, gdzie i kiedy to nastąpiło.

Starzec wygodniej ułożył się na kamieniach.

— Ta dziewczyna — powiedział — od wielu lat samotnie wędruje po górach. Odbyła dziesiątki takich podchodów. Wiem, że bardzo chcesz jej pomóc. Ale jednak... — skrzywiwszy lekko usta uczynił słaby gest ręką i Baylay zrozumiał, że jest śmieszny, proponując doświadczonej przebiegaczce gór swoją pomoc na zwiadach; Starzec chciał mu to oględnie dać do zrozumienia.

— Wiem, co chcesz mi panie powiedzieć.

— To tym lepiej.

Leżeli w milczeniu, marznąc coraz bardziej. Mżawka zmieniła się w drobny, uciążliwy deszcz. Baylay czuł, jak jego peleryna staje się coraz bardziej mokra i ciężka. Do spania wybierał zawsze jakieś znośne miejsce — teraz rzucił się na ziemię tam, gdzie stał... Na ostrych i nierównych kamieniach było mu bardzo niewygodnie, lecz nie chciał się wiercić, bo wstyd mu było przed starym człowiekiem, który — za nic mając kamienie pod plecami — wyciągnął się, jak długi i chyba sobie drzemał...

Czas mijał i Baylay poczuł wreszcie, że musi poszukać lepszego miejsca do leżenia. Już miał się podnieść — gdy ujrzał wracającą łuczniczkę. Szła swobodnie, nie kryjąc się. Był to znak, że ostrożność nie jest już potrzebna i Dartańczyk — starannie skrywając ulgę — trącił w łokieć swego towarzysza. Starzec otworzył oczy, spojrzął we wskazanym kierunku i zaczął zbierać się z ziemi. Baylay usiadł na niedużej skale, walcząc z chęcią roztarcia i rozmasowania wszystkich kości. Przyglądał się nadchodzącej. Gdy odzienie skrywało jej potężne mięśnie, wyglądała bardzo dziewczęco. Apetycznie. Miała znakomitą figurę: opinający talię szeroki skórzany pas znakomicie podkreślał okrągłość bioder, do których przywarła zupełnie przemoczona, krótka ciemnozielona spódnica. Ciężkie od wody warkocze opadały na piersi.

— Odeszli — powiedziała.

Schyliła się i podniosła swój sajdak.

— Kim byli? — zapytał Baylay.

— Co mnie to obchodzi? Odeszli — powtórzyła.

Była właśnie taka, jak owej nocy, gdy poznali się przy jego ognisku: małomówna, surowa. Znów zaczęła go drażnić nieustanna chryпка w jej głosie.

— Myślałem, że w Górach lepiej wiedzieć wszystko do końca —

rzekł z przekąsem.

— W Górach nie należy być zbyt ciekawym — ucięła. — Ani zbyt złośliwym i zbyt mądrym, ani... Chodźmy już. Nie będziemy tutaj nocować.

*

Zacisnął zęby i podciągnął się na rękach. Prawą stopę wparł w skałę. Posypały się drobne kamyki.

Wąski, kamienisty żleb nie wyglądał z dołu bardzo groźnie — dość stroma, werżnięta w skalną ścianę dróżka... Dopiero w połowie drogi okazało się, że nie warto było ufać oczom. Należało zaufać doświadczeniu — ale nie zaufał. Bo przewodniczka uprzedzała — prawda, że zdawkowo — iż czeka ich niemały wysiłek.

Idąca przodem Łowczyni zatrzymała się, więc przystanął i Baylay. Oparłszy się o skałę, półleżąc patrzył na podążającego za nim Starca. Radził sobie jakoś, ale chyba niemałym kosztem. Mimo chłodu i dokuczliwego deszczu, twarz miał poczerwieniałą z wysiłku. Przed rozpoczęciem wspinaczki Karenira odebrała mu podróży worek. Nie zaprotestował nawet słowem — i Baylay po raz kolejny musiał powiedzieć sobie, że największą wartość w Ciężkich Górach ma rozsądek. Nie było tu miejsca na popisy i zamaszyste gesty; każdy musiał wiedzieć, na co dokładnie go stać. Starzec wiedział, że nie jest młodzikiem i gdy było trzeba, umiał przyjąć zaoferowaną pomoc.

Okrągły kamyk, tak duży jak paznokieć, zadzwonił o łuski zbroi Baylaya. Dartańczyk spojrział w górę. Karenira, podobnie jak on sam, półleżała na skale, zębami i jedną ręką wiążąc włosy, z których zsunął się rzemyk. Rozpleciony warkocz przeszkadzał, mokre włosy przylepiały się do policzka i plątały. Dociągnęła węzeł i spojrzała w dół, na mężczyznę. Pokręciła głową: no, no...

Nie wyglądała na zmęczoną. W ogóle.

Powiedziała coś, czego Baylay nie dosłyszał i znów ostro ruszyła w górę. Przez długą chwilę bezmyślnie wlepił wzrok w to wszystko, co miała pod spódnicą, potem podążył za nią. Worek na plecach, a zwłaszcza wystający zeń miecz, przeszkadzały mu tak bardzo, że najchętniej byłyby się ich pozbył. Pancierz, mimo że giętki, krępował ruchy; przez chwilę zobaczył się na tej skale w pełnej zbroi, noszonej przez legionistów dartańskich i omal nie parsknął śmiechem.

Armektanka nie pozwoliła już na żaden postój. Dzień nie mógł trwać w nieskończoność; groziło im, że zakończą wspinaczkę po ciemku, a więc — prawdopodobnie — zakończą tam, gdzie zaczęli, u podnóża skalnej ściany, na dnie przekłętego kotła. Parli w górę. Dotarłszy na górę, Baylay położył się na plecach i ledwo żywy łapał powietrze. Po chwili dołączył doń Starzec.

Łowczyni siedziała na skale, przeciągając się zdrowo.

— Nieźle, zupełnie nieźle, Dartńczyku — powiedziała wesoło.

Zdumiał się i rozzłościł, że chwali jego, zamiast starszego o półwiecze Starca. Uwielbiała upokarzać. Miał dosyć.

— Tobie także poszło nienajgorzej — wysapał, nie potrafiąc wymyślić niczego, co mogłoby jej naprawdę dopiec.

— Fraszka — powiedziała, wciąż w dobrym humorze. — Kiedyś, gdy Łowczyni będzie w dobrym humorze, opowie ci, co pokazywała na jednej skalnej ścianie, gdy ścigała się dziesiętnikiem gwardzistów... — urwała nagle i nachmurzyła się, jakby przyszło jej na myśl coś niemiłego. — Albo nie, nie opowie. A to tutaj, to fraszka.

— Fraszka... Dla Łowczyni wszystko jest fraszką. Wspinaczka to fraszka, zwiady to fraszka, góry to fraszka... Zły Kraj to pewno też będzie fraszka. Zdecydowałaś już, czy idziesz tam ze mną, czy zostaniesz na granicy?

Wstała ze swojego głazu, podeszła i groźnie stanęła nad nim.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytała.

Ucieszył się, że jej dobry humor wsiąkł bez śladu.

— Tylko tego, żebyś wróciła na swoją skałę i znowu tam usiadła — rzekł, spoglądając od dołu na jej silne łydki i uda. — Dość mam widoku tych twoich grubych nóg, napatrzyłem się na nie dość podczas wspinaczki — ciągnął, nabierając coraz większej ochoty do walki.

Starzec, wciąż jeszcze zasapany, obserwował scenę w milczeniu, ale z wyraźnie narastającym zniecierpliwieniem. Karenira przygryzła usta i spojrzała nań.

— Powiedziałaś mi niedawno, ojcze, że jestem głupia... To prawda. Nie wiem, dlaczego pomagam temu człowiekowi.

Baylay wstał.

— Bo płacę ci za tę pomoc. I to znacznie więcej, niż jest warta. A mógłbym kupić dziesięć takich przewodniczek, żeby prowadziły mnie

po całym Szererze!

— O czyżby? Zdaje się, że jedna Armektanka pokazała ci już, co możesz zrobić ze swoim majątkiem i pozycją... Chcesz, żeby druga pokazała ci to samo?

— Przestań — powiedział gniewnie Starzec, lecz było już za późno; z właściwym kobietom brakiem wyczucia, dotknęła tej jednej jedynej sprawy, której dotyczyć nie powinna.

— Tu jest twojej złoto — wykrztusił Dartańczyk, sięgając do swojego worka — masz je i wynoś się poza zasięg mojego wzroku, bo inaczej...

Rzucił jej pod nogi pełną garść monet, a wtedy aż zasyczała. Przyskoczyła i trzasnęła go w szczękę tak, że przysiadł. Zaczął się prostować, więc poprawiła i z błyskawiczną szybkością okręciła się wokół własnej osi, przykucając. Jakaś siła podcięła mu nogi, jednocześnie podrywając je w górę; grzmotnął plecami i głową o grunt, aż skały wokół jęknęły. W następnej chwili siedziała na nim z uniesioną do ciosu pięścią.

— Tak, wytłucz mu zęby, rozbij głowę, Łowczyni! — zawołał Starzec. — To świetny pomysł! Ach, czemuż nie jestem młody, zaraz włączyłbym się do bitki!

Dyszała ciężko, przez zaciśnięte w gniewie zęby. Wreszcie trzepnęła leżącego otwartą dłońią po głowie, zerwała się i odeszła. Baylay powlókł się do swego worka i wyciągnął zeń miecz.

— Puknij się w głowę tym żelazem — poradził z niesłabnącym gniewem Starzec. — Jeśli uderzenie o ziemię nie pomogło, może drugie odniesie jakiś skutek!

Odchodząca zatrzymała się na moment, odwróciła i zawołała z furją:

— Osioł!

Potem poszła dalej.

Starcowi opadły ręce.

— Goń ją i zarąb — powiedział zrezygnowany. — Co za głąby kapuściane, nie wiem... Nie wiem.

12.

Leynę zbudził straszliwy wrzask i harmider. Usiadła gwałtownie, nie potrafiąc pojąć, co dzieje się wokół niej. Był już ranek, część jaskini

wypełniało niewyraźne, mgliste jeszcze światło wstającego dnia. Widziała sylwetki ścierających się żołnierzy; wrzaski ludzi i szcęk broni zagłuszyły jej własny jęk. Zerwała się, odbiegła na bok — i stała nieruchomo, przyciskając pięści do policzków, nie będąc w stanie wykonać żadnego ruchu. Pierwszy raz w życiu widziała, całkiem z bliska, jak ludzie pragną zabić się nawzajem, tną mieczami, uderzają... To nie byli szkoleni do walki niewolnicy, lecz ludzie, prawdziwi ludzie! Gdy do jej stóp osunął młody legionista z rozplatanym barkiem, zawyła ze strachu i obrzydzenia. Cofała się bezwiednie, drżąc na całym ciele. Zawadziła nogą o porzucone na ziemi bagaże i upadła. Zakryła twarz dłońmi.

A tymczasem nie był to żaden wielki bój, lecz mała potyczka. Znużona Dartanka zasnęła, czekając na przyście Rbala i nie widziała, jak został zatrzymany przez gwardzistów pod komendą Daganadana. Obudziły ją dopiero głosy walki — bo doszło do walki, wbrew przewidywaniom i chęciom. Być może nawet młody i porywczy Rbal nie chciał bratobójczej rąbaniny — lecz zatrzymany nagle, w chwili gdy już prawie osiągnął zamierzony cel, stracił panowanie nad sobą, chwycił za miecz i zawołał swoich żołnierzy. Dziesiątka wyrwanych ze snu legionistów rzuciła się z odsieczą swemu dziesiątnikowi — a nikt tam nie wiedział, o co poszło, żołnierze widzieli tylko nie lubianych, stale wywyższających się gwardzistów, przeciw którym wzywał ich funkcyjny. Zatargi pomiędzy żołnierzami różnych formacji nie były czymś nadzwyczajnym; w garnizonach dochodziło czasem do bójek... Lecz tym razem w ruch poszły miecze i dopiero silny głos Golda, nakazujący zaprzestanie walki, podzielał na rozgorączkowane głowy.

Tylko Rbal nie odrzucił, ani nie schował broni. Osaczony w kącie jaskini wiedział już, w jak fatalną wplątał się historię, ale nie zamierzał ustąpić. Nie rzucił miecza; nie uczyniłby tego nawet na rozkaz dowódcy — cóż dopiero, gdy zażądał tego Ehdeh...

Ehdeh nigdy go nie lubił — bo Ehdeh nie lubił nikogo. Był to złośliwy, zamknięty w sobie brzydal, kochający tylko walkę i zabijanie. Rbal miał nadzieję, że jeśli nawet nie zdoła położyć przeciwnika, to poniży go i ośmieszy. Lecz łysy dziesiątnik nie dał mu nawet szansy. Doskonale wiedząc, że Rbal operuje mieczem lepiej, niż ktokolwiek inny w garnizonie, związał go tylko walką i skrzyknął swoich żołnierzy.

Otoczony z trzech stron, młody funkcyjny bronił się jednak zajadle i z niewiarygodną skutecznością. Gold próbował zapobiec rozlewowi krwi, lecz uwikłani walkę żołnierze nie mogli go posłuchać — bo gdy tylko opuścili miecze i cofnęli się, rozjuszony, pokaleczony już młody dziesiętnik natarł na nich z furją. Jeden z gwardzistów krzyknął, ugodzony sztychem — i setnik nie zdołał zapobiec nieuniknionemu. Chłopak, zaatakowany ze wszystkich stron, w jednej chwili otrzymał kilka pchnięć i cięć, których nie mogła już zatrzymać kolczuga. Żołnierze, usłyszawszy kolejny rozkaz setnika, cofnęli się ponownie i Gold zobaczył swojego funkcyjnego, któremu Szerń dała chwilę życia po śmierci... Młody legionista stał pod ścianą jaskini i chyba nie czuł bólu. Opuścił miecz i z krzywym, zalanym krwią uśmiechem patrzył na swego dowódcę.

Miecz wysunął się z ręki i zadzwonił na kamieniach. Rbał wytarł mokrą od krwi dłoń o brzeg spódnicy, cofnął się chwiejnie i — oparłszy o ścianę jaskini — powoli założył ramiona na piersi... Coraz bardziej zamglonym spojrzeniem wodził po twarzach żołnierzy, ale najwyraźniej nie było wśród nich osoby, której szukał.

Tylko Gold zrozumiał, kogo chce zobaczyć umierający dziesiętnik. Lecz Leyna, ukryta gdzieś w ciemnym kącie, nie przyszła by zapłakać nad jedynym swoim sojusznikiem, opiekunem i obrońcą... Gold z nieudawaną goryczą i smutkiem jął kręcić głową — i być może konający dziesiętnik zdążył jeszcze zrozumieć, że został beznamiennie wykorzystany, a potem opuszczony, gdy wyszło na jaw, iż jest nieprzydatny.

Najbliżej stojący żołnierze skoczyli, by podtrzymać padającego. Lecz Szerń cofnęła już swój — jakże szyderczy — dar...

*

Setnik leżał na szerokiej płaskiej skale przed jaskinią, z dłonią na oczach, nie zważając na siekący deszcz. Musiał słyszeć nadchodzącego, lecz nie poruszył się.

— Czterech pokaleczonych i dwaj ranni, jeden dosyć poważnie — rzekł Daganadan siadając na skale obok. — Jeden ranny od Rbała, drugi nasz. Tamci wszyscy od niego.

Gold usiadł ciężko.

— Drugi ranny nasz? — zapytał ponuro, z goryczą. — Wszyscy nasi, Dag. To wszystko nasi żołnierze: jeden zabity, dwaj ranni, czterej pobici i

pokaleczeni... Czwarta część oddziału. Ci legioniści z dziesiątki Rbala nawet nie wiedzieli, o co się biją. Przybiegli, bo wołał ich dziesiątnik. A teraz patrzą na mnie, bo to ja przerwałem walkę. Patrzą i chcą mi powiedzieć: nie pozwoliłeś nam, gwardzisto, bronić naszego dziesiątnika. I zaszlachtowano go pod ścianą, nie miał w ogóle szans.

Daganadan milczał.

— Miałeś rację — dodał po chwili Gold. — To ona... ona wszystkiemu winna. Zamiast zabijać świetnego żołnierza, należało powiesić tę... wiedźmę.

Podsetnik milczał, bo mógłby powiedzieć najwyżej: przywiozłeś ją tutaj — tak, ty, nikt inny.

— To był twój pomysł — niespodziewanie rzekł Gold. — Ty wymyśliłeś, jak sprowokować Rbala.

— Chciałem ją odprawić. Mówiłem tylko, że Rbal nie pozwoli. Że będzie chciał...

— Nie, nie — powiedział setnik. — Nie opowiadaj mi, co chciałeś. Doszło do zbrojnej utarczki, żołnierze pod naszą komendą porąbali się mieczami. To ty odpowiadasz za porządek i dyscyplinę.

Małomówny podsetnik — może bardziej wstrząśnięty bratobójczą rąbaniną, niż chciał to po sobie pokazać — zawrzał gniewem i wstał ze skały.

— Za porządek! Odpowiadam, tak! Ale w klinie piechoty, nie w burdelu! Gdzie jedna dziwka! I kilku chętnych!

— Odpowiadasz za porządek!

— Zrobiłeś bajzel! Z wojska!

— Wymyśliłeś, jak sprowokować tego chłopaka! Zejdź mi z oczu!

Daganadan zaczerpnął tchu... odwrócił się i odszedł równym, odmierzonym krokiem. Niczym na parady.

Gold położył się jak poprzednio i znów zakrył oczy dłońią. Ale zaraz powstał gwałtownie, wyrwał z pochwy miecz i rąbnął nim o skały a potem zamachnął się i odrzucił broń precz, tak jakby czemuś zawiniła. Pochyliwszy głowę, ruszył wprost przed siebie. Chciał być sam, zupełnie sam; chciał oddalić się od swego wojska, od obrazonego przyjaciela, od porwanej dziewczyny, od zabitego żołnierza...

Choć przez chwilę — musiał być z daleka od tego wszystkiego.

Zaś Daganadan, wręcz przeciwnie: szukał towarzystwa, albo może

raczej bliskości innych ludzi, bo na pogawędki nie miał ochoty. Gdy podszedł doń Ehdeh, samym tylko spojrzeniem zapytał go, o co chodzi.

— Czy rozkazy są odwołane? — zapytał dziesiętnik.

— Jakie rozkazy?

— Mamy odwieźć jej godność do Dartanu. Czy nadal? A inni? Lordos pyta, czy dać polecenia do wymarszu?

Dziesiętnik musiał doskonale wiedzieć, że nic z tego nie jest wykonalne, a jeśli nawet — to nie ma wcale sensu. Więc Daganadan tylko popatrzył nań ciężko i rzekł:

— Ja nic nie wiem. O wszystko pytaj dowódcę.

Ehdeh odszedł.

Daganadan wydobył z juków trochę wędzonego mięsa i zaczął jeść. Podziałało to nań uspokajająco, po chwili znów mógł myśleć rozsądnie i trzeźwo.

Rozumiał Golda. Tak, chyba rozumiał! Przez rok z górą myślał tylko o zmarłej żonie. Teraz odżył, zaczerpnął tchu — i zadurzył się. W młodej i pięknej kobiecie, którą spotkał tak bardzo w porę. Lub może nie w porę... Daganadan szczerze bolał nad takim zrzędzeniem losu; Gold nie zasłużył sobie ani na przedwczesną śmierć życiowej towarzyszkii (do której i on, Daganadan, był naprawdę szczerze przywiązany) ani tym bardziej na to, by w tak gwałtowny sposób wyrwano go z pustelni, którą sobie zbudował po przeżyciu tragedii. Lecz gdzie w tym wszystkim była wina jego najlepszego przyjaciela?

Zacisnął zęby. Oto los! Od czterech lat szedł z Goldem przez dobre i złe, ramię w ramię. Polegali na sobie, rozumieli się, szanowali. Nigdy nie doszło do czegoś takiego, jak teraz. Gdzie przyczyna? Kobieta.

Daganadan bał się kobiet. Dwie tylko były w jego życiu: matka, a potem Elwa, przyjaciółka, prawie jak siostra, żona druha-gwardzisty... Z innymi nie umiał rozmawiać, nie umiał postępować. Nie rozumiał ich, nie pociągały go — w żaden sposób. Bardziej już odpowiadali mu mężczyźni, chociaż, prawdę rzekłszy, gdy chodziło o bliskość cielesną, Daganadan uważał, iż zupełnie spokojnie przez całe życie można obyć się bez tego... bez tych spraw. I obywatł się, całym latami. Lecz kobiety wprowadzały zamęt nie tylko swą cielesnością, cała ich natura stała w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem. Wojsko! Grombelardzki garnizon wojskowy — oto było miejsce, gdzie kobieta zdarzała się zupełnie wyjątkowo. Wojna,

wojsko, to były rzeczy, które od zawsze pociągały Daganadana. Nie dlatego, by lubił niebezpieczeństwa, walkę i zabijanie, jak Ehdeh. Chodziło o coś więcej. Armia, legie imperialne — była tam dyscyplina, był porządek, były jasne i klarowne sytuacje. Jeśli gdzieś wkładał się bałagan, należało go zlikwidować. Pedantycznie, spokojnie i dokładnie. Porządek, tak. Porządek Daganadan zawsze kochał najbardziej.

Dlatego nie znosił kobiet.

Kobieta! Przeklęta kobieta; jaki wiatr ją przywiał, z jakim deszczem spadła na ich oddział? Niepotrzebnie odesłał Ehdeha z niczym, należało potwierdzić wszystkie rozkazy. Gwardziści powinni zabrać dziewczynę do Dartanu — im szybciej, tym lepiej. Ale do tego niezbędne było potwierdzenie Golda. Nie mógł decydować sam.

Gniew na przyjaciela minął — Daganadan pozbierał się, przemyślał wszystko i podjął decyzję. Skończył posiłek (nawet o tym nie wiedząc, pochłonał cztery duże kawały mięsa i wypił pół bukłaka wody) a następnie wyszedł przed jaskinię. Postanowił, że tym razem zniesie wszystko, zapanuje nad rozdrażnieniem i wysłucha tylu przykrych słów, ilu będzie musiał wysłuchać... Potem wyłoży swoje racje.

Lecz Golda nie było tam, gdzie go zostawił. Zagadnął wartownika, a nie uzyskawszy jasnej odpowiedzi, zaczął szukać. Szukał najpierw pobieżnie, potem coraz bardziej nerwowo, dokładnie przepatrując okolicę, a nawet nawołując. Po pewnym czasie — już poważnie zaniepokojony — wrócił do jaskini. Żołnierze, ujrawszy że nadchodzi, przerwali rozmowy.

— Lordos, Ehdeh — rzekł spokojnie i odszedł na bok.

Wezwani podążyli za nim.

— Gdzie dowódca? — zapytał tak, żeby nie słyszeli żołnierze.

Dziesiętnicy pytająco spojrzeli po sobie. Daganadan przygryzł usta.

— Lordos, twoje trójki. Trzeba odnaleźć setnika.

— Tak, panie.

Przypomniawszy sobie o czymś, Daganadan dokładnie przyjrzał się twarzom siedzących nieopodal żołnierzy. Twarzy, której szukał, nie znalazł.

Nie było Belgona. Donosiciela. Podsetnik zastanowił się, czy widział go od chwili, gdy Rbal został zabity. Chyba nie. Wówczas Belgon, nie biorący udziału w potyczce, siedział z boku, śmiertelnie błady.

Podsetnika uderzyła ta bladość, dlatego ją zapamiętał. Potem zapomniał.

— Gdzie jest Belgon? Kto teraz rządzi dziesiątką Rbala?

Funkcyjni po raz drugi wymienili pytające spojrzenia. Nikt nie ustalił zwierzchnictwa. Zaś Belgon...

Daganadan szybko zmienił rozkazy. Wszyscy, oprócz rannych i poturbowanych, mieli ruszyć na poszukiwania. Bardzo szybko znaleziono, nieopodal wejścia do jaskini, miecz Golda. Niepokój Daganadana wzrósł. Zamienił jeszcze kilka słów z Ehdehem, mówiąc mu o swoich podejrzeniach — i posłał dziesiątnika na poszukiwania. Potem rozmówił się z Lordosem, wreszcie wziął pod komendę trzech, niedowodzonych dotąd, żołnierzy, którzy pozostali z dziesiątki Rbala i ruszył z nimi na wschód.

Szli pod górę, klucząc między skałami. To jeszcze nie były prawdziwe góry, bo raczej nierówności i wzniesienia; teren — choć uciążliwy — nie wydawał się specjalnie trudny. Lecz do prowadzenia poszukiwań był to teren najgorszy z możliwych: wszędzie wokół piętrzyły się większe i mniejsze piramidy skalnych okruchów, osypiska... Żołnierze rozglądali się bacznie, lecz ze świadomością, iż tylko przypadek może im pokazać ukrytego wśród tych skał człowieka.

Krótki świst, a następnie stłumiony odgłos uderzenia — były to dźwięki doskonale znane legionistom. Idący w środku oddziałku podsetnik, górujący wzrostem nad swoimi żołnierzami, skulił się nagle, a potem bardzo wolno wyprostował, zaciskając dłoń na tkwiącym pod obojczykiem bełcie. Otworzył usta i powiedział coś, być może chciał jeszcze wydać jakiś rozkaz.

13.

Po wszystkim, co zdarzyło się u schyłku dnia, Baylay i Karenira nie umieli szybko zasnąć. Najpierw, dziewczyny dosyć długo nie było i Dartańczyk w końcu poszedł na poszukiwania, nie pytając Starca o radę, ani o zdanie. Krążył trochę w ciemnościach, aż wreszcie dobiegło go z jakiejś dziury:

— Już przestań. Tutaj jestem.

Zdał sobie nagle sprawę, że ten niemądry wybuch złości i gniewu miał swoje źródło w czymś... dziwnym i bardzo niebezpiecznym.

Podszedł do ukrytej w ciemnościach Armektanki i usiadł obok, a po długiej chwili poczuł jej dłoń w swojej dłoni. Siedzieli tak przez jakiś czas, milcząc, wreszcie wrócili na miejsce biwaku. Starzec spał już, lub udawał, że śpi. Położyli się i oni. Blisko siebie. Leżeli na mokrych od deszczu kamieniach i rozmawiali cicho.

— Kilka lat temu — mówiła niegłośnie, z namysłem — byłam małą, głupią łuczniczką Legii Armektańskiej. Tutaj, w Grombelardzie, znalazłam się zupełnie przypadkowo. Grombelardczycy zakończyli wtedy wielką obławę na górskich rozbójników, to była istna wojna, taka chyba jak ta, o której mówił nam Dorlan. Bo ta niedawna obława, samymi siłami garnizonu badorskiego, to tylko awantura. A wtedy była w górach cała wojna. Kiedy się skończyła, dowództwo Legii Grombelardzkiej uznało, że kampania nie spełniła oczekiwań... Zabrakło dobrych łuczników. I na prośbę komendanta legii w Grombie mój dowódca wyznaczył oddział łuczniczek, które miały przeszkolić pewną ilość miejscowych żołnierzy w posługiwaniu się łukiem. Dowodziłam tym oddziałem. Wtedy, no, właśnie wtedy go poznałam, Dorlana. Bo dostałam zadanie od mojego komendanta... Już nie żyje. Tysięcznik P.A.Argen, bardzo dobry dowódca. Wtedy był jeszcze nadsetnikiem. To zadanie, które mi dał...

Zamilkła i przełknęła ślinę. Po długiej, bardzo długiej chwili powiedziała ze skrucą:

— Nie, nie mogę. Naprawdę nie umiem... ja... naprawdę nie umiem o tym opowiadać. To jest jak zły sen, ja... właściwie prawie nie pamiętam tego, co się stało. Opowiedzieli mi, najwięcej Dorlan, ale on tak dziwnie o tym mówi. Stało się zresztą coś strasznego, dla ojca... no, dla Dorlana, nie dla mnie. Chociaż dla mnie też, bo...

Znów urwała.

— Ja naprawdę nie umiem o tym mówić — rzekła wreszcie ze smutkiem.

Jakby prosząc o przebaczenie, odszukała dotykem jego rękę i znów ją przytrzymała, jak wcześniej, w mroku pod skałą. Pogładziła lekko tę szorstką, zniszczoną przez skały dłoń mężczyzny; dłoń która jeszcze niedawno nie знаła żadnego wysiłku, ani bólu. Nagle, nieoczekiwanie dla samej siebie, uniosła ją do ust, a potem szybko odwróciła się plecami do swego towarzysza. Po krótkiej chwili usłyszała, jak przekręcił się na bok i

poczuła ciepły oddech na karku. Gdy objął ją ramieniem, smutno uśmiechnęła się sama do siebie.

Czas płynął.

Zamyślona Armektanka patrzyła w głęboką czerń nocy. Wciąż czuła gorący, parzący szyję oddech mężczyzny. Było jej dobrze, naprawdę dobrze, pomimo deszczu, pomimo zimna i zmęczenia. Ta wojna, którą stoczyli wieczorem, była potrzebna, bardzo potrzebna. Rzucili sobie w twarze cały gniew, a potem oboje poczuli, jak niedobrze jest, gdy to drugie zostało zranione... Nigdy niczego nie czuła tak wyraźnie. Najbardziej chciała, żeby ten dziwny Dartańczyk nie gniewał się na nią. Chciała, żeby jej ufał, widział w niej kogoś bliskiego.

Przemogła się i powiedziała:

— Dobrze mi z tobą, wiesz? Ja... posłuchaj, ja wiem, że nie mam prawa... Ty przecież masz żonę, Ilarę, prawda? Ale... tylko teraz, dobrze? Tylko trochę! Nie chcę niczego zniszczyć, ja... Nie mam nikogo, zupełnie nikogo. Dorlan... on nie jest kimś, to jest... kawałek mojego życia, ale ja nie mam dla siebie żadnego człowieka, rozumiesz mnie? I nigdy nie miałam. Matki nawet nie pamiętam, a mój ojciec... ten prawdziwy... kochał tylko swojego konia. Schorowany wojak, z rentą z imperialnej szkatuły... Jak umierał, to pytał o swojego konia, nie o mnie.

Poczuła łzy pod powiekami.

— Ja wiem, nie powinnam tego mówić... Nie powinnam męczyć cię tym swoim... nieudanym życiem. Przebacz mi, jeśli możesz. Ale ja jeszcze nigdy, nigdy w życiu nie miałam nikogo. Nawet brata, albo siostry. Poszłam do legii, potem umarł ojciec, zostawił mi konia i zrujnowany dom, który zabrali za długi... Potem trafiłam tutaj i nigdy... nigdy nikogo. A teraz ja już nie potrafię sama wyrwać się z tych gór. Wyrwij mnie, dobrze? Zabierz stąd, do Dartanu, do Armektu, gdzie chcesz. Dlaczego — zapytała z cichym płaczem — mężczyzna, który po swoją kobietę idzie do Złego Kraju... i chce walczyć o nią z samym Brulem-Przyjętym... tak bardzo nie jest moim mężczyzną?...

Rozpłakała się na dobre. Ramiona jej drżały, dłoń Baylaya wysunęła się z jej ręki i opadła bezwładnie...

Wykończony wspinaczką, ukołysany cichym brzmieniem kobiecego głosu — spał.

Świt wstawał mokry i chmurny — jak zwykle w Ciężkich Górach. Ostrożnie wysunęła się spod ramienia śpiącego mężczyzny, usiadła. Przetarła dłońmi czerwone od niewyspania oczy. Wstała.

Spali obaj. Starzec chrapał niegłośno, Baylay wymamrotał coś niewyraźnie przez sen, przetoczył się na drugi bok i zwinął w kłębek. Patrzyła przez chwilę to na jednego, to znów na drugiego, potem odeszła na stronę. Wróciła wkrótce. Pogrzebała trochę w worku Baylaya, wyciągnęła zeń trzy kawałki solonego mięsa. Zjadła jeden. Zamyślona spojrzała na maleńki kociołek Starca, postawiony wieczorem na kamieniu. Teraz był napełniony deszczówką. Upiła parę łyków i odstawiała na miejsce.

Westchnęła, starym armektańskim zwyczajem szepnęła swoje imię i powiedziała niebu — że jest. W Armekcie, każdego ranka, mówiło się niebu, że jest piękne. Tutaj nie umiała zdobyć się na to. Tutaj wcale nie było nieba; było coś na podobieństwo stropu ponurej jaskini.

Przeciągnęła się i ziewnęła, z niechęcią myśląc o jakimkolwiek wysiłku. Przykucnęła, oparła dłonie na ziemi, po czym wolno stanęła na rękach, wyprostowanymi nogami mierząc w chmury. Wciąż z tą sama powolnością, nie tracąc równowagi, ugięła ramiona i wyprostowała. Powtórzyła tę czynność wielokrotnie. Poczzerwieniała na twarzy; oddech stawał się coraz cięższy, świszczący. Wróciła wreszcie do normalnej pozycji i dla odmiany stanęła w szerokim rozkroku, coraz szerszym... niewiarygodnie szerokim. Tak popisywali się czasem akrobaci na jarmarkach w Armekcie, albo Dartanie. Znów stanęła prosto, odbiła się od ziemi i wykonawszy pełen obrót w powietrzu, opadła na równe nogi. Powtórzyła to kilka razy — w przód i w tył. Sapnęła z zadowoleniem, przeciągnęła się i zawołała niegłośno:

— Wstawać! Wstawać, wstawać!

Starzec otworzył oczy i prawie natychmiast usiadł na ziemi. Baylaya musiała obudzić potrząśnięciem za ramię. Przemoczony i skostniały, wyglądał na człowieka, którego nic nie zmusi do ruszenia w dalszą drogę. Z niedowierzaniem spoglądał na Starca, który jął wykonywać rozmaite łamańce, tak jak wcześniej Łowczyni; choć nawet w połowie nie były tak karkołomne, to jednak — wzięwszy pod uwagę wiek ćwiczącego — kosztowały co najmniej tyle samo wysiłku. Oto była tajemnica prostej, żylastej sylwetki tego posuniętego w latach człowieka... Baylawowi

przyszło do głowy, że powinien powywiijać mieczem.

Pożegnał się z tą myślą szybciej, niż przywitał.

Karenira wetknęła mu w rękę kawałek mięsa z zapasów.

— Pospiesz się.

Mozolnie żuł twarde mięso. Wreszcie, widząc że czekają tylko na niego, spakował się. Posiłek kończył idąc.

Szli tak, jak zwykle: Starzec na czele, Łowczyni na samym końcu Milczeli zgodnie wszyscy troje, każde zajęte swoimi myślami. Do południa nie zamienili nawet słowa. Baylay jeszcze przed rokiem nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że można maszerować po górach jak po ulicy w Rollaynie. A jednak, choć droga była bez porównania bardziej uciążliwa, nie poświęcał jej więcej uwagi, niżli właśnie przechadzce po mieście. Dowodziło to, że naprawdę do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Deszcz padał z przerwami: ustawał na krótko i znów wracał. Nie zauważali go. Baylay włókł się za Starcem, ze wzrokiem wbitym w jego plecy. Zamyślony był tak bardzo, że gdy Starzec obejrzał się i przystanął, wpadł nań całym ciężarem, nieomal zbijając z nóg.

— Zabijesz się, chłopcze... Cóż to robi nasza przewodniczka?

Baylay obejrzał się — i nie odnalazł dziewczyny. Dostrzegł ją po długiej chwili, w odległości dobrych kilkudziesięciu kroków. Klęczała na skale, gorączkowo grzebiąc w swoich sakwach, albo może w kołczanie ze strzałami.

— Chodźmy — ponaglił Starzec.

Zawrócili.

Armektanka zarzuciła sajdak na ramię, poderwała się z ziemi i wybiegła im na spotkanie, trzymając w ręku łuk i kilka strzał. Lecz po chwili stało się jasne, że zmierza wcale nie do nich, tylko gdzieś, nie wiadomo dokąd. Wzrok miała utkwiony w niebie. Starzec zagroził jej drogę.

— Sęp! — zawołała dziwnym, skrzeczącym głosem. — Sęp, ojcze! Sęp!

Wyminęła Starca i pobiegła dalej.

Ośłupiały Baylay wlepił wzrok we wskazany przez dziewczynę punkt na niebie. Hen, daleko, pod samymi chmurami, ujrzał niewyraźną czarną plamkę. Starzec także patrzył w niebo, ale chyba ptaka nie

widział. Spojrzał za oddalającą się Karenirą, wyglądało na to, że chce zawołać — lecz zacisnął tylko usta i usiadł na ziemi. Jego twarz była teraz naprawdę, naprawdę stara.

Dziewczyna przepadła gdzieś między skałami. Baylay spojrzął na swego towarzysza, lecz ten tylko bezradnie pokręcił głową.

— Łowczyni — rzekł głucho. — Przecież to stąd jej przydomek.

— Tak słyszałem — niepewnie odparł Baylay. — Ale... nie rozumiem.

— Kiedyś sępy wyrządziły jej straszną krzywdę: oślepiły ją zgodnie ze swoim zwyczajem. A poszła w góry z mojego powodu, miała spotkać się ze mną, bo próbowałem właśnie ostrzec żołnierzy... Oto, jak dobre intencje stają się zarodkiem nieszczęścia. Gdybym nikogo nie ostrzegał, to nie słano by do mnie listów z podziękowaniami i być może nikomu nic by się nie stało... — Starzec machnął ręką, jakby mówił nie to, co powinien. — Tak bardzo chciałem pomóc temu dziecku... i nie wiedziałem, jak. Człowiek przyjęty przez Szerń, wbrew temu, co się wygaduje, nie ma żadnej mocy, ma tylko swoją wiedzę... A gdy wiedzy braknie...

Baylay rozumiał coraz mniej. Widział zagubionego starego człowieka, który próbował coś powiedzieć, lecz nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

— Lecz Przyjęty przez Pasma, to znaczy: będący ich częścią. Kto pojmie Szerń, staje się jak ona sama. Wtedy... był tam żołnierz, gotów oddać tej małej swoje oczy. Był tam starzec, który bardzo chciał przekazać dar, choć uważał, że to niemożliwe. Był tam kot, którego nienawiść do paskudztwa, co skrzywdziło wojowniczkę, była wielka jak całe Ciężkie Góry. I był Porzucony Przedmiot, jeden z najpotężniejszych. Tylko wtedy i być może tylko tak... niemożliwe stało się możliwym. Dziewczyna dostała oczy żołnierza. Żołnierz umarł, kot odszedł, a starzec przestał być częścią Szerni. Od tamtego czasu opiekuję się nią, a ona mówi do mnie ojciec. Chodzi po górach i szuka swojej zemsty. Nie chcę już więcej o tym mówić.

Baylay nie zrozumiał z tego ani słowa. Najpierw dlatego, że Starzec pokazywał mu jakieś urywki swoich wspomnień, nie układające się w żaden spójny obraz. Lecz po wtóre i przede wszystkim, zbyt był przejęty zniknięciem dziewczyny. Po długiej chwili milczenia zapytał:

— Co teraz mamy robić?

— Czekać. Co chciałbyś zrobić, mój chłopcze? Nie umiemy jej pomóc. Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że wróci. Zapewne niczego nie osiągnie. W Górach dość często można zobaczyć sępa. Ale spotkać go, to zupełnie inna sprawa. Ta istota może opaść na ziemię w odległości kilku dni marszu. Tu są góry.

— Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwo? Gdy człowiek w pojedynkę chce mierzyć się z sępem, musi być niespełna rozumu. Ona jedna w całym Szererze ma szansę bez uszczerbku przetrwać podobne spotkanie. Śmierć raczej jej nie grozi, lecz może po raz drugi stracić oczy. Zawsze dotąd miała szczęście. Nie lubi o tym mówić, ale wiem, że zabiła już wiele sępów. W całej historii Szereru nic nie było większą klęską dla tych skrzydlatych, niż jej obecność w Ciężkich Górach. Ona jest przekleństwem dla całego gatunku. Dla całego gatunku... — powtórzył posępnie i cicho. — Może najważniejszego gatunku na świecie.

Baylay wyjął z worka swój miecz, wyciągnął go z pochwy, spojrzął na ostrze i bez słowa ruszył śladem dziewczyny.

— Dokąd idziesz, chłopcze?

Nie odpowiedział i nie zatrzymał się. Szybko pokonywał strome, skaliste zbocze. Uniósł oczy ku niebu i wypatrywał małej plamki. Chyba była nieco bliżej, niż wówczas, gdy wskazywała ją Łowczyni.

Zdwoił wysiłki. Czasem pomagał sobie rękami. Gdy widział, że ma przed sobą kawałek łatwiejszej drogi, unosił głowę i szukał sępa. Potem znów patrzył pod nogi.

Wreszcie, gdy znów uniósł spojrzenie, dostrzegł sępa bliżej, znacznie bliżej. Zataczał złowrogie kręgi nad grupą skał położonych w odległości najwyżej ćwierci mili.

Baylay zaczął biec. Zdał sobie sprawę, że dziwaczne ptaszysko musiało go dostrzec ze swego podniebnego królestwa.

Po lewej stronie otwarła się szeroka szczelina. Podążył wzdłuż niej. W pewnej chwili dostrzegł, porzucony wśród kamieni, sajdak i rozsypane strzały — zgrzana biegiem dziewczyna porzuciła wszystko, co zbędne. Baylay ruszył dalej i nagle ją dojrzał. Łowczyni! Biegła pod górę tak szybko, że aż przystanął zdumiony; jak kozica skacząc z kamienia na kamień, naprawdę bardziej podobna do zwierzęcia niż do człowieka,

zaczęła pokonywać stos złomów skalnych. Baylay znów odszukał wzrokiem sępa. Ptak zatoczył jeszcze jedno duże koło — i poszybował ku ziemi. Baylay biegł, walcząc z bólem rozrywającym płuca. Nagle, czując jakieś dziwne, niezwykajne przerażenie, zaczął krzyczeć głośno:

— Karenira! Wracaj! Karenira!

Dziewczyna zniknęła wśród skalnych okruchów, a zaraz potem przepadł także sęp. Dartańczyk odczuł niebywałą ulgę, tak jakby to złowieszczy widok owej niezwykłej istoty wyzwalał w nim niemożliwy do okiełznania lęk. Jeszcze przez długą chwilę miał przed oczami obraz szeroko rozpostartych, czarnych skrzydeł; było w tym coś niesamowicie podłego i groźnego. Odpoczywał przez chwilę, bo krew tętniła mu w skroniach, potem ruszył dalej. Wdrapywał się na poszarpane i ostre, nieprzyjaźnie spiętrzone skały — te same, po których dziewczyna skakała z taką łatwością. Wreszcie stanął na szczycie rumowiska — i aż rzucił się na ziemię, przerażony, gdy olbrzymie ptaszysko, łopocząc skrzydłami, przemknęło w odległości najwyżej kilkunastu kroków, szybko nabierając wysokości.

— Wraacaaaj!

U podnóża skał rozwścieczona kobieta, cisnęła na ziemię łuk, ochryple wyjąc z gniewu i zawodu. Bezsilnie miotała się tam i z powrotem; Baylay ostrożnie zaczerpnął tchu, bo dzika furia, której obraz miał przed oczami, przeraziła go bardziej niż sęp. Zsunął się z rumowiska i przystanął — zamiast przewodniczki i towarzyszki, miał przed sobą rozszalałe górskie zwierzę, gotowe połamać mu kości, gdyby tylko nieostrożnie się zbliżył.

— Odleciał! — powiedziała nagle, głośno i wyraźnie, ale z rezygnacją. — Znowu!

Trzęsa się na całym ciele. Baylay słyszał kiedyś, że najdzikszą nienawiść żywią do sępów koty. Lecz ta tutaj, kobieta, była zupełnie opętana. Szukała jakiejś zemsty, no dobrze... ale to było niczym choroba, niczym nagły atak febry.

— Nie zabiłam go! — wykrztusiła, gotowa wybuchnąć płaczem. — Już widziałam... już mogłam strzelić!

Patrzyła wprost na Baylaya i zaświtało mu w głowie, że jeżeli przyjdzie jej na myśl, iż to on, swoim pojawieniem się, spłoszył sępa... Gotowa była wpakować za to strzałę.

Na szczęście nie pomyślała.

— Zawsze tak... — rzekła z goryczą, już spokojniej.

Usiadła na ziemi.

— Zawsze... często... — mówiła, biorąc do ręki skalny okruch i uderzając nim lekko o drugi. — Zmieniają swoje siedliska, dzisiaj tu, jutro tam... Rzadko gdzieś dłużej, niż miesiąc, albo dwa. Gdy usłyszę wieści, że ktoś gdzieś trafił na ziemię sępów, biegnę tam. I przeważnie jest już za późno...

Przysiadł przed nią.

— A stawać do otwartej walki nie chcą — ciągnęła. — Nikogo nigdy nie atakują. Tylko tak jak dzisiaj: zniżą się, popatrzą, uciekają... To są ścierwojady. To są tylko śmierdzące, tchórzliwe ścierwojady.

Westchnęła.

— Nie każdy tak samo źle znosi ich głosy. Słyszałeś, jak mówią?

Zaprzeczył.

— Klekotanie. Klekot dzioba — wyjaśniła z namysłem. — I to nie jest mowa... Najpierw zdaje ci się, że mówią, że odróżniasz każde słowo... Ale za którymś razem widzisz, że to dzieje się tutaj — popukała się palcem w głowę. — Słyszysz... nie, wcale nie słyszysz: masz w głowie ich myśli. Koty normalnie mówią, na pewno słyszałeś kota. Niewyraźnie, ale normalnie. Sępy nie mówią. To jest tylko klekotanie dziobów. Wiem o tym ja jedna... i nikt.

Nie przerywał.

— Nikt poza mną — ciągnęła, przesypując między palcami drobny żwir — nie słyszał ich więcej, niż raz. Ci, co nie zginęli, są ślepi i już nie chodzą po górach... Wszyscy, wszyscy w Szererze myślą, że sępy mówią. Że potrafią mówić, tak samo jak ludzie, albo koty. A to jest nieprawda. One tylko klekoczą dziobami.

Znów westchnęła.

— I patrzę. Te ich słowa, które pojawiają się w głowie, niektórzy słyszą dobrze, a inni słabo, niewyraźnie. Mogą wtedy im się oprzeć. Ale oczom nikt się nie oparł. Nikt w całym Szererze, tylko ja. Może dlatego, że nienawidzę sępów tak, jak wszystkie koty świata razem wzięte. A może dlatego, że patrzę na nie cudzymi oczami? Nikt inny na świecie nie nosi cudzych oczu, tylko ja. To są oczy dziesiętnika Barga, bo moje własne... — urwała, przełykając ślinę. — Moje własne oczy wydziobały sępy.

Dziesiątnik Barg, żołnierz Legii Grombelardzkiej z Wojskowego Okręgu Badoru — powiedziała wolno i wyraźnie. — Zawsze będę o nim pamiętała. Pomyślałam sobie kiedyś, że gdy już będę umierać, to wtedy powiem jego imię. Jeśli zdołam... bo przecież nie wiem, jak będę umierała...

Podniosła się z ziemi.

— Chodźmy już. Trzeba jeszcze znaleźć mój sajdak, gdzieś go zostawiłam i nie pamiętam, gdzie.

— Ja wiem.

Przystanąła. Bardzo powoli obejrzała mężczyznę od stóp aż po czubek głowy, dłużej zatrzymała spojrzenie na obnażonym mieczu.

— A co ty tutaj robisz? — zapytała. — Przybiegłeś... bałeś się o mnie?

W milczeniu skinął głową.

— I przybiegłeś... bo chciałeś mnie ratować?...

Znów potwierdził.

Zbliżyła się bardzo powoli, spoglądając z niemym pytaniem, a potem delikatnie i nieśmiało, z wahaniem, jakby bała się, że ją odpędzi, pocałowała go w usta.

*

Na nocleg zatrzymali się w kilka mil dalej, w niewielkiej niszy, wyżłobionej w ścianie skalnej przez wodę. Nie padało, a nawet od czasu do czasu wiatr rozrywał opończę chmur — i wtedy widzieli czyste niebo... Było jeszcze zupełnie widno, gdy rozkładali biwak i Baylaya trochę to zdziwiło. Lecz przewodniczka, imponująca zwykle żelazną wytrzymałością, nie tała tym razem, jak bardzo potrzebuje odpoczynku. Dartańczyk, choć nie wiedział, że miniona noc była dla niej bezsenna, zawstydził się pomyślawszy, że dziewczyna po zajściu z sępem rzeczywiście ma prawo być rozbita i wyczerpana.

Wcześniej, przez całe popołudnie, w ogóle nie rozmawiali i Baylay miał mnóstwo czasu, by przemyśleć, dokąd właściwie zmierza, z kim, po co i dla kogo... Z przerażającą jasnością jął uświadamiać sobie, że porwana Ilara jest dlań tylko obowiązkiem. Musiał ją ratować — ale czynił to dla siebie, nie dla niej.

Co takiego zaszło?

Nie był dzieckiem. Rozumiał, że idąc na ratunek jednej kobiecie,

spotkał inną. Może ważniejszą. Kilka wspólnych dni w górach, nic więcej... Lecz w tych dniach było miejsce na gniew, poczucie winy, żal, bolesne bicie serca, a wreszcie pożądanie, któremu już nie umiał się oprzeć. Nie umiał i nie chciał. Zagubiony, gotów był uciec od niepotrzebnych myśli, pragnął tylko płynąć z prądem wydarzeń, nic więcej. Gdzieś w duszy stale pobrzmiwało buntownicze, nabrzmiałe gniewem pytanie: dlaczego? Dlaczego miałby zawsze robić nie to, co robić pragnął, lecz coś innego, co zrobić należało? Czy takie powinno być życie?

Przy tym wszystkim... nie potrafił oprzeć się wrażeniu nierzeczywistości. Wszystko to było zgoła niemożliwe i nie powinno się zdarzyć. On, potomek starego rodu dartańskich rycerzy — w grombelardzkich górach, z mieczem... Przy nim tajemnicza i dziwna, najbardziej tajemnicza i najdziwniejsza kobieta Szereru. I stary człowiek, którego wielkość w żaden sposób nie dawała się ukryć.

Niemożliwe. To wszystko było zupełnie niemożliwe. I Baylay postanowił śnić dalej, bo nie wiedział, w jaki sposób miałby się obudzić.

Lecz potem nagle postanowił przywrócić pierwotny porządek wszystkiego. Szedł po Ilarę, swoją żonę, zaś towarzyszyła mu dziewczyna wynajęta jako przewodniczka. Szukał okazji, by dać jej to odczuć z całą siłą, lecz w czasie marszu nie bardzo nadarzyła się sposobność. Lecz zamienił z dziewczyną kilka spojrzeń i dowiedział się, że nurtują ją podobne myśli. Żałowała tego pocałunku u stóp skalnego rumowiska; chętnie dałaby mu odczuć, że... zaszła jakaś pomyłka.

Szli stale pod górę, powoli i mozolnie; trudno było to nazwać aż wspinaczką, lecz takie mozolne pokonywanie stromizny jeszcze dotkliwiej dawało się we znaki. Monotonne, uciążliwe, obrzydliwe łożenie po górach. Podczas tego marszu Baylay zyskał pewność, że gór po prostu nie lubi. Nie znajdował w nich niczego godnego uwagi.

Przed zaśnięciem trochę rozmawiali, jak zwykle. Dartańczyk jął pytać Starca o granicę Złego Kraju. Lecz odpowiedziała mu Łowczyni, bo Dorlan, dziwnie zadumany i ponury, nie miał tego dnia ochoty na pogawędkę.

— Granica Obszaru? To mgły — rzekła. — Bardzo szeroki tuman gęstych, białozółtych mgieł. Nieprzeniknionych jak mleko. Ciężko przebyć je przy pełnym świetle dnia, a w nocy nie widać nic. Te mgły

przemieszczają się stale i rzadną, to znów gęstnieją. Czasem wystarczy przebyć pół mili, żeby zostawić je za sobą, a kiedy indziej można wędrować cały dzień. Bardzo łatwo zabłądzić, krążą opowieści o wędrowcach, którzy na zawsze zostali w tym тумanie, kręcąc się w kółko. Nie wiem, czy to prawda. Ale ty, ojcze, potrafisz nas szybko przeprowadzić?

Starzec bez słowa skinął głową.

— Czy byłeś już tam kiedyś? — zapytał Baylay. — W Obszarze?

— Nie. Nic mnie tam nie ciągnęło — zamyśliła się na krótko. — Ale tak się składa, że prowadziłam już raz grupę ludzi do granicy Obszaru. Też szli od Badoru. Tyle tylko, że wtedy jeszcze istniała inna droga, przez Przełęcz Mgieł i dolinę, której dziś już nie ma. Może kiedyś opowiem ci o tym.

— Zawsze mówisz: może kiedyś. Nigdy nie pytasz, czy w ogóle chcę... — zaczął, próbując wreszcie zetrzeć z ust smak tego niechcianego (czy na pewno niechcianego?) pocałunku.

— Cicho! — syknęła.

Zmierzchało powoli. Wpatrywała się w szare światło gasnącego dnia i nasłuchiwała, a nawet, jak się zdawało, węszyła... Starzec i Baylay spojrzeli po sobie. Także wytężyli wzrok i słuch.

14.

Odległy okrzyk zwrócił uwagę Ehdeha. Nasłuchiwał przez chwilę, potem powiedział:

— Wracamy.

— To stamtąd — rzekł jeden z legionistów, wskazując palcem kierunek. — Tam poszedł podsetnik i...

— Zamknij pysk — ostrzegł dziesiątnik. — Wracamy do jaskiń.

Żołnierze spojrzeli po sobie, ale usłuchali. Biegli, omijając odłamy skał. Wkrótce znaleźli się przed wejściem do jaskini. Po niedługim czasie nadciągnął Lordos ze swoimi.

— Krzyki w górach. Słyszałeś?

— Słyszałem — odparł Ehdeh.

Odciągnął tamtego na bok.

— Nie ma Belgona — rzekł. — Podsetnik mi mówił, że to on mógł

dowódcę... Wiesz. Znaczy, mówił że Belgon pewno oszalał.

— To ty oszalałeś — powiedział Lordos. — Belgon? Miałby zabić setnika?

— Podsetnik nic ci nie mówił?

— Coś mówił, ale...

— Gdzie jest Belgon? Co? Odląć się poszedł, co? Podobno to on wydał Rbala. O tym też ci podsetnik mówił?

Lordos zaświstał.

— Co robimy?

— Siedź tu — rzekł dziesiętnik toporników. — Pilnuj rudej kurwy. Ja idę zobaczyć, co z podsetnikiem i naszymi.

— Sam?

— Sam. Tam w górach siedzi wariat z kuszą, nie poprowadzę mu zwierzyny. Jednego może nie zauważyć, ale kilku zobaczy na pewno.

Lordos skinął głową.

Ehdeh wrócił do żołnierzy, wziął od jednego z ludzi Lordosa kuszę i worek z bełtami, po czym załadował broń i przepadł gdzieś między skałami. Lordos wystawił silne strażę, zaś reszcie legionistów kazał wrócić do jaskini. Sam także wszedł do środka. Rozejrzał się, zamienił kilka słów z rannymi, po czym poszedł zobaczyć, co z Dartanką.

I nie znalazł jej.

Gorączkowo jął biegać po jaskini, penetrując wszelkie zakamarki, wreszcie wrócił do poturbowanych legionistów.

— Dziewczyna — powiedział — gdzie ona jest?

Wskazano mu kąć, gdzie siedziała.

— Nie ma jej tam. Uciekła?

Zmieszani żołnierze spoglądali po sobie. Lordos zapienił się z gniewu.

— Setnik... jak wróci... — wykrztusił i zgrzytnął zębami. — No, nie chciałyby być w waszej skórze!

Przyłożył rękę do czoła i gorączkowo zaczął zastanawiać się, co robić. Poprowadzić ludzi w góry, na poszukiwania? Jak wielu ludzi może biegać między skałami, bawiąc się w chowanego? Mieli szukać dziewczyny, setnika, Belgona... W tym wszystkim tkwił samotny Ehdeh, nie mający pojęcia, że ktokolwiek poza nim — i pomylnym Belgonem — może krążyć po górach... Gotów strzelić do każdego, kto nawinie mu się

przed kuszę.

Lordos postanowił zaczekać. Na powrót setnika, podsetnika, Ehdeha... Kogokolwiek. Nie podobało mu się takie czekanie, ale niczego lepszego nie wymyślił.

Tymczasem Ehdeh prowadził swoje podchody. Powszechnie nie lubiany, uwielbiający wojnę dla samego jej okrucieństwa, był jednak żołnierzem lojalnym i nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby pozostawić podsetnika i trzech kolegów-legionistów własnemu losowi. Ale miał całkowitą pewność, że uczynił słusznie, wyruszając sam, zamiast poprowadzić większe siły. Wszystko zdawało się wskazywać, że Belgon rzeczywiście oszalał i zaczął wybijać swoich. W pojedynkę, Ehdeh miał szansę przemknąć niepostrzeżenie; grupa musiałaby zostać zauważona. Łysy dziesiętnik dobrze wiedział, jak strzelają kusznicy Legii Grombelardzkiej. Nie miał ochoty paść trupem na czele swojej, wyprowadzonej z jaskiń, armii.

Kryjąc się i uważnie przepatrując teren, dostrzegł nagle dwa ciała, leżące opodal. Zachowując jak najdalej posunięte środki ostrożności, przekradł się ku nim.

Ale ostrożność nie była już potrzebna.

Podsetnik leżał na ziemi martwy. Znajdujący się przy nim legionista, ujrawszy dziesiętnika gwardzistów, uniósł się na łokciu i usiadł. Z prawego uda sterczał ciężki bełt; Ehdeh rzucił okiem i zobaczył, że żołnierz na pewno ma strzaskaną kość udową.

— Melduj mi — rozkazał.

— Stamtąd strzelał — wybełkotał legionista, wskazując grupę skał.
— Zabił podsetnika, aleśmy nie wiedzieli, gdzie jest... Wtedy jeszcze trafił mnie.

— Gdzie pozostali?

— Pobiegli, jak tylko żeśmy zobaczyli, skąd strzelał... Nie ma ich! — wrzasnął histerycznie żołnierz. — On tam ciągle musi gdzieś siedzieć... Zabił ich! Słyszałem, jak się bili!

— Znaleźliście setnika?

— Zabity! Wszyscy zabici!

— Widziałeś trupa?

— Tak!

— Trupa setnika widziałeś? Gdzie jest?

Żołnierz przełknął ślinę.

— Setnik? Nie... nie widziałem. Ale musi być zabity!

Ehdeh zgrzytnął zębami.

— Leż tu. Aż wrócę.

— Zabije cię!

— Leż tu! — huknął Ehdeh. — Masz kuszę? To ją trzymaj i leż! Czekaaj, aż wrócę i nie strzelaj do mnie, kiedy będę wracał! Skąd to ścierwo strzelało? Stamtąd?

Legionista odetchnął i pokiwał głową.

Ehdeh zawrócił, schował się między skałami i wielkim łukiem, kryjąc się, zaczął podchodzić do miejsca, które mu wskazano. Trwało to bardzo długo. Dziesiątnik przywołał na pomoc całe swoje doświadczenie i cierpliwość. Wreszcie znalazł miejsce, z którego mógł zajrzeć do domniemanej kryjówki Belgona. Wypatrzył dwa nieruchome ciała. Wyglądało na to, że ranny legionista miał rację: biegający po górach pomyleniec z niezwykłą sprawnością dziesiątkował oddział.

Musiało minąć jeszcze trochę czasu, nim Ehdeh, czujny i przygotowany, zbadał miejsce walki. Jeden z żołnierzy miał głowę rozbitą czymś ciężkim, a w piersi tkwił mu miecz; dziesiątnik pomyślał, że legionieści zdybali Belgona, gdy ładował swą kuszę i szalenciec użył jej najpierw jako maczugi, zaś ogłuszonego żołnierza dobił dopiero po zwycięskiej walce z jego towarzyszem — wszystkie ślady wskazywały na taki przebieg wydarzeń. Ale ci dwaj zabici nie byli przecież dziećmi; funkcyjny odkrył liczne ślady krwi, nawet nie krople, lecz plamy, cały szlak... W odległości kilku kroków leżała, porwana na strzępy, wojskowa tunika legionisty — część płótna bez wątpienia zużyto na opatrunki. Belgon musiał być poważnie ranny, może nawet śmiertelnie. Zwyciężył, wykorzystując zapewne ten krótki moment, gdy jego koledzy (może nawet podkomendni z jego własnej trójki, przecież tak być mogło!) z niedowierzaniem patrzyli na zabójcę, na towarzysza broni, legionistę, który do nich strzelał... Tylko dlatego trójkowy poradził sobie z dwoma przeciwnikami. Lecz nie wyszedł bez szwanku.

Z gotową do strzału kuszą, Ehdeh ruszył za śladami krwi. Przeklęty teren, obfitujący w dziesiątki kryjówek, był jego największym wrogiem. Dziesiątnik zrozumiał, że pełzając od skały do skały, nigdy nie zakończy swej wyprawy. Lecz wszystko wskazywało na to, że mógł zaryzykować

otwarty, szybszy marsz. Ciężko ranny kusznik, nawet gdyby pierwszy go wypatrzył i strzelił, prawie na pewno musiał chybić. Ehdeh nie był tchórzem; niebezpieczeństwo jawiło mu się wręcz jako miła podnieta, bez której życie straciłoby sens. Aczkolwiek — oczywiście — musiało to być niebezpieczeństwo mieszczące się w granicach rozsądku... Ehdeh nie szukał głupiej, nagłej śmierci.

Skulona ludzka sylwetka wyłoniła się zza skał zupełnie nagle. Gwardzista błyskawicznie przyklęknął; w mgnieniu oka zdając sobie sprawę, że ten człowiek nie nosi wojskowej tuniki, nie jest więc zaginionym setnikiem, ani kolegą z oddziału... Strzelił i usłyszał okrzyk dowodzący, iż trafił. Skoczył przed siebie z dobytym mieczem.

Dziewczyna, trafiona w brzuch, leżała między ostrymi odłamkami skał, płacząc i wijąc się z bólu. Ehdehowi pociemniało w oczach: oto wszystkie wrogie moce tego świata sprzysięgły się, żeby go zniszczyć! Przyskoczył i pochylił się nad leżącą.

— Ja już... nie ucieknę... — powiedziała ze szlochem. — Nic mi nie rób... Aa... jak boli...

Dziesiątnik wyprostował się i bezradnie rozejrzał dokoła. Znieruchomiał, dostrzegłszy zwinięte w kłębek ciało u podnóża nieodległej przymy skał. Ruszył w tamtym kierunku.

— Nie zostawiaj... aaa! — zawołała dziewczyna.

Nie zatrzymał się.

Belgon leżał na boku, obejmując rękami przyciągnięte do piersi kolana. W szeroko otwartych oczach zastygł ból — nie było tam niczego więcej. Podarta tunika, wystająca spod rozerwanej mieczem kolczugi, była niemal czarna od krwi. Ehdeh stał przez chwilę, potem kopnął trupa, poprawił, wreszcie splunął i odszedł.

Kilka chwil. Brakowało kilku chwil, a zobaczyłby martwego Belgona — i nie strzelił do tej przeklętej Dartanki.

Skąd miał wiedzieć, że dziwka uciekła?! Miał z Lordosem do pogadania...

Łysy dziesiątnik potrafił używać oczu i rozumu. Widział, że ta kobieta nie była dowódcy obojętna. Klnąc pod nosem, próbował wyobrazić sobie, co będzie, jeśli rudowłosa piękność umrze. Umrzeć zaś mogła bardzo łatwo; mogła, a nawet powinna... Dziesiątnik znał się na ranach. Gładkie rozcięcia pochodzące od miecza, nawet jeśli długie i

paskudnie wyglądające, goiły się dosyć łatwo. Całkiem inaczej wyglądała sprawa z głębokimi ranami, zadanymi sztychem, lub właśnie przez pocisk z kuszy. Mała dziurka w ciele niewiele mówiła o spustoszeniach poczynionych wewnątrz. Tkwiący w brzuchu pocisk z ciężkiego wojskowego samostrzału — to była sprawa niemal beznadziejna. Dziewczyna miała skonać w męczarniach. Niebywałych męczarniach.

Wyobraził sobie setnika, który na to patrzy...

Stanął nad dziewczyną i przyglądał się. Otworzyła zapłakane oczy i próbowała wyciągnąć rękę. Wówczas Ehdeh odkrył, że chętnie by tak stał i patrzył na nią — aż do śmierci. Jej śmierci.

— Wasza piękna godność — powiedział — wie dobrze, że setnik ją kocha. Ale zdaje się, że setnik nie żyje. Jednak co będzie, jeśli żyje? Nikt na razie nie znalazł trupa. Może setnik żyje, i co wtedy?

— Nie zostawiaj mnie... A! Jak boli...

— Nie zostawię — powiedział, klękając obok.

Nagle zakrył jej usta dłonią, chwycił drzewce bełtu i szarpnął z całej siły. Dziewczyna zawyła głucho, wybałuszając oczy. Wyprężyła się i znieruchomiła, nienaturalnie wygięta, wciąż stękając przeciągle; ciężka męska dłoń tłumiała krzyk. Ehdeh starannie schował bełt, bo namalowane na nim dwa czarne paski wyraźnie mówiły, iż wystrzelony został z kuszy gwardyjskiej. Legioniści używali bełtów oznaczonych kolorem zielonym, a Belgon był legionistą... Nie zdejmując ręki z twarzy stawiającej beznadziejny, słaby opór dziewczyny, Ehdeh usiadł jej na piersi, wyjął miecz i manewrując bronią — było mu dosyć niewygodnie — przebił sztychem dolną szczękę, między podbródkiem, a szyją. Próbowała się rzucać, więc całym ciężarem oparł się na dłoni, którą zakrywał usta mordowanej, żeby przycisnąć jej głowę do ziemi i w ten sposób unieruchomić. Powoli wpychał ostrze coraz dalej, przebijając język, potem natrafił na opór podniebienia.. Dziewczyna charczała i stękała, wreszcie wyła głucho, przyduszona ciężarem męskiej ręki, oczy nieomal wyszły jej z orbit. Dziesiętnik czuł, jak oparta na twarzy Dartanki dłoń zaczyna miażdżyć jej wargi i wgniatać zęby do ust. Pchnął mocniej drugą ręką i miecz nagle pokonał opór, dziewczyna rzuciła się pod nim, uderzyła rękami o ziemię i znieruchomiła.

Ehdeh zdjął rękę z jej twarzy i wstał.

Rudowłosa piękność z Rollayny po śmierci wyglądała odrażająco. W

półotwartych ustach połyskiwało jeziorko krwi, z którego po chwili wziął początek kręty strumyczek; wytrzeszczone oczy także nabiegły krwią. Twarz nie zachowała nawet śladu urody i Ehdeh pomyślał, że wszystko to marność, nic więcej. Wobec wojny i śmierci nic nie miało znaczenia: Armektańczycy wiedzieli co robią, głosząc chwałę tej swojej Arilory... Gwardzista uważnie rozejrzał się dokoła, a nie zauważywszy niczego podejrzanego, wyjął z rany swój miecz, otarł go i schował do pochwy. Potem szybko pobiegł do trupa Belgona, zabrał miecz szaleńca i jeden, oznaczony na zielono, bełt.

Wracając do jaskiń, niemal potknął się o trupa dowódcy. Setnik leżał spokojny i cichy, jakby spał, bez bólu na twarzy, bez żadnej nienawiści, gniewu, albo strachu w szeroko otwartych, szarych oczach. Siedział chyba na dużym kamieniu, może rozmyślał o czymś, gdy trafiono go w sam środek pleców. Ehdeh stał przez chwilę, głęboko zadumany nad wyrokami losu — a potem poszedł dalej. Trzeba było posłać ludzi po rannego w udo żołnierza... i po wszystkich zabitych. A potem urządzić pochówek.

— Czemuś, głupia, uciekała z jaskini? Teraz bym cię zabrał do Riksu, żebyś sobie jechała, dokąd chcesz!

W ten sposób przeprosił Dartankę.

15.

Karenira powstała, spięta i czujna... W tym samym momencie, zza niedalekich skał wyskoczyło kilku ludzi. Dziewczyna schyliła się po łuk, ale było już za późno, zostawiła go więc i tak jak stała, z gołymi rękami, wybiegła napastnikom naprzeciw. Baylay jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego skoku, gdyby mu ktoś opowiedział — nie uwierzyłby. Rozpędziła się krótko i wyprysnęła w powietrze jak stepowa pantera. Uderzony nogami mężczyzna runął na ziemię, nie wydając głosu. Zwróciła się ku drugiemu. Natarł na nią z uniesionym mieczem; odwróciła się przykucając, przechwyciła opadające ramię i poderwała biodra do góry. Napastnik, pchany siłą własnego rozpędu, przeleciał przez jej plecy, wywinął kozła i gruchnął na kamienie jak wór piasku. Wypadki następowały po sobie tak szybko, że Baylay zastygł w osłupieniu. Otrząsnął się zaraz i skoczył z mieczem, ramię w ramię ze

Starcem. Rzucono się na nich. Kątem oka widział Dartańczyk, jak jego siwobrody towarzysz blokuje swym półmieczem wrogie ostrze, po czym nasadą otwartej dłoni zatrzymuje znów ruszającego do natarcia przeciwnika. Efekt był taki, jakby mężczyzna, biegnąc, zaczepił podbródkiem o rozciągnięty między drzewami łańcuch... Baylay poczynił swe obserwacje niemal mimochodem, bo jego przeciwnik bardzo kiepsko radził sobie z mieczem; został też go pozbawiony prawie natychmiast i sromotnie pierzchnął. Dartańczyk spojrział w stronę, gdzie Łowczyńni, błyskawicznie obracając się wokół osi, raz za razem uderzała nogami w twarz krępego draba. Powaliła go! Zdumiewający sposób walki, widziany po raz pierwszy, oszołomił Baylaya. Oprzytomniał jednak natychmiast, gdy wyrósł przy nim kolejny przeciwnik.

Zadźwięczały krzyżowane główne, broń niebezpiecznie zachwiała mu się w dłoni. Tym razem to nie była sprawa z jakimś niezgrabiaszem! Baylay przyjął na zastawę drugi, bardzo szybki cios, odepchnął silnie miecz przeciwnika i próbował przejść do kontrataku, jednak bez powodzenia. Nie upilnował jednego cięcia i jednego sztychu, lecz oba — zbyt lekko zadane — zatrzymały się na dzwoniących płytkach zbroi. Broniąc się ze wszystkich sił przed niebywale szybkim i pomysłowo atakującym przeciwnikiem, usłyszał nagle zduszony, pełen bólu okrzyk Kareniry. Chwila nieuwagi kosztowała bardzo drogo: wrogi oręż zsunął się wzdłuż ostrza, aż do jelca broni, nieomal łagodnie odsunął ją w bok — po czym zimny sztych dotknął szyi.

— Dobrze, bracie — rzekł z podziwem tamten, szykując się do pchnięcia. — Aż szkoda!

Lecz w tym samym momencie rozbrzmiał dziwnie niski, pełen gniewu i zdumienia głos:

— Stać! Dosyć, stać, stać mówię!

Zwycięzca Baylaya cofnął się i opuścił broń, obserwując jednak czujnie twarz wroga. Baylay chciał skoczyć do przodu, ale ktoś chwycił go za ramię. Był to Starzec.

— Nie, chłopcze.

Dartańczyk szybko rozejrzał się dokoła i prawie natychmiast dostrzegł Karenirę. Leżała na ziemi — nieruchoma, z pokrwawioną twarzą. Tuż obok, stękając przeciągle, siedział mężczyzna w postrzępionej, krótkiej kapocie. Przyciskając ręce do brzucha, ciężko

walczył o oddech. Inny bezskutecznie próbował się podnieść.

Pośród zbrojnych stał mężczyzna o głowę górujący nad wszystkimi, o barach i ramionach porażających samym swym widokiem. U jego nóg poruszyło się coś, co Dartańczyk, w gęstniejącej szarówce, wziął najpierw za wielki kamień. To był kocur gadba. I jeśli ten człowiek był olbrzymem wśród ludzi — jego towarzysz musiał być olbrzymem wśród kotów.

— Schować broń! — powiedział z niesłabnącym gniewem gadba, tuląc uszy.

Głos miał głęboki i dosyć wyraźny, jak na kota, chociaż nieodparcie kojarzący się z ochrypłym pomrukiem. Zalśniły żółte ślepie, skierowane na Baylaya i Starca.

— Dorlan-Przyjęty. Byliśmy nieostrożni.

Starzec skinął głową na znak, że to prawda.

— Czy ona żyje? — zapytał niecierpliwie.

Kot bez słowa pobiegł do dziewczyny. Podążyli za nim. Starzec pochylił się i przyłożył wierzch dłoni do ust leżącej. Potem ostrożnie starł krew z bladej twarzy.

— Tylko ogłuszona — stwierdził, oglądając głęboką, idącą po łuku brwi ranę. — Nie będzie zachwycona tą blizną... Może brew ją zakryje.

Baylay odetchnął z ulgą. Kot odczuł chyba to samo, bo położone płasko uszy drgnęły i podniosły się.

Olbrzymi mężczyzna także kucnął przy leżącej. Z zaskakującą delikatnością, potężnymi palcami, musnął brzegi rany i zapytał przez ramię:

— Kto uderzył?

— Ja — przyznał się jeden ze zbrojnych, wskazując okutą żelazem pałkę.

Olbrzym pokręcił głową, jakby dziwiąc się czemuś.

— Wodę, wódkę i opatrunki! — zarządził.

Rzucono się, by spełnić rozkaz. Kragdob uważnie spojrzał na Baylaya, potem na Starca.

— Dorlan-Przyjęty, Wielki Dorlan — rzekł niegłośnie.

Starzec zaprzeczył.

— Przyjęty umarł — oświadczył z naciskiem. — Żyje tylko Starzec.

— Słyszałem o tym. No cóż... dobrze, Starcze. Wybacz mi ten napad.

— Nie mówmy o tym. Domyślam się, panie, że stoję przed samym Basergorem-Kragdobem?

— Na Szerń, wasza godność — rzekł porywczo wielkolud — pozwól, że podam ci swoje prawdziwe imię! Nazywam się J.I.Glorm. Mój wojenny przydomek jest śmieszny, jeśli wymieniać go w twojej obecności!

Kłęczący przy Łowczyni Baylay uniósł głowę z najwyższym zdumieniem.

— Basergor-Kragdob — powtórzył.

Król Gór spojrzał z uwagą.

— Czyżbyś mnie znał, panie? Nie wyglądasz na przebiegacza gór, a sądząc po akcencie i wyglądzie, nie jesteś też Grombelardczykiem. Dartańczyk?

— Jesteś, panie, bardzo spostrzegawczy. Rzeczywiście, jestem gościem w tych stronach. Ale twoje nazwisko słyszałem wielokrotnie.

Rozbójnik skinął głową i powrócił do sprawy, która najwyraźniej nie dawała mu spokoju.

— Nie było przy mnie Rbita — tłumaczył Starcowi. — Nasze oddziały wyznaczyły sobie spotkanie... tutaj właśnie. Moja grupa natknęła się na was przedwczoraj, szliśmy, zdaje się, tym samym szlakiem. Hm, myślałem, że tylko ja o nim wiem... Ale wasza przewodniczka... to wszystko wyjaśnia.

Obejrzał się na swoich podkomendnych, pobitych przez Łowczynię, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że istnieją. Pozbierali się już, ale miny wciąż mieli nietęgie.

— Ta kobieta to istny demon — rzekł z podziwem. — Poturbowała ciężko dwóch moich żołnierzy, a kilku innym zdrowo przyłała. Mówisz, Raner, że dopiero tą pałką?...

Mężczyzna, muskularny siłacz, którego potężna budowa ciała mogła ujść uwagi tylko w cieniu jego dowódcy, skinął głową.

— Gdyby Rbit nie zostawił swoich i nie wybiegł nam na spotkanie... — sumitował się strapiony Kragdob. — Mogło dojść do nieszczęścia.

— Zostawmy już to — rzekł po raz drugi Starzec, któremu przyniesiono szarpie i wodę; opatrywał teraz głowę dziewczyny. — Tu są Góry. A pomyłki zdarzają się wszędzie. Mogło dojść do nieszczęścia, lecz nie doszło. Lecz nie doszło. Cieszymy się z tego, panie.

Łowczyni jęknęła i otworzyła na chwilę oczy. Poruszyła się, potem

spojrzała nieco przytomniej i usiadła, przy wydatnej pomocy Baylaya. Olbrzymi rozbójnik natychmiast znowu przykucnął i wyciągnął do niej obie dłonie.

— Na Szerń, podaj mi rękę, Łowczyni — poprosił. — Nie wiedziałem kim jesteś; nie poznałem! Żądaj czegokolwiek, tylko wybac mi ten napad, bo twoi towarzysze już mi wybaczyli!

— A z kim... ale z kim mówię? — zapytała, bardzo niepewnym jeszcze głosem, przykładając ręce do bolącej głowy.

— Nazywam się J.I.Glorm, a tutaj, w Ciężkich Górach, Basergor-Kragdob. Siedzimy na jednym tronie, pani — dodał nagle z nieoczekiwaną, żartobliwą ironią.

— O... — mruknęła, odzyskując powoli zwykłą pewnością siebie. — Basergor-Kragdob! Niech już będzie na jednym tronie... ale nie siadaj mi, królu, na kolanach.

Przygryzł wargę, hamując wesołość; dziewczyna wyglądała przy nim jak wiewiórka przy niedźwiedziu.

Nagle dojrzała kota.

— Rbit! — powiedziała z niedowierzaniem i szczerą radością. — L.S.I.Rbit!

Kocur podniósł łapę w Pozdrowieniu Nocy.

— Góry są wielkie, Łowczyni... — powiedział przyjaźnie.

— ...ale my też nie jesteśmy mali! — dokończyła, wyciągając rękę. — Pamiętam! Miałeś rację, że spotkamy się jeszcze!

Musnęła, samymi końcami palców, bure futro. Milczący Baylay pomyślał, że tych dwoje zna się najwyraźniej dobrze i od dawna.

Armektanka wróciła spojzeniem do Króla Ciężkich Gór.

— A my... — zaczęła. — Siedzimy jednak na dwóch tronach, a każdy z nich postawiono w innym końcu Grombelardu... Wielu lat trzeba było, żebyśmy się wreszcie spotkali. Ciekawa byłam! — dorzuciła tak otwarcie, że zabrzmiało to prawie zalotnie.

Olbrzym odpowiedział szczerym uśmiechem.

— Ja także byłem ciekaw. I nie zawiodłem się!

Przez długą chwilę spoglądał tak wymownie, że poróżnowiały jej policzki.

*

Baylay nie mógł zasnąć. Wszystkie wrażenia minionego dnia

nachodziły go falami, męczyły. Nie potrafił się od nich uwolnić.

Najpierw widział ogromną postać Króla Gór. Nie wiadomo, z jakiego powodu, od pierwszej chwili czuł niechęć do tego człowieka. Przy bliższym poznaniu Kragdob okazał się bezpośredni i bardzo uprzejmy, ale pierwotna niechęć pozostała. Potem znowu się wzmogła...

Był Basergor-Kragdob człowiekiem niepospolitym — co do tego nie miał Dartańczyk żadnych wątpliwości. Lecz w czym tkwiła ta niepospolitość? Nie wiedział. W zachowaniu? W postawie? W sposobie mówienia, bystrym umyśle? A może we wszystkim naraz? Ten trzydziestoparoletni mężczyzna nie pasował do obrazu herszta rozbójników — obojętne jak sławnego i znanego. Baylay bez trudu mógł wyobrazić go sobie... zgoła wszędzie. Jako gościa każdego z Domów Rollayny. Na czele wojsk imperialnych. Lub piastującego wysokie urzędy. Najmniej w górach, otoczonego zbrojnych rzezimieszków.

Choć może... pasował i tutaj.

Gdy mówił, wydawało się, że wylewa z ust wodę. Słowa płynęły powolne, spokojne, starannie dobrane, pierś rytmicznie brała oddech, oczy patrzyły ze skupioną uwagą. Pytał i odpowiadał krótko, w każdym razie nie rozwlekle. Ciekawiło go, co trójka wędrowców robi w tej części gór, choć zastrzegł zaraz, że jeśli to tajemnica, cofa swoje pytanie. Do Starca odnosił się z ogromnym, nie udawanym szacunkiem; do Łowczyni — ze szczerą przyjaźnią i uznaniem. Ta przyjaźń wydała się Baylawowi prawie nie na miejscu, bo przecież tych dwoje znało się ledwie od paru chwil. Potem jednak zrozumiał, że choć Kragdob i Łowczyni rzeczywiście nie widzieli się dotąd, to przecież słyszeli i wiedzieli o sobie bardzo dużo. Kazało mu to spojrzeć na dziewczynę innymi oczami; rozumiał oczywiście już wcześniej, że jest postacią w Grombelardzie znaną, nie przypuszczał jednak, że aż legendarną... Ludzie z oddziału Kragdoba odnosili się do niej z najwyższym respektem, do tego stopnia, że ci, których pobiła, przyszli pytać, czy wolno im będzie opowiadać o tym wydarzeniu... Baylay pojął, że walczyć z samą Łowczynią — co tam walczyć? dostać od niej po łbie! — to tutaj nie byle jaki powód do chwały... Dartańczyk, znający Grombelard i Ciężkie Góry bardzo powierzchownie, nie mógł się nadziwić podobnym... ceremoniałom.

Gdy Kragdob posłyszał, że trójka wędrowców zmierza do Obszaru — nie pytał już o nic więcej. Zagadnął tylko, czy po Porzucione

Przedmioty. Gdy Starzec zaprzeczył (z kwaśnym rozbawieniem, którego źródeł Baylay tylko się domyślał), rozbójnik skinął głową i rzekł:

— Rbit był w Obszarze — oznajmił krótko. — Gdybyście szli po Przedmioty — zwrócił się wprost do Łowczyni — to być może mógłbym sprzedać lub ofiarować wam te, których potrzebujecie.

Zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie o czymś.

— Prawda — rzekł — byłbym zapomniał... Chcieliście iść najpierw do stancy? Nie idźcie, bo nie warto. Rbit był w złym humorze i ją spalił.

Potem już nie rozmawiali o Złym Kraju. W okolicy rosło parę drzewek, więc rozpalono małe ognisko; połączone grupy Rbita i Króla Gór liczyły razem kilkadziesiąt głów, co pozwalało czuć się bezpiecznie i zaniechać niektórych środków ostrożności. Zresztą, jak zapewniał kot, opierając się na doniesieniach zwiadowców, okolica była całkowicie spokojna.

Basergor-Kragdob, nieoczekiwanie, wykazał się talentem gawędziarza. Siedząc przy ognisku, bawił nowych znajomych jedną barwną opowieścią po drugiej. Baylaya uderzyła niezwykła skromność (a może tajemniczość?) olbrzyma: nawet jednym słowem nie wspomniał o swoich własnych czynach, mówił tylko o dokonaniach innych. Przy ognisku wytworzył się pogodny, przyjacielski nastrój. Przysiadło się kilku ludzi Kragdoba — Baylay zrozumiał, że starszyzna oddziału. Brali udział w pogawędce, dodawali szczegóły, śmiali się czasem serdecznie. Nie wyglądali na zbirów, sprawiali raczej wrażenie świetnie wyszkolonych, żyjących na przyjacielskiej stopie z dowódcą, żołnierzami. Było coraz mniej zrozumiałe, w jaki sposób tacy ludzie zasilili szeregi górskich zbójów. A jednak to byli zbóje... Baylay nie mógł zapomnieć chłodnej obojętności, z jaką Kragdob opowiedział o losie wojskowej placówki i jej załogi: „Rbit był w złym humorze, spalił ją...”. Do komendanta tej placówki Baylay wiózł list, napisany przez Golda. Gold znał tego podsetnika i jego legionistów. Lecz „Rbit był w złym humorze...”. Tylko taki powód, żaden inny.

Baylay dość szybko zdołał się zorientować, kto z ludzi Króla Gór ma w oddziale coś do powiedzenia. Po dowódcy najważniejszy był kocur Rbit. Baylay raz i drugi widział w Badorze kota-wojownika, dwa nawet służyły w legii, ale ten tutaj był zupełnie wyjątkowy. Nosił się z nonszalancją i swobodą właściwą tylko synom najwyższych rodów,

mówił mało, ale zawsze do rzeczy. Dartańczyk zauważył, że Rbit i Karenira znają się dobrze i chyba od dawna. Ale w ich wzajemnym stosunku były jakieś cienie, może pamięć o jakichś odległych, przykrych, może smutnych, wydarzeniach.

W oddziale Rbita, jego zastępcą był Delone („Delen, wasza godność, grombelardzkiej wymowy mojego imienia prawie nikt już dziś nie używa, to niemodne, to niearmektańskie...”) — szczupły młody człowiek z niebywale zuchwałą, uśmiechniętą, po męsku piękną gębą zabijaki i łowcy przygód. To z nim właśnie Baylay przegrał walkę na miecze. Przy pierwszej sposobności młody rozbójnik podszedł do Dartańczyka, wyrażając mu swój podziw i uznanie. Dał wprost do zrozumienia, że uważa się za mistrza miecza i podczas krótkiej potyczki zdążył ocenić wielki talent i umiejętności swego przeciwnika. Umówili się na bezkrwawą walkę rano.

Znajdowały się wśród rozbójników dwie kobiety. Jedna, śliczny rozchichotany głuptas, była dziweczką dla wszystkich — do czego chyba nadawała się świetnie... Przy pierwszej okazji zaczepiła Baylaya („Czy nie będzie ci zimno tej nocy, rycerzu?...”) lecz podziękował jej sucho. Druga, zupełne przeciwieństwo pierwszej, najwyraźniej była tylko gościem w górach, chociaż wszyscy uważali ją za swojaczkę. Baylay domyślił się, na podstawie różnych półsłówek, że dziewczyna istotnie bardzo rzadko biega po górach ze swoimi kamratami; zwykle, jak się zdawało, rezydowała w którymś z miast grombelardzkich, pełniąc tam rolę... może wywiadowczynie? Nie była piękna; trudno powiedzieć, czy była chociaż ładna: prawdziwa Grombelardka, niezbyt wysoka, szerokobiodra, prawie krępa. Lecz miała najpiękniejsze włosy, jakie Baylay widział w całym swoim życiu — słonecznożółte, poskręcane w setki pierścionków, gęste, bujne. Uśmiechnęła się do Baylaya raz i drugi, wreszcie — zaintrygowany — pochylił się do siedzącego obok rozbójnika (tego samego, który powalił Karenirę pałą) i zapytał o jej imię. Rozbójnik zmierzył pytającego uważnym spojrzeniem, lecz widocznie nie dostrzegł niczego uwłaczającego w pytaniu, bo uśmiechnął się lekko i odparł:

— To Arma... moja starsza siostra. Ale ona, Dartańczyku, widzi tylko jednego, za to bardzo dużego mężczyznę...

Mrugnął okiem i popatrzył na swojego dowódcę. Baylay, dopiero teraz dostrzegłszy podobieństwo brata i siostry, bąknął coś i

zaczerwienił się jak chłopaczek.

Przeniósł wzrok na Karenirę, potem na Króla Gór. Po chwili coś ukłuło go w sercu... Rozbawiona dziewczyna, z której w przedziwny sposób uleciało całodniowe znużenie, słuchała kolejnej opowieści wielkiego rozbójnika. Ten zaś — najwyraźniej opowiadał tylko dla niej.

Baylay zachnął się w duchu i próbował odwrócić swoją uwagę od słynnej pary. Zaczął pogawędkę ze Starcem, lecz ten — dziwnie zamyślony, nieobecny i daleki — zbył go paroma niewiele znaczącymi słowami... Wtedy Baylay, pośród tak wielu ludzi, poczuł się nagle — sam.

A teraz leżał i nie mógł zasnąć. Rozpamiętywał miniony dzień, chwila po chwili... wydarzenie po wydarzeniu... słowo po słowie.

Zdecydował się wreszcie na nocną przechadzkę. Odrzucił płaszcz, którym był przykryty i wstał. Wylazł z małej rozpadliny, właściwie dołka, w którym ułożył sobie legowisko i zaczął niespiesznie chodzić w tę i nazad. Jakiś czujny żołnierz Basergora-Kragdoba uniósł głowę, gdy milcząca sylwetka minęła go w mroku, ale zaraz na powrót skłonił się do snu.

Baylay dotarł aż do linii czat. Chciał zawrócić, ale nagle zmienił zamiar, powiedział hasło, które przed spoczynkiem podano wszystkim — i poszedł dalej, uprzedziwszy wartowników, że wkrótce będzie wracał.

Łaził tak przez jakiś czas, bez żadnego celu.

A potem ich dostrzegł...

Pogoda była wyjątkowo ładna; już popołudnie i wieczór nie dały się porównać z innymi, zaś noc — jak na Grombelard — była wyjątkowo piękna. Nie padało i po raz pierwszy, odkąd Baylay przybył do Drugiej Prowincji — spoza chmur wyłaniał się czasem wielki księżyc.

Zajęci sobą, nie widzieli go. Baylay ukrył się pospiesznie między skałami, gdzie zalegał cień. Nie wiedział właściwie, dlaczego to robi — ale zrobił. Nie było odwrotu; znajdowali się zbyt blisko i gdyby zaczął gramolić się z powrotem, tym razem na pewno by go dostrzegli.

Widział ich zupełnie wyraźnie. Karenira siedziała na dużym kamieniu, on stał tuż przed nią...

Całowali się.

Księżyc, słabo dotąd przebijający zza chmury, wyszedł nagle na skrawek czystego nieba i wtedy Baylay zauważył ręce olbrzyma,

wsuwające się pod kaftan dziewczyny. Poczuł skurcz serca, tak jak wtedy, przy ognisku.

Karenira westchnęła głęboko i powiedziała dość wyraźnym szeptem:

— Król Gór...

Basergor-Kragdob wydał z siebie coś na kształt parsknięcia.

— Królewska z nas para, ani słowa — rzekł półgłosem, ale z wyraźnie słyszalną ironią. — Doprawdy, przecież ja cię po prostu nie znoszę. Zarozumiała, złośliwa Armektanka z łukiem.

Karenira zaśmiała się cichutko, ale był to śmiech niezmiernie zadowolonej kobiety. Mocniej przycisnęła jego dłonie do piersi.

— Król Gór nie znosi Królowej Gór — powiedziała z ogromnie komiczną powagą, naśladując głębokie brzmienie głosu olbrzyma. — Grombelardczyk z wielkim mieczem... nie znosi Armektanki z małym łukiem. A czy grombelardzki Król Gór wie, do kogo należą te zabawki, które mu się tak bardzo podobają?

— Grombelardzki Król Gór może takich zabawek mieć na kopy...

Prychnęła pogardliwie i próbowała wyszarpnąć jego ręce spod odzienia.

— Skoro tak, to niech te dwie zostawi w spokoju!

Jego ramiona nawet nie drgnęły. Pochylił głowę, do uszu skulonego Baylaya doleciał odgłos pocałunku. Zacisnął zęby. Pomimo nocnego chłodu, był cały spocony.

Basergor-Kragdob opuścił ręce niżej i przylgnął do dziewczyny jeszcze bardziej. Teraz jej szept był dziwnie zduszony:

— Nowa... zabawka?...

Przyzwalająco odchyliła się do tyłu, wspierając na łokciach. Jeszcze chwila i Baylay posłyszał jej cichy, rozkoszny pomruk. Nie wytrzymał, zaczął się wolno podnosić. Niegłośnie, lecz bardzo stanowcze słowa zatrzymały go w pół ruchu. Poznał niski głos kota:

— Glorm, Łowczyni. Skończcie to.

Wielkolud, zaskoczony, oderwał się od dziewczyny. Ta krzyknęła cicho, oburzona. Wyprostowała się, odepchnęła mężczyznę i szybko złączyła uda.

— Skończcie to — powtórzył Rbit.

Zabłyły w mroku wielkie żółte ślepie.

— Skończyć? — zapytał zdumiony rozbójnik. — Właśnie próbujemy... Wtrącasz się, Rbit. Czego chcesz?

Mówił bez gniewu, może tylko z pewnym niezadowoleniem.

— Później, Glorm. Dobrze? — w głosie kocura zabrzmiał odcień usprawiedliwienia. — Wszystko ci wyjaśnię.

— A ja? — zapytała pełnym głosem Karenira; była prawdziwie wściekła. — Dla mnie nie ma żadnych wyjaśnień?

— Tobie wytłumaczy kto inny. Powinnaś zrozumieć...

— Nie, niczego nie powinnam! Wynoś się stąd, kocie! Żałuję, że nasza przyjaźń tak się kończy.

— Przyjaźń kota nigdy się nie kończy. Rzadko się zaczyna, ale nigdy nie kończy, tego nie można odwołać.

Zwrócił się do rozbójnika:

— Glorm, więc chociaż ty mi zaufaj. Idź do obozu. I ty także, obrażona kobieto.

Milczenie przeciągało się. Wreszcie Glorm wyciągnął ręce. Karenira wysyczała coś gniewnie, odtrąciła je i nie przyjmując pomocy, sama zeskoczyła ze swojej skały. Nie oglądając się za siebie, szybko poszła w stronę linii wartowniczych placówek. Słysząc było, jak wrzasnęła strażnikowi hasło; całe góry musiały ją usłyszeć.

Glorm poczekał trochę.

— No więc?

— Idź do obozu. Wszystko jutro — rzekł kot.

Groźny Basergor-Kragdob zaśmiał się krótko, pochylił i na chwilę oparł wielką dłoń na kocim grzbiecie. Potem poszedł. Baylay pomyślał, że przyjaźń łącząca tych dwóch przetrwa i wytrzyma każdą próbę.

Skulił się i wstrzymał oddech, gdy rozbójnik mijał jego kryjówkę. Potem wyjrzał ostrożnie i przez kilka długich chwil siedział nieruchomo, wpatrując się w mrok i wyteżając słuch. Wreszcie, przerażony, usłyszał tuż przy uchu rzucone mrukliwym głosem zdanie:

— Chcesz się ukryć przed kocim wzrokiem, przyjacielu? Znakomity pomysł, daję słowo.

Kocur siedział tuż obok, patrząc swymi lśniącymi oczami. Baylay przełknął ślinę.

— Chodźmy stąd — rzekł kot. — Po co ktoś ma nas widzieć razem... Glorm raczej nie wróci, ale Łowczyni gotowa to zrobić, żeby mnie

odszukać i będzie hałasować po nocy. Chodźmy stąd, mamy do pomówienia.

Odeszli spory kawałek od obozu. Rbit ułożył się na ziemi, starannie i bez pośpiechu, zgodnie ze swą kocią naturą; nie cierpiał leżeć byle jak. Dartańczyk usiadł obok.

— Ludzie to dziwny naród — rzekł kocur. — Patrzą, a nie widzą; słuchają, a nie słyszą; czują, a nie rozumieją.

Po tym niezwykłym wstępie spojrział Baylayowi w oczy.

— Krzywda jest często tym większa, im bardziej niezamierzona. A ile krzywdy płynie z tego, że patrzycie, lecz nie widzicie...

Jak na wodza zbójeckiej gromady, były to spostrzeżenia dość niezwykle. Baylay chciał to powiedzieć, ale kot uprzedził go.

— Znam Łowczynię od ładnych paru lat — rzekł — ale przez cały ten czas widzieliśmy się tylko dwa razy. Pierwszy raz wtedy, gdy sęp zabrał jej oczy...

Baylay poczuł ciarki przechodzące po plecach.

— Za drugim razem, to było całkiem niedaleko stąd, być może uratowała mi życie.

Kot zamilkł na chwilę.

— Nie chcę cię nudzić, dartański rycerzu. Powiem krótko, co widzę: ona kocha ciebie, ty zaś ją, ale z jakichś powodów wzbranasz się przed tym uczuciem. Ciężka to sprawa, bo takich rzeczy nie można sobie wyperswadować. Uczyni to kot, lecz nie człowiek. Teraz o Glormie, czy też Kragdobie, jeśli wolisz: kocham go i szanuję, to wierny przyjaciel i druh. Lecz ma wady, i to wcale niemałe. Łowczyni denerwuje go, bo jest pewna siebie, a co gorsza, ma ku temu podstawy... Chodzi po górach niezależna od nikogo, nieujarzmiona, niepokorna. Glorm boi się takich kobiet. Chętnie by ją uwiódł, choćby po to, żeby potem trochę upokorzyć, bo taki już jest. Kiedy indziej zamknąłbym na to oczy... Może lekki policzek przydałby się jej czasem, a mogę tak mówić, bo jestem jej bratem, przyjacielem krwi. I kto zechce prawdziwie ją skrzywdzić, będzie miał ze mną do czynienia, a uwierz mi Dartańczyku, że nie warto, bo mogę skrzyknąć dziesiątki dla kaprysu, a setki dla obrony lub pomszczenia siostry krwi. Lecz skoro ją kochasz, to nie Glorm powinien bawić się w karcenie tej dziewczyny, wara mu. Czy podzielasz moje zdanie? Wiem, że tak, bo już wychodziłeś ze swojej kryjówki. Więc nie

miej mi za złe, że stanąłem między tobą a swoim najbliższym druhem. Żaden trup nie powinien paść tej nocy; dość już było pomyłek. Chciałem zapobiec kolejnej.

Cisza.

— Teraz chcę jeszcze powiedzieć słowo w obronie tej dziewczyny. Jest głupsza i bardziej naiwna, niż myślisz. Potrzebuje opieki. Trzeba wziąć ją za rękę i prowadzić, pokazywać życie, bo go wcale nie zna. Cóż Góry? Nauczyła się w nich powalać na ziemię mężczyzn, i to wszystko. Poza tym jest równie niedoświadczona i bezradna, jak tamta armektańska legionistka, której skoczyłem na głowę przed laty, ostrzegając przed szponem ścierwojada... To dojrzała kobieta i pewnie, że musi czasem z kimś sypiać, ale nad tym trzeba panować, a ona chyba jeszcze nie potrafi.

— Armektańska ładaczka.

— Wiesz, że nie. Po pierwsze, w Armekcie to nic złego. Po drugie, kobiety tak postępują, wszystkie, Dartanki też. Gdybyś to ty się wtrącił, byłaby uszczęśliwiona i wsadziłaby Glormowi nóż w plecy, gdyby zwrócił się przeciw tobie.

Cisza.

— Może myślisz, że kot nic nie wie o sprawach ludzi, ale to nieprawda. Żyję wśród nich, a stojąc z boku ludzkich spraw, mam oczy, które widzą i uszy, które słyszą, a na koniec mam jeszcze swój rozum. I to wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Teraz rozliczmy się, wasza godność.

— Rozliczmy? Co to znaczy?

— W dobrej wierze, ale jednak, wtrąciłem się w cudze sprawy. Glorm podziękuje mi jeszcze, bo potrafi przyznać się do błędu. Łowczyni zrozumie, a najprędzej zapomni... Lecz tobie jestem coś winien. Powiedz co, Dartancıku. Poniosę karę, jaką mi wyznaczysz.

Baylay patrzył w mrok.

— Nic mi nie jesteś winien, wasza godność, choć nigdy i od nikogo nie musiałem przyjąć takich słów — rzekł na koniec do kota. — Ale też nigdy w życiu nie spotkałem istoty takiej jak ty. Teraz jednak już odejdz, chcę tej nocy... choć przez chwilę być sam.

Delen spoglądał nań milcząc.

— Czy naprawdę jesteś Dartańczykiem, panie? — zapytał wreszcie.
— Dlaczego zatem wszyscy się z was śmieją?

Baylay skinął głową i wolno odsunął ostrze przeciwnika od swej piersi.

— Nie do wiary — rozbójnik wciąż nie mógł się nadziwić. — Oprócz Glorma, który przeciąłby mnie razem z moim mieczem na pół, nie znam nikogo, kto zająłby mi tyle czasu!

Baylay nie wiedział, czy to kpina? Skrzyżowali oręż może ze dwadzieścia razy.

Delen schował broń i przyjaźnie objął Dartańczyka. Poufały gest, który w Złotej Rollaynie rozgniewałby dumnego magnata, tu usztywnił go tylko, zresztą na krótką chwilę. Ciężkie Góry; byli w Ciężkich Górach. Grombelardzki mistrz miecza przyjaźnie objął ramieniem godnego przeciwnika, który nie był jego wrogiem. Tylko tyle.

— Chodź, panie, musimy porozmawiać. Czy dasz mi do ręki swój miecz? Jest znakomity, wart każdych pieniędzy! I wyłożę je, jeśli dasz mi poznać imię miecznika, którego wykuwa taką broń.

Przeszli przez krąg widzów i usiedli z boku. Chwilę później gestykulowali, zabijając tuziny niewidzialnych przeciwników.

Rbit, wraz z innymi przyglądający się pojedynekowi, zwrócił się teraz do Kareniry, Glorma i Starca:

— Ma niezwykły talent. Pewną, szybką rękę i wyczucie, jakiego nie widziałem u nikogo, oprócz Delena. Jeszcze brakuje mu wprawy, pewnej ilości prawdziwych walk, stoczonych w obronie życia.

— Sztuka miecza — uzupełnił Starzec — prawie już umarła. To, co uprawia się zwykle, jest podłą rąbaniną, niczym więcej. Ci dwaj, dostawszy się w ręce starych mistrzów Shergardów, zaśliliby jak diamenty.

Zmarszczył lekko brwi, po czym zwrócił się do Basergora-Kragdoba:

— Ale przecież ty, panie, walczysz dwoma mieczami?

Olbrzym nie dotknął zawieszanej na plecach broni, był to bowiem zwykły miecz gwardyjski, lecz za to bez słowa wyjął z pochwy u lewego boku niezmiernie długie, wąskie ostrze i podał Starcowi.

— Skąd masz ten oręż, panie?

— Żyje w Grombie człowiek, który kocha żelazo, podobnie jak

żelazo kocha jego. Ale walczyć tą bronią nauczył mnie jednoręki starzec, nie ustępujący mi wzrostem. Nigdy mi nie powiedział, kim jest, a ja w końcu przestałem pytać. To najdziwniejsze ze wszystkiego, co spotkało mnie w życiu — przyznał rozbójnik. — Człowiek ten opowiedział mi też, jak połączyć pchnięcia tego miecza z cięciami drugiego, krótkiego. Opowiedział, bo nie mógł pokazać... Ale chyba uczynił to dobrze, bo ciągle jeszcze żyję, a nie raz i nie dwa razy trzymałem swoje miecze w dłoniach. Pochwalę się, bo chcę w ten sposób uczcić swego nauczyciela: zabiłbym mistrza na miarę Delena nie dlatego, że jestem silniejszy...

— Jednoręki starzec... i twojego wzrostu? — Dorlan zamyślił się.

— Znasz go może, panie? — ożywił się Kragdob. — Czasem mi się zdawało, że to może być mędrzec-Przyjęty!

Zaraz jednak uniósł dłoń do czoła.

— Ale nie... — rzekł pospiesznie. — Nie, jeśli nawet... Nie, panie. Jeśli nawet wiesz, kim jest, nie mów mi. Uszanuję jego tajemnicę, skoro nie chciał jej zdradzić. Nigdy nie przyjął zapłaty za swoje nauki, a nauczył mnie wielu, bardzo wielu rzeczy, nie tylko walki mieczami. Skoro nic nie dałem, to tym bardziej nie będę odbierał. Ten sekret jest jego własnością.

Starzec skinął głową.

— Masz wielkie serce, Królu Gór — powiedział zamyślony. — Wielkie, uczciwe serce... Czy u kogoś takiego to nie wada?

Rozbójnik zdziwił się.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, wasza godność, to dumny jestem z pochwały... Jednak rządę Ciężkimi Górami, a mam wady daleko poważniejsze, niż moje, jak powiadasz, uczciwe serce.

Spojrzał na Łowczynię i skinął jej głową, jakby dając coś do zrozumienia. Dziewczyna wydeła usta i odwróciła głowę.

— Na nas już pora — rzekł Starzec, zmieniając temat. — Powinniśmy...

— Oczywiście, że powinniśmy — wtrąciła się Łowczyni. — Od samego świtu czekam na jakieś zawody. Skoro się skończyły, chodźmy wreszcie. Bez żalu możemy pożegnać naszych nowych... przyjaciół.

Basergor-Kragdob wyglądał raczej na ubawionego, niżli rozgniewanego. Lecz z za jego pleców nieoczekiwanie wychyliła się słonecznowłosa rozbójniczka.

— Bez żalu i bez radości — rzekła z największym politowaniem. —

Na radość z rozstania trzeba sobie zasłużyć czymś o wiele większym, niż tylko deptaniem śpiących, w środku nocy.

— Armo — rzekł łagodnie, choć karcąco Rbit.

Zaległa krótka cisza.

— Czy to z zazdrości? Czy z głupoty? — zapytała agresywnie Armektanka.

— Karenira — upomniał ją Starzec.

Obróciła się ku niemu, rozwścieczona.

— Na wszystko, co śmierdzi w tych górach!... Czy ty także, ojczy, będziesz mnie teraz karcił lub pouczał? Bo od wczoraj stale myśli się i stanowi za mnie, w moim imieniu!

Zbliżył się Baylay, przed chwilą jeszcze rozmawiający z Delenem. Dojrzała go i wskazała na wschód.

— Idziemy tam jeszcze, czy zrezygnowałeś? No to bierz swój worek!

Ludzie Kragdoba jęli spoglądać po sobie, nie bardzo wiedząc, kto z kim i o co walczy. Dartańczyk skinął głową.

— Chodźmy — rzekł sucho.

Pożegnanie było chłodne. Tylko Starzec i Basergor-Kragdob podali sobie ręce bez żadnej wrogości i niechęci, za to z wyraźnym wzajemnym szacunkiem.

17.

Pokonywali milę za milą i nic, zupełnie nic się nie działo. Nie lunął osławiony trujący deszcz; nie zapadli się w żywe piaski; nie zaatakowali ich straszni mieszkańcy Obszaru... Zarówno Baylay, jak i Karenira, przygotowani byli na coś zupełnie innego. Byli przecież w Złym Kraju.

Znaleźli tylko nudę i spokój.

Naga, spalona słońcem równina ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Bezimienny Obszar...

Dawno już pozostawili za sobą graniczne mgły. Spędzili dwie pogodne noce pod niebem bez jednej chmurki i — szli dalej. Prowadził Starzec. A prowadził tak spokojnie i pewnie, że Baylay nawet nie pytał, czy wie, gdzie można znaleźć Brula-Przyjętego.

Przejście od grombelardzkiego deszczu do upału i spiekoty było tak nagłe, że Baylay nie potrafił pogodzić się ze zmianą. Czuł się źle, nieomal

chorował. Wciąż sięgał do ramion, by poprawić pelerynę, której nie było; stale spoglądał w niebo, szukając chmur — i za każdym razem, na nowo zdumiony, potrząsał głową. Podobnie zachowywała się Karenira. Ona także — widział to — bała się Złego Kraju i nie ufała jego spokojowi. Jeden Starzec szedł naprzód nieodmiennie obojętny i zadumany. Mówił tak samo niewiele, jak w Ciężkich Górach; przyzwyczaili się już dawno do jego milczenia, lecz tutaj, w Obszarze, znów było czymś nowym. W Ciężkich Górach milczał stary człowiek. Tutaj — mędrzec Szerni. Przyjęty.

Wielki Dorlan, Dorlan-Przyjęty. Tak nazwał Starca Król Gór, a wcześniej tego samego imienia użyła Łowczyni. Baylay słyszał kiedyś imię bardzo podobne. Może to samo imię? Ale mędrzy Szerni jawili mu się nieledwie postaciami z baśni. Rozumieli prawa rządzące wiszącą nad światem potęgą, rozumieli tak bardzo, że stawali się niejako częścią tej potęgi. Przyjmowała ich i uznawała za część swej istoty.

Lecz Przyjętym był także Brule...

Baylay próbował zebrać razem wszystko, czego dowiedział się od Starca, gdy Łowczyni poszła zmierzyć się z sępem; chciał dodać do tego wiadomości, uzyskane od niej samej... Nic z tego nie wychodziło. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie mędrca Szerni. Na pewno nie jako wiecznie milczącego i zadumanego dziadka w nijakiej szacie, pod którą dzwoniła stalowa koszulka i szczerzyło zęby nacinane ostrze półmiecza... Słyszał, że ludzie ci potrafią czerpać moc prosto z Pasm, używać jej wedle swojej woli. Zaś Starzec, choć mądry i, jak na swoje lata, bardzo silny, zwawy... na pewno nie rozporządzał żadną wyjątkową mocą. Nie zamierzał pomóc Karenirze, którą nazywał córką, gdy pobiegła walczyć ze skrzydlatym stworem o życie. Potem rozbójnicy omal jej nie zabili — a mogli zabić wszystkich. Jeśli nawet jakieś reguły zabraniały mędrcom Szerni używania swej potęgi do spraw małych — to śmierć przecież nie była sprawą małą. Zaś człowiek, którego nazywano Wielkim Dorlanem, broniąc życia, wywijał swoim pirackim półmieczem. A każdego ranka wykonywał swoje śmieszne podskoki i przysiady, chyba na wypadek, gdyby przyszło mu się z kimś barować...

Baylay przypomniał sobie słowa, które Starzec skierował do Króla Gór: „Przyjęty dawno umarł...” Pojmował, że nie trzeba brać tego dosłownie. Ale co właściwie Starzec chciał powiedzieć? Że istotnie był

kiedyś Przyjętym, lecz w jakiś sposób przestał nim być? Sam mówił, że przekazał kiedyś Karenirze oczy innego człowieka, a ona to potwierdziła... Więc dokonał rzeczy, dla zwykłego śmiertelnika, niemożliwej. Lecz co stało się potem?

I skąd on, Baylay, znał to imię: Wielki Dorlan? Czy słyszał je z ust Golda? A może wcześniej, jeszcze w Dartanie, lub Armekcie? Nie był pewien.

Idąc, obejrzał się na Karenirę. Chciał zapytać... ale nie zapytał. Napotkał jej spojrzenie — ponure, a nawet trochę wrogie. Od pamiętnej nocy, gdy wielki kot pokazał trójce ludzi ich miejsca, Armektanka stale milczała, obrażona, a może zrezygnowana... Były chwile, gdy pragnął zatrzymać się i wziąć tę dziewczynę w ramiona, całować gojącą się ranę na szerokiej brwi, dotykać palcami i wargami jej małych ust, drobnego podbródka, pieścić... Nie mógł, nie wolno mu było. Chociaż rację miał kocur Rbit. Kochał ją.

Lecz miał żonę. Ilarę.

Czuł do niej niechęć, prawie już nie była dlań człowiekiem; raczej przykrym wspomnieniem, a zarazem niestety obowiązkiem, który musiał spełnić. Nie potrafił wyobrazić sobie, jakie będzie ich spotkanie. Miał przedziwną pewność, że dopnie swego, że odnajdzie ją. Nie wiadomo dlaczego, złowrogi Brule-Przyjęty wydawał się zupełnie nieważny; Baylay miał wrażenie, że Ilarę trzeba po prostu zabrać z jakiegoś miejsca. Klęski u celu w ogóle nie brał pod uwagę, nie przyjmował do wiadomości, że teraz coś jeszcze mogłoby mu przeszkodzić... Byłoby to — głupie, zbyt głupie. Głupie jak... śmierć jakiegoś znamienitego rębajły, któremu ktoś strzelił z łuku w plecy.

Ale naraz zdał sobie sprawę, że nie mniej głupie, a ponadto wręcz niehonorowe było to, iż korzysta z pomocy kobiety, którą kocha — i którą będzie musiał zostawić dla innej, gdy tylko spełnią się wszystkie plany.

Zagłębiany w myślach, ponury szedł przed siebie, nie mącąc powszechnego milczenia. Długo trwało, nim zdał sobie sprawę, że słyszy — daleki śpiew... Być może słyszał od dawna, najpierw bardzo cichy, potem powoli narastający. Nie potrafił powiedzieć, w której chwili naprawdę usłyszał.

Przystanął i szybko rozejrzał się dokoła. Brzmiało to jak chór

silnych, męskich głosów... ale może nie, być może nie było śpiewu, a tylko bardzo odległy szum oceanu... Przekrzywiwszy głowę, Baylay próbował zrozumieć, czym właściwie są odległe dźwięki, które słyszy.

Karenira przystanęła także. Baylay dosłyszał niewyraźny, dochodzący jakby zza ściany głos Starca:

— Co słyszycie? Prędko!

— Burzę... — odparła. — Burza nad Wielkimi Równinami...

— Jak się czujesz?

— Dobrze... Normalnie.

— A ty, chłopcze? Co słyszysz?

Baylay chciał odpowiedzieć — i nie mógł. Karenira potrząsnęła go za ramię. Chciał uspokoić ją gestem, lecz wyszło na jaw, że nie umie wykonać najprostszego ruchu. Starzec zbliżył się spieszenie i zajrzał mu w oczy.

— Uderz go! — rozkazał. — Słyszałaś? Uderz go, natychmiast!

Spojrzała z lękiem, zbyt przestraszona, by zrozumieć, czego od niej żąda. Starzec nie czekał, sam wymierzył Baylayowi siarczysty policzek. Poprawił z drugiej strony. Głowa Dartańczyka chwiała się bezwładnie; szeroko otwarte oczy nie miały żadnego wyrazu.

Karenira także trzasnęła go w twarz. Starzec zachnął się.

— A co to miało być? Uderz go! — zawołał, biorąc Dartańczyka pod ramię i siłą ciągnąc za sobą. — Od trzech dni marzysz, żeby mu przyłożyć, a kiedy masz okazję... Ma go boleć!

Idąc obok, zamachnęła się i chlasnęła tak, że Baylay jęknął i ślamazarnym ruchem przyłożył dłoń do policzka.

— Bardzo dobrze, o, jak ładnie! Chłopcze, słyszysz mnie?

Próbował odpowiedzieć, lecz tylko skinął głową.

— Śpiew, czy to jest śpiew?

Uzyskawszy ponowne potwierdzenie, Starzec zacisnął usta.

— To źle — rzekł. — Chodźmy, chodźmy szybko!

Trzymając mężczyznę z obu stron, pociągnęli go za sobą. Sztywno stawiał kroki, zaczął powłóczyć nogami i holowali go z coraz większym trudem. Wreszcie kolana załamały się pod ciężarem ciała.

— Postaw go! — rozkazał Starzec.

Chwyła mężczyznę pod pachy i postawiła na nogach. Lecz stał tylko dlatego, że nadal trzymała; było jasne, że przewróci się

natychmiast, gdy przestanie go wspierać.

— No! — krzyknęła, bardziej jednak ze strachem, niż z gniewem. — Długo jeszcze będę ci matkować?!

— Uderz go! — zawołał Starzec, szukając czegoś w swojej torbie. — To nie są żarty, ma go boleć! Ból czasem pomaga!

Wyciągnął jakiś flakon i otwarty podsunął nieprzytomnemu pod nos. Nie dało to żadnego efektu.

Dziewczyna, wciąż trzymając mężczyznę pod pachami i nie mogąc puścić, bo natychmiast by upadł, odchyliła głowę do tyłu, a potem trzasnęła go czołem w twarz. Wykrztusił coś chrapliwie, z nosa pociekła krew... jednak Armektanka poczuła, że wsparł się nieco na nogach.

Poprawiła czołem jeszcze raz.

Baylay ryknął, wyrwał się i zatoczył.

— Dobrze, łap go! — rzekł Starzec. — Łap i prowadź. Niedaleko jest Martwa Plama, powinniśmy zdążyć... — dorzucił niejasno.

Lecz tamten, chwycony pod ramię, znów zwiotczał i osunął się na ziemię. Rozwścieczona dziewczyna kopnęła go w żebra. Stęknął głucho, lecz tym razem nie oprzytomniał. Kopnęła raz jeszcze, a widząc, że to na nic, pochyliła się nagle, poderwała bezwładne ciało szarpnięciem i stęknąwszy z wysiłku zarzuciła sobie na ramię.

— Gdzie?! — wykrztusiła.

Starzec pokazał kierunek. Z miejsca ruszyła ciężkim truchtem, a potem — prawie biegiem. Bezwładne ramiona mężczyzny tłukły ją po biodrach i nogach. Starzec biegł za nią. Co jakiś czas słyszała odgłos uderzenia i głowa nieprzytomnego uderzała ją w plecy. Biegając, zaczęła stękać, a potem jęczeć z wysiłku. Była silna, jak wilczyca, ale ciało mężczyzny ciążyło jak ołów i zsuwało się z ramienia, traciła wiele sił przytrzymując, by nie spadło. Ciemniało jej w oczach, potknęła się raz i drugi, a potem upadła. Półprzytomna ze zmęczenia, oddychając chrapliwie, pochwyciła bezwładną głowę Dartańczyka i z całej siły przycisnęła do piersi.

— Ocal... słyszysz, ocal go... Jesteś Przy... jętym... Słyszysz? Ocal, słyszysz... ocal mi go...

Pochwyciła dłonie Baylaya, wiotkie, zimne.

— On umiera. Na Szerń, ojczyźnie... Słyszysz mnie? Uratuj go... musisz.

Rozpłakała się nagle i krzyknęła wściekle przez łzy:

— Jesteś Przyjętym, ty przeklęty staruchu! Jesteś nim, czy nie?! Co ci się... co załęgło w chorym mózgu, że nie chcesz... że nie chcesz używać swojej siły? No, co?! Ja cię zabiję, słyszysz mnie?! Jak on umrze... to ja cię zatłukę, zatłukę...

Zaczęła szlochać.

— Ojczy, przecież ty jesteś Dorlan-Przyjęty, Wieki Dorlan... Możesz wszystko, kiedyś oddałeś mi oczy... A teraz?

Gdy milczał, powtórzyła z rozpaczą i bólem:

— A... teraz?...

Pokiwał głową i odsunął ją na bok.

— Dobrze, daj go — rzekł cicho.

Pochylił się, lekko podniósł nieprzytomnego mężczyznę, powiedział coś niewyraźnie — i jak wielka, wystrzelona z działa kamienna kula, pomknął przez powietrze.

*

Baylay zakrztusił się i otworzył oczy. Poraził go blask ogromnego, wynurzającego się zza łagodnych wzniesień słońca. Szybko zacisnął powieki na powrót, ale zdążył jeszcze zobaczyć twarz pochylonej nad nim dziewczyny. Poczował na ustach smak wody, zaczął pić z podetkniętego bukłaka.

— Jak się czujesz?

Odsunął bukłak i skinał głową. Znow otworzył oczy.

— Co to było? — zapytał dość pewnym, prawie normalnym głosem.

— To? — ząartowała, unosząc do góry wór z wodą, którego wylot zawiązywała właśnie rzemieniem. — Gdy piję, to sama nie wiem... Worek z wodą. Ale śmierdzi kozłem, albo nie wiem czym.

— Wiesz... przecież wiesz, o co pytam.

Pomacał ręką, wyczuwając pod potylicą swoją torbę z kłopotami i resztkami prowiantu. Przekręcił głowę w bok i patrzył na kolana siedzącej na podwiniętych nogach dziewczyny.

— Bardzo kształtne... — powiedział. — Jesteś ładną kobietą, Łowczyni.

— Powinieneś częściej słyszeć śpiewy — oceniła zarumieniona.

Przypomniał sobie nagle i na chwilę znieruchomiał.

— Nie wiem, co działo się ze mną...

— Zew Strażników — powiedziała trochę niepewnie. — Na morzu

tak śpiewają syreny... trochę podobnie. Ale nie kobiety, bo to bajka. To są wielkie ryby, tak mówi Dorlan.

— Dorlan?

Skinęła głowę.

Przyjęty stał nieopodal, wyprostowany... i młodszy. Skinął głowę i uśmiechnął się do młodego Dartańczyka, jakby mówił: „Dobrze, już wszystko dobrze”. Baylay przez długą chwilę badawczo, a nawet nieco natarczywie wpatrywał się w znajomą twarz Starca, nie mogąc zrozumieć, na czym polega zmiana.

— Jesteś, panie, Przyjętym — powiedział siadając.

Przyłożył ręce do czoła, czując nagły ból głowy.

— Nie wiem, chłopcze. Być może.

Karenira potrząsnęła głowę, uśmiechając się znacząco. Wiedziała swoje. Ale Dorlan zniecierpliwił się nagle. Podszedł i przysiadł na ziemi obok młodych.

— Nie uśmiechaj się, córeczko, bo nie jesteś mądrzejsza ode mnie. Różne sztuczki można obejrzeć nawet na jarmarkach, a po całym Szererze biegają setki durniów z Porzuconymi Przedmiotami za pazuchą. Dość znać Formułę, by za sprawą tych Przedmiotów wyprawiać różne głupstwa. Twój koci przyjaciel łązi po skałach jak mucha, wspomagając się siłami Geerkoto, zwanego Srebrnym Piórem. Ciemne Pasma, którego odbiciem jest ten Przedmiot, było najważniejszym spośród wszystkich, które wyłoniły z nicości pierwszy szererski rozum, ludzki rozum... Używa się sił tego Pasma, by chodzić po największej kupie kamieni na świecie — i oby tylko do tego! A już tutaj, w Romogo-Koor, każdy kto coś wie o Szerni, może używać i nadużywać jej sił bez Porzuconych Przedmiotów. Czy to wszystko są Przyjęci, twoim zdaniem? Czy to wszystko są Przyjęci? Ci, co wynieśli stąd Przedmioty, żeby łązić po górach, albo ci, co chcą wydawać na jarmarkach ku uciesze gawiedzi niemożliwe i zabawne dźwięki? Jakby sztuki linoskoków same nie były dość ciekawe!

Spojrzała na Baylaya i przygryzła lekko dolną wargę, bo Dorlan gniewał się wcale nie na żarty.

— Po raz drugi w swoim życiu czynię coś, czego czynić nie powinienem. Za pierwszym razem... nie upilnowałem swoich pragnień. Ktoś taki jak ja nie ogląda na codzień młodziutkiej dziewczyny, która nigdy już nie przejrzy na oczy... Ani nie słucha najszczerzych, płynących

prosto z serca słów żołnierza, który przybiegł jej na ratunek i nie zdążył. Litość! Ludzka słabość... Nie umiałem, nie mogłem... ale bardzo w głębi duszy czegoś zapragnąłem, wbrew wszystkiemu, co miałem za słuszne. Lecz dzisiaj jeszcze gorzej: świadomie pofolgowałem swym pragnieniom. A tymczasem twoje oczy, córeczko, i nawet twoje życie, mój chłopcze, wcale nie są ważniejsze od Szerni i jej świata. Ludzie tracą wzrok i umierają, bo tak zbudowany jest ten świat, zbudowany przez Pasma Szerni. Szerer znaczy „świat Szerni” i warto o tym pamiętać. Nie mów mi, córeczko, że jestem Przyjętym, bo „przyjęty” to nie znaczy „taki, co sam się przyjął”, gdzieś, albo do czegoś. To nie ode mnie zależy, czy Pasma uznają mnie za swoją część. A czynię wręcz wszystko, żeby nie uznały. Żeby nie uznały.

Wstał.

— Pójdę teraz porozmawiać z Brulem.

Otworzyła usta, gotowa zaoferować swą pomoc — ale nic nie powiedziała. Jak mogła pomóc w rozmowie dwóch... takich ludzi?

W ciszy patrzyli, jak odchodził, kierując się w stronę pasma niewysokich wzniesień. Trzymając się za ręce, milczeli długo, bardzo długo, bo aż do momentu, gdy prosta sylwetka wędrowca skryła się za grzbietem pagórka.

Karenira westchnęła.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Baylay, z niejakim zdziwieniem oglądając dość znaczną, kolistą przestrzeń, porośniętą trawą, a nawet krzewami, między którymi wił się wąty strumień. W innych miejscach Obszaru roślinność należała do rzadkości.

— Przyjęci mówią o takim miejscu: Martwa Plama. Słyszałam o czymś takim. Powinien wiedzieć o istnieniu takich miejsc każdy, kto idzie do Obszaru. Ty nie słyszałeś?

— Czy to jest to samo, co Dobry Krąg?

— Tak.

— Mówił mi o tym Gold. Tu nie działają siły Złego Kraju, żadne siły.

— To samo powiedział Dorlan.

Odruchowo wrócili na spojrzeniami do miejsca, gdzie zniknął ich towarzysz.

— Dorlan-Przyjęty — rzekł Baylay, zdziwiony i oszołomiony.

— Tak, Dorlan-Przyjęty — powtórzyła jak echo. — Choćby gniewał

się na mnie, to ja jednak swoje wiem... Przyjęty, najpotężniejszy, największy ze wszystkich Przyjętych, jacy kiedykolwiek żyli. Boi się go cały Obszar, krążą o nim legendy. Tyle ich słyszałam w Armekcie! Widywano go w moim kraju już wtedy, gdy trwało Kocie Powstanie. Nic nie słyszałeś?

— Tylko imię. Nie wiem kiedy, ani od kogo.

— Dartan to dziwny kraj.

— To najpiękniejszy kraj na świecie — rzekł z powagą. — Widziałem Armekt i znam niebo nad Równinami, Kareniro. Ale nic nie jest piękniejsze, niż miasta i lasy Dartanu.

— Przecież wy nie umiecie kochać swego kraju. Oddaliście go. Kochacie tylko swoje rody, ważne jest dobro Domu... — powiedziała z powątpiewaniem, wydymając usta. — Areny... Wasze rycerstwo...

— To tak, jakby powiedzieć o Armekcie, że wszyscy tam chodzą nago.

— Nie chodzą... Każdy wie, jak wygląda nagi człowiek, więc nie trzeba tego zawsze ukrywać, nawet podczas kąpieli, bo to głupie... Ale nie chodzimy nago.

— Ależ chodzicie — zaproponował. — Choćby żołnierze.

— Żołnierze, zanim ruszą do bitwy, zwierzają się ze swoich kłopotów i zmartwień, przebaczają sobie nawzajem. Wtedy nagość ma znaczenie... — urwała, bo uśmiechał się lekko.

Przecież dobrze wiedział, jak to jest.

— Rozumiem — powiedziała. — Pokazujesz mi, że inni widzą Armekt tak, jak niektórzy Dartan? Powtarzają tylko to, co zasłyszane? Ale macie przecież te swoje areny, bardzo dużo znaczą dla was rody... ceremonie...

— Tak było. I nadal tak jest, to prawda, i tak być powinno. Ale Armektańscy, którzy przywlekli do nas swoje prawa... czasem głupie prawa, pokazali coś, o czym w Dartanie nikt kiedyś nie miał pojęcia. Wielką dumę z tego, że można zwać się Armektańczykiem, albo Dartem.

— Dartem?

— Dartańczyk to każdy, kto urodził się i mieszka w Dartanie. Ale ja jestem i jednym, i drugim Kareniro. Najpierw Dartem, a więc kimś, kogo przodkowie zawsze żyli w tym kraju. Znikąd nie przybyli. Gdy Szerń nadawała ludziom rozum, pierwsza świadoma myśl moich ojców

zrodziła się gdzieś na Złotych Wzgórzach, które wtedy jeszcze nie nosiły żadnej nazwy.

— Nie wiedziałam o Dartach.

— Zaś u nas nie pamiętano, bo liczyły się Domy i linie rodów. Byle pastuch także wyrósł z ziemi dartańskiej; mienić się Dartem oznaczałoby zrównać się z nim pod jakimś względem. W armektańskich plemionach wszyscy byli wojownikami i wszyscy byli sobie równi, mogli więc wspólnie zwać się Armektańczykami. U nas zawsze było inaczej.

— Skąd wiesz o tym wszystkim? Bardzo dużo wiesz — powiedziała zdziwiona. — To jakbym słuchała Dorlana... I nie boisz się już porównywać z waszym chłopem?

— A czy ty się porównujesz z kimś takim? Nie jestem chłopem. Mój ród należy do najświetniejszych, moi przodkowie okryli się wielką chwałą i położyli ogromne zasługi, pozostając w królewskiej służbie. Nie boję się żadnych porównań i z nikim. Ale właśnie dlatego mogę ci powiedzieć: tak, jestem Dartem, podobnie jak mieszkańcy moich wsi. Różnica polega na tym, że ja jestem kimś, oni zaś nie znaczą nic. Ich krew niewiele jest warta, to tylko śmierdzący płyn. Nikt w tych wioskach nie miał wielkiego przodka, który umiałby zasłużyć sobie na stanie się człowiekiem ważnym i znacznym.

— Tak to widzisz... — szepnęła.

— Małżeństwo z Armektanką — rzekł z niechęcią i odcieniem gniewu — uczy niejednego. Najbardziej uczy nienawiści do pogardy, którą okazujecie całemu niearmektańskiemu światu. Ale uczy też dumy z bycia tym, kim się jest. Kiedyś zapłacicie za tę rozbudzoną dumę.

Zamilkł.

— Ilara... — rzekł nagle. — Przecież on poszedł spotkać się z Brulem. Uwolni ją!

Zerwał się z ziemi.

— Uwolni ją, słyszysz?!

— Słyszę. Usiądź.

— Przyszedłem tu po swoją żonę! Twój Dorlan...

— Poszedł dokądś, nie wiadomo dokąd. Porozmawiać o czymś, nie wiadomo o czym... Wiadomo tylko, z kim. Z innym Przyjętym. Pobiegniesz tam ze swoim mieczem i zaczniesz rąbać tego Przyjętego? — zapytała, zaskakująco chłodna i opanowana. — Nie przyszedłeś tu, żeby

uwolnić żonę, bo to niemożliwe. Przyszedłeś zginąć. Ale nie zginiesz, bo spotkałeś Dorlana i mnie.

Zaczerpnął tchu.

— Przestań — ostrzegła. — I nie mów więcej przy mnie: moja żona. Jeśli chcesz, możesz mówić: Ilara. Ale nie mów moja żona, bo mnie boli, bo to ja powinnam nią być.

18.

Brule-Przyjęty stał na galerii, otaczającej wielką, pustą salę. Patrzył na drobną postać, idącą po splekanych taflach posadzki. Szła tym swoim serdecznie zabawnym, statecznym i rozkołysanym krokiem, uważnie patrząc pod nogi. Bicz włókł się po ziemi.

— Jestem tutaj — powiedział niegłośno, żeby nie przestraszyć dziewczyny.

Spojrzała w górę i rozpromieniła się.

— Panie?

Uśmiechnął się, machnął ręką żeby zaczekała i zszedł na dół po szerokich kamiennych stopniach. Niebываły rozmach, z jakim budowniczo wie Shergardów stawiali swe gmachy, wciąż go zadziwiał. Powody, dla których ten potężny naród skarłał i rozplynął się w innych ludach Szereru, stanowiły może największą zagadkę w dziejach świata.

Podszedł do Ilary, przytulił ją lekko i pocałował w czoło. Ujął w palce podbródek i uniół jej głowę do góry. Zmarszczyła śmiesznie nos i — zupełnie jak rozkapryszone dziecko — powiedziała:

— Nudzę się, pobaw się ze mną.

Z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Musnął palcem różowy policzek. Ośmielona, złapała palec zębami i ugryzła. Nie puszczała, śmiejąc się i mrużąc zielone oczy. Perswadował żartobliwie, odgrażał się, kręcił palcem, ale była uparta. Zmusiła go do zabawy.

— Co więc mam z tobą zrobić? — zapytał wreszcie.

Pokręciła głową.

— Nic? Zupełnie nic? No to, będziesz mnie tak trzymała całe wieki!

Spoważniała nagle i patrząc mu w oczy skinęła powoli. Wzruszyło go to. Wiedziony dziwnym kaprysem powiedział:

— Widzę, dziecko, że dzisiaj jest twój dzień. Proś, o co chcesz. Zrobię

wszystko dla twojego kaprysu.

Puściła palec i patrzyła z tak niezmierną powagą, jakiej jeszcze u niej nie widział.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Pochyliła głowę i cicho, zupełnie cicho powiedziała:

— Żeby... nie bić psów.

Spoglądał zaskoczony.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Co? Dziecko!

Pochylony podbródek zadrżał.

— Ja wiem... że trzeba je bić... Wytłumaczyłeś mi, panie. Ale wytłumacz teraz, że już nie trzeba... Proszę.

Zmarszczył brwi, bo działo się coś niepojętego. Czyżby Formuła Posłuszeństwa osłabła? Było to niemożliwe. Ale skąd w takim razie... jakim sposobem dziewczyna mogła zrozumieć, że od niego zależy, czy coś jest konieczne, czy nie? Że to nie jakaś nadrzędna przyczyna, lecz jego wola stwarza konieczność bicia psów...

Spojrzał na pochyloną głowę. Czyżby płakała?... Poczł bolesny skurcz serca i uświadomił sobie oczywistą prawdę, od której dotąd uciekał: darzył to stworzenie uczuciem, być może ojcowskim, może tylko podobnym — bo nie wiedział przecież, jak wygląda uczucie ojcowskie... Lecz na pewno nie była mu obojętna. Dawno już przestała być tylko narzędziem, potrzebnym do wykonania pewnej pracy. Z całą mocą rozbrzmiało mu w uszach, stale odsuwane na później, pytanie: co pocnie z tym bezbronnym małym człowiekiem, gdy już mu nie będzie potrzebny? Czy przez resztę życia będzie się opiekował półświadomą niewolnicą, zbędną, uciążliwą, powodującą nic więcej, jak tylko wyrzuty sumienia? Czy też raczej uwolni ją i odeśle gdzieś, pozbawiwszy najpierw pamięci? Czy miał na to czas?

Oczywiście — nie miał. Czasu brakowało mu najbardziej.

— Tak, dziecko — powiedział. — Pomyliłem się. Psów nie trzeba już bić.

Przerażona zgodą, długo patrzyła mu w twarz.

— Czy... naprawdę?

— Tak, dziecko. Naprawdę.

Przytuliła się do niego tak gwałtownie i mocno, że prawie stracił

dech. Uśmiechnął się znowu, lecz tym razem był to uśmiech już nie do końca szczery. Wróciły wątpliwości. W jaki sposób zniewolona Formuła dziewczyna mogła prosić o zaniechanie czegoś, co w jej pojęciu powinno być równie nieodwołalne, jak oddychanie, albo jedzenie?

— No, dobrze — powiedział. — Nie ma za co dziękować.

Pogładził piękne, czarne włosy, skażone wąską smużką siwizny. Znak szczególny, symbol drugiej, obcej potęgi, zawieszony nad rubieżą świata. Base-kregheeri, władczyni świata, Armektanka. Miała to od zawsze. Jej błogosławieństwo, a może raczej: jego błogosławieństwo, bo dla niej raczej przekleństwo.

Odsunął ją od siebie delikatnie i jeszcze raz pocałował w czoło.

— Idź już — rzekł. — Powinienem teraz być sam.

Chciała się schylić po leżący na posadzce Bicz, ale nie pozwolił. Sam podniósł go i wcisnął w jej małą dłoń.

— Idź, idź.

Został sam. Przez długą chwilę stał, zamyślony, potem zaczął chodzić wzdłuż ścian. Działo się coś dziwnego. Uświadomił sobie nagle, że od jakiegoś czasu... drży wokół dziwna, obca aura. Cóż to miało oznaczać? W pewnej chwili przystanął, uniósł wzrok... i znalazł wyjaśnienie. Opuściwszy głowę, chodził dalej. Formuła Posłuszeństwa nie osłabła, bo nie mogła. Została po prostu odwołana. Ilara miała wkrótce uwolnić się zupełnie.

— Dorlan-Przyjęty — powiedział niegłośnie. — Odtrącony Mędrzec wrócił do Szerni. Powinienem być się domyśleć. Witaj, Dorlanie, w moim domu.

Dorlan powoli zszedł z galerii, korzystając z tych samych stopni, które wcześniej wyzwoliły u Brula myśli o Shergardach.

— Witaj, Brule — powiedział. — Nie wróciłem do Szerni. Nie wiem, czy przyjęła mnie na powrót.

— To niemożliwe, mistrzu. Musisz to wiedzieć.

— I ja tak uważałem. A jednak nie wiem. Zdaje mi się, że zostałem przyjęty warunkowo... Coś musi się wydarzyć. Albo może czegoś muszę uniknąć.

— Przyjęty warunkowo? O czym mówisz, mistrzu? Czy można być żywym — warunkowo? Lub martwym warunkowo, Przyjętym warunkowo?... Jest się tym wszystkim, albo nie.

— Wydaje ci się, mój chłopcze, że rozumiesz na jakich zasadach Szerń uznaje nas za swoją żywą część?

Sens słów nieomal umknął uwagi Brula — bo Dorlan nie zauważył, że nazwał go „chłopcem”... Stary nauczyciel zapomniał na krótką chwilę, że w Szererze, poza Romogo-Koor, minęły dwa wieki od chwili, gdy pokazywał swemu uczniowi pierwsze Prawa Całości...

— Jestem starcem, mistrzu — rzekł łagodnie. — Zechciej, proszę, nadal mówić do mnie „mój chłopcze”, bo to przywołuje wszystkie najlepsze wspomnienia, jakie mam. Lecz pamiętaj, że to tylko słowa, bo jestem dziś starcem, jak ty. A teraz odpowiem: tak, wydaje mi się, mistrzu, że rozumiem, na jakich zasadach Szerń przyjmuje nas za symbol swoich treści. Założenie, że jesteśmy jak ona, to fundament, na którym opieramy wiedzę o naszej tożsamości. Bez tego nie wiadomo w ogóle, czym lub kim jesteśmy. Czy powiesz mi zaraz, że nie wiadomo w istocie, czy ludzie są ludźmi, bo być może w ogóle ich nie ma, a istnieją tylko świadome emanacje pozbawionych świadomości Pasm?

Dorlan usiadł na jednym z kamiennych stopni Shergardów.

— Przyszedłem porozmawiać, lecz nie o tym — rzekł zmęczonym głosem. — Ale oto na samym początku rozmowy uświadomiłeś mi, że wybrałem się do niewłaściwej osoby... W samej rzeczy, Brule, jesteś starcem, jak ja.

Zaległo krótkie milczenie.

— W czym to przeszkadza?

— Przyszedłem, by przekazać ci mój dorobek. Mój wkład do Księgi Całości dawno już jest ukończony i wiesz o tym lepiej, niż ktokolwiek. Lecz przez ostatnie lata zajmowałem się historią Szereru, a ściśle tą jej częścią, która jest oderwana od Szerni. Przyszedłem, by powiedzieć dawnemu swemu uczniowi, gdzie znajdzie wszystkie moje zapiski. Chciałem usiąść z tobą i przedstawić kilka odkryć, których dokonałem. Lecz zapamiętałem właśnie ucznia, a znalazłem podobnego do siebie starca, który może umrzeć nawet wcześniej niż ja... W jaki sposób możesz zostać wykonawcą mego testamentu? Czy każdy nauczyciel — zapytał z gorzkim humorem — do końca swoich dni pamięta ucznia jako urwisa, do którego zwykł mówić „mój chłopcze”?

— Być może tak właśnie jest... Nigdy nie uczyłem o Szerni, Dorlanie, bo powiedziałaś mi, żebym tego nie robił.

— Być może myliłem się i był czas, gdy nie ukrywałem przed tobą swych rozterek. Lecz zawsze uważałem, że nauczyciel winien przekazywać uczniom same fakty, pozostawiając możliwość wyciągania wniosków. Zaś ty, mój chłopcze... — Dorlan uśmiechnął się, bo spostrzegł, iż ponownie uległ nawykowi — zaś ty, mój najzdolniejszy uczniu, zawsze byłeś zbyt śmiały w stawianiu hipotez, zbyt wiele prawd negowałeś i choć taki niepokój umysłu jest na drodze poznania bardzo wartościowy, to nie u nauczyciela. Nie u nauczyciela. Przestrzegałem cię więc przed obraniem drogi, na którą, jak uważałem, nie powinienes wstępować.

— Wiele się zmieniło, Dorlanie. Dzisiaj to ty właśnie przychodzisz do mnie i podajesz w wątpliwość prawdy fundamentalne.

Stary mistrz pokiwał głową.

— Zaiste. Lecz jednak pomówmy o tobie, nalegam. Przysłałeś mi kiedyś notatki, które... powiem to wprost... zdały mi się zapiskami szaleńca.

— Cóż w nich było szalonego?

— Brak spójności. Pisałeś mi zarówno o potrzebie wychowania następcy, który będzie Przyjętym jeszcze w łonie matki, jak i o nadistocie utożsamiającej dwie skłócone potęgi, Szerń i Aler. To pierwsze jest dość szalone, drugie jeszcze bardziej. Ktoś, kto jest jak sama Szerń, nie może oczekiwać, że powoła na świat istotę będącą tylko jego następcą. Bardzo rzadko zdarza się, że to w ogóle jest człowiek... Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Czy znalazłeś może sposób na wypłukanie tego wszystkiego, czym skaziły cię Pasma? Nie pisałeś mi o tym.

— Znalazłem! — gwałtownie rzekł Brule. — Moja wola! Wiem, że będzie, jak powiedziałem! Nie pytaj, skąd o tym wiem, bo nie zdołasz tego pojąć, mistrzu!

Dorlan milczał przez krótką chwilę.

— Pozwól, Brule, że ci nie uwierzę. Te słowa nic nie znaczą. A jeśli nawet jest jak mówisz, to zamiar wychowania następcy będącego Przyjętym, więc żywą częścią i symbolem Szerni, stoi w sprzeczności z zamiarem powołania istoty, w której stopią się moce dwóch wrogich potęg. Uważasz więc, że zostałeś powołany do godzenia wody z ogniem, Brule? Ty, właśnie ty sprawisz, że dwie siły zupełnie przeciwstawne sobie przyjmą tę samą istotę i uznają ją za swoją, symbolizującą treści

każdej z nich? To szalone. To szalone, nie waham się powiedzieć.

— Powtarzam, iż nie zdołasz pojąć, mistrzu, tego, co ja wiem — w głosie Brula narastał gniew. — Wiem! Tak samo wiem, że żyję i oddycham, myślę, mam świadomość istnienia Szerni, a więc jestem i czuję! Lecz rozumiem, po co przyszedłeś naprawdę i nie zwiedzisz mnie. Chcesz mi ją odebrać!

— Co lub kogo chcę ci odebrać?

— Base-kregheeri. Armektankę poczętą pod niebem Aleru.

— Więc to dlatego! — rzekł Dorlan, powstając z kamiennego stopnia. — Już rozumiem wszystko. Tak, biedny szaleńcze, odbiorę ci ją, jeśli zdołam. Ale nie dlatego, by pokrzyżować twe plany, które i tak spełzną na niczym. Przyszedł do mnie mąż tej kobiety. Człowiek, który dla jej ocalenia pokonał własne ułomności.

Brule miał stłumiony, niewyraźny głos:

— Powiedz, mistrzu, dlaczego obchodzą cię takie małe sprawy? Mam uwierzyć, że przybyłeś do mnie z głębi Szereru, by odzyskać dla kogoś jego żonę? Nazywasz mnie szaleńcem, lecz szalone jest raczej to, co mówisz! Nie, mistrzu, wiem, po co przyszedłeś! Owszem, chcesz mi ją odebrać, lecz dlatego, by moje dzieło nigdy nie zostało zakończone.

— Zarzucasz mi kłamstwo, Brule, a to już jest czysty obłąd. Po co miałbym kłamać? Czy ze strachu?

— Czy chcesz ze mną walczyć, mistrzu?

— Nie. Lecz będę, jeśli to konieczne. Nie znalazłem tu spadkobiercy mojej historycznej wiedzy, bo straciłem poczucie czasu i znaleźć go nie mogłem. Nie wyleczę też twojego szaleństwa. Więc może chociaż uwolnię tę nieszczęśliwą Armektankę i oddam mężowi, który dla niej pokonał przeciwnika znacznie trudniejszego, niż tylko Ciężkie Góry. Własną słabość.

— Jeszcze nigdy w dziejach dwaj Przyjęci nie ruszyli przeciw sobie z takich pozycji — rzekł Brule z nieoczekiwanym spokojem. — Niech będzie nawet, żem szalony. Lecz w szaleństwie swoim próbuję zgłębić tajemnicę wiszących nad światem potęg, do czego, jako lah'agar, jestem powołany. Z drugiej strony ruszasz ty, Dorlanie, gotów użyć mocy Pasm nie dla odkrycia i poznania, lecz wbrew regułom rządzącym światem. Chcesz użyć Szerni do walki ze stworzoną przez nią równowagą? Czy negujesz Prawa Całości?

— Nie wiem, czy jestem Przyjętym — rzekł Dorlan po raz kolejny tego dnia. — By mieć pewność, muszę coś uczynić lub, być może, czegoś nie uczynić... Może chodzi właśnie o sprawę, którą ci przedstawiłem.

— Wybierz zaniechanie!

— Wybieram działanie.

— Proszę, mistrzu, byś nie zmuszał mnie do walki, której nie chcę!

— I ja jej nie chcę. Oddaj mi tę dziewczynę.

— Nie, Dorlanie.

— Więc zmierz się ze mną.

— Nie chcę o to walczyć, mistrzu. Twoje racje nie są warte nawet sporu Przyjętych, nawet sporu! Ty zaś myślisz o walce? To, po co przyszedłeś, to nie jest sprawa Przyjętego, to są sprawy zwykłych ludzi i oni powinni je załatwiać. Niechże mąż tej kobiety upomni się o nią, to jego prawo i będzie miał swoją słuszość!

— Oddasz mu ją wtedy?

— Nie, bo jest mi potrzebna! Lecz uznam jego racje, gdy twoich uznać nie mogę!

Dorlan wyciągnął dłoń.

— Oto moje racje — powiedział. — Niech Pasma Szerni rozstrzygną, czy moja droga jest drogą Przyjętego.

W jego rękę załśniło długie, białe ostrze — broń bliźniaczo podobna do miecza Króla Gór.

— Tarsan, stara broń Shergardów — rzekł Brule, cofając się o krok. — Dobrze więc, walczmy bronią Shergardów we wzniesionej przez nich budowli.

Wyciągnął rękę i natychmiast pojawiło się w niej wąskie, czarne ostrze.

— Oto moje racje, Dorlanie. Czy jesteś gotów na swoją przegraną? Więc niech Pasma przyznają słuszość temu, kto ją ma.

Nie udając ciosu wysunął broń do przodu i pozwolił, by dotknął jej miecz przeciwnika. Biała klinga szerniała w jednej chwili. Brule wyciągnął lewą dłoń; miecz Dorlana wyrwał mu się z ręki, wyprysnął w powietrze i trafił prosto do lewicy gospodarza starej fortecy.

— Gdybyś wiódł ze mną spór z pozycji Przyjętego — rzekł Brule bez triumfu, za to z prawdziwym smutkiem — wynik walki mógłby być inny. Lecz ty postawiłeś się w pozycji zwykłego człowieka i oto Pasma znów

cię odtrącają. Nie zostałeś ponownie Przyjęty, Dorlanie. Odejdź, proszę.

Upuścił czarne miecze na posadzkę; zadźwięczały wysokim tonem. Brule przykląkł nagle i powstał, po raz ostatni oddając hołd swemu nauczycielowi.

— Być może jestem szalony, lecz szalony jako mędrzec Szerni. Odejdź, mistrzu. Twoje dzieło jest wielkie, lecz zostało raz na zawsze ukończone. Teraz już nie wiesz, czym są Pasma i nie możesz być żywym symbolem ich nieożywionej treści.

Dorlan skłonił lekko głowę — i odszedł.

*

Tuliła się do nich z płaczem. Ścisnęła kudłate karki i szyje, drżącymi dłońmi, szlochając, wywijając ogromne uszy... Stały wielkie i nieruchome; nie uciekały, ale też nie odwzajemniały pieśczoć. Dławiąc się łzami zrozumiała, że już nigdy nie pobawi się z psami — bo zdradziła i teraz oczekiwały od niej niezасłużonej kary. W każdej chwili znowu mogła zadać ból, bez żadnego powodu, bo przecież nie rozumiały, że wtedy był powód, ważny powód. Stały jak kamienie, zimne i nieporuszone. Nie mogła już tego znieść; ciągle płacząc zerwała się i niezgrabnie pobiegła przed siebie. Pięścią, kurczowo zaciśniętą na Biczu, rozmazywała łzy na policzkach.

Czuła żal, wielki i straszny żal. Chwytał za gardło i trzymał, trzymał... Życie znowu okazała się nieprzyjazne i wrogie, tak jak wtedy, gdy... Z pamięci zaczęły wypływać jakieś strzępy wspomnień, których jeszcze przed chwilą nie było: Dartan i Armekt... jakiś mężczyzna, bliski i daleki... Próbowała pochwycić te wspomnienia, lecz uciekły spłoszone.

Zatrzymała się, nie mogąc biec dalej. Usiadła na ziemi i — pociągając nosem — patrzyła przed siebie. Minęło sporo czasu, nim zobaczyła, gdzie dobiegła, uciekając na oślep. Przestraszyła się. Brule pokazywał jej to miejsce: dziwny, zbudowany z kamieni labirynt, wiele niewysokich, sięgających do pasa ścian. Przykazywał, żeby nigdy tu nie przychodziła. Chciała wstać i odejść, ale nagle zbuntowała się myśląc, że w końcu nie każde słowo tego starca musi być dla niej święte. Zresztą, nie weszła przecież do labiryntu, była blisko, nic więcej.

Zapatrzyła się w niebo, pogodne, jak niemal zawsze nad Obszarem. Ocierając z twarzy ostatnie ślady łez, czuła wzmagający się wiatr, gorący i duszny, jak rzadko. Wreszcie znużyło ją beczynne siedzenie, więc

ciężko podniosła się z ziemi, chcąc wrócić do ruin, które Brule nazywał domem.

Ale czy to był dom?

Postąpiła tylko kilka kroków...

Wszystko rozegrało się tak nagle, że oprzytomniała dopiero wtedy, gdy zakrwawiony Bicz pieszczotliwie owinął się wokół jej nogi, jakby zapewniając o swej potężnej opiece i prosząc o nagrodę za ocalenie życia. To, co zabił na granicy między cieniem Pasm a światem, unicestwiało swą śmiercią piasek, porywało kłęby gorącego powietrza, przemieniając je w kule zimnego jak lód ognia. Chciała cofnąć się, zdjęta lękiem, jakiego nigdy dotąd nie czuła, nieludzkim i nie z tego świata, przekazywanym jej chyba w jakiś sposób przez konającego Strażnika Obszaru. Nie pojmowała, co czuje i widzi... i czy w ogóle TO czuje i widzi. Serce tłukło się w piersi jak oszalałe, było jej duszno... duszno, duszno! Ciałem targnęła gwałtowny skurcz bólu. Zrobiła mały krok naprzód i uklękła powoli, przyciskając dłonie do wzdętego brzucha. W oczach pociemniało, potworny ból narastał. Krzyknęła. Potem jeszcze raz. Skulona, upadła na bok, wijąc się.

— Brule! Brulee! A!...

*

Dziecko było martwe.

Baylay i Karenira widzieli na południowym wschodzie białe błyskawice i kłęby szkarłatnego dymu, ale nie domyślili się w nich straszego gniewu, żalu i rozpaczki Brula. Dziecko było człowiekiem bez żadnych skaz i zniekształceń, zwykłym ludzkim noworodkiem, noszącym w sobie, być może, moc dwóch potęg zawieszonych nad światem. Ale było martwe.

Martwe...

Czarne Wybrzeże poznało gniew mędrca Szerni, który — nie bacząc na wszystko, co niedawno powiedział swemu dawnemu mistrzowi — używał mocy Pasm do małych, ludzkich spraw: dawał upust nienawiści, rozpaczki i wściekłości. Z hukiem wylatywały w powietrze szerokie nadmorskie wydmy; fioletowy płomień wił się po plażach, roztopiając piasek. Potworni mieszkańcy Romogo-Koor ginęli dziesiątkami — miażdżeni, paleni, rozrywani między cofającym się w skurczach cieniem Pasm, a blaskiem świata. Przetoczył się od morza i pobiegł w głąb ładu

głuchy, niesamowity krzyk, porywając piasek i kurz.

Dotknięta kataklizmem stara forteca Shergardów, od stuleci trwająca tam, gdzie ją wzniesiono, poczęła rozpadać się w gruzy. Resztki starych baszt i murów z hałasem znikały w kłębach kurzawy; pękały posadzki w ciemnych komnatach. Na wspierających sklepienia filarach rysowały się czarne siatki pęknięć...

Potem zaległa cisza. Kurz opadał powoli, zaś pośród jego kłębow zarysowała się niewyraźna sylwetka idącego z pochyloną głową starca.

— Brule! Brule, zostań, błagam! Nie zostawiaj mnie! Brule! Brule!

Nie zatrzymał się. Napłynęły nowe kłęby kurzu i zakryły go zupełnie.

— Brule!!

Krańcowo wyczerpana, nie potrafiła już nawet pełznąć jego śladem. Łzy wyłobily na szarej od pyłu twarzy kręte ścieżki. Jeszcze raz dźwignęła się na rękach, lecz zaraz potem upadła na zimne płyty posadzki — i znieruchomiła.

Kurz opadał, opadał, opadał...

Cisza. Najgłębsza cisza zdawała się opadać razem z kurzem; wraz z nim pokrywała ziemię grubym kożuchem. Milczały powalone mury, pokruszone baszty, popękane płyty dziedzińca... Wraz ze starą fortecą Shergardów, milczało całe Czarne Wybrzeże. Romogo-Koor, miejsce w którym Szerń była najbliżej ziemi, długo miało leczyć rany zadane przez istotę, symbolizującą wszystkie treści Pasm...

Ilara leżała bez ruchu, twarzą do ziemi. Jej czarne włosy pokryły szarobiały pył, gasząc błysk pasemka siwizny. Leżała długo. Dopiero wieczorem, gdy mglisty kurz zastąpiony został przez wilgotny zmierzch, ramiona dziewczyny drgnęły lekko.

— Brule...

Ciężko, bardzo ciężko i powoli usiadła. Strząśnięty z włosów, ramion i pleców kurz zawirował w powietrzu. Zakryła twarz dłońmi i wyszeptała raz jeszcze:

— Brule.

Nikt nie odpowiedział. Zapłakała znowu. Piegi na małej, pokrytej pyłem twarzy przybladły. Zadarty nos poczerwieniał; wytarła go bezradnie rękawem i — ciągle płacząc — wstała. Szła powoli, nierówno, chwiejąc się i zagryzając usta, przytrzymując i czepiając się ścian.

Wydostała się z ruin. Dalej nie szła.

Nie miała dokąd iść.

Nie było nikogo. Ani dziecka, ani Brula... Nikogo. Została zupełnie sama na świecie.

Nie miała swojego dziecka.

Rozpacz dławiała ją. Spod opuchniętych, czerwonych powiek wypływały ostatnie łzy. Osunęła się na ziemię, jeszcze raz załkała spazmatycznie — i znieruchomiała, walcząc z bólem ciała i szukając w duszy powodu, dla którego miałaby żyć.

Nie znalazła. Nie miała swojego dziecka.

Nie miała nikogo — i nic.

19.

Starzec umarł wieczorem.

Tej nocy byli ze sobą po raz pierwszy.

Kochał ją, jak szalenciec. W tej miłości — prawie nienawidził. Za to, że ją kocha, że musi kochać, że podeptała święty cel straceńczej wyprawy, że zabrała mu Ilarę. Nienawidził za spopielenie złudzeń, które w sobie przez tyle czasu nosił, za tę nową, prawdziwą miłość, która zajęła miejsce tamtej, ułomnej. Pragnął jej ciała, pragnął jej całej — z sercem, duszą, umysłem. Było to podłe, było niskie, tak podle niskie wobec tamtego nieszczęśliwego, a przez to czystego kochania. Ilara była obowiązkiem. Więc czymś ważnym i wzniosłym. Zaniedbał obowiązek, by dogodzić ciału i sercu.

Pogrzebali Starca i żadne z nich nawet nie zapłakało, choć był ich wiernym przyjacielem, a ona mówiła doń „ojcze”. Gdy wrócił — był mały i sędziwy. Taki mały, żałosny, bezradny i niepotrzebny. Nie przyjęli do wiadomości jego śmierci, bo tamten Starzec, który rano poszedł rozmówić się z Brulem, Wielki Dorlan-Przyjęty — nie był tym, którego pochowali. Musiał przecież gdzieś żyć, nie mógł wrócić, tak po prostu — milczący, słaby i zgrzybiały. Drżący jak liść staruszek, któremu usypali grób, był zupełnie nikim. Bezdomnym włóczęgą... nikim.

Dali upust swoim dzikim żądzom — nieomal na tym grobie, z dłońmi jeszcze brudnymi od ziemi. Oszołomieni, prawie przerażeni, spieszyli się, jakby to miał być ostatni raz. Gryzła go w usta, w język,

kąsała po twarzy, on zaś ciągnął jej włosy, jakby chciał wyrwać wszystkie wraz ze skórą. Krzyczała z bólu poprzez jego krzyki, bo to, co sobie robili, bardziej było zadawaniem tortur, niż czymkolwiek innym. Tarzali się po ziemi; szorstki piasek to jej, to znów jemu zdzierał skórę z pośladków i pleców; trzymała jego biodra rękami i łydkami, jakby bała się, że mężczyzna zaraz zerwie się i ucieknie. Uniósł ją raz i drugi, by natychmiast znów rzucić na ziemię, przygnieść piersią i dusić całym ciężarem. Gwałtowne zespolenie trwało krótko, zaledwie kilka chwil — i natychmiast zaczęli wszystko od początku. Przeszali krzyczeć, stękali tylko głucho, przeciągle, boleśnie...

Już do końca.

Potem, odrętwiali i wzdychający z bólu, czekali na sen. Zapewne ostatni — ostatni wspólny sen.

*

Lecz zasnęła tylko Baylay. Ona nie potrafiła.

Leżała z otwartymi oczami, półnaga, w poszarpanej spódnicy i patrzyła w niebo — takie samo, jak nad Armektem. W Grombelardzie, nawet podczas najpiękniejszej pogody, nigdy nie było całkiem czyste. Tutaj, poznawała jasne gwiazdy, pamiętane sprzed lat. Im było obojętne, nad jakim krajem i dla kogo świeciły... Szukała w pamięci nazw gwiazdozbiorów, które kiedyś prowadziły konnych łuczników przez równiny. Topór — końcem styliska wskazujący północ... Rumak... Łuk i Strzała... Wilk...

Wstała i ubrała się cicho.

Lekkim, śmigłym krokiem pozerwała mile. Dla muskularnej górskiej kozicy, pokonującej biegiem stromizny, skaczącej po skalnych rumowiskach, równa i otwarta przestrzeń była jak powietrze po wyjściu z głębokiej wody. Nie stawiała żadnego oporu, poddawała się niemal bez walki. Łubie rytmicznie obijało biodro, kołczan tłukł się na plecach. Równy, niezmacony cieniem wysiłku oddech, rozpływał się w rzadkiej ciemności.

Uwolni mu ją, tę Ilarę. Odda. I odejdzie.

Wkrótce dotarła do pasma łagodnych wzniesień, za którymi minionego ranka zniknął Dorlan. Osiągnęła szczyt i przystanęła — bardziej po to, by rozejrzeć się dokoła, niż odpocząć.

Po drugiej stronie pagórków, zalana światłem gwiazd i księżyca,

ciągnęła się kolejna równina. Armektanka nie zdołała dojrzeć niczego, co by mogło być siedzibą Brula. Jednak Dorlan poszedł właśnie w tym kierunku. Może czarna plama, daleko... Czy na pewno było tam coś widać? Łowczyni wspomniała młodą, głupią dziewczynę, która widziała w mroku tak, jak nikt, pokręciła głową ze smutkiem i uśmiechnęła się gorzko... Lecz zaraz powiedziała sobie imię starego legionisty, który oddał wszystko, co miał. Dzięki któremu zobaczyła dzisiaj Topór... Rumaka i Wilka... a nawet niewyraźne Łuk i Strzałę.

Popatrzyła na niebo i wybrała sobie gwiazdę-przewodniczkę.

Nogi poniosły w dół — równo, lekko i szybko.

Biegła wytrwale, aż wreszcie wyraźnie już wyłoniła się przed nią, czarna w szarej nocy, olbrzymia przyzma gruzów, która kiedyś była twierdzą Shergardów, a potem domem Przyjętego. Ruiny piętrzyły się przed nią, coraz większe i masywniejsze, w miarę jak zbliżała się do nich. Minęła żalosne szczątki jakichś zabudowań, które przed wiekami mogły tworzyć przyforteczne miasto, albo służebne podgrodzie; zbudowane z szarej cegły Shergardów domy nie oparły się upływowi czasu tak, jak wzniesione z kamieni zamczysko. Lecz ułożona z wielkich płyt droga wciąż jeszcze była widoczna. Zaniedbany, zniszczony trakt wiódł prosto do bram warowni.

Było cicho, zupełnie cicho. Lecz w tej ciszy obalone baszty i popękane mury, zdawały się jęczeć bezgłośnie. Pokonane, zmiażdżone, były tym straszniejsze — że martwe. Rozkładający się trup olbrzymiej budowli, wstrętny i obrzydliwy, a nade wszystko straszny. Karenira nie wiedziała, jak wielkich zniszczeń dokonał tutaj gniew Brula, lecz pomimo tego zdawało się jej, że cisza rozwalonej warowni nie do końca jest ciszą, zaś martwota — martwotą... Czuła, że to nie tylko minione wieki odcisnęły swe piętno na kamiennych ścianach.

Spadły skądś resztki pokruszonej zaprawy, a za nimi jakieś odłamki kamieni. Zamek — wciąż jeszcze konał. Przestraszona dziewczyna znieruchomiła, a potem szybko sięgnęła po swój łuk, wyjęła strzałę i nałożyła ją na cięciwę. Nasłuchiwała, a potem, omijając bramę, wolno ruszyła ku wielkiej wyrwie w murze. Oto był dziedziniec...

Serce zabiło jej mocniej.

Cisza. Zupełna cisza.

Ściany rzucały cień; w głębokim mroku łuczniczka nie widziała

prawie nic. Pomagał instynkt, wyrobiony w ciągu lat. Obeszła dziedziniec wzdłuż murów, potem zapuściła się w samo serce ruin, wybierając — podobnie jak poprzednio — sporą dziurę w ścianie. Mrok zgęstniał jeszcze bardziej; schowała łuk i wyjęła miecz, bo z tą bronią w ręku łatwiej mogła wybierać drogę po omacku. Potknęła się raz i drugi, omijając jakieś wielkie pryzmy gruzu. Potem zrobiło się trochę jaśniej — zawalony strop wpuszczał światło księżyca i gwiazd. Zaczęła forsować jakieś schody, ale cofnęła się, bo wyszło na jaw, że są zerwane w połowie. Zawróciła.

Brodząc w najgłębszym mroku, to znów przemierzając plamy księżycowego światła, mijała komnatę za komnatą, korytarz za korytarzem. Wreszcie zaczęło jej się zdawać, że jest zupełnie niemożliwe, by mędrzec Szerni zamieszkiwał tak zniszczoną budowlę. Nie znalazła żadnego, choćby jako tako zadbanego miejsca... Człowiek nie mógł mieszkać w kupie gruzów. Rozgniewało ją odkrycie, że zapewne przybyła na próżno, lecz zarazem poczuła ulgę, do której wstydziła przyznać się przed sobą.

— Brule! — zawołała z wojowniczą odwagą.

Przystanęła.

— Brule! Pokaż mi się! Jesteś Przyjętym, czyżbyś bał się armektańskiej łuczniczki?!

Żadnej odpowiedzi. Ruszyła przed siebie, co jakieś czas ponawiając wyzwanie. Przeskoczyła przewróconą, pękniętą kolumnę... lecz za tą kolumną nie było kamiennej posadzki. Uderzyła o coś ciałem, spadając, głos uwiązł jej w gardle, potem było jeszcze jedno uderzenie — i być może usłyszała brzęk swojego miecza, który wypadł z ręki i zsunął się gdzieś po kamieniach...

*

Miała rozbitą głowę i skrzywoną w kostce nogę. Cała była mocno potłuczona, lecz kostka spuchła i chodzenie sprawiało sporą trudność, nie mówiąc o bólu. Ocknąwszy się, dość szybko doszła do siebie, lecz mogła tylko nieporadnie kuśtykać, biegi i skoki przestały wchodzić w rachubę. Oto więc był koniec żalosnej awantury, nieprzemyślanej wyprawy, na którą się udała, powodowana żalem, gniewem i poczuciem, iż traci swojego mężczyznę...

Jeszcze jedna blizna na głowie.

Był już dzień; światło wprawdzie traciło moc i szarzało, przenikając do wnętrza ruin, niemniej widziała wszystko zupełnie wyraźnie. Nocne przeczucie nie zawiodło jej: to była tylko kupa gruzów; na pewno nikt tu nie mieszkał.

Powoli i mozolnie wybierając drogę, unikając wszelkich przeszkód, wydostała się na dziedziniec, a potem poza obręb murów. Wspierając się na łuku, mocno utykając, okrążała gigantyczne rumowisko. Po jakimś czasie, zmęczona, przysiadła na przyzbie kamieni. Tępo wpatrywała się w swój stary, wierny łuk, który teraz zastępował laskę. Zaśmiała się gorzko i nagle poczuła, jak wilgotnieją jej oczy. Żałosna. Była żalosna — w podartym i wymiętym odzieniu, z rozbitym nosem i czołem... Przeciwniczka dla człowieka przyjętego przez Szerń... Zdjęty z opuchniętej nogi but wystawał z łubia; poruszyła palcami brudnej stopy. Tam... gdzieś tam spał, po miłosnej nocy, mężczyzna który dla swojej kobiety poszedł do Obszaru. Znajdzie ją, oczywiście, że ją znajdzie... Nie miała na imię Karenira. Nie była kimś, dla kogo życie zawsze i zawsze ma tylko pustą sakiewkę; kto musi oglądać tylko grombelardzkie niebo, biegać po największej kupie skał na świecie i patrzeć, jak mija młodość. Uroda... Uniosła rękę do oczu, przyglądając się stwardniałym od cięciwy palcom, zniszczonym paznokciom... Na pierś przerzucony był warkocz, nie przeplatany od tygodnia, zakurzony i brudny, że aż przykro patrzeć...

— No — powiedziała z goryczą i gniewem — ten drugi też cię nie chciał, bardzo łatwo zrezygnował, dość że sławetny kocur powiedział jedno słowo... Ale czego chcesz? Wyglądasz jak którykolwiek z jego zbójów, a może nawet gorzej. Umiesz tylko zabijać sępy. Mężczyzna? Nie będziesz miała mężczyzny.

Gorycz i gniew narastały.

— Ale to przecież nie jest wcale dziwne — rzekła wstając i ruszając dalej. — Nikt nie chce głupiej... Po co tu przybiegłaś? Uniesiona honorem, ach tak...

Stara forteca Shergardów nie była domem Przyjętego — uwierzywszy w to, Armektanka nie od razu zrozumiała, co widzi. Nie oczekiwała już... niczego podobnego. Nieruchome, pokryte kurzem ciało miało tę samą barwę, co ziemia, równie zakurzona... Nieomal nastąpiwszy na leżącą, dziewczyna cofnęła się z okrzykiem zaskoczenia — skręcona noga nie wytrzymała trudnej próby i po raz drugi tego dnia

Łuczniczka potłukła się, upadając na nierówne kamienie, a potem bezsilnie zsunęła do zagłębienia, które chyba kiedyś było fosą. Obtarta skóra na dłoniach zaczęła piec; przygryzając usta i walcząc z chęcią wybuchnięcia płaczem, Karenira nie czuła nic więcej, poza wzbierającym żalem, gniewem i rozgoryczeniem. Nie dotarło do niej w ogóle, że skoro znalazła dziewczynę, to może znaleźć także tego, kto ją porwał... Gramoląc się po pochyłości, obolała, dotarła w końcu do podnóża muru.

Widok ciała martwej kobiety po raz drugi uderzył ją z całą siłą — pojęła nagle, co, a raczej kogo widzi. Podpełznąwszy do leżącej, niezdarnie przetoczyła ją na plecy, uważnie, nieomal zachłannie badając spojrzeniem szare od kurzu, bujne włosy, brudną koszulę, gołe nogi i bose stopy... Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co oznacza śmierć tej kobiety.

— Ach, to ty... — powiedziała ochryple i cicho. — A więc to jesteś... to byłaś ty... Taka, tak wyglądasz... Ilara.

Wydało jej się naraz, że słyszy ciche westchnienie, raczej jęk... Zastygła w bezruchu i przełknęła ślinę. Ostrożnie i powoli wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć ust leżącej... lecz cofnęła się, przerażona myślą, że być może poczuje oddech.

Ilara westchnęła po raz drugi i słabo poruszyła głową. Łuczniczka spazmatycznie chwyciła haust powietrza.

— Za... zaczekaj... — powiedziała. — Ja...

Pociemniało jej w oczach. Złapała nieprzytomną pod pachami i chciała gdzieś ciągnąć, wlec... Lecz było to ponad jej siły, skręcona noga przypomniawszy o sobie dotkliwym bólem. Łowczyni bezsilnie szarpnęła koszulę leżącej, chwyciła raz jeszcze i oparła się przedramieniem na szyi tamtej. Znieruchomiła. Chciała cofnąć przedramię... lecz było jak skamieniałe.

— Czekaj... — powiedziała obcym, skrzeczącym głosem. — Ja zaraz... już teraz...

Oddychając ciężko i dygocząc, nie wiedziała co się z nią dzieje. Chciała unieść przedramię, gniotące gardło tamtej — zamiast tego opierała się nań całym ciężarem... Dysząc, mówiła sobie w myślach „teraz... teraz...” — i za każdym „teraz” było jakieś następne. Przygniatała tamtą do ziemi.

„Teraz... nie, teraz...”

20.

Baylay obudził się, tknięty jakimś dziwnym przeczuciem i natychmiast usiadł na ziemi. Przez chwilę patrzył wprost przed siebie, półprzytomny, potem rozejrzał się dokoła.

— Kara?

Cisza.

— Karenira!

Nie było jej. Matowy świt powoli rozjaśniał połacie Złego Kraju; musiały ją zobaczyć, gdyby była w pobliżu.

Zrozumiał nagle, że stało się coś niezwykłego... coś strasznego. Gdzie jest, dokąd poszła? Na wszystkie Pasma... przecież to Obszar. Zły Kraj!

— Kareniro! — zawołał tak głośno, jak tylko mógł. — Karenira! Kara!

Bał się. O nią, nie o siebie. Chociaż — o siebie też. Po raz pierwszy poczuł, jak strasznie opuszczony, samotny i bezradny czuje się człowiek w Złym Kraju, gdy nie ma przy nim żadnej bratniej istoty.

Tylko mogiła. Mogiła przyjaciela, którego śmierci prawie nie zauważył.

Zerwał się z ziemi i pochwycił miecz. Bezimienny Obszar — choćby nawet tak cichy i spokojny — stale był przesiąknięty chłodem strachu. Tego strachu, który najchętniej atakuje samotnych...

Lecz znajomy dotyk rękojeści miecza uspokajał. Wyciągnąwszy broń z pochwy, Baylay oparł się na niej jak na lasce. Gold — kiedyś — mówił mu, że nigdy nie należy tego robić. Wbicie miecza w ziemię było armektańskim sposobem oddania się do niewoli, zaś w Grombelardzie uważano, że niepotrzebne ranienie Gór może spowodować nieszczęście...

Lecz tu nie był Armekt, ani nawet Grombelard.

Baylay spojrział na południowy wschód — tam, gdzie wieczorem widzieli błyskawice i słyszeli grzmoty. To stamtąd nadciągnął wał kurzawy, z niebywałą prędkością przetaczając się przez równinę — pół mili bliżej, a byłby ich porwał. W tamtą stronę, do pasma wzniesień, skierował się Dorlan. Niebezpieczeństwo, które porwało Karenirę, przyszło stamtąd, na pewno stamtąd.

Zapominając o worku z prowiantem, zapominając w ogóle o

wszystkim, Dartańczyk ruszył przed siebie. Pobiegł. Potem, gdy wschodzące słońce wystawiło brzeg tarczy zza odległej diuny — jeszcze przyspieszył, jakby dojrzał znak naglący do pośpiechu.

Biegł i biegł.

Gdy osiągnął grzbiet wzniesień, natychmiast dojrzał w dali czarną plamę, kojarzącą się ze skalnym rumowiskiem, a może ruinami olbrzymiej budowli. Dalej, w tle owej plamy, rozpościerało się morze.

Odpoczywał przez chwilę, wsparty na swoim mieczu. Uspokoiwszy oddech, jeszcze raz otarł pot z czoła — i znów pobiegł. Wkrótce zobaczył, że to, ku czemu zmierza, to istotnie szczątki jakiejś potężnej twierdzy. Potężnej — niegdyś. Ze wszystkich wieżyc, obojętne, jak wysokich przed wiekami, pozostała tylko jedna: czarny, przetrącony kikut, groźnie wymierzony w błękitne niebo.

Przystanął i znów odpoczywał. Lecz naraz wydało mu się, że usłyszał przeraźliwy kobiecy krzyk, dobiegający od strony ruin. Nie, to nie było złudzenie! Mocniej chwycił miecz i cisnąwszy precz pochwę — pognał z wiatrem w zawody.

Krzyczała kobieta, nie miał już wątpliwości. Przeraźliwe wołanie rozbrzmiało ponownie, lecz tym razem splotły się z nim inne głosy, których złowieszcze brzmienie przeszło Baylaya dreszczem.

Nie wydały tych głosów ludzkie gardła.

— Kaaraa!

*

Dysząc ze zmęczenia i bólu, mokra od potu, z jękiem cisnęła na stos ostatni odłam muru i upadła nań całym ciężarem. Oddychała chrapliwie, chwytając powietrze w szeroko otwarte usta. Z przerażenia, wstrętu do samej siebie i zmęczenia, chciało jej się rzygać. Czuła wodnistą, rzadką ślinę, nieustannie napływającą do ust. Zakrztusiła się raz i drugi, lecz w żołądku niczego już nie było.

Była przerażona, śmiertelnie przerażona i wstrząśnięta tym, co zrobiła. Zabijała już ludzi. Ale nigdy... nigdy...

Wtedy, gdy nareszcie oderwała się od Ilary — tamta już nie żyła. Udużona kobieta, zupełnie bezbronna... skulona na ziemi... Ujrzawszy, co zrobiła — Łowczyni posikała się, zakrywając dłonią usta, bo żołądek skoczył jej do gardła. Potem chciała uciekać, ale nogi odmówiły posłuszeństwa; na kolanach, podpierając się jedną ręką, bo drugą wciąż

zaciskała usta, odpełzła na bok i zwymiotowała. Płacząc, szeptała jakieś słowa bez sensu, bo TO już się stało, jedna z tych straszliwych nieodwracalnych rzeczy... nic nie mogło pomóc, nie było odwrotu.

— Ja cię przepraszam, Ilaro! — mówiła z płaczem. — Ja nie chciałam... naprawdę nie chciałam... Nie wiem, jak to się stało...

Długo trwało, nim nabrała dość sił, by wrócić do martwej dziewczyny. Lecz ujrawszy ją, omal nie zemdląca. Znów walcząc z mdłościami, zawlokła drobne ciało między gruzy i, z sercem w gardle, zaczęła pokrywać odłamkami muru. Trwało to i trwało, zaś każdy kolejny kamień dołożony do upiornej mogiły, przypominał o strasznej prawdzie: była morderczynią. Skrytobójczynią. Udusiła bezbronną, nieprzytomną kobietę...

Rywalkę.

Gwałtownie chwyciła powietrze.

Udusiła rywalkę. Dziewczynę, której nawet nie znała. Teraz leżała na jej grobie i dochodziła do siebie.

Wstała wreszcie i zagryzła usta, z trudem opierając ciało na skrzyżowanej nodze. Z pochyloną głową, nieporadnie ruszyła przed siebie — i zamarła, zalana nową falą strachu. Stały przed nią dwa olbrzymie, kudłate psy, Dzwoniły pozrywane łańcuchy, a w głębi potężnych gardzieli narastał złowrogi, głuchy pomruk.

*

Widział je z daleka — i nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko krzyczeć i biec. Dobiegł w końcu, półprzytomny z przerażenia i zmęczenia — i wszystkie siły, jakie mu pozostały, włożył w dwa cięcia miecza; ostrze odrąbało wielką łapę, a potem zgrzytnęło na kręgosłupie. Drugie potworne zwierzę rzuciło się do ataku, ale zdołał nastawić sztych i pies nabił się nań całym ciężarem; ostrze wyszło karkiem. Zmagając z bestią, która jeszcze w agonii próbowała dosięgnąć jego gardła, przywalony cielskiem przekraczającym wagę dorosłego człowieka, resztką sił wywalczył sobie życie. Zgnieciona kłami ręka krwawiła, lecz nie czuł bólu, spychając ogromne ścierwo na bok. Rzucił się ku płytkiej dziurze w kupie gruzów, skąd wystawała okropnie pogryziona noga w podartym na strzępy skórzanym bucie. Krzyczał jak obłąkany, wyciągając dziewczynę ze schronienia, które, jak sądził, było jej ostatnim. Nie wiedział, jak trzymać pokaleczone ramiona i nogi, jak zatamować krew płynącą z

poszarpanego boku. Zapłakał bezsilnie.

— Na Szerń... Kara... Kareńka...

Trzymał bezwładną głowę na kolanach, jak ślepiec dotykał palcami rozbitej głowy i zadraśniętego policzka. Urwany, zduszony jęk i rzęzenie były najpiękniejszymi dźwiękami, jakie usłyszał w całym życiu.

— Zaczekaj! — zawołał. — Na Szerń, czekaj... Czekaj! Słyszysz?! Już jestem... już... Zaczekaj.

Nie przestając zaklinać, by czekała, dygoczącymi dłońmi zrywał zbroję, potem darł na długie i nierówne pasy koszulę, spódnicę, wszystko... Prosił, błagał, przemawiał, obiecywał że już — i opatrywał jej rany, tak szybko i delikatnie, jakby przez całe życie nie robił niczego innego. Skończył wreszcie i próbował ocucić nieprzytomną, ale bez powodzenia.

Potrzebował wody.

Nie miał nawet kropli. Bukłak, prowiant — wszystko zostało w Martwej Plamie, razem z resztą bagaży.

Wypatrzył inną szczelinę niż ta, w której dziewczyna szukała ratunku, nie mając dość czasu, by znaleźć naprawdę bezpieczne schronienie. Zaniósł tam nieprzytomną i zasłonił wejście dużymi odłamkami, bo nie wiedział, czy w pobliżu nie ma więcej psów. Potem porwał resztki swego przyodziewku i pobiegł szukać studni. W warowni musiała być studnia. Jeśli w tej twierdzy ktokolwiek bywał, choćby Brule-Przyjęty — na pewno nie obywał się bez wody.

Po pewnym czasie wrócił biegiem z kłębem mokrych szmat w rękach i wycisnął trochę brudnej wody do jej ust, a następnie potem wilgotnymi strzępami zaczął obmywać krew z twarzy. Znowu pobiegł do studni — i wrócił.

Potem znowu pobiegł. I znowu wrócił.

Epilog

Ocknęła się w miejscu, które przywodziło na myśl sypialnię jakiegoś szalonego zbieracza rupieci... Sypialnię opuszczoną w największym pośpiechu: z licznych skrzyń zabrano chyba tylko niektóre rzeczy, inne pozostawiając. Skrzywiona z bólu, który czuła w każdym kawałku ciała, ostrożnie kręciła głowa na boki, rozglądając się po komnatce. Leżała na

jakimś dość wygodnym i szerokim posłaniu, okryta pyszną wzorzystą tkaniną, jakie wytwarzano w Dartanie. Wszędzie dokoła widać było skrzynie... jakieś półki... Przy oknie stół i wielki fotel.

Przez gładkołukowe okno wpadało światło dzienne. Posłyszała krzyki mew — była więc nad morzem...

Była w twierdzy Brula-Przyjętego.

Wszystkie wspomnienia wybuchły w jednej chwili. Z jękiem zamknęła oczy, chwytając się za głowę. Chciało jej się płakać. Usłyszała skrzypnięcie drzwi i poderwała się przerażona...

— Co robisz! Nie ruszaj się, leż!

Ani głos, ani twarz, którą ujrzała, nie należały do obcego mędrca Szerni. Powstrzymując się od płaczu wyciągnęła ramiona — lecz nagle cofnęła się i skuliła.

— Nie — powiedziała głucho. — Nie dotykaj mnie... Nie dotykaj...

— Ależ dotknę — powiedział stanowczo. — Dotknę tak samo, jak dotykałem przez pięć długich dni. W zamian żądam tylko jednego: masz leżeć i nie męczyć się. Rany są bardzo głębokie, a co gorsza, poszarpane. Mogą się otworzyć. Nie chcesz chyba, by zostały szpetne blizny?

Patrzyła lękliwie — skupiona, pokorna i bardzo nieszczęśliwa.

— Te wszystkie smarowidła czynią cuda — dodał po chwili z nieco dwuznacznym uśmiechem, pokazując niewielkie gliniane dzbanki. — Użyłem tego nie bez oporów... lecz na szczęście użyłem. Wkrótce będziesz zdrowa, Łowczyni.

Przełknęła ślinę i znów zamknęła oczy. On o niczym nie wiedział.

— Lecz te smarowidła i maści! — znowu rzekł z podziwem i zapałem. — Widzisz? — pokazał przedramię. — Po moich pogryzieniach prawie nie ma śladu! Pięć dni!

— Gdzie jesteście? — zapytała cicho. — Uratowałeś mnie przed... psami?

— Zdążyłem. Co ci strzeliło do głowy, żeby... Nie, nie odpowiadaj — rzekł z prawdziwą skruchą. — Będzie czas na to później. Odpoczywaj. Wyzdrowiej szybko, tylko to jest ważne.

Poczuła, że wziął jej dłoń w swoje ręce i choć broniła się słabo — podniósł do ust.

— Bardzo cię kocham — powiedział poważnie i z głębokim spokojem. — I nie mam nikogo oprócz ciebie.

Poczuła ściskanie w gardle.

— Ja też cię... też cię kocham — powiedziała ze łzami; nigdy dotąd nikomu tego nie mówiła. — Ale...

Urwała. Nie potrafiła przyznać się do tego, co zrobiła. Lecz on... jednak wiedział, na pewno wiedział.

„Nie mam nikogo oprócz ciebie”...

— Odpoczywaj — rzekł. — Jesteśmy w starej fortecy nad brzegiem morza. To był kiedyś dom Brula-Przyjętego, znajdujemy się w jego komnacie — dorzucił z głęboką zadumą.

— Nie znalazłam go tutaj.

— Wiem. Był tu i rozmówił się ze mną.

Nie mogła uwierzyć.

— Rozmawiałeś... z Brulem?

Pociemniało jej nagle przed oczami; była jeszcze zbyt słaba, jak na takie wzruszenia.

— Ilara nie żyje — usłyszała i zastygła w bolesnym oczekiwaniu. — Wiem o tym... od niego.

Usłyszała własny głos:

— Wierzysz mu? Co ci powiedział?...

— Nie dzisiaj, Kareniro. Odpoczywaj.

— Powiedz mi. Co ci powiedział?

Baylay odetchnął głęboko.

— Przyszedł tu zupełnie otwarcie... Gotów byłem rzucić się z mieczem, lecz powstrzymał mnie... powstrzymał mnie jednym ruchem. Nie mogłem walczyć, chociaż chciałem. Powiedział... — Baylay znów zaczerpnął tchu — powiedział: „Nie pozwolę zabić się, panie, a ty także nie szukaj śmierci, bo widzę, że masz dla kogo żyć. Zawiniłem, odbierając ci żonę, lecz jej przeznaczeniem była wielkość. Teraz wszystko nieważne”. Tak powiedział, a ja zapytałem, co się z nią stało. Z Ilarą.

— I wtedy... — poddała samymi wargami, bezgłośnie.

— Najpierw niczego się nie dowiedziałem. Bałem się... — Baylay przełknął ślinę — że robi ci krzywdę, bo nie mogłem temu zapobiec, nie mogłem w ogóle nic zrobić, a on najpierw długo patrzył na ciebie, a potem obejrzał rany. Odszukał maści, te tutaj, i kazał mi ich używać. Wtedy jeszcze raz zapytałem o Ilarę. Powiedział... powiedział, że zabił ją pies, królewska suka ze sfory, zazdrosna o względy pana. Lecz,

powiedział, ponieważ to tylko pies, winić trzeba człowieka, któremu brakło rozumu i nie upilnował kochających go stworzeń.

Leżąca na łóżku kobieta pobladła i uniosła ręce do czoła.

— Potem zabrał kilka swoich ksiąg i... poszedł. Minęły cztery dni, ale ciągle zdaje mi się, jakby to było przed chwilą. Pamiętam każdy gest i każde jego słowo — rzekł ze zmarszczonym czołem spoglądając w okno.

Zwrócił wzrok ku dziewczynie — i poderwał się.

— Jak się czujesz... O, na Szerń! — powiedział przestraszony. — Niepotrzebnie mówiłem...

— Potrzebnie — wyszeptała. — Brule...

Przygryzła usta, a potem powiedziała:

— Nie, już nic.

Królowa Grombelardu

1.

Wracała.

Sępia Przełęcz... O, na wszystkie deszcze! „Pogromca”, parszywy zajazd, stojący od lat przy trakcie wiodącym z Armektu i Dartanu do serca Grombelardu, był nieśmiertelny i wieczny jak same góry, jak sam Grombelard chyba.

Sępia Przełęcz. Nigdy nie widziano tu skrzydłaka. Nawet jednego. Nawet całkiem małego skrzydłaczka.

Ale, tak czy inaczej, właśnie od tego miejsca, od Sępiej Przełęczy w Wąskich Górach, zaczął się prawdziwy Grombelard.

Tkwiła w siodle, pośrodku obszernego podworca, otoczonego palisadą. Wzdłuż ostrokołu stały wozy kupieckie. Sporo. Duża karawana. Może dwie?

Otworzyła usta — i zamknęła je zaraz, bo nagle zdała sobie sprawę, gdzie jest. Grombelard. Grombelard, na wszystkie chmury świata! To nie Dartan!

— Ty czekasz, żeby jakiś pacholek przybiegł po twojego konia? — zapytała się głośno, ze zdumieniem. — O, wasza godność... — mówiła sobie dalej — możesz czekać do wieczora. Nikt nie przyjdzie.

W Dartanie, gdzie podróże wysoko postawionych osób zawsze należały do rzadkości, można było znaleźć kiepskie drogi i najgorsze gospody Szereru. Lecz zapewne dlatego, gdy już na podwórzec zajechał człowiek Czystej Krwi — czy ktokolwiek zgoła, byle z jako tako wypchaną sakiewką — gotowa była go witać cała służba, na czele której pospieszał sam gospodarz.

Zeskoczyła z siodła i poprowadziła zwierzę do stajni. Rozkulbaczyła, nałożyła siana do czegoś, co miało być żłobem czy korytem, a przywodziło na myśl trumnę, po czym powstała jeszcze chwilę, medytując.

Na co jej koń? Może lepiej sprzeda go już tutaj? Karczmarz weźmie. Pewnie, że da grosze, ale weźmie. Chciała wprawdzie jechać aż do Grombu, ale teraz pomyślała, że właściwie trakt już ją znudził...

Zwłaszcza taki trakt. Ten trakt. To już może od razu iść w góry? A z tą dartańską chabetą... to chyba lepiej na psie!

„Dartańska chabeta” była pełnokrwistym dereszowatym ogierem ze Złotych Wzgórz. Kosztowała trzy razy tyle, co niewolnik. Ale taki koński magnat dobry był może do parad po ulicach Rollayny. W górach wolałaby chyba bydlę pociągowe, grubokościste, solidne, silne i nie rozpieszczone.

— Nie — znów rzekła na głos. — Miałaś jechać do Grombu! I do Grombu pojedziesz. A może do samego Rahgaru? Byłaś kiedyś w Rahgarze? Nie byłaś. To Pojedziesz. Obejrzyć „morderców”.

W Rahgarze istniał, jedyny w całym imperium oddział gwardii, złożony wyłącznie z kotów. „Mordercy z Rahgaru”. Na wdzięczne miano zapracowali...

Zdała sobie nagle sprawę, że wrócił jej nawyk rozmów z sobą... Kiedyś, gdy samotnie wędrowała po górach, czasami całymi tygodniami nie widząc żywej duszy, mówiła do siebie stale. Ale potem, w Dartanie...

Splunęła powolutku, na samo wspomnienie. Wizyty i uczyty, uczyty i przyjęcia, przyjęcia i wizyty... Ceremoniały i formy. Jedyne, czego jej brakowało w Rollaynie — to chwili milczenia, samotności. Na pewno nie rozmów.

No, ale była w Grombelardzie.

Zarzuciła na ramię sakwy podróżne, a na drugie — sajdak. Stary, dobry łuk. Raczej duży, oparty o ziemię, sięgał jej pod pachę. Coś słyszała, że Garyjczycy mieli kiedyś, jeszcze przed wojną z imperium, łuki wzrostu człowieka, i większe. Ciekawe, czy też cisowe? Jesionowe, orzechowe? Z wiązu? Musiały mieć wielką siłę. Ale tu, w górach w wiecznym deszczu, nie na wiele by się przydała taka... katapulta. Łazić z tym po skałach? A jak to-to zabezpieczyć przed wilgocią? Już ze swoim łukiem miała kłopoty, łubie było grube i ciężkie jak deska, z potrójnej warstwy skór, byle tylko wilgoć nie przenikała do środka. I kryło całą cięciwę, zamiast sięgać do połowy łączyska, jak zwykle.

“Pogromca” był szczególnym zajazdem. Jedyńm chyba w całym Grombelardzie, jaki uchował się poza miejskimi murami. Były kiedyś inne gospody, ale spalili je rozbójnicy. “Pogromca” trwał niezłomnie. Niedaleko był Riks. Komendanci Legii Grombelardzkiej w Riksie, bardzo dbali o tę rudere u bram prowincji. Patrol wojska niemal każdego dnia,

gościł na Sępiej Przełęczy. A i karczmarz trzymał paru chłopów wiedzących, co to kusza. Mógł sobie na to pozwolić; jeśli zbutwiała buda wyglądała tak, jak wyglądała, to na pewno nie dlatego, że właściciel cierpiał na brak gości i był biedny. O, na Szerń, nie było chyba podróznego, który nie zabawiłby tutaj, jadąc w Ciężkie Góry, albo z nich wracając! A już kupcy ze swoimi wozami? Ostatni zajazd na drodze do Riksu, Badoru, Grombu i Rahgaru. Czasem posiedzieli i trzy dni. Zaś ci jadący do Armektu i Dartanu, naprawiali tu rozklekotane na górskim trakcie wozy, podkuwali na nowo muły i konie... Obrotny karczmarzyna miał i kuźnię, a jakże... I kramik ze wszystkim, co w podróży potrzebne. Obszerna palisada chroniła prawdziwy, maleńki gród, skupiający wcale wielu mieszkańców.

Ciekawe, czy mieli tu jaką dziwkę? Córka oberżysty, ani chybi...

W wielkiej izbie na parterze nie było szynkwasu, jak w oberżach armektańskich, czy nawet niektórych dartańskich. Były drzwi do izby obok, zasłonięte wyleniałym jakimś, psim pewnie, futrem. Podchodziło się do tych drzwi i waliło pięścią w ścianę. Wtedy głos zza śmierdzącej skóry pytał: "Czego?!".

Dobrze to znała.

Izba była zatłoczona, jak rzadko. Siedziało czterech żołnierzy (nieco zbójowatych), paru kupców, parunastu kupieckich pachotków, jeszcze kilku podróznym... Z trudem wyszukała wolne miejsce. Obok draba, śmierdzącego jak świnia, śpiącego z ramionami i głową na blacie. Wokół tego samego stołu siedzieli żołnierze — podchmieleni, nie ma co ukrywać. Rzadkość. O legionistach wiele złego dało się powiedzieć, ale w piciu zwykle umieli zachować umiar. Z prostej przyczyny: za pijaństwo na służbie groził nawet stryczek. Do wojska nikogo nie ciągnięto na siłę, chętnych było dość. Ale jak już ktoś przyszedł, to musiał zapamiętać sobie, co cesarskiemu żołnierzowi wolno, a o czym nawet myśleć nie powinien.

Położyła sakwy na ławie i zastanawiała się, czy zostawić też łuk (bo chciała zawołać oberżystę, by dał jej coś do jedzenia). Myślała krótko — w końcu obecność żołnierzy, nawet podpitych, gwarantowała chyba nietykalność jej rzeczy.

Ruszyła przez zatłoczoną, gwarną izbę, ale karczmarz oszczędził jej fatygi. Oto bowiem pojawił się, dźwigając z niezwykłą zręcznością cztery

cynowe półmiski, wypełnione mięsiwem, a pod pachą jeszcze — niemały gąsiorek. Postawił to wszystko na jednym ze stołów, niedaleko niej. Podeszła.

— Tam siedzę — wskazała palcem.

Uniósł głowę i skinął, widząc nową twarz. Wróciła na swoje miejsce. Jeszcze idąc, ze zdumieniem spostrzegła, że jeden z żołnierzy trzyma jej sajdak, mówiąc coś do pozostałych.

Usiadła bez słowa i patrzyła wyczekująco.

— Łuk? — zagadnął legionista.

Cała czwórka patrzyła z ciekawością.

— Topornicy? — zapytała tak samo, wskazując mocne napierśniki, widoczne spod zielonych tunik.

Legia grombelardzka składała się z żołnierzy dwóch formacji: kuszników i tarczowników-toporników. Topornicy — oczywiście tylko przy samych mieczach, bez tarcz i toporów — używani byli raczej do służby miejskiej. Góry i trakt patrolowali zazwyczaj kusznicy.

Żołnierz zarechotał, nie wiedzieć czemu. Rozbawiła też najwyraźniej jego towarzyszy.

— Z daleka, ślicznotko? — zagadnięto znowu.

Spojrzała pytającemu prosto w twarz. Wiedziała, jak niesamowity jest jej wzrok... Legionista jednak był zbyt mocno podпиты, by dostrzec coś więcej, niż wyzywające spojrzenie.

— Nie lubisz cesarskich żołnierzy, ślicznotko, co?

— Żołnierze mnie nie lubią — odrzekła spokojnie.

Najwyższy, ale i najchudszy z całej czwórki, przesuwiał się po ławie w jej stronę, mrugając i łypiąc do kolegów.

— Napij się z nami, ślicznotko — zachęcił znów ten najbardziej rozmowny.

Odmownie odsunęła podetknięty kubek.

Chudy wyciągnął rękę i ujął jeden z jej warkoczy, jakby dziwiąc się jego grubości.

— Czaarnulka... — powiedział, jękając się nieco. — Pewnie zdrożona?

Zamiast oberżysty, pojawił się dziesięcioletni może chłopak.

— Czego? — rzekł do niej uprzejmie, ze śmiertelną powagą.

Miniaturka tatusia, nic dodać.

— Piwa — rzekła krótko, bo pomyślała nagle, że zjeść to tu chyba nie zdoła.

— Obrok dla konia był?

— Był.

— Miejsce w izbie?

— Nie.

Żołnierze znów zarechotali. Chudy wciąż miętosił jej warkocz, ale teraz opuścił łapę, dotykając piersi, ukrytych pod łosiowym kaftanem i koszulą. Nie reagowała, pozwalając obmacywać się bezkarnie.

— Maalutkie — jęknął żałośnie chudzielec, ku ucieście kompanów.

Gadatliwy sięgnął z drugiej strony, poprzez śpiącego na stole draba.

— Maalutkie — powtórzył za jąkałą, wywołując nowe rechoty.

Siedzący przy stołach goście coraz częściej spoglądali w stronę, gdzie coś najwyraźniej się działo. Zauważyła zdziwienie kupców. Taki patrol widzieli, zdaje się, po raz pierwszy.

Ona też.

Teraz już macano ją po brzuchu. Zastanawiała się, czy kościste łapsko dotrze pod spódnicę, zanim chłopak przyniesie piwo.

Piwo było szybsze.

Uniosła gliniany, mieszczący dobrą półkwartę dzbanek, i wypięła duszkiem. Naprawdę była spragniona.

Żołnierz odgarnął fałdy jej krótkiej, męskiej spódniczki i sięgnął pod nią, dotykając włosów łonowych.

Rozwaliała mu garniec na głowie.

Natychmiast potem chwyciła rozbity łeb i trzasnęła nim o blat stołu, miażdżąc nos pośród skorup dzbanka, w kałuży gorzałki, wylanej z przewróconego kubka. Siedzący naprzeciwko topornicy zerwali się z miejsc, ale zaraz polecili do tyłu, przywaleni stołem, który poderwała do góry, jakby ważył tyle, co zydel. Gaduła, siedzący na tej ławie co ona, wyszarpnął miecz. Nie czekała. Pochwyciła sajdak, przeskoczyła przez stół i leżących na podłodze żołnierzy. Sakwy zostały — trudno! Roztrącając ludzi, dopadła drzwi; zaraz potem była na majdanie.

W izbie żołnierze pozbierali się dość szybko — poza chudzielcem, ryczącym z bólu poprzez krew, rozmazywaną na twarzy. Trunek, zdawało się, po części wywietrzał im z głów; z mieczami w dłoniach rzucili się w ślad za czarnowłosą. Gdy tylko wybiegli z izby, goście

stłoczyli się przy maleńkich okienkach i w otwartych drzwiach; śmielsi wyszli nawet na zewnątrz.

Kobieta w łośiowym kaftanie stała pod samą palisadą, przy kupieckim wozie, niedaleko stajni. Łatwo było zgadnąć, że zabrakło jej czasu na okulbaczenie wierzchowca. Lewą ręką trzymała łuk, za łączysko, przytrzymując między palcami nałożony na cięciwę pocisk. Prawą zatykała strzały w ziemię przed sobą.

— Hej! — ryknął jeden z żołnierzy, ruszając naprzód.

Pozostali postąpili za nim. Kobieta uniosła łuk, przyciągnęła cięciwę do ucha i zwolniła ją, jakby mimochodem. Rozległ się wyraźny stuk... żołnierz cofnął się, lecz zaraz zarechotał, pokazując strzałę, która przebiła wprawdzie mundurową tunikę, ale ześlizgnęła się po krzywiźnie toporniczego napierśnika. Miał ją teraz pod pachą.

— Eh, kirys! — zawołała ze złością łuczniczka.

Głos miała lekko zachrypnięty; nie było widać w nim strachu...

Żołnierze z nastawionymi mieczami, ruszyli naprzód, zachodząc ją z przodu i z boków. Zrobili może trzy kroki.

— Gaduło — powiedziała — zakończyłeś patrol.

Strzała przebiła szyję na wylot. Następna, równie niechybna, powaliła drugiego legionistę. Czarnowłosa parsknęła śmiechem widząc rejteradę ostatniego przeciwnika. Znów miała napięty łuk.

Była w Grombelardzie.

Wróciła.

Ciekawscy podróżni szukali schronienia w gospodzie. Legionista chciał uciec razem z innymi, ale w drzwiach utworzył się zator. W futrynie, z ostrzegawczym drzeniem, utkwiała kolejna strzała.

— Wojsko precz! Za palisadę, bo zabiję!

Legionista pomknął ku bramie. Jeszcze raz napięła łuk i ugodziła „wojsko” w tyłek, rżąc jak kobyła. Potem pochyliła się, wyrwała z ziemi ostatnią strzałę, oczyściła grot i schowała. Jeszcze raz pochyliła głowę. Napluła wolniutko na ziemię, patrząc spod oka na opustoszały majdan, z dwoma świeżymi trupami.

— Ładnie to zrobiłaś — pochwaliła się.

Wracała do izby, przydeptując po drodze zwłoki, żeby wyrwać strzały. Każdą wycierała starannie. Wiedziała, że jest pilnie obserwowana, ale bawiło ją to.

Wkrótce stanęła w drzwiach gospody. Wewnątrz panowała cisza.

— Czy ktoś widział kiedyś takich żołnierzy? — zapytała. — Na wszystko, co paskudne w tym kraju, nie jestem jakąś morderczynią... Pytam: widział ktoś, czy nie?

Podróżujący przez Sępią Przełęcz ludzie rzadko należą do typu, pożądanego w dobrym towarzystwie, cokolwiek by to miało oznaczać... Kupiec, czy kupiecki pacholek, musiał umieć pilnować towaru. Szła o zakład, że w całym „Pogromcy” nie było człowieka, który nie potrafiłby użyć kuszy, albo przyłożyć pałką.

— Nie widziałem — rzekł tłusty do nieprzyzwoitości mężczyzna, oglądając się na innych. — Pijanych nie widziałem...

Poparto go powszechnym pomrukiem.

Wszystkie spojrzenia spoczęły teraz na chudzielcu z pokrwawioną twarzą. Tłumiąc jęki, przesuwał się w stronę drzwi.

Ale ona ciągle w nich stała.

— Pojedziemy do twojego komendanta — oznajmiła mu. — Ciekawe, co powie.

Pokiwała palcem, by podszedł bliżej.

— Kim jesteś? — zapytał jakiś głos z głębi izby.

— Ciekawski. Dartańską magnatką — odrzekła, wzruszając ramionami. — Ale rodem z Armektu... A.B.D.Karenira.

Uznano to za dziwaczny żart.

*

Była późna wiosna, czyli — oczywiście — chmury, wiatr i bezustanny deszcz... Choć jak dotąd, dzień był po prostu piękny; dopiero teraz, pod wieczór, zaczęło mżyć. Poprawiła płaszcz na ramionach i nałożyła kaptur. Obejrzała się na jeńca. Rozśmieszył ją wypięty tyłek. Ręce i nogi kołysały się przy końskich bokach, związane i połączone sznurem, przeciągniętym pod brzuchem zwierzęcia.

— Wygodnie ci? — zapytała troskliwie, powstrzymując wierzchowca.

— Dziiiwka... — wyjąkał stękliwie.

— Właśnie nie! — rzekła triumfalnie. — Jakby „dziiiwka”, to byś trzymał łapę, gdzie trzymałeś, a łeb byłby cały! No, tak?

Gdy niosące bezwładny ciężar zwierzę przechodziło obok, wyjęła nogę ze strzemienia i z ogromną przyjemnością kopnęła wystawiony

zadek.

Czuła się świetnie. Najlepiej — od roku z okładem!

Ruszyła, znów wysuwając się przed konia jucznego. Pomyślała, że warto by pokłusować. Riks był niedaleko, niemniej w takim tempie mogła dotrzeć tam rano, albo jeszcze później.

Nie martwiła się, czy otworzą jej bramę. Otworzą, nawet w środku nocy! Chyba nie codziennie ktoś przywozi topornika legii, z siedzeniem godzącym w chmury.

Ale żeby pokłusować, należało zmienić pozycję bagażu. Inaczej pewnie się zsunie.

Walczyła z lenistwem.

— A może niech się zsunie? — rzekła do siebie, ziewając.

Gdzieś z tyłu, na gościńcu, rozbrzmiał odległy tętent. Zbliżał się. Zmarszczyła szerokie, czarne brwi, z których jedną lekko rozdwoiła mała blizna — ale to był tylko jeden koń. Tak czy inaczej, poprawiła na biodrach zdobyczny pas z mieczem, odsuwając nieco płaszcz, by łatwiej móc sięgnąć po broń.

W przedwieczornej, dżdżystej szarówce, postać jeźdźca majaczyła niewyraźnie. Dopiero gdy zatrzymał konia i odrzucił na plecy kaptur peleryny, poznała twarz, którą widziała przelotnie w „Pogromcy”. Mężczyzna miał jasne włosy i zdumiewająco różnobarwne wąsy. Był przystojny, to nie ulegało wątpliwości.

Odchylona w siodle do tyłu, cierpliwie czekała, co powie.

— Co za spotkanie! — powiedział.

Usta otworzyły jej się same.

— Przypadkowe — podsunęła po chwili.

Jasnowłosy uśmiechnął się. Miał sympatyczne zmarszczki koło oczu i bardzo równe zęby.

— No... prawie. Rzeczywiście zmierzam do Riksu. Najpierw do Riksu. Pomyślałem, że może w towarzystwie...

Dotarło do niej, że Kinen trąci w ustach mężczyzny czymś znanym. Odchyliła się jeszcze bardziej do tyłu.

— Dartańczyk — powiedziała niechętnie.

— Dartańczyk — potwierdził ochoczo. — Mało tego, mieszkaniec Rollayny. Halabardnik gwardii u księcia Przedstawiciela... Były halabardnik.

Patrzyła przez chwilę, aż zaczął potakiwać głową.

— Oczywiście, wasza godność. Widzieliśmy się na dworze. Czy też raczej: ja widziałem. Bo kto patrzy na czerwony, wyprężony szpaler w pałacu? Chyba tylko dowódca wart, czy aby który brzuch nie wypięty za bardzo!

Milczała. Spojrzał na związanego legionistę i znów na nią.

— Ale przyznaję, w tym kaftanie i zielonej spódnicy nie poznałem waszej godności. I warkocze... Tam wasza godność miała suknię, wartą mój żołd całoroczny. I kok do samego sufitu. Dopiero to nazwisko, znane chyba w całym Dartanie...

— Kłamałam — przerwała. — Już go nie noszę. Pewnie chciałam wywrzeć wrażenie... albo nawet nie. Z nawyku. I odwał się ode mnie. Wasza godność.

Przygryzł wargę, zmrożony jej tonem.

— Wybacz, pani...

Zatoczyła koniem i ruszyła dalej, do Riksu. Jeniec postękiwał; nagle zaczęło ją to złościć.

Halabardnik dołączył wkrótce. Wstrzymała konia.

— Gościniec jest wąski — rzekła patrząc przed siebie. — Ale za to długi. Przodem. Albo z tyłu. Ale lepiej przodem, i z kopyta.

— Wybacz, pani — powtórzył — nie chciałem...

Swoim zwyczajem, powolutku napluła na drogę, przechyliwszy się nieco w siodle. Nauczyła się to robić w Dartanie — bo wszystkich aż zatykało. Chcieli mieć dzikuskę, no to mieli.

Udał, że niczego nie widzi.

— Po nocy we dwójkę bezpieczniej — zauważył.

Westchnęła mimo woli.

— Co trzeba powiedzieć, albo zrobić, żebyś mnie zostawił w spokoju? Nie po to uciekłam z Dartanu, by wlec go za sobą do Riksu.

— Ale... uciekliśmy oboje, wasza godność — rzekł, jakoś bezradnie.

Jeniec znów zaczął stękać. Uwolniła stopę i uspokoiła go z dużą wprawą.

Koń, posłuszny jej woli, ruszył znowu.

— Grombelard to nie miejsce dla Dartańczyka.

— A dla Dartanki, wasza godność?

— Nie jestem Dartanką! — cisnęła, po raz kolejny ściągając wodze.

— Odczep się nareszcie! Czego chcesz ode mnie?!

— Chcę tylko pomóc...

— Ooo!... — jęknęła.

— Mówiłaś pani — kontynuował pospiesznie — że to wcale nie żołnierze... Mówiłaś do oberżysty, słyszałem! I ostrzegałaś kupców przed dalszą drogą. Nie przechwalam się, ale służba w Gwardii Dartańskiej to nie tylko parady! Co innego legie, ale nas, gwardzistów, szkolą twardo. Wiem, co robić z mieczem, już tam w oberży, chciałem pomóc, ale nie było trzeba...

— Oooo! — jęknęła raz jeszcze, kuląc się w siodle.

— Jesteś pani, niezwykłą kobietą, widzę to! Ale ja także nie chcę być dartańskim malowanym wojakiem, przybyłem tu, bo chcę dotrzeć do Złego Kraju. Gdyby jednak wasza godność przyjęła mnie na służbę...

Poderwała się, jak dźgnięta włócznią w plecy. Zamilkł, bo przez gęstniejący mrok zauważył w jej twarzy coś, jakby nadchodzące omdlenie.

— Podobam ci się, panie? — zapytała swym lekko ochrypłym głosem.

Zaraz potem pospiesznie zszła z siodła.

— Chcesz to zrobić z dartańską magnatką? — pytała, zrzucając płaszcz. — To mnie weź. Teraz, zaraz! Tak jak ci będzie wygodnie. Ale potem odjedź, odjedź prędko. Wszystko, tylko nie Dartańczyk w drodze do Złego Kraju.

Patrzył w osłupieniu, ale ona, pośród wieczoru i mżawki, na nierównej, grombelardzkiej drodze, rozbierała się naprawdę. Gdy na płaszcz upadł kaftan, a zaraz potem koszula, i ujrział drobne, nagie piersi, rozejrzał się, jakby wyglądając pomocy.

— O... — rzekł tępo.

Koń ruszył, od razu dobrym kłusem. Zaplątana jedną nogą w zdjętą już prawie spódnicę, patrzyła za nim. Oddalał się. Wkrótce pochłonęły go ciemność i deszcz.

— Odjechał, naprawdę odjechał — rzekła z niedowierzaniem i ulgą. — Znalazłaś sposób na odstraszanie natrętów... Zapamiętaj go.

Ubrała się pospiesznie, bo było dosyć zimno.

Popatrzyła na jeńca. Co tam... I tak było już zbyt ciemno, by kłusować — po tej drodze.

— Ale — rzekła jeszcze, wskakując na siodło — skoro męczył tak długo, mógł jeszcze te parę chwil... Właściwie jest przystojny. Trzeba patrzeć na halabardników.

Ścisnęła kolanami boki konia.

— Dartańczyk. Dartańczyk w Złym Kraju. Jednak lepiej, że tak szybko pojechał.

Parsknęła szyderczo i gniewnie.

2.

Pospała trochę w siodle. Cud prawdziwy, że jeniec nie uciekł. Może i dobrze by zrobił. Posikał się parę razy... i chyba nawet jeszcze gorzej, a wiatr dmuchał od tyłu, jakoś tak samo prędko, jak szły konie. Jechała pośród fatalnego odoru, skwaszona, i trochę senna. Dartań właściwie miał pewne zalety. Należało do nich łoże, wielkie jak cały Szerer.

— Trzeba było je zabrać — zauważyła półgębkiem.

Późnym rankiem stanęła przed bramą Riksu.

Riks był zlepkiem Armektu i Grombelardu. Armektańska była nazwa. Cała reszta była grombelardzka.

Oto kraj, w którym nie było wcale miast, oprócz pięciu: Grombu, Riksu, Badoru i Rahgaru w górach, oraz portowego Londu, u bram wód Środkowych. Wszystkie te miasta (za wyjątkiem Londu) powstały w ten sam sposób: potężniejszy od innych i bogatszy herszt zbójców, wznosił w górach warownię. W warowni żyli jego ludzie i konie, trzymano też tam kobiety i wiele innych rzeczy. Pod mury twierdzy garnęli się górale z niskich wiosek pasterskich i rozmaitych sadyb, płacąc daninę w zamian za ochronę przed napadami innych band. Nie mieli zresztą wyboru: siedzący w zamku mordercy nie lubili czekać. Warownia, położona przeważnie dość wysoko w górach, nie sąsiadowała z terenami, na których dało się pasać owce. Górale rzucali więc pasterstwo, zasilając oddziały pana twierdzy, albo chwyтали się rzemiosła.

I robiło się miasto.

Takimi miastami były szczególnie Gromb, Bador i Rahgar. Dosyć nisko położony Riks znajdował się bliżej świata. Oznaczało to, że Brol — pierwszy pan zamku (miasto zresztą nazwano najpierw jego imieniem) łupił głównie Dartańczyków i Armektańczyków, ale też handlował z

nimi: prowincje leżały wprawdzie o sto mil, lecz były wcale bogate. Stąd więc w Riksie (Brolu) mniej zajmowano się rzemiosłem, a bardziej kupiectwem. Sprzedawanie Dartańczykom tego, co im wcześniej zrabowano było nie tylko zabawne, ale i opłacalne.

Poza tym jednak Riks nie różnił się wcale od Grombu, czy Badoru. Kamień, kamień i kamień, brunatny, ciężki, brzydki i ponury. Położona o niecałe trzysta mil Rollayna (prawda, że najwspanialsze miasto Szereru) była jak cudo z innego całkiem świata. Jednak chyba najbardziej wszystkie różnice uderzały w Akali, mieście na Potrójnym Pograniczu, gdzie stykały się Dartan, Armekt i Grombelard. Miasto było dziwne, tak jak i jego historia: zaczęli je wznosić Dartańczycy, zdobyli i uczynili obronnym Grombelardzcy; zamieszkiwali zaś głównie Armektańczycy, odkąd nastąpiło Cesarstwo... Stały tam strzeliste, bielone budowle dartańskie, z szybami w oknach — opasane murem z głązów prawdziwych, potwornie ponurym, jak wszystko co grombelardzkie, ale także potwornie trudnym do zdobycia — to również po grombelardzku. Pałacyki, kilkupiętrowe białe domy, w otoczeniu ogrodów, wyglądały kiedyś wytwornie; cóż, kiedy w każdym parku wyrósł jakiś oktagon, czasem otoczony osobnym murem, bo grombelardzki kupiec (kupiec, nie zbój wcale!) tylko w takim domu czuł się bezpiecznie i dobrze.

Patrząc na bramę Riksu, z zębatą broną u sklepienia, po raz kolejny dostrzegła, że Grombelard od Dartanu dzieli przepaść.

No — dlatego właśnie była w Grombelardzie.

Żołnierze z posterunku przy wrotach patrzyli na przytroczonego do konia, półżywego legionistę, z niebotycznym zdumieniem. Dojrzała dziesiętnika, zdaje się — dowódcę posterunku.

— Daj mi jednego człowieka — powiedziała. — Chcę się widzieć z komendantem garnizonu.

— To nasz? — pokazał jeńca.

— No co ty? Nie.

Dziesiętnik, pięćdziesięcioletni kulawy wiarus, z tych, co niejedno w życiu widzieli, szybko otrząsnął się ze zdziwienia. Bez większych ceregieli dał jej żołnierza. Ruszyła stępa, za przewodnikiem.

Właściwie, koszary znalazłaby łatwo sama. Zwłaszcza, że bywała już kiedyś w Riksie (prawda, że przed laty). Ale nie miała ochoty być zaczepiana przez każdy napotkany patrol na ulicach. Poprzedzana przez

człowieka w mundurze, zdawała się tym samym zaświadczać: spokojnie wszystko w porządku; wiozę dziwny bagaż, ale już o tym wiecie.

Bez przeszkód dotarli do garnizonu.

Tęgi mur, oczywiście. Twierdza w twierdzy. Trzy czworokątne baszty i stołp. Dom mieszkalny, stajnie, magazyny, spichlerz i różne budynki gospodarcze. Obszerny majdan, a na nim zadaszona studnia z kołowrotem.

Przed bramą żołnierz zatrzymał się i zamienił dwa słowa z wartownikiem. Zwrócił się następnie do niej, ale jednym gestem dała mu do zrozumienia, że wie, zna, pojmuję i będzie czekała.

Zsiadła z konia.

Zawsze było tak samo. Jeden wartownik czekał; drugi szedł do oficera służbowego, zwykle podsetnika, czasem dziesiątnika. Ten wychodził przed bramę i pytał. Czasem krótko, ale zwykle długo, bardzo długo i dociekliwie. Tak, jakby jego komendant był co najmniej Księciem Przedstawicielem Cesarza...

Inna rzecz, że po Księciu Przedstawicielu, a obok urzędników Trybunału Imperialnego, to właśnie komendanci garnizonów miejskich byli we wszystkich wojskowych okręgach najważniejszymi osobami. A Riks miał status stolicy okręgu wojskowego. W Grombelardzie nie było zwykłych miejskich okręgów.

W masywnej bramie skrzypnęły niewielkie drzwi. Podsetnik. Przyjął zwięzły raport od jej przewodnika i odprawił go.

— W jakiej sprawie?

— Do komendanta garnizonu.

Miała szczęście, bo to był kolejny stary żołnierz. Popatrzył na tobole, który wiozła, a który już nawet nie stękał, potem znowu na nią, obejrzał jej twarz, warkocze i miecz przy boku, a szczególnie sajdak z łukiem przy siodle, po czym zapytał; pozornie bez związku, a tak naprawdę — bardzo rzeczowo:

— Znamy się?

Odetchnęła.

— Znamy. Ale tylko w jedną stronę.

— Jesteś...

— Tak. To ja.

— To chodź, pani.

Wartownicy otwarli bramę. Pomógł jej przeprowadzić konie. Był, oczywiście, zaintrygowany. Prowadził prosto i bez zwłoki, dlatego nie miała za złe, że po drodze pytał:

— To nasz człowiek?

— Wątpię. Znasz wszystkich?

— Prawie. Prócz trzech, czy czterech nowych. Paru przybyło niedawno.

Obejrzał się na częściowo widoczną, pokrytą zakrzepłą krwią i świeżymi strupami twarz jeńca.

— Trudno poznać... Ale chyba nie od nas.

Skinęła głową.

— Dawno o tobie nie słyszano, pani... I dziwne, że ośmielasz się pojawiać w koszarach Legii Grombelardzkiej.

— To mój kłopot.

Zatrzymali się przed wejściem do budynku. Podsetnik wydał krótki rozkaz wartownikowi, wymieniając przy tym jej przydomek.

— Konia zabiorę — rzekł, znów do niej. — A tego...?

— Też. Mam zawlec do twojego komendanta coś, co aż tak śmierdzi? Zabierz i pilnuj go dobrze.

Nawet nie wzruszył ramionami. Powiedziała rzecz oczywistą.

Wzięła swój sajdak i czekała, aż posłany do komendanta żołnierz wróci, by ją wprowadzić. Niedługo to trwało.

Przyjął ją nie komendant, lecz jego zastępca.

— Komendanta nie ma — wytłumaczył krótko. — Słucham.

Opowiedziała o wszystkim. Potem czekała, aż oficer przetrawi wieści. Obejrzała go sobie, w międzyczasie, dokładnie:

Był młody. Powszechnym u oficerów zwyczajem, nosił najzwyklejszą tunikę legionisty. Taka... pozorna niedbałość, nieprzywiązywanie wagi do szarży. Lecz naprawdę było akurat odwrotnie. Wiedziała, jak trudno w czas pokoju o awanse, zwłaszcza w prowincjach. Komendanci garnizonów nie nosili swoich tunik, bo co drugi z nich był ledwo setnikiem, albo — co najwyżej — nadsetnikiem. Pełniącym wysoką funkcję, ale — nadsetnikiem... W całym swoim życiu widziała tylko trzech czy czterech ludzi w białych tunikach, z dodaną barwą prowincji — jednym z nich był zmarły niedawno nadtyśicznik R.W.Ambegen, a drugim tyśicznik Argen, komendant garnizonu w

Badorze. Jej dawny dowódca, skądinąd.

Również nie żyjący od paru lat.

Ten tutaj, mężczyzna w jej wieku, a więc trzydziesto-, trzydziestoparoletni, nie bardzo wyglądał na żołnierza z krwi i kości. Ale nie wyglądał też na durnia. Pochwyciła kilka jego spojrzeń, badawczych, może i niechętnych, a nawet trochę wrogich, ale nie uwłaczających. Wiedział, kogo ma przed sobą i zachowywał się odpowiednio do tego.

— Powiedziano mi, kim jesteś... — rzekł właśnie; zawahał się, ale dorzucił — pani... Czy rzeczywiście? Od jakiegoś czasu nie słyszano o... tej kobiecie.

— O mnie — powiedziała po prostu. — Jestem tą, o której mówisz komendancie. I o której myślisz. A.J.Karenira, Łowczyni. Zwią mnie czasem Panią, a nawet Królową Gór. Lubię to miano, bo mi się należy.

Patrzył przez chwilę, milcząc.

— Jesteś, pani, ścigana przez Trybunał. A więc i przez legie cesarskie. Wyjątkowo... — pokiwał głową — żołnierze zgadzają się z urzędnikami.

Zaprzeczyła.

— Nie, panie. Ścigana? Posądzono mnie kiedyś o sprowadzenie śmierci na oddział żołnierzy. Ale nikt nigdy nie dowiódł, że tak było. Poszli ze mną dobrowolnie, prowadzeni przez swego dowódcę. Zabiły ich sępy, przy próbie uwolnienia kilku pojmanych wcześniej kuszników. Wyniosłam z tego głowę jako jedyna, jeśli nie liczyć dwóch koniowodnych, którzy zostali w połowie drogi. Czy to bardzo dziwne, że tylko ja ocalałam? Chyba nie sądzisz, panie, że nazwano mnie Łowczynią bez powodu?

Patrzyli sobie w oczy. Odwrócił spojrzenie, jak niemal każdy człowiek, z którym skrzyżowała swoje.

— Usprawiedliwiać się więcej nie będę — dorzuciła. — Nie widzę takiej potrzeby. Chcesz mnie, panie, wydać w ręce urzędników Trybunału? Ale ja już z nimi kiedyś rozmawiałam i chociaż zupełnie mi nie wierzą, to zarazem nie mają nawet cienia dowodu przeciw mnie. Wojsko i Trybunał mogą nie wierzyć w cokolwiek. I mogą mnie nie lubić, no trudno. Lecz jestem Armektanką Czystej Krwi i trzeba mi pokazać dowody.

Powstał ze swego miejsca i przeszedł się po komnatce, zimnej,

kamiennej. Wyrzął przez wąskie okno.

— Co mi chcesz powiedzieć, pani?

— Nic. Przywiozłam ci, komendancie, rozbójnika przebranego za żołnierza. Nie wiem, skąd wziął prawdziwy mundur, ale boję się, że któryś z twych patroli nie wróci. Czterej ludzie, podający się za twoich legionistów, wypytywali w „Pogromcy” o palisadę, liczbę pachołków, obejrzeni kram oberżysty i jego piwnice...

— Nie spieszyłaś się jednak zbyt z tymi wieściami, pani.

— Wątpię, by po tym, co tam urządziłam, od razu wzięli się za napaść.

— Pokonałaś, mówisz, czterech ludzi? W zbrojach i z mieczami, z których, jak zaręczasz, potrafią robić użytek?

— Potrafią z mieczy, ale nie z rozumu. Topornicy nie noszą tunik na kirysach; najpierw myślałam, że zmieniły się regulaminy. Ale cały ich ekwipunek, oprócz tunik i hełmów, był tylko podobny do wojskowego. Kirysy też, dlatego je zakryli. Lecz kusz widocznie w ogóle nie mieli, albo mieli niepodobne do wojskowych, dlatego udawali toporników.

— Mądry, albo głupi... Pokonałaś jednak czterech ludzi.

— To furda. Dla mnie to furda, po prostu. Jestem dość ładna, żeby się podobać, i dość silna, żeby przestać.

— Dość pyszałkowata, chciałaś pewnie powiedzieć.

Wstała, wyjmując miecz. Omal sięgnął po swój, ale ona tylko odrzuciła płaszcz na plecy, ujrzał nagie, wystające z podwiniętych rękawów, muskularne przedramiona, spięte teraz; ujęła miecz za dwa końce i bez trudu złamała na kolanie.

— Dość silna — powtórzyła, poprzez wiszący w powietrzu jęk pękniętego żelaza.

Upuściła resztki oręza na posadzkę i rozluźniła nieco wiązanie kaftana, patrząc spod oka. Usiadła na powrót.

Skinął głową. Także potrafił złamać miecz... ale był mężczyzną, a ona kobietą.

Znów popatrzył przez okno.

— Czego oczekujesz, pani?

— Niczego przecież. Jadę w Ciężkie Góry. Jadąc, spotkałam rozbójników. Nie po raz pierwszy i nie ostatni, jak sądzę. Przywiozłam tu jednego, bo mi było po drodze. Teraz idę jeść i spać, bo w „Pogromcy” nie

jadłam i nie spałam. Napiłam się piwa, ale tak łapczywie i pospiesznie, że dotąd mi się odbija.

Wstała.

— Dlaczego to zrobiłaś? Cóż cię właściwie obchodzi ten zajazd, pani? Słyszałem, że widzisz w swoim życiu tylko jedno: sępy.

— Czasem też widzę żołnierzy. Nie zawsze szczególnie bystrych, co prawda... „Pogromca” to jedyny zajazd w tych stronach, mało — jedyny przy całym trakcie, nie licząc tych w miastach. Nocowałam w nim raz i drugi. Może chcę, by było to nadal możliwe?

— Jest to jakiś powód — skinął głową na zgodę.

Stali, znów mierząc się wzrokiem.

— A jednak, pani, chętnie bym cię kazał zatrzymać. Urzędnicy Trybunału zadali ci swoje pytania, ale jestem pewien, że zadaliby je chętnie po raz drugi... Co się stało, że tak długo Grombelard o tobie nie słyszał?

— Podróżowałam.

W drzwiach zatrzymała się jeszcze na moment.

— Wiesz — powiedziała przez ramię — a może ja po prostu was lubię? Całe to cesarskie wojsko? Słyszałeś pewno, że sama w nim służyłam?

Wyszła, a wtedy uniósł lekko brwi.

— Wiesz — powiedział — a może to i dobrze, że wróciłaś? Bez takich jak ty, ten przeklęty Grombelard... to tylko wiatr i deszcz.

*

Znalazła niezłą gospodę przy rynku. Trochę drogą. Ale złota miała dość. Wiele mogła zarzucić swemu byłemu małżonkowi, ale na pewno nie skąpstwo. Dał jej okrągły tysiąc sztuk złota i tego ogiera. Dałby dziesięć razy tyle, gdyby zażądała. Zupełnie nie dbał o złoto.

„Wrócisz” — powiedział z pogardą.

Wzięła złoto i konia, bo jej się należały.

„Zapłata za usługi, które ci świadczyłam — powiedziała mu. — Niezbyt drogo, prawda?”

Pamiętała dobrze, jak krew uderzyła mu do twarzy.

Pojadła solidnie. Znów siedzieli w gospodzie żołnierze, ale prawdziwi tym razem, trzeźwi i uprzejmi. Chociaż podpytywali ją, oczywiście, kim jest, skąd i dokąd zdąża. Tak się składało, że w

Grombelardzie żołnierze byli dociekliwi. Zwłaszcza wobec orężnych, samotnych podróżnych. Uzbrojona kobieta nie była w Drugiej Prowincji czymś szczególnie niezwykłym. Ale jednak, zwłaszcza samotna, zawsze wzbudzała pewną ciekawość.

Wzięła najdroższą i najlepszą izbę. Już stojąc w niej, mówiła do siebie z ironicznym uśmiechem:

— Przywykłaś jednak do wygod, co? No, zobaczymy, jak będzie w Górach. Przez pierwszych parę nocy pod gołym niebem nie zmrużysz oka. Zobacysz.

Rozebrała się do naga, stanęła w szerokim rozkroku, zakładając ręce do tyłu. Pochyliła się mocno w przód, dotykając czołem podłogi. Trwała przez chwilę w tej arcyniewygodnej pozycji, potem przybrała inną, jeszcze dziwniejszą: stanęła na palcach, ugięła mocno nogi w kolanach, wyprostowała tułów. To było tak, jakby siedziała w siodle. Po chwili podskoczyła parę razy i znów: stanęła na palcach jednej nogi, uniosła drugą, zgięta w kolanie i zatrzymała poziomo, na wysokości biodra, odciągając ręką do tyłu.

I stała tak długo, boleśnie napinając ścięgna. Potem zmieniła nogę.

Przypomniała sobie starego człowieka, który przez wiele lat był dla niej ojcem. Przypomniała sobie jego rady i nauki. Głos, który mówił:

„Nogi, Karo. One są najważniejsze. Stoisz na nich, chodzisz i biegasz. Noszą całe ciało. Ręce wciąż odpoczywają, nogi bardzo rzadko. Są silne. Kilka razy silniejsze, niż ręce. Wiedzieli o tym, przed wiekami, wojownicy Shergardów. Dbaj o swoje nogi. Tylko one mogą sprostać ramionom, które będą chciały cię zabić. Tylko one, córeczko. Tylko one”.

Od dziesięciu lat, codziennie niemal, stosowała rady swego opiekuna. Nawet w Dartanie. Jakby wiedziała, że to, co potrafi, jeszcze przyda się w życiu...

Z założonymi do tyłu rękami, znów stała w pozycji, nazywanej „postawą jeźdźca”. Stała długo. Łydki i uda zaczęły drżeć lekko. Na czole pojawił się pot. Gdyby zobaczono ją teraz, niejeden mężczyzna uciekłby ze wstydem. Małe piersi drgały co jakiś czas, zdając się być zbudowane z samych mięśni. Przy zgrabnej figurze (wąska w talii — miała okrągłe biodra i raczej długie nogi), nie miała w sobie nic chyba, jak tylko muskuły i ścięgna. Płaski brzuch był jak wojskowa przeszywanica, noszona pod kolczugą; mięśnie drgały pod skórą, ułożone w wyraźne

redliny. Barki i grzbiet wyglądały aż morderczo. Dziesięć lat włóczęgi po skałach, napinania łuku, biegów z górskimi kozicami w zawody, wspinaczek na pionowe ściany. Dziesięć lat codziennych, dobrowolnych tortur, choćby właśnie porannego albo wieczornego napinania ścięgien, przysiadów z wielkim kamieniem nad głową, lub przed sobą...

Pot zaczął kapać na podłogę. Płynął po skroniach, po bokach, między pośladkami i piersiami. Kropelki ściekały po nogach.

— Starzejesz się — powiedziała, stając normalnie.

Podskoczyła parę razy, by dać ulgę zbolałemu ciału. Potem rzuciła się na poślanie, nakrywając pledami, które szybko wypłyły jej pot. Nie pomyślała o myciu.

Mycie dobre było w Dartanie.

Obudziła się i powiedziała to samo, co tuż przed zaśnięciem:

— Starzejesz się.

Bo było widno. Ranek. Przespała pół dnia i całą noc.

Wyskoczyła spod przykrycia, przeciągnęła się, z zadowoleniem poklepała po okrągłym siedzeniu. Po chwili, już ubrana i z sajdakiem w ręku, szła coś przekąsić.

Opuściła gospodę w strugach deszczu. Lało tak, jak lać w Grombelardzie — zwłaszcza wiosną — powinno. Ulicami płynęły strumienie wody, mknąc ku fosie. Odprowadzony z tej ostatniej nadmiar dżdżu dawał początek wcale ładnej rzeczce, pełzającej między skałami, ku niżej położonym terenom. Siła wody była wystarczająca, by poruszyć całkiem spory młyn, będący skądinąd, również wartownią Legii Grombelardzkiej. Inaczej szybko splądrowano by go i spalono. Tyle mąki i zboża! To miało ogromną wartość.

Brnąc konno przez błotnistą ulicę, dotarła do Wielkiej Bramy (Riks miał jeszcze Bramę Małą, przez którą wjeżdżała). Wkrótce brama, jak i strzegący podejścia do niej barbakan, zniknęły w strugach deszczu za plecami.

Lało coraz potężniej. Jechała pod wiatr i mimo, iż pochyliła się mocno, deszcz moczył jej twarz.

— No widzisz, a chciałaś przeczekać największą ulewę w gospodzie — mruknęła do siebie.

Rzeczywiście chciała, ale przyszło jej do głowy, że jeśli bać się będzie w Grombelardzie deszczu, to najwyższa pora wracać do Dartanu.

— Jazda — powiedziała do konia, ściskając go kolanami.

Pokłusowała rażno przez deszcz.

Właściwie nigdzie się nie spieszyła. Miała czas. Jeszcze jakieś czterdzieści lat, bez mała; zamierzała dociągnąć do siedemdziesiątki. Ale czuła dziwne mrowienie w łądźwiach; pragnęła przyspieszyć rytm życia. Powolne człapanie wierzchowca było zwyczajnie nudne. Wlec się tak? Po gościńcu? Jak długo i po co?

Do Rahgaru! Zobaczyc „morderców”. Ciekawa była, jak też prezentuje się pół setki kocich gwardzistów gadba. W lekkich kolczugach i zielonych tunikach, i w płaskich kocich hełmach z wycięciami na uszy. Hełmach, zakończonych mocnym, żelaznym kolcem, równie morderczym jak grot włóczni.

Przyszedł jej na myśl kocur Rbit, Basergor-Kobal. Książę Gór. Jej przyjaciel (czy jeszcze?) I olbrzymi mężczyzna z krótko przyciętą, jasną brodą. Basergor-Kragdob, król grombelardzkich rozbójników. Przypomniała sobie jedno zdarzenie sprzed dwóch lat i — zarumieniła się jak czternastolatka.

— Ale byłaś wtedy głupiutka — powiedziała sobie z czułym szyderstwem. — Przeklęty Dartan, nauczył cię jednak życia... To co znałaś wcześniej, to był tylko świat. Bez ludzi... no i bez mężczyzn. O, znajdę cię, Rbit! Żeby przeprosić... a potem kopnąć zdrowo pod sam ogon. Może lepiej by było, gdyby Glorm wziął mnie wtedy, a Baylay dowiedział się o tym!

Jechała, z półuśmieszkiem na twarzy.

— A może i nie — dorzuciła, przemierzywszy kolejne pół mili.

*

Pierwsza noc pod gołym niebem grombelardzkim, była taka akurat, na jaką się szykowała. Budziła się kilkakrotnie, przemoczona i zmarznięta. Padać przestało dopiero o świcie. Miała dosyć. Wyżęła porządnie warkocze i mrużąc słówka, jakie w Dartanie wystarczyłyby do wywołania omdlenia paru osób, rozgrzała się, biegając i skacząc do utraty tchu.

— Dlaczego nie wróciłaś do Armektu? — zapytała się z wyrzutem zdyszana. — Pod najpiękniejsze niebo Szereru? Wiosna... Ty wiesz, jak tam teraz wyglądają równiny?

Równiny. Pamiętała je jeszcze...

Zjadła co nieco. Okulbaczyła konia i wkrótce znów była w drodze.

Ujechała może milę, gdy — pośród znów wzbierającego deszczu — usłyszała za plecami pośpieszna klaskanie końskich kopyt, w kałużach i błocie drogi. Spotkania na tym trakcie wcale nie należały do rzadkości, a to z tej przyczyny, że był jedynym traktem w całym Grombelardzie. Ale rzadko kiedy ktoś nim galopował ot, tak sobie, bo konie zbyt często, na owym „bitym gościńcu”, łamały nogi... Nie każdemu tak mało zależało na wierzchowcu, jak jej.

Ujrzała żołnierza. Zdaje się, że dobrego jeźdźca i na dobrym koniu. Wiódł też luzaka.

Obejrzawszy z bliska konia i żołnierza, doszła do wniosku, że luzak zaraz będzie potrzebny. Koń na którym siedział młody wojak, był prawie zajeżdżony. Jeździec zaś — ledwie żywy.

— Galopowałeś całą noc? — zapytała ze zdumieniem, oglądając chłopaka od stóp do głów. Nie miał zbroi, a tylko mundurową tunikę, wprost na przeszywanicy. Był niewysoki i szczupły. Jeden z gońców garnizonu, zapewne; jeden z tych, co to gnają nieraz tym gościńcem rzeczywiście na złamanie karku, dniem i nocą. Powszechnie uważano ich służbę za lekką, nigdy bowiem nie brali udziału w zwyczajnych patrolach i właściwie siedzieli bez przerwy w garnizonie, nic nie robiąc. Do czasu jednak... Mało kto wiedział, jak wielu z tych posłańców łamie ręce i nogi, wylatując z siodła, gdy przewraca się koń w jakiejś dziurze; mało kto słyszał, jak wielu przypłaca gorączką wściekłe galopady.

A ilu takich samotnych jeźdźców zarżnięto po drodze? Dla konia, dla broni, dla zabawy...

Wyżej, w górach, na północ od Grombu poczynając, kurierską służbę pełniły zwykle koty. A dlatego, że gościniec był tam nim już tylko z nazwy. Między Badorem a Riksem telepały się jeszcze, choć z trudem, wozy wypełnione towarami. Ale od Badoru do Grombu i Rahgaru, wóz można było dostarczyć w jeden tylko sposób: w częściach, na grzbietach mułów. A i te zwierzęta nawet, choć tak w górach przydatne, zsuwały się czasem z wąskiej, krętej ścieżki, zwanej nie wiadomo czemu — aż gościńcem.

Mimo tego — tam też czasem jeździli dwunożni posłańcy, na grzbietach swych świetnych zwierząt. Kocich gońców w legiach zawsze brakowało. Mało który czworonożny rozumny miał ochotę przyjmować

na siebie stałe obowiązki i podlegać jakiegokolwiek dyscyplinie.

W takim Riksie kot w ogóle bywał rzadko. A już w legii — całkiem wyjątkowo.

— Pani — rzekł po grombelardzku posłaniec, ledwo dysząc. — Czy ty jesteś jej godność... — na próżno szukał w pamięci imienia; ze zmęczenia uleciało mu z głowy, — Jej godność... Łowczyni, Królowa Gór?

Uśmiechnęła się krzywo.

— Pasterka owiec — zakpiła, ale chłopak spieszył się tak bardzo, że zaraz tego pożałowała. — Co tam? Gonisz mnie?

Potwierdził.

— Mam pismo — rzekł — Ale... czy to na pewno ty, pani?

Tym razem powściągnęła uśmiech.

— Tak. A.J.Karenira.

— Właśnie! — odetchnął z ulgą, usłyszawszy imię, które zapomniał. Wydobył wilgotny zwoik pergaminu, sygnowany pieczęcią Legii Grombelardzkiej.

Rozwinęła go. List był krótki.

Pani! Był napad na Przełęczy. Zajazd częściowo spalony.
Potrzebuję twojej pomocy. Nie rozkazuję, bo nie mogę. Proszę
podpisano:
zastępca komendanta wojskowego Riksu
N.V.Egeden, setnik legii

— No i masz! — powiedziała ze złością.

Nie rozkazuje... Prosi. Co miała zrobić z taką „prośbą”? Wojskowi patrzyli na nią krzywo, a właściwie wrogo, od czasu tej historii w Czarnym Lesie. Mogła teraz, oczywiście, odmówić pomocy. Dać temu szczeniakowi list, żeby się nim podtarł — i tyle. Ale wiedziała, że wkrótce usłyszy o tym cały Grombelard. I już w ogóle nie będzie mogła liczyć na żołnierzy — nigdy i nigdzie.

„No i najwyżej — pomyślała. — Na co mi potrzebni? Tyle tylko, że...”

No, właśnie.

Z legionistami lepiej było trzymać. Prawdę mówiąc, trochę jej ciążyła niechęć wojska. Teraz miała okazję, by poprawić stosunki.

A zresztą — dlaczegóż by nie mogła pokazać co potrafi?

— Co wiesz? — zapytała posłańca. — Oprócz tego, że miałeś mi to oddać?

Znów się spieszył.

— Nic, pani...

Westchnęła.

— Jestem twoim jeńcem — oświadczyła. — Zabierasz mnie do Riksu. Tak tu napisano. Możesz zrobić wszystko, nawet zbić mnie i zgwałcić. Ale koniecznie dowieźć żywą.

Patrzył z prawdziwym przerażeniem. Parsknęła śmiechem i rzuciła mu list.

— Czytaj! — poleciła. — No, czytaj, mówię! Przecież to list do mnie, mogę ci pokazać, co tam napisano.

— Nie umiem, pani — rzekł, czerwony, oddając pismo.

Po raz setny pomyślała, że Grombelard, to jednak nie Armekt. W jej kraju czytać uczono każde dziecko. Jak inaczej mogłoby pojąć tradycje, zaklęte w potędze armektańskiego języka?

— No dobrze. Twój komendant prosi mnie o pomoc. Coś się stało na Sępiej Przełęczy.

Pokazała, żeby przeniósł siodło na luzaka.

— Pierwsze zadanie? — zagadnęła domyślnie, gdy dźwigał kulbakę.
— Czy drugie?

— Drugie, pani — przyznał niechętnie.

— No, to wypełnione wzorowo — pochwaliła. — Jeśli tak dalej, to zanim się obejrzysz, zrobią cię trójkowym. Potem dziesiętnikiem. A potem naucz się czytać. Podsetnik Legii Grombelardzkiej, to już ktoś.

Zauważyła, że był dumny z pochwały. Sprężyście wskoczył na siodło. I naprawdę dobrze w nim siedział.

Ruszyli.

— W Armekcie, przed... no, całkiem niedawno... — machnęła ręką — zaczynałam tak samo. Potem dopiero przenieśli mnie do łuczniczek. Był czas, że strzelałam najlepiej w całym garnizonie. W całej Rinie.

Nie dodała, że... tylko w nocy.

— Podziwiam, jak tu jeździecie. W Armekcie — mówiła dalej — drogi są równe, jak stół. A w co drugiej wiosce posterunek z rozstawnymi końmi.

Raz i drugi zerknął na jej, bardzo mocno skrócone, strzemiona. Zauważyła to.

— Kurierzy tak u nas jeżdżą — wyjaśniła. — Przyzwyczaiałam się...

Naprawdę nic nie wiesz o Sępiej Przełęczy?

— Pojechał tam oddział — rzekł niepewnie. — Wczoraj... nie, przedwczoraj wieczorem. Potem z Przełęczy przyleciał... — wymienił imię, którego nie dosłyszała. — Zaraz potem dowódca wezwał mnie i dał to pismo. Powiedział, że pojechałaś, pani, przez Wielką Bramę. Znaczy — w stronę Badoru. No, tom pognał.

„No, toś pognał — skwitowała w myślach. — I o mały włos nie minąłeś mnie w nocy...”

Zamyśliła się.

Czego mogli chcieć od niej? Miała może gonić jakąś bandę po górach? Poprowadzić oddział? No, to źle trafili. Wąskie Góry i niskie rejony Ciężkich znała słabo. Sępów szukało się koło Grombu, czasem w okolicach Badoru... Tam naprawdę znała każdy kamień.

Chłopak jechał w milczeniu, starannie wystrzegając się spojrzeń, które mogłyby świadczyć, że legendarna Łowczyni to ktoś, kto mu imponuje. Zerknęła spod oka na młodą, okraszoną świeżo urodzonym wąsem twarz, która była teraz — a jakże — twarzą starego wiarusa, co to widział w życiu wszystko, a zabił chyba ze stu rozbójników.

— Ile masz lat? — zapytała.

— Yyydwadzieścia... — zająknął się, zaskoczony.

— Mhm... A naprawdę?

— Siedemnaście, pani — rzekł zgnębiony.

Pokręciła głową. Ale, właściwie — miała tyle samo, wstępując do legii. Jakoś... nie czuła się wtedy zbyt młoda.

Młoda czuła się dopiero ostatnio. I to coraz pilniej.

Uważała, że czas to najgorszy sukinsyn. Wart strzały.

— Możemy szybciej? — zapytała.

Chłopak właśnie otwierał usta; zamknął je pospiesznie.

— Co chciałeś powiedzieć? Śmiało!

— To prawda, że zabiłaś tysiąc sępów, pani? — wyrzucił szybko.

— Tysiąc? — zdumiała się. — No, chyba nie zarobię na twój podziw... Tysiąc sępów? Tyle nie ma! Żeby zabić tysiąc sępów, musiałabym urodzić jeszcze ze cztery setki! Czy ja mogę rodzić sępy? Może razem z jajami?

Pokręciła głową.

— Jakies czterdzieści parę — dorzuciła krótko, po chwili...

zawyżając liczbę o dobry tuzin.

— Czterdzieści? — rzekł rozczarowany. — Przez tyle lat?

Najpierw ją zatkało.

— Dajmy temu spokój, co? — rzekła ostro. — Możesz pogonić te swoje chabety, legionisto od siedmiu boleści? To je pogoń, bo szkoda mi życia na takie kulawe włóczęgi!

Nim dojechali do miasta, chłopak niemal zajeździł jedno ze zwierząt na śmierć. A i tak nie nadążył. Przybyła do Riksu sama.

3.

Jego godność N.V.Egeden, zastępca komendanta garnizonu w Riksie, zachowywał się wobec niej dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy widzieli się po raz pierwszy. Wyczuwała jego niechęć i rezerwę. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ten człowiek wie, czego chce. Od siebie i od niej.

— Jesteś mi potrzebna, pani — powiedział.

— Tyle wiem. Ale mam takie mnóstwo pytań...

— Odpowiem na wszystkie — zapewnił. — Tego samego dnia, kiedy byłaś u mnie, posłałem silny patrol na Przełęcz. Ale już było po wszystkim. Ograbiono podróżnych, spalono stajnię, zabito kilku pachółków.

— To wszystko? — zdziwiła się nieco. — Myślałam, że skoro zajazd zdobyto, zostało tam tylko parę nadpalonych belek na krzyż.

— Chcą wymusić haracz — wyjaśnił Egeden. — To lepsze, niż puszczenie z dymem wszystkiego, raz na zawsze.

— Nie wątpię.

— Wiem niewiele. Ale to nie jest żadna miejscowa grupa rzezimieszków. To banda z wysokich gór. Bardzo liczna.

Uniosła brwi.

— A co z tym jeńcem, którego przywiozłam? — zapytała. — Nic nie wie?

— Umarł.

— Ze starości? Czy od ran nosa?

— Od urzędników Trybunału.

— Daliście go tym rzeźnikom?

Wstał i zrobił parę kroków, przemierzając kamienną komnatkę w tę i z powrotem.

— Tak, jakbym mógł nie dać! — mruknął.

— Powiedział coś?

— Mnóstwo. Aż sklepienie drżało. Tylko nic nie dało się zrozumieć. Co może powiedzieć jąkała ze zmiażdżonym nosem, jeśli odgryzł sobie z bólu język, jeszcze zanim wbito mu zęby do gardła?

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

— Następnym razem, jak wsadzi mi taki łapę między nogi, to jeszcze je szeroko rozłożę — zapowiedziała. — A już na pewno nie będę wlec biedaka przez pół Grombelardu, żeby oddać legionistom. Najwyżej sama mu utnę, co trzeba, i wetknę między zęby. Jeśli nie okaże mi potem samej tylko wdzięczności, to już nie wiem.

— Zdaje się jednak — rzekł oficer — że wiadomo, co to za banda.

— No?

— Był z nimi wielki kot gadba. Nazywali go Kobal.

Prawie wytrzeszczyła oczy.

— Myślisz, komendancie, że to ludzie Basergora-Kragdoba? — zapytała po chwili ze zdumieniem. — Myślisz, że ten kocur to Książę?

— Na to wygląda.

— To śmieszne! — oznajmiła.

— Czyżby? — zmarszczył brwi. — Czemu niby?

— Bo, po pierwsze, Kragdob ściąga haracz z tej nory od dziesięciu lat chyba... Ech, od zawsze!

Oficer osłupiał.

— Z tej, jak i z każdej innej w Grombelardzie, łącznie z tymi tu, w Riksie... ciągnęła.

Prawie rzucił się na nią.

— Co to za łgarstwa?! — cisnął.

— No, komendancie — uspokoiła go. — Opieka wojska oczywiście też jest potrzebna... Przed rzezimieszkami, pijakami... dobrze, ale nie obronicie karczmarza przed Królem Gór. Ani nikogo innego w tym mieście. I w tym kraju. Myślisz, wasza godność, że zwą go królem, bo dowodzi paroma oddziałami zbrojnych? Czemu więc ciebie nie zwą?

Egeden milczał.

— Każdy bogaty kupiec w Grombie i Badorze płaci Kragdobowi. Tu,

w Riksie, jest pewnie tak samo. Kto jak kto, ale komendant wojskowy powinien chyba o tym wiedzieć? Myślisz, panie, że to zbój jak każdy inny? Taki co porywa czasem nawet stado owiec pastuchom? By sprzedać za parę sztuk srebra?

Pokręciła głową.

— Ale przede wszystkim — powiedziała — nie widziałeś nigdy, komendancie, jego ludzi. Gdyby to oni przebrali się w mundury, wyglądałoby bardziej na żołnierzy niż ci, których masz pod komendą. Myślisz, że Glorm otacza się durniami?

— Glorm... — powtórzył. — Znasz go pewnie dobrze, co, pani?

— O... — uśmiechnęła się zalotnie. — Zazdrosny?

Prawie zgrzytnął zębami.

— Prawdę mówiąc — rzekła poważniejąc — wcale dobrze go nie znam. Widzieliśmy się tylko raz, i to krótko. Ale kocur jest moim przyjacielem. Przede wszystkim jednak, znam Góry, komendancie. Nocuję w wysokich wioskach, czasem podwożą mnie kupcy na swych wozach, spotykam żołnierzy, rozbójników i obieżyświatów, bywam w miastach... Wiele widzę i słyszę. Mówię ci, że to nie byli ludzie Basergora-Kragdoba.

Opanował się już.

— Ale w takim razie — rzekł siadając — co to za banda? Trzydzieści głów!

— Aż tyle?

— Aż.

— Jest kilka takich. W okolicach Badoru. Ciekawe to wszystko...

— Na Szerń — pokręcił głową, znów powstając — siedzę tu i rozmawiam z siostrą mleczną tych wszystkich obwiesiów!

— No, wasza godność — wzruszyła ramionami — to nie ja słałam gońca za tobą. Nie jestem, i nigdy nie byłam, rozbójniczką. Mam w górach własne sprawy. Ale chcąc zajmować się nimi, muszę żyć w zgodzie z rozbójnikami, tak samo, jak chcę żyć w zgodzie z żołnierzami.

— To nie do pogodzenia! — zauważył gniewnie.

— Godziłam przez dziesięć lat — odparła spokojnie i popukała w stół. — Czas ucieka. Powiedz mi, panie, wszystko co chcę wiedzieć, a potem pomyślę, czy chcę i mogę ci pomóc. A może mam cię poprosić, byś w ogóle moją pomoc przyjął?

— Nie byłoby to całkiem od rzeczy — potwierdził niespodziewanie.
— Mocno ryzykuję, prowadząc konszachty z osobą... jeśli nie wyjętą spod prawa, to w każdym razie o podejrzanej reputacji.

Wstała.

— Obrażam się — powiedziała z uśmiechem, ale spojrzeniem tak obcym i zimnym, jakie mogła mieć tylko ona; patrzyły na niego ciemnoszare, starsze o trzydzieści lat od reszty twarzy oczy, które nigdy nie mogły być oczami kobiety... Znał historię tych oczu; w Grombelardzie znał ją chyba każdy. Jakie oczy mogła mieć przedtem? Czarne. Pewno czarne, albo zielone, wiele Armektanek miało takie. Ale przede wszystkim — kobiece...

— Poczekaj, pani. Przekomarzam się z tobą. Niesłusznie — uznał swój błąd. — Proponuję układ: dobrowolnie, a co więcej, na ochotnika, poprowadzisz moich ludzi za tą bandą. Tak daleko, jak to będzie potrzebne. Znasz przecież góry, wiesz, gdzie jakie oddziały mają, albo gdzie mogą mieć, swoje kryjówki.

Obejrzała go, jakby był sępem, ale bez dzioba i skrzydeł, za to z marchewką czy pietruszką w szponach.

— Czekaj, wasza godność... Przecież ty wierzysz, że ja widzę w życiu tylko skrzydłaki z gołymi szyjami, a żołnierzy wodzę w paszczę śmierci? A co będzie, jeśli twoje wojsko z kolei wrzucę w przepaść? Albo wypiję z niego krew?

— Pięćdziesięciu ludzi? — zapytał z ironią. — To chyba zbyt wielu, nawet jak dla Łowczyńni.

Popatrzyła uważnie. Czyżby jednak był głupi?

— Największy mędrzec Szereru — powiedziała — przez wiele lat był moim opiekunem i nauczycielem. A znał historię świata, jak nikt inny na świecie Powiedział mi niejedno.

— Co powiedział?

— Choćby to, że podczas wojny o Grombelard, całe kliny i półsetki armecktańskiej piechoty przepadały w Górach, prowadzone przez zdradzieckich przewodników... Tak, jak tu stoję — wspięła się na palce i zakołysała — zaświadczam, że to możliwe.

— To byli Armecktańczycy. Ludzie zupełnie nieznaną Gór.

— Prawda. Ale wiedli ich jacyś tam przewodnicy... Nie ja.

— Co mi chcesz udowodnić, Łowczyńni? Dobrze: przede wszystkim

nie wierzę, że celowo przyczyniłaś się do zguby tych żołnierzy z Grombu. Prawdę mówiąc, ta historia to jedyna skaza na twojej górskiej legendzie... Nigdy nie wchodziłaś nikomu w drogę. Tępiłaś tylko sępy. Twoja rzecz. I nawet godna poparcia.

Jednak był głupi. Może nie do końca — ale był... Pomyślała, jak to jest, że najchętniej wierzy się w to, w co wierzyć akurat wygodnie.

— Kto prowadzi ten oddział? Ty, komendancie?

— To niemożliwe. Jestem tu sam, z dwoma podsetnikami. Prawie wszyscy oficerowie wezwani zostali do Grombu... ale to już nie twoja rzecz, pani. Jeszcze raz będę całkiem szczerzy: to pech, że spalono „Pogromcę” właśnie teraz, kiedy ja dowodzę garnizonem. Rzecz jasna, formalnie nikt mi niczego nie zarzuci. To nie moja wina. Tyle tylko, że za miesiąc lub dwa, przeniosą mnie na jakieś podłe stanowisko „w celu zaznajomienia z różnymi warunkami służby”... Nie mam nic do stracenia. Ta banda musi zostać rozbita. Zresztą nie tylko dla mojej kariery. Obojętne mi, co sobie o tym myślisz, ale służbę traktuję poważnie. Jestem tu, by zapewnić spokój. A jeśli to niemożliwe, ukarać tych, co go zakłócają. Gdy pomoże mi w tym złodziej, to się z nim sprzymierzę. Jeśli ładacznicą, to też. A jeśli ty, to tym lepiej, bo nie mam cię ani za jedno, ani za drugie.

— To miłe — rzekła rozbawiona. — Tym większa szkoda, że układ jest nie do przyjęcia.

— Nie zapytasz nawet, pani, co mam do zaoferowania?

— Zapytam. Co takiego?

— Jeśli wyprawa się powiedzie, zadbam, by we wszystkich garnizonach usłyszano o twoich zasługach. Warto chyba?

— Uuaa!... Wcale nie wiem. W oczach górali będę odtąd szpiegiem Legii Grombelardzkiej... Mogę zabić dwóch czy trzech rozbójników w gospodzie. Jeszcze ich herszt, jeśli nie jest głupi (a nie jest pewnie, bo głupi rzadko bywa hersztem) przeklnie durniów, którzy się upili, wykonując zadanie, i weszli w drogę Pani Gór. Ale czym innym jest wodzenie legionistów tropem bandy. To nie moja sprawa. Każdy tak powie. I z łowczyni stanę się zwierzyną. A cóż będzie, jeśli się nie uda ta wyprawa? Wciągną nas w zasadzkę, wymordują połowę, albo wszystkich... a łowczyni znów wyniesie z tego głowę? Będą mnie ścigać już wszyscy: i żołnierze, i zbójce? Dziękuję, wasza godność. Zaszczyt to dla

mnie — ale nie.

— Więc mi nie pomożesz — stwierdził sucho.

— O...! — zmarszczyła nos, pokazując zęby. — Tego nie powiedziałam. Czemu wojsko nie miałoby mnie chociaż trochę polubić? Skoro ja tak bardzo kocham wojsko?

*

Fanfary, bębny i chorągiew Legii Grombelardzkiej rzeczywiście nie były jej potrzebne. Jeśli każdy dziesiętnik zacznie nagle sławić dzieje wyprawy, co to pobiła grupę rozbójników, a pomogła w tym Łowczyni... to już lepiej chyba, żeby wróciła od razu do Dartanu. W czułe ramiona małżonka. W miękkie aksamity. W rozkoszne poduchy. W marmury.

W całe to łajno po prostu.

“To nie może tu wisieć, Kara”

“Mój łuk? Nie może wisieć w mojej sypialni? To co mam z nim zrobić, powiedz mi. Gdzie, w takim domu, trzyma się broń?”

“Nie w takim domu. W naszym domu, Karo. Tu broń, wreszcie, nie jest nam potrzebna. Wiesz, że też przywykłem do miecza. Ale nie we własnym domu przecież.”

Poklepała lekko sajdak, zawieszony przy siodle.

— Przepraszam cię za to — powiedziała tkliwie.

Nie zsiadając z konia, załomotała pięścią w bramę. Skrzypnęło małe okienko, odemknięte energicznym szarpnięciem. Ukazała się w nim jakaś twarz, po czym bramę otwarto.

Zajazd wyglądał tak, jak powiedział Egeden. Właściwie nie bardzo ucierpiał. Tyle tylko, że stajni nie było.

Z gospody wyszedł na jej spotkanie podsetnik, w pełnym uzbrojeniu. Pomimo hełmu, łatwo poznała w nim starego żołnierza, który wprowadził ją na teren garnizonu. Pozdrowił ją wojskowym skinieniem. Odpowiedziała w ten sam sposób, za śmiertelną powagą. Prawie się uśmiechnął.

— Zaraz za mną — poinformowała zsiadając z konia — jedzie czterdziestu dzielnych legionistów. Będą tu wkrótce. Zdaje się, że mówię z dowódcą armii.

Popatrzył z powracającą powoli, skrywaną niechęcią.

— Jak to jest, pani, że wiesz o rzeczach, które cię obchodzić nie powinny?

Kiwnęła głową.

— Wyjaśnię. Niech ktoś zajmie się moim koniem, dobrze? Jest tu jakieś miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać?

Niedługo potem oddała mu pismo od Egedena. Przeczytał i bez entuzjazmu, ale wyczerpująco, opowiedział jej o wszystkim, o czym chciała wiedzieć.

4.

No, teraz to już nie było człapanie. Gnała traktem — jak kurierka legii właśnie. Odpoczęła trochę w Badorze, a potem już nieco wolniej, kłusem i stępą na zmianę, pojechała dalej, do Grombu.

Bandy na trakcie nie spotkała. A mogła. Mało prawdopodobne, by rozbójnicy przedzierali się przez góry, od samej Sępiej Przełęczy. Chociaż... nie znała przecież ich planów. To, że byli z wysokich gór, nic nie oznaczało. Mogli zdążać dokądkolwiek. Choćby w przeciwnym kierunku, na przykład na Potrójne Pogranicze.

Ciekawa była, jak wojsko weźmie się do dzieła?

Grombu nie lubiła. Tak naprawdę, to nigdy nic dobrego ją tu nie spotkało. Nic złego, niby, też nie... Zresztą, niezależnie od wszystkiego, było to miasto, które odwiedzała najczęściej. W promieniu dwudziestu paru mil od Grombu prowadziła zwykle swe łowy.

Znała pewne nazwisko... to znaczy, znała je kiedyś. Zapomniała. Ale wiedziała, że człowiek, który je nosi, jest w Grombie znany. Miecznik. Jego ostrza cieszyły się wielkim uznaniem.

No tak. Ale nie była w Grombie od dawna. A i wcześniej, nigdy nie szukała okazji do spotkania z tym człowiekiem.

Czy nic się nie zmieniło?

Zapytała w oberży.

— Miecznik? — oberżysta dziwił się, jakby pierwszy raz słyszał o takim zawodzie... — Miecznik... — dumiał głęboko.

Podsunała mu pół sztuki srebra.

— Miecznik — powtórzyła wyraźnie. — Taki, co robi miecze. Fach w Grombie zupełnie nieznan. Przy każdej ulicy mieszka dwóch przynajmniej. Nie licząc Żelaznego Zaułka.

Oberżysta poznał, że kobieta zna Grombelard i sam Gromb nie tylko

ze słyszenia.

— Nie zrozumiałem, pani... — burknął. — Słabo rozumiem Kinen.

— Miecznik — rzekła tym razem po grombelardzku; miała wyraźny armektański akcent, ale miejscowy język opanowała nieźle, trudno było wątpić. — Potrzebny mi najlepszy miecznik w Grombie. Cóż, teraz powiesz pewnie, że mam złą wymowę?

Cisnęła mu drugą monetę.

— Ale mam też dobry humor... jeszcze. A więc?

— Mieszka tu kilku znanych — obłaskawiła go nieco.

— Najlepszy, człowieku. Czy znasz znaczenie słowa „najlepszy”? Powiedz, karczmarzu, czy jesteś taki głupi, czy taki chciwy? Powiedz wprost, a może wreszcie się dogadamy?

— A jeśli chciwy? — zagadnął rezolutnie.

— Lubię to! — ucieszyła się. — To za szczerłość...

Wytrzeszczył oczy na widok potrójnej sztuki złota.

— ...a to za mój stracony czas — skończyła, waląc w pryszczatą gębę z siłą, wzbudzającą szacunek i respekt.

Goście (draby jakieś niemile) przy pobliskich stołach, od dobrych paru chwil śledzący ciekawie rozmowę, zaczęli wiwatować, gdy karczmarz rąbnął potylicą w ścianę, chwytając się jednocześnie za paszczkę.

— Hej, dziwa! — rzucił jeden rechocząc. — Idź prosto do ryneczku! A tam pytaj pierwszego gówniarza, z tych, co wszędzie latają! Każdy ci powie! Twój miecznik tam, niedaleczko, ma domek!

Machnęła mu ręką, że dziękuje. Gdy szła do drzwi, izba wciąż rozbrzmiewała wesołością. Ktoś po drodze poklepał ją w plecy, ktoś po siedzeniu. Ale to nie była zaczepka, tylko wyraz uznania.

— Dziwa! — zawołano jeszcze. — Dawaj tu wieczorkiem! Złotko masz, to do kości siądniem!

Wiodąc konia za uzdę, poszła prosto do rynku.

Między straganami biegała wrzaskliwa, brudna dzieciarnia. Pełno tych pluskiew było wszędzie, ale na rynku, gdzie działo się wiele, a dało się czasem co skubnąć — biegały całe zgraje. Podstawiła nogę jednemu z urwisów, a gdy grzmotnął o ziemię, rozbijając nos, rzuciła mu miedziaka, zadając to samo pytanie, co oberżyscie. Pokazał palcem, z którego złaził paznokiec, zmiażdżony, chyba niedawno, czymś ciężkim.

— Prowadź! — poleciła.

Szczeniak sięgnął ręką, chcąc ją pociągnąć za sobą, ale uchyliła się i odepchnęła go butem. W Dartanie jakoś pozbyła się wszy; nie miała ochoty, by oblaży ją znowu.

— Z daleka, żabo — rzuciła ostrzegawczo.

To był dom przy wąskiej uliczce, drugi, licząc od rynku. Odesłała gówniarza i najpierw obejrzała budynek, zapamiętując go. Potem ujęła kołatkę.

Słynny miecznik miał lat pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu, był krzepkim, zdrowo wyglądającym, chociaż niezbyt wysokim człowiekiem. Przyjął ją uprzejmie, ale od razu dając do zrozumienia, że każdy gość nie będący klientem, choćby nawet był kobietą, i to Czystej Krwi, zabiera mu czas. Przypomniała sobie rozmowę z karczmarzem i pomyślała, że tym razem próżnych pogadań nie będzie.

— Widzę, że moje armektańskie nazwisko przeszło bez wrażenia — rzekła po prostu. — Tutaj w Grombelardzie, nazywam się Łowczyni. Przysłał mnie do ciebie, mistrzu, Książę Gór. L.S.I.Rbit, oczywiście.

Miecznik spojrział prędko, badawczo, ale zaraz znowu był spokojny, prawie obojętny.

— Basergor-Kobal? — rzekł powoli, marszcząc czoło. — A ty, pani... Hm, słyszałem te nazwiska, jakże nie? Ale nie znam tych, co je noszą.

Zrozumiała, że nie zna — jej. Był ostrożny. Ba! Powiedziała przecież prawdę Egedenowi: Basergor-Kragdob nie otaczał się głupcami.

Bez słowa wskazała palcem swoje oczy, potem sajdak z łukiem, wreszcie bez ceregieli podciągnęła kaftan i koszulę, pokazując mu plecy, a na nich liczne ślady szponów.

— Co jeszcze trzeba, żeby cię przekonać, mistrzu? Mam przywieźć zabitego sępa? Dobrze, ale to potrwa.

Skinął głową uśmiechając się nagle.

— No dobrze, pani... Jego godność Rbit wspominał kiedyś, że wiesz o mnie. Ale minęły lata, a ciebie nigdy nie było. Chodźmy. Mam izdebkę na górze... to taka samotnia. Tam pogawędzimy.

— Mam tylko dwa, trzy pytania.

— To nic. Chodźmy. Tu służba, warsztat... czeladnicy... — zatoczył ręką. — Są sprawy, w których ostrożność popłaca.

Zgodziła się z tym.

Na ścianach małej izby, którą miecznik nazywał swą samotnią, wisiał oręż wszelkiego rodzaju. Najczęściej miecze. Łatwo poznała wojskowe — krótkie i dość szerokie. Pośród nich lżejsze miecze jazdy, dalej miecze piechoty legii, z prostym jelcem i gwardyjskie — z jelcem nieco pochylonym w dół. Te lubiła najbardziej, były doskonale wyważone. Ale dalej wisiały miecze nieco węższe i dłuższe, noszone zwykle przez dobrze urodzonych, wreszcie miecze półtoraręczne i dwuręczne — piechoty. Słyszała od Dorlana, że kiedyś takich używano.

— Od wieków nikt tym nie walczy — wskazała. — Ostatni raz chyba za czasów Królestwa Trzech Portów, podczas wojen o zjednoczenie Armektu.

— Znasz się na tym, pani — zauważył, przyjemnie zdziwiony. — Bywali tu ludzie, którzy pytali, gdzie pochwa od tego... i czy to miecze olbrzymów.

Zaśmiała się.

— O! — mruknęła jeszcze. — Ale taki widziałam... Wiesz pewnie u kogo mistrzu?

— Tarsan.

Zdjął miecz ze ściany i przez chwilę pieścił głownię dłonią. Była niezwykle długa i wąska, przeznaczona właściwie tylko do kłucia. Zastawa, zupełnie tępa, za to pogrubiona, mogła jednak przyjmować nawet ciosy nie idące po ostrzu.

— Wiem, pani, u kogo go widziałas. Pomyśl, czy człowiek, który używa takiej broni, może być wrogiem miecznika? Płacę mu daninę, i chętnie... Wiesz jakiej żąda, pani? Sztuki srebra rocznie. Powiedział, że nie mogę być wyjątkiem. Każdy płaci daninę królowi... Dziwny to człowiek, pani.

— Wiem o tym.

Miecznik delikatnie umieścił oręż tam, skąd go wziął.

— Co myśli człowiek wykuwający ostrza, pokrywające się potem krwią we wszystkich zakątkach Szereru? — zapytała. — One zabijają...

— Miałaś kiedyś w ręku moją broń, pani?

Pokazał gmerk wybity na mieczu.

— O, poznaję... Tak, miałam.

— A to cecha jakościowa garnizonu Grombu.

— Więc walczyłam twoją bronią, mistrzu. Co myśli człowiek,

wykuwający zabójczy oręż? — powtórzyła.

— Czy naprawdę zabójczy?

— Oj, naprawdę.

— A więc taki człowiek jest ze swej pracy dumny.

— Dumny?

— A należy się wstydzić uczciwej, dobrze wykonanej pracy? Moje miecze milczą, pani. Nie wołają, że są dobrem, nie wołają też, że są złem. To przecież nie od nich zależy.

Pokiwała głową.

— Jesteś mądrym człowiekiem, mistrzu. Mistrzu, szukam swojego przyjaciela. Kocura L.S.I.Rbita. W okolicach Riksu jest zajazd, na który napadnięto. Zajazd na Sępiej Przełęczy w Górach Wąskich, słyszałeś może o nim, bo to miejsce prawie legendarne, w samych wrotach prawdziwego Grombelardu... Pośród rozbójników był kot. Banda podawała się, wszem i wobec, za oddział Basergora-Kragdoba. Wiem, że to nieprawda. Toczy się jakaś gra. Chcę, żeby Rbit i Glorm o tym wiedzieli.

Popatrzył uważnie.

— Chcesz, bym ci powiedział, pani, gdzie ich szukać?

— Hm... Prawdę mówiąc, mistrzu, sądzę, że sam tego nie wiesz. Co najwyżej znasz kogoś, kto pośle wiadomość dalej. Czy nie tak?

— Oto przenikliwość. Właśnie tyle mogę uczynić.

— Czy jeśli powiem, gdzie mnie szukać...?

— W ciągu kilku dni otrzymasz odpowiedź, pani.

— Wspaniała rozmowa — oświadczyła. — Odprowadzisz mnie, mistrzu, do drzwi? Gdzie tu można godziwie przenocować? I mieszkać przez parę dni? Godziwie — podkreśliła.

— Przejdź przez rynek, pani. Ulica naprzeciwko. W połowie długości jest oberża.

— Już pamiętam. Nocowałam w niej kiedyś, raz i drugi... No. To tam będzie można mnie znaleźć.

*

Wieczorny posiłek zabrała do siebie, do wynajętej izby. Nie lubiła siedzieć ze wszystkimi, w wielkiej, gwarnej sali. Tym bardziej, że słynny miecznik dawno w tej oberży chyba nie był. Kiedyś rzeczywiście było tu znośnie. Ale zdaje się, że właściciel gospody poważnie zaniemógł.

Wszystko prowadziła jego żona. No i zrobiła się z tego chyba najpodlejsza knajpa w całym Grombie. Pani Gór nie miała ochoty bić się znowu z jakimiś podszczypującymi ją drabami.

Wynajęta izdebka kosztowała fortunę. Lecz w większości grombelardzkich i dartańskich gospód w ogóle nie było takich pomieszczeń — wszyscy podróżni pospołu nocowali we wspólnej izbie, na sianie. Tutaj, dwie izby dla najbardziej wymagających podróżnych, utrzymywano chyba jakiś cudem. Lecz wynajęcie każdej kosztowało majątek. Cóż, zawsze znalazł się ktoś, kto zapłacił...

Zjadła ładną pieczeń, wypłała dwa dzbanki tęgiego piwka i przyniosła z dołu jeszcze dwa. I kubek wina na dzień dobry, do przepłukania ust, kiedy już się obudzi.

Leżała na zarwanej pryczy, popijając piwo. Zastanawiała się, na jak długo tu utkwiała. No cóż, próżne dociekanie... Nic więcej zrobić na razie nie mogła. Miała może szukać Rbita gdzieś w górach? Dobrze sobie... Mogła szukać i do końca życia.

Odstawiła dzbanek i zaczęła ściągać kaftan. Ale czuła się zbyt ociężała. Zostawiła odzienie w spokoju i wróciła do piwa. Nie chciało jej się dzisiaj robić żadnych przysiadów.

„Kareniro, nie możesz na oczach niewolników robić tych podskoków co wieczór. Nie ma takiej służby, która by nie rozmawiała z inną służbą, czekając całą noc przy lektykach, gdy jesteśmy na uczcie u księcia”.

„O co znowu chodzi? Czy znowu coś źle zrobiłam?”

„Pół Rollayny już wie, Karo, że oddajesz się co wieczór jakimś... podejrzanym praktykom. Nie wspominając nawet o tym, że wszyscy mówią, że jesteś zbudowana jak szkolony do walki niewolnik”.

„A co w tym złego? Kogo to obchodzi?”

„Kogo... Pół Rollayny, Kareniro...”

„Pół Rollayny! Czekaj, a może drugie pół Rollayny wie już, że bierzesz mnie zawsze od tyłu, jak jakąś parszywą kobyłę?! Co, patrzeć na mnie nie możesz? Pewnie, powinnam mieć cycki jak główki kapusty, co? Jak Loyana, albo ta w tej złotej sukni, co? Zostaw mnie, na wszystkie moce, zanim cię wyrzucę przez okno! Zobaczysz, co potrafi szkolony do walki niewolnik!”

„Karo. Chciałaś, żebym cię zabrał z Ciężkich Gór. Zabrałem. Czemu nie powiedziałaś, żebyśmy pojechali do Armektu? Pytałem przecież.

Powiedziałaś: dokądkolwiek. Teraz chcesz przenieść i Armekt, i Grombelard do Dartanu... Musisz wybrać, żono. Wybrałaś. Wiem, czego chcesz: mieć swój dom i ciebie. A ty? Czy wiesz, czego chcesz?”

Gdzieś, z głębi gospody, doleciał huraganowy wybuch śmiechu, przerywając wątek myśli.

— Wiem, mój mężu, mój... były mężu. Teraz już dobrze wiem — mruknęła, unosząc dzbanek.

Nabrała piwa w usta i plunęła nim na ścianę. Zaśmiała się trochę bezmyślnie i patrzyła jak ścieka, zupełnie czarne w blasku świecy.

— Chcę być damą grombelardzką...

Podniosła się, czując bulgoczący w brzuchu nadmiar płynu. Wyszła z izby, podciągnęła spódnicę i wysikała się tam, gdzie zwykli to robić goście w prawie każdym grombelardzkim zajeździe: pod ścianą ciemnego, wąskiego korytarzyka.

Lecz przerwała w połowie. Chwiejąc się trochę na nogach przykucnęła, umoczyła palec w kałuży i napisała na podłodze DARTN... Pomyliła się, ale i tak nie było nic widać.

Dokończyła sikanie.

Wróciła na swoją pryczę i rozplotła warkocze. Włosy były sztywne, a skóra na głowie swędziała. No, pora na coś w rodzaju kąpieli.

— Jutro, wasza godność — obiecała leniwie. — Jutro, jutro...

Położyła się, otulając pledem. Czknęła.

— No, Rbit — rzekła ziewając — długo każesz mi tkwić w tej gospodzie? Mam już dość takich dziur. Chcę w góry.

Wysunęła nogę i kopnęła lichego stół. Świeca przewróciła się i zgasła.

— W góry...

5.

Mniej więcej w tym samym czasie, w Riksie, Egeden, tymczasowy dowódca garnizonu, spotkał się z R. W. Sottenem, Drugim Namiestnikiem Najwyższego Sędziego Trybunału. Już początek rozmowy niesłuchanie wzburzył setnika, jednak jego pytania pozostawały bez odpowiedzi.

— Zbyt wiele chcesz rozumieć, panie — jego godność Sotten był w bardzo złym humorze i nie myślał kryć się z tym przed oficerem. — Tymczasem nie jesteś od rozumienia. Jesteś, panie, od rąbania mieczem.

Rąbać zaś masz tego, kogo ja ci wskażę.

Egeden z trudem powściągnął gniew. Jego rozmówca musiał to dostrzegać... zdaje się jednak, że nie bardzo bał się gniewu setnika legii. Założył ręce do tyłu i w milczeniu patrzył na żołnierza.

— Twoje działania, panie, niemal obaliły cały plan. Mogłem przymknąć oczy na to, żeś miał w ręku kobietę, której poszukujemy od tak dawna — i wypuścić. Ale układów z banitką tolerować nie będę! — Sotten podniósł głos. — I to układów prowadzonych za plecami Namiestnika Trybunału! Cesarskiego Trybunału, panie, prawie komendancie!

Egeden milczał.

— Jeżeli Trybunał — ciągnął dalej, znowu cicho, Namiestnik Sędziego — postanawia, że spalony zostanie jakiś zajazd, to widać leży to w interesie imperium. Czy to jasne? I dalej: jeśli Trybunał chce, by legie o tym nie wiedziały — to widać leży to w interesie imperium. Czy rozumiesz, panie?

— Nie — odpowiedział Egeden.

Namiestnik zdumiał się.

— Nie — powiedział oficer. — Na moich oczach skonał człowiek, którego przesłuchiowano w celi Trybunału. Słyszę teraz, że... służył Trybunałowi! Nie, panie, nie rozumiem.

— Źle służył — skwitował Sotten. — Nie rozumiesz więc? No to i dobrze — skonkludował niespodziewanie. — Byłeś, panie, zastępcą komendanta garnizonu.

— Wciąż nim jestem! — rzekł gwałtownie Egeden, postępując naprzód. — I, na Szerń, może jutro nie będę, ale dziś liczę się, wasza godność ze słowami!

Sotten spojrział bacznie.

— Powodowany niewiedzą — rzekł Egeden — pokrzyżowałem, być może, plany Trybunału. Wniosek widzę jeden: moja niewiedza była niewskazana. Poprzez zbędne i szkodliwe utrzymywanie mnie w niewiedzy, naraziłeś, panie, interesy Trybunału. Zatem interesy Cesarstwa. Czy, zanim stracę stanowisko, mam napisać obszerny raport? I pchnąć go do Grombu?

Sotten mierzył go wzrokiem.

— A wiesz, panie, że jak na żołnierza, to wcale nie jesteś głupi? —

rzekł wreszcie. — Usiądźmy. I porozmawiajmy.

Egeden zmarszczył brwi. Potem jednak skinął głową.

— Trybunał zarzucił sieć — zagał Sotten. — Ale jakże wyobrażasz sobie, panie, sieci Trybunału? To bardzo delikatna plecionka; gdy wielu zacznie ciągnąć w różne strony — popęka.

— Wasza godność, wymagasz, by legie pozostały zupełnie bezczynne z obawy, że podrą sieci?

— Istotnie, przyznaję, że być może należało bardziej zacieśnić współdziałanie... To jednak nie ode mnie zależy, komendancie. Postawiono nas obu w tej samej sytuacji; czasowo tylko kieruję działaniami Trybunału w Riksie, pod nieobecność jego godności Pierwszego Namiestnika. Powinniśmy więc rozumieć nawzajem swoje położenie...

Egeden skrzywił się lekko, słysząc te wyrazy nagłej solidarności.

— W trybach planu utkwilo ziarenko — mówił dalej urzędnik — którego obecności nikt nie mógł przewidzieć. Popatrz tylko: z wielkim trudem znaleziono dwie odpowiednie istoty, człowieka i kota, gotowych za złoto zmierzyć się z największymi bandytami Grombelardu. Śmiałkowie ci zebrali własny oddział i dokonali zuchwałego napadu, krzycząc głośno, że są władcami gór... Wcześniej jednak pojawia się ta kobieta, przywożąc tu jednego z ich ludzi. Ten człowiek musiał zginąć; trzymanie go gdziekolwiek było ryzykowne — a gdyby tak uciekł? Albo zaczął mówić, choćby do pilnujących go strażników?

— Nie mógł wiedzieć zbyt wiele. Zresztą, nawet gdyby...

— Naprawdę mało wiedzą tylko umarli. I tylko umarli na pewno nie uciekają.

— Zbytek ostrożności. Zresztą, musiał umrzeć, czy nie musiał... Należało powiadomić mnie o wszystkim.

— Kiedy rzecz w tym, panie, że legie miały zadziałać tak, jak zawsze.

— Czy ja i legie to to samo? Legie działałyby jak zawsze, ja natomiast zaniechałbym dodatkowych posunięć.

Sotten rozłożył ręce.

— Ba! — rzekł z zalem. — Kiedy to ziarenko! Któż mógł, panie, przewidzieć, że zawieszysz na pomoc kobietę ściganą?

— Czyżby była ścigana? Nic jej nigdy nie udowodniono, były tylko różne wątpliwości.

— Otóż, panie, to prawda. Oficjalnie ścigana nie jest i nie wolno słać za nią żołnierzy. Ale jeśli sama przyszła? Wyjaśniłyby się zaraz wszystkie te “wątpliwości”. Znalazłyby się dowody... jej własne zeznanie, komendancie!

Egeden zmarszczył brwi, bo izba tortur brzydziła go zawsze.

— Powiedz teraz, panie — ciągnął Namiestnik — co by było, gdyby przyjęła twój pomysł? To przecież zawołana przewodniczka, twoi legioniści pochwyciliby moją sieć w kilka dni i podarli, a tym łatwiej, że sieć owa wcale nie ma być ukryta. Tyle tylko, że nikt nie powinien widzieć w niej zasadzki.

— Jednak Łowczyni nie prowadzi moich ludzi.

Sotten westchnął z ulgą.

— Za to jej odpuszczam wszystkie dawne winy...

(“...a odpuszczasz tym łatwiej, że tysięcznik P. A. Argon nie był przez Trybunał kochany, bo zbyt samodzielny” — dorzucił w myślach, z gorzką drwiną, Egeden.)

— ... może nawet stać się pożyteczna — wyjaśniał dalej urzędnik — gdy poszczuje swoich przyjaciół prosto w naszą pułapkę.

— W czym więc problem?

— A w tym, komendancie, że gdybym od razu dowiedział się o waszym układzie, sprawiłbym może, iż przy pomocy tej kobiety sieć, zamiast czekać na rybę, sama by się na nią rzuciła!

Egeden skinął głową.

— Ale, panie — rzekł po chwili — czy nie nazbyt bardzo ufasz swoim najemnikom? Pomyśl, z kim mają walczyć.

Setnik, jak każdy niemal żołnierz Drugiej Prowincji z równym zapałem ścigał i podziwiał sławną parę. Namiestnik jednak udał, że tego nie dostrzega.

Sotten nadrabiał miną. Prawdę mówiąc, wcale nie był pewien powodzenia ryzykownego i niezmiernie kosztownego planu. Wydarzenia, jakie miały miejsce na Sępiej Przełęczy, dały mu wiele do myślenia. Przede wszystkim zdał sobie sprawę, że grupa podająca się za władców Gór, składa się (przynajmniej w pewnej mierze) z idiotów, myślących tylko o złocie i awanturach. Miał nadzieję, że przywódcy są choć trochę mądrzejsi od pijanych durniów, których Łowczyni rozdeptała w “Pogromcy”. Pewności jednak nie miał.

Dlatego natychmiast po tym, jak dowiedział się o układzie zawartym między setnikiem i Armektanką, posłał do Badoru, Grombu i Rahgaru swoich ludzi. Była szansa, że odnajdą gdzieś Łuczniczkę i nie stracą z oczu tak długo, aż doprowadzi ich do Basergora-Kragdoba. Gdyby zaś było za późno, może dałoby się tę kobietę zatrzymać i zmusić do mówienia...

Sotten nawet nie podejrzewał, jak niezwykle będą konsekwencje podjętych przez niego działań... i jak wysoko posłyszane zostaną wzbudzone przez niego echa.

6.

Olbrzymi jak skała, okryty grubą peleryną mężczyzna, wyłaniający się konno, z kłębow targanego przez wiatr deszczu, był niczym posępne jakieś widmo. Niósł go gniady koń potężny jak i jeździec, ale małej szlachetności i urody. Uwagę zwracała grubokoścista budowa i potężna klatka piersiowa zwierzęcia. Prawda, że gorącokrwisty, lekki koń, nie bardzo przydawał się w górach. Ale znów typowy, szpotawy londer, bo do tej rasy gniadosz należał, był koniem zwyczajnie roboczym, zbyt ciężkim chyba do jazdy wierzchem. Inna rzecz, że jeśli komuś zależało raczej na sile zwierzęcia, choćby nawet kosztem ręczności i zwrotności...

Dosiadając londera, ten jeździec akurat może i wiedział, co robi... Już samo jego ciało ważyło dość by pełnokrwisty rumak dartański musiał się ugiąć, a do wagi ciała dochodził jeszcze ekwipunek. Przede wszystkim straszliwa ilość broni. Przy biodrze tkwił, w skórzanej, wzmocnionej żelaznymi okuciami pochwie, długi i wąski miecz; ten sam pas przytrzymywał z drugiej strony ciężki, duży nóż, używany zwykle przez myśliwych do oprawiania zwierzyny. Pod peleryną, na plecach, wyraźnie rysował się kształt innego oręża, zdaje się że zwykłego wojskowego miecza. Oprócz tego przy siodle wisiały: z jednej strony topór, z drugiej zaś — częściowo okryta pokrowcem — mocna kusza wraz z zapasem bełtów. Całości uzbrojenia dopełniała kolczuga, wyraźnie widoczna spod niedźwiedziego, czarnego od wilgoci kaftana.

Mężczyzna wyglądał jak legendarny, srogi Basergor-Kragdob, król Ciężkich Gór i grombelardzkich rozbójników.

Był nim.

Jego wierzchowiec wyglądał zaś jak zwyczajny londer. I to też była prawda. Tyle tylko, że ów londer zrodzony został w Złym Kraju, a imię jego brzmiało, jak kazała tradycja: Galvator.

Większość ludzi sądziła (całkiem bezpodstawnie), że nieśmiertelne konie, zrodzone w Złym Kraju, to jakieś ogniste rumaki o niebywalej urodzie i do tego... koniecznie kare. Trudno powiedzieć skąd wzięło się owo błędne mniemanie. Nieśmiertelny był każdy koń poczęty i zrodzony w Złym Kraju. Jednak Królowi Gór nie mogło zależeć na zwalczaniu przesądu o karych ogierach...

Tutaj, na trakcie między Rahgarem a Grombem, dojść miało, zdaje się do jakiegoś spotkania olbrzymów. Oto bowiem wielki jeździec zatrzymał swego potężnego konia, patrząc na drogę. Pojawiła się na niej właśnie sprężysta, stopiona z deszczem sylwetka kocura gadba, o którym każdy Grombelardczyk powiedziałby, że jest największym kotem, jakiego oglądały Ciężkie Góry.

— Rbit — rzekł spokojnie Król Gór, zsiadając z konia — nie mogłeś posłać Ranera?

Wezwany podniósł łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

— Glorm, przyjacielu — rzekł niskim, mrukliwym głosem — jakbym mógł, to bym posłał — Raner leży pobity.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Jakież kłopoty?

— Żadnych. Grał w kości i wygrał.

— Dureń...

— Dureń. Chciałem, żebyś mi zostawił Delona.

— Delone był mi potrzebny. Zresztą — to drugi narwaniec. Uwiódłby wszystkie kobiety w Grombie.

— Ale nie dałby się pobić.

— To prawda.

Ruszyli. Rozbójnik nie zatroszczył się o konia, jakby wiedząc, że może mu zaufać. Istotnie, wierzchowiec uniósł garbonosą głowę, popatrzył przez chwilę za oddalającą się dwójką, po czym podążył jej śladem.

— Sto razy mówiłem — rzekł Rbit — że zbyt wyraźnie pokazujesz, kim jesteś. Twój wzrost wystarczy. Cała ta zbrojownia zwraca uwagę, a już ten twój rozeń...

— Sto razy mówiłem, że to tarsan — odparł mężczyzna przystając.
— Nie kpij z mojej broni. Chcesz być zbyt chytry, Rbit. Wystarczy koń, z którego wszyscy się śmieją. Żaden legionista nigdy nie uwierzy, że tak wygląda słynny Galvator Króla Gór. Na trakcie zawsze obwieszam się bronią, i dobrze wiesz, dlaczego. A skądinąd, rano napotkałem patrol.

— I co?

— Zwrócili na mnie uwagę, rzecz jasna. Zapytali, kim jestem, więc odpowiedziałem. Ubawiło ich to i pojechali dalej. Rbit, naucz się wreszcie, że człowiek to nie kot. Legionista uwierzy we wszystko, oprócz tego, że Basergor-Kragdob jeździ traktem z tarsanem przy boku, i opowiada się swym przydomkiem każdemu, kto zapyta.

— Dobrze. Ale w Grombie schowasz ten oręż?

— Rzecz jasna.

Szli przez chwilę w milczeniu.

— A teraz, Rbit, co słyhać w stolicy?

— Niemało. Przede wszystkim, niepotrzebnie umawialiśmy się na trakcie. Znalazłbyś nas łatwo.

— U Koniarza?

— Właśnie. Wyzdrowiał.

— Dobrze zrobił.

— Raner się wylize za dzień albo dwa — mówił dalej Rbit. — Arma sypia z dwoma setnikami. Nie poznałbyś jej... Ta dziewczyna potrzebuje sukni, Glorm. I klejnotów.

— Czy ja zabraniam jej chodzić po górach w sukni? A klejnoty mogę dostarczyć... jeśli mało ma swoich.

— Nie cierpię, gdy tak mówisz o Armie, Glorm. Kochał cię ktoś wytrwalej?

— Kocha mnie wiele kobiet, Rbit. I nienawidzi całe mnóstwo mężczyzn. Mam się tym wszystkim przejmować? Znowu stary temat. Myślałem, że już wyczerpany?

Kocur zatrzymał się i usiadł, z ogonem w kałuży deszczówki.

— Dobrze — mruknął. — Zdaje się, że to nie Trybunał i nie starsi cechów są teraz najważniejsi... Co się stało, Glorm? Zamieniliśmy parę słów, z tego połowa to twoje utyskiwania. Zamierzasz bezustannie mnie karcić?

Mężczyzna pokiwał głową, po czym przykucnął i splótł dłonie,

opierając łokcie na udach.

— Masz słuszność, rzecz jasna... Bez obrazy, Rbit. Od paru dni coś mnie nęka... jakieś przeczucie. Jedno z tych które czasem miewamy. Miałem takie zanim Rabisał zabił Ayanę. I wtedy, w Londzie, pamiętasz. Ty takie coś czułeś, o ile wiem, na Przełęczu Mgieł... Może to za sprawą Pióra?... Dzieje się coś paskudnego.

— Stąd te narzekania?

— Stąd, Rbit. Nie jestem w dobrym nastroju, przyznaję. Wybacz, że odbiło się to na tobie.

— Przywykłem — rzekł kot z czymś, co w ludzkiej twarzy byłoby krzywym uśmiechem. — Dobrze, przyjacielu. Chodźmy, jeśli chcemy zanocować pod dachem.

*

Koniarz był człowiekiem cieszącym się w Grombie wielkim poważaniem. Leczył konie. Jakaś tajemna, z niewiadomego źródła pochodząca wiedza, pozwalała mu rozpoznawać końskie dolegliwości. Miał różne maści i mikstury, stosował okłady i setki różnych przedziwnych zabiegów, które im bardziej były przedziwne, tym większy zjednywały mu szacunek. Ponoć wyleczył wiele koni. Glorm nie wątpił, że tak było w istocie. Do swego Galvatora jednak, prędzej dopuściłby rzeźnika niż Koniarza.

Ostatnio Koniarz zaniemógł. Ozdrowiał szczęśliwie; być może stosował swoje mikstury. Skoro stawiały na nogi konia, czemuż by nie Koniarza?

Rbit jednak zgadzał się z Glormem, że najprędzej to właśnie cuchnące wyziewy owych mikstur były przyczyną dolegliwości.

Koniarz był biednym, pracowitym człowiekiem, mającym ledwie nędzną chałupkę na przedmieściu. Ubierał się skromnie, trochę jak drobny kupiec, trochę jak rzemieślnik. Mało kto wiedział, że dwupiętrowy dom, dość daleko co prawda, leżący od rynku w Grombie, też jest własnością biednego Koniarza. Biedny Koniarz, poprzez swą biedną matkę w owym domu mieszkającą, ściągał od najemców izb czynsze niesłychane. Na tyle jednak rozsądne, by najemcy nie pomarli mu z głodu, albo też nie poszli sobie, dokąd nogi poniosą, byle dalej od domu Koniarza.

Drugie piętro owego domu jednak nie było zamieszkane. Izby na

drugim piętrze, do których wiodły osobne, wąskie schody, zawsze czekały na przyjęcie specjalnych gości. Taki był haracz, płacony przez Koniarza Królowi Ciężkich Gór.

Nie licząc tych parudziesięciu marnych, potrójnych sztuk złota rocznie...

Właściciel domu własnoręcznie posługiwał swoim gościom, donosząc na stół coraz to nowe potrawy i trunki. Nikt nie poznałby w tym energicznym, dostatnio ubranym człowieku, końskiego znachora z przedmieścia. Wyrażał się inaczej, inaczej poruszał, nie nosił czapeczki, skrywającej zwykle, zaskakująco bujne, przetykane dostojną siwizną włosy.

Glorm jadł i pił na miarę swego wzrostu; Rbit — na miarę swego rozsądku.

— A zatem — rzekł Król Gór, popuszczając pasa i z niejakim żalem patrząc na resztki wieczerzy — jeszcze raz powtórz to, co najważniejsze, Rbit. Nie słuchałem, bo jadłem.

Kocur, posilający się przy stole z elegancją godną swego nazwiska, odtrącił płaski półmisek, próżny już, i umoczył wąsy w srebrnej czarce z winem. Spojrzał na gospodarza. Ten natychmiast opuścił izbę, traktując to najwyraźniej jako rzecz oczywistą.

— Spór przerodził się w wojnę — rzekł kot. — Mocno wątpię, by wynikało z tych obrad coś naprawdę niepomyślnego dla nas... a już niebezpiecznego? Dowódcy garnizonów po staremu żądają ograniczenia wpływu Trybunału na wojsko. Urzędnicy wołają, że legie bez nich są ślepe, mogą patrolować ulice miast, i niewiele więcej...

Glorm twierdząco pokiwał głową.

— Specjalny wysłannik cesarza skłania się wyraźnie ku racjom urzędników, chętnie rozszerzyłyby ich wpływy, zamiast ograniczać. Odwrotnie Książę Przedstawiciel, który twierdzi, że wojsko stale ma związane ręce, nie mogąc przedsięwziąć właściwie nic, poza rutynową służbą patrolową... Naprawdę jednak Przedstawicielowi bardzo cięży wszędobylskość wywiadowców Trybunału, wywierających rozmaite naciski. Wypłynęła sprawa tych szpiegów, pamiętasz, których legioniści powiesili bez żadnych ceregieli...

— Tak.

— Namiestnicy Trybunału twierdzą, że informacje uzyskiwane

dzięki tym ludziom były bezcenne. Żołnierze wskazują ogromne nadużycia, których różni wywiadowcy, urzędnicy i szpiedzy dopuszczają się stale, wyposażeni przez Trybunał w pełnomocnictwa, dające zbyt dużą władzę... Wojna, Glorm. Nic nie zmieniają, to pewna. Pokłóćą się jeszcze przez tydzień, po czym rozjadą: komendanci do swych garnizonów, Namiestnicy do swych gmachów.

— A co z obławą?

— Nie będzie.

— Rzecz jasna — skinął głową Glorm. — Ale zdaje się, że w Rahgarze zastępca komendanta otrzymał jakieś... hm, nieoficjalne wskazówki.

— To możliwe — zauważył Rbit. — Tutaj jest podobnie. Zarówno wojsko, jak i Trybunał, nasiliły działalność. Każdy sukces, Glorm, o którym ci lub tamci zameldują teraz w Grombie, może być poważnym argumentem w sporze.

Mężczyzna powstał i okrążył stół.

— Gdzie jest Arma?

— Wkrótce tu będzie. Może coś ją zatrzymało. Niełatwa sztuka być kochanką dwóch znających się mężczyzn, jednocześnie.

— Nie wątpię.

Arma pojawiła się, jakby sprowadziły ją ich myśli. Kocur spojrzał tylko i natychmiast wiedział, że zatrzymało ją nic innego, jak starania by ukazać się Glormowi piękną. Miała na sobie różową suknię, przy której ciepłozółte włosy, będące bez wątpienia najpiękniejszymi włosami w Grombelardzie, wydawały się jeszcze bardziej słoneczne, niż zwykle. Gdyby twarz mogła dorównać urodzie włosów, byłaby Arma najwspanialszą dziewczyną, jaką nosiła ziemia Szereru. Cóż... Za duże usta i trochę zbyt szeroko rozstawione oczy, psuły wiele. Nie wszystko przecież. Arma miała dobrą, może nieco zbyt kręłą figurę, ale wysokie pantofelki (dartański wynalazek, w Grombelardzie znany dotąd tylko w kręgu przedstawicielskiego dworu) wybornie tuszowały ten mankament. Przede wszystkim jednak, Arma była serdeczna i czuła, swych towarzyszy z Gór traktowała jak rodzinę. Ta serdeczność promieniowała z niej zawsze, gdy była w gronie przyjaciół. Jedynie obecność Glorma przywoływała jakiś lekki, nieuchwytny prawie cień.

Rbit umiał nazwać ten cień. To był smutek, płynący z niemożliwych

do spełnienia marzeń.

Glorm uściśnął ręce dziewczyny i zaprosił ją gestem, by usiadła.

— Mówimy o twoich legionistach — zagaił bez wstępów.

Potrząsnęła włosami. Wkrótce Król Gór wiedział tyle, co ona.

— Nie wiem najważniejszego — przyznała pod koniec. — Legioniści rzeczywiście pragną się wykazać. Zdaje się, że planują jakieś porządki w Grombie. Nie wiem kiedy.

— W ogóle niewiele wiesz.

Dziewczyna zamilkła.

— Posłuchaj, Glorm — powiedziała po chwili — robię, co mogę... Ale oficerowie legii nie są wcale głupi. Z tych dwóch... tylko jeden jest gadułą. Może powinnam... znaleźć trzeciego? Może urzędnika?

Jeśli miała nadzieję, że olbrzym zaoponuje, przeliczyła się.

— Znajdź, Arma.

Odwróciła wzrok.

— To zbyt duże ryzyko — zauważył kocur, wykazując godną podziwu odporność na wino, które spijał bez żadnego zdawałoby się umiaru. — Pozycja Army jest delikatna. Zdaj sobie sprawę, Glorm, że przez miesiąc czyniłem starania, by ją umieścić, gdzie trzeba. Ale wystarczy cię podejrzenia, wystarczy, że ktoś zacznie dociekać, czy naprawdę jest kuzynką doradcy Księcia, i wszystko runie... Ten człowiek bierze masę złota za opowiadanie bajek o swoim z nią pokrewieństwie. Ale to dureń. Złoto nie zastąpi mu rozumu.

Glorm chodził po izbie, zamyślony.

— Może powinienem sam zająć się sprawą — mruknął. — Księżę Przedstawiciel nie lubi pewnie, jak odwiedza go mężczyzna w sypialni. Zwłaszcza, jeśli ten mężczyzna zaczyna dusić.

— Nie, przyjacielu. Co było, już nie powróci. Mogłeś trzymać za gardło tego starca, który rządził Grombelardem rok temu. Ale teraz mieszka w pałacu inny człowiek. Dość młody, odważny, ambitny i... mądry.

Olbrzym milczał.

— A może... pora? — rzekł wreszcie niejasno.

Arma i kocur wymienili spojrzenia.

— Pora — odrzekł, sam sobie, Glorm. — Myślę, że pora wynieść się stąd... na zawsze.

Zaległa cisza.

— Mówisz to poważnie? — zagadnął Rbit, strosząc wąsy.

— Na Szerń, mówię o tym od trzech lat! — padła, niemal groźna, odpowiedź. — Myślisz, że jakkolwiek dowcip wart jest powtarzania przez trzy lata? Miło to słyszeć, że miałeś moje słowa za pijackie, czy szaleńcze majaki!

— Naprawdę uważasz, że dartańska Rollayna uczyni cię szczęśliwym? — nie dowierzał Rbit.

— Naprawdę uważam, że grombelardzkie góry nie uczynią mnie takim. Mam lat czterdzieści. Namachałem się mieczami i przesiąkłem deszczem na wylot. Teraz chętnie kupiłbym dom i dziesięć młodych niewolnic, żeby drapały mnie po plecach.

— Zdajesz sobie sprawę, jak naiwnie to brzmi?

— Rzecz jasna. To naiwne, że nie chcę umrzeć w jakiejś górskiej jaskini, czy w domu Koniarza, mając lat sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt. Czas płynie. Kości sztywnieją. Za dwadzieścia lat legendarny rozbójnik Basergor-Kragdob będzie bezdomnym starcem z kosturem w dłoni. Będzie siedział i cieszył oczy zgromadzonym za młodu złotem. Będzie przesypywał je lubieżnie z kupki na kupkę. Czy tak?

— Glorm — rzekła cicho, milcząca dotąd, Arma. — Nie uwierzę, że twoje życie służyło tylko gromadzeniu złota.

— A twoje, Armo? Twoje, Rbit?

— Przyjacielu, najlepiej urodzony kocur imperium nie musi łązić po górach, by zdobyć zaszczyty i majątek — rzekł, z niejaką wyniosłością, ale i pogardą, Rbit. — Mój ród wziął nazwisko z rąk samego cesarza, wiesz o tym doskonale. Idąc w góry, nie szukałem bogactwa. Idąc w góry, ja z niego zrezygnowałem. Ty mnie pytasz o moje złoto? — weź je sobie! I daj pierwszemu spotkanemu pastuchowi.

— Weź i moje — dorzuciła krótko Arma.

— Na Szerń — powiedział Kragdob — od trzech lat zamierzam opuścić Grombelard. Nie robiłem z tego tajemnicy przed wami. Wiem, że to samo planuje Delone. I Tewa. Czas nadszedł, to moja ostatnia wiosna w Ciężkich Górach.

— Ale najpierw trzeba ją przeżyć — zauważył, po długiej chwili, Rbit. — Czy może chcesz zaraz siodłać konia, i jechać do Rollayny?

— Prawda, trzeba zakończyć wszystkie sprawy — zgodził się Glorm,

puszczając mimo uszu złośliwy ton przyjaciela. — Chcę wiedzieć wszystko o tych „porządkach” w Grombie. Nie obchodzi mnie, Arma, czy znajdziesz sobie trzeciego ogiera, czy też jeszcze trzech. Na razie wszyscy zawiedliście. I ty, i Raner, i Rbit.

— Ty za to jesteś jak zwykle niezawodny! — rzekła ze wściekłością dziewczyna. — Zawsze wiadomo, co można od ciebie usłyszeć! Tak. Jedź do Rollayny. Czas najwyższy, byś pozostawił mnie w spokoju!

Wyszła z hukiem zamykając drzwi.

7.

Następnego dnia, wieczorem, Koniarz przyniósł wiadomość. Przyjął go Rbit (Glorm położył się już, w sąsiedniej izbie).

— Nie wierzę! — rzekł z zadowoleniem, ale i zdziwieniem kocur, wysłuchawszy gospodarza domu. — Gdzie, mówisz?

— W oberży, wasza godność, w „Górskim Wietrze”. Czy mam sprawdzić...?

— Nie, to niepotrzebne.

— A więc doprowadzić do spotkania?

— Także nie. Wiem już wszystko, co należy wiedzieć. Reszta to nie twój kłopot, zacny morderco koni.

— Wasza godność, mój fach...

— Nie męcz mnie, człowieku. Wiem już wszystko, powtarzam.

Koniarz przeprosił, ukłonił się, przeprosił raz jeszcze, podziękował, przeprosił i wyszedł. Rbit polazł do drugiej izby.

— Nie wierzę! — powtórzył sobie, z drżeniem wąsów.

*

Na stole walały się ogarki świec, skórzany but z wysoką cholewą, stała też miska z resztką kaszy i kilka pustych dzbanów po piwie. Wielka kałuża zalała stół i część podłogi. Pośrodku tego wszystkiego kopcił nadpęknięty, podły kaganek.

— Ładnie tu — rzekł rozbójnik, stając w drzwiach izby.

Rbit siedział pośrodku pomieszczenia.

— Popatrz tutaj — rzekł.

Królowa Gór leżała na pryczy, półnaga, z odrzuconą w tył głową, zwieszoną ku podłodze. Glorm uniósł brwi.

— No cóż... Ile piwa na raz wypić może kobieta?

— Ale żeby się zaraz tak upić?

— To się zdarza, Rbit. Inna rzecz, że nie bardzo wiem, co teraz można z nią zrobić?

— Zdaje się, że cokolwiek...

Popatrzyli po sobie.

— Zrób to „cokolwiek” o którym myśli ten kawał futra, a utnę ci wszystko, co tam nosisz — rzekła chrapliwie kobieta, nie otwierając oczu, za to pokazując rękę, w której lśnił mocny nóż. — Na Szerń, oszukałam kota... Jestem wielka!

Kocur i mężczyzna patrzyli to na nią, to po sobie, z prawdziwym zdumieniem.

— Ale poleżę jeszcze trochę, bo mi dobrze — podjęła, wciąż z zamkniętymi oczyma. — Lubię piwo, a w Dartanie picie go uchodzi za nietakt... Wczoraj ktoś odwiedził mnie w nocy; było ciemno i narobił hałasu. Zdaje się, że to go spłoszyło, no to dzisiaj zostawiłam mu światło. Ale piwo piłam, przyznaję, czemu miałabym nie pić?

Rozwarła powieki, patrząc na nich niemal z poziomu podłogi. Łeb kocura znajdował się niewiele wyżej. Nastroszone wąsy i brwi drgały w charakterystycznym kocim śmiechu.

— Kobieto — powiedział — naprawdę mnie oszukałaś.

Jednym ruchem zmieniła pozycję na siedzącą i oparła dłoń na karku kocura. Potem wstała wyciągając ręce do Glorma.

— Ale ciebie się nie spodziewałam...

Uścisnął jej dłonie z uśmiechem.

— No, królowo. Co robisz w tej norze?

— Nora — potwierdziła, sięgając po przewrócony dzban; było w nim jeszcze sporo piwa. Pociągnęła tęgi łyk i oddała naczynie mężczyźnie. — Czekam na was. To jedyne, co mnie trzyma w Grombie. Chciałam do Rahgaru.

Usiadła na pryczy, potrząsając rozpuszczonymi potarganymi włosami.

— Dopiero co stamtąd przyjechałem — rzekł rozbójnik. — Ubierz się, Armektanko. Wasze zwyczaje są tutaj, w Górach, zupełnie nie na miejscu. Przyznaję, że nie umiem rozmawiać z gołą kobietą. A szczególnie kobietą niebrzydką.

— Co za miasto! — mruknęła szyderczo. — Od lat, zawsze tutaj słyszę to samo!

— Widać nie bez powodu. Zbyt wyzywająco pokazujesz, skąd pochodzisz. I bez armektańskich zwyczajów wszyscy wiedzą, że to Armekt rządzi Szererem. Po co więc to wyzwanie?

Zamyśliła się nagle.

— Tak... — powiedziała z zadumą. — Tak, to chyba wyzwanie...

— Mniejsza — wtrącił kot, rzeczowy jak zwykle. — Czy to dobre miejsce do rozmowy? Pozbieraj zatem swoje rzeczy, a ja sprowadzę szynkarkę. Niech nas wypuści tak, by nikt nie widział. Tylnym wyjściem — dorzucił wyjaśniająco — tak jak weszliśmy. Glorm zwraca uwagę... a i ja nie lubię, gdy jakiś pijak szarpie mnie za ogon, sądząc widać, że brak oczu uczyni go szczęśliwszym.

— Poczekaj, Rbit — przerwała — a więc nikt nie wie, że tu jesteście?

— Chyba nie.

— To wynoście się, tą samą drogą, co przyszlście. Chcę wiedzieć, kto wczoraj mnie odwiedził. Może przyjdzie... Gdzie was szukać?

Rbit wyjaśnił, jak trafić do domu Koniarza.

— A może lepiej zaczekamy? — rzekł na koniec.

Glorm potrząsnął głową.

— Ty czekaj. Ja nie zdołam schować się dość dobrze.

— Nie potrzebuję pomocy — zauważyła łuczniczka.

— Wierzę ci, pani — zapewnił olbrzym, kładąc dłoń na sercu. — Toteż wcale jej od Rbita nie otrzymasz... jeśli nie będzie potrzebna. Teraz pozwól, by twój niegodny sługa odszedł, zabierając przy tym twego konia w jakieś lepsze miejsce.

— Deresz — poinformowała — Pełnokrwisty Dartańczyk.

Skinął ręką i wyszedł.

— Czy i ty nie potrafisz rozmawiać z nagą kobietą? — zapytała ironicznie Armektanka, spoglądając na kota. — Zdaje się jednak, że nikt zdrowy na rozumie nie sypia w odzieniu? Jeśli zasadzka ma się udać... Schowaj się w ogóle

— Zaufaj mi — rzekł przekonująco kot. — Usłyszę tego człowieka, choćby szedł powietrzem. Stawy skrzypią, oddech świszczę, a kapota szeleści. Tak to już jest na tym świecie.

Zaśmiała się cicho, kładąc na łóżku.

— Ale ty rzeczywiście bądź gotowa — zaaprobował. — Wiesz, że to może potrwać? Nie jest jeszcze wcale tak późno.

— Nie uwierzysz, ale potrafię być cierpliwa — jak kot.

— Uwierzę. Ktoś, kto zabija sępy, musi znać także sztukę bycia cierpliwym.

Rozmawiali dalej po cichu

— Ciężkie Góry tęskniły za tobą.

— Słyszałam.

— Gdzie byłaś?

— Zostałam żoną Baylaya, Rbit. Żoną Dartańczyka.

— Jednak. I co dalej?

— Co dalej... Nic. Znowu jestem tutaj.

— Na długo?

— Na zawsze, przyjacielu.

Wydało jej się, że słyszy coś w rodzaju westchnienia. Popatrzyła zdziwiona. Nigdy nie spotkała się u Rbita z czymś takim.

— Rbit?

— Nic, Kara.

Milczeli.

— Czy byłbym dobrym pomocnikiem w tropieniu sępów, Kara?

Ze zdumienia aż uniosła się na łokciu.

— Ty, Rbit? Moim pomocnikiem? Na Szerń, co się stało?

Pochylił łeb z nagłym znużeniem.

— Nic, Kara... — rzekł po długiej chwili. — Zapomnij o tym... Starzeję się.

Wciąż patrzyła, nie rozumiejąc.

Położyła się na powrót.

— Czemu nie jesteś mężczyzną, Rbit? — zapytała, po długiej chwili.
— Jak byś wyglądał, gdybyś był człowiekiem?

— Nie wiesz? — zapytał całkiem poważnie. — Znasz człowieka, który jest mną, nie będąc kotem.

— To prawda — szepnęła.

Przez chwilę milczeli.

— I co? — zapytał, ale tak, że nie mogła odebrać tego źle.

— I chyba go chcę — powiedziała odważnie, uśmiechając się lekko.

Oczekiwany gość pojawił się nieprędko. Karenira, chlubiąca się swoją "kocią cierpliwością", musiała złożyć jej dowody tej nocy, przybysz bowiem był niezwykle ostrożny. Ukryty pod pryczą Rbit świetnie słyszał oddech przyczajonego przy szparze w niedomkniętych drzwiach człowieka. Domyślił się łatwo, że tamten pragnie zyskać pewność, że kobieta śpi dostatecznie twardo. Jednak Karenira udawała doskonale...

Drzwi skrzypnęły cicho. W marnym świetle kopącego kaganka, pojawił się niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna. Znowu zastygł na moment, patrząc na łuczniczkę, po czym przesunął się zręcznie do ściany pod oknem, gdzie złożone były jej rzeczy. Pochylił się nad podróżnymi sakwami.

Prycza zatrzeszczała. Mężczyzna drgnął i odwrócił się szybko. Armektanka mierzyła go wzrokiem, zagradzając drogę do drzwi.

— Przez ciebie, mój dobry człowieku, straciłam całą noc — powiedziała ponuro. — Ale moja wściekłość nie dorównuje ciekawości. Dlatego, zanim rozbiję ci głowę o ścianę, powiedz prędko: czego szukałeś?

Mężczyzna milczał, czujnie patrząc jej w oczy.

— Hejże — mówiła dalej — czemu milczysz, przyjacielu? Cóż to wzbudziło twoje pożądanie w bagażach ubogiej podróżniczki?

— Pozwól mi odejść, pani.

Spokój nieznanomego uderzył siedzącego pod pryczą kocura. Zwykły opryszek, przyłapany na gorącym uczynku, reagował zupełnie inaczej. Rbit zastanawiał się, czy nie przerwać nedorzecznej pogawędki. Tym bardziej, że Karenira najwyraźniej zaczęła bawić się sytuacją, zapominając, że całe zajście zabawą nie jest...

— Odejść? Nie, mój drogi gościu... Jeśli trzeba, spędzimy razem całą noc — rzekła z sarkazmem, zbliżając się ku niemu.

— Z tobą, pani, nie spędziłbym dobrowolnie nawet jednej chwili — odrzekł surowo mężczyzna.

Łuczniczka osłupiała.

— Wyjaśnij mi to, ty ścierwo — zażądała wreszcie, tracąc panowanie nad sobą (Rbit skrzywił się pod pryczą). — Cóż to nie podoba się nocnemu złodziejowi w Pani Gór? Cóż to za prawdy usłyszałeś o mnie, śmierzdzący rzezimieszku?

— Nie podchodź, pani — padło ostrzeżenie.

— Nóż?! — syknęła zdumiona. — Ty pluskwo...

Rbit usłyszał porażający, bojowy wrzask Armektanki i wyskoczył na środek izby, w samą porę, by ujrzeć jak mężczyzna rusza ku oknu. Pchnięte okiennice trzasnęły po obu stronach futryny i przymknęły się na powrót.

— Ugryzł mnie! — zawyła łuczniczka, pokazując skaleczoną nożem dłoń. — Zabiję go, na Szerń!

Skoczyli oboje do okna, ale w tej samej chwili budynkiem wstrząsnęło potężne uderzenie. Wyjrzeni. Nożownik leżał pod ścianą gospody; najwyraźniej ciśnięto nim o ścianę. Glorm dał znak by się cofnęli. Zaraz potem przeciskał bary przez okno.

— Długo was nie było, więc wróciłem — wyjaśnił. — Zamknij drzwi, wasza godność — rzekł do kobiety — zaraz będzie tu zbiegowisko. Zmykajmy.

Wydostali się na tyły gospody. Karenira wzięła swoje rzeczy, rozbójnik podniósł bezwładne ciało. Stał przez chwilę, po czym z powrotem złożył je na ziemi.

— Hm...

— Bierz go i chodź — ponaglił kocur.

— Trup — wytłumaczył zwięźle rozbójnik. — Mam brać trupa?

— Bardzo pięknie — skomentował gniewnie Rbit. — Chodźmy.

W zajeździe płonęły już liczna światła, gdy chyłkiem, pospiesznie, przemykali ku domowi Koniarza.

8.

Karenira z namysłem wodziła palcem po blacie stołu. Napiła się wina, dostarczonego przez Koniarza.

— Nie rozumiem — rzekła wreszcie. — Nie rozumiem — powtórzyła. — Nie interesuje was, że ktoś, podszywając się pod was... Przecież w końcu... „Pogromca” płacił daninę? Myślałam, że każdy, kto to robi, jest niejako pod waszą opieką?

— Nie, Kara.

Spojrzała na Basergora-Kragdoba. Ten — dziwnie milczący — pokazał gestem, że Rbit przemawia w imieniu ich obu.

— Każdy kto płaci haracz, może być pewien, że zostawimy go w

spokoju — wyjaśnił kocur. — Tylko tyle. Aż tyle. Mielibyśmy bronić wszystkich grombelardzkich kupców, karczmarzy i rzemieślników? Od tego są legie!

— No dobrze... ale jeśli okaże się nagle, że ograbiacie tych, którzy płacą... Wieść rozejdzie się szybko. Kto zapłaci daninę, Jeśli w niczym mu to nie pomoże?

— Masz rację. Bywało, że ten czy ów rzezimieszek podawał się za posłańca Króla Gór licząc, że wywrze odpowiednie wrażenie. Ścigaliśmy takich ludzi.

— A zatem?

— Teraz, Kara, To już nie ma znaczenia. Władcy Gór porzucają swoje królestwo. Jeśli teraz ktoś działa w naszym imieniu, to dobrze. A nawet — to tym lepiej. Skoro Góry wciąż będą głosiły o naszych nowych czynach, łatwiej przyjdzie nam znaleźć sobie nowe miejsce do życia. Najbardziej przenikliwy umysł nie skojarzy olbrzymiego mężczyzny i wielkiego kocura ze słynną parą, skoro z Gór Grombelardu wciąż będą płynęły nowe o nich wieści. Rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem. Co to znaczy: władcy Gór porzucają królestwo?

— Wyjeżdżamy, Karenira. Na zawsze.

— Wyjeżdżacie? Dokąd, na Szerń?

— Do Dartanu. Może do Rollayny?

— Nie — powiedziała. — Glorm?

— Wyjeżdżamy — potwierdził chmurnie.

— Do Rollayny?

— Być może.

— Ale — Góry? Grombelard?

— Bez nas — odrzekł krótko Rbit. — Powiedz, Kara, jakie to ma znaczenie, czy ktoś teraz używa naszych imion, czy nie? Jakiś głupkowaty osiłek wpadnie wreszcie w ręce żołnierzy, poskowyczy trochę w lochach Trybunału, Szerer dowie się o tym, a my — będziemy tym bezpieczniejsi...

Basergor-Kragdob wyrznął dłonią w stół.

— Posłuchaj mnie, Rbit — powiedział spokojnie, a nawet z czymś w rodzaju uśmiechu. — Przyjąłem do wiadomości, że przeciwny jesteś mojemu wyjazdowi do Dartanu. Ale przecież ty możesz zostać w

Grombelardzie. Choć przyznaję, że łatwiej przyjdzie mi rozstać się z Górami niż z tobą. Myślałem, że się nie rozstaniemy.

Armektanka patrzyła milcząco.

— Ale proszę — ciągnął Glorm — nie próbuj grać na moich ambicjach. Wiesz doskonale, że nie chcę, by jakiś dureń obojętne, ludzki czy koci, zszargał naszą sławę. Zastanówmy się wspólnie, czy można temu zapobiec. Czy warto próbować. Wcześniej czy później, odejdziemy z Ciężkich Gór. Obojętne, czy do Dartanu... czy tam, gdzie odchodzą wszyscy. Odejdziemy, pozostawiając naszą legendę i ktoś na pewno ją splugawi. Czy to, że teraz zarzniemy fałszywych władców Gór, może temu zapobiec?

— Nie wiem, Przyjacielu. Ale jeśli już tak musi być, że pierwsze z brzegu ścierwo z ogonem przybierze sobie bezkarnie moje imię, i może ośmiesz je jeszcze, to uwierz — wolę by moje oczy były wtedy zamknięte, a uszy nie słyszały już nic.

Spojrzał na kobietę, a potem znów na olbrzyma.

— Glorm — powiedział. — Wiem, po raz pierwszy chyba w życiu świadomie mówiłem same bzdury. Nie mogę pogodzić się z twoją decyzją. Ale to rzeczywiście nie usprawiedliwia niskich gier. Przyznaję to — i nie w cztery oczy.

Robójnik zmarszczył czoło. Rbit, jak każdy kot, nie potrafiący w ogóle przeproszać, przyznał się do błędu. I to jak sam powiedział, nie w cztery oczy. Król Gór zdał sobie sprawę z tego, że jego przyjaciel przeżywa ową decyzję opuszczenia Grombelardu bardziej nawet, niż dotąd okazywał.

— Wiem, Rbit, że moje dobro leży ci na sercu.

Wyciągnął rękę i oparł ją na twardym barku kocura.

Karenira — jak każda kobieta, pojmująca przyjaźń dość siermiężnie — zrozumiała akurat tyle, że Rbit próbuje wszelkimi sposobami zatrzymać Glorma w Górach, ten zaś nie żywi doń o to urazy. Zrozumiała zatem i tak znacznie więcej, niż można by oczekiwać, ale już fakt, że ci dwaj, tymi kilku słowy, wzmocnili po raz kolejny swoją przyjaźń, umknął jej nieuchronnie. Odczekała zatem chwilę, po czym rzekła:

— Skoro już wyjaśniliśmy sobie wszystko, zacznijmy może jeszcze raz od początku? Chcę wiedzieć, czego się trzymać. Co z tą bandą na Sępiej Przełęczy?

Rbit pochylił uszy do tyłu.

— Jedna rzecz jest w tym wszystkim dla mnie niejasna — powiedziała jeszcze Karenira. — Jak to możliwe, że jakikolwiek kot, obojętnie, głupi czy mądry, podszywa się pod twoje nazwisko? Nigdy w życiu nie słyszałam o czymś takim!

— Karenira — rzekł Rbit — pomyśl sama: czy jeśli coś jest dla danego, obojętne — plemienia, narodu, gatunku — najwyższą wartością, to czy już oznacza, że nie ma odstępstw od reguły? Czy każdy Armektańczyk szanuje wszystkie tradycje? Czy nie zdarzyło się nigdy, że je sprofanowano? Wasze przywiązanie do zwyczajów ojców jest powszechnie znane i omal przysłowiowe. Lecz co z tego? Pewien jestem, że sprzeniewierzyło się im wielu. Obalajmy mity, Karenira.

Przez chwilę trwała cisza.

— Jeszcze raz opowiedz wszystko dokładnie — zażądał Rbit. — Co ty właściwie obiecałaś temu legionście? Że mu pomożemy?

— Nic mu nie obiecywałam — zaproponowała. — Powiedziałam po prostu, że mogę powiadomić prawdziwego Basergora-Kobala o tym, co się stało. Powiedziałam też, że powiadomię was, przeciw komu wyruszyła ekspedycja karna z Riksu. Spytał, czy mogę sprawić, żeby jego ludziom nic nie groziło ze strony waszych grup. Powiedziałam, że to nie ode mnie zależy.

— Bardzo słusznie — zauważył Glorm.

— Jakie są, twoim zdaniem, szanse tych legionistów? — zapytał Rbit
Wzruszyła ramionami.

— Na przechwycenie tej grupy? Takie same jak zawsze... Jeden do dziesięciu, albo do piętnastu... Góry są duże. Jest gdzie się schować.

— Cóż, Glorm?

Basergor-Kragdob uniósł brwi.

— Ci żołnierze poszli w stronę Badoru, w Ciężkie Góry, mówisz? Można powiadomić Mavalę, ona ma tam swoją hołotę... Ale Mavala i tak wypruwa flaki z każdego obcego, którego złapie na swoim terenie. A nasze oddziały?

Rbit rozważał głośno:

— W Badorze siedzi Tewa. Może uda jej się złapać Kagę. Jeśli Kaga dowie się o tym, że ktoś udaje Księcia gór... Ale kto wie, co przyjdzie do głowy Kadze?

— Czy to ta dziewczyna, która wtedy...?

— Tak, Karenira, ta sama. Ale Kaga... zmieniła się bardzo. Prawdę mówiąc, od dobrych dwóch lat właściwie nam nie podlega. Dogadała się jakoś z Mawałą, przynajmniej na tyle, że nie wchodzi sobie w drogę. Ale do czasu... Za rok, albo dwa, Kaga będzie dość silna, by nie bać się w Górach nikogo. Szczególnie, jeśli nas już nie będzie. Właściwie, Glorm — skonstatował niespodziewanie — może ten wyjazd do Dartanu będzie miał też swoje dobre strony? Jeśli zdecydowalibyśmy, że pozostajemy, to — prawdę mówiąc — jeszcze w tym roku należałoby pobić wszystkie grupy, które podlegają Kadze, a ją samą... Lubiłem i lubię tę wojowniczkę. Na Szerń, tylko kobiety zostaną w Grombelardzie — zauważył z lekkim rozbawieniem. — Odkąd wojsko złapało starego Hagena, oprócz nas liczą się w Górach właściwie tylko Mawała i Kaga.

— Czy dobrze rozumiem, że nie zamierzacie sami ruszyć w góry? — zapytała Karenira, wracając do tematu.

Glorm i Rbit wymienili spojrzenia.

— Nie, Karenira. Prawdę mówiąc, mamy sporo różnych kłopotów nawet tu, w samym Grombie. Kiedy indziej pewnie byśmy poszli. Ale teraz... nie.

Rozmowę przerwało, dobiegające z dołu, z głębi domu, energiczne łomotanie w drzwi. Glorm zmarszczył brwi.

— Kogo przyniosło...?

Łomotanie powtórzyło się, potem znowu. Wreszcie drzwi otwarto. Glorm i Rbit poznali głos Koniarza. Odpowiedział mu drugi, obcy. Po chwili rozmowa przerodziła się w awanturę. Gospodarz wzywał pacholków.

Glorm nachmurzył się jeszcze bardziej. Wyszedł do sąsiedniej izby i wrócił po chwili, dopinając pas z mieczem.

— Sprawdź, co się dzieje — rzekł kot, ruszając ku drzwiom.

Zbiegł po ciemnych schodach i zajrzał do przechodniej izby. Inne schody wiodły stąd na pierwsze piętro kamienicy. Kiedyś szło się po nich także i wyżej, ale na żądanie (i za złoto) Basergora-Kragdoba, Koniarz dom przebudował.

Gdy Rbit dotarł na dół, z izb na parterze wybiegali właśnie dwaj służący Koniarza, każdy z tęgim kijem w garści. Gospodarz szamotał się w drzwiach z wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Na widok

służby, intruz sięgnął po miecz.

Kocur nie bardzo chciał się pokazywać, wyglądało jednak na to, że za chwilę przed domem dojdzie do paskudnej bijatyki. Jakikolwiek szum wokół tego budynku był niepożądany.

Schody zaskrzypiały.

— Na Szerń — powiedziała Karenira — znam tego człowieka.

— To go zaproś lub przepędź, tylko szybko.

Koniarz cofnął się by dać miejsce pachołkom. Ale skorzystał z tego nieproszony gość. Wtargnął do izby i natychmiast zamknął za sobą drzwi. Zaraz jednak oberwał kijem w ramię.

— Wasza godność! — zawołał gospodarz na widok Łuczniczki. — Ten człowiek...

— Znam go — przerwała.

Mężczyzna z mieczem rozepchnął zdezorientowanych służących i podszedł do niej, rozmasowując obolałe ramię. Schował broń.

— Wasza godność, musimy porozmawiać — powiedział ignorując zupełnie gospodarza domu. — To bardzo pilne i ważne, proszę!

Patrzyła z namysłem.

— Bez brody byłeś przystojniejszy, mój dartański halabardniku — zauważyła.

Z pierwszego piętra, po schodach, złązić zaczęła jakaś zaintrygowana hałasem, para w nocnych koszulach. Koniarz skinął na służbę, by pogoniła ciekawskich.

— Wasza godność — ponowił prośbę Dartańczyk — mam ważną sprawę. Proszę o krótką rozmowę, nic więcej.

— Gdzie możemy porozmawiać, gospodarzu? — zwróciła się do Koniarza, nie chcąc prowadzić obcego do Glorma i Rbita.

Wskazał drogę.

— A choćby w pokoju służby, wasza godność.

Wziął ze stołu kaganek i podał Armektance.

Poszli, gdzie powiedział. Zamknęła za sobą drzwi i chciała pytać, ale halabardnik uprzedził ją.

— Wasza godność — powiedział — człowiek, którego twój przyjaciel zabił na tyłach gospody, był szpiegiem Trybunału. I nie działał sam. Drugiego zarznąłem, dopiero co, przed tym domem i zaniósłem w ciemną ulicę. Ale jeśli każesz mi przysiąc, że nie było ich trzech — nie

przysięgnę.

Zaniemówiła.

— O czym ty mówisz, człowieku? — wykrztusiła wreszcie, osłupiała.
— Kim ty jesteś właściwie? Czemu chodzisz za mną?

Skinął głową.

— Wolałbym nie mówić. Ale zrobię to, jeśli będzie trzeba. Teraz jednak ważne jest co innego. To mianowicie, że widziano cię wchodzącą do tego domu, w towarzystwie mężczyzny i kota. Nie chcę wiedzieć, kim są. Ale jeśli by, przypadkiem, byli poszukiwani przez Trybunał, to znaczy, że znaleziono ich właśnie. Że grozi im, być może, niebezpieczeństwo, a tobie razem z nimi.

Otrząsnęła się z pierwszego wrażenia. Spostrzegła, że wciąż stoi z kagankiem w ręku. Postawiła go na stole.

— Mój panie — powiedziała — pojawiaasz się w środku nocy, nie wiadomo skąd i opowiadasz mi jakieś historie. Nie. Obawiam się, że musisz wyjaśnić mi wszystko.

Powoli, by nie wzięła tego za atak, wyjął miecz i podał jej, trzymając za ostrze.

— Dobrze, pani — odparł. — Ale teraz czas nagli, za chwilę może być tu wojsko. Weź tę broń, jeśli mi nie ufasz, zwiąż mi ręce i zostaw pod strażą tych dwóch drabów z pałkami. Potem idź do swoich przyjaciół, jeśli ci na ich bezpieczeństwie zależy i skłoń, by wynieśli się stąd dokądkolwiek. Pójdę z wami. I wszystko wyjaśnię.

Zważyła miecz w dłoniach, przygryzając wargę.

— Właściwie... czemu nie?

Odwróciła się i wyszła bez słowa.

— Pilnuj go — poleciła Koniarzowi.

Rbit czekał na schodach.

— Spotkałam tego człowieka na trakcie, parę dni temu — wyjaśniła.
— To Dartańczyk, zna mnie z Rollayny.

Powtórzyła kocurowi treść rozmowy.

Rbit namyślał się krótko.

— Idę po Glorma — oznajmił. — Powiedz gospodarzowi, żeby sprzątnął po nas izby. Jak zwykle. Wynosimy się.

Pobiegł na górę. Obejrzała się na Koniarza, ale ten skinął na znak, że słyszał słowa kota. Ruszyła więc także po schodach.

Glorm miał już na sobie kolczugę, wciągał właśnie kaftan. Zabrał swoją broń i wskazał łuczniczce jej sakwy. Podał sajdak.

— Gdzie idziemy?

— Na przedmieście, do chałupy Koniarza.

— Brama jest zamknięta — przypomniała.

— Rzecz jasna. Ale, królowo, gdybym znał z tej dziury jedno tylko wyjście, które zamknąć i obsadzić może pięciu chłopów, to by moja noga tutaj nie powstała.

Wkrótce zbiegali po schodach.

Glorm zamienił parę słów z gospodarzem. Karenira wywołała Dartańczyka. Oddała mu miecz.

— Przeszkadza mi — rzekła sucho. — I bez tego mam co dźwigać.

Bez słowa wziął jej sakwy.

Rbit wyjrzał na ulicę i ruszył pierwszy. Podzyli za nim. Starannie wystrzegając się spotkania z nocnym patrolem, szli przez uśpione miasto. Rbit wciąż prowadził, bezszelestnie przemykając wzdłuż murów, kilkadziesiąt kroków przed pozostałą trójką. Uważnie przepatrywał kolejne ciemne przecznice, nim dał znak, że droga wolna.

Zatrzymali się w nieprzyjemnym jakimś zaułku. Kocur gdzieś przepadł. Karenira dotknęła ramienia rozbójnika, ale ten uspokajająco poklepał ją po dłoni.

Czekali dość długo.

Rbit powrócił, prowadząc jakiegoś człowieka, którego sylwetka niewyraźnie majaczyła w mroku.

— Słyszałem, że zebrałeś cięgi — odezwał się Król Gór. — Jak to było?

Nie czekając odpowiedzi ciągnął:

— Rbit powiedział ci już pewnie to i owo. Bez paniki. Ale zadbaj, by twoja siostra nie szukała nas... Bez imion — ostrzegł. — Nie jesteśmy sami. Słyszałeś? — ma nas nie szukać. Niech robi, co robiła, ale ostrożniej. Dwóch wystarczy. Powtórz jej to, będzie wiedziała, o co chodzi.

Okryty mrokiem mężczyzna przytaknął.

— Szewcy — rzekł. — Co z nimi?

— To teraz mało ważne. Chociaż... właściwie dlaczego? — zreflektował się Glorm. — Dobrze. Nie chcą płacić?

— Nie.

— Starszy cechu ma dzieci?

— Czwórkę. Najstarszy ożenił się właśnie. Też ma warsztat.

— Czyli już nie chłopiec... Dobrze. Utop go w studni, blisko domu ojca. Na studni napisz jego imię, a trochę dalej imiona pozostałej trójki. Stary powinien zrozumieć. Wszystko?

— Tak.

— To wracaj pod pierzynę, do swojej lubej. Kup jej jutro ode mnie coś ładnego. Rozliczymy się przy okazji.

Klepnął mężczyznę w ramię i pchnął lekko w mrok.

— Widzisz, panie — rzekł do stojącego obok Dartańczyka, ujmując go pod rękę — teraz będziesz musiał udowodnić, że jesteś szczerym przyjacielem Łowczyni. Jeśli okaże się inaczej, to okaże się także, że słyszałeś dzisiaj zbyt dużo.

Ruszyli ku murom miejskim.

9.

W domu uzdrawiacza koni znaleźli się o świcie. Przysadzisty pacholek, pomocnik Koniarza, najwyraźniej upił się wieczorem straszliwie, korzystając z nieobecności pryncypała, bo zwleczony z brudnego barłogu, wyglądał zupełnie jak świnia. Glorm przekazał mu wiadomość od znachora, ale równie dobrze mógł nie powiedzieć ani słowa, pacholek bowiem obejmował tylko głowę i śmierdział jakąś trucizną, odbijającą mu się nieustannie. Zniecierpliwiony rozbójnik kopnął go wreszcie i zostawił w spokoju.

Znaleźli trochę czerstwego chleba i sera oraz gigantyczną, nadgryzioną co prawda, kaszanke. Popijali winem, skrzywieni, bo było równie zacne jak pacholek.

— Wszyscy, zdaje się — zagał wreszcie Król Gór — niewiele spaliśmy ostatnio. Szkoda zatem czasu. Mów, panie, co masz do powiedzenia.

Dartańczyk skinął głową.

— Jestem A.Vilan, halabardnik gwardii Księcia Przedstawiciela w Rollaynie.

— Były halabardnik — wtrąciła złośliwie Karenira. — Jadący do

Złego Kraju.

— To nieprawda — zaprzeczył.

Pokazała gestem, że wie.

— Wtedy, na gościńcu, poprosiłem, pani, byś przyjęła mnie na służbę. Nie było to całkiem uczciwe... bo służę już komu innemu.

— Komu?

— Jego godności A.B.D.Baylayowi... twojemu małżonkowi, pani.

Rbit i Basergor-Kragdob wymienili spojrzenia. Armektanka siedziała nieruchoma, z rozchyłonymi ustami. Sprężyła się nagle i Glorm już sięgał, by pochwycić ją, zanim rzuci się na Dartańczyka. Kobieta jednak pozostała na miejscu.

— Czy to żart? — zapytała.

— Nie, pani — odparł powoli A.Vilan. — Proszę, nie gniewaj się na mnie. Jestem tylko narzędziem, najemnikiem. Zapłacono mi więcej, niż zarobiłem dotąd przez całe swoje życie, wykonuję więc sumiennie swoją pracę. Tylko tyle.

— Tylko... tyle? — zapytała z niebotycznym zdumieniem. — Jesteś... płatnym szpiegiem... i mówisz: „tylko tyle”?

— Nie jestem szpiegiem — zaprzeczył Dartańczyk. — Nie mam obowiązku powiadamiać jego godności Baylaya o czymkolwiek. Mam cię chronić, pani. Najlepiej jak umiem.

— Halabardnik?... chronić?... Łowczynię?! — pytała urywanie, z coraz większym zdumieniem i gniewem. — Nie, na Szerń... To jakaś kpina! I ON cię wysłał?!

Wstała

— Wasza godność — Dartańczyk wciąż mówił spokojnie, jakby nie wiedząc, że spokój mężczyzny jest tym, co najbardziej rozjusza zdenerwowaną kobietę — jestem... czy też raczej byłem...

Skoczyła na niego. Glorm, czujny i przygotowany, przechwycił ją zręcznie. Dostał za to w szczękę, a potem łokciem w brzuch, równie dobrze jednak mogłaby rąbnąć kolejno podkowę i stalowy kirys topornika.

— Puść mnie, na wszystkie moce!! — zawyła. — Zabiję go! Ooooo! Zabiję!

— No dlatego trzymam! — huknął na nią tak potężnie, że znieruchomiła. — Dajże mu powiedzieć do końca!

Nie puścił. Wydyszała się i uspokoiła.

— Byłem — podjął Vilan, na wezwanie kocura — wywiadowcą Trybunału Imperialnego w Rollaynie.

Wiadomość wywarła wrażenie.

— Halabardnikiem także — uzupełnił, kierując słowa do Rbita, jakby bał się nowego wybuchu Armektanki. — Ale jednak przede wszystkim tajnym wywiadowcą Trybunału. Może to tłumaczy, dlaczego bez większego trudu rozpoznałem „opiekunów” jej godności. W „Górskim Wietrze” byliście bardzo nieostrożni. Gdy przyłapie się nocnego złodzieja, może warto nie tylko go zabić... ale jeszcze obszukać.

Glorm, raczej obejmujący już, niż trzymający Karenirę, po raz drugi wymienił spojrzenie z przyjacielem.

Dartańczyk sięgnął w zanadrze.

— To są pisma (oczywiście fałszywe) które miały być podrzucone jej godności. Wynika z nich, że działała na szkodę imperium... Rzekomy złodziej nie tylko, że nie chciał nic zabrać, to próbował jeszcze zostawić... Gdyby się udało, rano, albo jeszcze w nocy, przyszliby żołnierze. Dowód znaleźliby w sakwach... Przekazano by jej godność w ręce Trybunału. Co chciano usłyszeć — nie wiem. Ale pewne, że powiedziałyby wszystko.

— Śledziłem człowieka, który szedł za wami — kończył Vilan. — Ale w ciemnościach nie miałem żadnej pewności, że sam nie jestem śledzony. Mało prawdopodobne, by tak było. Ale jednak możliwe. Jakim sposobem — zapytał, znów zwracając się do kocura — nie dostrzegłeś, panie, że ktoś idzie za wami?

— No właśnie — zamyślił się Rbit. — Gdyby nie ta drobna niejasność, uwierzyłbym pewnie, panie, w twoją historię...

— Jesteś nieomylny i zawsze tak samo czujny, wasza godność?

Rbit stulił uszy.

— Obalajmy mity — rzekł, z ponurą ironią, do łuczniczki. — Nie jestem.

— Zresztą biegłem przodem — dorzucił — wypatrując raczej patroli wojskowych, niż wieczornych pijaczków czy włóczęgów...

Dartańczyk uniósł trochę brwi i skąpym gestem rozłożył ręce.

Przez chwilę trwała cisza.

— Te pisma, których jeszcze nie czytałam — powiedziała wreszcie Karenira, spokojnie już oparta na obejmujących ją w talii ramionach

olbrzyma — nie mogą być dowodem, że mówisz prawdę. Kto zaręczy, skąd naprawdę je masz? I do czego miały ci służyć?

Wydobył pierścień, zawieszony na łańcuszku na szyi.

— Poznajesz, pani? Wiele takich widziałaś?

Zacisnęła usta, rozpoznając wielki szmaragd Baylaya.

— Czy ukradłem go z palca twego męża? A może kupilem?

— Nie mów do mnie tym tonem, Dartańczyku! — zaperzyła się znowu. — Tak czy inaczej, jesteś dla mnie tylko JEGO szpiegiem! I przestaniesz nim być, jak tylko puści mnie to drzewo! — powtórnie wpadła we wściekłość. — Na Szerń, zgodnie z prawem oddałam mu na piśmie jego nazwisko i wolność! A wzięłam... wzięłam sobie własną! — aż się zachłysnęła — Wzięłam sobie! Nie po to, żeby jakiś halabardnik i szpicel ją zohydził!

— Dlaczego ludzie Trybunału nie czekali, aż Łowczyjni doprowadzi ich do nas? — zagadnął Glorm, pragnąc rozwiać ostatnie wątpliwości, ale przede wszystkim, odwrócić uwagę Armektanki.

— No? Dlaczego? — podjęła wojowniczo.

— Dość długo wasza godność tkwiła w tym zajeździe, nic nie robiąc. Ja sam myślałem, odnalazłszy cię tam, że jedynym twoim celem jest, pani, picie piwa... A ci ludzie, oni odnaleźli cię jeszcze później. Skąd mieli wiedzieć, że przyjechałaś do Grombu, by spotkać swoich przyjaciół?

Sposepniała nagle.

— Chyba wiem, skąd... Na Szerń, uwierzyłam w układ z żołnierzem, myślałam...

Pokręciła głową.

— No, komendancie, tym razem legia będzie miała naprawdę duży powód, żeby mnie nie lubić...

*

Podoba mi się ten człowiek — rzekł niegłówno Glorm, gdy Dartańczyk i Karenira zasnęli. — Jak mówisz? Kłamie?

— Wątpię — odparł kot.

— A może dopiero teraz wpadliśmy w zasadzkę, Rbit? Może to jest prawdziwy i jedyny szpieg Trybunału?

— Dartańczyk? I z tym pierścieniem? Zresztą tym razem na pewno nikt nas nie śledził. Miałyby działać samotnie? Wystarczy nie spuszczać go z oczu, by udaremnić mu wszelkie wrogie zamiary. Co robi? Otruje nas

może? Zadusi?

— Prawda.

— Śpij, Glorm. Będę czuwał. Potem cię obudzę... na wartę.

Glorm uśmiechnął się lekko, położył ramiona na stole, a głowę na ramionach.

— Rbit? — powiedział cicho. — A pamiętasz nasze pierwsze warty w Górach?

Zamknął oczy.

— Ależ się wtedy bałem...

10.

Był środek lata. Dzień — ponury, jak zwykle w Grombelardzie — miał się ku końcowi. Drobnym dokuczliwym deszczykiem padał od południa, nie słabnąc ani nie przybierając na sile. Niesiony na ramionach jednostajnego wiatru, szeleścił monotonicznie, pokrywając górski trakt brudną wilgocią.

Tętent kopyt łatwo przebił się przez szum wiatru i szmer deszczu. Coraz wyraźniejszy i bliższy — umilkł nagle. Potem rozległo się rżenie wierzchowca i nowy tupot kopyt, ale teraz w jego tle rozbrzmiały, niewyraźne jeszcze, odgłosy galopu wielu koni.

Był niewielki lasek — właściwie parę drzew — między którymi przebiegała droga. Smutne górskie świerki nie pozwalały dostrzec jeźdźca — aż wypadł nagle spoza nich. Koń zarżał znowu, boleśnie i krótko... jego krok nie był już galopem, ani nawet kłusem. Zwierzę potknęło się i zatrzymało. Jeździec obejrzał się, jeszcze raz zranił ostrogami pokrwawione boki wierzchowca, po czym zeskoczył z konia. W tej samej chwili koń klęknął ciężko, zachwiał się i padł.

— Przekleństwo! — wrzasnął jeździec, odskakując na bok i dobywając miecza.

Śpiewny język słonecznego Dartanu, tutaj zdawał się być zupełnie nie na miejscu. A przecież miał chyba moc magiczną, bo oto z zakrętu drogi, wijącej się serpentynami ku północy, wypadł z łomotem i tętentem potężny oddział jeźdźców. Samotny człowiek z mieczem nie widział ich jeszcze i nie słyszał, chłonąc o wiele bliższy łomot kopyt pomiędzy świerkami. Jeszcze chwila — i wyłoniło się spoza nich kilka koni,

dosiadanych przez ludzi w hełmach i szarych płaszczach. Dartańczyk przygotował się do walki, ale żołnierze wstrzymali wierzchowce, w osłupieniu patrząc poza jego plecy. Właściciel zajeżdżonego konia obejrzał się i krzyknął z radości, uciekając pod skalną ścianę na poboczu drogi.

Kilkadziesiąt koni licząca gromada przewaliła się obok niego i wpadła na legionistów, próbujących uciec między drzewa. Ktoś wrzasnął przeraźliwie, zadźwięczało razi i drugi żelazo, potem jeszcze jeden krzyk — i wszystko umilkło. Jeźdźcy podeskakiwali z siodeł. Wszyscy byli znakomicie uzbrojeni, w kolczugach i z mieczami; przy każdej kulbace wisiła też kusza. Kilku ludzi, odrzuciwszy na plecy szare i brunatne peleryny, takie jak u żołnierzy, ruszyło ku cudem ocalałemu mężczyźnie.

— Naprawdę w ostatniej chwili! — powiedział Vilan, chowając broń do pochwy i ruszając naprzeciw.

— W ostatniej! — krzyknęła Karenira. — Na wszystkie moce, czy potrafisz coś więcej, jak doprowadzać mnie do wściekłości?! Bohaterze?!

— Nie gniewaj się na mnie, wasza godność...

— Ja oszaleję — powiedziała Armektanka. — Obojętne, co zrobi, zawsze i zawsze „nie gniewaj się”!

— Czy ja też mam się nie gniewać? — zapytał sucho Basergor-Kragdob. — Jesteś nieobliczalny, Vilan. To nie ty miałeś jechać do Riksu.

— Wasza godność — powiedział Dartańczyk — poniosę taką karę, jaką uznasz za właściwą. Złamałem rozkaz. Ale jeszcze przez jakiś czas pozostaję na służbie jego godności Baylaya. I będę brał na siebie każde niebezpieczeństwo, jakie zagrozi Łowczyni.

— Jesteś nieobliczalny, Vilan — powtórzył rozbójnik.

— Nieobliczalny? — złościła się Karenira. — To wariat!

— Może — zgodził się niespodziewanie Dartańczyk. — Dobrze, że przyszlście mi z pomocą.

— Rbit został pod Badorem — rzekł Kragdob — a ja wziąłem paru ludzi i wyskoczyłem na trakt, jak tylko stało się jasne, że pojechałeś na ten... samotny rekonesans. Więc jednak miałem rację mówiąc, że samotny, uzbrojony człowiek nie przejedzie tym gościńcem spokojnie... Delone — powiedział do milczącego mężczyzny, najwyraźniej z trudem tłumiącego wesołość, stojącego dwa kroki z tyłu — wyślij silne patrole w stronę Riksu. Twój przyjaciel, być może, ściągnie tu cały garnizon. I nie

ciesz się tak bardzo.

Mężczyzna mrugnął do Vilana, po czym odszedł.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytała Karenira, bardziej już z ciekawością niż gniewem.

Dartańczyk wzruszył ramionami.

— Całe miasto to jedne koszary. Z dziesięć razy opowiadałem się patrolom. Prawda jest, że na każdego, kto nosi przy sobie choćby nóż, patrzą tam teraz jak na szpiega z Gór. Krzyczysz na mnie, pani, ale przecież nikt nie chciał, żebyś ty jechała. Kobieta z łukiem... czy nawet bez, za to tak zwracająca uwagę jak ty... Natychmiast odstawiono by cię do gmachu Trybunału. Na wszelki wypadek.

Pokręciła głową.

— Co jeszcze? — pytał Glorm, którego żywo interesowało sprawozdanie zwiadowcy.

Vilan zaczerpnął tchu.

— To samo co w Badorze — powiedział. — W garnizonie nie bardzo, zdaje się, wiedzą co oznacza ta wojna w Górach. Tak czy inaczej, duże siły gotowe są do wyjścia z miasta. Trybunał dolewa oliwy do ognia. Boję się, wasza godność, że tam, gdzie się wybieramy, pójdzie cała Legia Grombelardzka...

Glorm zamyślił się. Karenira, zerkając nań spod oka, wcale się temu zamyśleniu nie dziwiła...

Przedziwna wojna wybuchła zupełnie nagle, omal z dnia na dzień. Zbagatelizowana sprawa fałszywych władców Gór z Sępiej Przełęczy, wypłynęła wkrótce po zakończeniu sławetnej narady urzędników i żołnierzy w Grombie. Tewena, badorska rezydentka Króla Gór, donosiła że... oddziały Basergora-Kragdoba zaatakowały, w okolicach Cięcia, grupy Mavali i Kagi. Mavala odpowiedziała natychmiast wyrzynając w jednej z górskich kryjówek oddział Kagi, nominalnie podległej Kragdobowi; nie wiedziała jeszcze, że Kaga także została napadnięta. W to wszystko wplątali się legioniści, wysłani przez Egedena tropem bandy, która spaliła „Pogromcę”. Dali komuś łupnia, zaraz potem sami zebrali tęgie baty i pchnęli do Badoru gońców, prosząc o posiłki. Nim rzecz wyjaśniono, pośród szczytów i grani trwała już w najlepsze dzika, nie kontrolowana przez nikogo wojna, w której wszyscy walczyli ze wszystkimi.

Rbit spotkał się w Badorze z Teweną, po czym wrócił do Grombu. Sytuacja była poważna. Już trzy dni później wojskowi komendanci Badoru i Riksu otrzymali listy, sygnowane znanym w całym Grombelardzie, wojennym przydomkiem... „Wasza Godność” — pisał Basergor-Kragdob do każdego z nich „proszę powstrzymać się z jakimikolwiek działaniami w Górach. To co się w nich dzieje, nie jest sprawą Legii. Zaprowadzę spokój w dwa tygodnie, ale jeśli wojskowe oddziały pozostaną w Górach, mogą zostać zmiecione wraz z wszystkimi innymi. Nasz wspólny interes wymaga, by do podobnego konfliktu nie doszło...”

W Badorze jednak apel Króla Gór pozostał bez odpowiedzi. Komendant garnizonu, naciskany mocno przez Trybunał, nie mógł po prostu, choćby nawet chciał, siedzieć beczynn timer. Urzędnicy udowadniali, że waśń między rozbójnikami niezwykle sprzyja działaniom legii cesarskich. Było akurat odwrotnie: po pierwsze, wojska Drugiej Prowincji w ogóle nie były przygotowane do podjęcia — z dnia na dzień — operacji na tak dużą skalę; po drugie, ich interwencja mogła przyczynić się łatwo do zażegnania sporu między Kragdobem, Kagą i Mawalą — bez względu na wszystko, wojska imperialne były wrogiem głównym i najważniejszym, na dodatek takim, z którym nie łączyły nigdy (i łączyć nie mogły) żadne interesy. Tak więc badorczyacy szykowali się do wymarszu w Góry z duszą na ramieniu, bojąc się nawet zgadywać, co będzie, jeśli wszystkie bandy z okolic Cięcia dogadają się nagle i — wsparte siłami Basergora-Kragdoba — skoczą im do gardeł.

W Riksie działano z większą starannością i rozważą (górska wojna toczyła się w końcu koło Badoru, nie Riksu); jednak i tam — jak powiadał Vilan — Żołnierze byli gotowi do wymarszu. No cóż...

Z czysto wojskowego punktu widzenia, należało pozostawić zwaśnionych górali samym sobie, pozwalając by wykrwawili się nawzajem... i może dopiero później wygnieść osłabionych zwycięzców. Najwyraźniej jednak Namiestnicy Trybunału nie umieli myśleć w podobnie dalekosiężny sposób; może dlatego, że prostota żołnierskiego rozumowania wydawała im się co najmniej podejrzana... Nastawieni byli na natychmiastowe działanie, choćby jego efekt miał być tylko doraźny.

Tak czy inaczej — obecność wojsk w górach oznaczała kłopoty dla wszystkich. Kragdob mógł ściągnąć w rejon Badoru praktycznie dowolne

siły, jednak otwarta wojna z Legią Grombelardzką była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Z całą pewnością mógł odnieść teraz zwycięstwo, choćby nawet drogo okupione. Jednak oznaczało ono nic więcej, jak gigantyczną obławę w przyszłym (a może jeszcze tym samym) roku.

Karenira widziała wszystkie te kłopoty zupełnie wyraźnie. Doprawdy: Król Ciężkich Gór miał powody, by popadać w głęboką zadumę.

— Glorm — powiedziała — może warto rozpocząć poważne układy? Pokiwał głową.

— Może warto... Ale Karenira, komendanci legii nie zależą tylko od siebie. Gdyby tak było, wystarczyłyby same moje listy.

— Dlaczego więc chcesz rozmawiać z komendantami?

— A z kim? Z Trybunałem?

Spojrzał bacznie.

— O czym myślisz?

— O rozmowie z kimś, kto może wszystko. Kto nie boi się Trybunału... ani nikogo innego.

— Niezwykłe miewasz pomysły.

Znów się zadumał.

— Chociaż jego wysokość Ramez to podobno człowiek niegłupi... Tylko kto pójdzie do niego? Ja?

— Nie, Glorm. Ja.

Zaskoczony, zrobił nieokreślony gest ręką.

— Chcesz prowadzić rozmowy w imieniu króla rozbójników? To cię zniszczy, wasza godność. Zamierzasz przecież pozostać w Grombelardzie? Będiesz odtąd dla wszystkich zwykłą rozbójniczką!

— „Prowadzić rozmowy”... „w imieniu”... — wydeła wargi. — Po prostu gotowa jestem pośredniczyć. Nigdy nie kryłam przed nikim, że dogaduję się z przebiegaczami Gór. Poradzę sobie.

— To może być niebezpieczne — wtrącił Vilan. — A jeśli...

— Nie gniewaj się na mnie, wasza godność — przerwała, naśladowując jego sposób mówienia — ale jeśli zaraz nie zamilknie, poproszę, by cię zakneblowano.

Glorm odwrócił się i skinął na paru swoich ludzi.

— Nie musisz prosić — powiedział. — Jego godność Vilan jest zbyt wrażliwy na twoje bezpieczeństwo, by pozostawić mu jakąkolwiek

swobodę. Poczekaj w sznurach, aż wrócisz. Zwiążcie go!

Vilan chciał protestować, ale draby, które go pochwyciły, nie wdawały się w żadne dyskusje.

11.

I znów była w Grombie.

Najpierw zobaczyła się z Arma. Do spotkania doprowadził Raner — siłacz, którego pałka pozostawiła, swego czasu, trwały ślad na głowie Pani Gór... Raner mieszkał u swojej kochanki, niebrzydkiej mieszczyki; jej sypialnia może nie bardzo nadawała się do takich spotkań, ale była miejscem bezpiecznym.

Karenira знаła Arme... przelotnie. Trudno powiedzieć, żeby się lubiły. Jednak sprawy, które czekały na załatwienie, nie pozostawiały czasu na wzajemne niechęci.

— Jeszcze dziś — zagaiła Arme... — a najpóźniej jutro, muszę zobaczyć się z Księciem Przedstawicielem.

Arma, choć żądanie było co najmniej zaskakujące, nie okazała zdziwienia.

— Zobaczyć się z Księciem... — powtórzyła. — Nie będzie to sprawa prosta. O co chodzi?

Karenira przedstawiła sytuację.

— Dobrze — blondynka skinęła głową. — Rozumiem, że najlepiej, gdyby było to spotkanie poufne? Zresztą, na oficjalne posłuchanie czekać można i tygodniami. Prawda, że ciebie, Łowczynię, pewnie by przyjęto... — zastanowiła się.

— Nie. Chcę widzieć się z jego wysokością w cztery oczy.

— Mam kilka pomysłów... Ale najpierw chcesz wiedzieć, pani, jakim człowiekiem jest Książę?

— To i owo słyszałam... Ale powiedz mi wszystko, co wiesz, pani.

Arma uśmiechnęła się leciutko.

— Nie jem darmo chleba, wasza godność... Jestem tu po to, żeby wiedzieć wszystko. A w każdym razie jak najwięcej. Jeśli zacznę wyklądać ci całą swoją wiedzę, choćby na jeden tylko temat, z całą pewnością nie skończę do jutra... Co konkretnie cię interesuje? Zalety? Wady?, słabostki? Może przyzwyczajenia?

— To i parę innych rzeczy — potwierdziła łuczniczka.

— No dobrze. Ale najpierw muszę jeszcze uprzedzić, że nie za wszystko, co wiem mogę ręczyć. Książę Przedstawiciel nigdy mi się nie zwierzał. Połowa mojej wiedzy to pogłoski i plotki. Weź to pod uwagę.

— Wezmę z całą pewnością.

— No dobrze. Jego wysokość N.R.M.Ramez to oczywiście Armektańczyk. Młody, bo trzydziestosześcioletni. Nigdy jeszcze Grombelardem nie rządził tak młody człowiek. Owdowiał przed dwoma laty, ale wszystko wskazuje na to, że wkrótce zostanie cesarskim zięciem — może już tej jesieni. Pochodzi z jednego z najświetniejszych armektańskich rodów...

— ...w prostej linii wywodzącego się z książęcego rodu Sar Soa. Rozmawiasz z Armektanką, pani — przypomniała nieco uszczypliwie, Karenira. — Takich nazwisk jest w Armekcie ledwie kilka; Armektanka Czystej Krwi nie może o nich nie wiedzieć. Ramez jest...

Chciała dodać coś jeszcze, ale zrezygnowała.

— To tym lepiej — skwitowała Arma. — Wiesz więc, a jak nie wiesz, to łatwo zrozumiesz, że sam cesarz musi liczyć się z człowiekiem, którego ród dzierży majątek niemal równie wielki jak dobra cesarskie w Armekcie. Mówi się po cichu, że zaręczyny z cesarzówną zostały omal wymuszone przez ojca naszego Księcia, pragnącego, by jego nazwisko błyszczało jeszcze świetniej, niż dotąd. Nikt nie wróży szczęścia temu związkowi, bo — krótko mówiąc — Ramez cieszy się opinią brutala i despoty, nie znoszącego sprzeciwu i nie słuchającego nikogo, oprócz siebie.

— Czy to prawda?

Arma pokręciła głową z boku na bok: tak i nie.

— Prawdą jest, że poprzedni Książę Przedstawiciel pozostawił tu po sobie istną armię zramolałych durniów, gotowych radzić przez tydzień o niczym... Jego wysokość Ramez i tak dość długo wytrzymywał ich głądzenie, dopiero niedawno przegnał wszystkich na cztery wiatry. Ale zdaje się, że wybrawszy sobie nowych doradców i nowy dwór — nadal nikogo nie słucha.

— Mhm...

— O niełatwym charakterze Księcia Przedstawiciela mówi się teraz szczególnie dużo... ale ja widzę pewną przyczynę. Ramez dopiero co

musiał się ugiąć przed najpotężniejszą instytucją cesarstwa, Trybunałem Imperialnym mianowicie. Jego wysokość nienawidzi urzędników, widząc w każdym chyba szpiega swego przyszłego teścia; szpiega, który nic, tylko będzie węszył wokół jego małżeńskiej sypialni. Najchętniej by ich wszystkich z Grombelardu wyrzucił.

— O widzisz... — szepnęła słuchająca uważnie Armektanka, przygryzając lekko paznokiec.

— Jednak pomimo charakteru despoty — podjęła Arma — jest to człowiek bardzo wykształcony i mądry. Zna doskonale grombelardzki i dartański, podobno rozumie też po garyjsku. Zna się wybornie na wojsku — zreorganizował garnizon Grombu, oficerowie do dziś kręcą głowami, wspominając jego niebywałą znajomość rzeczy. Rozmawiał z trójkowymi i dziesiętnikami tak, jakby sam był jednym z nich. Wiedział, dlaczego buty cisną żołnierzy i co trzeba poprawić w przeszywanicach, żeby kolczugi układały się dobrze. Równocześnie jednak wydaje się, że on... jakby tu rzec... bardziej kocha wojsko niż wojnę. Chciałby mieć pięknych żołnierzy, pięknie uzbrojonych i wyposażonych, ale myśl, że coś tak ładnego i udanego może zepsuć się w bitwie, pobrudzić, zdekompletować — jest mu szczerze przykra. Co nie znaczy wcale, że on sam jest jakimś tchórzem... Nie wiem — czy mówię dość jasno?

— Bardzo jasno — mruknęła zachwycona Karenira. — Więc Legia Grombelardzka to zabawka, tak? Błyszcząca zabawka?

— Właśnie tak. A najbardziej garnizon Grombu.

— Na Szerń... Dogadam się z Księciem, to pewne.

Grombelardka sposepniała.

— Nie wiem. Gdyby to było takie proste, Rbit już dawno wszedłby z księciem w układy. Rzecz w tym, pani, że w stosunku do tego człowieka wszelkie rachuby zawodzą. Przedstaw mu podczas oficjalnego posłuchania, propozycję, prośbę, czy cokolwiek, a on zaraz skrytykuje ją, nazwie niedorzeczną i odrzuci — czasem tylko dlatego, żeby cały dwór mógł podziwiać jego stanowczość i siłę,

— Ale w cztery oczy?

— No cóż, spróbujemy właśnie w cztery oczy. Choć, prawdę powiedziawszy, nie jest to bezpieczna zabawa.

— Co lubi? — zapytała Karenira. — Jakie przyjemności? Rozrywki?

— Kocha stare roczniki, czytuje je często do późnej nocy.

— I co jeszcze?
— Jeszcze... hm, jeszcze krzyzące kobiety.
— Nie rozumiem...?
— Rozumiesz.
— Ou... — zmarszczyła się Armektanka. — No nie wiem... mój entuzjazm dla spotkania z Księciem słabnie.
— Prawda? — stwierdziła sarkastycznie tamta.
— Ech, nie wierzę... — mruknęła jednak po chwili Karenira, znów przygryzając palec. — Wiesz na pewno?
Arma zachnęła się.
— Myślisz, że wziął mnie do swojej sypialni?
Przez chwilę milczały.
— Zdaje się, że masz jakiś plan?
— Tak — potwierdziła Arma.
— No więc? — ponagliła Armektanka, bo cisza znów się przedłużała.
— Najpierw... Słuchaj, powiedz...
Łuczniczka ze zdziwieniem zobaczyła lekki rumieniec na policzkach Army.
— Karenira — rzekła blondynka, po raz pierwszy po imieniu — ten twój Dartańczyk... Co z nim?
„Ten JEJ Dartańczyk”... Armektance zachciało się śmiać. Prawda, Vilan i Arma poznali się w Grombie. Blondynka najwyraźniej wpadła halabardnikowi w oko, ale któż by mógł przypuścić... że i w drugą stronę.
— Hej! — powiedziała wesoło. — „Mój Dartańczyk”? Miałam już jednego... Wystarczy.
Kiwnęła głową.
— Ma się dobrze — powiedziała krótko. — Pytał mnie o ciebie.
— Pytał o mnie? — miało to zabrzmieć obojętnie.
— Pytał — przytwierdziła Karenira, trochę ubawiona nieoczekiwaną, dziewczęcą wstydlivością Army. — Ale słyszałam, że ty zarzuciłaś się na Glorma?
— Tak mu powiedziałaś? — przeraziła się blondynka.
— No... prawie. Powiedziałam, że jesteś jak twierdza.
— I co on...?
— Hm, myślę, że będzie oblegał.

12.

W Rollaynie zdążyła przywyknąć, że pałac Księcia Przedstawiciela Cesarza jest wielki, jak cały Gromb. Tym trudniej było jej się odnaleźć w ponurej, starodawnej warowni zbójeckiej (prawda, że bogato urządzonej) w której rezydował Przedstawiciel grombelardzki. Stale miała wrażenie, że jest raczej w komendanturze miejskiego garnizonu, niż w domu pierwszego człowieka prowincji.

Arma, wciąż jeszcze (i za długo, zdaniem Rbita) będąca krewniaczką doradcy Rameza, bez żadnych kłopotów wprowadziła na zamek nową służącą. Miało to być jej ostatnie zadanie, dalsze ciągnięcie gry wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Jeszcze tego samego dnia wyjeżdżała (dla wszystkich) do Rahgaru i dalej — do Londu. Prawdę mówiąc, nie obchodziło to nikogo, podobnie jak sama osoba mało znanej panny, kuzynki tytularnego doradcy, którego opinii Książę Przedstawiciel nie słuchał i słuchać nie zamierzał.

O ile wejście do książęcej rezydencji było wcale łatwe, o tyle dotarcie w pobliże apartamentów Przedstawiciela — niesłychanie trudne. W Grombie działo się akurat tak samo, jak wszędzie, gdzie dostojna osoba oblepiona była tłumem dworaków... Posępna warownia, pewnie dość duża dla herszta rozbójników — była dziesięć razy za ciasna dla niemal królewskiego dworu. Choć kilkakrotnie przebudowywana, twierdza w żaden sposób nie mogła pomieścić tych wszystkich, którzy przy osobie Księcia powinni — lub po prostu mogli — się znajdować. Pomieszczenia mieszkalne utworzono wszędzie, nawet w dawnych magazynach i spichrzach; już dworacy średniej rangi byli uszczęśliwieni, jeśli mieli do dyspozycji... ciasną izbę w czworokątnej baszcie.

Istny tłum mieszkańców rezydencji, urzędników i petentów, żołnierzy i służby, pozwalał na ukrycie się, niczym w gęstym lesie. Tym bardziej nieliczne, z trudem wygospodarowane, nie dla wszystkich dostępne pomieszczenia, strzeżone były nieustannie.

Arma łatwo wynalazła miejsce, gdzie można było zobaczyć się z Ramezem sam na sam: Komnatkę w kilkakrotnie podwyższanym, ponurym donżonie. Niemal każdego wieczoru Książę Przedstawiciel udawał się tam, by czytywać — czasem do białego rana — jakieś

zapomniane roczniki, zapoznawać się z treścią wiekowych, stęchłych kronik.

Należało jednak do owej komnatki dotrzeć. Nie dość, że zamknięta — była jeszcze strzeżona.

Arma pokazała swej czarnowłosej służącej, jak dojść do samotni Księcia Przedstawiciela i wyjaśniła, na czym polega trudność. Armektanka przyjęła rzecz do wiadomości.

— Masz dzisiaj wyjechać — powiedziała — Więc wyjedź. Rbit ma słuszość: pora, żebyś stąd znikła. Cokolwiek dziś załatwię albo nie załatwię, jego wysokość może zastanowić się, kto mnie wprowadził na zamek.

— Poradzisz sobie?

Karenira potwierdziła, uśmiechając się lekko.

*

Była noc. Wiatr, wpadający wraz z deszczem przez wążutkie, wykute w grubym murze okienko, chybotał płomieniami pochodni, zatkniętych w uchwyty przy masywnych, okutych miedzianą blachą drzwiach. Wtulona we wgłębienie przy okienku, zmarznięta, czekała cierpliwie. Od czasu do czasu wychylała lekko głowę z cienia, ale żołnierzy tkwiących u drzwi nie widziała. Siedzieli na ławie i dostrzec mogła tylko łuczywa, migoczące nad ich głowami.

Była już chyba północ, gdy na krętych schodach poniżej rozbrzmiały kroki, a zaraz potem zajaśniał poblask kilku pochodni. Wkrótce minęli ją dwaj żołnierze, zaraz za nimi dwaj następni. Ci byli uważniejsi. Dwie włócznie jednocześnie nastawiły się ku jej piersi i natychmiast zawołano:

— Wasza wysokość!

Zaraz oświetliły ją pochodnie.

Ubrany w czerń człowiek, średniej tuszy i średniego wzrostu, popatrzył badawczo.

— Kim jesteś i co tu robisz? — zapytał niegłośnie, ale tonem nie dopuszczającym najmniejszej zwłoki w odpowiedzi.

— Zdumiewającą kobietą wasza wysokość — odparła leniwie, po armektańsku, nie unosząc wzroku. — Trochę Armektanką... Trochę Grombelardką... — dodała w miejscowym języku — a trochę Dartanką — zakończyła po dartańsku.

Odczekał krótką chwilę.

— Za to na pewno nie służącą — stwierdził zimno. — Zadałem dwa pytania. Szybko, nie mam czasu.

— Wasza wysokość — zapytała — co ze mną zrobisz? Kazesz pojmać i wtrącić do lochu?

— Zuchwała — zdziwił się.

Zmarszczył brwi i popatrzył bacznie, postępując pół kroku naprzód.

— Oczywiście, wasza wysokość, że już mnie widziałeś, i to z bliska... — uniosła swe niezwykle oczy. — Mój pan i małżonek zaraz po tobie wręczał ślubne podarki pewnej młodej parze w Rollaynie... Wiedziałeś już wtedy, że utkwisz w Ciężkich Górach?

Mężczyzna w czerni postąpił jeszcze krok naprzód, rozepchnął żołnierzy i odebrał jednemu pochodnię.

— Najczarniejsze włosy w Dartanie... — szepnął. — Jej godność...

— A.B.D.Karenira. Najbardziej oplotkowana kobieta Rollayny. Już zapomniałeś, Książę? Widać zbyt rzadko gościłeś pod mym dachem...

— Co robisz na tych schodach, wasza godność? Co robisz w Grombelardzie?

— Marznę, książę.

— Ależ chodź!

Zwrócił się do swojej eskorty.

— Grzane wino, miód, kubek gorącego bulionu. Płaszcz podbity futrem. Natychmiast.

Znów spojrzał na kobietę.

— Chodź ze mną, wasza godność!

Zimna, kamienna komnatka przypominała pracownię jakiegoś dziejopisarza. Był w niej stół, wygodne krzesło, wąskie łóżko pod ścianą i pulpit do pisania — to wszystko. Oprócz tego parę ksiąg, jakieś poczerńnięte ze starości pergaminy, przybory do pisania i wiele czystych kart.

Wskazał łóżko.

— Zapomnij, że tu jestem, pani — powiedział. — Te futra są ciepłe i miękkie. Skorzystaj z nich, nie chcę widzieć, jak drżysz.

Nie dała sobie powtarzać dwa razy. Zrzuciła trzewiki i usiadła na łóżku, podwijając nogi. Okryła się szczelnie.

— I mów, mów! — ponaglił. — Co tu robisz? Skąd ty tutaj? W nocy, na tych schodach... W takiej sukni! Jakże możesz się dziwić, że cię nie

poznałem? Czy coś się stało? Na Szerń, czemu nie przysłaś, wasza godność, za dnia? Na sam dźwięk tego nazwiska wyrzuciłbym wszystkich za drzwi i poświęcił ci tyle czasu, ile byś zażądała!

Otulona futrami, zaczęła bezradnie kręcić głową na znak, że nie zdoła odpowiedzieć na wszystkie pytania jednocześnie.

— Wasza wysokość — powiedziała — wiem, że spotkanie jest niecodzienne... ale po prostu nie chciałam, by zbyt wielu ludzi widziało nas razem. A już nie życzę sobie, by wyszło na jaw, że znamy się z Rollayny.

— Czy coś ci grozi, pani? — spytał niespokojnie.

— Nic.

— A zatem wszystko dobrze. Wybacz, wasza godność, moje nagabywanie... ale naprawdę spodziewałbym się ujrzeć wszystko, tylko nie ciebie stojącą w tej zimnej i ciemnej niszy.

Usiadł na krześle, ale zaraz rozejrzał się po komnatce i widząc, że płonie tylko jedna świeca, wziął ze stołu dwa kandelabry. Wkrótce zrobiło się jasno.

— Jej godność A.B.D.Karenira — powtórzył niedowierzając. — Jedna z pierwszych kobiet Dartanu!

— No, no, wasza wysokość! — zaśmiała się. — Ani jedna z pierwszych, ani... może pierwszy skandal Rollayny, z tym się zgodzę. Nie mów mi, że nie słyszałeś, księżę... „Grombelardzka dzikuska”, która „owładnęła jego godnością Baylayem dla nazwiska, pozycji, majątku...”

— Nie chcę tego słuchać! — rzekł stanowczo. — I niczego podobnego nie słyszałem... ani nie słuchałem. Ale, ale... twój małżonek, pani? Czy i on bawi w Grombie?

— Mój małżonek — powtórzyła. — Nie uwierzysz, Księżę, jaki z niego nudziarz! Nazwisko A.B.D. i skandal, to w Rollaynie dwa słowa używane wymiennie. Najpierw małżeństwo z armektańską dziewczyną takiego sobie rodu, jej odejście, jego zniknięcie, porwanie i niejasna śmierć jego siostry, wyprawa do Obszaru i drugie małżeństwo, znowu z Armektanką i znowu wcale nienajlepiej urodzoną... Same skandale... a pomimo tego był i pozostał nudziarzem. Porzuciłam go.

Powiedziała to tak nieoczekiwanie, że potrzebował chwili, by zrozumieć.

— Co zrobiłaś, pani?

— Jestem Armektanką — przypomniała. — Wolno mi chyba oddać mężczyźnie list rozwodowy? Zgodnie z prawem. Że w Dartanie prawo to istnieje tylko na piśmie, bo rozwody są nie do pomyślenia, to już zmartwienie Baylaya. Ja jestem wolna.

— Nie może być! — zdumiewał się. — Ale... oddałaś list? A nazwisko? Majątek? Nie mogłaś przecież... w Dartanie wygrać takiego procesu!

— Nie wygrałam, bo nie było żadnego procesu. Zostawiłam wszystko.

— Zostawiłaś wszystko? Ależ dlaczego?!

— O, książę, jesteś chyba niedyskretny? Pytasz kobietę, dlaczego zostawiła wszystko, byle uwolnić się od mężczyzny?

Zastukano do drzwi. Przedstawiciel imperatora obejrzał się niecierpliwie.

— Wejść!

Gwardzista przyniósł żądane trunki, bulion i płaszcz.

— Przepraszam, żołnierzu, że kazałem ci usłużyć w ten sposób. Jutro otrzymasz żądane zadośćuczynienie za dyshonor.

Żołnierz zasalutował i wyszedł.

— Wasza wysokość — powiedziała, podchodząc i okrywając się płaszczem — jak widzisz, nie jestem już jedną z pierwszych dam Dartanu. Ale teraz przypomnij sobie, co mówiono o mnie w Rollaynie. Wiem, wiem, że nie słuchałeś... Ale jednak przypomnij sobie. I połącz to z grombelardzkimi opowieściami o... pewnej kobiecie z Gór.

Zmarszczył brwi.

— Cóż to za zagadka?

Umilkł.

— Czy dobrze rozumiem? Prawda, że obejmując urząd chciałem wiedzieć, o kim i o czym mówi się w mojej prowincji... Ale to chyba legendy?

— Hm, nie.

— Więc te miejscowe historie... Królowa Gór, to ty?

— Aha.

— Łowczyni. Samotna łuczniczka — przypominał sobie kolejne szczegóły. — Ale podobno od roku z okładem...

Policzył w myślach.

— Prawda. Od roku...

— No cóż: byłam w Dartanie, więc nie mogłam być tutaj, to proste. Patrzył zaintrygowany.

— Niebawem. I niezwykle. Ale nie stój tak, jeszcze boso! — rzekł z dezaprobatą. — I powiedz wreszcie, co cię do mnie sprowadza o tak... hm, dziwnej porze, Dlaczego nie przyszedłś za dnia? — zapytał znowu. — Obojętne, jej godność A.B.D.Karenira czy Łowczyńni, takich osób nie odprawia się od drzwi!

Poprosiła wzrokiem o miód. Napełnił srebrny kubek i podał jej. Skinęła głową, bezceremonialnie przysiadając na stole.

— Nie odprawia się od drzwi... No, chyba nie. Ale jak już mówiłam, nie trzeba, żeby widziano mnie w twojej rezydencji, księżę. A już w ogóle nikt nie powinien wiedzieć, że się znamy... i to znamy dobrze — przygryzła wargę, powściągając wesołość: uroczystości ślubne Księcia Przedstawiciela w Rollaynie trwały bez mała dwa tygodnie... i zdarzyło się wiele.

— To prawda — mruknął zakłopotany mężczyzna.

Znakomitych gości podejmowały kolejno największe domy stolicy. Był wieczór w pałacu Baylaya, gdy wina okazały się zbyt mocne... Armekańscy i dartańscy nosiciele świetnych nazwisk wymiotowali zgodnie pod stołami, całowali i obejmowali niewolników. Karenira — zupełnie pijana — jeździła na oklep na swym mężu, polując na wilka. Zwierzę to wyobrażał, dość wiernie, jego godność Ramez.

— Lepiej, by nikt o naszej znajomości nie wiedział — powtórzyła. — Nawet moi przyjaciele. Szczególnie moi przyjaciele... Postawiłoby mnie to w niezwykle kłopotliwej sytuacji, wasza wysokość.

— Twoi przyjaciele?

Kiwnęła głową.

— Tak, księżę. Właśnie w ich sprawie przyszedłam do ciebie. A ściślej: w twojej i ich sprawie.

— Słucham, wasza godność — odsunął nieco krzesło od stołu i oparł się wygodnie, wyciągając nogi.

— Chyba szykuje się wojna w prowincji... czy nie tak, Księżę?

Patrzył wyczekująco. Uniosła kubek i napiła się miodu.

— Grombelard — powiedziała. — Pięć miast i trochę wiosek przy dartańskiej i armekańskiej granicy, jeszcze przed Górami Wąskimi.

Właściwie cała reszta to góry. Nie chcę pomniejszać twego znaczenia, Książę, ale zarządzasz, w imieniu imperatora prowincją, która przynosi niesłychanie małe zyski, chyba nawet mniejsze niż potrzeba na pokrycie kosztów utrzymania grombelardzkiej armii i floty oraz siedzących tu urzędników. No i przedstawicielskiego dworu... Armekt rządzi tymi pięcioma miastami i tyle. Całe to bieganie legionistów po górach trudno nazwać roztaczaniem kontroli. W Ciężkich Górach po staremu królem jest ten, kto najmocniej trzyma miecz w ręku i ma dość rozumu i sprytu, by narzucić swą wolę ludziom tego samego pokroju.

— Czy ty jesteś kimś takim?

— Wcale nie — zaprzeczyła. — Ja, Książę, jestem najbardziej zdumiewającą kobietą Szereru, to wszystko. Dla mnie Grombelard jest pusty. Nie ma w nim nikogo. Od nikogo nic nie chcę, nikogo nie potrzebuję... Mogę przyjść do ogniska żołnierzy tak samo, jak do ogniska rozbójników. Jedni i drudzy powitają mnie bez entuzjazmu, ale zwykle z szacunkiem. Wiesz już, dlaczego jestem królową, Panią Gór? — bo stoję obok wszystkich i ponad wszystkim. Robię coś, czego nie robi nikt inny, nikt ze mną nie konkuruje, nikomu nie przeszkadzam. Są dwa Grombelardy, wasza wysokość, i ten drugi należy do mnie, tylko i wyłącznie do mnie. Nawet ty, nawet sam imperator nie ma tak dobrze; ciągle ktoś wam staje na drodze, chce tego, czego i wy chcecie — bo władzy, bo złota, bo takich a nie innych porządków. Ja nie. Jestem królową Grombelardu.

Niespodziewanie uśmiechnął się.

— Bardzo buńczuczne zapewnienie — rzekł z lekką ironią. — Czemu służy ten wstęp, wasza godność?

W skupieniu patrzyła na swą bosą stopę, kołyszącą się nad posadzką.

— Ty naprawdę bijesz kobiety, wasza wysokość? — zapytała. — W swojej sypialni? Wiele dziwnych rzeczy usłyszałam dzisiaj...

Zdumiał się.

— Że co robię?

— Hm... — powiedziała. — Wasza wysokość — podjęła z całkiem innej beczki — garnizony w Badorze i Riksie postawione są w stan najwyższej gotowości. Czy wyruszą w Góry?

Milczał.

— Wasza godność — odezwał się wreszcie, dość chłodno — cenię sobie bardzo naszą znajomość... ale naprawdę nie rozumiem, czemu mieszasz się do tych spraw? Sądzę, że to, co robią legie cesarskie, nie należy do ciebie, lecz do mnie.

— Wasza wysokość — odparła tym samym tonem — nie bez powodu mówiłam tak długo o Królowej Gór. Znam je. Wiesz przecież dobrze, Książę, że ani ty, ani nikt inny nie zdoła zaprowadzić w Grombelardzie takiego ładu, jaki jest w Dartanie. Po co więc ten konflikt z największymi rozbójnikami Szereru? Oboje wiemy, że ich poczynania są, w gruncie rzeczy, pożyteczne. Wszelki występki w Grombelardzie został ujęty w cugle; Basergor-Kragdob ma bardzo twardą rękę i boją się tej ręki wszyscy pomniejsi rozbójnicy, nie mówiąc już o drobnych rzezimieszkach. Kragdob ściąga haracz od każdego kto ma złoto — ale nie robi tego już właściwie nikt inny, bo wszystkich, którzy by mieli na to ochotę, zdołał sobie podporządkować. Dzięki temu w miastach takich jak Grombelard żyje się wcale znośnie, a karawany kupieckie dość spokojnie przemierzają trakt w obie strony. Chcesz, żeby to się zmieniło? Jeśli twoje wojska przeszkodzą władcy Gór w zaprowadzeniu porządku i zbrojeckie imperium się rozpadnie, to co z tego wyniknie? Kupcy, zamiast raz do roku wykpić się, niezbyt znaczną w końcu sumą, szarpani będą stale przez najrozmaitszych obwiesiów, zbyt głupich, by zachować umiar. Kragdob wie, że nie można wydoić krowy na śmierć. Inni o tym nie pomyślą. Kupcy, rzemieślnicy i kto tam jeszcze — wszyscy podniosą lament i rzucą się do Grombu, szukać sprawiedliwości i obrony u Księcia Przedstawiciela. Co zrobi Książę Przedstawiciel? Wielką obławę w Górach? Do tego trzeba zwiększyć liczebność i sprawność wojsk, mało tego — trzeba też rozbudować wpływy Trybunału. Jakież to wydatki! Mówiliśmy już o tym, że podatki ściągane z Grombelardu ledwie pokrywają potrzeby prowincji, a już wcale nie wzbogacają imperialnej szkatuły. Chcesz je zwiększyć? Kto zapłaci? Ograbiani przez różne bandy rzemieślnicy i kupcy? Zrzuć ich, a jak zrzuć, to Druga Prowincja przestanie obsługiwać już nawet własne swoje potrzeby... Koło się zamyka. Wygląda na to, że za twoją wojnę z góralami zapłacić będzie musiał Kirlan. Czyli armektańscy i dartańscy podatnicy. Co ty na to, Książę? Przysporzy ci to popularności? A o ile wiem, tytuł Księcia Przedstawiciela Cesarza wcale nie jest nadawany dożywotnio...

Mężczyzna miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Dolała sobie miodu.

— Wysłuchałem cierpliwie — powiedział. — Gdybyś próbowała udzielać mi podobnych pouczeń na oficjalnej audiencji... ba! na zebraniu mojej Rady... — nie dokończył.

— Taka głupia nie jestem.

Powstał i przechadzał się po komnacie.

— W sali posłuchań — rzekł, pozornie bez związku — stoi krzesło, na którym zasiadam. Takie samo stoi w sali Rady. Ci, co tam przychodzą, mówią do tego krzesła, nie do mnie. Mówiliby tak samo, gdyby siedział na nim ktokolwiek, choćby nawet mój błazen, odpowiednio przybrany... a niechby i goły. Dla nich na tym krześle siedzi tytuł. I nic więcej.

Zatrzymał się przed nią.

— Ty też dzisiaj mówiłaś do tytułu, wasza godność?

Wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, że tak, książę. Pragnę zrobić u twojego boku karierę. Albo nie: rozbójnicy mnie przekupili. Musisz bowiem wiedzieć, że pożądam złota. Uciekłam z Dartanu pomyślawszy, że tu znajdę go więcej.

Roześmiał się nieoczekiwanie.

— Co za ton... Na Szerń, sam nie wiem, dlaczego pozwalam ci, pani, na podobną arogancję... Czy to jedyna sprawa, o której chciałaś ze mną mówić?

— Nie wiem, książę.

— Jak to?

— Bo nie wiem, jak załatwiłam pierwszą.

— A ja nie wiem, czy dość dobrze oceniłaś zapasy mojej cierpliwości i pobłażliwości, wasza godność? Powiedz mi: twoim zdaniem, duże są jeszcze?

Przez chwilę zdawał się czekać na odpowiedź.

— Więc jakie są te pozostałe sprawy?

Po krótkim namyśle opowiedziała o swoim układzie z Egedenem i o tym, jak nadużyto jej zaufania.

— Chcę, żeby ten człowiek odpowiedział za swą zdradę — zakończyła po prostu.

Uniósł brwi.

— Cóż za niskie pobudki... Zwycła, mała zemsta. A więc jesteś

jednak prawdziwą kobietą, wasza godność, wcale nie do końca niezwykłą!

— Usuniesz go z legii, książę, czy też ja mam usunąć go z grona żywych? — zagadnęła sucho.

— Jesteś taką groźną wojowniczką, wasza godność? — indagował, znowu rozbawiony.

— Jestem.

Zrozumiał w końcu, że kobieta nie żartuje.

— A jednak, pani — powiedział już poważnie — twój sąd w tej sprawie jest zdumiewająco powierzchowny... Zwolnię go. Zadowolona?

— Dziękuję, książę.

— Dobrze. A teraz chcę ci powiedzieć, że ten oficer nie jest niczemu winien. Oszukano go, może bardziej niż ciebie. Ten oddział z Sępiej Przełęczy jest narzędziem Trybunału, o czym w garnizonie nie wiadano. To jeden z Namiestników Riksu posłał swoich ludzi za tobą, bez wiedzy tego żołnierza. Myślę, że bez wiedzy kogokolwiek zresztą.

Patrzyła zaskoczona.

— Ano tak — skwitował jej minę. — Cała ta wojna w Górach to dzieło Trybunału. Wracając do poprzedniej sprawy: żołnierze nie wyruszą w góry. Czas najwyższy udowodnić, że poczynania cesarskich urzędników przysparzają doprawdy więcej kłopotów, niż przynoszą pożytku. Chętnie pchnę gońca z obszernym raportem do Kirlanu. I odpowiednio naświetlę całą sprawę.

Skinęła głową, przygryzając wargę.

— Trybunał... — rzekła. — Ale w takim razie... Egeden dotrzymał słowa.

— Oczywiście. Pomimo tego, na twoją prośbę, pani, zwolnię go. Nie będę zmieniał słowa co chwilę.

— Wasza wysokość...

— Zostanie zwolniony. Skończyłem.

Jego ton nie dopuszczał nawet cienia sprzeciwu. Zrozumiała, że dał jej nauczkę. I jeśli poprosi raz jeszcze... to w następnej chwili Egeden zostanie skazany na pięć lat ciężkich robót.

— Udzieliłeś mi lekcji, wasza wysokość — szepnęła, gryząc usta. — Zapamiętam ją.

Znów usiadł na swoim krześle. Odchylił się do tyłu, przecierając

twarz.

— Zmęczony jestem — powiedział. Popatrzył na ciężki tom leżący na stole i dotknął go lekko. — Jestem człowiekiem zajęтым. Okradam własny sen, by na parę chwil oddać się swoim słabostkom. Zabrałaś mi, wasza godność, jedyną właściwie rozrywkę, jaką mam. Prawda, że nie nudziłem się tej nocy! — dorzucił zaraz. — Bardzo kocham te księgi — zwierzył się nieoczekiwanie.

— Wasza wysokość — powiedziała nagle. — czy będę mogła osobiście zawieźć do Riksu rozkaz zwolnienia tego setnika?

— A to znów co ma znaczyć? — zapytał niezadowolony.

— Wasza wysokość — zsunęła się ze stołu i stanęła przed nim — jest coś o czym wiem, a co nie powinno pójść w zapomnienie... W okolicach Badoru — kontynuowała pośpiesznie — mieszkał pewien mędrzec, człowiek przyjęty przez Szerń. Był moim opiekunem. Teraz... nie żyje, od dwóch lat.

— Tak? — ponaglił, bez zbytniego entuzjazmu.

— W górach — wyjaśniła — ukryty jest dorobek całego jego życia. Setki zapisanych stronic... roczniki, kroniki z Ery Ludzi, podania legendy i baśnie ze wszystkich krain Szereru... Opatrzzone komentarzami, opisane.

— W górach? — nie taił zdziwienia, zaintrygowany. — Ale przecież to wszystko może ulec zniszczeniu! — zaniepokoił się szczerze.

— Nie od razu, książę; księgi i zwoje są dobrze zabezpieczone. Ale z czasem... Zaopiekuj się tym skarbem wiedzy, książę! To spuścizna po największym człowieku, chodzącym po ziemi Szereru!

— Cóż to za mędrzec, o którym nigdy nie słyszano? — pytał z powątpiewaniem.

— Ależ słyszano, wasza wysokość... Słyszano o nim wszędzie, a ty, skoro czytujesz historyczne dzieła, będziesz znał go na pewno.

— Więc któż to taki?

— Wielki Dorlan-Przyjęty.

13.

Arma czekała u Ranera.

— Niepokoiłam się — powiedziała.

Karenira obejrzała blondynkę z uwagą. Suknia i wysokie pantofelki

zniknęły, także po złotych zausznicach, pierścieniach i naszyjniku nie pozostał nawet ślad. Arma miała na sobie skórzany strój do konnej jazdy. Ogromne kłęby włosów ujarzmiła przy pomocy rzemyków.

— Też tak chcę — rzekła Armektanka, niecierpliwie pozbywając się sukni.

Rzuciła na stół kilka rulonów pergaminu, rozmaitej wielkości. Raner wziął jeden do ręki i obejrzał pieczęć.

— Zostaw, braciszku — powiedziała Arma — Treść tych pism z całą pewnością mocno cię przerasta. Twoja rzecz to wyduszanie z kupców złota.

— Ale małą pieczęć Księcia Przedstawiciela potrafię rozpoznać — mruknął Raner.

— Dwa jednobrzmiące rozkazy dla komendantów garnizonów w Riksie i Badorze — relacjonowała Karenira, wciągając koszulę. — Ich treść sprowadza się do trzech słów: nic nie robić.

Sięgnęła po kaftan.

— Pismo bez pieczęci, dla Glorma. To — wzięła jeden z mniejszych zwoików — jest nakaz wydalenia ze służby pewnego oficera — podarła zwoik i rzuciła na podłogę.

— Co robisz? — zdumiała się Arma.

— Ten, kto podpisał ów rozkaz, wie doskonale, że w Riksie nigdy go nie dostaną.

Wzięła do ręki najmniejszy rulonik, przewiązany czerwonym sznurkiem.

— A to moje — mruknęła, chowając do jednej z sakw.

Arma i Raner wymienili spojrzenia. Karenira uśmiechnęła się lekko.

Schowany pieczołowicie pergamin zawierał ledwie parę słów i podpis:

Okazicielka tego pisma ma prawo widzieć się ze mną zawsze i wszędzie, o dowolnej porze dnia i nocy.

N.R.M.Ramez, Przedstawiciel Cesarza w Grombie.

Epilog

Świt okryty chmurami, nie rozjaśnił ciemności, przyniósł tylko nową falę deszczu i silniejsze porywy wiatru. Z futra Rbita można by chyba wycisnąć dobrą stągiew wody, mimo tego jednak kot był w całym

dobrym humorze.

— Jak długo już tu siedzą, mówisz?

Kobięcy głos z ciemności odpowiedział krótko:

— Trzy dni.

— Nie próbowali się przebić?

— Próbowali.

Kocur znów zwrócił spojrzenie ku — niewidocznej dla nikogo innego — czarnej gardzieli jaskini, ziejącej w skalnej ścianie.

— A w nocy?

— Też próbowali. Ale w nocy nikt nie zejdzie po tej ścianie. A dolne wejście zamknęliśmy skalnymi złomami.

— Dobrze, Kaga. Jak zawsze dobrze. Jak zawsze dobrze. Czy nigdy nie popełniasz błędów?

— Popełniam — odrzekła ponuro. — Rbit, czy wiesz, ilu ludzi wybiła mi Mavala? Oto właśnie błąd: powinnam była wykończyć tę dziwkę przed rokiem, była wtedy taka dobra okazja...

— Nie bądź dzieckiem, Kaga. Góry są duże. Ale jednak zbyt małe, byś mogła nimi rządzić razem z Glormem. Po śmierci Hagena, pozostałyście tutaj tylko ty i Mavala. Poważnie myślałem wtedy, czy nie pobić was obu... Zrezygnowałem dlatego tylko, że żadna z was nie była dość silna, by przejąć w tych okolicach pełnię władzy. Gdybyś przed rokiem, jak mówisz, usunęła Mavalę, ja natychmiast usunąłbym ciebie.

— Domyślałam się tego — oznajmiła gorzko. — Władcy Gór...

— A co teraz? — zapytała po chwili. — Po rzezi, jaką urządziła moim Mavala, a potem ci legionieści, nie mogę nawet marzyć o rozejmie z nią... Tylko wasze oddziały trzymają to zwierzę na smyczy. Gdy je zabierzecie, Mavala złapie mnie w parę tygodni i wiesz, co zrobi? Wetknie włócznie prosto w moją śliczną, ciasną dziurkę. I ta dziurka tego nie wytrzyma...

— Mavala już się nie liczy. Dostaniesz tylu ludzi, ilu będzie trzeba, żeby skończyć z nią raz na zawsze.

Dziewczyna zdumiała się.

— A co potem? Nie mów mi, już wiem: „będę dość silna, by przejąć pełnię władzy w okolicach Badoru”. Wykończysz mnie osobiście? Czy poprosisz tego osła Ranera?

— Nie wykończę cię, Kaga. O nic więcej nie pytaj, bo wszystko powie ci Glorm. Już niedługo.

Ciemności zszarzały. Rbit rozejrzał się bacznie. Wszędzie wokół, śpiąc twardo pomimo wilgoci i zimna, leżeli ludzie. Każdy pod ręką miał kuszę. Kilku czuwało. Nie spuszczał wzroku z widocznego już otworu jaskini.

Kocur obejrzał się do tyłu.

— Glorm powinien już być. Zrobiłem im pobudkę na długo przed świtem. Już jedli, kiedy tu pobiegłem.

— Skąd ten wielki pośpiech?

— Mnóstwo spraw czeka na załatwienie. Naprawdę, Kaga, dla nas liczy się teraz nie tylko każdy dzień, ale i każda chwila. — Znów wrócił spojrzeniem do jaskini.

— Ilu ich?

— Około dwudziestu. Były dwie grupy: jedną dowodził kot, a drugą — ten. Pierwszej grupy już nie ma.

— Wiem. Słyszałem, że kota też dostaliście.

— Tak. Dziwi cię to?

— Trochę.

— Był odważny. Nie zostawił swoich, chociaż mógł. Jednak, Rbit, jest w tym jakaś tajemnica... Chciałabym ją kiedyś poznać.

— Jaka tajemnica?

— Ten kot chciał śmierci, to pewne. Nie walczył. Ale przede wszystkim — był niemy. Wzięliśmy paru jego ludzi i wszyscy powiedzieli to samo.

Rbit zamyślił się.

Po jakimś czasie znów spojrzął do tyłu.

— Chyba idą — powiedział nasłuchując.

Glorm prowadził przeszło stu pięćdziesięciu ludzi.

— Twoje wojsko — wyjaśnił kocur, spoglądając na Kagę. — Zostawimy ci ich wszystkich, jeszcze dziś. Można było przyprowadzić więcej, ale nie widziałem sensu.

Patrzyła oszołomiona.

Podkomendni Kagi, obudzeni przybyciem oddziału, powstawali z ziemi. Niektórzy witali znajomych, ten i ów wziął drugiego w ramiona.

Glorm, w doborowym towarzystwie Kareniry, Army, Ranera, Vilana i Delona zbliżył się ku Rbitowi i Kadze. Przez chwilę przypatrywał się uważnie zgrabnej, dwudziestodwuletniej czarnulce, po czym skinął

głową i wyciągnął dłoń. Podała mu obie swoje.

— Gdzie są? — zapytał bez żadnych wstępów.

Pokazała jaskinię. Uniósł lekko brwi.

— Jak ich tam zapędziłaś? I dlaczego ciągle tam siedzą?

— Bo nie mogą wyjść — odparła spokojnie. — A ja przyrzekłam sobie, że nie dam im już życia żadnego z moich ludzi. Głodem wezmę. Albo wystrzelam wszystkich, jeśli wychylą choć czubki... — powiedziała czego.

— Trudno zabić, celując w te czubki — zauważył z humorem. — Nie będę czekał tak długo.

Popatrzył w stronę jaskini. Coś mignęło w czeluści — widać nagły gwar zwrócił uwagę osaczonych.

— Trzeba ich wyciągnąć z tej dziury — mruknął w zamyśleniu.

*

Dwustu ludzi, kryjąc się za skałami, czekało na odpowiedź z jaskini. Raner spojrział na Glorma, potem zwinął dłonie koło ust i zawołał raz jeszcze:

— Stań do walki! Basergor-Kragdob chce z tobą walczyć!

— Jeśli wygram? — nadeszła wreszcie, stłumiona odległością odpowiedź.

— Odejdiesz wolny!

Po krótkiej chwili:

— Nie wierzę!

— To zdychaj z głodu!

Raner usiadł, Glorm udzielił mu poparcia skinieniem.

— A moi ludzie? — padło po jakimś czasie z pieczary.

Raner znów się podniósł.

— Z tobą!

W czarnym otworze pojawiła się sylwetka rosnącego, jasnowłosego mężczyzny.

— Niech będzie!

W milczeniu spoglądano, jak ostrożnie schodził po pionowej ścianie, szukając pęknięć i uchwytów dla dłoni. Wreszcie stanął u jej podnóża, odpoczął krótko i przeprawił się przez skalne rumowisko, wychodząc na środek półkrego, utworzonego przez przyczajonych ludzi Kragdoba.

— Czekam — rzekł, wyzywająco opierając dłoń na mieczu — bardzo

długim i wąskim.

Glorm powstał i wyciągnął rękę do leżącego obok rozbójnika. Po chwili spojrzał zniecierpliwiony.

— Kuszę, durniu — powiedział.

Mężczyzna pospiesznie podał broń. Król Gór uniósł ją lekko; na twarzy stojącego o pięćdziesiąt kroków wielkoluda odbiło się nieopisane zdumienie i niedowierzanie. Zaraz potem mocny bełt uderzył go w pierś i powalił. Leżący targnął się, wyprężył — i skonał.

W głuchej, wszechobecnej ciszy, zabrzmiał wyraźny, spokojny głos Kragdoba:

— Wygrałem, ale powiadam wam: tęgi to był rębajło!

Cisza trwała jeszcze przez mgnienie oka...

Pierwsza parsknęła śmiechem Kaga. Zawołała coś do Glorma, lecz istny huragan śmiechu zagłuszył jej słowa. Rozbójnicy wypuszczali z rąk kusze, opierali czoła na kamieniach lub ramionach towarzyszy i zarykiwali się do łez. Ktoś kaszłał, ktoś walił pięścią w ziemię, inny charczał, chwytając się za plecy i brzuch. Kragdob stał, wyczekująco patrząc w stronę jaskini, jakby ciekaw, kiedy pomkną ku niemu bełty z kusz. Nikt nie strzelił, choć cel był niemały, więc rozbójnik zniechęcił się wreszcie, wzruszył ramionami i usiadł.

Karenirę przepełniały mieszane uczucia, w końcu jednak zagryzła usta, prychnęła nozdrzami i też zachichotała.

— A co z tamtymi? — zagadnęła po chwili, wskazując wejście do jaskini.

Zaśmiała się znowu.

— Co ma być? Dwudziestu głodnych obdartusów, nie potrafiących nawet strzelać z powodu gwałtownego upadku morale... To zajęcie dla Kagi, ja wracam do Grombu. Czeka ją sprawa. Kaga — zwrócił się do dziewczyny, ocierającej łzy z policzków — kiedy będziesz w Badorze? Jak tylko tam dotrzesz, daj znać do stolicy. Mam ci bardzo wiele do powiedzenia.

Skinęła głową.

Śmiechy milkły powoli. Jeszcze czasem odzywały się tu i ówdzie, pobudzając na nowo powszechną wesołość. Nim nadeszło południe, była już gotowa piosenka o walce Króla Ciężkich Gór z uzurpatorem.

— Jaka była treść tego listu, o którym wciąż mówicie? — zapytała Kaga, odprowadzając Glorma i jego mały oddziałek.

Kragdob bez słowa podał jej rulonik.

— Nie umiem czytać — powiedziała słodko. — Zapomniałeś?

— Naucz się — rzekł poważnie. — To bardzo potrzebna umiejętność. Choćby ten list... Jest on właściwie dla ciebie, nie dla mnie.

Rozwinął pergamin, pomimo że znał treść.

— Książę Przedstawiciel napisał zaledwie dwa słowa:

TYLKO RAZ

— I myślę, Kaga — dorzucił po chwili — że ten człowiek dotrzyma obietnicy. Panuj więc nad Górami całkowicie i bez reszty, niech nigdy nie powtórzy się to co teraz. Serce Gór musi bić tylko dla ciebie. Zresztą, pomówimy o tym jeszcze, Basergor-Krehiri...

Uśmiechnął się.

— Idźcie — machnął ręką. — Karenira...

Patrzyli za oddalającą się grupką.

— Wygląda na to, że Vilan się odczepił — skonstatowała. — Zdaje się, że chroni teraz kogoś innego. Co mu powiedziałaś, że porzucił służbę u Baylaya?

Olbrzym lekceważąco machnął ręką.

— Więc nie idziesz z nami? — zapytał.

— Do Grombu? Nie. Koło Cięcia jest schowane coś, co komuś obiecałam. Chcę zobaczyć, czy leży, gdzie leżało. Niedaleko stąd — wskazała ruchem podbródka.

Najwyraźniej nie słuchał.

— Twój były małżonek... w Rollaynie. Co z nim począć? Uparłem się jechać właśnie tam — rzucił z roztargnieniem.

— Baylay? To nudziarz i tyle — oświadczyła. — Pewnie, że cię pozna, jak tylko spotka. A na pewno spotka, bo nie będziesz chyba żył na przedmieściu? Ale możesz być pewien jego milczenia jak tego, że deszcz pada — chwyciła na wierzch dłoni liczne krople. — Zaręczam, Glorm. Ten człowiek ma dużo zalet. I tylko jedną wadę: to Dartańczyk. Pozdrów go ode mnie.

— Kochałaś go?

„Czy kochałam? Mordowałam dla niego” — pomyślała.

— Tak, Glorm.

— I...?

— I już mi przeszło — powiedziała ze śmiechem, obejmując go w pasie.

Całowali się zachłannie, tak jakby można było odrobić stracony czas. Objął ją potężnymi ramionami tak ostrożnie i czule, jakby bał się, że kobieta zniknie niczym kłęb mgły. Całował ją we włosy i znów w usta — delikatnie i mocno zarazem.

— Czy zgodzisz się... Czy zostaniesz moją... żoną? — zapytał wreszcie, niezręcznie i cicho.

— Czy pojedziesz do Dartanu? — zapytała równie cicho jak on.

Uniósł ręce i opuścił je zaraz, cofając się o pół kroku.

— Tak, Kara.

— A więc nie, Glorm.

Starł deszcz z twarzy, uściśnął jej dłonie i poszedł.

Stała w deszczu — wreszcie poszła i ona.

— Karenira — rzekł kocur, pojawiając się jak spod ziemi — jesteś cierpliwa, ale czy potrafisz czekać?

Uśmiechnęła się smutno.

Uniósł łapę w Pozdrowieniu Nocy.

— Więc czekaj... My tu jeszcze wrócimy.

Księga druga. Wstęgi Aleru

Prolog. Korona Shergardów

Nadciągał zmierzch. Zimny deszcz bezlitośnie chłostał skały, przewalając się po zboczach gór w gęstniejących, to znów rzędzących tumanach. Wiatr szarpał strużki wody, wyrrywając je chmurom, stłoczonym nad szarą ziemią Grombelardu.

Ciężkie Góry trwały — niewzruszone.

Rzęsisty deszcz przemienił się w ulewę. Jaskrawa błyskawica załśniła na tle posępnego sklepienia, które aż trudno było zwać niebem. Huk grzmotu runął między szczyty razem z prawdziwymi kaskadami wody. W jednej chwili pośród piargów spieniły się setki rozwścieczonych strumieni; kamienie biegły w dół po pochyłościach, czasem spiętrzały się, tworząc zapory, rozbijane zaraz ciosami kipieli.

Większe głązy trwały nieporuszenie.

W szarym świetle wieczoru, pośród ulewy, zamajaczyły niewyraźne sylwetki dwóch ludzi. Przygięci do ziemi, objuczeni pakunkami i bronią, mozolnie posuwali się naprzód wzdłuż krętej ścieżki górskiej, która była teraz korytem rozgniewanego strumienia.

Nieopodal, ciasno skupione, leżały duże kamienie, omywane falami dżdżu.

Ludzie wytrwale pięli się po zboczu.

Uderzenie pioruna wstrząsnęło strugami deszczu — a gdy huk przebrzmiał, dało się słyszeć rozfalowany głos, będący upiorną namiastką mrukliwego, niewyraźnego śmiechu. Głos ten, pośród ulewy i wiatru, mógł być złudzeniem... ale nie był, bo oto skupione przy ścieżce kamienie ożyły. Ludzie zastygli w bezruchu, po czym jeden krzyknął ostrzegawczo, chwytając towarzysza za ramię. Niesamowite istoty rozrywały firanę deszczu, posuwając się w dół stoku ogromnymi skokami, zupełnie nieczułe na uderzenia wiatru.

Mokre koty to widok groteskowy i prawie żałosny: łapy i ogony,

oblepione sierścią, zdają się być przeraźliwie chude; podobnie łby, dziwnie naraz podobne do psich. Dwadzieścia takich stworzeń rzuciło się na ludzi, obalając ich i zamykając w ruchliwym kłębie. Mokry gadba, kot olbrzym, zaiste wyglądał groteskowo. Powaleni mężczyźni ujrzeni więc — groteskową śmierć.

Rwący w dół stoku strumień nagle poczerwieniał.

1.

— Znowu leje... Dlaczego ja tu mieszkam?

Malutka jaskinia, wyżłobiona w skalnej ścianie, dobrze chroniła przed deszczem. Wysokie na trzy łokcie wejście zasnutę było szarą tkaniną dżdżu, ale w głębi sklepienie uciekało do góry, zaś ściany na boki. Niewielką, wcale suchą i przytulną izbę oświetlał oliwny kaganek — rzecz w jakiś sposób nie na miejscu pod nierówną skałą; pasowałoby tu raczej łuczywo. Pozaczepiane o różne nierówności i krawędzie skał, suszyły się sztuki odzienia. Przy samym wejściu wisiał pas z krótkim mieczem. Zupełnie naga kobieta wylegiwała się na wojskowym płaszczu, z nogami rozłożonymi w taki sposób, jakby zapraszała wszystkich mężczyzn świata. Pod głową miała kołczan, z którego wysuwały się pierzaste pociski — ustępujące widać miejsca czarnemu warkoczowi leżącej, który z jakichś przyczyn tkwił w kołczanie. Właścicielka warkocza oderwała zębami kęs zimnego mięsa, wiszący u wielkiej baraniej łopatki i przeżuwała powoli, nieruchomo spoglądając na ścianę deszczu przed jaskinią.

— No? Dlaczego? — powtórzyła z pełnymi ustami; dźwięczne armektańskie słowa bardzo niezwykle brzmiały w sercu Grombelardu. — Powiedz, dlaczego siedzisz w tej norze, zamiast wyjechać gdzieś, byle dalej. Przecież chyba ci zimno, he?

Rzeczywiście chłód był dojmujący, choć podmuchy wiatru nie miały do jaskini przystępu. Jeśli jednak leżąca odczuwała chłód, to jej ciało, sprężyste i muskularne, nie wiedziało o tym — nie drżało, ani nie pokryło się gęsią skórą. Tylko sutki małych piersi sterczały, twarde jak kamyki. Widać z troski o nie kobieta sięgnęła ręką do tyłu i namacała gruby pled. Pociągnęła go ku sobie i okryła się byle jak, nie przerywając jedzenia.

— Ou... — powiedziała, skończywszy z łopatką — cóż to był za baranek... Na pewno miał sto lat. Pieczeń z historii Szereru, naprawdę.

Ulewa na zewnątrz zelżała, za to zmierzch czynił postępy. Wejście do jaskini coraz słabiej odcinało się od czerni skał.

Kobieta odrzuciła pled i wstała.

W najdalszym zakamarku jaskini, pośród jakichś szmat i tłumoków, leżał nieruchomy kształt, okryty peleryną. Czarnowłosa podeszła doń i ukucnęła obok. Odchyliła przykrycie. W półmroku słabo majaczył kontur mizernej, zarośniętej twarzy. Brudny opatrunek na czole przesiąknięty był krwią.

Oczy leżącego rozwarły się powoli. Błyszczały gorączką.

— No proszę — powiedziała. — Jedno spojrzenie na dwa dni... Czy tak już zostanie?

— Umieram... Łowczyni... — rzekł mężczyzna cicho i chrapliwie.

Był Dartańczykiem. Synem Złotej Prowincji, kraju będącego zupełnym przeciwieństwem Grombelardu. Tu, w Ciężkich Górach, powszechnie uważano przedstawicieli tego narodu za zniewieściałych, rozpieszczonych dostatkami tchórzy.

Pochyliła się, szukając czegoś pośród różnych tobołków.

— Są dwa rodzaje chorych — mówiła w ojczystym języku rannego. — Ci, co wyzdrowieją, i ci, co umrą. Jedni i drudzy powinni jak najszybciej zrobić swoje. Inaczej męczą siebie i innych.

Znalazła skórzany wór, w którym coś chlupotało. Napiła się, po czym przytknęła otwór wora do ust leżącego. Zakasłał, wino pociekło po brodzie i policzku. Odetchnął kilka razy.

— Umrę.

Kobieta przygryzła wargi. Pomimo lekko rzucanych słów, w jej spojrzeniu było sporo smutku.

— Myślę, że tak — powiedziała niegłówno.

Wyciągnęła rękę, dotykając szorstkiego policzka mężczyzny. Był rozpalony. Lecz ranny — nieoczekiwanie uśmiechnął się blado.

— Dziękuję — rzekł. — Nareszcie widzisz we mnie mężczyznę, który zdoła... przyjąć każdą prawdę. Długo czekałem... Łowczyni, czy mogę... ci zaufać?

Zmarszczyła szerokie brwi; pytanie było nieoczekiwane. Wzruszyła ramionami.

— No... nie wiem, naprawdę — powiedziała. — Czy chodzi o eliksir młodości? W takim razie zaufaj mi koniecznie. Nie uronię ani kropli, bo pochłonę go razem z flakonem.

Słaby śmiech rozbrzmiał krótko, urywanie.

— Czujesz się stara, Łowczyni?

— Jak te skały.

Przez chwilę milczeli.

— Powiedz mi... czy zabiłaś tych żołnierzy w Czarnym Lesie? Czy to... co mówiono, jest prawdą?

Przymknęła oczy.

— Nie.

— No to posłuchaj... i zapamiętaj, bo wątpię, czy zdołam powtórzyć. Słuchasz?

— Słucham. Czy na pewno chcesz...

— Na pewno. Mogę i chcę ci zaufać.

*

Najpierw długo leżała, nie potrafiąc zasnąć. Rozmyślała o przedziwnej tajemnicy. Do której ją dopuszczono. Dartańczyk... Dartańczyk w Ciężkich Górach. Czyżby naprawdę człowiek, który jeszcze przed kilkoma laty był halabardnikiem w dalekiej Rollaynie, miał dokonać najdziwniejszego odkrycia w dziejach Grombelardu? Niewiarygodne... Cóż za kaprys Szerni.

Zapadła w krótką, niespokojną drzemkę, pełną majaków. Krążyła w nich po skalnym labiryncie, zagubiona, rozpaczliwie próbując wyrwać się, znaleźć wyjście... Daremnie.

Obudziła się, spocona mimo zimna. Usiadła, obejmując dłońmi ramiona.

— Karenira...

Po raz pierwszy powiedział jej imię.

Kiedyś nie lubiła tego człowieka. Prawie nienawidziła. Ciężkie Góry nie były miejscem dla Dartańczyka. On jednak sądził inaczej. I dowiódł słuszności swych racji, w ciągu paru lat wyrastając na znanego przewodnika po najbardziej niebezpiecznych rejonach Ciężkich Gór.

A jednak Grombelard go nie chciał...

Zwykły przypadek sprawił, że znalazła konającego. Przywlokła do jednej ze swych kryjówek. Majaczył. „Skąd ja mogłem wiedzieć, że to

o n a? — pytał bez przerwy w malignie. — Skąd mogłem...?”

Dopiero teraz poznała całą historię. I dowiedziała się, kim jest „ona”.

— Karenira...

Zanim położyła się spać, zdmuchnęła płomień kaganka. Teraz po omacku, na czworakach, popęzła do pośłania rannego.

— Jestem.

— Pamiętasz wszystko?

— Pamiętam.

Przez chwilę słyszała tylko jego wysilony oddech.

— Pamiętaj, żeby iść przez deszcz... Pamiętaj? Przez deszcz, od rana... — mówił pospiesznie. — Od przełomu Medevy... Ona tam będzie. Nie pozwól, żebym...

Zrozumiała, że znów majaczy w gorączce. Odszukała dotykiem rozpaloną twarz.

— Dobrze, pamiętam.

Pochwyił jej dłoń i uspokoił się.

— Łowczyni...

— Jestem.

— Pocałuj mnie. Tylko raz. Zawsze uważałem, że jesteś... zawsze chciałem... żeby tak jak ty...

Pochyliła się, znajdując jego usta. Były gorące jak ogień.

— Łowczyni — powiedział jeszcze — byłem dobrym przewodnikiem...

Odepchnął ją lekko.

Wróciła na swoje pośłanie. Już nie zasnęła tej nocy.

Chyba słyszała, jak umarł.

2.

Rzeczy wciąż były mokre. Ale dosuszenie czegokolwiek w wiecznej grombelardzkiej wilgoci było niepodobieństwem. Ognisko — tak, zapewne... Ale w wysokich partiach gór łatwiej można by znaleźć złote monety niż opał.

Z trudem wciągnęła krótką, porozcinaną na udach spódnicę, potem koszulę i futrzany kaftan. Wbiła nogi w mocne, skórzane buty. Wreszcie zabrała z jaskini wszystko, co warto było zabrać: więc broń, bukłak z

winem, trochę żywności, dwa wojskowe płaszcze i pled. Ponadto kilka drobiazgów. Objuczona jak muł, wyszła na zewnątrz. Już nie padało, poranna ulewa minęła.

Tutaj, w okolicach Rahgaru, bywała rzadko. Jaskinia posłużyła jej ledwie dwa razy... i nie posłuży nigdy więcej. Stanie się grobowcem przebiegacza Gór.

Takich wnek było w tych stronach bez liku. Wiedziała, że nim dzień minie, znajdzie sobie nową.

Nie tarasowała wejścia. Sępy nie mogły dostrzec zwłok w takim miejscu. Nic innego tak wysoko w Ciężkich Górach nie żyło.

Vilan, Dartańczyk, który pokochał grombelardzkie szczyty, miał już zawsze oglądać deszcz, zasnuwający wejście do jaskini.

*

Nie miała do nich szczęścia... Od kilkunastu lat chodziła po Ciężkich Górach (prawda, że zwykle w okolicach Grombu i Badoru), a dotąd nie знаła jednej z najciekawszych legend Grombelardu.

„Mordercy z Rahgaru”. Gadba, grombelardzkie koty-olbrzymy. Oczywiście widziała już gadba... Także w legiach. Ale w Rahgarze istniał, jedyny w całym imperium, oddział gwardii złożony wyłącznie z kotów. Były postrachem górskich rozbójników i grasujących po gościńcu rzezimieszków. Kilkakrotnie już wybierała się do Rahgaru tylko po to, by obejrzeć sobie oddział kocich wojowników. Zawsze coś stało na przeszkodzie.

Teraz znowu.

Nie, nie miała do nich szczęścia.

Chociaż... Kapryśny los ustanowił ją spadkobierczynią dziwnej tajemnicy. Mogło się okazać, że niezwykle wojownicy w kocich kolczugach i hełmach sami do niej przyjdą. Legia Grombelardzka dość dobrze wiedziała, o czym wiatr w górach szumi. To, o czym szumiał teraz, musiało być dla wojska bardzo zajmujące.

Czy Dartańczyk był przy zdrowych zmysłach? Czy nie majaczył w gorączce, przekazując jej swą wiedzę? W Grombelardzie wszystko było możliwe, tak powiadano. Ale... czy naprawdę wszystko?

Grombelard. Druga Prowincja. Kraj Chmur, Kraj Gór... Nazywano go setką imion. Przede wszystkim jednak był krainą przeklętą przez Szerń, pobjowiskiem. Nad Grombelardem Szerń toczyła przed wiekami

największe zmagania z obcą i wrogą mocą — Alerem, Powiadano, że nieustanny deszcz miał zmywać piętno, wyciśnięte na tej ziemi przez znieprawioną, mroczną potęgę.

Ale był też Grombelard najstarszą krainą Szereru. Pośród szczytów, przełęczy i grani, można było znaleźć ślady po dawnych jego mieszkańcach: zrujnowane twierdze, niewiele różniące się od skalnych rumowisk; resztki dróg, a nawet pozostałości gigantycznych mostów kamiennych przerzucanych — z pomocą samej Szerni chyba — nad bezdennymi przepaściami...

Konający przewodnik żądał od swej zesłanej przez los powierniczki właśnie spotkania, oko w oko, ze spuścizną po starożytnych Shergardach.

Ruszyła na północ.

Miała czas. Dużo czasu. Doskonale wiedziała, że pozostanie w Ciężkich Górach już na zawsze. Próbowwała raz uciec; nie udało się. Teraz mogła chodzić, szukając czegokolwiek — choćby zwidów bredzącego w malignie Dartanicyka.

Tym bardziej, że jeśli nie były zwidami...

A wreszcie — czy to, czemu poświęciła życie, było normalnym zajęciem? Zabijała sępy: obok ludzi i kotów trzeci rozumny gatunek. Miała swoje powody.

Zwano ją Łowczynią. Albo — Panią Gór.

Zwróciła spojrzenie ku niebu oceniając, kiedy znów zacznie padać. Szare oczy nie pasowały do twarzy, czyniły ją nieco niesamowitą. Wyglądały tak, jakby zabrano je innemu człowiekowi (mężczyźnie!) i siłą osadzono w twarzy ładnej kobiety. Były — obce.

Rzeczywiście nosiła cudze oczy, dar przekazany przez Szerń. Za pośrednictwem człowieka, który widział, jak oślepiły ją sępy.

Na północny wschód od Rahgaru wznosił się masyw Medevenu, zwany też czasem Koroną. Przedziwne miejsce — ale w Ciężkich Górach zdumiewające krajobrazy nie były rzadkością. Medeven tworzyło siedem gór, wspierających się barkami, odgradzonych przepaścistym wąwozem od reszty Gór Ciężkich i opasanych rwącą Medewą. Potężne szczyty, zgrupowane w kręgu, istotnie przywodziły na myśl zębatą koronę. Pomiędzy nimi była kotlina, w której krążyło jezioro. Tak właśnie: krążyło. Rozszalała Medeva przebiła gdzieś podziemny korytarz, którym wtłaczała swe nurty w kotlinę. Wody jeziora obracały się z odwieczną,

cierpliwą powolnością. Mówiono, że pełen obrót trwał trzy dni. Co mogło, ale nie musiało być prawdą.

Karenira raz tylko zawędrowała aż do przełomu Medevy. Chciała zbadać Koronę, ale bardziej ciekawa była „morderców”, poszła więc najpierw do Rahgaru. Do miasta oczywiście nie dotarła — i Korony też nie obejrzała.

Teraz jednak miało być inaczej.

Dojście do masywu pochłonać musiało kilka dni. Najpierw należało obejść niedalekie źródła Medevy — rzeki, która buchała z ziemi od razu z szaloną furją, tworząc największy wodospad świata, po czym biegła w dół Grombelardu, nieokiełznana, gwałtowna i zabójcza. Ponoć nikt nigdy nie zdołał się przez nią przedostać. Karenira знаła Góry i wiedziała, że nie trzeba rzucać im zbędnych wyzwania. Chociaż z drugiej strony, znalezienie przeprawy przez Medevę mogło okazać się kiedyś bardzo użyteczne. Jej bezpieczeństwo — samotnej kobiety w górach — zależało czasem od znajomości szlaków, o których nikt inny nie wiedział. Teraz jednak zbyt była ciekawa rewelacji Vilana, by szukać przepraw przez jakąś rozszalałą rzekę.

Szła bez pośpiechu, lecz wytrwale i z tą niezwykłą pewnością, jaką może dać tylko doskonała znajomość bezdroży.

3.

Wstawał szary świt. Nie padało. Silny wiatr pchał skłębione chmury, rozdzierając je na ostrzach grombelardzkich szczytów. Jakiś wysoki prąd rozerwał ciemny całun i zepchnął w bok jego strzępy. Wschodzące słońce zapaliło dwa zęby Korony. Potem zgasło, od nowa zasnuwane chmurami.

Wzdłuż poszarpanego wąwozu, dnem którego pędziła Medeva, posuwała się grupka złożona z dziesięciu, a może dwunastu ludzi. Szli rozciągnięci w szereg, bo wąski szlak nie pozwalał na marsz w innym szyku. Byli podobnie ubrani i wyposażeni: wszyscy nosili grube spódnice i płaszcze, wojskowe lub podobne do wojskowych; wszyscy dźwigali duże, wypchane sakwy z koziej skóry. Uwagę zwracała mnogość oręży — każdy członek oddziału miał miecz, grombelardzkim zwyczajem przewieszony przez plecy, a w ręku mocną kuszę.

Oddział prowadziła czarnowłosa i czarnooka, dwudziestoparoletnia dziewczyna o nieprawdopodobnej wręcz urodzie — dzikiej, agresywnej i wyzywającej. Spojrzenie i ruchy miała prawdziwie kocie... ale w sensie dosłownym. Szła pozornie rozluźniona, prawie nieuważna, lecz tuż pod powierzchnią owej niedbałości widać było gotowość do natychmiastowej reakcji. Mogłaby pewnie zabić, nawet o tym nie wiedząc; jej ciało odparłoby niespodziewany atak szybciej, niż myśl pochwyciłaby, że nastąpił.

Dziewczyna była królową gór i grombelardzkich rozbójników. Nazywała się Kaga, co znaczyło: kotka.

W samej rzeczy, była i człowiekiem, i kotem. Jako dziecko porzucona na badorskiej ulicy, wychowała się w złodziejskiej kociej grupie. Mając lat dwadzieścia pięć, wciąż lepiej pojmowała koty, niż ludzi.

Od tygodnia z okładem prowadziła grę, której nie zdołałby podjąć nikt inny: wymykała się mordercom z Rahgaru. Nie uchodziło to całkiem bezkarnie — straciła już połowę swoich ludzi. Jednak ciągle żyła i miała oddział pod bronią.

Siedem gór — oto był cały teren, na którym prowadziła swe podchody. Była odcięta w masywie Medevenu. Śmiertelna pętla rzeki otaczała ją; jedyne wyjście z pętli kontrolowali koci gwardziści. Drugi oddział podążał w trop za nią. Należało przebić się. Miała jeszcze dość sił, by móc liczyć na sukces. Ale odejście z Korony oznaczało przegraną; nie znalazła tego, po co przyszła.

Szlaki wytyczone w górach przez ludzi rzadko są dogodne dla kotów. Skalna ściana, niewysoka i poznaczona pęknięciami, bywała dla gwardzistów gadba przeszkodą nie do pokonania. Kaga dobrze o tym wiedziała. Ale wiedziała też, że skalna półka szerokości dłoni stanie się dla kociego oddziału wygodnym gościńcem, podczas gdy jej ludzie z narażeniem życia będą czepiać się skał. Unikała takich miejsc. I jak dotąd — prowadziła po mistrzowsku.

Trwały podchody dwóch orężnych grup, z których każda szukała własnych, dogodnych dróg.

Oddział zatrzymał się. Kręty szlak wiódł skrajem przepaści, ale skalne ściany podchodziły już do samej krawędzi. Pole widzenia stało się niezwykle ograniczone. Za każdym zakrętem „ścieżki” mogli napotkać wroga. Kaga wątpiła, by koty znajdowały się — przed nią. Jednak

wysłanie awangardy uważała za konieczne. Dwukrotnie już, w ciągu minionego tygodnia, tylko dzięki wysunięciu straży przedniej uniknęły zasadzki. Prawda, że za każdym razem ceną było życie zwiadowców...

Obejrzała się na swoich. Wymieniła dwa imiona i mężczyźni natychmiast ruszyli przodem. Zadziwił autorytet, jakim cieszyła się młoda przywódczyni.

Od trzech lat. Tyle czasu minęło od chwili, gdy słuch zaginął o legendarnym Basergorze-Kragdobie, największym rozbójniku, jakiego znał Szerer.

Był jej nauczycielem.

Basergor-Kragdob znaczyło tyle, co Władca Gór Ciężkich. Wojenny przydomek Kagi brzmiał krócej, ale bardziej wymownie: Hel-Krehiri. Królowa lub Pani Łez. Była najbardziej okrutną i bezwzględną istotą, jaką nosiła ziemia Grombelardu. W sercu tej dziewczyny kocia bezdusność i niezdolność do współczucia walczyły o lepsze z ludzką mściwością i fałszem. O ile dawny król rozbójników prędeż był chyba podziwiany niż nienawidzony przez cesarskich legionistów, o tyle Hel-Krehiri niczego prócz nienawiści rozbudzić nie umiała. Ścigano ją jak dzikie zwierzę. Gigantyczne imperium Basergora-Kragdoba rozsypywało się w gruzy. Kiedyś pozwalano mu istnieć, bo legendarny rozbójnik robił to, czego nikt przed nim zrobić nie potrafił: zaprowadził w Grombelardzie pewien ład. Ściągał haracz od każdego, kto miał złoto, i owszem. Ale ujarzmił też i podporządkował sobie wszelką hołotę; rozbójnicy, rzezimieszki i złodzieje bali się go bardziej, niż kupcy...

Teraz było inaczej. Kragdob był mężczyzną; Hel-Krehiri tylko kobietą. Nie miała żadnego pomysłu, co chciałyby w życiu osiągnąć. Kragdob czegoś pragnął i ku czemuś zmierzał — ona nie. Kochała więc — drogę donikąd. Wędrówki po górach, walki i zwycięstwa, a więc środki wiodące Króla Gór do celu, były dla niej celem samym w sobie. Kochała schody, po których wspinał się poprzednik, nie będąc zdolna nawet do myślenia o tym, czy na szczycie schodów znajdzie drzwi do jakiejś komnaty.

Oddział szedł skrajem urwiska.

Droga była niepewna; Kaga nie znała jej. Szlak wzdłuż przepaści mógł ciągnąć się całymi milami, albo — równie dobrze — skończyć nagle, gdyby skalna ściana postąpiła naprzód, schodząc do dna wąwozu...

Ale ryzyko warte było podjęcia. Gdyby dało się obejść górę, zamiast forsować jej niedostępne zbocza, zysk w czasie byłby olbrzymi. Ponadto — Kaga uznała, że czas już podjąć próbę wyprowadzenia prześladowców w pole. Dotąd unikała podobnych miejsc, jako zbyt wygodnych dla kociego wojska. I teraz wyobrażała sobie, że „mordercy” nie zechcą uwierzyć, iż poszła tym szlakiem, t a k i m szlakiem... Obiorą więc inny.

Kaga chciała raz jeszcze dostać się do wnętrza Korony. Najpierw jednak musiała zmylić pogoń. Wierzyła, że zdoła to zrobić — i przeliczyła się.

Wysoko, na skalnej grani, jeden z kamieni ożył nagle... Zachręściła mocna kolczuga. Wielki kot powstał leniwie i pochylił łeb, osłonięty płaskim, mocno przypiętym hełmem, z dziwacznymi wycięciami na uszy i ostrym pionowym grotem.

Gwardzista zmrużył żółte ślepia. Spoglądał w dół, na szereg malutkich sylwetek.

4.

Z pewnością szczyty tworzące Koronę miały swoje nazwy — ale Karenira знаła tylko jedną: Wielki Medev. Najpotężniejszy w Koronie. Nocowała u jego stóp. Następnego dnia chciała sforsować przełęcz, przez którą zdawała się wieść najkrótsza droga do kotliny.

Znalazła wnękę, osłaniającą dobrze od wiatru, ale przed wszechobecną wilgocią nie było ucieczki; po kilkudniowej wędrówce jedyną suchą rzeczą, jaka miała Łowczyni, był łuk, pieczołowicie skryty w łubiu zszytym z wielu warstw natłuszczonej skóry. Łubie, ciężkie i grube jak deska, kryło całą broń, nie zaś tylko jej część, jak to zwykle bywało.

Karenira nie spała.

Była prawie u celu. Kilkudniowa wędrówka znużyła ją — ale nie dlatego, że góry były trudne do przebycia. Powody. Powody, dla których podjęła wyprawę. Pierwszy zapał ostygł... i Łowczyni pytała teraz samą siebie, czy naprawdę ma aż tyle czasu, żeby szukać mitów. Słowa rannego były mrzonką, baśnią, niczym więcej. Karenira zyskiwała coraz głębsze przekonanie, że w masywie Medewenu niczego nie ma... oprócz, być może, kłopotów. Tajemna twierdza i kryjówka Shergardów? Ze wszystkim, czego używali i czego potrzebowali? Coś takiego na pewno

nie istniało. Ale istniała wiara w podobne odkrycie. Dziura w głowie Vilana nie była wymysłem, ktoś mu ją wytlukł. Łatwo mógł wytłuc i drugą — tym razem w jej własnej głowie. Łowczyni liczyła się z tym, że nie jest w masywie sama.

Noc była czarna i nieprzenikniona; typowa noc grombelardzka. Karenira miała przeczucie, że zbliża się niebezpieczeństwo. Pilnie wsłuchana w szmer drobnej mżawki i pogwizdywanie wiatru, wyjęła łuk. Zbadała palcami cięciwę.

Czas mijał powoli.

Mżawka ustała, przycichł też nieco wiatr. Łowczyni czuwała wytrwale, choć odnalezienie jej schronienia wydawało się rzeczą prawie niemożliwą. Jednak przeczucie nie myliło jej... Niepokój narastał — naraz zrozumiała, że jest obserwowana.

— Cierpliwa — rozbrzmiał w ciemności mrukliwy, niewyraźny głos.
— Cierpliwa jak kocica.

— I wytrzymała — zawtórował drugi, podobny. — Jak z żelaza. Nie wiedziałem, że człowiek może tak długo wytrzymać bez ruchu.

— Czego tu szukasz, legendo? — zapytał trzeci głos.

Karenira powstała. Otaczał ją krąg wojowników — lecz nie widziała żadnego. W czerni nocy słabo majaczyły kształty skał. Któreś z tych skał przemawiały. Nie wiedziała, które.

— Czego szukasz w tych stronach? — ponowiono pytanie. — Sępów? Nigdy nie widziano tu sępa.

— Wiem.

— A zatem? Wracaj w okolice Badoru, Łowczyni. I zabijaj fruwaki. Ogromnie to pochwalam.

Skinęła głową, uśmiechając się z leciutką ironią.

Sępów nie kochano. Nikt nie potrafił pojąć ich skomplikowanej filozofii istnienia. Może dlatego ludzie żywili wyraźną niechęć do skrzydlatych braci w rozumie. Lecz koty nie żywiły niechęci. Koty nienawidziły — a kocia nienawiść była bodaj najpotężniejszym uczuciem Szereru. Wszystko zresztą, co czuł lub robił kot, nacechowane było niezłomną i cierpliwą stałością. Te żyjące w ludzkim świecie, a przecież chodzące własnymi drogami istoty, wszystko czyniły nieodwracalnie. Nigdy nie cofały raz ofiarowanej przyjaźni. Nigdy nie zapominały nienawiści. Nigdy nie łamały słowa.

— Wolno mi chodzić po górach. Czy przeszkadzam?

— Troszeczkę. Ale moje ostrzeżenie nie z tego się bierze, legendo. Trwa polowanie i zwierzyna jest bardzo groźna. Uważaj więc na siebie. A najlepiej idź szukać sępów.

— Chyba wiem, na kogo polujecie.

— Chcesz nam pomóc?

— Nie. Nie chcę, a zresztą nie mogę, dobrze o tym wiesz, gwardzisto. To nie moja sprawa. Żyję w Górach, a Góry to także rozbójnicy.

— Werk, rozumiem to.

Coś drgnęło w ciemności i czarna sylwetka z lekkim chrzęstem kolczugi przysunęła się do jej kolan.

— Nie musisz pomagać cesarskim żołnierzom, Łowczyni — rzekł kocur siadając.

Dosłyszała wyraźną ironię. Wiedziała, skąd się bierze. Kot chętnie czuł się żołnierzem, lecz c e s a r s k i m — tylko wtedy, gdy tak mu było wygodnie.

— Ale żołnierze będą musieli pomóc tobie, jeśli zajdzie taka potrzeba — ciągnął gadba. — Czy zajdzie?

— Nie zajdzie — odparła kucając; poczuła ciepło bijące od gwardzisty. — Podszedłeś mnie, kocie. Ale nie uda się to nikomu innemu, naprawdę. To ja jestem Panią Gór, nie ona... Jeśli Hel-Krehiri, czy ktokolwiek inny, stanie mi na drodze, to łowy zakończą się bez gwardzistów gadba.

Mrukliwy, nieprzyjemny dla ludzkiego ucha śmiech rozbrzmiał z kilku stron, lecz nie było w nim nic obraźliwego. Raczej uznanie dla hardości i ciętego języka kobiety. Dowódca oddziału parsknął cicho.

— Co za słowa... Ale wierzę ci, legendo. Gdyby było inaczej, Ciężkie Góry już dawno zjadłyby twoje kości.

Raczej wyczuła niż ujrzała, że uniósł łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

— A jednak bądź ostrożna.

5.

„Mordercy” zmienili taktykę. Na groźniejszą, o wiele groźniejszą... W ciągu minionego tygodnia Kaga straciła ośmiu ludzi. Teraz, w ciągu

jednego dnia — trzech. Nie było już zwartej, ścigającej ją grupy, bardzo niebezpiecznej — ale tylko w nocy, gdy kocia horda mogła ciężko poranić zaskoczonych i walczących po omacku ludzi. Zamiast tego po górach biegały oddziały składające się z dwóch-trzech żołnierzy, niezdolne do niszczących uderzeń, lecz zupełnie niewidoczne, nieuchwytnie, szarpiące ludzi tak w nocy, jak i w dzień. Nie znała sposobu na wymknięcie się z takiej sieci.

Na wąskiej ścieżce biegnącej wzdłuż przepaści, tej ścieżce, z którą wiązała nadzieje na wymknięcie się z pułapki, pojedynczy gadba uporał się z awangardą, po czym porwał człowieka z głównej grupy. Wszystko to na jej oczach, a co gorsza — na oczach podkomendnych, których morale jęło parować jak ślina w ognisku... Nic nie mogli zrobić, niczemu zapobiec. Wkroczenie na tak karkołomny szlak było błędem. Niewybaczalnym błędem...

Ścieżka zataczała łuk, posłuszna kształtowi zatoki, wyrżniętej w ścianie wąwozu. Dwaj ludzie szli po drugiej stronie owego wcięcia, doskonale widoczni, bliscy nawet, lecz odgradzeni przepaścią od reszty towarzyszy, dopiero wkraczających na łuk ścieżki. Kocur pojawił się nagle, jak wyczarowany z mżawki. Dobrze wybrał miejsce ataku, zaskoczeni na wąziutkiej półce ludzie zareagowali zbyt gwałtownie. Prowadzący stracił równowagę, broniąc się przed upadkiem w przepaść odruchowo pochwycił towarzysza, który ze swej strony także chciał go przytrzymać... Kaga wyła z wściekłości; napastnik nawet nie dotknął żadnego ze zwiadowców!

Krzyk ludzi zgasł na dnie wąwozu.

Olbrzymi kocur pędził po skalnym gzymsie z niedbałą, prawie nonszalancką łatwością. Hel-Krehiri poczuła w gardle łyzy gniewu i bezsilności. Z mieczem w dłoni sunęła na spotkanie wroga — powoli i ślamazarnie, krok za krokiem, z plecami przylegającymi do szorstkiej skały. Lecz kot zniknął równie nagle, jak się pojawił, ujrzała jeszcze jego grzbiet w pełnej żwiru szczelinie, wyżłobionej w ścianie przez spływającą wodę. Sypiące się w dół, turkoczące kamyczki były jedyną oznaką, że gwardzista wdrapuje się gdzieś, coraz wyżej, poza zasięgiem jej oczu. Wreszcie strużka odłamków zrzędała i ustała.

Hel-Krehiri wzięła się w garść i zapanowała nad oddziałem. Nie pozwoliła, by ludzie rozważali, jak strasznie bezbronni byli ich

towarzysze przed chwilą. Poleciała przygotować kusze, z krzywym uśmiechem sama wysunęła się do przodu pytając, kto wraz z nią utworzy awangardę. Nim otrzymała odpowiedź — koci wojownik uderzył po raz drugi. Żwir i drobne kamyki sypnęły się wprost na głowy i ramiona stojących na skalnym gzymsie ludzi. Trąc zbroją o skałę, wielki gadba zsuwał się w dół. Nawet kot nie był w stanie zahamować na prawie pionowym zboczu — ale żołnierz wcale tego nie chciał! Zakuty w żelazną kolczugę bury kształt pół skakał, pół spadał po pochyłości. Ktoś zdążył postać mu bełt z kuszy. Pocisk chybił. W następnej chwili napastnik całym ciężarem gruchnął na kark jednemu z mężczyzn, który z brawurową zręcznością zdołał zadać pchnięcie mieczem, nieomal na oślep do tyłu. Miecz zgrzytnął na kolczudze — po czym człowiek i kot spadli w przepaść.

Trzydzieści, a może czterdzieści łokci poniżej szlaku, którym Kaga wiodła swoich rozbójników, ciągnęła się następna półka skalna. Mężczyzna wyrzniętą w nią całym ciężarem i zawisł na skraju, z pogruchootanymi kośćmi. Kot wylądował obok. Przez moment trwał nieruchomo, rozcapierzony na skale, po czym jął potrząsać łbem, wyparskując resztki oszołomienia. Ktoś strzelił z kuszy; gadba poznał, że to nie przelewki, zerwał się więc, zatoczył, a potem utykając pognął przed siebie, coraz szybciej, byle dalej... Patrząc na to, Kaga po raz pierwszy poczuła, że gwardziści gadba wcale nie walczą z jej ludźmi... „Mordercy z Rahgaru”, ależ tak. To, co widziała, nie było walką. To były trzy zabójstwa.

Drugie starcie miało miejsce wieczorem — lecz przeklęta przepaść została z tyłu i potyczka miała inny przebieg. Czyjeś bystre oko w porę dostrzegło dwie niskie sylwetki, spowite mgłą deszczu... Przygotowane w porę kusze nie zawiodły i Hel-Krehiri poczuła słodycz zemsty. Jeden żołnierz zginął natychmiast; drugi, ze strzaskanym barkiem, powlókł się gdzieś między skały. Nakazała pościg, lecz koty zniknęły. Wówczas zdała sobie sprawę, że jeśli rana nie była śmiertelna — to gwardzista na pewno zdoła dotrzeć do swoich... Dobrze znała kocią żywotność, wytrzymałość i odporność na ból.

Ze skrywanym przerażeniem i nietajoną wściekłością Hel-Krehiri oczekiwała nocy. Miejsce jej postoju nie było dla żołnierzy tajemnicą. Koci dowódca miał dość czasu, by skupić znaczną część swych

rozproszonych sił i przygotować atak. Nie mogła nawet rozrzucić placówek wokół biwaku. Pozostała z sześcioma ludźmi, więc czuwać musieli wszyscy. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy nie przeciągnęła struny. Czy wyniesie z Korony chociaż całą głowę — bo o znalezieniu twierdzy Shergardów przestała już nawet myśleć.

Żaden z rozbójników nie zmrużył oka tej nocy. Ani jedno ostrze nie tkwiło w pochwie. Ludzie trwali oparci o skały, każdy z mieczem w prawej, a nożem w lewej dłoni. Nikt nie rozmawiał. Wsłuchiowano się w szmer deszczu.

Lecz czas płynął i nic się nie działo.

Kaga zaczęła wierzyć, że ranny gwardzista padł gdzieś między skałami — i to prawdopodobnie ocaliło jej oddział. Rozumiała lepiej, niż którykolwiek z jej podkomendnych, jak niewiele warte jest nadstawianie uszu i wpatrywanie się w ciemność. Oczywiście nawet kot mógł wywołać hałas, trąc zbroją lub uderzając kolczastym hełmem o skały. Ale szansa, że doświadczony gwardzista, wchodzący w skład najbardziej elitarnego oddziału w Grombelardzie, pozwoli sobie na podobny błąd, była naprawdę znikoma.

Ukryta w ciemnościach dziewczyna, niewidziana przez podkomendnych, gryzła usta, powstrzymując płacz. Wzbierające łzy nie były jednak łzami wściekłości — lecz żalu. Żyły na świecie nieszczęśliwe istoty, które urodziły się nie tym, czym być miały. Kobiety o męskich sercach. Mężczyźni o duszach kobiet. Hel-Kreheri była najbardziej pokrzywdzonym stworzeniem Szereru — kotem uwięzionym w ludzkim ciele. Wielkim, niezgrabnym i niechcianym. Oddałaby pół życia, gdyby pozwolono jej przybrać postać jednego z tych wspaniałych wojowników którzy... właśnie mieli ją zabić. Zamordować.

6.

Zejście w kotlinę nie było bardzo trudne — właściwie ze szczytu przełęczy wiodła dość szeroka i równa ścieżka, może nawet droga. Karenira zastanawiała się, czy nie były to resztki starożytnego gościńca, zbudowanego przez tajemniczych Shergardów. Uważała to za możliwe.

Rozległe jezioro na dnie skalnego kotła sprawiało bardzo posępne wrażenie. Było martwe. Czarne, przezroczyste, zimne jak grombelardzki

deszcz.

Karenira stała na cyplu wybiegającym ku środkowi tafli i oglądała dno, schodzące w dół stromymi uskokami. Nie umiała ocenić, na jaką głębokość sięga wzrok, nie wiedziała, w którym miejscu cienie podwodnych skał ustępują miejsca ciemnym, głębokim czeluściom.

Przejrzystość wody była naprawdę zdumiewająca. Magia wodnej otchłani przez długi czas przykuwała uwagę samotnej łuczniczki. Karenira próbowała wyobrazić sobie, jak zanurza się powoli, idąc coraz głębiej, coraz niżej, przez czarodziejski świat podwodny, znieruchomiały na zawsze, nie szarpany wiatrem, nie chłostany deszczem; świat którego nigdy nie dotknęła i nie dotknie ludzka stopa...

Potem uniosła spojrzenie. Spoglądała na drugi brzeg, w punkt wskazywany przez ostrze cypla. Tam właśnie miało znajdować się wejście do podziemnego labiryntu, zbudowanego przez potężnych Shergardów. Wejście dobrze ukryte przed przypadkowym wzrokiem.

Musiała okrążyć jezioro.

Nie była to sprawa prosta. Teren nie należał do łatwych — właściwie powinna cofnąć się sporo w górę stoku i pójść z boczami kotliny. Jej dno było jednym wielkim rumowiskiem skalnym, tylko w małej części zakrytym przez wodę. Cóż to za olbrzym-szaleniec porozbijał szczyty gór, strącając gruz do wnętrza kotła?

Łowczyni zastanawiała się, czy zdąży obejść jezioro, zanim nadciągnie noc. Niepotrzebnie schodziła aż do lustra wody. Ale tajemnicze jezioro wyglądało tak dziko, pięknie i pociągająco. Karenira zapragnęła odpocząć na jego brzegu, poczekać do nocy i na drugą stronę wyruszyć dopiero rano. Nie miała powodów do pośpiechu. Hel-Kreheri mogła odkryć tajemnicę, albo nie — jakie to miało znaczenie? Karenira dobrze знаła koty; wydawało się oczywiste, że młoda rozbójniczka już na zawsze zostanie w masywie Medevenu, razem ze swymi ludźmi.

Tylko czy na pewno?

Łowczyni znalazła wygodne miejsce między skałami, uwolniła się od ciężaru bagaży i usiadła z bukłakiem w rękach, oparta o szorstki kamień. Przepatrywała okolicę, małymi łykami popijając kiepskie wino.

Owszem, znała koty. Lecz znała także Kagę... Zetknęły się kilkakrotnie, bo obie krążyły zwykle w okolicach Badoru. Pierwsze dwa spotkania nie były szczególnie przyjazne. Następne dwa, już po odejściu

Kragdoba, bardzo krótkie, przelotne. I równie serdeczne jak pierwsze.

Tępicielka sępów nie lubiła Kagi. Ze szczerą wzajemnością. Nie istniały żadne specjalne przyczyny tej niechęci. Ot, po prostu: dwie kobiety w jednym miejscu nie mogły się lubić. Karenirę dziwił autorytet, jaki miała Kaga u podwładnych; ponadto czuła się urażona młodością i urodą rozbójniczki. Ta z kolei nie mogła darować przebiegaczce gór legendy, która otaczała jej postać; Łowczyni była wręcz częścią Grombelardu, niczym... Wodogrzmoty Medevy, Czarny Las, albo Przełęcz Mgieł. Wszystko to, co byłoby powodem wzajemnego szacunku dwóch mężczyzn, nieuchronnie zrażało do siebie kobiety. Zwykła rzecz na każdej ziemi i pod każdym niebem.

Łowczyni rozmyślała, czy żołnierze gadba na pewno sprostają zadaniu. Sieci na Hel-Krehiri zarzucano już wielokrotnie. Prawda, że w obławach nie uczestniczyła kocia półsetka z Rahgaru...

No, tak czy owak — to nie była jej sprawa. Powiedziała prawdę dowódcy gwardzistów: nie mogła mieszać się do wojen rozbójników i żołnierzy. Gdyby wieść o tym poszła w Góry — prędzej albo później dostaliby ją jedni albo drudzy. Od trzynastu lat balansowała na chwiejnej kładce neutralności i nie zamierzała spadać z niej teraz.

No, chyba, żeby ją popchnięto...

— E, tam — powiedziała do siebie. — Jesteś twarda i złośliwa jak pas cnoty. Wszyscy boją się ciebie i starają przechytryć, ale na tym koniec. Kaga wie i gwardziści wiedzą, że nie warto szukać sobie dodatkowych wrogów. A zresztą...

Wzruszyła ramionami.

*

W samej rzeczy, nie udało jej się dotrzeć do celu przed nocą. Podjęcie marszu w ciemnościach groziło skręceniem karku. Bała się, że to będzie bolało. W strugach ulewnego deszczu, pośród wieczornej szarówki, znalazła miejsce, gdzie dało się od biedy przenocować.

Była znużona. Miniona noc — prawie bezsenna — trochę ją zmęczyła. Marsz po górach też nie był spacerem.

Posiliła się i wyciągnęła w szczelinie osłaniającej przed deszczem. Zasnęła prawie natychmiast.

Obudziły ją krzyki.

Deszcz już prawie nie padał. Karenira sięgnęła po łuk, nie wyłaząc

jednak ze swej dziury. Nasłuchiwała, marszcząc brwi.

Gdzieś toczyła się bitwa. Łatwo mogła określić kierunek, ale odległość? W żaden sposób; Łowczyni wiedziała, że to może być sto kroków, albo parę mil. Niesiony wiatrem głos, wspomagany przez echo, rozchodził się w górskim powietrzu na bardzo znaczne odległości.

Maszerować ku miejscu, gdzie trwała potyczka, wcale nie zamierzała. Jeszcze czego! Kocie oczy dobrze radziły sobie z mrokiem, ale w zamieszaniu... Równie dobrze mogła oberwać mieczem, jak poczuć ciężar gadba na głowie.

— Nie... — mruknęła. — Biją się gdzieś, no to dobrze. Leżysz w dziurze? To leż i nie wychodź. Nikt cię tu nie znajdzie, chyba żeby nadepnął. Wtedy mocno ugryziesz go w nogę.

Wkrótce głosy walki umilkły.

7.

Świtało.

Hel-Krehiri siedziała pod skałą na brzegu jeziora, z mieczem położonym w poprzek kolan. Deszcz obmył głownię, splukując różowe strużki na nagie uda i podwiniętą spódnicę rozbójniczki.

Dokoła leżały ciała kotów i ludzi. Wydawało się, że jeden z kosmatych żołnierzy wciąż żyje — wbita w brzuch człowieka ostroga kociego hełmu utrzymywała ciało gadba w półsiedzącej pozycji. Lecz w karku ziała rana od miecza. Ci dwaj zabili się nawzajem.

Kaga oparła głowę o skałę za plecami. Oglądała pobojowisko.

Łowczyni z ukrycia oceniła sytuację, po czym pokazała się rozbójniczce. Ta lekko przekrzywiła głowę i spoglądała w milczeniu, z doskonałą obojętnością.

Łowczyni uważnie obejrzała plac boju. W nikim nie tliło się życie. Podeszła do rozbójniczki.

— Jesteś ranna?

Hel-Krehiri zaśmiała się niegłośnie i uniosła rękę, pokazując śmieszne zadraśnięcie na nadgarstku.

— Znajdą cię — rzekła Karenira.

Rozbójniczka pokazała głowę. Hen, daleko na skalnej iglicy, siedział kot. Pośród dokuczliwej, falującej mżawki trudno było go dojrzeć... Ale

jednak był tam.

— Czego tu szukasz, Łowczyni?

Karenira przysiadła na kamieniu.

— Zabiłaś Dartańczyka — powiedziała.

— Sam się zabił...

Hel-Krehiri urwała i popatrzyła uważnie.

— Znalazłaś trupa?

— Jeszcze żył.

— No to nie muszę nic mówić. Miał mnie tu przyprowadzić, nie znam tych okolic. Gdy dowiedział się, czego szukam, chciał uciec.

— Nie wiedział, że ty prowadzisz grupę.

— Co to za różnica? Zlecenie jest zleceniem. Przyjął je.

— Uważał, że jeśli znajdziesz to, czego szukasz, zabijesz go.

— I miał rację.

Mierzyły się spojrzeniami.

— A ty wiesz, czego szukam? — zapytała Kaga.

— Wiem.

— Nie znalazłam. I zdechnę w tych skałach. Przyszłaś, żeby pomścić tego zucha z Dartanu? Niepotrzebnie.

Karenira wzruszyła ramionami... po czym nagle zmarszczyła brwi. Przygryzła usta.

— Ou... — powiedziała w zamyśleniu. — A wiesz, że możesz mieć rację? Rzeczywiście, chyba po to przyszłam...

O co pytał Vilan?

„Czy zabiłaś tych żołnierzy w Czarnym Lesie?”

Ale przecież... on znał prawdę... Od dawna!

W nagłym olśnieniu Karenira pojęła istotę gry.

Czarny Las, oczywiście. Przed laty natknęła się tam na duże stado sępów. Zbyt duże, by mogła myśleć o samotnej walce. patroli legionistów poszukiwały wtedy zaginionych w górach żołnierzy. Skłamała, że wie, gdzie ich szukać... i poprowadziła oddział ratunkowy do miejsca zwanego Czarnym Lasem, w sam środek sępich siedlisk. Żołnierze, postawieni w sytuacji bez wyjścia, pomogli jej rozgromić stado.

Ale wszyscy zginęli.

Nikt nigdy nie dowiedział, że rozmyślnie doprowadziła do tej bitwy.

Ale sama plotka wystarczyła, by żołnierze zaczęli spoglądać na nią krzywym okiem i ślady tej niechęci odczuwała do dziś. Umierający Dartańczyk chciał usłyszeć prawdę... Prawdę, którą znał, bo na pewno był w Czarnym Lesie, a poza tym wystarczająco wiele wiedział o Ciężkich Górach, sępach i Łowczyni.

Okłamała go. I padła ofiarą intrygi, którą sama kiedyś wymyśliła: posłano ją na poszukiwanie mitów tylko po to, by stanęła na drodze Hel-Krehiri.

— Zabieram się stąd — powiedziała z gniewem, którego nie umiała ukryć. — Zapomnij o mnie, piękna.

— Poczekaj — rzekła leniwie rozbójniczka. — Przyszłaś więc tylko po to, żeby zobaczyć, jak gwardziści wypruwają ze mnie żyły? No to poczekaj na koniec widowiska, a potem odszukaj korytarze Shergardów... Legendarna Łowczyni osiągnie to, co nie udało się Hel-Krehiri.

— Korytarze! — Karenira powstała, czerwona ze złości. — Nie ma żadnych korytarzy, żadnego labiryntu, ani twierdzy. To bajka! Kto ci sprzedał tę tajemnicę i ile za nią wziął?

— Wszystko jedno — skwitowała Kaga, uśmiechając się kpiąco. — Są korytarze, czy ich nie ma... Dobrze, że ty jesteś. A jednak, legendy są bardzo potrzebne...

Wstała zwinnie, ocierając miecz skrajem spódnicy.

Karenira odsunęła się i oparła rękę na jelcu swojej broni. Wiedziała, że musi się uspokoić — lecz na przekór wzbierała w niej coraz większa złość. Uczyniono z niej narzędzie! Ślepe narzędzie, mające dokonać... jakiejś zemsty!

— Hel-Krehiri — powiedziała dobitnie. — Zabiłabym cię sto razy, choćby dla kaprysu... Ale dzisiaj mam powód, który nie jest moim powodem. Zostaw mnie.

Rozbójniczka skoczyła ku niej jak płomień strzelający z ogniska. Karenira, przygotowana, zerwała swój wojskowy płaszcz z ramion i rzuciła ku napastniczce, jednocześnie odskakując do tyłu. Wyjęła miecz i silnie odepchnęła w bok wrogie ostrze. Kaga natarła znowu, jękliwy głos zderzanych głowni zawibrował między skałami. Dziewczyna zaśmiała się, czując że ma przewagę. Była szybsza, o wiele zwinniejsza i szybsza! Przecięty sztychem kaftan Łowczyni odślaniał mocno skaleczoną, obficie

krwawiącą pierś. Pogromczyni sępów cofała się ostrożnie.

Kaga opuściła miecz, jakby zapraszając do ataku.

— I to już wszystko? — zapytała ze szczerą pogardą. — Jak to możliwe, że jesteś taką miernotą, Łowczyni? Masz za dużo mięsa na sobie, walka mieczem to nie praca w kuźni... Jak zdołałaś przeżyć w tym kraju?

Karenira, czujna i wciąż ostrożna, raz jeszcze pomyślała o figlu, jaki jej spletało. Wiedziała, że igra ze śmiercią — ale już nie było odwrotu...

Hel-Krehiri zaatakowała ponownie, szybka jak błyskawica, albo lepiej: jak kot. Znowu zaśpiewało skrzyżowane żelazo, ciężki oręż wyprysnął w powietrze i zatoczywszy płaski łuk — z brzękiem upadł na kamienie.

8.

Żołnierze czekali na przełęcz.

Kaga przystanęła. Szarpnęła mocno — i rzemienna pętla zacisnęła się na szyi Kareniry, powalając ją na kolana. Rozbójniczka stanęła obok i rozgarnęła sztychem miecza włosy na karku zakładniczki. Czekwała, spoglądając ku oddziałowi.

Wielki czarny gadba bez pośpiechu ruszył na spotkanie.

— Nie rzucisz się na mnie, gwardzisto? — zapytała.

Kot usiadł.

— Bez obaw.

Kaga schowała miecz i wyciągnęła rękę w Pozdrowieniu Nocy. Koci gest był u niej równie naturalny, jak u istoty obdarzonej wysuwanyimi pazurami.

— Najlepsi wojownicy Gór — powiedziała. — Już zawsze będę omijała okolice Rahgaru.

Gadba nie zwrócił uwagi na wyrazy uznania, choć najwyraźniej były szczere. Dopiero po chwili powiedział:

— Pytanie, czy ja będę omijał okolice Grombu i Badoru.

Nie była to czcza pogróżka.

Kocur stracił zainteresowanie rozbójniczką. Obserwował Karenirę.

— Jak do tego doszło, legendo? — zapytał.

Łowczyni uniosła głowę. Wyglądała jak siedem nieszczęść: miała

wielki siniak i guz na czole, tam gdzie trafiła rękojeść miecz Kagi. Pod rozciętym kaftanem czerwieńła się duża plama na koszuli. Ręce miała związane na plecach.

Kaga pociągnęła za ramię; Karenira zakrztusiła się.

— Rozmawiaj ze mną, setniku, nie z nią. Proponuję układ: daj mi słowo, że przez najbliższą dobę nie będziecie mnie ścigać, a zostawię wam tę... starą kobietę. W przeciwnym wypadku pójdzie dalej ze mną. I zarżnę ją natychmiast, gdy tylko zobaczę wśród skał koci grzbiet albo ogon.

Gwardzista rozważał propozycję.

— Wkrótce noc — zauważył. — Wyrwę ci oczy, Hel-Kreheri, zanim zdążysz pomyśleć, że cię zaatakowano.

— Więc będziesz mógł sprawdzić, czy pomimo tego zdążę przeciąć jej gardło. Może tak... a może nie?

Kot raz jeszcze popatrzył na klęczącą, poturbowaną kobietę z rzemieniem na szyi, po czym nastroszył wąsy.

— Rozwiąż ją i uciekaj. Jedna doba, to bardzo niewiele czasu.

Kaga wyjęła nóż i przecięła pęta na rękach Kareniry, zostawiając jednak ramię na jej szyi. Z lekkim uśmiechem skinęła głową ruszając ku szczytowi przełęczy.

— Słowo kota — przypieczętowała.

Gwardzista lekko uderzył ogonem okryty kolczugą bok.

*

Karenira siedziała pod skałą, zdejmując opatrunek. Rana na piersi nie była bardzo głęboka, kosztowała jednak sporo bólu. O guzie na głowie łuczniczka zdążyła już zapomnieć.

Syknęła, muskając skaleczoną pierś palcami. Pomyślała o trwałej, szpetnej bliźnie i pomroczyło jej w oczach.

— No, ale TEGO ci nie podaruję... I tak już wyglądam jak... wydziobany słonecznik. Same dziury.

Koci biwak przedstawiał się zupełnie inaczej niż obozowisko dwunogich żołnierzy. Skórzane torby-plecaki z zapasami zgromadzono w jednym miejscu, ale na tym wszelkie podobieństwa się kończyły. Przede wszystkim, nie było żadnego ruchu. Człowiek nie usiedzi długo w jednym miejscu, a jeśli nawet, to będzie stale zmieniał pozycje, rozprostowując ścierpnięte kończyny. Wojownicy gadba powynajdywali

sobie szczeliny i zagłębienia, powłazili do różnych dziur — i natychmiast zasnęli. Tylko uszy, czujnie nastawione, kierowały się w różne strony, wyłapująca wszelkie dźwięki inne niż szmer deszczu. Karenira wiedziała, że kot prawie nigdy nie zapada w sen podobny do ludzkiego. Czuwają niektóre zmysły... Stale śpiący na warcie kot potrafił doprowadzić do furii niejednego oficera-służbistę, nie potrafiącego zrozumieć, iż taka drzemka nie ma nic wspólnego z lekceważeniem służby.

Karenira wróciła myślami do swojej straszliwej blizny.

— Nie daruję — powtórzyła ponuro.

W resztkach dziennego światła zamajaczyła sylwetka czarnego dowódcy oddziału.

— Czego nie darujesz, Łowczyni?

— Cycka przeciętego na pół, niczym cipa! — odparła z prawdziwą złością. — Dalej mam składać raport?

Rana już nie krwawiła, lecz bolała i Karenira doszła do wniosku, że lepiej chłodzić ją deszczem, niż bawić się w nowe opatrunki.

Koci oficer poświęcił skaleczeniu akurat tyle uwagi, na ile zasługiwało.

— Więc jesteś starą kobietą, legendo? — zagadnął, układając się pośród kamieni.

Próbowała sobie przypomnieć, czy wiedziała, że koty bywają złośliwe.

— Będziecie tu warować całą dobę? — zapytała chłodno.

— Może tak, a może nie... Powiedziałem jej, że nie wyruszymy w pościg. Tylko tyle, Łowczyni.

Wzruszyła ramionami. Ostrożnie założyła kaftan na koszulę i wstała, by zapiąć na biodrach pas z mieczem. Starannie zaplotła warkocz, przewiązała go rzemykiem i odrzuciła na plecy. Podniosła sajdak.

— Ja niczego nie obiecywałam.

Żółte ślepie błyszczały przy ziemi.

— Plotka o Hel-Krehiri — powiedział — wcale nie jest plotką. Ona jest kotem, Łowczyni. Czy wiesz — zapytał nieoczekiwanie — że gdybym wcześniej o tym wiedział, to może...

Nie dokończył.

— Oszukałaś nas, legendo — rzekł spokojnie.

Zmarszczyła brwi.

— To prawda, nie poradziłam sobie sama i gwardziści musieli mi pomóc...

Skinęła czarnemu setnikowi głowę, pewna że dostrzeże gest pomimo ciemności. Gdy oddaliła się, kocur zamknął oczy.

— Nie o tym myślałem — rzekł przed siebie. — Wciąż kłamiesz. Parsknął krótko i zasnął.

9.

Jak na grombelardzkie warunki — dzień był po prostu piękny. Nie padało, a opończa chmur pękała to tu, to tam, pozwalając wyjrzeć słońcu. Góry parowały w ciepłych promieniach, lśniły niezliczone kałuże, zwykle szare i niewidoczne; migotały strumyki.

Kaga była wolna i czuła tę wolność całą duszą.

Szła przez całą noc i pół dnia, nie oszczędzając sił. Wydostała się z pętli Medevy, teraz mogła porzucić szlak i ruszyć dokądkolwiek. Szansy, że gwardziści odnajdą ją... gdzieś w Grombelardzie — w ogóle nie brała pod uwagę. Owszem, doba to było bardzo mało czasu, jeśli nie istniała możliwość wyboru drogi. Ale teraz, wydostawszy się z Medevenu, mogła już nie martwić się o nic. Czuła dziką radość, była pijana swobodą.

Pozwoliła sobie na krótki postój. Sakwa z zapasami pokazała dno; Hel-Krehiri dokładnie żuła ostatni pasek wędzonego mięsa. Musiał wystarczyć na długo.

Podniosła do ust chudy wór, w którym chlupotały resztki wina Łowczyni. Zdobycz wojenna! Pijąc, Kaga bezmyślnie gapiła się na oddaloną o sto kroków skałę, niezdolna pojąć, co widzi. Lecz w tej samej chwili długa, lekka strzała przeszła zdobycz wojenną na wylot, czyniąc ją bezużyteczną. Rozbójniczka odrzuciła wór, jakby zaczął parzyć. Wypluła wino i chwyciła kuszę.

— Stój tam!

Hel-Krehiri znieruchomiała.

Z powodu oddalenia, nie mogła dość wyraźnie widzieć twarzy Kareniry. Łuczniczka przygryzała wargi nieomal do krwi. Wypuszczenie pierwszej strzały sprawiło, że niezagojona rana otworzyła się. Teraz ramię trzymające cięciwę drżało tak mocno, że pocisk na pewno nie mógł trafić w cel...

— Chodź tutaj! — wrzasnęła Karenira. — Zostaw kuszę i chodź!
Głos zadrżał.

Rozbójniczka, widoczna jak na dłoni, rozumiała że musi posłuchać, przynajmniej na razie. Mogła śmiać się z miecza Łowczyni, ale o jej łuku mówiły całe Góry... I jeśli tylko połowa z tego, co gadano, była prawdą, to znaczyło, że łuczniczka marnuje jedną strzałę na sto. Podchodząc, Kaga zerkała na boki, szukając miejsca które udzieliłoby schronienia... Zatrzymała się nagle, z niedowierzaniem patrząc, jak przeciwniczka odrzuca swą groźną broń, zeskakuje ze skały i z mieczem w ręku rusza jej naprzeciw...

Kaga krzyknęła dziko i wyciągnęła swój miecz. Spotkały się w połowie drogi.

Karenira, skupiona, czujna i ostrożna, wyglądała prawie tak samo, jak dzień wcześniej, nad jeziorem, ale jej łosiowy kaftan bez rękawów ujawniał brak koszuli, która najwyraźniej poszła na szarpie, w ciągu minionej doby; Kaga dostrzegła wąską strużkę krwi, sączącą się z rany na piersi. Łuczniczka trzymała miecz oburącz. Hel-Krehiri z mimowolnym respektem popatrzyła na twarde mięśnie ramion, nabrzmiałe pod skórzanymi opaskami, których używali łucznicy.

— Czym mnie chcesz przestraszyć, Łowczyni? — zapytała szyderczo, szczerząc zęby w groźnym półuśmiechu. — Na Szerń, mało ci jednej nauczki... Trzymałaś swój łuk, trzeba było strzelać!

— Jakbym mogła, tobym strzelała — padła spokojna odpowiedź. — Ale gdy siedziałaś, musiałabym zabić, a potem już nie byłam w stanie trafić w nogę... Jesteś głupia, dziewczyno.

Hel-Krehiri ostygła cokolwiek, uderzona opanowaniem przeciwniczki. Uczyniła drobny ruch mieczem.

— No dobrze, chodź już — powiedziała. — Wepchnę ci go tam, gdzie dawno nic nie gościło. Pamiętasz jeszcze mężczyzn, staruszek? Bo że oni o tobie zapomnieli, to pewna...

Karenira postąpiła krok naprzód, prawie ostentacyjnie unosząc miecz nad głowę. Zmrużyła swe niesamowite oczy i machnęła bronią nieomal jak maczugą. Kaga bez wysiłku przyjęła cios na zastawę... i z najwyższym trudem utrzymała broń. Słaby kontratak natychmiast spotkał się z tak potężną odpowiedzią, że zdrętwiałe ramiona dziewczyny, szarpnięte w bok, nie nadążyły za ruchem odbitej broni...

Miecz Kareniry pękł na pół.

Przez moment stały naprzeciwko siebie, rozbrojone. Potem Kaga odskoczyła do tyłu, ale tamta była równie szybka. Uderzenie pięścią w podbródek omal nie urwało rozbójnicze głowy; machnęła rękami, próbując utrzymać równowagę, ale drugi cios był równie silny i sprawił, że nogi odmówiły posłuszeństwa. Hel-Krehiri półprzytomnie zrobiła słaby krok wstecz, potknęła się i wpadła do sporego zagłębienia, pełnego lodowatej deszczówki. Karenira wlaźła tam za nią, pochyliła się i walnęła raz jeszcze, od serca. Oszołomiona mistrzyni miecza, leżąc na wznak, gotowa była utopić się w kałuży. Łuczniczka szarpnęła ją za przyodziewek, wywlokła z wody i postawiła na nogi, po czym parsknęła szczerym śmiechem, zaglądając w ogłupiałe, mętne oczy. Puściła sflaczałe ciało, które z powrotem wpadło do bajora.

— Poczekam... — powiedziała krzywiąc się cokolwiek, bo ból, o którym na chwilę zapomniała, powrócił z nową siłą.

Kaga stanęła na czworakach, ze zwieszoną głową. Z ust kapą jej ślina podbarwiona krwią, płynącą z rozbitych warg.

— Jak to... się robi? — wymamrotała z wysiłkiem.

— Mam dużo mięsa na sobie — odparła łuczniczka, z satysfakcją pokazując ramiona. — Walka mieczem bardzo przypomina pracę w kuźni...

Kaga zaczęła chichotać. Zakasłała. Było jasne, że Łowczyni z jakichś przyczyn nie zamierza jej zabić.

— Nie dziękuj — rzekła Karenira, jakby umiała odgadywać myśli. — Lubiłam Vilana, lecz nie aż tak, by używał mnie do swoich gier... Ubawisz się, ale wyprowadziłam ci z Korony na złość umarłakowi... Gadba przeczuwają chyba, że ich oszukano. Pomyślałam, że i tobie trzeba to uświadomić, Hel-Krehiri.

Rozbójniczka, nadal w wodzie na czworakach, dochodziła do siebie, wciąż spluwając czerwoną śliną. Górna warga, już mocno napuchnięta, wyglądała jak kawałek surowego mięsa.

— Nie wierzę...

Karenira kucnęła na skraju kałuży.

— Poprawić? — zapytała.

Kaga nabrała wody w dłoń i wypłukała usta.

— A gdybym cię zabiła... tam nad jeziorem? Skąd mogłaś wiedzieć?...

— Podsunęłam ci pomysł i patrzyłam, czy zrozumiesz o co chodzi. Za dziesięć lat, gdy będziesz starą kobietą, także łatwo poznasz, o czym myślą dzieciaki.

Kaga zastygła z ręką uniesioną do obolałych ust.

— A... koty?...

Zdziwiona Karenira podążyła za jej spojrzeniem. „Mordercy” wyłaniali się zza skał i biegli lekkim kocim truchtem, mijając je jak powietrze, w odległości najwyżej kilku kroków. Przytroczone do grzbietów niewielkie skórzane plecaki podskakiwały w rytm poruszeń, kolczugi chrzęściły cicho. W środku niekarnej z pozoru watahy wielki czarny kocur mówił do pręgowanego zastępcy:

— ...ale jeśli jeszcze kiedyś je spotkamy, to obojętne, kocica czy tępicielka skrzydłaków... Cesarskich gwardzistów nie wolno targać za wąsy.

Część pierwsza. Władczyni świata

1.

Mała góraska wioska — kilka chałup — ukryta była na dnie posępnej rozpadliny. Wysoko w górze wiatr przetaczał i kłębił brudne chmury, przywodzące na myśl hałdy lepkiej gliny. Miało się na deszcz.

Górale nazywali takie sadyby „wysokimi wsiami” — chociaż wcale niekoniecznie leżały w najwyższych partiach gór. Zawsze jednak były znacznie oddalone od innych ludzkich siedlisk, a zakładano je w dzikich, trudno dostępnych miejscach. Nic dziwnego... Z reguły służyły za kryjówki rozbójniczym bandom. Podczas wojny o Grombelard, Armektańczycy puścili z dymem całe mnóstwo podobnych sadyb sądząc, że będzie to ciężkim ciosem dla chowających się w górach rzezimieszków. Okazało się inaczej. Nowe zbójeckie kryjówki wyrosły jak grzyby po deszczu — tyle tylko, że trzeba było szukać ich od nowa. Jaskiń i rozpadlin było w Ciężkich Górach bez liku i nic zupełnie nie stało na przeszkodzie, by zasiedlić te, albo inne. Wkrótce stało się jasne, że lepiej pozostawić owe orle gniazda w spokoju. Ba! wytworzył się z czasem stan dziwacznej równowagi; wysokie wioski zyskały coś jakby status neutralności... Służyły i rozbójnikom, i żołnierzom. W kraju, gdzie stale padał deszcz i wiał przejmujący, zimny wiatr, warto było znać miejsca dające możliwość zagotowania ciepłej strawy i ogrzania się przed dalszym marszem. Owa dbałość o wysokie wioski kojarzyła się nieco z wydarzeniem, które miało miejsce podczas wojny dartańskiej. Otóż obozowały naprzeciwko siebie dwa wrogie, orężne oddziały. Armektańczycy umacniali swą pozycję; Dartańczycy czekali na posiłki by — pokonawszy zagradzającego drogę przeciwnika ruszyć z odsieczą oblężonej Seneletcie. Pomiędzy pozycjami płynął strumień, będący dla obu stron jedynym źródłem wody. Na mocy niepisanej umowy, korzystali zeń jedni i drudzy, choć strzelcy obu wojsk łatwo mogli pokryć brzegi rzeczutki pociskami z łuków i kusz.

Podobną, co ów strumień rolę, pełniły wysokie wioski. Oczywiście czasem dochodziło w górskich stanicach do bitew, gdy natknęły się na

siebie dwa wrogie oddziały. Ale, niezależnie od tego, nikt nie niszczył tych wsi bez potrzeby. Służyły zbrojnym grupom i samotnym wędrowcom — ich mieszkańcy zaś żyli ze sprzedaży tego, co miało w górach wartość: prowiantu i ognia.

Wieś była ufortyfikowana niczym twierdza: u wejścia do wąwozu postawiono częstokół, wzdłuż którego biegł głęboki rów. Solidnej bramy strzegło chłopisko z tęgą pałką w garści. Na szyi draba kołysała się kościana świstawka — czymś takim grombelardzcy pasterze zwykli przywoływać swoje psy.

Palisada była znakiem, że w okolicy rósł kiedyś górski lasek. W tej części Grombelardu wysokogórskie drzewa stanowiły prawdziwą rzadkość; także i tutaj drewna starczyło zaledwie do wzniesienia palisady i kilku lichych domów, poza tym rolę mieszkań spełniały niewielkie jaskinie. Drewno opałowe sprowadzali mieszkańcy aż z Badoru, kosztem niemałych pieniędzy i trudu. Racionowano je też niezwykle oszczędnie; tym bardziej, że tutaj, w sercu gór, każdą jego wiązkę można było sprzedać podróżnemu po prostu na wagę złota...

Wieś miała kilka nazw — co było równie dobre, jakby nie miała żadnej. Mieszkańcy „wychodzili z jaru” i „do jaru wracali” — żadne inne określenie nie było im potrzebne. Kiedyś trudnili się pasterstwem, potem jednak wynikła wojna z wioskami, leżącymi bliżej hal. Utraciwszy stada, jasnowłosi górale bez żalu zamienili laski na topory — i znaleźli sobie nowe zajęcie.

Pilnujący bramy człowiek przechadzał się niespiesznie. Najpierw bezmyślnie pocierał pałką zmierzwione brodzisko, potem obgryzał sękaty koniec, wreszcie jął popukiwać się w głowę. Gdy i to zawiodło jako sposób na zabicie czasu, wziął oręż pod pachę i mocno roztarł dłonie, zgrabiając od chłodu.

Jednak wszystkie te zajęcia nie osłabiły jego czujności. Odległy stukot toczącego się kamienia sprawił, że mężczyzna zatknął pałkę w szczelinę między okruchami skał i pochwycił lekką, ale niezłą kuszę, leżącą obok głazu. Wsunął nogę w strzemię, zaczepił cięciwę o przytwierdzony do pasa hak i naciągnął broń. Zaraz nałożył bełt. Sprawność, z jaką wykonał wszystkie te czynności, była godna kusznika Gwardii Grombelardzkiej.

Z gwizdkiem w ustach, wartownik czekał, kucnąwszy pod skalną

ścianą. Pilnie spoglądał w kierunku, skąd mogli nadejść obcy.

Nie czekał długo. Ujrzawszy kilka niewyraźnych, rozmazanych przez mżawkę sylwetek (właśnie zaczęło padać) świsnął dwa razy krótko i raz długo, przeciągle. Nadchodzący przystanęli na chwilę, ale zaraz podjęli marsz. Zbliżali się wolno, otwarcie, dając do zrozumienia, że nie żywią wrogich zamiarów.

Od chałup ku palisadzie biegły ponure draby z kuszami i oszczepami: załoga górskiej warowni. Szybko zajmowano dogodne do obrony stanowiska.

Przybyszów było trzech. Na czele szedł mężczyzna średniego wzrostu i tuszy, lat około pięćdziesięciu pięciu. Na ramionach miał szary płaszcz wojskowy; podobne okrycia nosili w Ciężkich Górach prawie wszyscy. Uwagę zwracał dziwny wyraz twarzy tego człowieka — lekko skrzywionej w nieustannym, szyderczym grymasie.

Z tyłu postępowali dwaj tragarze, stanowiący zarazem zbrojną eskortę — obaj mieli kolczugi, kusze i wyborne miecze gwardyjskie.

Góral pilnujący osady ostrożnie postąpił ku przybyłym. Zagadnął krótko, nieprzyjaźnie.

— Jestem Gotah-Przyjęty — opowiedział się mężczyzna w szarym płaszczu. — Zwany Głupim albo Szalonym.

Słowa zabrzmiały sarkastycznie — albo trudno, doprawdy, nadać inny ton wypowiedzi, gdy połowa twarzy, wraz z kącikiem ust, uniesiona jest w ironicznym grymasie.

— Czy ta wieś nazywa się Jar?

*

Wielka izba, niesłychanie cuchnąca, pełna była uzbrojonych ludzi. Dym z paleniska z trudem znajdował drogę do dziury w dachu; zdumiewało, jakim sposobem żywe istoty mogą wytrzymać w tej wędzarni.

— Czekam — rzekł Przyjęty.

Grombelardzki wieśniak bardziej, niż mieszkaniec innych krain Szereru, świadom był potęgi Szerni i ludzi przez nią przyjętych. O mędrkach żyjących w Złym Kraju, a szczególnie na Czarnym Wybrzeżu, mówiło się często. Lecz widywano ich rzadko... Zgłębiali istotę Pasm i Smug Szerni, poza tym niewiele ich obchodziło. A już wędrówki po bezdrożach? Oglądano gościa nieufnie. Wiedzano, że przyjdzie — ale

kiedy w samej rzeczy przyszedł, stąpając całkiem zwyczajnie, wszystkim naraz się zdało, że powinien raczej przylecieć powietrzem... Czy na pewno był mędrcem Szerni?

— Czekam — powtórzył przybysz, wyraźnie zniecierpliwiony. — Czy jest tu ktoś, kto ma dosyć rozumu by pojąć, co mówię? I udzielić najprostszycy odpowiedzi?

Po krótkiej chwili z ciemnego kąta padły słowa, które zdziwiły Przyjętego:

— Odpowiedzi — tak, lecz bardzo ogólnikowe. Będę musiał prosić o cierpliwość, wasza godność. Nie wiem, co się stało. Osoba, która udzielić może wszelkich wyjaśnień, powinna być tu już wczoraj. Oczekujemy jej przybycia w każdej chwili. Tymczasem odrzuć, panie, nieufność. Ludzie, którzy nas otaczają, nie mają wrogich intencji. Po prostu nigdy jeszcze nie widzieli człowieka przyjętego przez Szerń.

Górale tak nie mówili. Język grombelardzki, bardzo trudny, w ustach ludzi prostych brzmiał niechlujnie — zubożony, okaleczony. Ktoś, kto należycie stosował akcenty i pauzy, nadając podstawowym pojęciom szersze treści, był w Ciężkich Górach niezmiernie rzadkim gościem.

Gotah zwrócił spojrzenie w kierunku, skąd dobiegał głos. Na szerokiej ławie siedział — czy też raczej: spoczywał... — wychudzony mężczyzna, pozbawiony nóg. Pozostały tylko kikuty ud, skryte pod brudną spódnicą.

— Kim jesteś?

— Kimś w rodzaju komendanta tej stancy — padła wymijająca odpowiedź. — Żyję tutaj od pewnego czasu... i tutaj zapewne umrę. Czy zaspokoilem twą ciekawość, mędrco?

Przyjęty zmarszczył brwi.

— Co do osoby wzmogłeś... Ale twoje tajemnice są twoją własnością, panie — zatytułował rozmówcę, lecz tak, że dzielący ich dystans został podkreślony, nie zaś zniwelowany. — Tym bardziej jednak żądam, by wyjaśniono mi wreszcie, po co i dla kogo tu jestem.

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie wezwano cię, panie, dla żartu. Choć oczywiście powody, które podano w liście, są fałszywe. Te listy miały zaintrygować Przyjętego i nic więcej. Spełniły tę rolę należycie. Rzeczywiste przyczyny... gdyby je przedstawiono... na pewno uznałbyś za całkowicie niewiarygodne. To wszystko, panie.

— Wszystko? To mniej niż nic. Posłuchaj mnie, panie komendancie stancy: mój czas winienem w całości przeznaczyć na zgłębianie istoty Smug i Pasm. Straciłem go dość, wyprawiając się tutaj, ty zaś pragniesz zabrać mi go jeszcze więcej.

— Ci ludzie — rzekł kaleka, wskazując milczących górali — nic nie wiedzą. Ja zaś, choćbym wiedział, nic nie powiem. Nawet Przyjętemu. Musisz więc poczekać, wasza godność.

Pokazał dłoń, w której spoczywała perłowa, opalizująca kula wielkości pięści dziecka. Dor-Orego, Jasny Porzucony Przedmiot.

— Kula Ferenu — przyszło ciche (i niepotrzebne) wyjaśnienie. — Cóż zrobisz, panie? Wydrzesz mi ją z palców przemocą, powaliwszy wpierw wszystkich moich obrońców? Myślę, że potrafisz to uczynić... lecz czy warto? Może jednak lepiej poczekać?

Gotah milczał, ważąc w duszy racje. Oczywiście, wobec Kuli Ferenu nie mógł odwołać się do Ciemnych Pasm Szerni, a formuły przynależne Pasmom Jasnym były tu bezużyteczne. Lecz nigdy nie przyszłoby mu do głowy posłużenie się siłami Szerni w jakimkolwiek, a cóż dopiero tak błahym, celu. Kaleka widocznie rozumował inaczej. Przyjętego wcale to nie dziwiło. Powszechnie sądzono, że mędrcy z Czarnego Wybrzeża nic innego w życiu nie robią, tylko strzelają ogniem z dłoni, pstrykając w palce napełniają winem puchary, przemieniają się w wydry, by przepłynąć rzeki, słowem — używają mocy Pasm do wszystkiego. Może nawet do ulżenia sobie po posiłku.

— Nie warto — przyznał krótko. — Ale kto powiedział ci, panie, że zamierzam uzyskać potrzebne mi wiadomości przy użyciu siły? Może odejdę po prostu, nie doczekawszy się wyjaśnień?

— Wasza godność — rzekł z powagą tamten — straciłeś dość czasu, by pozwolić sobie na stratę jeszcze dnia lub dwóch. A na koniec, w człowieku przyjętym przez Szerń jest to samo, co i w każdym innym: ciekawość.

Nieoczekiwanie Gotah uśmiechnął się lekko.

— No dobrze — ustąpił. — Ale skoro już jest we mnie ta ciekawość, to zaspokój ją, panie, w małym chociaż stopniu... Powiedz mi, na kogo czekamy.

— Tyle mogę uczynić. Na Hel-Krehiri, panie.

Imię to znaczyło: Pani Łez. Było wojennym przydomkiem kobiety,

dowodzącej licznymi zbójceckimi bandami w okolicach Badoru i Grombu. Uchodziła za okrutnicę, zakochaną tylko w sobie i swoim królestwie. Krążyły o niej fantastyczne opowieści. Powtarzano, na przykład, że umarłaby natychmiast, gdyby budząc się rano, nie ujrzała osnutych deszczem, zimnych i czarnych, wrażonych w chmury szczytów. Nie mogła żyć bez Gór.

2.

Stary miecznik w milczeniu zasiadł za stołem, wspierając głowę na rękach. Po chwili rzekł niegłośno:

— Boli mnie twoje nieszczęście. Dlaczego nic nie mówisz? Czy dowiem się kiedyś, co właściwie zaszło? Jak mogę pomóc, skoro nic nie wiem?

Uniósł wzrok, ze smutkiem potrząsając głową.

Stojąca przy drzwiach, przedwcześnie postarzała kobieta, z jaskrawym pasmem siwizny w kruczoczarnych włosach, milczała. Przychodziła od kilku miesięcy. Prawie jej nie znał, ledwie wiedział, kim jest i jak się nazywa. Przed laty pojawiła się u niego, pytając o swoich przyjaciół — osoby, które bywały w jego domu. Potem przyszła znowu... Przybyła do obcego człowieka, dając do zrozumienia, że prosi o opiekę; to uświadomiło mu, jak bardzo musi być samotna. Skoro w całym Grombie nie miała nikogo bliższego, niż on...

— Jak mogę pomóc? — powtórzył.

Nie odpowiadała. Bardzo możliwe, że postradała mowę; trudno przecież założyć, że... nie chciała mówić. Co gorsza, najwyraźniej postradała też zmysły. Bolał nad tym, bo była grombelardzką legendą, częścią kraju, w którym żył i w którym pragnął umrzeć. Wciąż od nowa pytał, co może uczynić. Wiedział już, że odpowiedzi nie będzie, ale jednak... pytał.

— Więc nic?

Milczała patrząc pod nogi.

Potem uniosła głowę i rozejrzała się wokół, szukając czegoś na ścianach, obwieszonych rozmaitym orężem. Mała izdebka wyglądała niczym zbrojownia, ale też była samotnią człowieka, który wykuwał najlepsze ostrza w Grombie, a być może — w całym Grombelardzie.

Nawet legie cesarskie, żądające wyrobów najwyższej jakości, przysyłały zamówienia do słynnego mistrza Haaghena.

Kobieta nie znalazła tego, co znaleźć pragnęła. Wyczytał w jej spojrzeniu niepokój. Powstał szybko i podniósł wieko dużej skrzyni.

— Twoje rzeczy, czy tak? Teraz trzymam je tutaj — wyjaśnił uspokajająco, pokazując wewnątrz kufra. — Bądź spokojna, opiekuję się nimi.

Znów spuściła oczy ku podłodze.

Wydobył niewielką skrzyneczkę. Sięgnął doń i podszedł do kobiety. Włożył jej w ręce trochę srebra i garstkę miedziaków.

— Dałbym ci nawet potrójne sztuki złota — powiedział. — Ale złoto... zbyt drażni ludzkie oczy. Ktoś mógłby cię skrzywdzić dla paru złotych krążków. Lepiej niech będzie srebro. Po prostu przychodź częściej.

Odwróciła się i wyszła, nie podnosząc spojrzenia. Zauważył jednak, że płakała.

*

Zapadł wieczór, bardzo ciemny i zimny, choć trwała pełnia lata. Ale w Grombie, stolicy Gór Ciężkich, wiatr, deszcz i mrok były najczęstszymi gośćmi. Trwające ponad światem Pasma Szerni nie chciały oglądać przeklętej krainy, okryły ją chmurami, ściągany z nieba Dartanu. I tak graniczyły ze sobą dwa kraje: jeden zniechęcony, drugi ukochany przez rządzącą Szererem potęgę. Pierwszy zimny i dżdżysty, ponury i wrogi; drugi przyjazny, słoneczny.

Ale nad Dartanem Szerń nigdy nie toczyła wojen z obcą, groźną mocą Aleru — siły ponad światem, jak i ona. Nie ponosiła klęsk, nie gubiła poszarpanych Pasm. To Grombelard widział wszystkie jej porażki, i choć ujrzał także na koniec ciężko okupione zwycięstwo, Szerń wolała okryć go całunem. Był pobojuwiskiem.

I pozostał, na wieki, krajem zapomnianym. Nieprzyjaznym. Dziwnym... Kiedyś, z górskich szczytów i całych łańcuchów, czyniły sobie walczące potęgi istne fortyfikacje. Rozrywały masywy, żłobiły kotliny, w których później zalśniły tarcze jezior. Wyrzywały rzeki z górskich trzewi, kierując spienione nurty w przepaściste fosy — taką fosą była przecież słynna pętla Medevy, obejmująca siedem gór, zwanych Medevenem lub Koroną. Największy bastion sił Szerni... Tak

przynajmniej głosiła legenda.

Trudno dociec, co skłoniło starego miecznika, idącego ciemną ulicą, do snucia rozważań o przeszłości Grombelardu. Może spotkanie z kobietą, która sama była... trochę jak Grombelard. Bo pewnym się zdawało, że jakieś siły potężne spustoszyły jej umysł, duszę — po czym zostawiły zrujnowane pobojowisko i odeszły. Tak, jak Szerń i Aler odeszły z Ciężkich Gór.

Chociaż... Pasma tylko pozornie porzuciły Grombelard. Szerń nie była dla górzystej krainy łaskawa, ale przecież wezwania słane przez istoty tutaj mieszkające, nie pozostawały bez echa. Formuły wypowiedane pod niebem Kraju Niskich Chmur, przywoływały moc Pasm równie pewnie, jak te dobiegające z Dartanu, Armektu, czy Wysp pośród Bezmiarów.

Mistrz Haaghen uważał, że podobnie było z nieszczęśliwą kobietą. COŚ w niej trwało niezłomnie; COŚ słuchało i rozumiało. Stary miecznik pragnął znaleźć odpowiednią... Formułę, tak. Formułę, która rozjaśni pogrążony w mroku umysł, przebijając go chmury.

Był stary, lecz uważał, że jest jeszcze w jego życiu dość miejsca na spełnienie dobrego, czy choćby tylko — ważnego uczynku.

Zmierzał wprost do komendantury Legii Grombelardzkiej.

Przyjęto go natychmiast — i z niemałymi honorami. Dowódca wart znał imię człowieka, którego gmerk był wybity, obok cechy jakościowej garnizonu, na mieczu każdego żołnierza. Grombelardzki legionista, pełniący wyjątkowo trudną służbę, umiał docenić oręż i lepiej niż ktokolwiek rozumiał, że od jakości żelaza, od tego, czy łatwo się szczyrbi i pęka, zależy może wynik zbrojnego spotkania.

Miecznika zaprowadzono wprost do komendanta.

— Wasza godność — powiedział S.M.Norwin, dowódca garnizonu, pospiesznie wychodząc naprzeciw — czy stało się coś niedobrego? Jeśli tak, nie traćmy czasu nawet na powitania, natychmiast wydam potrzebne rozkazy... Proszę mówić.

Miecznik uśmiechnął się, bo w słowach oficera była szczerza gotowość udzielenia mu żądanej pomocy, a ponadto — zatytułowano go „godnością”... Znał swoją wartość, oczywiście, bo znał wartość wytwarzanej w swych warsztatach broni. Ale płacono mu za nią — i płacono niemało. Prawdziwie więc uważał, że wojsko nie ma wobec

niego żadnych dalszych powinności, podobnie jak on sam wobec wojska. Ani się spodziewał, że wywoła swym przybyciem takie poruszenie... Teraz odczuł pewne zakłopotanie.

— Wasza godność — zaczął, trochę niezręcznie — nie przywykłem i... prawdę rzekłszy, bliższe mi towarzystwo żelaza niż wysoko postawionych osób... Nie należą mi się żadne tytuły, jestem tylko sumiennym rzemieślnikiem, wasza godność, nikim więcej.

Poproszono go, by usiadł.

— Ktoś, kto powołuje do istnienia oręż, nie jest w moich oczach tylko rzemieślnikiem, panie — rzekł z powagą gospodarz, częstując winem.

Norwin był Armektańczykiem, synem najstarszego narodu Szereru. Tradycja żołnierza-wojownika, stawiającego czoła stworzonym przez Aler półzwierzętom, była równie stara jak sam Armekt. Oręż otaczano niemal kultem. Stary miecznik ledwie o tym pamiętał, teraz jednak nie mógł — i nie chciał — okazywać cesarskiemu oficerowi, jak mało go zajmują armektańskie tradycje.

— Niech tak będzie, panie — powiedział. — Ale przyszedłem w sprawie nie mającej nic wspólnego z moją pracą. Choć prawda, że gdyby nie ona... — zamilkł, znów zakłopotany.

— ...nie wpuszczono by cię do mnie tak prędko, wasza godność — dokończył komendant, uśmiechając się lekko. — Czy to chciałeś, panie, powiedzieć?

Miecznik, nieco zagubiony, powiódł wzrokiem po kamiennej komnatce — bardzo niewygodnej. Uchylone drzwi pozwalały zajrzeć do drugiej izby, równie ciasnej i zimnej. Stało tam proste łoże — i chyba niewiele więcej. Zdaje się, że dalszych pomieszczeń nie było. Stary rzemieślnik z trudem wierzył, że ktoś piastujący tak wysoką funkcję jak komendant stołecznego garnizonu musi mieszkać w podobnych warunkach.

— Z racji mojego stanowiska — odezwał się Norwin — mieszkam i pracuję właśnie tutaj. Prawda, że trudno nazwać tę kwaterę domem... A przecież jestem w lepszym położeniu, niż inni. Wielu ludzi zazdrości mi tych izb.

Dla człowieka obcującego na co dzień z najwyższymi dostojnikami, przywykłego do intryg i dworskich wojenek, twarz rzemieślnika-odludka

była niczym otwarta księga. S.M.Norwin bez trudu czytał w myślach zdziwionego i stropionego gościa.

— Dwór cesarski, a także dwory przedstawicielskie w prowincjach — ciągnął swobodnie, chcąc przełamać skrepowanie znakomitego miecznika — wabią swoim blaskiem rozmaite ćmy... Tak było zawsze i wszędzie, a w Grombelardzie najbardziej. Nie zgadniesz, panie, jak wielu ludzi gotowych jest użyć sprytu, znajomości i pieniędzy, by znaleźć się bliżej osoby mającej władzę. Pomniejsi urzędnicy księcia zadowalać się muszą czymś w rodzaju komórki, wydzielonej z części dawnej stajni. Tak właśnie jest na dworze, wasza godność. Byle mieszczuch żyje w Grombie wygodniej, niż komendant Legii Grombelardzkiej. A pomimo to bardzo sobie chwałę te „komnaty”.

Rozłożył ręce.

— Lecz do rzeczy — zmienił temat. — Uwierz, panie, że goszczę cię z przyjemnością i nasza rozmowa jest dla mnie prawdziwym odpoczynkiem. Ale... — bezradnie wskazał stół, zasłany pergaminami. — Wstyd to przyznać, lecz prawie nie pamiętam, jak cięży w rękę dobry oręż — z niekłamaną niechęcią uniósł gęsie pióro. — Moja broń... W czym i jak mogę pomóc, wasza godność?

Miecznik widział, że komendant naprawdę nie życzy mu źle. Jednak rzeczywiście odwykł od rozmów z ludźmi na stanowiskach... i w ogóle z ludźmi. Czeladnicy (dla których był o wiele bardziej surowy niż sędzią) widzieli mu się zaledwie dodatkiem do miechów i tarcz szlifierskich w warsztatach. Rodziny nie miał... Teraz, gdy przemówił, słowa zabrzmiały bardziej niezręcznie i oschle, niż sobie tego życzył.

— Mam sprawę, panie — rzekł. — Nie wiem, czy kłopotliwą. Potrzebuję, wasza godność, protekcji.

Żołnierz nieznacznie zmarszczył brwi.

— O... — mruknął, jakby z niemiłym zdziwieniem. — Dobrze, słucham. Czy chodzi o... podatki?

Miecznik nie zrozumiał w pierwszej chwili. Potem omal uniósł się gniewem.

— Wasza godność! Nie jestem...!

Komendant przerwał mu szybko:

— Na Szerń, panie, chciałem tylko... Nie o tym przecież...

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

— Chciałbym zyskać posłuchanie... u Księcia Przedstawiciela Cesarza — rzekł wreszcie sucho Haagen. — Nie wiem, jak ubiegać się o nie.

Na twarzy komendanta odmalowało się najpierw zaskoczenie, a potem prawdziwa ulga, że człowiek, którego szanuje, nie prosi o nic niskiego.

— Ale cóż prostszego! Wystarczy...

Urwał i zasępił się nagle.

— Hm, to prawda...

Po długiej chwili miecznik zapytał wprost:

— Czy to trudne?

— Ależ nie, wręcz przeciwnie — odparł tamten w zamyśleniu. — Uzyskać je może każdy. Najpierw jednak urzędnicy księcia zechcą wiedzieć, czy nie wystarczy rozmowa z członkiem Rady. Jeśli nie, uzyskasz wasza godność, posłuchanie, gdy nadejdzie twoja kolej. Więc najprędzej, hm... za miesiąc? A może dwa lub trzy miesiące, doprawdy nie umiem powiedzieć... Czy to sprawa wielkiej wagi, wasza godność?

— Tak i nie. Dla mnie osobiście dość ważna.

— Więc prywatna. No cóż... Czy na pewno nikt inny? Może ja sam mógłbym...?

— To musi być Książę Przedstawiciel — powiedział miecznik, dla którego pozycja petenta stawała się coraz bardziej przykra. — Mało tego: chciałbym zamienić z księciem słowo na osobności.

— O tym nawet nie ma co myśleć!

Haagen zacisnął usta.

— Zrozum mnie dobrze, panie — sumitował się oficer — otóż są granice, których przekroczyć niepodobna. Będziesz miał, wasza godność, możliwość skierowania swoich słów do księcia. To, co powiesz, przesądzi o dalszym przebiegu rozmowy... ale najpierw trzeba, by w ogóle do niej doszło.

Znowu zamilkł. Stu ludzi odpawiłby z niczym utrzymując, że sprawy załatwić nie może... Ale stary rzemieślnik nie był typem człowieka, który szedłby na dwór Przedstawiciela, mając na oku przyziemne jakieś korzyści, a tym samym narażając protektora na nieprzyjemności. Norwin czuł w głębi duszy, że prędzej zyska niż straci, popierając tę tajemniczą sprawę.

— Czy gotów jesteś, panie — zagadnął, znalazłszy sposób — uciec się do... niewielkiego kłamstwa?

— Jak mam to rozumieć?

— Jutro będę widział się z księciem, zaraz po posiedzeniu Rady. Mam tam swoje miejsce, z racji pełnionej funkcji, ale sprawy czysto wojskowe zwykle omawiane są po posiedzeniach, w węższym gronie. Nie myślę wcale o przebrojeniu legii... ale może ceniony w Grombie miecznik mógłby pomyśleć za mnie?

Haaghen zmarszczył czoło.

— Miałbym zatem... — zaczął powoli.

— Powołałbym cię, panie, jako rzeczoznawcę. Jeśli istnieje jakiś powód, dla którego miecze legionistów mogłyby być lepsze, niż są...

— Nie widzę takiego powodu — rzekł rzemieślnik.

— No to wymyśl go, panie. I niech będzie wiarygodny, bo ksiązę zna się na orężu i wojsku naprawdę wybornie. Oto wszystko.

Rozmowa była skończona.

3.

Hel-Krehiri przybyła z drużyną tak liczną, że domy wsi w żaden sposób nie mogły zapewnić kwater. Biwakowano pod gołym niebem, na wojskowy sposób, przy czym dyscyplina i porządek w oddziale były rzeczywiście wzorowe. Ciężkie Góry nie raz i nie dwa razy oglądały przemarsze zbójceckich band, które karnością przypominały cesarskie legie. Jednak kiedyś, gdy Górami rządził legendarny już za życia Basergor-Kragdob, zbrojni ludzie przemierzający bezdroża istotnie — czuli się żołnierzami. Twarda ręka zbójceckiego króla ciążyła nad karkiem każdego, jednak Kragdob nie tylko strach wzbudzał. Przede wszystkim ogromny szacunek i podziw. Nawet dla dowódców wojsk cesarskich oficer (nie herszt bandy wcale!) takiego Basergora-Kragdoba nie był pierwszym lepszym rzeźmieszkiem. Mając takiego wodza, mieli też wojownicy gór swoją godność.

Od czasu zniknięcia Kragdoba zmieniło się wiele. Hel-Krehiri, jego następczyni, była tylko kobietą i — jak prawie każda kobieta, przychodząca na miejsce mężczyzny niezwykłego — umiała być zaledwie cieniem wielkiego poprzednika. Szanowano ją, a pewnie! —

lecz głównie dlatego, że okazywanie szacunku wymusiła. Wzbudzała powszechny lęk — i dobrze, bo żołnierz winien czuć respekt przed dowódcą. Ale dla jego surowości, nie zaś okrucieństwa.

Prawdziwe jej imię brzmiało Kaga. Po grombelardzku znaczyło: kotka. Powiadano, że w samej rzeczy wychowała się i dorosła pośród kotów, na badorskiej ulicy. Mówiono też, że nigdy naprawdę nie lubiła ludzi i właściwie... nie czuła się człowiekiem... Koty, drugi z gatunków powołany przez Szerń do noszenia rozumu, były dla niej wcieleniem doskonałości. Gdyby mogła, porzuciłaby ciało, w którym ją uwięziono, biorąc w zamian inne: sprężystej, śmigłej kocicy.

Gotah-Przyjęty, który to i owo o Pani Łez słyszał, poznał zaraz, że większość owych opowieści chyba nie mija się z prawdą. Bardziej może zaintrygowany niż zadziwiony (bo historia Szereru notowała podobne przypadki) obserwował niewysoką, doskonałą jak kropla deszczu dziewczynę, która bardziej była kotem, niż człowiekiem. Czarnowłosa i czarnooka, o drobnym podbródku, stanowiła idealne połączenie urody i harmonii — zaiste jak kocica... Również całe jej zachowanie wyrażało najznamienitszą kocią cechę: celowość. Była praktyczna, wyłącznie praktyczna. Nie gestykulowała mówiąc. Nie robiła kilku rzeczy naraz. Obdarzona wysoce podzielną uwagą, zdawała się badać otoczenie słuchem w stopniu daleko większym, niż zwykł to czynić człowiek, przy czym własny głos wyraźnie nie przeszkadzał jej w łowieniu wszelkich obcych dźwięków. Wreszcie — także sposób postrzegania świata miał wybitnie koci; nie obchodziło ją nic poza „tu i teraz”. Gdyby zaczął mówić o przyczynach, dla których grombelardzkie niebo spowijają chmury, w ogóle by nie rozumiała, o co chodzi. Chmury — no tak, były. Są. Czy miały może zniknąć? Nie? Więc po co o nich mówić, czy myśleć? Jaki z tego pożytek?

Nie przypadła jej do gustu ciemna i śmierdząca izba. Powitawszy gościa, zamieniła kilka słów z tajemniczym beznogim mężczyzną, po czym zaproponowała Przyjętemu... przechadzkę.

Na zewnątrz szalała ulewa.

— Wolę czuć wokół siebie góry niż zbutwiałe deski — wyjaśniła krótko. — A ty, panie? Dobrze ci w tej zakopczonej trumnie?

Budowała zdania w sposób znamionujący bystry umysł i niejaki obycie, ale wypowiadała je niedbale, tak że raczej myślała niż słuchem

doszukiwał się pełnych znaczeń grombelardzkich słów.

— Czy nie obawiasz się, że po wyjściu stąd użyję Formuły, która pozbawi cię rozumu i woli? Po czym uprowadzę, zabiję, albo jeszcze gorzej? — zapytał z kpiną, zawinioną tym razem nie tylko przez grymas twarzy.

— Przyjęci to nie głupcy, lecz mędrzy — zauważyła treściwie. — Głupców Szerń nie przyjmuje.

Powstał.

— No to chodźmy — powiedział.

Znalazłszy się na zewnątrz, przemokli w mgnieniu oka. Nie sądził, by to zauważyła.

— Zapomnij, panie, o listach, które ci posłałam. Zwykły podstęp — mówiła przez ramię, idąc przodem. — Gdybym mogła udać się do Złego Kraju, uczyniłabym to i wyjaśniła całą rzecz na miejscu. Ale nie mogłam. Z wielu przyczyn, przede wszystkim zabraniał tego rozsądek. W Kraju łatwo o śmierć, a moje życie jest teraz bezcenne. Możliwe, że jest najważniejszą rzeczą w Grombelardzie.

— O! — pokręcił głową. — Zakładam, że nie żartujesz.

— To dobrze.

Wyszli poza bramę. Usiadła wprost na ziemi, opierając plecy o potężne wierzeje. Wioskowego wartownika nie było, teraz służbę pełnili dwaj jej ludzie — oraz kot, jeden z kilku, wchodzących w skład oddziału. Oddalili się, gdy skinęła.

Wystawiła twarz do deszczu. Szeroka, skórzana opaska na czole, była czarna od wilgoci, podobnie jak gruba kurta, którą nosiła na kolczudze.

— Posłuchaj, mędrco — powiedziała, odgarniając mokre włosy, przylepione do szyi — i ani przez chwilę nie podawaj moich słów w wątpliwość, bo to, co wiem, wiem na pewno. Czego zaś nie jestem pewna, to zaznaczę.

— O! — powiedział znowu. — Jednak przyznam, pani, że twój ton jest cokolwiek niewłaściwy wobec kogoś takiego jak ja. Nie widzę powodu, byś mną komenderowała.

— Wcale nie zamierzam tego robić, panie. Nie chcę cię pod swoją komendą, musimy się sprzymierzyć, to wszystko. Teraz jednak różnica między nami jest taka, że ja wiem, dlaczego to przymierze jest konieczne,

ty zaś nie. Daj mi wreszcie powiedzieć, co trzeba, a zlikwiduję tę różnicę. Słuchasz?

Roześmiała się niespodziewanie.

— Wiem... mój ton. Naprawdę żywię szacunek dla Gotaha-Przyjętego, panie. Ale od lat odzywam się tylko po to, by wydać polecenie albo wyrok. Trudno znaleźć mi właściwe słowa.

Przyjął wyjaśnienie. Jeśli w ogóle kiedykolwiek przepraszała (w co wątpił, bo koty nie przepraszały), to właśnie próbowała uczynić coś w tym guście.

— Kilka miesięcy temu — powiedziała — wydarzyło się coś, czego nie rozumiem i wątpię, bym zrozumieć zdołała. Nawet z twoją, panie, pomocą. Nie lubię Szerni i jej sił i polubić nie chcę. Lubię miecz. Myślę, będzie potrzebny. Kilka miesięcy temu — ciągnęła — podjęto próbę wskrzeszenia wrogiej siły, która kiedyś zmagą się z Szernią. Uczynił to ktoś taki jak ty. Szczątki podartych Wstęg Aleru (popraw mnie panie, jeśli coś pomyliłam) do dziś leżą w Górach. Powtarzam to wszystko za kimś, nie wiedząc, co właściwie znaczy — wyznała rozbijając się. — I nic mnie to nie obchodzi, naprawdę. Zdaje się, że od rozumienia jesteś ty. Ja wiem, kto chce skrzywdzić Ciężkie Góry, będę z nim walczyć i zabiję go.

Gotah milczał, wykrzywiwszy twarz w grymasie, który nie wiadomo co oznaczał.

— Ten człowiek nazywa się Brule-Przyjęty — podjęła. — Ciężkie Góry znają to imię. Po śmierci Wielkiego Dorlana to najpotężniejszy z mędrców Szerni, czy tak? Zdaje się jednak, że jest obłąkany? Powiedziano mi, że powinien zostać odtrącony przez Szerń, jednak tak się nie stało z powodów, których nikt nie pojmuję. Brule-Przyjęty chce mieć syna, by przekazać mu swą fałszywą wiedzę. Jednak obcowanie z Szernią sprawia, że dzieci Przyjętych albo rodzą się martwe, albo są kalekie... Czy uważasz, wasza godność, że mającę? — zapytała nieoczekiwanie.

Przez chwilę patrzył jej w oczy.

— Mam nadzieję — powiedział.

Dotknął dłonią czoła, odstąpił dwa kroki, potem wrócił. Uczynił słaby ruch ręką.

— On chce zmusić Aler, by za sprawą wybranej kobiety dał mu zdrowego potomka — rzekł poruszony. — Czy tak?

— Zapewniał mnie o tym człowiek, który wie, co mówi — potwierdziła. — Szczątki wstęp Aleru odnaleźć można w okolicach Grombu, w Czarnym Lesie i... och, dla mnie to wszystko bełkot! — cisnęła z nagłym gniewem. — Nic z tego nie rozumiem, ale widziałam, co stało się z Górą tam, gdzie chcieli te Wstęgi poruszyć! Widziałam! I wiem, że dwoje ludzi, którzy stanęli w obronie Gór, drogo za to zapłaciło. Nie byli dotąd moimi przyjaciółmi... a jednak ich pomszczę, przysięgam.

Zamilkła wzburzona.

Gotąh przetrwał wieści.

— To wszystko jest możliwe — rzekł wreszcie. — Tak, to wszystko być może, niestety. Ale chcę mieć dowód, że jest tak, jak mówisz. Czy masz dowody?

Zapomniał, z kim rozmawia. Najpierw ujrzał jej ogromne zdumienie, potem nagły napływ wściekłości. Żądał przecież dowodu prawdy od istoty, której słowo było dowodem samym w sobie... Kot nie kłamie. Żądanie dowodu na poparcie jego słów jest obelgą tej miary, co splunięcie w twarz. Wyszczrzyła zęby jak zwierzę i przez chwilę walczyła z dziką chęcią wydobycia miecza.

— Spróbuję... zapomnieć... — wykrztusiła wreszcie, nie patrząc na Przyjętego. — Nazywają cię Głupim... czy tak? Rozumiem to.

Uniósł rękę.

— Nie zarzucam ci kłamstwa, pani — rzekł pospiesznie. — Ale może się... mylisz? Wierzę, że jest tak, jak mówisz, ale siła człowieka przyjętego przez Szerń musi znaleźć oparcie w wiedzy! Wiara to za mało, wiara to nic, wierzyć można w cokolwiek! Muszę — wiedzieć. Muszę mieć pewność.

Próbowała okiełznać gniew.

— Oto mędrzec. Jak mogłam się... spodziewać? Czego ci potrzeba? Jakich dowodów? — pytała urywanie, rozdrażniona.

— Ależ jakichkolwiek — powiedział ciężko. — Więc nie masz żadnych, pani? Po co więc sprowadziłaś mnie tutaj? Jeśli wszystkim, co masz, są słowa, to równie dobrze można było zawrzeć je w listach do mnie. Jednak chciałaś spotkania twarzą w twarz. Czy to miało... — spojrzał na nią i urwał.

Tak. Dawała mu przecież najoczywistsze dowody, jakie tylko być mogły: swoje własne świadectwo. Tak myślała. Po prostu nie umiała i nie

mogła myśleć inaczej.

To była bariera, której przekraczania musiał się dopiero nauczyć. Dwie różne istoty — i dwa różne światy.

— Widziałam, co zrobiono Górom! — powtarzała ze złością, ale też bezradnie, bo nie rozumiejąc czego on właściwie od niej chce. — Wszystko, co wiem poza tym, wiem od człowieka, który zmierzył się z Brulem i zwyciężył, i zapłacił za to zwycięstwo! Sprawdziłam, że mówił prawdę. Ty sam przyznajesz, że wszystko to być może... i nie wiem, no nie wiem, czego chcesz jeszcze?! Poraniono moje Góry, rozumiesz? — powiedziała znowu, rozwścieczona. — Zniszczono Wodogrzmoty Medevy! Największy wodospad świata to teraz rumowisko! Usłyszałeś?! Kto to zrobił? Ty? A może ja?!

Pochwyciła skalny okruch i wyrznęła nim w skrzydło bramy.

— Hel-Krehiri — zaczął bardzo spokojnie i cicho, tak cicho, że musiała się uspokoić, by usłyszeć, co mówi — powiedz: rozumiesz mnie? Pojmujesz sposób myślenia Przyjętego?

Patrzyła długo, uważnie, przekrzywiwszy głowę.

— Ja ciebie też nie pojmuję — powiedział. — Czy ty myślisz, że na Wybrzeżu często zdarza mi się... rozmawiać? I to jeszcze z kimś takim, jak ty? Nie rozumiemy się i musimy się tego nauczyć. Czy tak? Powiedz?

Usiadł tak jak ona, wprost na ziemi, opierając plecy o wrota.

— Wiem, że wszędzie świadectwo kota uznawane jest za bezsporny dowód — mówił raczej do siebie, niż do niej; brzmiało to tak, jakby wyszukiwał w pamięci pożyteczne, lecz dawno zapomniane wiadomości. — Jest przecież dowodem dla urzędników Trybunału Imperialnego... Widziałas, mówisz? I ufasz człowiekowi, który opowiedział ci to, co znów ja uznałem za możliwe?

Zamknął oczy i pocierając twarz dłonią, długo siedział w milczeniu. Próbował — jednak uwierzyć.

— Jak wy to potwierdzacie? Wy, ten wasz... niezwykle gatunek? — zapytał ciężko. — Jak się to potwierdza, Hel-Krehiri? Pomóż mi, nie pamiętam.

Zrozumiała.

— Słowo... kota — poddała niegłośnie i jakby z pewną obawą.

Znowu milczał, przez kilka długich chwil.

— Słowo kota — przypieczętował.

4.

Komendant garnizonu wcale nie przesadził, kreśląc obraz książęcego dworu. Mistrz Haaghen był oszołomiony. Gromb powstał tak, jak wszystkie grombelardzkie miasta w Górach; przed wiekami potężny wódz rycerzy-rozbójników zbudował fortecę, która potem rozrosła się w miasto. Lecz pradawna, zamknięta w murach miejskich warownia — twierdza w twierdzy — pewnie dość duża dla zbójeckiego herszta, była dziesięć razy za mała dla iście królewskiego dworu. Choć przebudowana kilkakrotnie, forteca w żaden sposób nie mogła pomieścić tych wszystkich, którzy przy osobie księcia musieli, powinni, bądź po prostu mogli się znajdować. W korytarzach i salach, uczynionych przecież z myślą o obronnym przeznaczeniu budowli, także po wtargnięciu wroga w obręb murów, panował nieopisany rozgardiasz. Schody, spiętrzone tak, by łatwo było z nich spychać nieprzyjaciół, roily się od biegnących w dół i w górę ludzi; godna najwyższego podziwu była determinacja, z jaką przypuszczali szturm do nich stetryczali starcy, piastujący jakieś godności; to znów damy, z narażeniem życia sunące nieomal na palcach w obuwiu na mocno podwyższonych koturnach — wynalazku dartańskich zalotnic (ba! ale w dartańskich domach i pałacach wielkich rodów, schody przywodziły na myśl prędzej tarasy, niż drabiny...); wreszcie urzędnicy, beznadziejnie zaplątani w fałdy długich szat... Cizba! Domownicy i petenci; służący i żołnierze; kobiety, mężczyźni, młodzieńcy, starcy... Norwin i Haaghen, w asyście czterech gwardzistów, w niektórych miejscach przebijali się z najwyższym trudem — bywało, że eskorta torowała drogę niemal siłą. Stary mistrz, któremu rozbrzmiewające hukami młotów, stękaniem miechów i jazgotem tarcz ściernych warsztaty zdały się nagle przytulne i zaciszne, z wielką ulgą przywitał koniec tej upiornej drogi. Ale gdy komendant pozostawił go w maleńkim pomieszczeniu, któremu na próżno próbowano nadać charakter dartańskiego przedpokoju, zaczął dla odmiany lękać się, jaki będzie przebieg spotkania z pierwszym człowiekiem prowincji. Oto sprawa, z którą szedł, przybladła nagle w zestawieniu z tym pośpiechem, z tą ogromną, gorączkową krzątaniną setek ludzi, których spotkał po drodze.

„Tak daleko zaszedłem — mówił sobie, patrząc na pełniących straż przy drzwiach żołnierzy — ale z czym? Sprawą obłąkanej kobiety... na której głowę ściągnę, być może, dodatkowe nieszczęście. Któż zaręczy, że to, co mam dla księcia, jest w ogóle jej własnością? Ale trzeba było pomyśleć o tym wcześniej...”

Na szczęście — oczekiwanie trwało krótko. Haaghen, który z jakichś powodów był przygotowany na coś wręcz przeciwnego, prawie bezmyślnie podszedł do drzwi, otwartych przez komendanta.

— Pozwól, panie — rzekł Norwin, skinąwszy głową. — Księżę chce poznać człowieka, który daje oręż cesarskim żołnierzom.

Co powiedziawszy — mrugnął.

Nie dodało to otuchy staremu miecznikowi.

Kamienna komnata, której surowość próbowano złagodzić olbrzymim kobiercem dartańskim oraz licznymi arrasami, zdawała się dość przestronna — może dlatego, że niewiele w niej było. Pośrodku trwał ogromny stół, obstawiony krzesłami. U jego szczytu siedziało kilka osób. Miecznik zdziwił się, widząc proste stroje w przygaszonych barwach, jakże różne od bogatych, gęsto zdobionych szat, przeważających w pałacowym tłumie. Ale prowincjami rządzą Armektańczycy (niezbyt chętnie dopuszczano do władzy przedstawicieli podbitych narodów), krzywym okiem patrzący na zbyt jawne okazywanie zamożności i znaczenia. Człowiek, szczególnie piastujący wysokie stanowisko, powinien odpowiednio się wyrażać, dając tym świadectwo bystrego umysłu — ale nosić raczej skromnie.

Haaghen, posłyszawszy brzęczącą jak srebro rozmowę przy stole, zdał sobie nagle sprawę, że przecież nie włada armektańskim, a co gorsza — bardzo słabo zna Kinen, uproszczoną wersję tego języka, podsunętą przez Armekt wszystkim ludom imperium... Przebogaty język zdobywców Szereru, będący kluczem do zrozumienia i poznania ich tradycji, odstawał tak bardzo od mowy grombelardzkiej, czy dartańskiej nawet, że Armektańczycy nie mogli tego znieść. Szczerze przekonani, że mówiące „byle jak” narody muszą być już z samej tej przyczyny nieszczęśliwe, darowali im wspólną mowę Kinen. Był to ledwie szkielet ich języka, ułożony z potocznych zwrotów i wyrażen... który okazał się i tak o wiele za trudny dla mieszkańców Grombelardu i Garry. Tylko w Rollaynie, Złotej Stolicy Dartanu, posługiwanie się armektańskim

należało — w pewnych kręgach — do dobrego tonu.

O wszystkim tym mistrz Haaghen nie myślał, a nawet nie wiedział.. Jednak wydawało mu się, że ktoś taki jak Księżę Przedstawiciel Cesarza, nie zechce zniżyć się do tego, by rozmawiać z rzemieślnikiem w jego własnym języku.

Miejsce na podwyższeniu zajmował mężczyzna w wieku lat około czterdziestu, o wyrazistych rysach i spokojnym, trochę twardym spojrzeniu. Powiedział coś i skinął ręką. Komendant garnizonu odpowiedział z uśmiechem, zajmując jedno z krzeseł. W następnej chwili miecznik posłyszał, z niemałą ulgą, mocno zaznaczone, grombelardzkie akcenty:

— Proszę bliżej, mistrzu. Rad widzę człowieka, który daje oręż Legii Grombelardzkiej. Ale słyszę, że oręż ten mógłby być lepszy? Od razu zaznaczę: nie wątpię.

Miecznik pokrył zmieszanie ukłonem.

— Nie wątpię, albowiem prawie wszystko można zrobić lepiej, niżli jest robione — ciągnął z lekkim uśmiechem Przedstawiciel. — Jednakże światem rządzi równowaga i „lepiej” oznacza zwykle „drożej”. Pomówmy o tej równowadze.. Wyjaw mi najpierw, mistrzu: czy dwa razy droższe miecze będą tym samym aż dwa razy lepsze? Jeśli tak, wysłucham cię z najwyższą uwagą.

Zaległa cisza. Miecznik ujrzał wbite w siebie spojrzenia obecnych... i nagle powiedział płynnie ze spokojem, który zaskoczył jego samego:

— Wybornie znam się na mieczach, wasza wysokość. Ale lepsze od mieczów legii są tylko miecze gwardyjskie, które także wytwarzam. Są też, oczywiście, droższe. Nic bardziej śmiertcionośnego zrobić nie potrafię. Dla kogoś, kto urodził się do miecza — być może, lecz nie dla zwykłego żołnierza. Okłamałem jego godność komendanta garnizonu, by zobaczyć się z jego wysokością N.R.M.Ramezem, Księciem Przedstawicielem Cesarza w Grombie — zaakcentował nazwisko i tytuł.

Spoglądano z nieukrywanym zdziwieniem. Norwin, zakłopotany, odchrząknął.

— Bzdura — rzekł po długiej chwili Przedstawiciel. — Uknuliście to razem, czy tak? Mam nadzieję, że nie bez powodu. No, czekam — ponaglił chłodno.

Miecznik postąpił naprzód, wy dobył z zanadrza wygnieciony

rulonik pergaminu i wyciągnął rękę.

— Co to jest? — padło surowe pytanie.

— Wasza wysokość... Proszę, wasza wysokość. Dwie, a może trzy tylko osoby znają... wiedzą... — mistrz Haaghen stracił swój spokój.

Przedstawiciel zniecierpliwionym ruchem wziął rulonik, rozwinął go i przebiegł wzrokiem treść. Nagle uniósł głowę i z głębokim namysłem zmarszczył czoło. Zastanawiał się przez długą chwilę.

— To ciekawe — rzekł powoli, patrząc rzemieślnikowi prosto w oczy; zwinął pergamin, ale nie wypuścił go z ręki. — Księgi wyniesione z granic Złotego Kraju? — kładł nacisk na każdym słowie.

Miecznik przeraził się i zdumiał. Już otwierał usta... gdy nagle zrozumiał, że wszechwładny w Grombelardzie namiestnik cesarza prosi go o... współudział w kłamstwie.

— Tak, wasza wysokość — odpowiedział z drzeniem.

— Wrócimy do tego, mistrzu. Sprawa dość ciekawa, ale błaża — skwitował Ramez, zwracając się do swoich doradców. Przywołał na twarz lekki uśmiech. — Szkoda na nią czasu nas wszystkich.

Ci, z którymi książę był bliżej, także pozwolili sobie na dyskretne uśmiechy. Słabość cesarskiego zięcia do starych ksiąg i roczników znana była dosyć powszechnie.

Miecznikowi kazano poczekać w izbie obok. Rozumiał już, że ziściła się rzecz niewiarygodna: miał rozmawiać z władcą prowincji — tylko w cztery oczy...

5.

Było dopiero południe, lecz w ulicach Grombu zalegał półmrok, przesycony mżawką. Przybysz z innej krainy imperium zdziwiłby się wielce, trafiwszy tego dnia na wielki rynek, gdzie pomimo szarówki i deszczu handlowano zawzięcie. Lecz deszcz — dla Grombelardczyka?... Targowano się pośród kramów i straganów, przywodzących na myśl różnorakie namioty. W tłumie nabywców i przekupniów co i raz wybuchały sprzeczki, przeradzające się łatwo w kłótnie, a nawet przepychanki. Łagodzili je legioniści z patrolu, uzbrojeni w krótkie, mocne oszczepy, których groty rzadko były w robocie, za to drzewca — dość często...

Właśnie wszczęto bójkę — lecz szczególną, bo dozwoloną przez prawo, a nawet dobrze widzianą... bo ten sposób rozstrzygnięcia zatargów pozwalał skłonny do zwady góralom wyszumieć się bez rozlewu krwi. Na polecenie dowódcy patrolu jeden z legionistów pozostał przy walczących, by pilnować reguł i przyjmować zakłady. Przeciwnicy obnażyli się do pasa i wewnątrz kręgu widzów poczęli okładać pięściami, szczególnie po gębach, ale też — gdzie popadło. Armekt i Dartan nie znały tego dzikiego sposobu dowodzenia racji; owszem, uprawiano zapasy. Ale bój na pięści, podniesiony do rangi prawdziwych zawodów, wywodził się wprost z Grombelardu.

Reguły były proste: dozwalały jakkolwiek uderzać i popychać przeciwnika, ale nigdy chwycić. Przewróconemu należało pozwolić na powstanie. Kto nie mógł wstać — ten przegrywał.

Dwaj krzepcy, jasnowłosi mężczyźni byli godnymi siebie rywalami. Jeden sporo cięższy i potężniejszy, ustępował przeciwnikowi wzrostem, zwinnością i zasięgiem ramion. Otrzymał już wiele ciosów w twarz i korpus, sam zaś zadał trzy, a może cztery. Jednak miały one swoją siłę. Widać było, że wyższy mężczyzna odczuł uderzenia — odwrotnie zaś, grad ciosów spadających na siłacza nie wywierał skutku. Masywny góral miał rozbity nos i splotał krwią, ale widzom się zdawało, że gdyby miał trzy nosy, krwawiłby sobie ze wszystkich tak samo obojętnie — choć zapewne obficie.

I oto wysokiemu powinęła się noga; przeciwnik dobrze wybrał moment i zdzielił go w podbródek tak potężnie, że dryblasowi w jednej chwili oczy zasłyły mgłą. Machnął trochę desperacko, na oślep, ale tamten poprawił z boku, potem jeszcze raz w podbródek — i było po walce.

W kręgu widzów, wrzeszczących bez opamiętania, stał wysoki starzec, z głową okrytą kapturem. Śledził przebieg pojedynku, ale jeśli odczuwał emocje, to ukrywał je dobrze. Uważny obserwator dostrzegłby może, iż skryte zainteresowanie starca budziła raczej kobieta w szarym płaszczu, stojąca w tłumie. Przenikliwe, trochę niesamowite spojrzenie co i raz ślizgało się ku niej, dotykało na krótko — potem uciekało...

Miano już dzielić wygraną. Ale oto powalony góral klęknął... potem wstał z wysiłkiem — i uniósł ramiona, gotów do dalszej walki. Siłacz zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, lecz na koniec skinął głową, trochę kpiąco, a trochę z uznaniem. Jednak wznowiwszy walkę, raczej

blokował ciosy przeciwnika i odpychał go, niżli sam uderzał. Może stracił ducha, a może czując swą przewagę — po prostu nie chciał masakrować przeciwnika? Nikt nie wiedział, o co poszło tym ludziom; nierzadko przecież nawet dobrzy przyjaciele stawali do pojedynku, poróżniwszy się o jakiś drobiazg. Mogło tak być i tym razem.

Ale nie, bo chudy góral, odzyskawszy werwę, nacierać począł wcale nie na żarty, z jakąś zapiekłą nienawiścią i dziką desperacją. Siłacz poznał wreszcie, że to nie przelewki, że nie wolno mu oszczędzać przeciwnika, bo zostanie dotkliwie pobity. Otrzymałszy nową serię bolesnych uderzeń, silniej niż dotąd odepchnął natręta, po czym przeszedł do kontrataku. Okazało się naraz, że — prawdziwie rozgniewany — potrafi uderzać nie tylko potężnie, ale i błyskawicznie. Tłum zawył z rozkoszy — bo istotnie było na co patrzeć. Chudy chwiał się i zataczał pod nawalą ciosów — jednak, jakimś cudem, ciągle nie upadał... Entuzjazm widzów osłabł; walka stała się żalosną, jednostronną kanonadą. Wreszcie ktoś wrzasnął:

— No upadnijże, no! upadnij!

— Upadnij! — zabrzmiało zewsząd. — Upadnij, przecie już cię dostał! No, upadaj!

— Przewróć się! Nie wstawaj!

— Upadnij!

Młody żołnierz, pilnujący przestrzegania reguł, nie umiał w porę podjąć decyzji. Wreszcie ruszył, by rozdzielić walczących. Ale właśnie wtedy chudzielec, oślepy i półprzytomny, raz jeszcze począł się odgryzać, beładnie bijąc i kopiąc.

Kogo mógł obchodzić wyraz skupionego wysiłku na twarzy wysokiego starca, gdy odwrócił się i odszedł z pochyloną głową? Zaraz potem odeszła także kobieta w szarym płaszczu. Gdy poprawiała kaptur, wysunęła się spod niego wstęga czarnych włosów, skażonych pasmem siwizny.

A jednak były oczy śledzące tę parę; opodal, na płóciennym dachu obskurnego straganu, leżał czarny kot gadba, jeden z tych czujnych olbrzymów, którym kupcy chętnie płacą za pilnowanie towaru. Żółte ślepia uporczywie utkwione były w postaci starca — a potem idącej za nim kobiety...

Rozwścieczony bezsensowną walką siłacz, otwartą dłonią zatrzymał

przeciwnika w odległości wyciągniętego ramienia, drugą ręką przymierzył się i zamachnął potężnie...

Podniecony i przerażony tłum zawył.

Żołnierz nie zdążył przerwać walki.

Wielka pięść z impetem kuli działowej huknęła dryblasą w łeb. Nogi jeszcze próbowały iść naprzód, lecz łamały się w kolanach pod ciężarem lecącego w tył korpusu. Góral upadł, dziwnie skręcony, z piętami pod siedzeniem. Ciałem targnęły drgawki; ustały prawie zaraz — pięściarz skonał.

Gdy stwierdzono ów fakt, wszczęło się zamieszanie. Legionista, wyraźnie zdenerwowany, pokazał zwycięzcy, że jest wolny — bo też walka odbyła się zgodnie z prawem i wszelkimi regułami. Zresztą, gdyby zechciał wydać inny werdykt, miałby do czynienia z poruszonym motłochem; poturbowano by go bez wątpienia. Siłacz, otarłszy krew z porozbijanej twarzy, zarzucił na ramiona kapotę, trzymaną dotąd przez jednego z gapiów. Pilnie spoglądał po otaczających go twarzach, potem, wyraźnie zaniepokojony, skierował wzrok na dach straganu...

Czarnego kocura nie było.

W oczach górala zamigotał prawdziwy lęk, graniczący z przerażeniem. Pospiesznie wmieszał się w tłum, odtrącając zatrzymujących go ludzi. Najpierw krążył po rynku, wreszcie pobiegł do oberży, zwanej „Górskim Wiatrem”. Miał tam kilku przyjaciół.

Nim zapadła noc, czterej krzepcy mężczyźni, należący do rodzaju tych, z którymi lepiej nie zadzierać, przebiegli wszystkie ulice i zaułki Grombu, odwiedzili każdą gospodę, szukali i pytali... Daremnie. Kobieta, którą powierzono ich pieczy, zniknęła. Łatwo zgadnąć, co było tego zniknięcia przyczyną. Na Szerń, wtedy na rynku, to nie była zwykła walka... To nie była zwykła walka! Ktoś ją sprowokował, a potem baczył, by toczyła się podług jego woli.

Ktoś... Nie kto inny przecież, jak człowiek, na którego czekali i który miał wpaść prosto w zastawioną pułapkę... Mędrzec Szerni, Brule-Przyjęty.

Zebrawszy się ponownie w „Górskim Wietrze”, mężczyźni nie taili wzajem swoich obaw. Zawiedli... i nie mogli oczekiwać, że spodoba się to ich przywódczyni.

Była wszakże nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone. Ich

towarzysz Wemir, najlepszy wywiadowca Hel-Krehiri — zniknął także. Wemir był doświadczonym szpiegiem, wybornym znawcą górskich miast i bezdroży. Ale przede wszystkim — był kotem. Wojownikiem gadba.

Liczyli, że zdoła przekazać im wiadomość.

6.

— Książę — powiedziała N.R.M.Werena — więc naprawdę wolisz spać z tymi księgami, niż ze mną?

Ramez poderwał się, zrzucając na podłogę pliki kart.

— Zdrzemnąłem się. O doprawdy...

Postąpiła trzy kroki, ciekawie oglądając wewnątrz zimnej samotni. Była tu dwa czy trzy razy, ale dosyć dawno. Łóżko (a raczej szerokie poślanie, zarzucone futrami) pulpit do pisania, dębowy stół, proste krzesło... i księgi. Skarby jej męża.

— Z trudem to pojmuję — powiedziała. — Manuskrypty, kroniki, roczniki... Chłopcy bawią się w rycerzy. Rycerze bawią się w Przyjętych. Hm, ciekawe, w kogo bawią się Przyjęci?

Rzuciła krótkie spojrzenie. Otworzył usta, ale machnęła ręką. Futro stepowej pantery, którym była otulona, zsunęło się nieco, odsłaniając krągłe ramię. Była prawdziwą córą Armektu, kobietą wcześniej piękną i długo, długo młodą. Trzydziestodwuletnia — miała ciało dziewczyny. Tym bardziej, że nie rodziła.

— Och, nic nie mów! — sarknęła. — Wiem, wiem... Nie chcesz mnie tu widzieć, wiem, rozumiem. Na litość, jesteście jak dzieci, gromadzące w różnych schowkach swoje skarby. Dorastałam obok trzech braci, zapominasz czasem o tym, jak sądzę. W pałacowych ogrodach mieli swoje TAJEMNE KRYJÓWKI, już dziś nie pamiętam, co w nich było... Jakieś rupiecie. W wielkim sekrecie i za potężny okup — ciągnęła z lekkim uśmiechem — dowiadywałam się, że przezarte rdzą żelastwo to miecz Demona Walki, albo jakiejś innej legendy. Chłopcy dorośli, ale nic się nie zmieniło. Odkrywałam, że nadal mają skarby. A to konia, trzymanego gdzieś za miastem... Myśliwską chatkę w głuchych borach, starszą niż sam Armekt... Kochankę... Pergaminy — poskrobała paznokciem leżący na stole zwój. — A wiesz, że mój ojciec tak samo? Władca Wiecznego Cesarstwa, najpotężniejszy człowiek na świecie... ou...

— przytknęła palce do ust, tłumiąc śmiech — nawet ci nie powiem, czemu się oddawał „w najgłębszej tajemnicy”.

Przysiadła na krawędzi stołu, pokazując udo.

— Czemu to ma służyć? — zapytała, już zupełnie poważnie. — Masz przecież kronikarzy, pisarzy... Tymczasem zaniedbujesz ważne sprawy, zaniedbujesz mnie....

— Prosiłem — przerwał niegłośnie — żebyś tu nie przychodziła. To nieodpowiednie miejsce dla kobiety. Niczego nie zaniedbuję, uciekam do tej wieży na jedną noc w tygodniu, a czasem i to nie. Dzisiaj zaś... nie uwierzysz, jak doniosłe może być to, czego próbuję dociec.

— Śpiąc z głową w inkauscie — popukała się w czoło, pokazując miejsce, gdzie gęsie pióro naznaczyło Księcia Przedstawiciela; gest miał zresztą podwójną wymowę... — Jakież to ważne dociekania? Wreszcie... ach, co tam...

Rozchyliła futro. Do nagiego brzucha przyciskała cienki plik zapisanych stronic.

— Kupiłam to dla ciebie — oznajmiła. — Nie do końca wiem, jaką wartość przedstawia, bo nie nauczyłeś mnie szacować wartości takich rzeczy.

— Co to jest? — zapytał zdumiony. — Kupiłeś to... dla mnie?

— No.

Wyciągnęła rękę. Pochwycił karty i rzucił okiem na pierwszą.

— Stare bajędy żeglarzy z Londu — szepnął poruszony i zakłopotany. — Wiesz, co to jest?!

— Trochę wiem... Czytałam.

— Czytałaś to? — niedowierzał.

— Chciałam wiedzieć, co kupuję. Nawet zasięgałam opinii...

— Opinii? Ależ... w całym Grombie ja jeden mam o takich rzeczach jakiegokolwiek pojęcie! — zawołał poirytowany.

— Uderz mnie, rycerzu — poradziła łagodnie.

Ramez zamilkł.

— Wybacz — rzekł po chwili ze wstydem. — Sprawiałaś mi ogromną niespodziankę, Wereno. I ogromną przyjemność.

Skinęła głową.

— To nie miejsce dla kobiety — powiedziała z leciutką goryczą, zsuwając się ze stołu. — Już ci nie przeszkadzam.

Zatrzymał ją.

— Wereno... — rzekł z wahaniem — czy... zajmuje cię lektura takich rzeczy?

Uniosła brwi.

— Prawdę mówiąc... no cóż, nie są to armektańskie pieśni, prawda? Ten język... Heevesh rahgh'eeno al'koo, hasahak-gaare... — powiedziała z wysiłkiem. — Och, nigdy nie pokocham grombelardzkiego, naprawdę.

Ramez przygasał.

— Ale jednak — podjęła — nie wiedziałam, że to takie ciekawe. Szkoda. Tyle lat trzymałeś mnie z daleka od swych ksiąg.

Powziąwszy decyzję, ujął mały rulonik i podał jej.

— Przeczytaj.

Tekst był w dwóch językach: po armektańsku i po grombelardzku.

— „Okazicielka tego pisma ma prawo widzieć się ze mną zawsze i wszędzie, o dowolnej porze dnia i nocy. N.R.M.Ramez, przedstawiciel Cesa...” A cóż to? — zapytała zdumiona. — Przepustka dla kochanki?

— A wiesz, wasza wysokość — rzekł z nagłym przebłyskiem humoru — że prawie. Kilka lat temu siedziała na tym stole, tak jak ty przed chwilą. I mam nadzieję, że nie domyśliła się, jaki miałem apetyt...

— Śmiesz mi mówić takie rzeczy?

— Powiem i więcej, jeśli zechcesz słuchać.

Zastanowiła się.

— Czy będzie to coś, po czym zrobię ci awanturę? A zresztą... Może niechby i było — wzruszyła ramionami.

— Bądź spokojna — rzekł, tłumiąc rozbawienie.

Spoważniał po krótkiej chwili.

— Wkrótce po tym, jak objąłem przedstawicielstwo w Grombie, rozgorzała w Górach wielka wojna... Nie, nie było cię tu jeszcze — przypomniał. — Ale musiałaś o tym słyszeć. Rozbójnicy wyrzynali się nawzajem, ja zaś koniecznie chciałem wmieszać w to legie — pokiwał głową. — Nie znałem wtedy zbyt dobrze miejscowych stosunków, przyznaję. Kobieta nosząca jedno z najświetniejszych nazwisk w Dartanie, pomogła mi uniknąć błędów. „Najbardziej zdumiewająca kobieta Szereru”... — zamyślił się. — Tak o sobie mówiła... i nie bez powodu zaiste. Cała rzecz do dziś jest tajemnicą — podjął. — Zgadujesz chyba, jak niezręcznie byłoby mi przyznać, że prowadziłem układy z

hersztem rozbójników? Tym bardziej, że pośrednicząca w układach osoba, także, hm... o niezbyt kryształowej reputacji... wyświadczyła mi na koniec osobistą przysługę.

— Czy dowiem się wreszcie, kim jest ta najcudowniejsza z kobiet? O przysługę wolę nie pytać.

— Kim... była. Grombelardzką legendą, o której na pewno słyszałaś. Nazywano ją Królową albo Panią Gór. Miała przydomek Łowczyni.

— O? — zdziwiła się niechętnie. — Tak, słyszałam.

— Wręczyłem jej to pismo — pokazał zwitek pergaminu. — I wiedziałem, co robię. Uwierz mi: nigdy nie nadużyła wynikających z niego przywilejów. A wczoraj... nie, przedwczoraj... przyszedł do mnie człowiek, który twierdzi, że jest kimś w rodzaju opiekuna tej kobiety. Popadła w obłąd. I postradała mowę.

Księżna patrzyła zaskoczona.

— Stary pocziwina przechowuje jej rzeczy — wyjaśnił Ramez. — Przejrzał je, szukając czegoś, co pomogłoby mu odkryć przyczynę szaleństwa kobiety, będącej jeszcze nie tak dawno kimś naprawdę wyjątkowym. Znalazł moje pismo i przyszedł do mnie, ja zaś kazałem mu sprowadzić podopieczną tutaj. I to by było wszystko, gdyby... gdyby nie moje księgi.

— Nie rozumiem.

— Wspomniałem o osobistej przysłudze, jaką mi oddała. Och, nie bądźże dzieckiem, księżno... Otóż Łowczyni była przybraną córką Dorlana, największego mędrca Szereru. Wiedząc, że kocham historię, przekazała mi spuściznę po nim — zatoczył ręką. — I uwierz, że są to rzeczy bezcenne. Robię coś, co czynią tylko Przyjęci: rozważam prawdy zapisane w Księdze Całości, do której każdy z mędrców Szerni wnosi kolejne okruchy wiedzy. I chyba rozumiem niektóre z Praw Całości.

— Ależ... to chyba niezwykle? — była szczerze zdumiona. — Uważałam... sądziłam, że po prostu czytujesz stare kroniki. Wszyscy tak to widzą...

— I są w błędzie — uciął niechętnie. — Uwierz: ani ja, ani twój ojciec, nie mamy takiej potęgi i władzy, jaką daje Przyjętym rozumienie Szerni. A jednak... a jednak są to bezsilni mocarze — zadumał się na chwilę głęboko. — Bo właśnie ta wielka, nieprzebrana wiedza, każe im nie robić właściwie nic... Czy wiesz — zapytał nagle — że jeszcze nie tak

dawno... z całą powagą rozważałem myśl o zostaniu jednym z nich?

Niedowierzała.

— Przecież... Ty żartujesz?

— Bynajmniej.

— Żartujesz...

— Mówię ci, że nie.

Roześmiała się nagle, rozkładając ręce.

— Wybacz, księżę — powiedziała słodko — ale nie uwierzę.

Pokiwał głową.

— Ty mnie powstrzymałaś — oświadczył nieoczekiwanie. — Bardzo cię Kocham, Wereno. Nie potrafiłbym rozstać się z tobą.

Patrzyła zdziwiona — bo N.R.M.Ramez, cesarski przedstawiciel w Grombie, nie był typem człowieka, który codziennie po kolacji wyznaje miłość żonie.

— Słuchaj dalej — kontynuował po chwili. — Pośród Praw Całości odnaleźć można czasem Prawa szczególne, mające formę przepowiedni. Nie chcę tego tłumaczyć, bo nie sposób w dwóch słowach... Przepowiednia Całości nie ma nic wspólnego z jakimś wróżbiarskim bełkotem; jest rzeczą niezwykle rzadką i można ją odczytać tylko niekiedy. Wtedy mianowicie, gdy zachodzące w świecie wydarzenia potwierdzą i zaczną obnażać jej sens. Może kryć się w dowolnej uwadze któregośkolwiek z mędrców Szerni. Otóż widzisz, starogrombelardzka pisownia w ogóle nie uwzględnia akcentów, co sprawia, że teksty pisane w tym języku są szalenie niejednoznaczne...

Urwał.

— Przepowiednia, o której mówię, zawarta jest w słowach Dorlana-Przyjętego. Wkład Wielkiego Dorlana od lat znaleźć można we wszystkich Księgach Całości, jakie są w posiadaniu mędrców Szerni. Ale nie jest to dzieło kompletne... Mam tutaj zapiski, z których jednoznacznie wynika, że powinny być dodane do poprzednich rozważań. Nie potrafię, tak jak mędrzy-Przyjęci, sprawić, by nowy zapis pojawił się od razu we wszystkich Księgach, ale zrobiłem co w mojej mocy, by uchronić wkład Dorlana przed zaprzepaszczaniem. Sam rozszerzyłem jego własną Księgę o brakujący fragment, po czym kazałem przepisać całość, i to od razu w kilku egzemplarzach. Prace wciąż jeszcze trwają... Księgi Całości to najobszerniejsze dzieła Szereru.

Z trudem nadążała.

— Przepowiednia... Prawa Całości. O nie, nawet nie będę udawała, że cokolwiek rozumiem — wyznała bezradnie. — O czym mówi ta Przepowiednia?

— O wojnie Szerni z Alerem — wydobył na wierzch kilka zapisanych kart. — Dorlan pisze o pradawnych zmaganiach potęg, drążąc ich istotę. Dziś widzę w tym Przepowiednię. Niejednoznaczności, o których mówiłem...

— Wciąż nic nie rozumiem — zaprotestowała.

— Posłuchaj — zmarszczył brwi i czytał, od razu przekładając ze starogrombelardzkiego na armektański. — „Pani Świata”... czyli Szerń — -wytłumaczył —, ...utraciwszy równowagę swej istoty...” mmm... tak: „srebrne Wstęgi naznaczywszy Ciemne Pasma...” (mowa o wstęgach Aleru i Pasmach Szerni) — znów wyjaśnił. — I dalej: „Gdy Wstęgi...”

— Nie — powiedziała. — Na litość, przecież ja z tego nie pojmuję nawet słowa! Dla mnie... dla mnie to zupełnie bez sensu. Zupełnie.

Przygryzł wargę. Przez chwilę zastanawiał się, jak tłumaczyć rzeczy oczywiste... Prawda, że nie dla niej.

— Starogrombelardzki nie rozróżnia... bez specjalnych dookreśleń, których Dorlan nie użył... świata jako całości i świata Ciężkich Gór. Tutaj — pokazał rękopis — Pani Świata (więc Szerń) to równie dobrze Pani Gór... Ten tekst mogę odczytać (ale dopiero dziś, wiedząc o kilku wydarzeniach) zupełnie inaczej, niż zamierzył Dorlan. „Utrata równowagi” i „obłąd, szaleństwo” określane są tym samym słowem, to tylko kwestia akcentu... Daj to komukolwiek, kto zna starogrombelardzki i pomiń wstęp, z którego jednoznacznie wynika, o jakich zmaganiach mowa... Opowiedz mu historię Łowczyni i poproś o przekład kilkunastu kolejnych zdań. Przetłumaczy je bez wątpliwości i najmniejszych wahań.

— Co z nich będzie wynikać?

— Że Pani Gór, postradawszy zmysły w walce z wrogą potęgą, poruszyć może Wstęgi Aleru w Górach Ciężkich — mówił szybko, nie patrząc w rękopis. — Że będzie brzemienią za sprawą wrogiej siły, a jej dziecko stanie się — zajrzał do tekstu — „nosicielem treści Aleru”, więc równie dobrze „powiernikiem mrocznej wiedzy” (bo „aler” to tyle, co „mrok” lub „zło”). Na koniec „w środku świata” to równie dobrze „pośrodku Gór Ciężkich”... a środek Gór Ciężkich to Gromb. „Grombelard”

to przecież „kraj środka”; „gromb” znaczy „środek”, Wereno.

— To... nieprawdopodobne. To szalone — zaprotestowała.

— A ja ci mówię, że tak objawiają się Przepowiednie. Myślisz po armektańsku, gdzie każde słowo ma zwykle jedno, jasno określone znaczenie. Grombelardzki, zauważ (a już starogrombelardzki!) rządzi się całkiem odmiennymi prawami. Niestłuchane ubóstwo dźwięków — i nieprzebrane bogactwo akcentów, rozłożonych wręcz... karkołomnie. W tym fragmencie nie ma ani jednego słowa, słyszysz? — ani jednego słowa, które wzbraniałoby tak wyłożyć sens. Chyba nie sądzisz, że największy mędrzec Szereru wpisał do najważniejszej księgi świata, którą zgłębiał przez całe życie, jakieś kalambury? Mówię i wiem, co mówię: to Przepowiednia! Nikt nie wie, jakie skutki pociągnie za sobą poruszenie wstęg Aleru. Ale dokładnie wiadomo, co uczyniły Szerń i Aler, walcząc nad Górami. Otóż obróciły cały Grombelard w perzynę.

Znów spojrzał na zapisaną kartę.

— Co jeszcze jest dla mnie niejasne, to sens słów: „naznaczona Wstęgą”. Srebrne Wstęgi Aleru wtapiały się w Ciemne Pasma Szerni, wytrącając jej istotę z równowagi... — zmarszczył czoło i potarł dłonią podbródek.

Zmęczona i zdezorientowana, spoglądała to na męża, to na przedziwne zapiski.

— „Naznaczone Wstęgą”, przecież chodzi o Srebrne Wstęgi? — mówił zamyślony. — Jak to jeszcze wyłożyć?

— Nie wiem — westchnęła. — Doprawdy...

Znużonym ruchem odgarnęła niesforne, czarne włosy, przeplecione niezwykłą u kobiety w jej wieku — pojedynczą smużką siwizny.

Nosiła to pasemko od zawsze — i nie kryła. Przydawało dyskretnego uroku...

7.

Hel-Krehiri wcale nie lubiła pleść trzy po trzy (co sprawiało, że nie każdy wierzył, iż jest prawdziwą kobietą) niemniej uważała, że to i owo omówić należy. Lecz Gotah, odkąd wyruszyli z Jaru, stale zachowywał milczenie. Rozumiała, że ma o czym myśleć; jednakże gdy stanęli na nocleg w okolicach Grombu, spróbowała nawiązać rozmowę. Daremnie.

Przyjęty ledwie odmruknął, zagłębiony w swych rozważaniach. Zaczęła się poważnie zastanawiać, czy duży będzie pożytek z takiego sprzymierzeńca. Wyjawiała tę wątpliwość, dorzucając jeszcze:

— Jutro, myślę, otrzymam raporty od moich wywiadowców w Grombie. Brule szukał Łowczyni i jeśli ją znalazł, to znaczy, że wpadł w moje sieci. Ale czy dotarło do ciebie, panie, że właściwie nie wiem, czego się spodziewać? Coś mi mówi, że zbyt długo ganiałam po górach, chcąc spotkać się z tobą.

Gotah milczał. Czekwała przez chwilę, potem legła na wznak, podkładając ramiona pod głowę.

Biwak rozłożono przy strumieniu, poza tym miejsce nie było lepsze ani gorsze, niż jakiegokolwiek inne. Ognisk nie rozpalono, bo brakło opału. Ludzie siedzieli skupieni w większe i mniejsze grupki, prowadząc niegłośne rozmowy. Obozu strzegły dwie linie wartowniczych placówek.

— Wasza godność — powiedziała — udało ci się przywieść mnie do furii. Nie wiem, dlaczego odjęło ci mowę. Ale jeśli zaraz jej nie odzyskasz, to utnę ci głowę, ręce i wszystkie inne członki... przy czym kolejność, myślę, będzie raczej odwrotna. A wtedy usłyszę twój głos, i będzie brzmiał potężnie. Powiedziałam.

— Cenię sobie twój humor, Hel-Krehiri — rzekł obojętnie — ale to Szerń rządzi światem, ja zaś jestem niejako jej częścią.

— Światem rządzi miecz — rozstrzygnęła, siadając na powrót. — Ty masz swoją mądrość. Wiesz dobrze, jak łatwo zawodzi ta broń. Skuteczna wobec tłumów i z daleka, często jest nic nie warta w bezpośredniej walce. Cała wiedza i siła wypłyną z twojej głowy zaraz potem, jak najgłupszy z moich żołnierzy zrobi w niej dziurę bełtem. Porozmawiajmy, zanim przeprowadzę dowód.

Wykrzywił upiornie twarz... ale to był uśmiech.

— A wiesz, Hel-Krehiri, miałem cię za głupszą. Nie do końca podzielałam zaufanie, jakie żywisz do oręza — ciągnął, nim zareagowała — ale w tym, co powiedziałaś, jest sporo słuszności. Nie wyobrażam sobie, by Brule nadal trwał u boku Szerni — oznajmił, zmieniając temat. — To, co stało się u źródeł Medevy, z całą pewnością jest dziełem Aleru. Ktoś, kto poruszył Wstęgi, musi być odtracony przez Szerń, każda inna możliwość stałaby w sprzeczności z regułami, na których opiera się świat, po prostu. Szerń i Aler są jak ciepło i chłód, albo światło i mrok. W

żaden sposób nie mogą współistnieć, bo zaprzeczają się wzajem.

— Taka wiedza nuży mnie, wasza godność — oznajmiła. — Powiedz coś, co może się przydać.

— Właśnie próbuję. Odtrącony przez Szerń Brule przestał być jej częścią. Tylko tyle. Aż tyle... Lecz i ty częścią Szerni nie jesteś, a przecież możesz z niej czerpać, odwołując się do Porzuconych Przedmiotów, symbolizujących różne Pasma. Brule nie postradał swej wiedzy ani pamięci. Zna Formuły, o jakich poza Wybrzeżem nawet nie słyszano i posiada Przedmioty, które uznał za przydatne. Mędrzec Szerni brzydzi się używaniem ich do czynienia jarmarcznych sztuczek, bo nie do tego je przeznaczono. Ale mędrzec Szerni nie poruszy też Wstęg Aleru...

— Brule nie jest już mędrce Szerni — podsumowała. — Czy jest mędrce Aleru?

— Skądże. Żadna z istot zrodzonych pod niebem Szerni nie może być przyjęta przez Aler. Wszystko, czym zdoła zaskoczyć cię Brule, będzie płynąć z siły Porzuconych Przedmiotów.

— Co z tego wynika?

Zastanowił się.

— To tylko, że Brule ma jakieś Przedmioty. Chyba jednak nie Kulę Ferenu, bo zdaje się, że skradziono mu ją. Wątpię, by nosił dwie.

Spojrzała z uznaniem.

— No, mędrce...

— Wciąż powtarzasz „mędrce”, ale myślisz „głupcze” — skarcił ją. — Twój okaleczony przyjaciel to uczeń i przybrany syn Brula, który wspólnie z Łowczynią pokrzyżował plany swego mistrza. Czy tak? — zapytał znowu.

Udało mu się zadziwić rozbójniczkę.

— Skąd wiesz o tym, wasza godność? Nie chciał zdradzić się przed tobą. Dałam mu słowo... że dopiero, gdy moje argumenty zawiodą...

— Domyślał się, jak zareaguję. Zdrada pozostaje zdradą. Człowiek prowadzony ku Szerni winien patrzeć na wszystko oczami swego przewodnika. Gdy nauczy się widzieć rzeczy, które widzieć trzeba, wtedy wybierze swoją własną drogę i nikt nie zaprotestuje. Ten mały człowieczek pozostawił swego nauczyciela na pionowej ścianie skalnej, odciawszy linę, którą byli związani. Uznał, że droga jest zła. Ale czy ktoś kazał mu na nią wstępować? Uczynił to, a potem zawiódł zaufanie, jakim

go obdarzono i przyczynił się do upadku człowieka, który chciał mu oddać wszystko, co miał. Godzien jest pogardy.

— A więc tak to widzisz... — zamyśliła się.

— Właśnie tak — potwierdził. — Powiem więcej: otóż kiedyś rozmawiałem z Brulem. Droga, którą kroczył, w jakiś sposób podobała się Szerni. Nie musiał więc jej porzucać. Myślę, że poruszenie Wstęgi Aleru nie było przyczyną zdrady. Wręcz przeciwnie. Było jej skutkiem, pani. Brule poruszył Wstęgę po tym, jak zdradził go uczeń, w którym pokładał ostatnie swe nadzieje. Tak uważam.

Noc zapadła na dobre, ale mędrzec-Przyjęty i królowa rozbójników (dziwna para, doprawdy...) dalej toczyli rozmowę, jakby pragnąc nadrobić wszystkie dni milczenia.

— Brule uroił sobie — mówił Gotah — że jedynym godnym spadkobiercą jego wiedzy będzie syn. Wiem, że próbował... Ale Szerń jest zazdrosna o istoty, z którymi obcuje. Dziwne rzeczy działy się ostatnio w Obszarze. Doszło do niesłychanego kataklizmu i chyba wyzwolił go gniew Brula. Wkrótce potem Brule przyjął ucznia, czego nigdy wcześniej nie czynił. Połącz, wasza godność, te dwie sprawy.

Dał jej chwilę czasu.

— Powiedziałem wcześniej, że nikt zrodzony pod niebem Szerni nie może czerpać z Aleru. To prawda, ale może nie do końca... W Księdze Całości są wzmianki o władczyniach świata — base-kregheeri'd. Pradawni mędrzy Szerni, wywodzący się jeszcze ze starożytnego plemienia Shergardów, określali tak Armektanki — córę najstarszego narodu Szereru. Nadal zresztą tak się je określa, bo Księga Całości po dziś dzień spisywana jest po starogrombelardzku. Nikt nigdy nie poważył się dokonać przekładu, bo zabiłoby to ukryte w Prawach Całości znaczenia, a z owych znaczeń czasem rodzą się Przepowiednie. Popatrz, pani: choćby właśnie „base-kregheeri” oznaczać może także „władczyni (królowa) Gór Ciężkich” — na przykład. Właściwy sens odczyta tylko ten, kto umie myśleć po starogrombelardzku. A takich jest niewiele. Czy wiesz, pani, jaki musi być pierwszy krok każdego, kto chce być przyjęty przez Szerń? Doskonałe poznanie języków, wszystkich języków Szereru.

— Tak? — mruknęła obojętnie.

— Twój wstręt do wszelkiej wiedzy jest przerażający, pani! — stwierdził z nagłym rozdrażnieniem. — Na Szerń, cóż to za wybryk losu:

żywy kot wepchnięty w ludzką skórę!

Zamiast wybuchnąć gniewem — nieoczekiwanie odwróciła spojrzenie.

— Nie dotykaj tego — poprosiła niegłośno. — Czy szydę z twojej twarzy, wasza godność? Uszanuj więc moje kalectwo.

Opanował się... i poczuł głęboki wstyd.

— Pokonany przez Szerń Aler został zepchnięty na skraj świata — rzekł zwięźle. — Północna granica: tam Aler sąsiaduje z Krajem-Za-Górami; tam Szerń styka się z Alerem. Granica jest płynna i ruchoma, na pograniczu działają prawa Szerni lub Aleru, a najczęściej — żadne. Armektańczycy, którzy byli na północy, wydają czasem na świat córki — base-kregheeri'd, władczynię świata, Armektanki — naznaczone przez Aler. Powszechnie uważa się, że nic z tego nie wynika. Wiem, że Brule sądził inaczej.

Zastanowiła się.

— On szuka Armektanki naznaczonej przez Aler... żeby dała mu syna, przy udziale wskrzeszonych szczątków Aleru w Ciężkich Górach? — zapytała powoli.

— Chyba tak.

— Co jest tym znakiem Aleru?

— Symbol Srebrnej, a czasem Złotej Wstęgi. Zwykle pasmo siwizny. U rodowitych, czarnowłosych base-kregheeri'd...

Przymknęła oczy.

— Żartujesz sobie ze mnie, wasza godność? — przerwała spokojnie.

— Chciałaś słyszeć, pani, suche wiadomości — odparł, trochę zniecierpliwiony. — Teraz żądasz wyjaśnień? Jak obszerne być mają?

— Łowczyni jest Armektanką. I ma pasmo siwizny we włosach. Nic nadzwyczajnego po tym, co przeszła.

— To potwierdza, co powiedziałem — skonkludował.

Zdjęła z czoła swoją szeroką, skórzaną opaskę, pokazując pukiel złotych włosów.

— Mam to od niedawna, mędrcze. I nie znam swoich rodziców...
Możliwe, że byli Armektańczykami.

Gotah przyglądał się milcząc.

8.

Do dowódcy wart: okaziele tego pisma mają być niezwłocznie postawieni przede mną. Sprawa najwyższej wagi.

N. R. M. Ramez

Przedstawiciel Cesarza w Grombie

(i pieczęć)

Gwardzistom, pełniącym służbę w pałacu, treść pisma mogła wydać się niezwykła — lecz nie miało to żadnego znaczenia. Tych ludzi szkolono do spełniania poleceń; mieli je honorować i nie dziwić się niczemu. Żołnierz natychmiast pozostawił przybyłych pod opieką kolegi i pobiegł do dowódcy wart. Wkrótce wrócił w towarzystwie podsetnika. Oficer rzucił okiem na pismo, zbadał podpis i pieczęć, po czym bez słowa wskazał drogę.

Był późny wieczór (a właściwie już noc) i po gorączkowej krzątaninie, panującej w pałacu za dnia, nie pozostał nawet ślad. Korytarze i pokoje były puste; czasem tylko spieszył dokądś służący.

Tego wieczoru Książę Przedstawiciel poświęcał się grom towarzyskim — rozrywce będącej dlań raczej uciążliwym obowiązkiem. Dowódca wart, chociaż z racji pełnionej służby miał dostęp do księcia o każdej porze dnia i nocy, zadowolony był, iż nie musi budzić jego wysokości. Ponadto... publiczną tajemnicę stanowił fakt, że tylko nalegania księżnej skłaniają Przedstawiciela do uczestniczenia w jakichkolwiek innych rozrywkach niż te, które sam sobie wybrał. Ramez pozwalał odrywać się od gry z prawdziwą (choć skrywaną) ulgą. Podsetnik był szczerze rad, iż dano mu możliwość wprawienia księcia w dobry humor.

Starszy mężczyzna o pospolitym wyglądzie i zaniedbana kobieta, stale patrząca pod nogi, starali się dotrzymać mu kroku. Zerknął z ukosa raz, potem drugi — lecz w końcu nie jego sprawą było, kogo książę przyjmuje i dlaczego. Dotarłszy na miejsce, wezwał drzemiącego przy drzwiach niewolnika i wydał krótkie polecenie. Niewolnik natychmiast zniknął za drzwiami. Wrócił wkrótce, przepuściwszy przodem Księcia Przedstawiciela. Oficer, w postawie pełnej uszanowania, oddał pismo, ale nim zdążył wypowiedzieć słowo, Ramez rzucił okiem na przybyłych i machnął ręką.

— Wiem wszystko.

Po czym zwrócił się ku miecznikowi:

— Doprawdy dziwną porę wybrałeś sobie mistrzu... Nie, nie przeprasza. Zaniedbam przyjemności towarzyskie, to wszystko.

Z kolei spojrzał na kobietę.

— Witam, pani — rzekł ze szczerą troską. — Na Szerń, czy dowiem się, jak mogę pomóc?

Nie dała poznać po sobie czy wie, kim jest mówiący. Ramez ze smutkiem patrzył na wychudłą twarz, kiedyś tak pełną życia i urody. Z trudem wierzył, że stoi przed nim jedna z pierwszych dam Dartanu, a potem legendarna Pani Ciężkich Gór... Jakże inna była wtedy, gdy w kamiennej komnatce, pełnej ksiąg i pergaminów, zuchwale — tak, zuchwale! — wytykała mu nieznamość praw rządzących Krajem Chmur, śmiała się z „dartańskiej pomyłki”, jaką było nieudane małżeństwo z bajecznie bogatym, lecz zbyt słabym dla niej mężczyzną. Mówiła wtedy o sobie „królowa Grombelardu”... Teraz tylko oczy pozostały niezwykle w tej twarzy; lecz niezwykle w inny sposób, niż kiedyś...

Nieobecne i smutne.

— Nie, na Szerń — powtarzał strapiony. — Co się stało, co zaszło? Nie mogę w to uwierzyć, wasza godność.

Odprawił oficera i dał znak miecznikowi. Poszedł przodem, osobiście prowadząc do prywatnych swoich pokoi.

Były zimne. Jak wszystko w tej ponurej grombelardzkiej twierdzy, wytwornie nazwanej pałacem. Zięć cesarza i z jego ramienia władca Drugiej Prowincji — bywało, zwyczajnie marzył.

Komnatę urządzono z armektańską prostotą — ale nie ubogo bynajmniej. Chłód bijący od ścian pochłaniały przepyszne futra zwierząt zabitych, jeszcze w Armekcie, własną ręką jego wysokości Rameza. Przeważały cętkowane skóry panter, najgroźniejszych drapieźników biegających po Wielkich Równinach. Wśród myśliwskich trofeów miała swoje miejsce broń, używana w różnych krainach Szereru, warta fortunę, ale dla Armektańczyka będąca przede wszystkim symbolem wojennych tradycji jego kraju. Poczesne miejsce zajmował łuk. Wisiał osobno, mały i niepozorny, bardzo prosty i noszący ślady wielokrotnego użycia. Oręż, otoczony w Armekcie niemal kultem, symbol jeźdźca równin.

— Usiądź, pani — rzekł Ramez, a gdy nie zareagowała, powiódł ją i osobiście posadził w obszernym fotelu, obitym wilczą skórą. Przygryzł usta, po czym spojrzał na miecznika.

— Naradźmy się, mistrzu.

— Tak, naradźmy się, książę — mruknął ten, wpatrzony w buławę na ścianie. — Wybacz, wasza wysokość, ale jestem ojcem oręża... Czy mogę?

— Owszem — padła nieco zdziwiona odpowiedź. — To z Dartanu...

Miecznik ujął broń i ważył w dłoniach, zamyślony.

— Potrzebuję twojej pomocy, książę. Teraz... a najbardziej za kilka lat, jak sądzę. Raz już ocaliłeś ogromny skarb wiedzy dowodząc, że nieobce ci rozumienie spraw wielkich. Pewien jestem, że jako opiekun najbardziej niezwykłej istoty w dziejach Szereru, także pojmiesz i spełnisz swoją misję.

Ramez zmarszczył brwi, coraz bardziej zdziwiony.

— Cóż to za dziwna rozmowa, mój zacny rzemieślniku? — zapytał chłodno. Okazałem. ..

— Trzeba, książę — przerwał miecznik — byś zaopiekował się, za czas jakiś, dzieckiem, które zdoła połączyć niewyobrażalne potęgi. Tak Szerń, jak i Aler, mają podwójną naturę — lecz same są częściami jeszcze większej całości. Możliwe jest zjednoczenie Szerni i Aleru, stopienie ich w jedną całość: IDEAL — to rzekłszy uniósł spojrzenie... i Ramez przez krótką chwilę oglądał zupełnie obcą, surową i groźną twarz, która wychynęła spod rysów mistrza Haaghena. Zaraz potem głowica buławy uderzyła go w skroń. Ramez stęknął, otrzymał drugi cios — ale nim upadł, napastnik pochwycił go i powłókł w kąt pokoju.

Kobieta wstała powoli, obserwując rozgrywającą się scenę. Przez moment na jej twarzy grały jakieś nieokreślone uczucia... Jednak po chwili cofnęła się i usiadła z powrotem.

Podobieństwo do miecznika Haaghena nie było już potrzebne. Wysoki starzec patrzył na nieprzytomnego ze skupieniem — takim samym jak wtedy, gdy obserwował walkę na rynku. Wyrzekł krótką Formułę — i przybrawszy nową postać, okrył leżącego futrem, zerwanym ze ściany. Potem szybko opuścił komnatę.

Obłąkana Pani Gór siedziała bez ruchu, ze zwieszoną głową.

— Wasza wysokość? — księżna nie tajiła zdziwienia. Skinęła na niewolnika, by zamknął drzwi, za którymi bawiono się grą, po czym odprawiła go. Gdy odszedł, znów zwróciła się do męża:

— Czyś oszalał? Najpierw sam wybiegasz w pośpiechu, nawet nie próbując ukryć ulgi, słowo daję. Teraz znów zmuszasz mnie, bym...

— Więc to prawda — przerwał, nie spuszczając spojrzenia z jej włosów; uniósł rękę, jakby pragnął dotknąć srebrnego pasemka na skroni...

Uchyliła się odruchowo, zaskoczona.

— Co ty robisz?

— Tak, to prawda... — powtórzył, opuszczając dłoń. — Chodź ze mną... księżno. I nie pytaj o nic.

Zdumiona, postąpiła trzy kroki we wskazanym kierunku. Zawahała się. Przystanęła.

— Ale... dokąd idziemy? No nie, gotowa jestem przypuścić, że wina podano zbyt mocne?

— Czy możesz zaufać mi, księżno? I przez chwilę po prostu iść za mną? Czy też tak oboje przesiąkliśmy dworem, że będziemy wręczać sobie petycje poprzez sekretarzy?

— Petycje przez... przesiąkliśmy dworem? — zdumiewała się. — Co to znaczy? Nie, ja cię po prostu nie poznaję! Co się stało?

Oszołomiona pozwoliła, by ujął ją pod ramię. Szli przez jakiś czas, zupełnie pustym korytarzem. Lecz gdy znaleźli się na schodach, wiodących wprost do wyjścia, stanęła znowu. Oswobodziła ramię.

— Dostyc — powiedziała ostro — Nie postąpię nawet kroku dalej, póki nie wyjaśnisz mi, dokąd i po co idziemy! Zaczynam... Zaczynam bać się po prostu!

— Wywołano mnie nie bez powodu — powiedział, rozejrzawszy się dokoła. — Przed bramą czeka człowiek, który przyniósł wiadomość dla mnie. Chcę, żebyś go zobaczyła.

— Jaką wiadomość? Dlaczego czeka przed bramą? — pytała z narastającym niepokojem. — O co tutaj chodzi, na wszystkie...

Pokazał wyjście. Zawahała się raz jeszcze... lecz wreszcie ciekawość przeważała.

W ciemnym, łukowatym tunelu bramy, ozdobionej u sklepienia zębata brona, nie używaną od lat, znów wziął ją pod ramię. Powiedział

coś niegłośno... Pierwsza przeszła obok pełniących straż gwardzistów i zatrzymała się.

— No i gdzie ten posłaniec?

Nie otrzymała odpowiedzi. Odwróciła się i... ujrzała obcego człowieka.

— Base-kregheeri, władczyni świata — rzekł z powagą. — Armektanka i córka imperatora. Prawdziwa władczyni świata, zaiste.

Cofnęła się, przerażona do granic.

— Gdzie jest...? Kim ty...? — wykrztusiła. — Co się dzieje? Gwardia!

Żołnierze spoglądali z zaciekawieniem — ale uliczne awantury nie były ich sprawą. Mieli stać na straży u wejścia do pałacu-twierdzy.

— Spójrz na siebie — spokojnie doradził starzec. — I chodź za mną, bo czas ucieka. Opuściła wzrok... i przerażona, pochwyciła fałdy brudnego, szarego płaszcza.

— Stary miecznik i obłąkana kobieta. Oto, kim jesteśmy. A teraz — - powiedział, pokazując sztylet — chodź ze mną, pani, bo zabiję cię na oczach tych żołnierzy przy bramie, oni zaś nie kiwną nawet palcem. Wiesz dobrze, że pod żadnym pozorem nie wolno im zejść z posterunku.

To rzekłszy pochwycił ją pod ramię i pociągnął w głąb ciemnej ulicy. Najpierw szła, zupełnie bezwolna, potem zaczęła krzyczeć i wyrwać się. Trzymał mocno, ale była młoda i silna, a hałas jaki czyniła, mógł jednak spowodować kłopoty. Chwycił ją za głowę i przycisnął do twarzy garść wilgotnych liści, wydobytych z zanadrza. Spazmatycznie złapała powietrze; ostry zapach sprawił, że zakręciło się jej w głowie, pociemniało w oczach. Starzec, wstrzymując oddech, bo głowa jego znajdowała się blisko twarzy branki, trzymał liście jeszcze przez chwilę, potem odrzucił ze wstrętem. Objął wpół słaniającą się na nogach kobietę i powiódł dalej, najspieszniej, jak to było możliwe.

Niedaleko stał wóz, zaprzężony w muły. Ułożywszy na nim kobietę, Brule wyjął spod szaty woreczek. Wydobył zeń resztkę liści, rozsypał je koło głowy leżącej i zasiadł na koźle. Nagle — zdawało się, że zasnął. Oddychał ciężko, skulony, trzymając się za serce. Po pewnym czasie z trudem wyprostował plecy. Wciąż oddychając ciężko i nierówno, niespokojnie popatrzył za siebie. Krzyknął na muły.

Wóz ruszył.

Gdy w ciemnościach zamajaczyły pochodnie przy bramie miejskiej, mułami kierował już młody podsetnik Gwardii Grombelardzkiej...

— Z rozkazu księcia — powiedział, pokazując pieczęć i podpis na częściowo rozwiniętym dokumencie. — Otwierać!

Dowódca posterunku, stary dziesiętnik, wyciągnął rękę po pismo. Nocne wymarsze nie były czymś szczególnie niezwykłym, jednak dziwił fakt, że oficer książęcych straży pałacowych wyrusza samotnie. I dokąd? Z Grombu do Badoru, a tym bardziej Rahgaru, nie dało się przeprowadzić wozu. Podsetnik mógł wprawdzie jechać na przedmieście — lecz dlaczego w nocy?

Otrzymawszy pismo, dziesiętnik zbliżył się do pochodni. Nie będąc biegłym w sztuce czytania, mozolnie składał litery, poruszając ustami. Siedzący na wozie oficer nie spuszczał wzroku z dokumentu; na jego twarzy odmalował się wyraźny wysiłek... Dowódca posterunku nie mógł wiedzieć, że dość, by odwróciwszy się nieco zasłonił pergamin swym ciałem — a będące dziełem Przyjętego złudzenie pryśnie w jednej chwili...

Przepustka nie budziła zastrzeżeń; dziesiętnik wyzbył się wątpliwości. Dał znak, by otwarto bramę.

Na wozie leżały jakieś pakunki, przykryte pledem. Nie zwrócono na nie uwagi. Tym bardziej nie dostrzeżono, że równo z pełnymi kołami wozu posuwa się jakiś cień, roztopiony w mroku...

Pół mili za miastem droga nadawała się już tylko do jazdy wierzchem. Gościniec łączący Gromb z Badore i Riksem, był nim zaledwie z nazwy. Starzec wyprzągnął muły i przyniósł siodła z wozu. Znów odpoczywał przez chwilę. Wyraźnie walcząc z bólem, kolejny raz sięgnąwszy pod szatę, wydobył niewielki jakiś przedmiot i cisnął go precz, z ogromną złością.

Wkrótce na gościńcu pozostał tylko porzucony wóz.

Gdy tupot kół znacznie się oddalił, na bezdrożu rozbłysły dwie okrągłe źrenice. Wielki kot, czarny jak noc dokoła, stał nad wypaloną doszczętnie, popękaną muszlą z otworem pośrodku.

Porzucony Przedmiot, zwany Pierścieniem Ułudy.

Nikt ponoć nie znał Formuł, które zmusiłyby ten Przedmiot do przeobrażenia człowieka. Pierścień wywoływał tylko zwidy rzeczy martwych.

Wemir, czarny wywiadowca Hel-Krehiri wiedział już, że to nieprawda. Był ktoś, kto znał odpowiednie Formuły...

Nieopodal, szlak rozwidła się: główna jego wstęga płynęła w dół, do Badoru, boczna zaś wiodła w głąb Gór Ciężkich. Upewniwszy się, jaką drogę obrał Przyjęty, Wemir wrócił na przedmieście. Był tam człowiek, u którego musiał zostawić wiadomość.

9.

Świt wstawał ponury i zimny, jak zwykle w Ciężkich Górach. Uporczywa mżawka przemieniła się w deszcz, szarpany porywami wiatru. Kilku żołnierzy Hel-Krehiri obudziło się. Wciśnięci w skalne szczeliny, skostniaли i zmarznięci, najpierw sięgali po gorzałkę — przyjaciółkę przebiegacza gór. Posilano się byle jak i byle czym; ale też zaopatrzenie oddziału w żywność, na grombelardzkich bezdrożach, nie było sprawą łatwą. Każdy niósł na grzbiecie własny prowiant, uzupełniany czasem w napotkanych wioskach o ile takie leżały na drodze przemarszu.

Chłód i wilgoć są sprzymierzeńcami wytrawnego wartownika, pomagają bowiem spędzić sen z powiek. Ale strażnik mało doświadczony, chętnie szuka odrobiny ciepła w jakiejś wnęce skalnej, otuliwszy się szczelnie natłuszczonym płaszczem z koziej skóry, rad że woda spływa po sierści. Taki człowiek czasem zasypia.

Hel-Krehiri zebrała drużynę bardzo liczną, ale przez to złożoną nie tylko z ludzi pewnych. Trudno dociec, czy tej nocy zasnął jeden strażnik, czy też może pospało się kilku, dufnych w siłę oddziału, którego nie śmiałyby zaczepić nawet najsilniejszy patrol legii...

Atak nastąpił na przełomie nocy i dnia, dało się już rozróżnić sylwetki ludzi i kontury skał. Półsetka żołnierzy uderzyła szybko, cicho i sprawnie. Rozbójnicy, przeważnie zaskoczeni we śnie, inni zupełnie nieprzygotowani, zostali zwyczajnie wyrznięci — a zaraz potem wszczęła się prawdziwa bitwa... Dwudziestoosobowa grupka, biwakująca nieco na uboczu, została wzięta przez nacierających za całość sił przeciwnika. Zbójckie bandy liczyły zwykle od kilkunastu do dwudziestu paru głów — i cesarskim legionistom doprawdy nie mogło nawet zaświtać, że prawie pod samymi murami Grombu obozuje blisko

ćwiećtysięczna armia — wszystko, co Hel-Krehiri zdołała ściągnąć z okolic Badoru i Riksu.

Żołnierzom zdało się, że góry nagle ożyły.

Teren był nieprzyjazny, skalne zbocze, choć w tym miejscu dość łagodne, nie pozwalało przecież na rozłożenie obozu w ścisłym rozumieniu tego słowa. Naraz całe to zbocze poruszyło się od niewyraźnych w deszczu i półmroku cieni, wyskakujących spoza skał, gramolących się z rozpadlin i szczelin, pędzących w dół — umiejętnie, zakosami. Bez rozkazu, dziko, bezwzględnie, grombelardzcy górale stoczyli się na legionistów jak lawina. Ci stawili rozpaczliwy, lecz ząarty i sprawny opór.

Wyrwany ze snu Gotah chłonał niezwykle obraz boju. Widział w życiu niejedno, także gwałtowną śmierć. Jednak utarczka trzech ludzi z czterema miała się zupełnie nijak do tego, co teraz kłębiło się, miotało i ryczało w półmroku, o dwieście kroków poniżej. Tuż za plecami Przyjętego rozbrzmiał triumfalny śmiech, przechodzący w szalony, prawdziwie nieludzki skowyt. Hel-Krehiri na łeb na szyję rzuciła się w dół stoku; Gotah odniósł wrażenie, że dziewczyna lada moment potknie się i zabije, skręciwszy kark w jakiejś dziurze. Nie miała miecza, nie wzięła też żadnej innej broni... Raz jeszcze usłyszał jej przeszywające wycie, urwane gdzieś w najwyższym punkcie, gdy wpadła w grupę walczących. Zapewne skoczyła na kogoś, zbijając go z nóg rozpędem i ciężarem, bo pomimo oddalenia widać było gwałtowne zamieszanie w owej grupce — szepieni z sobą ludzie przewracali się, pociągając innych...

Gotah przywołał swych zbrojnych tragarzy. Zdało mu się, że pośród tych wszystkich rozwścieczonych, zagryzających się zwierząt nie ma ani jednego, które umiałoby odróżnić wroga od przyjaciela. Mędrzec Szerni nie zamierzał paść ofiarą jakiejś pomyłki...

Ostatni już, spóźnieni żołnierze Hel-Krehiri, włączyli się do bitwy. Tumult narastał — być może rozerwano obronny szyk żołnierzy, bo mnogi ryk pobrzmiwał triumfem. Gotah powstał, chcąc lepiej śledzić przebieg boju, ale był tam tylko niewyraźny, rozedrgany tłum, przywodzący na myśl zgraję hałaśliwych szaleńców. Prawdę mówiąc, Przyjęty inaczej wyobrażał sobie bitwę. Z historycznych opisów wnioskował, że to coś niezmiernie malowniczego, groźnego... Teraz

właściwie nie wiedział, co czuje. Rozumiał, że tam giną ludzie, ale obraz tej mnogiej śmierci był iście groteskowy. Cofnąwszy się o dalszych dwieście kroków, Gotah mógłby pewnie wyobrazić sobie, że patrzy na ogromny tłum śpiewających i tańczących pijaków — bo i szcęk oręża brzmiał raczej jak hałas wywołany zderzeniami cynowych kubków, przy licznie spełnianych toastach.

Usiadłszy na powrót, Przyjęty czekał, aż zacznie się coś dziać. Przyłapał się na tej myśli i pokręcił głową...

Bitwa trwała. Niestety, nic się nie działo.

Deszcz przybrał na sile, przechodząc w prawdziwą ulewę. Zdawało się, że jej szum pochłania i roztopia dźwięki dochodzące z dołu. Ale nie. Libacja dogasała — wielu pijaków najwyraźniej zasnęło, leżeli bowiem na ziemi. Inni tańczyli z coraz mniejszym zapałem... Lecz pieśń, którą teraz śpiewali, poczynała brzmieć niesamowicie. Niewiele było w niej wrzasków — zastąpiły je skowyty, a w tle narastała coraz potężniejsza fala jęków...

Przyjęty powstał znowu.

Pośród falban dżdżu, rozrywanych przez wiatr, pojawiły się na stoku coraz liczniejsze sylwetki powracających wojowników. Przetrzęsali bagaże, szukali wódki i szmat. Gotah dojrzał mężczyznę, którego często widywał w towarzystwie Hel-Krehiri; był chyba kimś w rodzaju oficera. Przywołał go.

— Jatka, panie! — rzekł zdyszany rozbójnik, z niezmiernym zadowoleniem. — Jatka, panie! — powtarzał.

Wyraźnie czekał na okrzyki uznania i pochwały. Z rany na czole płynęła krew, mieszając się z deszczem.

— Panie... Wasza godność pójdzie, niby, zobaczyć? Bo ludzi dużo pochlastanych. Słyszał żem, że niby Przyjęci... niby...

— Dobrze, idź już, człowieku. Zaraz tam przyjdę... niby.

Rozbójnik pospieszył z powrotem na plac boju, ściskając pod pachą bukłak. Przyjęty przez chwilę spoglądał za nim, po czym rozkazał swoim ludziom pozostać przy bagażach. Wziął niewielką sakwę i ostrożnie ruszył w dół stoku.

Pijacy nie spali... i Gotah lekko pobladł.

Domem Przyjętego było Czarne Wybrzeże w Nienazwanym Obszarze, gdzie Pasma Szerni zniżały się ku ziemi. Skarbiec Porzuconych

Przedmiotów. Czas płynął w Obszarze inaczej niż poza jego granicami — wolniej.... Dwustuletni, według miary Szereru, starcy, pochylali się tam nad wielkimi księgami, zgłębiając Prawa Całości, próbując dociec istoty równowagi, w której trwały Pasma. I naraz Szalony Gotah, od lat czyniący to właśnie, zadał sobie pytanie: czy tak trzeba? Znał historię Szereru, wczytaną w Księgi Całości i różnych pomniejszych dokumentów. Lecz co widział? — nic. Wojny, zakłęte w rządках starogrombelardzkich liter.

Teraz ujrzał to, o czym czytał.

I przekonał się, że wszystko było fałszem... Bo w księgach opisano bitwy, nie pobojowiska. To, co najważniejsze, w księgach nie liczyło się zupełnie. Ważna była liczba poległych — nie zaś to, jak wyglądali. Pośród wielu oderwanych, niedokończonych myśli, błysnęła Przyjętemu także jedna — o matematyce... W jakiś dziwny sposób, obiektywna prawda matematyki była piękna także w zapisie. Czyżby tylko piękne rzeczy mogły być prawdziwe?

Nie miało to sensu. Wszakże ten plac boju, nieprawdopodobnie wręcz ohydny, był zarazem niezmiernie fałszywy. Cokolwiek powiedziano o bitwach, milowych kamieniach historii — było kłamstwem. Oto mędrzec-historyk już do końca życia utożsamiać miał bitwy — ze smrodem. Przypuszczalnie tym większym, im większe i donioślejsze dla losów świata zmagania miały miejsce. Był ów fetor jedyną rzeczą, której Przyjęty nie oczekiwał... i być może właśnie dlatego jawił się tak wyraźnie.

Śmierdziała krew, mocz i ekskrementy, a ponadto wypuszczona treść jelit. Kwaśna woń, jak odór wymiocin. W tym wszystkim babrali się ludzie. Trupy przetaczano jak worki, by wydobyć rannych i różne pożyteczne przedmioty. Te śmierdzące kolczugi i buty miały posłużyć żywym. Zabity żołnierz oglądał wyrwane z własnego brzucha flaki — chyba nawet nie wiedząc, na co patrzy. Widać nie czuł bólu; obracał w dłoniach śliskie, gorące jelita pozwalając, by obmywał je deszcz. Dostrzegł leżący obok hełm; sięgnął poń i założył na głowę. Minęli go dwaj mężczyźni, niosący rannego. Jęcząc, ranny kurczowo trzymał w dłoni stopę — odrąbaną. Nie potrafił i nie mógł się z nią rozstać. Gotah cofnął się, schodząc z drogi. Nastąpił na twarz zabitego — i chrupnęły wgniatane w zdruzgotaną szczękę zęby.

Smród chyba się wzmagał. Przyjęty poczuł w gardle coś, co było niczym wepchnięta tam bryła zgniłego, drgającego od robaków mięsa. Obraz placu boju miał drugorzędne znaczenie. Choćby nawet przypominał ukwieconą łąkę, gdyby ta łąka tak śmierdziała, byłaby odrażająca.

— Hej, mędrcze!

Hel-Krehiri stała zmęczona, uszczęśliwiona zwycięstwem. Gotah przymknął oczy, lecz było już za późno — ta niezwykle piękna dziewczyna miała odtąd kojarzyć mu się z owym wstrętnym fetorem. Ujrzał muchę, jedzącą odchody.

Zwymiotował, krztusząc się głośno.

Rozbójniczka podeszła ze śmiechem. Oburącz trzymała drzewce włóczni owinięte, dla lepszego chwytu, strzępem jakiegoś gałgana. Spódnica, gładko rozcięta, odsłaniała długą ranę na udzie. Zmieszana z deszczem krew obficie spływała w dół, coraz bardziej różowiejąc.

Gotah otarł usta.

— Tego nie... Nie tego oczekiwałem... — powiedział z wysiłkiem, wstydzając się okazanej słabości.

Nie słuchała.

— Auuu! — powiedziała z chrypką. — Ma-sa-kra...

Przyjęty pochwycił jej zamglone spojrzenie. Była odurzona bitwą i obrazem pobojuwiska. Uniosła swoją włócznię i dotknęła grotu policzkiem. Na twarzy została wyraźna czerwona smużka. Pieściła drzewce ręką, spoglądając dokoła. Przesunęła językiem po wargach.

— Au...

Gotah pomyślał, że ta kobieta... może w następnej chwili przeżyje, na jego oczach, prawdziwą zmysłową rozkosz, jakiej nie da jej żaden mężczyzna. Uklękła i przymknąwszy oczy, dotykała trupa, nie wstydzając się tego, co czuje.

— Nie... — powiedziała cicho. — Już nie.

Mierzwiła palcami mokre włosy zabitego.

Gotah chciał odejść.

— Zostań — powiedziała, już normalnym głosem. — Musimy...

— Każ zebrać ciężko rannych w jedno miejsce, Hel-Krehiri — przerwał. — Cesarskich też — podkreślił.

Siedząc na podwiniętych nogach, kołysała się lekko w przód i w tył.

— Ciężko ranni zostają tutaj — oznajmiła. — Prawo gór, wasza godność... Każdy, kto tu przychodzi, dobrze wie, że będzie musiał odejść tak, jak przyszedł: bez niczyjej pomocy. Czy sprawisz może, by zaczęli chodzić?

— Zmniejszą ich cierpienia, Hel-Kreheri.

— O, do tego nie trzeba być mędrcom-Przyjętym — zauważyła.

Wstała, zabierając swoją włócznię.

— Do tego wcale nie trzeba być Przyjętym... — powtórzyła z ponurym rozbawieniem.

Milczał.

— Nie zmienisz Gór, wasza godność — mówiła, już bez uśmiechu. — Pomóż moim rannym. Jeśli starczy ci sił, pomóż też cesarskim. Doskonale walczyli. Ulżyj tym, którym możesz, ale pamiętaj: choćby nawet dla wielu była nadzieja, nikt nie będzie ich niósł. Zresztą... dokąd, powiedz? Czy do Grombu, na szubienicę? Nie? Więc może do górskich stanic, tam? — pokazała zębate szczyty i granie.

— Każ rozpalić ognisko — powiedział.

Odwrócił się i poszedł ku miejscu, gdzie znoszono rannych.

To prawda, nie mógł zmienić gór i ich praw. Zresztą — takie prawa ci ludzie przyjęli, były to także prawa Szerni. Prawa Całości.

Przecież... jakże łatwo mógłby ocalić konających i ulżyć wszystkim cierpiącym! Kilka słów, jeden gest... Każdy z Przyjętych, prędzej albo później, stawał przed podobną pokusą. Ale Szerń była Szernią, a świat światem. Gdyby Pasma chciały wdzierać się do świata, uczyniłyby to bez jego zachęty, pomocy i woli.

Ludzie mieli umierać. Nie była to sprawa Szerni, ani istot przez nią przyjętych.

Prawo Całości. Żeby mogła istnieć całość — każdy z tworzących ją elementów musiał mieć swoje miejsce...

Zgromadzono potrząskane drzewca włóczni, trochę bełtów od kusz, polano to wszystko wódką — i z najwyższym trudem rozniecono ogień. Przyjęty kazał zagotować jakieś zioła. Napojeni brunatnym wywarem ludzie przestali jęczeć — potem jedni poczęli się uśmiechać, inni nucić... Jeszcze inni rozmawiali z osobami, których obok nie było.

Wywarem z innych ziół przemyto rany.

Hel-Kreheri przyszła na końcu, gdy opatrzył już wszystkich.

Pokazała nogę, obwiązaną szmatami.

— Głupstwo — zawyrokowała. — Wypaliłam wódką. Ale jutro ciężko mi będzie biegać. Jest na to rada?

Szarpie przesiąknięte były krwią. Jeszcze nie przyschły do rany i odwinął je bez trudu. Sztych miecza gładko rozciął skórę i niezbyt głęboko mięśnie.

— Dobre ostrza mają żołnierze — ocenił. — Rana jest czysta i powinna łatwo się goić. Co jakiś czas przemyj ją wodą. Mogę dać ci jutro zioła do picia, można też je żuć. Złagodzą ból, ale trochę cię ogłupią, Hel-Krehiri.

— To nie. Wolę być kulawa niż głupia.

— Ból także przeszkadza w myśleniu — zauważył.

Zmoczył szmaty w swoim wywarze. Podciągnęła wyżej podartą spódnicę, pokazując czarny zarost na podbrzuszu... i Przyjęty osłupiał. Przez długą chwilę z najwyższą uwagą wpatrywał się między jej uda, oglądając okolone włosami, różowo-czerwone fałdki kobiecego mięsa. Zapomniał, że kobiety są tam — takie...

— Hola, mędrcze! — powiedziała zniecierpliwiona. — Owiniesz mi tę nogę, czy nie?

W nagłym odruchu zażenowania zakryła srom dłonią, choć na codzień w ogóle nie pamiętała o takich ceregielach; w Górach nie było na to miejsca. Gotah zmarszczył brwi, ze zdziwieniem wsłuchując się w przyspieszone bicie swego serca. Przemył ranę i opatrzył ją.

— Hel-Krehiri — rzekł nagle, bo powiedzieć musiał — jestem kaleką. Rozumiesz mnie? Żyję w swoich wyobrażeniach o ludziach i świecie.

Przerwał.

— Miałaś rację, mówiąc mi o prawach gór — dokończył po chwili. — Znam tylko Prawa Całości.

Nie odezwała się.

10.

W jukach były płaszcze, pledy i wszystko, co niezbędne w podróży. Nie zbywało także na zapasach żywności. Urządzając pierwszy krótki postój, Brule najpierw zajął się mułami. Czarny Las nie był daleko, ale

wizja pieszej wyprawy z niepokorną branką wyglądała ponuro. Znaczną część drogi dało się przebyć wierzchem i starzec chciał z tej możliwości skorzystać. Z wielkim trudem utrzymywał się w siodle; przecież tak czy inaczej, było to fraszką w porównaniu z trudami pieszej wędrówki.

Przyrządziwszy prosty posiłek, Brule zauważył, że odurzenie porwanej minęło. Bardzo obawiał się mającej nastąpić rozmowy. Była jednak nieunikniona.

— Wasza wysokość — powiedział — nazywam się Brule i niegdyś... byłem mędrzem Szerni.

— Jesteś zbójem, starcze — odparła cichym, ale pewnym głosem. — Zabierz ten posiłek, nie zamierzam przyjąć go od ciebie.

— Wasza wysokość...

— Nie skończyłam.

Okryta prostym płaszczem, spod którego wyglądała zmięta suknia, potargana, z nieudolnie związanymi (bo Brule nie umiał wiązać jeńców...) rękami, siedziała przed nim ze spokojem i godnością kobiety, której nic nie może odebrać znaczenia.

— Rozmawiamy po raz pierwszy i ostatni, zapamiętaj więc, co powiem. Żołnierze Księcia Przedstawiciela, mojego męża, wkrótce nas odnajdą. Zostaniesz pojmany, lecz nie spotka cię żadna kara, bez względu na to, co ze mną uczynisz. Książę podzieli moje zdanie. Pochyl się.

Uczylił to, zdumiony, a wtedy dmuchnęła mu w twarz.

— To wszystko, co mam dla ciebie. Jesteś pyłem, starcze — powiedziała z chłodną litością. — Czy to można skazać na twierdzą? Teraz odejdz, nie zamierzam cię słuchać.

Wyprostował się i odstąpił pół kroku.

— Wasza wysokość — zaczął stłumionym głosem — od nikogo nie przyjmę takich słów. Widzę, że nie usłyszałaś, więc powtórzę: rozmawiasz z kimś, kto jako mędrzec Szerni był, od śmierci Wielkiego Dorlana, pierwszym człowiekiem na tym świecie.

Urwał. Nie słuchała go... po prostu nie słuchała. Zamyślona, spoglądała trochę w bok rozważając, być może, piękno rymów armektańskiej „Pieśni Równin Ri Sillor”... Przestał dla niej istnieć, w rzeczy samej jak pył.

— Wasza wysokość! — powiedział.

Uczuł napływ prawdziwego gniewu. Nie przywykł, by go tak

traktowano. Mogła być córką cesarza i żoną władcy prowincji — co nie zmieniało faktu, że wobec sił Szerni jawiła się niczym drobne ziarenko piasku. Odtrącony przez Pasma, przecież wciąż wiedział o nich więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Wiedział nawet zbyt wiele... i dlatego Szerń go nie chciała. W całej rozciągłości pojął dwoistą naturę sił rozpostartych nad światem i zrozumiał, że owe siły same są tylko częściami czegoś, co rozpadło się w nieodgadnionej przeszłości. Umiał powiązać te moce z powrotem w jedną całość — spójną, doskonałą... Miała powstać JEDNOŚĆ IDEALNA.

— Nie rozumiesz, pani, jak doniosłą rolę masz spełnić — rzekł z wyższością. — Nie rozumiesz i zrozumieć nie zdołasz. Jesteś dziełem Aleru i jako taka, możesz doprowadzić do stopienia jego treści z treściami Szerni. Kiedyś pragnąłem mieć następcę, by przekazać mu swoją wiedzę. Szukałem sposobu, lecz gdy wreszcie znalazłem, okazało się, że znalazłem coś ponadto. Już nie jest mi potrzebny następca, bo wszystko, co warto uczynić na tym świecie, uczynię sam. Przy twoim udziale, powołam do życia istotę, która połączy w sobie moc Pasm Szerni z potęgą Wstęg Aleru, otwierając nową erę, erę idealnej jedności i harmonii... — zamilkł znowu.

Oczy księżnej, zamglone i prawdziwie zamyślane, nie zmieniły swego wyrazu. Kobieta z taką pozycją musiała umieć panować nad twarzą — i Brule w gruncie rzeczy wiedział o tym. Był pewien, że jest słyszany i — słuchany. Jednak, nienawykły do obcowania z kobietami takimi, jak jej wysokość Werena, popadał w coraz większe rozdrażnienie. Był śmieszny mówiąc do kogoś, kto udawał, że go nie słyszy. Zdawał sobie sprawę z tej śmieszności — lecz przecież wciąż odruchowo szukał jej spojrzenia.

Księżna w samej rzeczy słuchała z najwyższą uwagą — ale też powoli wzbierał w niej strach. Rozumiała już, że nie została porwana dla okupu... Była w rękach szaleńca, najwyraźniej pragnącego zbawić świat.

11.

Przesłuchiwany żołnierz wyrzucał powietrze z piersi w krótkich, spazmatycznych wydechach. Twarz miał kredowobiałą.

— Uprowadzono... upro... wadzono...

— Mmm? — ponagliła łagodnie.
— Jej wyso... jej wysokość księżną... Werenę...
Hel-Krehiri zdumiała się szczerze.
— Nie — powiedziała z uśmiechem. — Przecież to niemożliwe?
Przekrzywiła głowę.
— Jeszcze raz: dlaczego Gromb śle w góry tak silne oddziały? To nie był zwykły patrol. Karna ekspedycja? Dlaczego?
— Przysięgam! — krzyknął jeniec. — Tak... przysięgam!
Obejrzała się na słabnące ognisko Przyjętego. Wzięła do ręki topór.
— Do ognia z tym.
— Przysięgam! — zawył śmiertelnie przerażony żołnierz.
— No, dobrze już, dobrze! — wrzasnęła w odpowiedzi. — Co, upiec sobie topora nie można?!
— Można... — wybełkotał.
Pokiwała głową.
— I jak tu wierzyć takiemu idiocie? Dobrze. I co z tym porwaniem? Legionista zaczął mówić, najprędzej jak potrafił. Słuchała uważnie.
— Więc starego miecznika znaleziono w jego domu... Oszałał, mówisz? — powtarzała z namysłem. — No, to masz towarzystwo, Łowczyjni... Porzucony wóz na trakcie? Dalej, dalej.
Żołnierz kontynuował.
— No, dobrze — powiedziała, gdy skończył. — Dobrze.
Zamyśliła się.
— Gdzie ten topór?
— Powiedziałem wszystko... przysięgam! — krzyknął legionista.
— No i dobrze — westchnęła; wstała, rozcierając obolałą, zranioną nogę. — Ale przecież cię nie puszczę, prawda?
Znów przysiadła ostrożnie, lekko krzywiąc się z bólu.
— Rozwiązać go — poleciła.
Spełniono rozkaz w mgnieniu oka. Żołnierz próbował usiąść... lecz w tej samej chwili liczne ramiona pochwyciły go za ręce i nogi. Rozebrano go od pasa w dół — i ujrzał uśmiechniętą twarz dziewczyny.
— Powiedz... — szepnęła — powiedz: czy dobrze jest być mężczyzną?
Zrozpaczony, nagle splunął jej w twarz. Tylko na to czekała: zasłoniła się ręką i nim pojął, co zaszło, miał własną ślinę wtartą w oczy i

wąsy. Zaśmiała się, uszczęśliwiona żartem.

— Mmm... — zamruczała leniwie.

Uniesiono mu głowę, by patrzył.

Rozbójniczka osunęła się w dół, pomiędzy rozwiedzione, potężnie trzymane nogi jeńca. Ujrzał nóż i wyprężył się gwałtownie, potem zaczął stękać przez zęby, wreszcie krzyknął przeraźliwie.

— Nie!... Proszę, proszę nie, proszę...!

— Bądźże cicho, głuptasie! — ofuknęła go rozbawiona.

Opętany przerażeniem i bólem, widział ruchy ostrza i jej palców. Pokryte były krwią.

Szarpnęła nagle. Krzyk legionisty przeszedł w skowyt.

— O, to się zagoi... — mruknęła, po czym pokazała mu skrwawiony, owalny kawałek mięsa. — Żartowałam, wzięłam sobie tylko to jedno — wyciągnąwszy rękę, lekko rozwichrzyła mu włosy. — Głowa do góry, jeszcze nie wszystko stracone!

Położyła jądro na dłoni i oglądała z zaciekawieniem.

— Czy już? — zapytano.

Odwróciła się.

— O, mędrzec Szerni — powiedziała prawie wrogo. Odłożyła na bok to, co miała w ręku. — Czy zrobiłam coś nie tak, jak należy?

Przyniesiono topór. Ujęła go i gorącym żeleźcem starannie przypaliła ranę. Bawiła się jeszcze, parząc członka i uda. Mięso skwierczało i zaczęło cuchnąć. Żołnierz zemdłał.

— Przeżyje? Jak myślisz, mędrcze? — zmarszczyła brwi. — Chciałabym. Opatrzysz go? Ma jeszcze ranę na plecach, może umrzeć...

Podniosła się. Przyjęty popatrzył jej w oczy.

— Nie bój się mnie, Hel-Krehiri — rzekł spokojnie, choć lekko stłumionym głosem. — Dlaczegoż to zakładasz, że przyszedłem cię potępić? Wyobrażasz sobie, że będę biegał po górach i oceniał, ile dobra lub zła wyświadcza jeden robak drugiemu? A może mam grzmocić mocą Pasm każdego, kogo zachowanie mi się nie spodoba?

Pztrzyła uważnie. Wzruszył ramionami.

— Opatrzyłem rannych, bo rannych się opatruje. Ty torturujesz jeńca, bo jeńców się torturuje... Nie zamierzam mieszać się do tego.

— Och! — powiedziała z szyderczym zachwytem.

— Dzisiaj jestem w górach, jutro mnie nie będzie — mówił, bardziej

chyba do siebie, niż do niej. — Nic nie zmienię przez tych kilka dni. Po co zresztą? Taki świat podoba się Szerni, skoro pozwala, by istniał. Przyszedłem zapytać, czy jeńcy mówią? Bo jeśli nie, to... mogę ich wybadać.

— Użyjesz mocy Pasm? — zapytała z sarkazmem.

— Pasm? Nie. Jeszcze nigdy i do niczego nie użyłem sił Szerni, choć może wyda ci się to dziwne. Użyję rozumu i wiedzy, Hel-Krehiri.

Patrzyła w milczeniu.

— Bardzo dużo dziś mówisz, wasza godność — zauważyła po chwili.
— Po co właściwie idziesz ze mną przeciw Brulowi? Skoro nie obchodzą cię Góry, ani to, co się w nich dzieje?

Uniósł brwi.

— Czyżbym tak powiedział? Nie zamierzam naprawiać świata, bo wszystko w nim działa jak trzeba. Ale bardzo mnie obchodzi, co się dzieje. Chcę to zobaczyć, Hel-Krehiri.

Lecz ona myślała już o czymś innym.

— Trzeba ruszać — mruknęła, spoglądając gdzieś w bok. — Wasza godność, mam dla ciebie misję...

Urwała.

— Mam... prośbę — poprawiła z lekkim przymusem. — Trzeba, by ktoś poszedł do Grombu.

Streściła to, co powiedział jeniec.

— I cóż powiesz mędrco? — zapytała na koniec. — Czy możliwe, by jej wysokość była jedną z twoich... „władczyń świata”?

— Tego akurat nie zdołamy sprawdzić, przynajmniej na razie — odparł Gotah. — Czy masz w oddziale kogoś, kto widział jej wysokość? Choć pasmo siwych włosów wcale nie musi być dowodem — zastrzegł.

Wydała parę rozkazów — i wkrótce uzyskali potwierdzenie: księżna nosiła na skroni małe pasemko srebra...

— A jednak to dziwne — uznała Hel-Krehiri. — Księżna nie może być Brulowi do niczego potrzebna.

Gotah spojrział badawczo.

— A dlaczego?

— Jej wysokość nie może mieć dzieci, choć bardzo tego pragnie — poinformowała. — Książę Przedstawiciel bardzo nad tym boleje. Wszyscy o tym wiedzą.

Przyjęty znów popadł w zadumę.
— Pójdę do Grombu — oznajmił.

12.

Księżę Ramez wiedział, jak w oczach pokonanych mnożą się zwycięskie zastępy. Nie znaczyło to wcale, że sprawę zbagatelizował. Jednak, przesłuchawszy osobiście ocalałych z pogromu żołnierzy, wysnuł właściwe wnioski: niedaleko Grombu kręciła się jakaś wyjątkowo silna banda rozbójników (wszakże raczej nie będąca pięciotysięczną armią, jak mu donoszono...). Prawda, że w świetle porwania księżnej, obecność takiego oddziału dawała do myślenia. Jednak na myślenie Ramez nie miał czasu, bo zaledwie odprawił przesłuchiwaną żołnierzy, a już doniesiono mu, że... zebrała się Rada i proszony jest o przewodzenie posiedzeniu. Przedstawiciel wpadł we wściekłość; domyślał się, o czym — i jak długo — durnie pragnął radzić. Wezwał S.M.Norwina, komendanta garnizonu.

— Idź tam — powiedział, podpisując jednocześnie pełnomocnictwa dla ruszających w góry oficerów — i rozpędź ich — uniósł wzrok, podsuwając pisma sekretarzowi. — Legia może wszystko, bez żadnych konsultacji z Trybunałem — rzucił, zwracając się do tego ostatniego. — Rekwizycje, sądy, wyroki. Od podsetnika wzwyż. Na moją odpowiedzialność.

Znów spojrzął na Norwina.

— Słyszałeś? Do Sali Rady. Masz ich r o z p ę d z i ć, właśnie tak i dokładnie tak. W moim imieniu i z mojego rozkazu. Najlepiej weź żołnierzy, przewróć stół i porozrzucaj krzesła.

Przedstawiciel znany był z przykrego usposobienia i charakteru despoty. Powtarzano po cichu, że zapanować nad nim umiała księżna Werena — i doprawdy nikt inny. Lecz od chwili, gdy stało się jasne, co właściwie zaszło ostatniej nocy, grombelardzki dwór prawdziwie zatęsknił do codziennego sposobu bycia swego władcy. Ramez nie szalał, o bynajmniej... Popadł za to w rodzaj szczególnej, skrytej, zaciętej i złośliwej wściekłości. Byle drobiazg wywoływał napływ (bo nie wybuch) lodowatego gniewu. Norwin, którego księżna zabrała z sobą z Kirlanu, gdzie dowodził gwardią pałacową, bardziej niż inni wstrząśnięty był

wieścią o jej uprowadzeniu; pomimo to jednak, w przebłysku wisielczego humoru, spróbował wyobrazić sobie, że oto przypomina Ramezowi o wieczornych zabawach towarzyskich...

— Na co czekasz? Chcesz rozkaz na piśmie?

Komendant odetchnął głęboko. Była sprawa, którą musiał poruszyć.

— Wasza wysokość — zaczął.

Przedstawiciel uniósł spojrzenie. Norwin zamilkł, choć nie padło ani jedno słowo.

— Powiedziałem — rzekł, po krótkiej chwili, Ramez.

— Wasza wysokość — rzekł desperacko komendant, mimo woli cofając się o krok — ja nie o tym... Właśnie... pojmano człowieka, który żądał posłuchania... Mówi, że jest mędrce-Przyjętym. Wie, kto uprowadził...

Ramez uderzył dłonią w stół i skrzywił się, chwytając za opatrunki na głowie.

— Na co czekasz? Sprowadź go tutaj natychmiast! O, na Szerń, co za...

— Wasza...

— Kimkolwiek jest, masz mi go sprowadzić.

— Człowiek, który uprowadził jej wysokość, umiał kryć się pod fałszywą...

— Na wszystkie moce, masz mi go sprowadzić! — ryknął Ramez. — Niech się zmienia w cokolwiek, po to mam żołnierzy, żeby mnie pilnowali! Masz mi go sprowadzić, komendancie!

Norwin oddalił się biegiem.

W jakiś czas później z niedowierzaniem powtarzano plotkę, że Księżę Przedstawiciel rzucił wszystko i wraz z jakimś człowiekiem o skrzywionej twarzy zamknął się w swojej komnacie, pełnej ksiąg... Miała im towarzyszyć obłąkana kobieta, którą w nocy znaleziono obok księcia.

Samotni Rameza strzegł osobiście komendant stołecznego garnizonu, wsparty na włócznie odebranej jakiemuś gwardziście.

*

— Uwierz, księżę, że nigdy jeszcze nie biegałem po górach tak szybko jak dziś — powiedział Gotah, przejrzawszy zapiski Dorlana. — Ale warto było.

Przedstawiciel patrzył na wystraszoną kobietę, nieruchomo

siedzącą pośród futer, okrywających posłanie. Uderzał wyraz rozbieganych, niesamowitych oczu. Jednak uwaga księcia skupiała się nie na oczach.

Widział tylko pasmo siwizny...

— „Naznaczone Wstęgą”...

— Tak, książę.

Dwaj mężczyźni w milczeniu spoglądali na skrzywdzoną, niegdyś tak niezwykłą i dumną kobietę. Ramez poczuł wdzierający się w serce kolec lodu. Na wszystkie Pasma — to samo mogło spotkać jego żonę... Może już spotkało.

Nieoczekiwanie, po raz pierwszy od chwili, gdy odzyskał przytomność, Przedstawiciel dopuścił do siebie strach, uczucie bezradności i zwątpienie. Wcześniej był tylko gniew, zaklęty w działaniu. Teraz kazano mu myśleć i rozumieć.

— Muszę i chcę ci zaufać, mędrco — rzekł cicho. — Widzę, że zbyt wysokie żywiłem mniemanie o swej wiedzy. Prawa Całości to rzecz twoja. Bawiłem się w mędrca Szerni... Ależ tak, bawiłem, prawdę powiedziała Werena.

Przetarł twarz dłonią.

— Pokory.

— Pokory — powtórzył jak echo Gotah. — Ja, książę, dzisiaj odebrałem jej lekcję.

Zbliżył się powoli do siedzącej.

— Lecz nie traćmy czasu.

Cofnęła się, gdy wyciągnął rękę.

— Łowczyńni, czy jest już za późno?

Spuściła wzrok.

— Gdyby było za późno, nie przyszedłby po inną, prawda? — pytał dalej łagodnie.

Nie reagowała. Jeszcze raz wyciągnął rękę... Tym razem pozwoliła się dotknąć.

— Twoje oczy... — mówił niegłośnie, bardziej do siebie, niż do niej. — Wiem, że utraciłaś je przed laty, a Wielki Dorlan przekazał ci inne. Dar kogoś, kto cię pokochał... Ale ten człowiek nie był Armektańczykiem, prawda?

Ramez w milczeniu patrzył, jak Przyjęty delikatnie obmacuje głowę

kobiety, ujmuje ją oburącz i pochyla ku sobie, zdając się badać wzrokiem i dotykiem kształt czaszki, nachylenie czoła, wysokość kości policzkowych, profil nosa...

— Ale ty nie jesteś czystą Armektanką, Łowczyni — szeptał. — Zdaje się, że masz niewielką domieszkę krwi dartańskiej... O, na pewno... A więc rację miała Hel-Krehiri. Twoja siwizna jest zupełnie naturalna. Nie przedstawiasz żadnej wartości dla Brula...

Oparł dłoń na jej głowie.

— Czy nie było tak, że naraz kazano ci zapomnieć o zbyt wielu rzeczach? O tym, co robiłaś i kim jesteś... Może też zakazano ci mówić?

Ujął ją pod brodę.

— Wasza wysokość — rzekł, nie odwracając spojrzenia od wynędzniałej twarzy — proszę o medalion, który nosisz na szyi.

Ramez spełnił żądanie, o nic nie pytając. Przyjęty ujął koniec Łańcuszka i rozkołysał szczerozłoty wisior.

— Patrz tutaj. Czy rozumiesz co mówię? Patrz tutaj...

Przeszedł na armeктаński. Niegłośno, bardzo miarowo, mówił o Wielkich Równinach... o nadchodzącym zmierzchu... o nocy... o śnie... Potem zdania poczęły gubić sens, słowa utraciły znaczenie, rymowały się tylko, w równym rytmie z tańcem medalionu...

Przerażający, zwierzęcy krzyk sprawił, że Norwin cisnął włócznię i wpadł do komnatki Rameza. Zastygł na chwilę, osłupiał; potem skoczył na pomoc. Kobieta wyła, próbując wyswobodzić się z trzymających ją ramion. Nogi miała wolne... i potężny, na oślep wymierzony kopniak osadził komendanta w pół kroku. Rzuciła się jak wściekła, wygięta w łuk, przygnieciona ciężarem dwóch mężczyzn... Już nie wyła, stękała tylko ochryple. Na twarzy miała zawziętość, lęk... i sto innych, niemożliwych do opisanie uczuć. Wyzwoliwszy na chwilę jedno ramię, uderzyła Przyjętego w szyję. Puścił ją... i wtedy Ramez przypomniał sobie imię:

— Karenira, przestań! KARENIRA!

Spazmatycznie zaczerpnęła powietrza.

— Karenira... — powtórzył po raz trzeci. — Kara... już dobrze... Wszystko dobrze, słyszysz? Wszystko... dobrze.

Nie walczyła.

Norwin, wciąż jeszcze zgięty, patrzył jak grombelardzki władca, klęcząc na zimnej posadzce, ostrożnie lecz mocno przygarnia do siebie

kobietę w brudnych łachmanach. Na twarzy księcia widniało silne wzruszenie, omal rozrzewnienie. Ramez czuł przedziwne ciepło, płynące przez gardło do piersi — przez moment było tak, jakby trzymał w ramionach swoją Wereneę... Odzyskaną.

— Już dobrze... — powtarzał kojąco. — Już dobrze, malutka... Już dobrze.

Płacząc, trzymała go za szyję.

Długo trwało, nim doszła do siebie.

Potem chciała mówić, lecz szybko stało się jasne, że po całych miesiącach milczenia — jest to dla niej zbyt wielki wysiłek. Męczyła się, próbując wyrzucić z siebie wszystko, co tak długo było uwięzione w niepamięci i w ciszy. Język odmawiał posłuszeństwa, myśli plątały się... Zapłakała znowu. Zamiast spodziewanej pomocy, mężczyźni zyskali tylko nowy, wielki kłopot. Gdy znużona i wyczerpana zapadła w ciężki sen — omal odetchnęli z ulgą.

— Nie traćmy czasu, wasza wysokość — rzekł Przyjęty. — To lepiej, że zasnęła. Powinienem był się spodziewać... Tak, to moja wina. Myślę, że jutro lub pojutrze, usłyszymy od niej to i owo. Ale dzisiaj... czas nagli.

Ramez skinął głową.

— To prawda — potwierdził, nie odwracając spojrzenia od śpiącej. — A zatem celem Brula może być Czarny Las, czy tak?

— Na pewno, książę. Hel-Krehiri...

— Hel-Krehiri — przerwał Ramez — za pośrednictwem mędrca Szerni, proponuje dziwny układ. Wasza godność, proszę jeszcze raz powtórzyć treść tej propozycji.

Gotah milczał przez chwilę.

— Trzeba wycofać żołnierzy, książę — rzekł wreszcie. — Tragiczne pomyłki mogą się mnożyć. Hel-Krehiri zapewnia, że Brule nie wymknie się z pułapki, jej wysokość zaś...

Ramez przywołał komendanta legii i wydał kilka poleceń. Gotah zdumiał się słysząc, czego dotyczyły.

— Wasza wysokość, uważam...

— Wasza godność, słuchałem cierpliwie, gdy wykladałeś mi prawdziwy sens Przepowiedni. Teraz ty posłuchaj mnie. Otóż wszystkim, czym w Grombelardzie nie zarządza Szerń, zarządzam ja. A najbardziej zarządzam wojskiem i własnym swoim życiem, choć wielu sądzi, że to

niemożliwe. Jeśli zechcę wodzić legie po górach, będę to czynił codziennie. Aż do chwili, gdy imperator zdejmie mnie z urzędu.

Przyjęty milczał.

— Pozwól też sobie powiedzieć, wasza godność — dodał Przedstawiciel — że pomyślałem, iż będę tu siedział, czekając na to co zrobi jakaś Hel-Krehiri, jest niezwykle... niezwykle co się zowie.

— Jej wysokość księżna... — zaczął Gotah.

Przerwano mu raz jeszcze.

— To moja żona — powiedział zimno, prawie wrogo, Ramez. I dorzucił niegłęboko: — Nie jest dla mnie jej wysokością, ani córką imperatora. To moja kobieta, jestem jej mężczyzną. Wiesz coś o tym, starcze?

Przyjęty zrozumiał. W ciągu jednego dnia zaledwie — dwoje tak różnych ludzi uświadamiało mu to samo. Że stale patrząc ku Szerni — stracił z oczu świat.

— Nie, księżę. To prawda, nic o tym nie wiem.

Po czym zadrwił sam z siebie:

— Pokory...

13.

Hel-Krehiri, wyprawivszy Gotaha do Grombu, wkrótce sama ruszyła jego śladem. Nie widziała powodu, dla którego Przyjęty (czy ktokolwiek) — miałby wiedzieć więcej niż trzeba. Na przedmieściu grombelardzkiej stolicy mieszkał człowiek którego, wraz z władzą nad górami, otrzymała niejako „w spadku” po swym poprzedniku Kragdobie. Leczył konie — stąd powszechnie zwany był Koniarzem. Właśnie w jego domu Hel-Krehiri miała spotkać się ze swoim wywiadowcą.

Budzący respekt osiłek, który nie tak dawno stoczył pięściarski pojedynek na rynku, także był kiedyś człowiekiem Króla Gór. Legendarny władca Grombelardu miał w nim swego przybocznego gwardzistę — ale i przyjaciela. Kaga małodusznie uczyniła zeń swego sługę. Raner — bo tak nazywał się siłacz — szczerze chciał porzucić pieską służbę. Nie potrafił, bo Grombelard był całym jego życiem, Ciężkie Góry zaś domem. W domu tym rządziła Hel-Krehiri. Raz wypowiedziawszy posłuszeństwo, musiałby odejść z Kraju Chmur —

albo oddać srogiej pani swą głowę.

Hel-Krehiri, krótko rozmówiwszy się z Koniarzem, odprawiła go, po czym weszła do małej i brudnej izby, gdzie prócz licznych rupieci gospodarza, stały jakieś przetrącone zydle i stół. Ujrawszy Ranera, rozbójniczka zmarszczyła lekko brwi, liczyła bowiem na spotkanie z Wemirem. Wychowany przez Kragdoba osiłek, pomimo swej przydatności budził w niej żywą niechęć, rozumiała bowiem, że ten człowiek stale porównuje ją z poprzednim swoim dowódcą. Uważała, że przewyższa Kragdoba — i w żałosny, kobiecy sposób, udowadniała to Ranerowi przy pomocy siły.

— Cóż? — zapytała, nie bawiąc się w powitania. — Szybko, nie mam czasu. Gdzie jest Wemir?

Raner milczał.

— Pytam! — ponagliła.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie wiedziałem, że mam śledzić Łowczynię. Mówiłaś o obłąkanej kobiecie, ale kiedy pokazano mi ją tutaj...

— Nawet nie wiedziałam, że ją znasz. A prawda... kiedyś, przed laty... I co z tego?

— Obłąkana, czy nie, rozpoznała mnie w każdym razie — nadeszła nieprzyjazna odpowiedź. — Co sprawiło z kolei, że ja też zostałem rozpoznany, jako jej „opiekun”. Przez Brulę.

Hel-Krehiri zakłęła.

— Wemir naprawił to, co ty zepsułaś — ciągnął Raner — ale przez dwa dni był zdany tylko na siebie, nie mogąc spuścić Brulę z oczu. Czy wiesz, że księżna Werena...

— Wiem — przerwała ze złością.

— Wemir poszedł za nimi. Gdy wyszli z miasta, upewnił się, czy naprawdę idą do Lasu i wrócił tutaj, do Koniarza. Zostawił wiadomość i znów pobiegł. Rozmawiałaś z Koniarzem?

— Nie o tym.

— Brule nie sypia. Może nie potrzebuje. Ale Wemir tak. Przez twoją głupotę ten kot...

— Licz się ze słowami! — była wściekła.

— ...może zginąć — ciągnął niewzruszenie. — Koniarz mówi, że ledwie trzymał się na nogach, gdy tu przybiegł. Teraz idzie za Brulę i

nie wierzę, że ma dosyć siły, by zachować należytą ostrożność.

Zaległo milczenie.

— Chcę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Dokładnie — zaznaczyła.

Wysłuchiwała sprawozdania.

— Dobrze — powiedziała na koniec — teraz słuchaj: idę do Czarnego Lasu, natychmiast. Posłałam kogoś do Przedstawiciela — krótko objaśniła sytuację.

Siłacz słuchał uważnie.

— Nie mam pojęcia, co wymyśli Ramez — przyznała. — Może posłucha i wycofa legie, a może akurat odwrotnie. Masz warować przed bramą Grombu i czekać na Przyjętego. Powiadomisz go, że wyruszyłam i dowiesz się, jak sprawy wyglądają. Potem pchniesz za mną gońca. Przyślę ci tutaj kota. Zdaje się, że tylko na nich mogę jeszcze polegać — dorzuciła z pogardą i złością.

Raner nie odpowiedział.

*

Czarny Las leżał w odległości niespełna dwóch dni drogi od Grombu. Wiele było w Drugiej Prowincji dziwnych miejsc, ale to skupisko kamiennych, karłowatych niby-dębów należało do najniezwykleszych. Płatanina czarnych pni i konarów pokrywała dość strome zbocze na ogromnej przestrzeni. Pośród uporczywej mżawki, wiatr z posępnym skowytym przedzierał się przez martwe ostępy, zawodząc pieśń, której nigdy nie słyszano w innych stronach Gór.

Hel-Krehiri znała to miejsce. Wiedziała, że odnalezienie kogokolwiek w labiryncie skamieniałych drzew, pełnym różnorodnych kryjówek, nie jest sprawą łatwą. Potrzebowała całej armii, by zamknąć wielką pułapkę; przecież nie dowierzała słabemu kordonowi patroli. Pozostawało do zrobienia tylko jedno: wdrzeć się do Lasu i... polować.

Jednak wciąż czekała na Wemira.

Czekała — bo jeśli śledził Brula do końca, mógł poprowadzić ją prosto do niego. Ale przede wszystkim chciała... żeby przyszedł. Żeby krakanie tego durnia Ranera nie okazało się prawdą.

Wemir był jej przyjacielem.

Dotarła na miejsce wieczorem. Tak czy inaczej, nocne poszukiwania nie mogły przynieść efektu. Lubiła noc. Gdyby tylko wiedziała, gdzie jest

Brule, ruszyłaby natychmiast. W starciu z jakimkolwiek człowiekiem, noc była po jej stronie. Jednak co innego starcie — co innego zaś szukanie po omacku.

Niewiele spała. Budził ją każdy szmer, każde poruszenie drzemiących obok wojowników. Choć dobrze wiedziała, że akurat Wemir przyszedłby bezszelestnie.

Gdy wreszcie przyszedł w samej rzeczy — nie zauważyła.

— Czekasz, siostrze? — zapytał.

Przez długą chwilę patrzyła w żółte ślepie.

— Czekam, Wemir — powiedziała niegłośnie. — To dobrze... dobrze, że jesteś.

Przez krótką, nocną chwilę wisiało w powietrzu między nimi to wszystko, co nigdy i przenigdy nie mogło się urzeczywistnić.

Uniósł łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

— Zaprowadzę cię do niego, Kaga. Musimy się śpieszyć. Wiesz o księżnej?

Potwierdziła.

— Ale nawet nie to — wyjaśnił swym niskim, niewyraźnym głosem, przywodzącym na myśl raczej pomruk. — Nie możemy zwlekać, bo nie trafię. Jestem zmęczony, Kaga.

— Wiem — powiedziała powstając.

Wydała kilka rozkazów.

— Gdyby pojawili się żołnierze — powiedziała na koniec — przepuścić! Nie chcę żadnego zamieszania, a już zwłaszcza bitwy. Macie pilnować, by zwierzyna nie uszła, nic więcej. Przekaż dalej, co powiedziałam.

Oficer skinął głową.

— Zresztą wkrótce z Grombu powinna nadejść wiadomość — dorzuciła. — Okaże się, czy wojsko wyruszy.

— Pójdiesz sama? — zapytał kot.

— Tak. Dlaczego?

— Chodźmy już.

Wzięła broń i ruszyła za swym przewodnikiem. Oddaliwszy się od miejsca noclegu, rozmawiali zupełnie inaczej — tak jakby z tyłu zostało coś krępującego i niewygodnego. Cicha, kocia rozmowa „na skróty”, prawie niezrozumiała dla człowieka:

— Dlaczego? — powtórzyła pytanie.
— To słaby, chory starzec. Dość sama. Bo po co? Jeszcze ja.
— Przyjęty.
— Werk, Kaga. Słyszałaś o Pierścieniu Ułudy?
— Werk — potwierdziła.
— Wszystko. Ukrył się w kręgu Pierścieni. Zniknął. Tam są tylko drzewa, jak wszędzie.
— To dlatego?
— Werk. musiałem dobrze zapamiętać. Miejsce i drogę. Odchodziłem, wracałem. Wielokrotnie.
— Pierścienie.
— Nic więcej — wyjaśnił. — On umrze.
— Nie rozumiem?

Wytłumaczył obszerniej:

— On chyba powinien umrzeć wczoraj. Coś go trzyma przy życiu. Jakiś Przedmiot? Ale jego czas już się skończył. Umiera.

Pomimo nocy i deszczu, dość szybko pokonali zbocze. Wkrótce osiągnęli skraj lasu. Odtąd nie rozmawiali.

Ciemność panująca na odkrytym stoku była niczym, w porównaniu z gęstym, zimnym mrokiem, uwięzionym między drzewami. Hel-Krehiri uświadomiła sobie, że gdyby ruszyła od razu, nie czekając na kota — musiałaby zwyczajnie zawrócić. Bez pomocy Wemira nie poradziłaby sobie. Szła pochylona, ze względu na niskie konary, przede wszystkim jednak stale musiała opierać dłoń na silnym karku kocura. Prowadził pewnie, ale bez pośpiechu. Odbywali już podobne wyprawy, choć nigdy w miejscu tak upiornym, jak ten ponury las śmierci. Potrafiła reagować na umowne znaki, które przekazywał jej towarzysz: gdy ugiął kark, rozumiała że ma się pochylić — i czyniła to bez namysłu, ufając jego oczom. Był kotem...

We własnym, swoim ciele.

Świtało, gdy stanęli u celu.

— Teraz wróc. Gdyby przyszedł Przyjęty, przyprowadź go tutaj — powiedziała.

Nie zaprotestował. Uniósł łapę w kocim pozdrowieniu.

— Zabij go, siostrze, zanim umrze. To taki, co zbawia świat. Nie powinien odejść bezkarnie.

Zniknął, ale jeszcze usłyszała:

— Werena jest taka, jak my.

Ruszyła ku miejscu, które wskazał. Z pochyloną głową przemknęła pod konarem kamiennego dębu — i przebiwszy krąg złudzeń, ujrzała płonące ognisko.

14.

Wojsko nadciągnęło przed południem.

Dzięki rozsądnym instrukcjom Hel-Krehiri, czatownicy zbójckiego oddziału ujawnili się — i doszło do zawieszenia broni. Gotah, znając górską królową, mógł zapewnić Przedstawiciela, że rozejm nie zostanie zerwany. Ramez zresztą nie zniżył się do żadnych pertraktacji; przyjął do wiadomości, że nie musi przechodzić po trupach — i zamierzał ruszać. Nieoczekiwaną przeszkodą okazał się upór Norwina. Tysięcznik nie ufał Hel-Krehiri, a tym bardziej jej wojownikom. Pod komendą miał niespełna dwustu ludzi, z czego połowę stanowili pałacowi halabardnicy, gońcy, stajenni i kucharze... bo doborowych żołnierzy posłał w góry już wcześniej. Zbываło na kusznikach, bez których w ciężkim terenie trudno było myśleć o wygraniu bitwy z silniejszym nieprzyjacielem. Komendant przeczuwał zasadzkę. Myśl, że dwie najważniejsze osoby prowincji mogą znaleźć się w jakimś niesamowitym miejscu, otoczonym przez kilkuset rzeźników, mając za ochronę koniuchów i gońców — budziła w nim prawdziwe przerażenie. Postawił się hardo, jak nigdy dotąd; gotów był przetrzymać gniew księcia, stracić stanowisko, a choćby nawet i głowę — byle nie dopuścić do realizacji szaleńczych zamiarów. Rozumiał, co działo się w duszy grombelardzkiego władcy, ale rozumiał też swoje obowiązki. Chciał niezwłocznie iść do przeklętego lasu na ratunek księżnej, ale nie zamierzał puścić tam Przedstawiciela. Przy tym miał świadomość, że czas płynie, a każda chwila jest droga; ta świadomość przywodziła go omal do rozpacz.

— Wasza wysokość! — tłumaczył, prosił i wręcz groził. — To szaleństwo, to... Błagam, wasza wysokość! Tracimy czas! Wasza wysokość, ja dowodzę tymi żołnierzami, nie odbierzesz mi tej funkcji tu i teraz! Wasza wysokość... choćbym miał użyć siły... nie pójdziesz tam! Proszę!

Po pierwszym wybuchu gniewu, Ramez uspokoił się nieoczekiwanie, jakby czując, że tysięcznik naprawdę może podjąć desperacką próbę wprowadzenia w czyn swojej groźby. Szarpanie żołnierzy sprzecznymi rozkazami nie mogło przynieść nic dobrego.

Koci przewodnik czekał. Niedaleko stali obwiesie Hel-Krehiri, obserwując zajście z wyraźną ciekawością. Sytuacja stawała się po prostu absurdalna.

— Komendancie — rzekł Ramez ze spokojem — jeśli to pułapka, poddamy się. Sądziysz, że nas zabiją?

Tysięcznik patrzył przez chwilę, po czym zagryzł usta.

— A więc wezmą nas do niewoli — stwierdził Ramez. — Zażądają okupu, czy tak? Więc zapłacę im ten okup. Czego mi chcesz zabronić? Korzystania z własnej sakiewki? Tylko pomyśl.

Po czym zbliżył się do oficera i przytrzymał go, gdy ten — odruchowo chciał z szacunkiem odstąpić.

— Norwin — powiedział tak cicho, że nikt postronny nie mógł usłyszeć — puść mnie do tego lasu. Proszę cię.

Żołnierz wziął się za głowę.

— Na wszystko... wasza wysokość... — powiedział bezradnie. — Wasza wysokość! — powtórzył.

Odwrócił się i pobiegł wybrać najlepszych żołnierzy.

Czarny kocur siedział w milczeniu.

— Dogonią nas, chodźmy — rzekł sucho Przedstawiciel. — Mędrze. Gotah skinął głową.

Nie czekając na Norwina i jego legionistów, ruszyli w dół stoku. Jego wysokość Ramez, w zwykłej wojskowej kolczudze, z łukiem i przy mieczu, wyglądał jak prosty armektański wojownik. Nie inaczej się zachowywał. Było tak, jakby jednym ruchem odsunął wszystkie swoje godności i tytuły, zapomniał kim jest — i myślał tylko o celu, do którego zmierzał. Przyjęty w milczeniu dotrzymywał kroku. Cała sytuacja od dawna już go przerastała. U boku zawziętej rozbójniczki wyruszył na spotkanie z tajemnicami świata... Potężny, szalony mędrzec chciał wskrzesić wrogie, pokonane przed wiekami siły, lada chwila mogło stać się... cokolwiek. Przeczytawszy zapiski Dorlana, Gotah sądził, że zamiary Brula spełzną na niczym. Ale przecież mógł się pomylić. Jednak spośród tych, którzy szli zmierzyć się z nieodgadzionymi mocami — nikt o tym

nie myślał. W grę wchodziły małe, powszednie uczucia: żądza zemsty u Hel-Krehiri; urażona godność władcy Grombelardu... i jego osobista miłość do kobiety. Gotah odkrył z prawdziwym zdumieniem, że odczuwa głęboką litość dla nieszczęsnego, opętanego szaloną wizją starca, upadłego mędrca, który miał oto zostać rozszarpany przez dzikie, ogarnięte żądzą mordy wilki. Zwierzęta pojmuje to tylko, co ich w danej chwili dotyczy. Ból i rozkosz; nienawiść i miłość. Fałszywe, bo umowne, zło i dobro. Każdy chciał nosić tylko swoje, nie oglądając się na nic i nie patrząc, czym jest jego dobro — albo zło — dla innych...

Tak widział świat pod niebem Szerni; prawa Pasm miały się doń nijak. Szerń przyjęła go i bez reszty uczyniła swoją częścią — wiedział, jak być powinno, ale dawno zapomniał, do czego ta wiedza ma służyć.

*

Hel-Krehiri błąkała się pomiędzy drzewami, bezmyślnie spoglądając dokoła. Gotah przystanął, bo w pierwszej chwili był pewien, że spotkał ją los Łowczyńni... Ale nie. Ujrzawszy nadchodzących, dziewczyna przymknęła oczy i pokazała drogę.

Przyjęty stał patrząc, jak Ramez i jego żołnierze, prowadzeni przez czarnego kocura, znikają za ścianą złudzeń, pośród których ukrył się Brule. Współistnienie jakichkolwiek sił Aleru i Szerni było niemożliwe; Przyjęty wiedział, że już nie musi się śpieszyć. Martwych Wstęg nie udało się wskrzesić.

Patrzył na dziewczynę.

Cokolwiek zaszło, było nieodwracalne... Hel-Krehiri krążyła między pniami czarnych drzew, czasem dotykała ich dłońmi, zbierając spływające w dół krople grombelardzkiego deszczu, to znów, przygryzając usta, rozglądała się wokół, jakby czegoś szukała. Owa tępa beczynność istoty, która dotąd nie wiedziała, co to bierność, była przerażająca.

Usiadła, opierając plecy i głowę o kamienny pień.

— Złamałam słowo — powiedziała.

Nie zrozumiał.

— Co zrobiłaś? — zapytał.

Wolno, bezmyślnie, kręciła głową na boki. Po twarzy spłynęły dwie łzy.

— Złamałam słowo — powtórzyła. — Dałam mu życie... I czas... —

urwała, nie mogąc mówić dalej.

Gotah patrzył w milczeniu.

— Złamałam... słowo — powtórzyła raz jeszcze.

Z wnętrza kręgu złudzeń nie dobiegał żaden dźwięk — zupełnie tak, jakby ci, co tam weszli, zniknęli ze świata naprawdę.

— Kupił mnie — powiedziała z płaczem. — Za tę jedną... jedyną rzecz... za którą mógł... Nie rozumiesz?

Łzy płynęły. Zagryzając usta, wyciągnęła ręce i oglądając je, jakby nie wierząc, że wciąż istnieją... że są.

— Obiecał... że... zdejmie to... ze mnie...

Załkała głośno.

— Na Pasma Szerni, dziewczyno... — powiedział, zdjęty litością. — Przecież to niemożliwe.

Opuściła dłonie.

— Już wiem.

Bezradnie pokręcił głową.

Wreszcie odwrócił się, przytłoczony, i poszedł do ostatniej kryjówki Wielkiego Brula-Przyjętego.

Las był taki, jak wszędzie. Pomiedzy martwymi dębami migotał płomień, zawieszony nisko nad ziemią. Garść małych, czerwonych obrączek dawała mu zimne, purpurowe życie.

Stojący z boku żołnierze zachowywali milczenie, nie śmiać nawet szeptać. Pod jednym z dalszych drzew Norwin okrywał właśnie peleryną ramiona księżnej Wereny. Błada, z podkrążonymi oczami i mokrymi włosami, splecionymi w prosty węzeł, mówiła coś cicho do klęczącego obok męża. Ramez kiwał głową, marszcząc brwi. Uniósłszy spojrzenie, dostrzegł zbliżającego się Przyjętego. Ponaglił go gestem. Już nie był armektańskim wojownikiem równin... Gotah znów miał przed sobą grombelardzkiego namiestnika cesarza.

Między wielkim kamieniem a grubym czarnym pniem, leżał na cienkim płaszczu człowiek, którego życie było czymś niezmiernie dla Szereru doniosłym — a którego śmierć nie wabiła nikogo. Posłyszawszy chrapliwy, wysilony oddech, Gotah pochylił się nad nim. Jeden z największych mędrców świata... konał na ziemi jak pies.

Ujrzał Gotaha — ale nie rozpoznał go widocznie. Poruszył sinymi ustami, potem przymknął oczy.

Do Gotaha zbliżył się Norwin.

— Książę prosi, byś przeczytał to, panie — powiedział, podając zapisaną kartę. — Jej wysokość czuje się dobrze — dorzucił, choć Przyjęty nie pytał.

Gotah, mimo woli, odpowiedział pogardliwym spojrzeniem... na jakie przecież ten człowiek wcale nie zasługiwał. Wciąż słysząc wysiłony oddech umierającego, ujął pismo i osłaniając przed deszczem, począł czytać niewyraźnie nakreślone litery. Gdy uniósł spojrzenie, ujrzał, że oprócz Norwina zbliżyli się doń Ramez i księżna Werena. Pomimo zmęczenia i przebytych wzruszeń, kobieta trzymała się prosto.

— Wiem już, kim jesteś, wasza godność — powiedziała spokojnie. — Wytłumacz nam, proszę, co oznacza ten list.

Gotah powoli zwinął pismo, patrząc w twarz leżącego.

— To wszystko nieprawda — rzekł cicho.

Policzki poczerwieniały jej lekko.

— Co chcesz przez to, panie, powiedzieć? Ten człowiek wyjawiał mi swoje zamiary... Przez całą minioną noc byłam nieprzytomna i nie wiem, co się mogło wydarzyć...

— Nic się nie wydarzyło — powiedział ciężko Gotah. — Ten list dyktowało szaleństwo. Jeśli w samej rzeczy wasza wysokość... jest brzemienna, to nie za sprawą Brula.

Norwin oddalił się niepostrzeżenie.

— Brule mógł sprawić, przy wsparciu Wstęgi Aleru, by wasza wysokość zaszła w ciążę — tłumaczył z wysiłkiem Przyjęty. — W tym liście jest napisane, że nie uczynił tego, bo już jesteś, pani, brzemienna od tygodnia. W ten sposób... wasza wysokość nigdy by się nie dowiedziała, kto n a p r a w d ę jest ojcem, a wielkie pragnienie posiadania dziecka kazałoby wam uznać je za własne. Lecz to wszystko wymysł. Wielki Brule... zamknął się w podwójnym kręgu złudzeń — Gotah zatoczył ręką, po czym wskazał pismo, wykrzywiwszy swą kaleką twarz. — Te tutaj dotyczą tylko jego.

— Więc... nieprawdą jest...?

— Raz jeszcze mówię: jeśli nawet istotnie nosisz dziecko, pani, jego ojcem nie może być Brule. Pomimo, iż dano mu czas, którego tak potrzebował.

— Skąd taka pewność, mędrcze?

— Ależ stąd, wasza wysokość, że Wstęgi, których znak nosisz, nie zostały wskrzeszone... bo ich tutaj nie ma. Brule pomylił się, pani.

— To nieprawda — rzekł niespodziewanie Przedstawiciel. — O tym, że leżą właśnie tutaj, wspomina się w Księdze Całości. To udowodnione.

Przyjęty pokiwał głową.

— Zarzucasz mi kłamstwo, książę? A jednak wiem na pewno, że Brule się pomylił... Tak dalece, że nie skorzystał nawet z szansy, danej mu w ostatniej chwili życia. Okłamał podle jedyną istotę, która mogła, jak sędzę, urealnić jego plany. W Czarnym Lesie leży Złota Wstęga, nie Srebrna. Wielki Dorlan chyba o tym wiedział...

— Potrafisz to udowodnić?

— Wciąż istnieje krąg złudzeń...

Raz jeszcze spojrzął na umierającego i rzekł trochę do siebie, a trochę do księcia:

— Pokory.

Po czym wskazał, siedzących poza kręgiem, młodą kobietę i kota.

Część druga. Wiatr i deszcz

15.

Noc była zimna i dżdżysta. Czarne chmury kłębiły się wokół posepnych szczytów, spływały ku przełęczom. Kamienne grombelardzkie miasto spało. Pojedyncze wątle światełka, migoczące tu i tam, przywodziły na myśl raczej błędne ogniki, spotykane czasem na dartańskich bagnach... Niewiele było ciepła w tych ogniach. Przeklęta przez Szerń kraina miała dla swych mieszkańców tylko chłód, wiatr i deszcz. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł kochać ten kraj.

A jednak kochało go wielu.

Ponura grombelardzka warownia, będąca siedzibą Księcia Przedstawiciela Cesarza, była równie ponura i zimna, jak wszystko inne w Drugiej Prowincji, choć nie szczędzono wysiłków, by przemienić tę pradawną zbójecką sadybę w wykwintną rezydencję. Na próżno. Tkaniny i futra, którymi pokrywano ściany, szybko przechodziły wilgocią, pleśniały, cuchnęły stęchlizną. Koberce gniły. O wszelkie dokumenty i księgi należało mieć specjalne staranie — w pomieszczeniach, gdzie były zgromadzone, utrzymywano ogień dniem i nocą. Było to wielce kosztowne, zważywszy, że drewno opałowe sprowadzano do Grombu z daleka. Ciężkie Góry nie obfitowały w lasy. Gdzieniedzie tylko rosły karłowate świerki.

Jej wysokość Werena, małżonka N.R.M.Rameza, cesarskiego namiestnika w Grombelardzie, codziennie rano wkładała wilgotną suknie. Córka imperatora, pierwsza dama Grombelardu i jedna z pierwszych kobiet Szereru, bywało, po prostu marzła.

Teraz, w samym środku nocy, stała przy wąskim oknie, opierając przedramię na murze, a czoło na przedramieniu. Patrzyła w mrok, pozwalając, by mokry wiatr owiewał jej twarz.

— Czasem czuję rozpacz, naprawdę — powiedziała.

W komnacie migotała tylko jedna świeca. Towarzysząca księżnej kobieta, do której skierowane były słowa, miała twarz skrytą w cieniu. Blask świecy prześwietlał od tyłu jej włosy, tworząc wokół głowy

pomarańczową aureolę.

— Tutaj nic nie ma. Zupełnie nic — podjęła Werena cicho i pospiesznie. — Rozumiesz mnie? Nic. Tylko te mury, wiecznie i wiecznie wilgotne. Nie mam ogrodu, do którego mogłabym wyjść. Nawet gwiazd, które mogłabym liczyć. Ja... Przecież ja od lat, słyszysz? — od lat nie widziałam drzewa... Ani trawy. Nie jeździłam konno. Zapomniałam już, jak wydłuża i kurczy się cień w słońcu. Nigdy nie ma tu słońca. Z własnej woli poślubiłam człowieka, którego mój ojciec uczynił królem tej prowincji. Tego nie żałuję. Ale umieram w tym potrójnym więzieniu, jakim są te ściany, potem całe to miasto i w ogóle cały ten kraj. Umieram, rozumiesz? Nie, nie rozumiesz... Przecież ty kochasz ten przekłety kamieniołom, który jakimś cudem jeszcze nie rozpuścił się w deszczu. Kochasz, powiedz.

— Ale kocham też to, za czym wasza wysokość tak tęskni — nadeszła odpowiedź; mówiąca miała niski, leciutko schrypnięty głos. — Czy uważasz pani, że ja już nie chcę wysokiego nieba nad Armektem?

— Co więc cię tutaj trzyma?

Długo nie było odpowiedzi.

— Nic. To tylko, że jestem kawałkiem tych gór. Należę do nich, wzięły mnie tak, jak księżę Ramez wziął ciebie, wasza wysokość. Na dobre i na złe.

Zaległo milczenie.

— Wracasz w góry?

— Tak, pani.

— Czy to nieodwołalne? — Księżna odwróciła się tyłem do okna i spojrzała na okrytą cieniem twarz rozmówczyni. — Karenira, czego brakuje ci u mnie? W ciągu trzech miesięcy uczyniłam cię kimś więcej niż... Masz moją przyjaźń, prawdziwą przyjaźń. W zamian nie chcę nic, prócz twego towarzystwa. Zostań ze mną. Proszę.

Odpowiedzi nie było.

— Dlaczego uciekasz? Czego wciąż szukasz na tych bezdrożach? — nalegała księżna. — Wiatr i deszcz, deszcz i wiatr... Zostałaś królową pustkowi, opowiadają o tobie legendy, żołnierze cię podziwiają, zbóje omijają, koty szanują, sępy nienawidzą... Czego chcesz jeszcze? Co jeszcze czeka na ciebie?

— Wiatr i deszcz, deszcz i wiatr... — powtórzyła z lekkim

uśmiechem wezwana. — A tak, jestem legendą. Najpiękniejszą legendą Grombelardu o zemście długiej jak życie. Tutaj kocha się takie legendy.

— To niskie...

— To wielkie, bo moje.

Księżna nie ustąpiła.

— Ale... o co ci chodzi tym razem? Znowu sępy? Czy dlatego, że przed laty wyrządziły ci krzywdę, będziesz na nie polować do końca swoich dni? W ten sposób stracisz więcej, niż próbowały ci zabrać. Zmarnujesz życie, Łowczyni — urwała, bo pomimo mroku dojrzała na twarzy tamtej lekko kpiący uśmiech.

— Przepraszam, wasza wysokość. To nie sępy. Sępów nie ma i nigdy dla mnie nie było. Może kiedyś... na samym początku. Ale później... teraz... już tylko wiatr i deszcz.

— A zatem?

— Zatem wiatr i deszcz. Sępy pewnie zostawię w spokoju. Albo nie zostawię? Czy ja wiem? W każdym razie chcę chodzić po górach.

Milczenie.

— Nie rozumiem tego. Ale dobrze. Mówiłaś, że odzujesz pewnego człowieka?

— No tak. Przecież muszę robić coś jeszcze, oprócz tego, że zmoknę i potarga mnie wiatr.

— Nie zależy ci więc na odnalezieniu go?

— Zależy, nie zależy...

Księżna wzruszyła ramionami i podeszła do stołu. Oprócz lichtarza, w którym płonęła świeca, stał tam wielki półmisek z owocami i kielichy napełnione winem. Wzięła jeden i napiła się.

Karenira stanęła obok. Migoczący płomyk wyłowił z ciemności trzydziestopięcioletnią twarz o regularnych rysach, do której dziwnie nie pasowały szare, w jakiś sposób męskie oczy. W samej rzeczy, otrzymała je w darze od starego żołnierza... Historię tych oczu znali w Grombelardzie chyba wszyscy. Były kawałkiem legendy... Legendy o młodej dziewczynie, oślepionej przez sępy — trzeci z rozumnych gatunków.

— Wasza wysokość — powiedziała Karenira, biorąc do ręki swój kielich — opowiedziałam ci o całym swoim życiu. Wiesz przecież, że już raz uciekłam z Gór. Poślubiłam wspaniałego mężczyznę, dartańskiego

wojownika, który dał mi złoto i wielkie nazwisko... Okazało się, że bardziej kocham Góry niż jego. Dziś pożytek z tej przygody taki, że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać.

— To nieprawda — przerwała Werena.

— Ależ prawda, wasza wysokość — Karenira była ubawiona. — W Armekcie nie jesteśmy tak wrażliwi na tytuły i rangę urodzenia, jak to się dzieje w Dartanie, ale jednak przepaść między córką imperatora a niebogatą kobietą Czystej Krwi jest nie do przebycia. Niweluje ją dopiero moje dartańskie nazwisko... i złoto, którego były małżonek dostarczy mi tyle, ile zażądam. Ta niezależność sprawia, że moja obecność przy tobie traktowana jest jak coś normalnego. Brudna, półdzika łuczniczka z gór wzbudziłaby może twoją ciekawość, ale taką, jaką wzbudza rzadki okaz drapieżnego zwierzęcia... Ech, nie o tym chciałam! — sarknęła.

Odwróciła się i oparła biodrem o stół.

Charakterystyczny szczegół czynił obie kobiety niezwykle podobnymi: każda z nich miała na prawej skroni niewielkie pasmo siwizny. Podobieństwo nie kończyło się na tym. Obie pochodziły z Armektu — miały lekko śniadą cerę, proste, długie, czarne włosy i podobny wzrost. Były prawie w tym samym wieku. Jednak siwizna na skroniach najbardziej rzucała się w oczy.

Księżna była ładniejsza; jej towarzyszka — trochę mocniej, ale także bardziej harmonijnie, zbudowana.

Karenira upiła łyk wina.

— Już raz uciekałam z Grombelardu — powtórzyła. — Nikt mi nie powie, że nie próbowałam. Wróciłam po roku i nie zamierzam uciekać nigdy więcej. Tutaj moje miejsce. Chcę w Góry. Są moje. Przed rokiem zostały poranione przez człowieka, który wpędził mnie w obłąd, a ciebie upokorzył i porwał. Wybaczylesz mu, bo był szaleńcem. Ja mu także wybaczam... a tym łatwiej, że umarł... Ale to nie wszystko. Opowiada się historie o jakichś moich czynach, których nie pamiętam. W górach siedzi kaleka, który ponoć był moim sprzymierzeńcem w walce z Brulem-Przyjętym. Może był. Ale jeśli nie był, a tylko tak opowiada, to mój honor... Chcę sprawdzić te opowieści.

— Twój honor... Kobiety nie mają honoru — powiedziała księżna w zamyśleniu, wąską strużką wylewając wino z kielicha do półmiska z owocami. — Nie taki, o którym myślisz. Kobiety mają cześć. Honor, ten

honor, jest sprawą mężczyzn. Tylko mężczyzn, na szczęście. No i chyba jeszcze kotów, jak słyszałam.

— Hm... — mruknęła Karenira.

Wypiła wino do końca. Odstawiła kielich.

— No tak, skłamałam — powiedziała po chwili z uśmiechem. — Widzisz? Wciąż pracuję na swoją legendę. To prawda, jaki tam honor. Złości mnie, że ktoś wymachuje moim nazwiskiem, a ja nawet nie pamiętam... nie wiem, kto to jest. Chcę zobaczyć tego człowieka.

Werena skinęła głową.

— Ach, to co innego. To rozumiem.

Z roztargnieniem obejrzała pusty kielich, po czym wzięła duże jabłko i bezmyślnie zaczęła wtłaczać je do środka. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie wejdzie... A jednak! Krawędzie naczynia przecięły delikatną skórkę i okaleczony owoc został wepchnięty do kielicha. Werena oblizwała mokre od soku palce. Triumfalnie pokazała swe dzieło Karenirze.

— Potrzebujesz czegoś? — zapytała, biorąc drugi kielich i gruszkę. — Ludzi, broni, pieniędzy? Może konia?

— Mam wszystko, wasza wysokość. Koń mi na nic. Chociaż, hm... może ogier?...

Księżna zagryzła usta. Dowcip wyraźnie nie przypadł jej do gustu.

— Kiedy ruszasz? — zapytała chłodno.

— Rano. Wcześniej rano.

*

Grombelardzkie góry dawały bardzo dużo. Ale też niemało zabierały. Patrząc na ogromne zwierciadło, Karenira zdawała sobie sprawę, że chce być pożądaną. Że lubuje się w słownych... i nie tylko takich grach, które tak często podejmowano z nią i tu, i wcześniej — w Dartanie. Podobała się mężczyznom prawie zawsze. Prawie wszędzie. Ale w górach była tylko samicą... Tutaj, u boku księżnej — kobietą klejnotem. Bo, jak klejnot, miała właściwą oprawę.

Zielono-biała suknia kosztowała fortunę. ale była warta swojej ceny. Mistrz prawdziwy zaprojektował ją i uszył. W trudny do opisanego sposób połączono rzeczy skrajne — a więc bogactwo ze skromnością i prostotą; powagę z frywolnością... Prawdziwie czarodziejska szata, podkreślająca wszystkie zalety, tuszująca zaś wady ciała. Marzenie każdej kobiety.

Wcale nie chciała odchodzić. To, co mówiła księżnej, było prawdą tylko częściowo.

Rozebrała się do naga. I znów patrzyła w lustro. Niezbyt wysoka, miała dość długie nogi, okrągłe biodra i bardzo wąską talię. Niezwykle mocny, czarny zarost uciekał na wewnętrzne części ud, strzelał wąską smuzką aż do pępka, ale u smagłych, czarnowłosych cór Armektu, nie poczytywano tego za wadę urody. Nawet czarne włoski na kobiecych przedramionach i nogach, czy też delikatnie ocieniona górna warga, uważane były w Armeckie za rzecz zwykłą. Mankament stanowiły raczej zbyt szeroko rozstawione, małe piersi, o sterczących na boki i ku górze sutkach.

Roześmiała się kwaśno. Tak czy owak, wszystko było kłamstwem.

Stała w lekkim rozkroku i splótła dłonie na karku. Rozluźnione dotąd mięśnie naprężyły się, w okamgnieniu zmieniając sylwetkę. Powoli prostowała ramiona, oglądając rozdwojoną falę mięśni brzucha, pogrubiałą nagle, masywną szyję, rozłożyste barki, sploty mięśni na ramionach i udach. Opuściła ręce, po czym założyła je do tyłu. Drobne piersi drgnęły, unosząc się wyraźnie. Ironicznie przygryzając wargę, oceniła całość.

— Nieźle — zawyrokowała. — Bojowa wersja pani Kareniry. Mogło być gorzej, sporo gorzej... Ale chyba nie dasz się zabić byle komu. Wygląda na to, że nie.

Pomyślała o starym człowieku, który był jej opiekunem. Wielki Dorlan-Przyjęty włożył wiele trudu, by nauczyć ją sztuki przeżycia w Ciężkich Górach.

Kpiący grymas powoli przeobrażał się w coś innego. Postronny obserwator mógłby odczuć niepokój, widząc zmiany dokonujące się na twarzy kobiety. Widok własnej siły wyraźnie odurzał ją i upajał; w szeroko otwartych oczach czaiło się coś groźnego i dziwnie odpychającego.

Wszystko było kłamstwem. Zarówno ciało, jak i twarz czy spojrzenia — nic nie oznaczały. Myślała o tym, że można zmieniać je i kształtować do woli. Nagi człowiek jest nikim. Nic o nim nie można powiedzieć, może być żebrakiem albo królem. Wojenna machina w zwierciadle była przecież jedną z pierwszych dam Dartanu, tutaj zaś — osobistą przyjaciółką księżnej Grombelardu.

Ale znów — czy prawdę mówiły ubiory?

— Ech, wszystko jest kłamstwem! — parsknęła.

Otwarta lewa dłoń znalazła się na wysokości twarzy, jakby osłaniając ją przed ciosem, tułów wykonał błyskawiczny półobrót, prawy łokieć zatoczył bardzo krótki, płaski łuk, na mgnienie oka stykając się z powierzchnią zwierciadła...

Tafla pękła, z trzaskiem wplecionym w gardłowy okrzyk kobiety.

Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo. Dziki grymas na twarzy przemienił się w wyraz zaskoczenia... a potem niejakiego zmieszania.

— Ou? — powiedziała kpiąco, zdziwiona, oglądając skaleczony łokieć. — No, nie wiem... Te miesiące bezczynności zrobiły jednak swoje. Na razie... hm, na razie nie popisuj się za często. Zrobisz sobie krzywdę i wyśmieją cię.

Pokręciła głową. Podarła piękną suknię i opatrzyła krwawiącą rękę. Potem zaczęła splatać włosy w warkocz.

16.

Nie opodal rynku w Grombie mieszkał kiedyś człowiek, który jako jedyny podał jej rękę, wtedy gdy — bezradna, niema i półobłąkana — najbardziej tego potrzebowała. Był miecznikiem, znakomitym miecznikiem. Z prawdziwym bólem pomyślała, że nigdy już nie zdoła spłacić długu, jaki u niego zaciągnęła. Uwikłany w jej wojnę z Brulem, stary rzemieślnik zapłacił życiem za chęć udzielenia pomocy kobiecie, której prawie nie znał... Postradał zmysły, tak jak wcześniej ona sama. Podeszły wiek sprawił, że klątwy Brula nie udało się odwrócić. Mistrz Haagen, człowiek o złotych rękach i wielkim, wielkim sercu — zgasł nim zdołała w jakikolwiek sposób wyrazić mu swoją wdzięczność.

Bolała nad tym. Tym bardziej że było dla niej jasne, iż w ostatnich dniach życia starca, migotało w skołatanej głowie jakieś światło — i była to myśl o niej. Umarł, nie wiedząc, że los jego podopiecznej odmienił się na lepsze; przecież musiał wierzyć, że owa odmiana nastąpi, bo w skrzyni, gdzie przechowywał jej rzeczy, znalazła wetknięty do podróźnej sakwy znakomity miecz gwardyjski — broń, której chętnie używała. Starzec wiedział o tym... Rozplakała się, ujrzawszy ten ostatni podarunek. Teraz, wspominając swego dobroczyńcę, ze wzruszeniem

dotknęła rękojeści wiszącego u pasa oręża.

Przesycony deszczem wiatr, najwyraźniej zachęcony ruchem jej ramienia, wtargnął pod brunatną pelerynę, odsłaniając niedbale zawiązany kaftan z łosiowej skóry i krótką męską spódnicę, ledwie kryjącą cholewy mocnych, sięgających do połowy ud, skórzanych butów. Niecierpliwie szarpnęła poły płaszcza. Łubie skrywające niezbyt duży łuk zsunęło się nieco; poprawiła szeroki pas na ramieniu i ruszyła dalej.

Pora była bardzo wczesna, na ulicach spotkała niewiele osób. Skuleni pod naporem wiatru ludzie mijali ją obojętnie. Przystanęła zaskoczona, gdy drogę zastąpił jej wysoki, masywny mężczyzna. Uniósł spojrzenie i przez długą chwilę patrzyła prosto w twarz, skrytą w cieniu obszernego kaptura.

— Nie — powiedziała wreszcie — ja chyba śnię... Raner? Przecież nie oszalałam? No nie, nie tym razem.

— Kiedy właśnie oszalałaś, Łowczyni — odparł, rozglądając się dokoła. — Od trzech dni waruję tutaj jak pies. Daj mi to — wyciągnął rękę.

— Mój łuk? — zdumiała się.

— Właśnie łuk najbardziej zwraca uwagę — rzucił niecierpliwie. — Kobieta bez łuku to nic nadzwyczajnego. No, dajże mi te kłamoty! Szybko, Łowczyni, nie ma czasu.

Z wielkim trudem upchnął łubie i kołczan pod płaszczem.

— Chodź, pani. Będę mówił idąc.

Ruszyli. Milczała wyczekująco, ale pomimo danej obietnicy, mężczyzna przez pierwszych kilkadziesiąt kroków nie odezwał się ani słowem.

Był wszystkim, co pozostało w Grombie po Basergorze-Kragdobie. Gdy Król Gór porzucił Grombelard, groźny siłacz nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Chciał i umiał być tylko narzędziem, pragnął służyć, być przydatnym, ale nie miał komu. Hel-Krehiri, następczyni Kragdoba, uczyniła zeń swego niewolnika; nie lubiła go i nie ceniła; o przyjaźni nie było nawet mowy. Raner, który kiedyś powiadał „powiedz co, a ja to zrobię”, męczył się, służąc komuś, kto nie umiał, a nawet nie chciał wykorzystać jego możliwości. Jednak Ciężkie Góry były tylko jedne i rządziła w nich właśnie Hel-Krehiri. Kiepsko te rządy wyglądały, przecież jednak dość krzepko, bo pojedynczy człowiek nie mógł się spod

nich wyłamać. Wymówiwszy rozbójniczce posłuszeństwo, Raner musiałby uciekać z Grombelardu. Tego zaś zrobić nie chciał. Nie mógł, nie potrafił.

Milczenie przeciągało się. Karenira straciła cierpliwość.

— No? — fuknęła ponagłajaco.

— Hel-Krehiri chce cię dostać — wyjaśnił... a przynajmniej sądził, że wyjaśnia.

Po czym znowu zamilkł.

— Nie, na wszystkie... — po długiej chwili daremnego wyczekiwania, rozzłoszczona łuczniczka przystanęła. — I to już wszystko? Nic więcej nie powiesz?

— Chodź, pani. Wyznaczyła nagrodę za twoją głowę. Wysoką nagrodę.

Armektanka zdumiała się.

— Raner, ty majaczysz. Majaczysz? — zapytała.

— Parę dni temu usłyszałem o tym w gospodzie. Słyszysz, pani? W gospodzie. Jak gadają takie rzeczy przy piwie, znaczy wie o tym cały Grombelard. Ty nie wiedziałaś? — raczej stwierdził, niż zapytał. — Byle rzezimieszek na trakcie gotów pchnąć cię nożem, Łowczyni. Twój łuk głośno woła, kim jesteś. Nikt tu nie nosi takiej broni. Chodźże wreszcie.

— Nie, to niemożliwe — zaprotestowała ruszając. — Wiesz coś więcej?

— Nie — uciął. — Nie lubię wiedzieć więcej, niż trzeba — dodał z głęboką szczerością.

— Ale przecież ty jesteś wojakiem Hel-Krehiri? — zauważyła po chwili milczenia.

— Wojakiem, który o takiej sprawie jak nagroda za głowę Łowczyni, musiał dowiedzieć się w knajpie — rzekł cierpko. — Już nie należę do niej. Znalazłem sobie lepszą komendantkę.

— No, a kogóż to?

— Armę — powiedział z uśmiechem.

Arma była siostrą Ranera. Opuściła Grombelard z Basergorem-Kragdobem.

— Arma wróciła? — Karenira przystanęła znowu.

— Chodź, pani. To cię martwi czy cieszy?

Jeśli była to kpina, to Raner zakpił umiejętnie. Trudno powiedzieć,

żeby lubiły się z Arma. Chociaż... Stosunki, fatalne na początku, zamiast ulec dalszemu pogorszeniu, po jakimś czasie poprawiły się nieco — rzecz niezwykła między kobietami.

— Hel-Krehiri już się nie liczy — stwierdził Raner. Nie ukrywał zadowolenia.

Karenira pokręciła głową. Znała Hel-Krehiri... Ale Arma faktycznie stanowiła twardy orzech do zgryzienia. Dla każdego. Przebiegła intrygantka, była najlepszym szpiegiem Kragdoba. Rzadko ruszała w góry. Ranera znali wszyscy ludzie Króla Gór — o Armie wiedziało niewiele. Ba, mało kto słyszał, że siłacz w ogóle ma siostrę.

— Dokąd idziemy?

— Mieszka tu pewien kupiec, który wiele podróżuje. Jak to kupiec. Opiekuję się jego domem.

— Aha.

Rozbójnik strzegł domu kupca.

Arma zmieniła się niewiele; trochę inaczej niż kiedyś upinała niezwykle bujne, słonecznożółte włosy, widać też było, że bardziej dba o siebie. Karenira ze zdziwieniem odkryła, iż widok tej nie lubianej niegdyś kobiety, teraz sprawił jej prawdziwą przyjemność. Może dlatego, że Arma, podobnie zresztą jak jej brat — byli częścią starych, dobrych czasów? Łowczyni zatęskniła nagle do olbrzymiego, zawsze spokojnego mężczyzny, który wspólnie ze swym kocim przyjacielem tak łatwo i pewnie rządził w Ciężkich Górach. Nim zdążyła zapytać, Arma powiedziała sama:

— Mają się świetnie... Pozdrawiają cię.

Armektanka skinęła głową.

— Rbit kazał ci powiedzieć — dorzuciła blondynka — że... czekacie oboje. Powiedział, że zrozumiesz. Tak?

Karenira uśmiechnęła się.

— Rozumiem.

Posmutniała nagle.

— O co chodzi? — zapytała Arma po chwili. — Nie odbierz tego źle — zastrzegła szybko. — Chcę tylko... chciałam...

— Nie, nic... Ostatnie, co usłyszałam od Rbita, to właśnie „czekaj” — westchnęła łuczniczka. — Powiedział, że jeszcze tu wróca. No więc... czekam.

Blondynka przygryzła wargę.

— Odeszłam razem z nimi, bo myślałam, że uda mi się nakłonić Glorma do powrotu. Ale już zrezygnowałam. Basergor-Kragdob jest szczęśliwy w Rollaynie — powiedziała trochę kpiąco, ale jednocześnie z żalem i z goryczą. — Rbit to co innego. Przecież to kot. Wszędzie mu dobrze, ale jednak najlepiej czuł się tutaj. Postanowienie Glorma o spędzeniu reszty życia w Rollaynie jest jak mur, ale jeśli tylko zrobi się w tym murze choćby najmniejsza szczelina, to Rbit natychmiast w nią wlezie. Potrafi być cierpliwy... i czekać — skinęła wolno głową. — Już rozumiem, co chciał ci powiedzieć. Nie wiedziałam, że ty tak bardzo... — urwała.

Armektanka milczała.

— Bardzo — powiedziała po chwili.

Pociągnęła nosem i uniosła głowę. Obejrzała się, ale Raner na szczęście wyszedł z izby jakiś czas temu, pozostawiając kobiety same sobie. Wzruszyła ramionami, trochę niepewnie, wyraźnie zmieszana okazaną słabością.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj. Do Dartanu od jakiegoś czasu docierają, hm, dziwne wieści — Arma zmieniła temat. — Dla kogoś, kto nie zna Grombelardu, to po prostu kolejne bajędy z końca świata. Ale ja urodziłam się tutaj. Rozmawiałam z Rbitem i przyznał mi rację. Jestem tu na zwiadach — rozłożyła ręce. — Od czterech tygodni.

— Tak długo?

— Dokładnie cztery tygodnie — powtórzyła Arma. — A od dwóch tygodni — dodała po krótkiej chwili — próbuję wyciągnąć z pałacu Przedstawiciela pewną armektańską wojowniczkę. Nie pamiętam już, kiedy trafiło mi się równie beznadziejne zadanie — skonstatowała.

Karenira zmarszczyła lekko brwi.

— Nie rozumiem?

— Sądzisz, wasza godność — zapytała tamta, wzruszając ramionami — że do prywatnych apartamentów księżnej można wejść ot, tak sobie? To nie takie łatwe. Przekazałam list dla ciebie, oczywiście podpisany innym nazwiskiem, ale chyba byś się domyśliła. Po tygodniu w kancelarii księcia czekała na mnie odpowiedź... — po krótkich poszukiwaniach odnalazła pismo. — Czytaj. Nie ma cię na dworze ani w ogóle w

Grombelardzie. Wyjechałaś do Armektu. Dość zapytać pierwszego z brzegu dworaka, by usłyszeć, że to nieprawda. Wniosek? Adresatka listu nie życzy sobie żadnych kontaktów, poprosiła więc o udzielenie takiej odpowiedzi.

— Mała pieczęć — rzekła łuczniczka, unosząc zdumione spojrzenie. — Pisma o takiej treści Książę Przedstawiciel dyktuje sekretarzom. Albo nawet nie dyktuje, określa tylko ich treść. Sygnuje się je pieczęcią kancelaryjną, nie małą pieczęcią książęcą.

— Przecież wiem.

Karenira oddała dokument.

— To jest pismo Wereny. Nie miałam o niczym pojęcia. Odpowiedź napisała jej wysokość Werena.

— Rozumiesz coś z tego?

— Może więcej, niż ci się wydaje...

— Wyjaśnisz mi?

Armektanka zamyśliła się.

— Nie... Na razie nie chcę — powiedziała po długiej chwili.

Arma skinęła głową, starając się ukryć, jak dotknęła ją ta odmowa.

— Dobrze — skwitowała — w gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, jakie gierki prowadzone są teraz na dworze — pozwoliła sobie na małą złośliwość. — Dobrze, słuchaj: wiem z grubsza, co ostatnio działo się w Górach — zaczęła spacerować po izbie. — Popraw mnie, jeśli coś pomyłę. Brule-Przyjęty uroił sobie, że można wskrzesić szczątki Wstęg Aleru, rozerwanych przez Szern' podczas pradawnej wojny potęg. Chciał stopić siły Szerni z siłami Aleru, by uzyskać jakąś nową, doskonałą moc ponad światem. Nie pamiętam dokładnie, zresztą cały ten bełkot nie ma większego znaczenia. Potrzebna mu była kobieta od urodzenia napiętnowana symbolem Srebrnej Wstęgi — znacząco spojrzała na skroń rozmówcy.

— Niewiele wiesz.

— Oj, wiem. Wiem, że masz to pasemko od niedawna, a dokładnie od czasu, gdy Brule odebrał ci pamięć. Na szczęście zajął się tobą inny mędrzec Szerni, i znowu jesteś sobą. Wielu miałaś ich w życiu? — zagadnęła z głupia frant.

— Kogo?

— Mędrców Szerni. Dorlan, Brule, teraz ten... Lgną jakoś do ciebie,

nie uważasz?

— Dajże spokój — skrzywiła się Karenira. — Wciąż wielu rzeczy nie pamiętam — powiedziała, wracając do tematu.

— Ale z twoją głową już wszystko w porządku. Czeka, skończę. Jej wysokość Werena nosi swą siwiznę od zawsze, Brule porwał ją, ale zginął, nim zdążył zrealizować swe plany.

— Umarł. Brule umarł — sprostowała Armektanka. — Był stary, nikt go nie lubił, miał słabe serce i fajtną.

— Nie wiedziałam o tym — zdziwiła się Arma. — No, ale mniejsza, to chyba bez znaczenia? Dość, że jeszcze przed uprowadzeniem księżnej miał przyjemność spotkać na swojej drodze ciebie.

— Zniszczył Wodogrzmoty Medevy — poinformowała ponuro Karenira. — Największy wodospad świata jest teraz kupą gruzów. Brule próbował wskrzesić Wstęgę leżącą u źródeł Medevy.

— Ktoś ci pomagał w walce z Brulem, czy tak?

Łuczniczka pokiwała głową.

— Otóż, Armo — rzekła w zamyśleniu — właśnie na ten temat wiem niewiele. Możliwe, że mniej niż ty. Brule próbował wykorzystać Wstęgę leżącą u źródeł Medevy — powtórzyła. — Jakoś mu w tym przeszkodziłam. Nie wiem jak. Nie wiem, kto mi pomagał. Podobno uczeń Brula. Brule stracił swoją Wstęgę, ja straciłam mowę i poprzestawiały mi się klepki — zakręciła palcami przy skroniach; wyraźnie odzyskiwała zwykłą werwę — a mój sprzymierzeniec podobno został okaleczony, stracił nogi czy coś w tym rodzaju. Podobno, podobno i podobno. Troszeczkę mnie to złości, więc postanowiłam sprawdzić, co i jak.

— Przed paroma dniami — powiedziała Arma ostrożnie — dotarły do mnie plotki, że zamierzasz podziękować księciu za gościnę. Plotki — powtórzyła, widząc pytające spojrzenie tamtej. — Wciąż jeszcze umiem zbierać potrzebne informacje. Umieję też nie mówić, od kogo je mam... Posłałam Ranera na wypadek, gdyby te pogłoski okazały się prawdziwe. Czekał na ciebie i doczekał się,

— Rzeczywiście nie znalazłaś sposobu, by jakoś do mnie dotrzeć?

Arma uniosła brwi.

— Po tym, jak dostałam pismo, że nie ma cię Grombelardzie? Co niby miałam zrobić? Powiedzieć Przedstawicielowi, że to łgarstwo? A sekretne przeniknięcie do pałacu nie wchodziło w rachubę. Za mało mam

tu ludzi, a pośród nich nikogo, komu mogłabym powierzyć taką misję. Miałam iść sama? Tam wciąż siedzą ludzie, którzy mnie kiedyś znali. Postawiona przed księciem, co bym powiedziała? „Witam, wasza wysokość, przecież mnie pamiętasz. To ja parę lat temu udawałam kuzynkę jednego z twoich doradców, który dał się przekupić za okrągły tysiąc sztuk złota”...

Karenira machnęła ręką.

— Dobrze, czego chcesz ode mnie? Wciąż nie wiem, do czego ci jestem potrzebna?

Blondynka pokiwała głową, po czym rozłożyła ręce.

— Właściwie to nie wiem — wyznała. — Czekaj... To znaczy wiem, ale... Dziwne rzeczy dzieją się w Górach. I nie tylko w Górach. Nic nie słyszałaś?

— Jakieś małe wojny, tak? Porachunki różnych grup... Obiło mi się o uszy.

— Porachunki — mruknęła Arma. — Porachunki. Hel-Krehiri wyrzyna wszystkich i wszędzie. To aż dziwne, że tak głośna sprawa nie dotarła do ciebie. Ktoś bardzo się starał utrzymać cię od tego z daleka. Hel-Krehiri usiłuje zrobić to, czego nie dokonały nawet cesarskie legie podczas wojny o Grombelard. Tępi w Górach wszystko, co żyje. Puszczą z dymem wioskę za wioską. Rzuca się jak wściekła na kupieckie karawany, bez względu na to, co wiozą, przy czym więcej niszczy, niż zabiera. Zdaje się, że pragnie tylko tego, by zrujnowani kupcy przestali jej płacić haracz. W miastach coraz częściej giną ludzie, ktoś morduje ich gdzie i jak popadnie. Bez wyboru, napadani są dorośli mężczyźni, dzieci, kobiety, bogaci i biedni, uczciwi i nieuczciwi. A od trzech dni chodzą słuchy o nagrodzie za głowę Łowczyni. Jeszcze mało? No, to teraz uważaj: właśnie przepadł gdzieś w górach cały oddział cesarskich. Karna ekspedycja, prawie pięćdziesiąt głów.

— To akurat nic nadzwyczajnego.

— Czyżby? Nie zapytasz, jaki to oddział? Już ci mówię: gwardziści. A wiesz skąd? Z Rahgaru. Ależ tak, właśnie tych gwardzistów mam na myśli, nie innych.

Karenira milczała.

W Rahgarze, trzecim co do wielkości górskim mieście Grombelardu, istniał — jedyny w całym cesarstwie — oddział gwardii składający się

wyłącznie z kotów gadba. Nocni wojownicy, mający w górach własne, przydatne tylko dla nich ścieżki, byli istnym postrachem zbójeckich band. Pojawiali się jak wyczarowani z deszczu, potrafili przechytrzyć najlepszych zwiadowców, podejść najczujniejszych wartowników... Nieuchwytni, błyskawicznie działający, zarobili sobie na miano „morderców z Rahgaru”. Karenira dobrze znała koty. Kompletnie zaskoczenie i wybicie pięćdziesięciu gadba było rzeczą zwyczajnie niemożliwą.

— Odeszli? Porzucili służbę? — dziwiła się. — Niemożliwe! Przecież wiąże ich słowo.

Kocie słowo było jedną z najpewniejszych rzeczy na świecie. Koty nie umiały kłamać. Myliły się czasem, rzecz normalna i oczywista. Lecz celowe poświadczenie nieprawdy bądź też ułożenie nieprawdziwej historii zwyczajnie wykraczało poza możliwości zdrowego kociego umysłu. Właśnie zdrowego — bo kłamali koci szaleńcy... Będący przy zdrowych zmysłach kot po prostu nie umiał pojąć, na czym fenomen kłamstwa polega. Wiązała się z tym bezgraniczna kocia lojalność, lojalność przysłowiowa. Gdy zaistniały powody (czasem trudno zrozumiałe dla człowieka, to prawda), kot wymawiał posłuszeństwo lub przyjaźń tak, jak wypowiada się wojnę. Pięćdziesięciu gwardzistów gadba jednocześnie dopuszczających się zdrady bądź dezercji? To nie miało w ogóle sensu.

— Wybito ich do nogi? — poddała Arma.

— Żartujesz?

— No więc, co się z nimi stało? Możesz mi powiedzieć?

Karenira kręciła głową.

— Nie wiem, nigdy w życiu... Ale przecież to pewna wiadomość?

Arma zachnęła się. Łuczniczka uniosła rękę.

— No, już dobrze, dobrze, tylko pytam. Nic nie wiem, nic nie przychodzi mi do głowy.

— No to tak właśnie wyglądają te „porachunki” w Górach. Wiesz, co teraz robi Hel-Krehiri?

— Skąd mam wiedzieć?

— Słusznie. Nikt nie wie. Od dłuższego czasu nikt jej nie widział. Za to ciągle napływają wieści o nowych jej dokonaniach, coraz bardziej głośnych... i mających coraz mniej sensu.

— Do czego zmierzasz?

— Jest wioska, nazywa się Jar. Widywano tam kalekę, który ponoć pomagał ci w walce z Brulem.

— To prawda. Właśnie do tej wioski się wybieram.

— Znakomicie. Cudownie. Czyli, że znasz to miejsce?

— W okolicach Badoru i Grombu nie ma miejsc, których nie znam. Chodzę po tych górach od kilkunastu lat. Nie nocowałam w tej wsi, jeśli o to ci chodzi, ale wiem dokładnie, gdzie leży i jak można tam dotrzeć.

— W Jarze po raz ostatni widziano Hel-Krehiri — oznajmiła Arma. — Wygląda na to, że ta wieś jest z jakichś powodów niesłychanie ważna. Dowodem chociażby fakt, że wciąż istnieje. O ile wiem, wszystkie inne wioski w tamtej okolicy spalono. Trzy czy cztery... A tak — skinęła głową, widząc pytające spojrzenie tamtej. — Tam nie ma pasterskich wiosek. Wygląda na to, że Krehiri popaliła własne stacje.

Karenira zamyśliła się.

— Nie powiem, żebym miała wielką ochotę na spotkanie z Kagą — rzekła wreszcie. — Ale ta nagroda za moją nieszczęsną głowę... Wierzyć mi się nie chce. Krehiri to wredna dziwka — uniosła wzrok i uważnie popatrzyła na Arme — ale nasyłanie morderców? Na każdego, ale nie na mnie. Gdyby istotnie znalazła jakiś powód, by chcieć mojej śmierci, to zjawiłaby się osobiście i z największą radością przystrzeliła mnie z kuszy do ściany. Przynajmniej próbowałyby to zrobić. Coś tu cuchnie... Najlepiej pójdę i po prostu ją zapytam, o co chodzi. A czego ty ode mnie oczekujesz?

— Wyobrażałam sobie, że powiesz mi coś o tym, co dzieje się na dworze Księcia Przedstawiciela — Arma wzruszyła ramionami. — Bo przecież coś się dzieje, tak? Czy nie? Ale skoro to tajemnica... Niczego nie oczekuję. Wiadomości. Chcę wiedzieć, co dzieje się w Górach i dlaczego. Dam ci kilku ludzi do pomocy i jako gońców. Chcę wiedzieć, kto... lub co siedzi w tej wiosce i jakie ma zamiary. Myślę, że Hel-Krehiri jest tylko tarczą osłaniającą jakąś dziwną sprawę. I dopiero to naprawdę mnie niepokoi — wyznała. — Znasz Kagę. Przyznam, że nie wiem, jak można nią kierować? Glorm miał z tym poważne kłopoty, podlegała mu tylko nominalnie, a naprawdę to zawsze robiła, co tylko chciała. Nawet Rbit, którego szanowała jak nikogo innego na świecie, nie potrafił nad nią zapanować. A jednak teraz ktoś chyba zrobił z niej bezmyślne narzędzie.

Nie znam tego kogoś, ale już się go boję.

— Pójdę tam. Twoi ludzie nie będą mi potrzebni. Nigdy nie dowodziłam wojskami.

— A Raner?

Karenira przekrzywiła głowę.

— Raner? Hm... Bez obrazy, Armo, ale chyba nie. Twój brat...

— Nie jest wcale głupi, nie daj się na to nabrać. Wielu gorzko żałowało, że ulegli pozorom. Jest leniwy, myślenie nuży go i męczy, czasem trudno się z nim dogadać... Ale w sytuacji, gdy nie ma innego wyjścia, umie zrobić dobry użytek z rozumu. Jest odważny i położy głowę za ciebie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Same zalety... No dobrze.

Potrząsnęła warkoczem.

— Teraz słuchaj. Na dworze nie dzieje się nic.

— Świetnie — skwitowała Arma. — Daruj sobie, już mówiłam, że jeśli to tajemnica...

— Przestań. Słuchasz mnie? Na dworze nie dzieje się nic — powtórzyła z naciskiem. — Nic a nic.

Blondynka zmarszczyła brwi.

— Co mi chcesz powiedzieć? Co to znaczy: nic?

— Właśnie to. Powiedziałaś mi dzisiaj wiele ciekawych rzeczy. Ja... no, faktycznie, na dworze bawiłam się... i właściwie niewiele więcej. Ale jednak, chociaż starałam się, jak mogłam, by nie wiedzieć nic o niczym, coś tam jednak z zewnątrz dotarło. Wystarczająco dużo, bym zdała sobie sprawę, że Grombelard zaraz się rozsypie. A na dworze nie dzieje się nic... Pożegnałam więc ich wysokością.

Arma milczała, głęboko zamyślona.

— Prawdę mówiąc, tak to wyglądało. Nie wierzyłam. Mówisz, że cała ta burza z piorunami nie wzrusza w pałacu nikogo?

— Nikogo, nikogo... Co to, nie znasz dworu? Nie wzrusza księcia, i to w zupełności wystarczy. Jeśli jutro spadnie na góry ogień z nieba, a księżę spojrzy w okno i raczy zachichotać, to wszyscy w pałacu natychmiast położą się ze śmiechu. No jak, wasza godność? Tak czy nie?

— Ale księżę Ramez? — niedowierzała Arma. — Przecież ten człowiek to istny demon czynu, absolutny władca, jakiego Grombelard nie miał od stu lat! O co w tym wszystkim chodzi?

— Nie wiem i wątpię, by ktokolwiek wiedział. Ale jest coś... — zamyśliła się na krótką chwilę. — Ten Przyjęty, który oddał mi mowę i rozum. Po śmierci Brula, po powrocie z Czarnego Lasu, bardzo długo rozmawiali o czymś ważnym. Ramez jest świetnie obeznany z tym wszystkim, co łączy się z Szernią, to prawie jeden z Przyjętych. Studiuje kroniki, roczniki... przecież wiesz. Ponadto dostał ode mnie wszystkie księgi i zapiski Dorlana. Pamiętasz. Może być, że ta jego dziwna bierność jest wynikiem tej rozmowy z Przyjętym. Może coś odkryli... nie, nie wiem — zmitygowała się. — Przypuszczenie warte tyle, co każde inne. Nie bierz tego pod uwagę zbyt serio.

Arma skinęła głową.

— Więc dlatego uciekłaś z pałacu.

— Nie dlatego — zamilkła. — Tak, dlatego. Przede wszystkim dlatego, choć nie tylko.

— Ach, więc jednak mała tajemnica?

— Tajemnica, zaraz tajemnica! — rozzłościła się Armektanka; nieoczekiwanie poczerwieniła jej twarz, a nawet szyja. — Nie powiem ci, bo nie! Już prędzej powiedziałabym Ranerowi. A tobie nie powiem... bo się wstydę.

Blondynka otworzyła usta.

— I już — powiedziała. — Teraz sobie pójdiesz, a ja tu zostanę. I po prostu zdechnę z ciekawości.

17.

Kręty, wychłostany deszczem szlak, łączący górskie miasta, pomimo szumnej nazwy (bo mianowano go traktem), tak naprawdę był zaledwie ścieżką. Od biedy dało się przemierzyć go konno, ale podróż trwała przez to niewiele krócej, a stawała się bardziej ryzykowna. Na wertepach konie nierzadko łamały sobie nogi, ponadto wierzchowiec był łakomym kąskiem dla rabusiów. Karenira i Raner poszli pieszo. Tak czy owak, musieliby zostawić konie w Badorze.

Łowczyni przywitała się z Górami. Trudno powiedzieć, by odwzajemniły pozdrowienie. Zimy wiatr, wiejący od szczytów, bez trudu przenikał aż do skóry, za nic mając przemoczoną pelerynę i kaftan. Wróciły stare bóle w kościach. Karenira świetnie wiedziała, co to znaczy.

Za parę lat jej ręce miały wyglądać tak, jak ręce wielu innych mieszkańców Drugiej Prowincji. Przekłęta deszczowa kraina w nagrodę za wytrwałe, długie życie pod jej niebem, zsyłała niemoc na powyginane, sztywne palce, zniekształcała stawy nóg i ramion, wiatrem i wilgocią podsycała nieustanny, tępy ból wszystkich gnatów. Zaiste warto było kochać Grombelard. Już teraz zdarzały się dni, gdy napięcie cięciwy łuku przychodziło Łowczyni z dużym trudem...

Bała się starości, nie myślała o niej. A była niedaleko. Tutaj, w Ciężkich Górach, przychodziła dziesięć-piętnaście lat wcześniej niż w Dartanie albo Armekcie. Karenira żywiła nadzieję, że nim starość nadejdzie, jakiś niechybny grombelardzki kusznik zlituje się i pomoże jej rozwiązać cały problem...

Tymczasem szła do Badoru i czuła się całkiem nieźle. Niezbędne w podróży kłamoty dźwigał Raner. Przyjemnie było oglądać rozmazane w strugach deszczu góry, niosąc na grzbiecie tylko własną broń.

Na nocleg zatrzymali się tak, jak zwykli to czynić wszyscy znający grombelardzki trakt podróźni: na tyle blisko drogi, by widzieć, kto nią idzie; zarazem na tyle daleko, by samemu pozostać nie zauważonym.

Sakwy z natłuszczonej koziej skóry robione były tak, by po rozwiązaniu dwóch rzemieni dało się je rozpostrzeć na suchych pledach (suchych — bo wszystko, z czego nie kapała woda, uważane było w Grombelardzie za suche). Z kolei pod te pledy należało wpełznąć. Było kilka sposobów na rozgrzanie się przed zaśnięciem. Pierwszy i najlepszy zapewniała wódka. Drugi sposób nie zawsze był przydatny, teraz jednak mogli zeń skorzystać, albowiem nie żywili do siebie niechęci i było ich dwoje, nie zaś dwie czy dwóch. Rozgrzawszy się należycie, zasnęli blisko siebie, by nie tracić tak ciężko zdobytego ciepła.

Wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę.

Ciężkie Góry nie przypominają żadnych innych gór na świecie. Obraz postrzępionych, lśniących od śnieżnych czap szczytów ma się zupełnie nijak do mglistych, nierealnych, dziwnie nieokreślonych kształtów, które można oglądać w Grombelardzie. Miotane wiatrem, przemieszczające się szybko fale dżdżu sprawiają, że obraz nieustannie przeobraża się i zmienia; trudno nie ulec wrażeniu, iż masywy stale drgają, wędrują... O przysłowiowej górskiej przejrzystości powietrza można sobie pomarzyć. Nawet jeśli nie pada (co zdarza się czasem zimą

albo latem, ale prawie nigdy jesienią), wszędzie kłębią się chmury i mgły — przemieszane, przenikające się nawzajem, sunące ponad głową, spływające z górskich stoków, to znów skotłowane w dolinie lub płynące u stóp, wzdłuż stromej ściany przepaści... Dodatkowo przenika je deszcz. Od czasu do czasu napływa skądś silniejszy, lodowaty strumień wiatru i porywa wszystko — chmury, mgły i pajęczynę dżdżu. Wtedy widoczność poprawia się na krótko i można oglądać jakby wewnątrz olbrzymiej jaskini, długiej i szerokiej na milę albo parę mil — bo przecież tam, daleko, chmury pozostają, po staremu przewalając się wśród mgieł, ociekając deszczem.

Raner i Karenira rozmawiali niewiele. Dopiero gdy w kotlinie u swych stóp, pośród skłębionych tumanów, dojrzeliby fragmenty czarnych, pośepnych murów Badoru, zamienili kilka mało znaczących słów. Był czas na krótki postój i posiłek.

Usiedli z nogami na skraju przepaści, wzdłuż której wił się prowadzący ich trakt. Karenira zapchała usta serem. Jadła ze smakiem, nawet trochę zachłannie, popijając wodą, to znów wódką. Raner nie przejawiał większego apetytu. Powoli żuł kęs chleba.

— Taki duży mężczyzna — powiedziała — powinien dużo jeść. Co ci daje siłę?

Nie podjął żartu, nie zamierzał się przekomarzać. Zamyślony patrzył na kanciaste kształty starej twierdzy badorskiej, wbitej w centrum miasta. Potężne wieżycy brodziły w morzu mgieł.

— Nie wiem, nigdy nie jadłem zbyt wiele — rzekł krótko. — Łowczyń, co ty wiesz o Hel-Krehiri? — zapytał, zmieniając temat.

Przełknęła kolejny kawałek sera i popiła wodą.

— A co niby mam wiedzieć? — zapytała.

— Znasz ją dobrze?

— Właściwie, to nie. Poznałyśmy się bardzo dawno, ale nigdy mi się nie zwierzała. Kiedyś pomogłyśmy sobie trochę. Innym razem solidnie ją zbiłam... No, ale wcześniej wyciągnęłam z pułapki zastawionej przez kocich gwardzistów. O co ci chodzi?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. To dziwne, że tak mało wiesz o kimś, kto chce zapłacić za twoją głowę.

— Dlaczego dziwne?

— Nie wiem. Dziwne.

Teraz ona wzruszyła ramionami.

— Dobrze, dziwne. No i...?

Wzruszył ramionami. Wzruszyła ramionami. Zerknął na nią... i wzruszył ramionami. Uśmiechnęli się.

— Do wieczora będziemy w Badorze — powiedział. — To jakby jej stolica... Hel-Krehiri — wyjaśnił. — Pełno tam jej ludzi. Nie wiem, czy potrafię bronić kogoś, kto wcale nie chce być broniony.

— Nie potrzebuję... — zaczęła. Dotarło do niej, co powiedział, i urwała. — No właśnie. Nie chcę być broniona.

— To niedobrze. To źle.

— A niby dlaczego? Potrafię sama sobie radzić.

— Nie.

— Nie? — zdziwiła się. — Nie potrafię?

— Nie. Nikt nie potrafi sam sobie radzić. Nie wtedy, gdy na niego polują. Przez wiele lat broniłem kogoś, z kim naprawdę nie możesz się mierzyć, Łowczyni. Prawda? Glorm...

— Glorm udusiłby mnie jedną ręką — przyznała. — Myślę, że ciebie również. Ale...

— W moim wypadku musiałyby użyć obu rąk — rzekł bez uśmiechu Raner. — Posłuchaj Łowczyni, niewiele rzeczy umiem robić naprawdę dobrze. Ale umiem bronić moich przyjaciół. Pozwól, żebym cię bronił.

— O, więc należę do grona twych przyjaciół. Aż tak? Czy to ta miniona noc? — zakpiła.

— Nie, nie noc. Nie śmiej się ze mnie, Łowczyni — zdecydowanie nie rozumiał, czym jest żart. — Jest na świecie kilka istot, które zasługują na to, by ich bronić. Jesteś jedną z nich, wasza godność — rzadko tytułował ją w ten sposób. — Jeśli zginę w twojej obronie, cały Grombelard powie: zginął, broniąc Łowczyni. Zresztą, jeśli zginę, wszystko mi jedno, co powiedzą. Ale jeśli ty zginiesz, a ja ocaleję, wszyscy powiedzą: pozwolił, by zabito Łowczynię. Może ktoś powie: stchórzył. Nie chcę słyszeć czegoś takiego.

Zmarszczyła brwi.

— Raner, ja nie zamierzam ginać! Popatrz na mnie: jestem ładna i przyjacielska, ale tak naprawdę, to siedzi przed tobą strasznie groźna wojowniczką! Nie wiesz o tym? Mówiłam ci już, że...

— Ja też ci mówiłem, ale nie zrozumiałaś. Jest nagroda za twoją głowę. W takiej sytuacji nikt na świecie nie obroni się sam. Prawda, że nikt? Glorm to rozumiał. Miał wielu wrogów.

Sięgnął po łuk i kołczan. Podał jej.

— Umiesz strzelać z tej broni? — zapytał.

Pytanie było raczej głupie, więc nie odpowiedziała. Wziął bukłak z gorzałką i odszedł dziesięć kroków w bok.

— Trafisz mnie w głowę, Łowczyni?

— Gdybym chciała... to nawet w oko.

— A teraz? — wyciągnął przed siebie rękę, unosząc bukłak do wysokości twarzy.

— Mogę trafić bukłak — powiedziała, widząc już, do czego siłacz zmierza.

— Właśnie — rzekł, opuszczając rękę. — Możesz najwyżej przedziurawić bukłak. Ale po co? Nie zależy ci na zniszczeniu bukłaka.

— Przeszkadza mi. To wystarczający powód. Potem trafię ciebie.

— Nie zdążysz. Za zniszczenie bukłaka nie dostaniesz nagrody. A ten, kto go trzyma, może urwać ci łeb, zanim pošlesz drugą strzałę. Łowczyni, przecież ja także umiem dbać o siebie. Po co więc użyłem bukłaka? Ten bukłak — mówił, podchodząc i kucając przed nią — wcale nie jest lepszy ani silniejszy ode mnie. Ale jest mi potrzebny, a ja jestem dość mądry, by go użyć. Czasem wystarczy pokazać, że ma się jakąś osłonę, by atak w ogóle przestał się opłacać.

— A jeśli mimo to nastąpi?

— Wtedy go odeprzemy. Pozwól się bronić, Łowczyni.

Z namysłem przygryzła wargę. Po dłuższej chwili ujęła rozchylone poły kapoty Ranera, przyciągnęła go lekko i bodnęła głową w czoło.

— No dobrze — mruknęła. — Niech tak będzie... bukłaku.

*

Wszystkie grombelardzkie miasta były do siebie podobne — a najbardziej rzucającą się w oczy wspólną cechą stanowiła ich nieopisana brzydota. Czarny kamień i brunatna cegła posłużyły za budulec zarówno przy wznoszeniu baszt i murów, jak też skrytych w ich pierścieniu domów. Prawie wszystkie budowle miały wąskie, niewielkie okienka, przez które dało się wyrzucić bełt z kuszy — ale już naprawdę nic więcej. Wszystkie schody były strome; wszystkie izby — mroczne, ciasne,

zagrzybione i zimne; ulice wąskie; dachy domów czarne... Każdy, kto po raz pierwszy zawitał do Grombu, Badoru, Rahgaru albo Riksu, odnosił upiorne wrażenie, że oto zamknięto go w jakimś ponurym, ciemnym i mokrym labiryncie. Jedno-, dwu-, a czasem trzypiętrowe domy różniły się wyłącznie wysokością. Zaniedbane, pocięte odwadniającymi rowami ulice były łudząco podobne do siebie, prawie identyczne.

Jednak Raner i Karenira czuli się w mieście zupełnie swobodnie. Armektanka, za namową swego towarzysza, ukryła sajdak pod płaszczem i mocno nasunęła kaptur na czoło, by schować czarne włosy, będące w Grombelardzie rzadkością. Złościły ją podobne środki ostrożności, ale miała dość rozsądku, by wziąć dobre rady pod uwagę.

Prowadził Raner. Przy jednej z większych ulic mieszkał znajomy kupiec. Jak na rozbójnika, miał Raner dość szczególnych przyjaciół — ale prawda, że oba zawody nie różniły się od siebie aż tak bardzo...

Dom, mieszczący duży skład kupiecki, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Kiedyś opatrzono go specjalnym szyldem. W Grombelardzie, inaczej niż w Armekcie, sztukę składania liter znało bardzo niewielu — zapewne więc na szyldzie wymalowano odpowiednie obrazki. Zapewne — bo trudno powiedzieć, co właściwie tam było. Szyld najwyraźniej stanowił i pierwsze, i ostatnie zarazem dzieło nieznanego artysty; człowiek ów, wykonawszy swą pracę, niechybnie zmarł zaraz potem albo wywędrował daleko — albowiem nigdy już dzieła nie poprawił. Nie uczynił tego także nikt inny. Szkoda. Wszystko zmył deszcz. Różnobarwne, blade plamy naprawdę niewiele mówiły.

Jednak Raner w jakiś sposób rozpoznał dom i szyld; rzecz niezwykła o tyle, że podobnych domów i szyldów było w Badorze ze sto.

— Nabędziemy tu wszystko, co potrzebne — powiedział z zadowoleniem. — Dostaniemy też nocleg. Darmo, ciepło, bezpiecznie.

Armektanka skinęła głową.

Wielka izba na parterze wypełniona była wszelkim dobrem. Wzdłuż ścian leżały kulbaki; czwartą część pomieszczenia zajmowały worki i skrzynie z żywnością, widać było kaszę i fasolę, a dalej nieprzebrane zapasy suchych kiełbas. Na rozmaity oręż przeznaczono specjalne kozły i stojaki. Dalej znajdowały się derki, pledy, torby i sakwy; jeszcze dalej wszelkie ubiory. Ponadto, na licznych półkach i półeczkach, można było znaleźć najprzeróżniejsze drobiazgi, sprzęty domowe, naczynia, ech!

nawet przybory do pisania (ale nic do malowania szyldów) — słowem wszystko, co mogło się przydać... a nawet to, co przydać się nie mogło absolutnie nigdy, nigdzie i nikomu. Zresztą to właśnie było najdroższe.

Dostatnio ubrany, wykształcony i obyty służący szybko poznał po akcencie, że klientka jest Armektanką. Niezwłocznie pochwalił uroki jej kraju, w którym, jak powiadał, często bywał. Zaskarbił sobie kilka przychylnych spojrzeń. Karenira, wiedząc doskonale, że kupiecką rzeczą jest pochwalić nawet gnojówkę, jeśli klient do gnojówek ma słabość, przecież nie umiała oprzeć się człowiekowi, który w mokrej norze badorskiej z zapałem chwalił Równiny. Okazało się jednak, że czynił tak raczej z nawyku, niż licząc na grubszy interes — oceniwszy stroje uznał pono, iż przybyli nie należą do bogaczy, bo nie pobiegł po pryncypała. Dopiero trzos wydobyty przez kobietę uświadomił mu, jak poważna jest sprawa. Ogarnąwszy wzrokiem wór, którego zawartość wystarczyłaby pewnie na zakup wszystkiego, co znajdowało się w izbie, wycofał się pospiesznie i pobiegł szukać swego pana.

Nieskory do uniesień Raner zapałał szczerym gniewem.

— Na Szerń, pani! — cisnął — Nim noc mnie, całe miasto będzie wiedziało o tym złocie! Co chcesz udowodnić i komu? Kupieckiemu pachołkowi?

— Co takiego zrobiłam? — zapytała zdumiona. — Raner, czy nie pozwalasz sobie na zbyt wiele?

Mężczyzna rozłożył ręce.

— Polują na ciebie. Wszyscy! Właśnie wykrzyczałaś: „tutaj jestem!”. Mogłaś robić tak kiedyś, ale dziś? Dziś polują na ciebie, rozumiesz?

— Raner, mam tego dosyć! — rzuciła ostrzegawczo. — Zdawało mi się, że znasz tego kupca?

— Kupca tak, ale nie pachołka... Cicho! — syknął, bo służący właśnie wrócił, puszczając przodem pryncypała.

Ujrzawszy klientów, kupiec natychmiast odprawił pomocnika, po czym zbliżył się do Ranera i zamienił z nim kilka cichych słów. Obrażona Karenira odeszła na bok i zaczęła grzebać w stercie jakichś gratów.

— Przenocujemy tutaj, pani — powiedział Raner podchodząc. — Czy trzeba kupić coś specjalnie dla ciebie?

— Purpurową suknię — odparła. — No i to — pokazała skrzynię z kiełbasami.

Raner wyciągnął skądś trochę srebra i dał kupcowi.

— Dwa porządne płaszcze, trzydzieści łokci liny, żywność na tydzień dla dwóch osób — powiedział. — Aha, jeszcze dobre krzesiwo. Wystarczy?

— Aż nadto — padła odpowiedź. — Przygotuję wszystko na rano. Czy tak, wasza godność?

— Tak.

Wkrótce znaleźli się w dużej izbie, dość skromnie urządzonej, bo prócz stołu, ławy i trzech łóżek nie było w niej nic więcej. Gospodarz przyniósł świecę i odpalił od niej kilka innych, znajdujących się w pomieszczeniu. Potem zostali sami.

— Kiedyś — rzekł chełpliwie Raner, bezceremonialnie kładąc się na jednym z łóżek — oddałem temu człowiekowi niemałą przysługę. Ocaliłem mu życie, no, a w każdym razie majątek, co dla kupca znaczy to samo. Hel-Krehiri nie wie, że mam prywatną kwaterę w Badorze. Zresztą poza Armą nikt o tym nie wie. Myślę, że jesteśmy tu bezpieczni.

— Posłuchaj, Raner — powiedziała po chwili milczenia. — Nie podoba mi się to wszystko. Przyznaję, nie przywykłam do towarzystwa. Czyjegokolwiek. Nie chcę być niesprawiedliwa, ale mam wrażenie, że stale próbujesz mi narzucać swoją wolę. Mam dość słuchania, jak to wszyscy na mnie polują, co mi grozi, gdzie jestem bezpieczna, a gdzie nie. Odtąd, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, a tym bardziej wprowadzisz ją w czyn, rozmów się najpierw ze mną. Być może potrzebuję ochrony. I, być może, naprawdę ty ochronisz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Ale na tym koniec. Myśleć za oboje będę ja. Wychodziłam już cało za tarapatów, o jakich ci się nie śniło.

Mężczyzna przyjął reprimendę. Po pewnym czasie wstał z łóżka i zaczął przechadzać się po izbie.

— Czy byłaś kiedyś w sytuacji takiej jak ta? Czy wiesz, jak się zachować? — zapytał wreszcie.

Usiadła na brzegu stołu.

— Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz — skonstatowała. — Raner, gdyby przerastała mnie każda nowa sytuacja, w jakiej się znalazłam... Tyś po prostu zapomniał, kim ja jestem.

Popatrzył pod nogi.

— Może — zgodził się nieoczekiwanie. — Ale jakiś czas temu —

podjął po krótkiej pauzie — Hel-Krehiri zleciła mi śledzenie pewnej obłąkanej kobiety w łachmanach. Prawda? Chodziłem za tobą po Grombie i napatrzyłem się dosyć, by bajka o niezwyciężonej Łowczyni wyleciała mi z głowy raz na zawsze. Nie dziwisz się temu, prawda? Powiedz.

Teraz ona odwróciła spojrzenie.

— Jednak jakoś poradziłam sobie. Zdaje się, że już nie noszę łachmanów, a nawet umiem mówić, nie zauważyłeś?

— Zauważyłem. Poradziłaś sobie, ale wcale nie sama. Nie zwracaj mi głowy, Łowczyni.

— Raner — rzekła spokojnie, ale spod tego spokoju przebijała złość — ja naprawdę mam tego dosyć. Miałabym ochotę cię uderzyć. Ale wpadłam na lepszy pomysł, otóż jutro wrócisz do Grombu. Znudził mnie widok twojej gęby, tym bardziej że rzadko ma mądry wyraz. Pójdę do Jaru sama.

— Posłuchaj, Łow...

— S a m a, albo wcale. Zamknij się.

Podniosła palec.

— No, to teraz zostawiam cię w tej norze.

— Dokąd idziesz? — zapytał gniewnie.

— Ależ Raner. Gdzie mi się spodoba.

To powiedziawszy wzięła swoje rzeczy, zarzuciła płaszcz na plecy i wyszła.

*

Powiedziała Ranerowi szczerą prawdę — rzeczywiście, czyjekolwiek towarzystwo prędzej albo później zaczynało jej ciążyć. Lubiła i chciała być zdana tylko na siebie. W tym, co mówił Raner, kryło się wiele racji. Ale nie umiała, tak z dnia na dzień, odrzucić starych przyzwyczajzeń. Ponadto miała wrażenie, że ona i Raner po prostu do siebie nie pasują. Wyraźnie widziała, że ten człowiek pomyśli o ucieczce zawsze wtedy, gdy ona uzna, że warto się schować; schowa się, gdy ona stanie do walki; będzie walczył, gdy ona wybierze ucieczkę... Różnili się. Mieli inne charaktery, nawyki. Basergor-Kragdob urobił gwardzistę na swoją modłę. Nie wątpiła, że Raner był dlań znakomitym towarzyszem i świetnym pomocnikiem. Ale to, co było dobre dla Glorma, nie chciało pasować do niej.

Ochłonawszy trochę, miała ochotę wrócić i wyjaśnić wszystko. Wiedziała już, że niepotrzebnie się uniosła. Nie wróciła jednak.

— Głupstwo — rzekła sama do siebie, jak to często miała we zwyczaju. — Oczywiście, że nie wrócisz. Przecież wstyd.

Było już całkiem ciemno. Rozejrzała się dokoła, ale wątle światło padające z okien domów raczej mamiło oczy, niżli dozwalało faktycznie coś dojrzeć. Po zmroku mało kto miał ochotę na spacer po ulicach miasta. Jednak odniosła wrażenie, że ktoś podąża jej śladem. Pewno Raner. Prawdę mówiąc, spodziewała się tego.

Sporo czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz bawiła w Badorze. Z niejakim trudem odnalazła w ciemnościach ulicę wiodącą do rynku. Zwykle zatrzymywała się w gospodzie leżącej tuż przy bramie miejskiej, teraz jednak do rynku miała bliżej. Tam też był zajazd. Nawet dwa.

Przystanęła pod ścianą domu. Łubie z łukiem i kołczan ze strzałami zwracały uwagę — akurat w tym wypadku jej „opiekun” miał słusność. W Grombelardzie mało kto paradował z tą bronią; wyżej ceniono kuszę. Skrzywiła się, bo padało dość solidnie, ale rada-nierada zdjęła pelerynę i owinęła nią obie części sajdarka.

Sytuacja ściganej zwierzyny faktycznie była dla niej czymś nowym. Przywykła do niebezpieczeństw innego rodzaju. W górach każdy mógł okazać się wrogiem, tam jednak potrafiła dbać o siebie. Lecz w miastach? Pewnie, czasem ktoś szukał zaczepki. Ale nigdy nie było tak, by każdy napotkany człowiek mógł mieć powód do rzucenia się na nią.

Zamyślona oparła plecy o mokrą, zimną ścianę. Po jakimś czasie raz jeszcze rozejrzała się dokoła, odpięła pas z mieczem i także zawinęła w pelerynę. Wydobyła z sakwy mocny nóż myśliwski, wetknęła go za cholewę buta, po czym przystąpiła do rozplatania warkoczy. Łuk... miecz... warkocze... Z czym jeszcze kojarzono łowczynię? Zresztą nic więcej zrobić nie mogła. Samotnie podróżująca kobieta tak czy owak zwracała w Grombelardzie uwagę. Po ulicach mogła chodzić w płaszczu i chować twarz pod kapturem. Siedząc tak w gospodzie, dopiero by wzbudziła ciekawość...

Opasała czoło rzemykiem, by choć trochę poskromić rozpuszczone, ciężkie od deszczu włosy. Obrzydliwie oblepiły kark i szyję. Warkocze były jednak wygodniejsze.

— No już dobrze, jesteś bardzo nieszczęśliwa — mruknęła. —

Zasłużyłaś na grzane piwo. Z korzeniami, mm...

Rozejrzała się znowu, pomachała do cienia, który prawie na pewno był Ranerem i ruszyła w stronę rynku.

Nie było jeszcze zbyt późno. Wieczorami w miejskich gospodach zbierało się dość liczne towarzystwo. Nie zdziwiła się, gdy z otwartych drzwi buchnął ku niej gwar rozmów i wykrzywiający twarz kłęb rozmaitych woni; niemniej, trochę już zdążyła zapomnieć, jak pachną podrzędne gospody, gdzie siedzieli prawie sami mężczyźni.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Goście hałasowali przy stołach; na największym, zajmującym cały środek izby, tańczyła dziewczyna. Garbaty starzec, zachęcany okrzykami, coraz głośniej przygrywał do rytmu. Karenira zmarszczyła lekko brwi, patrząc na dziwny instrument, trzymany przez grajka. Widziała już gdzieś tego człowieka, czy też raczej — widziała ten instrument, bo twarz starca nic jej nie mówiła. Chociaż... Ale nie. Na moment jej oczy zetknęły się z oczami garbusa; puste, obojętne spojrzenie tego człowieka zdawało się mówić, że jest mu wszystko jedno jakie wygrywa melodie i czemu to granie ma służyć.

Zwróciwszy się w inną stronę, Karenira ujrzała, że dartańska moda dotarła do Badoru: oberżysta krzątał się za czymś, co wyraźnie miało być szynkwasem aczkolwiek stanowiło zaledwie parszywą szynkwasu parodię. Szorstka, byle jak przycięta (może urąbana?) decha, wsparta na grubych belkach, niewiele miała wspólnego z tym, co widywało się w Złotej Prowincji. No, ale tak czy owak, Grombelard stanowczo zaczynał doganiać Dartan. Do nadrobienia pozostało już nie więcej jak dwieście, najwyżej trzysta lat.

Trzymając swój długi i niezgrabny pakunek wzdłuż nogi, by nie zwrócił niczyjej uwagi, przepchnęła się do szynkwasu. Znalazłszy trochę miejsca, oparła ręce na desce.

— Izbę — zażądała, gdy oberżysta znalazł się w zasięgu jej głosu.

— Pierwsza wolna jak zwykle, pospiesz się — rzucił; zaraz jednak spojrzał uważniej. Zauważył pomyłkę. — A nie, nie mam. Może być miejsce we wspólnej, na słomie.

— Pierwsza wolna, tak?

— Ale nie dla ciebie, pani — teraz już ją zatytułował; miała nie zwracać uwagi, dobre sobie. — Tam jest tylko wyro. Dla nich — wskazał za jej plecy.

Obejrzała się i z namysłem popatrzyła na solidnie wymięte kurwiska.

Oberżysta obsłużył pijaka: najpierw dał garniec piwa, a natychmiast potem — bardzo szybko i czujnie — miskę do rzygania. Pijak wypił piwo i wyrzygał się — niestety, nie do miski, choć trzymał ją z całej siły.

— Wezmę — powiedziała. — Chcę tę izbę.

— Twoja sprawa, pani! — rzekł oberżysta przez ramię, starając się przekrzywić huczną piosenkę biesiadną. Dał w mordę pijakowi i odebrał mu miskę. — Twoja sprawa, pani — powtórzył, ukazując jej, nie wiedzieć czemu, puste dno odzyskanego naczynia. — Jak mi się opłaci, to dlaczego nie? Ale sporo zarabiam na tej izbie.

— Wierzę.

Nieznacznym ruchem podała mu potrójną sztukę złota.

— Tyle?

— No proszę — powiedział. — Tyle nie. Izba jest twoja, pani. Coś jeszcze?

— Przyślij mi grzane piwo, jak najwięcej. I najlepsze, co masz do jedzenia.

Trafiwszy do izby, stwierdziła z wielkim żalem, że gospodarz był człowiekiem prawdomównym — oprócz wyra nie znalazła tam nic. Z siennika ktoś ukradł siano, a z podłogi deskę. Ze świecy złośliwie usunięto knot. Ponieważ bez knota i tak nie miała sensu, przylepiono ją do sufitu. Obok wisały odchody.

— No dobrze — mruknęła.

Schowała broń pod łóżkiem i czekała, siedząc w smudze szarego światła, wpadającego przez otwarte drzwi. Po niedługim czasie pacholek przyniósł świecę, wyszedł i zaraz powrócił, dźwigając półmisek oraz dwa duże dzbany. Postawił wszystko na podłodze, zabrał odchody z sufitu i wybiegł. Zamknęła za nim drzwi. Skobel wyglądał porządnie.

Piwo było ciepłe i bardzo, bardzo mocne. Zaprawiono je gorzałką, dodając dla niepoznaki więcej miodu i korzeni niż trzeba.

— Raner — powiedziała markotnie — ja już tęsknię za tobą. Obiecuj, że dasz mi zwykłego, grzanego piwa, a wrócę i do rana będę nago tańczyła dla ciebie.

To nie pierwszy raz próbowano ją upić, żeby potem okraść, gdy zaśnie. Zwykle w takich przypadkach szła do oberżysty, oblewała go

paskudztwem, które przysłał, i po prostu mówiła, kim jest. Jej grombelardzki przydomek z reguły załatwiał sprawę.

— Ja wiem — rzekła jeszcze, skubiąc niezłą pieczeń — że złota pokazywać nie wolno. Ale co mam robić? Zawsze płacę złotem, bo nie noszę przy sobie miedziaków.

Zjadła.

— I co teraz? A piwo? Och, mam tego dosyć — stwierdziła z nagłą goryczą. — Nie wytrzymam, nie umiem. Przecież to strasznie głupie udawać, że się nie jest Łowczynią. Nikt tego nie wytrzyma. No tak?

Podeszła do okna i pchnęła okiennice. Rozwarły się, wpuszczając wiatr i deszcz.

— Raner! — zawołała niegłośnie. — Czaisz się tu, powiedz?

Nie. Nie czaił się.

Załomotano do drzwi.

— Czego?! — wrzasnęła.

— Ścinaj, no! — zażądano w odpowiedzi.

Otworzyła drzwi. Wielka, niezbyt brudna, nawet całkiem niewstrętna dziewczyna trzymała pod pachą zupełnie pijanego konusa.

— Co jest, no! Sama robisz? — zagadnęło dziewczę, pakując się do izby.

Karenira nie ustąpiła.

— Daję nocałkę — powiedziała blokując drogę. — Wypadaj na ściachę, mało kapie. Weźmiesz ciało na mowę, co ma ci wyro?

— Kwas ci puścił robić nocałkę? — zdziwiła się wysoka. Przyjrzała się Karenirze. — Coś ty, nowa?

— Nowa, poginaj.

— Co poginaj? — rozsierdziła się kurwa. — Ty mi? Mi poginaj?!

Upuściła konusa na podłogę, zaciskając pięści. Karenira z westchnieniem trzasnęła ją kolanem w warsztat pracy i z rozmachem zamknęła drzwi, waląc nimi w wykrzywioną twarz „koleżanki”. Łomot i skowyt rozbrzmiały jednocześnie.

Karenira zasunęła skobel i cofnęła się na środek izby.

— Nie — powiedziała — to już wszystko, prawda? Tyle, ile mogłaś wytrzymać, w sam raz tyle, wasza godność. Teraz, jeśli zdarzy się jeszcze c o k o l w i e k, pójdziesz napić się piwa. Po prostu.

Usiadła na łóżku i — na wszelki wypadek — splotła włosy w

warkocz. Zaledwie skończyła, ktoś zaczął wywazyć drzwi.

— Gospodarzu — mruknęła — jak mam zasnąć po tym piwie z gorzałą, kiedy tu taki ruch? Bardzo źle pilnujesz interesu.

Zapięła na biodrach pas z mieczem. Zbliżyła się do drzwi, wybrała odpowiedni moment i otwarała je. Wysoką dziwkę wyrzuciła przez okno, rudą wykopała za drzwi, a starą pobiła do nieprzytomności. Wzięła dzban (bo jeden ocalał) i poszła do wielkiej izby, mijając po drodze osłupiałego pachółka, którego posłano widocznie, by zbadał źródło hałasu.

— Gospodarzu. Piwa.

Wielki dzban z hukiem roztrzaskał się nad głową oberżysty, sypiąc skorupami. Kaskada złotej cieczy chlusnęła na podłogę, pieniąc się spłynęła po ścianie.

W izbie zaległa cisza. Wszystkie spojrzenia pobiegły w stronę szynkwasu. Mokry oberżysta prostował się powoli. Na ramieniu miał dużą skorupę.

— Zapłaciłam za piwo. Przyślij mi dwa następne dzbany i tym razem nie dolewaj gorzałki — powiedziała dobitnie. — Słyszysz, śmieciu? A, i trzymaj dziwki z daleka ode mnie. Nie korzystam.

Ktoś zaśmiał się, zawtórowali mu inni. Gospodarz doszedł do siebie.

— Hola, hola! — zawołał, zdjęty gniewem.

— Gospodarzu! — ostrzegła.

— Ta kobieta za wiele wypila! — krzyknął oberżysta, zwracając się do swych gości.

— Kiedy właśnie za mało — odparła ku powszechnej uciezce. Czuła się znakomicie. Bycie sobą sprawiało istną rozkosz. Wyjęła miecz i podała stojącemu obok mężczyźnie, po czym zwróciła się do jego towarzysza, wysokiego i muskularnego:

— Silny jesteś? To mnie przełoż na drugą stronę, a zobaczysz coś ciekawego — wskazała miejsce za szynkwasem, obok oberżysty.

Mężczyzna radośnie zatarł ręce, uniósł ją bez wysiłku i pomógł przeleźć przez szynkwaz, pomimo protestów oberżysty. Zgromadzeni w gospodzie goście poczęli wstawać i hurmem cisnąć się ku miejscu, gdzie wypadki nabierały tempa.

— Ta kobieta... — oberżysta zachłysnął się gniewem. Zaczął wołać pachółków.

— Ta kobieta — powiedziała, wyciągając rękę po swój miecz — jest Armektanką Czystej Krwi i trzeba tytułować ją godnością.

Po czym zaczęła demolować oberżę. Porąbała mieczem wielką beczkę piwa i potłukła całe mnóstwo dzbanów. Rozbiła kilka gąsiorów, zmasakrowała wiszącą na kołku kielbasę. Widzowie wyli ze szczęścia. Kwas próbował ratować swe mienie, rycząc rzucił się na zbrojnego demona z warkoczem, ale dostał w gębę głowicą rękojeści. Potem zaczęła walić płazem. Nieszczęśnik upadł. Stratowała leżącego i zerwawszy postrzępioną matę ze słomy, wpadła do izby na zapleczu. Dobiegł stamtąd jej radosny okrzyk, a zaraz potem, pośród gromkich wiwatów, trzasnęła o szynkwas wielki kosz z jajami.

— Po patrol pobiegli, po patrol! — krzyknął ktoś od strony drzwi. — Zaraz przyjdzie patrol!

Rzeczywiście, jakiś mały wyrostek, może syn oberżysty, wypadł na zewnątrz i pognał ulicą, wzywając żołnierzy z patrolu. Kwas pozbiierał się jakoś, wysmarkując krew z nosa, a dojrzawszy pachółka przeciskającego się przez cizbę, ryknął nań i przypuścił szturm do drzwi własnej spiżarki. Wewnątrz wciąż srożyły się niszczycielskie moce.

Pachoł dotarł do pryncypała nadspodziewanie szybko: wiosłując ramionami, szparko mknął przez powietrze. Zakreślił płaski łuk i wyrznął w ścianę, po czym osunął się do nóg chlebobdawcy.

Barczysty, masywny mężczyzna torował sobie drogę do szynkwasu. Włókł za kołnierz drugiego służącego. Uniósł go do góry jak szczura i położył na dartańskiej nowince.

— Raner, no nareszcie — powiedziała Armektanka, pojawiając się z wielką szynką w dłoni. — Pokłóciłam się z gospodarzem.

Oberżysta zmierzył wzrokiem postać przybyłego, a następnie popatrzył na trzymaną w dłoni deszczułkę, którą pragnął podnieść do godności broni. Zwątpiwszy w swą szczęśliwą gwiazdę, upuścił drewno na podłogę.

Z wielkiej beczki wyciekało piwo. Kobieta schowała miecz, wzięła szynkę pod pachę i podetknęła pod spienioną strugę jeden z ocalałych dzbanów.

— Też chcesz?

Raner pomógł jej wyjść z za szynkwasu.

— Zaraz będzie tu patrol — powiedział.

Obecni w milczeniu śledzili przebieg ciekawej rozmowy.

— To dobrze — odparła. — Chodź, wynajęłam tu izbę... Aha, zapłać za szynkę.

Raner wysupłał trzy miedziaki. Oberżysta zapłakał jak bóbr.

Klepano ich po plecach i ramionach, gdy przeciskali się przez ciżbę. Pośród wesołego gwaru ten i ów częstował piwem, inny wołał, by siedli do stołu. Odmawiali.

Usunąwszy z pokoju półprzytomną dziwkę, Raner zasunął skobel.

— No i jak? — zapytała.

Wzruszył ramionami i usiadł na pryczy, z nogami w kałuży rozlanego piwa.

— Nie wrócę do Grombu — rzekł, jakby właśnie o tym mówili.

— Jasne, że nie — skwitowała.

Zjedli szynkę i wypili piwo.

Żołnierze pojawili się niedługo potem. Wyciągnęła z torby malutki zwitek pergaminu i rzuciła dziesiątnikowi. Żołnierz ujrzał pieczęć Przedstawiciela, podpis księżnej Wereny, jeśli nawet umiał czytać — to nie czytał... Może dojrzał dwa lub trzy słowa. Powiedział „wasza godność” i zniknął.

— Co to jest? — zapytał Raner.

— Nic. Naprawdę nic — mruknęła, wzruszając ramionami. — Temu tutaj wystarczyła sama pieczęć.

Położyła się, podkładając ręce pod głowę.

— Werena wepchnęła mi to na siłę. Nazywa mnie tam swoją przyjaciółką i prosi, bym nie miała utrudnień w podróży.

— Jej wysokość... — zaczął Raner.

— Jej wysokość — przerwała — czuła do mnie zbyt wiele.

Raner nie pojął. Rozzłoszczona niepotrzebnym rumieńcem, wyjaśniła:

— Jej wysokość widziała we mnie to, co powinni widzieć tylko mężczyźni, chociaż sama jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy... Rozumiesz? Uciekłam, Raner, bo najdalej za tydzień musiałabym wprost jej powiedzieć, że nie chcę mieć kochanki, choćby nawet była córką cesarza. No. Zatrzymaj to tylko dla siebie. Nawet Armie... tak? Chciałam to komuś powiedzieć. Jakoś, wiesz...

Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka mężczyzny.

— Przepraszam za dzisiejsze. I ostrzegam: nie rządź mną więcej, bo naprawdę nie wiem, co ci zrobię.

Zdjęła kaftan.

— Chcesz?

Chciał.

Dała.

18.

Ciasny i kręty wąwóz wyglądał tak, jakby powstał na skutek pomyłki — wysokie ściany skalne wyraźnie miały się zewrzeć, ale coś je powstrzymało. Wisiały teraz nachylone ku sobie i doprawdy trudno było oprzeć się wrażeniu, iż przepaść między nimi zniknie lada moment. Dość, by skały podjęły na swój, zahamowany z niewiadomych przyczyn, ruch...

A jednak żyli ludzie, którym to przedziwne miejsce musiało wydać się wcale bezpieczne. Wejścia do wąwozu strzegła mocna, chociaż niezbyt urodziwa palisada; wyzierały spoza niej dachy kilku zaniedbanych domów. Dołem płynął strumień, podczas większych deszczów niewątpliwie zmieniający się w rzekę. Mieszkańcy zrobili co w ich mocy, by ustrzec chałupy przed zalaniem — wykopali (czy też raczej — wykuli) w skalistym podłożu głęboki rów, biegnący środkiem wsi. Należało jednak powątpiewać, czy ów środek zaradczy zawsze okazywał się wystarczający.

Wieś nazywano Bezpowrotem lub Jarem.

Człowiek nie znający Gór Ciężkich mógłby zadać sobie pytanie, z czego żyli mieszkańcy Bezpowrotu. Nie trudnili się pasterstwem, bo ich owce musiałyby jeść skały. Co więc było źródłem utrzymania tych ludzi? Czy rzemiosło?

Odpowiedź nasuwała się sama — oto przed bramą w palisadzie stał wartownik, a gdyby nawet jego wygląd i oręż nie powiedziały wszystkiego, uczyniłaby to nieprawdopodobnie zwierzęca, czysto zbójcka gęba odzianego w skóry bydlaka, który właśnie wychynął z domu na samym końcu wsi. Człowiek ten (że człowiek, znać było po dwunożnej postawie) wyryczał coś absolutnie niezrozumiałego, podrapał kudły na gębie, przeciągnął się i wydał szereg gromkich odgłosów — bodaj bardziej ludzkich niż cokolwiek innego w tej postaci...

Potem, stawiając stopy do środka, ale tak że prawie zawadzały o siebie, powlókł się ku jednej z czarnych dziur, ziejących w ścianie skalnej. Przystanął. Zawrócił. Wszedł do chaty i wynurzył się znowu, niosąc wypełnioną czymś miskę. Po kilku krokach zatrzymał się, zamyślił (zmarszczył bowiem czoło) i wrócił jeszcze raz. Okazało się, że prócz miski potrzebna będzie dzida. Mając jedno i drugie, rozbójnik bez dalszych przeszkód dotarł do jaskini i zniknął w jej czeluści.

Jaskinia nie była duża. Dwa kroki od wejścia, dobrze skryty przed wiatrem i deszczem, drzemał uzbrojony w kuszę wartownik, kubek w kubek podobny do kamrata niosącego żarcie. Bo żarciem było w istocie, nie jedzeniem, to, co wypełniało miskę. Migotliwe światło łuczywa bezlitośnie pokazało obgryzione kości, pływające w jakiejś wstrętnej brei. Przybyły minął wartownika i stanął przed solidną kratą, przedzielającą jaskinię na dwie części. Postawił miskę na ziemi i za pomocą dzidy wepchnął ją do zagrody.

— Żryj.

Jakaś obdarta postać wynurzyła się z ciemnego zakamarka. Kopcące łuczywo miało dosyć siły, by ukazać twarz młodej, wynędzniałej i brudnej, ale niewątpliwie bardzo ładnej — kiedyś — kobiety. Sięgnąwszy po miskę, uwieczona cofnęła się trochę, po czym siadła na ziemi i zaczęła siorbać przyniesione pomyje. Potem obgryzła resztki mięsa, połamała gnaty zębami i wyssała szpik.

Zbój przyglądał się, wsparty na orężu.

Kobieta zjadła wszystko, postawiła miskę blisko kraty i cofnęła się. Drab ani myślał sięgnąć po naczynie ręką, wyraźnie było widać, iż wewnątrz zagrody jawi mu się niczym legowisko groźnego, dzikiego zwierzęcia. Wsunąwszy między pręty drzewce dzidy, przyciągnął naczynie do siebie, po czym wziął je i odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Spoza kraty śledziły go dwie błyszczące źrenice.

Uwieczona kobieta miała na imię Kaga — ale bardziej znany był wojenny jej przydomek: Hel-Krehiri, czyli Pani Łez. Przewano ja tak, bo była ponoć najbardziej okrutną i bezwzględną istotą, jaką znała historia Ciężkich Gór... Kiedyś. Jeszcze niedawno.

Wartownik wciąż drzemał przy wejściu. Po jakimś czasie zmienił go inny. Najpierw majstrował coś przy kuszy, potem kręcił się trochę tu i

tam, wziął łuczywo i próbował dojrzeć skuloną w kącie sylwetkę uwięzionej. Następnie, używając bełtu, rysował na ścianie jaskini różne znaki. Raczej nie było to pismo. Gdy kiepski grot odpadł od drzewca, zniechęcony artysta usiadł na miejscu swego poprzednika. Przed jaskinią nic się nie działo, a jeśli nawet — to nie było widać. Ciemna noc grombelardzka dawno już zagościła w wąwozie. Po jakimś czasie strażnik skłonił się do snu.

W jaskini panowała cisza, podkreślana delikatnym, dobiegającym z zewnątrz, szmerem dżdżu.

Kobieta podniosła się z miejsca, oddała mocz w kącie jaskini i wróciwszy do swego legowiska znów zastygła w bezruchu. Czerwone światło pochodni pochwyliło jej czujne spojrzenie. Obserwowała wartownika. Nic jednak nie wskazywało na to, by poruszenie w zagrodzie zostało przezeń zauważone... Spał. Doszedłszy do takiego wniosku, kobieta prawie bezgłośnie tchnęła ku wyjściu:

— Wemir!

Przez chwilę nic się nie działo. Potem wzdłuż nierównej ściany przemknął jakiś cień. I dalej nic... może tylko ciemność przy głowie leżącej nieznacznie zgęstniała, zbiła się w twardszy kłęb. Przez króciutką chwilę migotały w tej ciemności dwie tarcze żółtych ślepiów. Zaraz zgasły. Czarny kocur gadba dotknął nosem policzka uwięzionej.

— Sprowadziłem ich.

— Werk, dobrze. Nareszcie. Ja już tu nie mogę.

Rozmawiali na granicy słyszalności, lecz pomimo to w głosie kobiety wyraźnie znać było ulgę, wielką ulgę.

— Kiedy? — zapytała.

— Dzisiaj, już. Czeka ją na sygnał.

Zamknęła oczy i wepchnęła w usta kostki palców. Zacisnęła zęby, jakby bojąc się, że dzika radość wyrwie jej z piersi niepotrzebny okrzyk.

— Ale najpierw muszę stąd wyjść — szepnęła po długiej chwili. — Ten tutaj strzeli do mnie, jak tylko zaczniesz się coś dziać.

— Przyniosłem nóż.

Wyciągnęła rękę. Kocur opasany był mocnym rzemieniem. Na piersi, między łapami, namacała skórzaną pochwę kryjącą nieduże, ale silne ostrze.

— Schowaj się. I spróbuj mi pomóc.

— Werk, Kaga.

Skłębiona przy kobiecie plama czerni zniknęła, bezgłośnie rozpuszczając się w mroku.

Hel-Krehiri podpełzła do kraty, położyła nóż przy jednym z prętów, po czym cicho jęknęła.

Wartownik nie zareagował.

Kobieta jęknęła raz jeszcze. Tym razem rozbójnik uniósł głowę, powstał i wziął łuczywo. Dogasało, dając więcej dymu niż światła. Odpalił odeń nowe, po czym uniósł je i trzymając się w bezpieczniej odległości od kraty — próbował dojrzeć, co się dzieje po drugiej stronie.

— Daj mi jeść — powiedziała ochryple. — Już nie mogę... To, co mi dajecie, to rzygi. Daj mi cokolwiek, słyszysz?

Wartownik przestąpił z nogi na nogę, obejrzał się, wziął pałkę opartą o ścianę, po czym przełożył ją z lewej ręki do prawej, pochodnię zaś z prawej do lewej.

— Daj mi jeść! — stęknęła. — Zabiję cię, jeśli nie dasz mi jedzenia! Słyszysz? Przynieś mi cokolwiek. Co chcesz w zamian? — zerwała się i uczepiła kraty. — Ja nic nie mam! Nic...

Trzymające pochodnię zwierzę znowu przestąpiło z nogi na nogę.

— Nie wolno — powiedziało. — No, bo jużes żarła.

Puściła kratę i usiadła na ziemi. Powoli zaczęła zwlekać z siebie resztki gałganów.

— Zobacz... — rzekła przytłumionym głosem. — Chcesz? Ja... wszystko ci pokażę, wszystko, co mam. Widziałeś kiedyś taką? Zobacz, no śmiało. Tylko daj mi jeść. Słyszysz? Daj mi jeść...

Osunęła się na plecy, rozkładając uda. Zmierzwiała dłońmi czarne, sztywne włosy. Była brudna jak wszystkie nieszczęścia, a cuchnęła tak strasznie, że normalny mężczyzna natychmiast rzuciłby się do panicznej ucieczki — wszak są w życiu chwile, gdy lepiej nie ufać nawet kracie. Ale strażnik śmierdział jeszcze gorzej, a wobec tych wszystkich kobiet, których zaznał w życiu, Hel-Krehiri jawiła mu się właśnie niczym cudowna rusałka. Wyciągając szyję i coraz wyżej unosząc pochodnię, pożądliwie chłonał wzrokiem apetyczny kąsek. Przetoczyła się na brzuch i ukłękła, wypinając ku niemu pośladki; potem wstała, zatoczyła się w stronę kraty i przywarła do niej siedzeniem, opierając ręce na ziemi.

— Daj mi jeść! — zajęczała. — Jak dasz mi jeść, to zrobię wszystko...

Chcesz?

Pokusa zwyciężyła. Wartownik podszedł, kłapiąc paszczą i drapiąc się po przyrodzeniu. Nie bardzo wiedział, co zrobić z pochodnią. Zatknął ją w szczelinę, ziejącą w skalnej ścianie. Pałki jednak przezornie nie odłożył. Odwrócona tyłem, trzymająca dłonie na ziemi kobieta w żaden sposób nie mogła być groźna, gdyby jednak zechciała uczynić jakiś wrogi ruch, pałka mogła być użyteczna.

Tak sądził.

— Nie dałeś mi jeść — powiedziała. — Mówiłam, że zabiję. Słowo kota.

Z niesłychaną łatwością włożyła głowę między własne kolana i nim pojął, co się dzieje, miał nóż wbity od dołu, tuż za workiem kryjącym klejnoty. Wyrwała broń z rany, poderwała tułów i — wciąż odwrócona — sięgnęła ręką do tyłu, chwytając go za kark. Rycząc przeraźliwie, odepchnął się od kraty; trzymała jednak dość mocno, a ponadto jakiś ciężar znienacka runął mu na plecy, popychając w kierunku prętów. Miała dosyć czasu, by pchnąć nożem do tyłu. Trafiła w szyję. Wemir po raz drugi skoczył na strażnika. Odwróciła się, chwyciła mężczyznę raz jeszcze i kilkakrotnie wbiła krótkie ostrze w brzuch, pierś, gdzie popadło. Zaczął osuwać się w dół, na mięknących nogach. Nie pozwoliła, by upadł zbyt szybko, zdołała pchnąć jeszcze parę razy. Puściła krwawiące ciało i zaczęła ciąć sznury, którymi powiązane były żerdzie. Wkrótce pręty kraty pozwoliły się rozgiąć. Do krwi ścierając skórę na piersiach, brzuchu i plecach, wydostała się na zewnątrz. Wartownik próbował pełzać, charcząc poprzez krew buchającą z rany na szyi. Rzuciła się nań, przetoczyła na plecy i usiadła okrakiem. Raz jeszcze wsadziła mu nóż między żebra, po czym półprzytomna z nienawiści, pryskając śliną i charcząc tak, jakby to jej gardło przecięto, chwyciła kudłaty łeb. Z urywanym rykiem rzuciła się głową w dół i tłukła czołem w twarz tamtego tak długo, aż nos i wargi przemieniły się w miazgę. Wyrzuciła ramiona ku sklepieniu jaskini i z zamkniętymi oczami, zacisnąwszy pięści, skowyczała przepęlniona rozkoszą. Włosy na czole zlepione miała krwią. Zerwała się, kopnęła zabitego i pognała ku wyjściu z jaskini.

— Zaczynaj! Wemir, z a c z y n a j!

Czarny kot wyprysnął w mrok nocy. W następnej chwili powietrze przeszył bojowy wrzask wojownika gadba.

Powtórzyło go pięćdziesiąt kilka gardeł.

Noc była ciemna choć oko wykol. W kilku domach i jaskiniach migotały jakieś marne światełka, ale żadną miarą nie mogło to rozproszyć mroku skłębionego na dnie rozpadliny. Bojowy wrzask przebrzmiał... i zaległa cisza. Nie było słychać tupotu nóg biegnących wojowników, nie szczekał oręż.

Przeraźliwy krzyk dobiegł z wnętrza chałupy. Powtórzył się i światło w domu zgasło.

Lecz oto z pozostałych domów i mieszkalnych jaskiń wybiegać zaczęli zbrojni ludzie. Ten i ów trzymał pochodnię. Ale płomienie, wabiąc wzrok, raczej oślepiały, niżli pozwalały dojrzeć cokolwiek. Jednak niedaleko palisady leżał wielki stos drewna, przygotowany widać właśnie na wypadek jakiegoś zagrożenia. Okryty był skórą dla ochrony przed deszczem. Trzymający pochodnię rozbójnik podbiegł doń i podłożył ogień. Stos zajął się najpierw niemrawo, wkrótce jednak zapłonął potężniej.

Wszędzie wokół przemykały jakieś niskie, szybkie cienie, skupiały się w gromady i niknęły w głębi poszczególnych domów albo jaskiń, skąd natychmiast dobiegały wrzaski, jęki i przekleństwa. Od czasu do czasu wtórował im głuchy, groźny okrzyk bitewny, wydany przez gardło nie będące gardłem człowieka...

Stos wybuchnął wielkim płomieniem.

Napastników było pięćdziesięciu — lecz z powodu nadzwyczajnej ruchliwości mogło się wydawać, że jest ich trzy razy tyle. Niskie, groźne sylwetki wielkich kotów gadba pojawiały się wszędzie, skupiały w grupy i zaraz rozbiegały. Zdobywano kolejne jaskinie i domy. Pojedynczy ludzie, z bronią w ręku miotający się po placu, atakowani byli przez błyskawicznie powstające oddziały. Ten i ów próbował ścigać samotnego kociego wojownika — bezskutecznie! Żaden gadba nie myślał o staczaniu pojedynków; owszem, chaotyczna na pozór bieżanina służyła rozproszeniu uwagi i wysiłku napadniętych. Bo co chwila w miejscu, gdzie było to potrzebne, tworzył się z niezwykłą sprawnością nowy oddział, skupiający kilkanaście kocich głów i porywał samotnego rozbójnika, by — dokonawszy dzieła — znowu pójść w rozsypkę. Przywodziło to na myśl jakąś upiorną gonitwę, zabawę. Nie było zażartej, wysilonej młócki, jak to zwykle bywa, gdy ludzie walczą z ludźmi.

Zamiast tego wszędzie trwała zawzięta, zgoła desperacka biegania.

Jednak płonący coraz potężniej stos z niezwykle siłą zaczął wabić ku sobie tych wszystkich, którzy jeszcze chcieli i mogli myśleć o obronie. Szeroki krąg światła odbierał przewagę kocim oczom; przede wszystkim jednak był ów stos po prostu jedynym miejscem przyciągającym uwagę. Pojawiło się tam najpierw czterech, potem jeszcze kilku rozbójników — i wkrótce cała bitwa skupiła się w jednym punkcie. Co więcej, stęzała i straciła swój bezładny charakter. Zwartego kręgu kilkunastu uzbrojonych ludzi nie dało się łatwo rozerwać. Próba dokonania tego natychmiast przyniosła napastnikom ciężkie straty w rannych i zabitych. Zaskoczony, bezradnie miotający się w ciemnościach człowiek był dla kocich wojowników łatwym łupem. Lecz zwarty oddział, gotów do walki w pełnym świetle, stanowił poważny problem.

Horda skłębiła się na granicy mroku, od czasu do czasu wszczyńając dziką bieganiem, która miała sprowokować ludzi do ataku. Ale osaczeni rozbójnicy potrafili patrzeć i myśleć. Niejeden raz zajrzeli śmierci w oczy i umieli zabijać; lecz wiedzieli też, jak nie dać się zabić.

W zdobytej wsi zaległa cisza. Kocia biegania ustała. Otoczona zewsząd grupa zbrojnych przywodziła na myśl niedźwiedzia, wokół którego zebrały się zziębnięte, pokaleczone psy, nie kwapiące się do ataku — lecz tym bardziej nie zamierzające odstąpić.

Rozbrzmiał w ciemnościach niski, niewyraźny koci głos, brzmiący trochę jak pomruk, a trochę jak gardłowy szept:

— Do rana ogień zgaśnie.

Zaczęło to docierać także do obrońców. Niewielki zapas mokrego drewna, zgromadzony przy palisadzie, mógł okazać się niewystarczający...

Koty siadały na ziemi. Teraz, gdy zanikła ich ruchliwość, wyraźnie było widać, że to nie jest jakaś doraźnie zebrana horda. Większość wojowników nosiła kolczugi, a prawie wszyscy — charakterystyczne kocie hełmy, raczej będące zaczepnym orężem niżli osłoną głowy. Najbardziej jednak rzucały się w oczy zielone tuniki... Nosiło je ledwie kilku wojowników, choć — zgodnie z regulaminem — powinni nosić wszyscy. Ale żołnierzom wchodzącym w skład oddziałów elitarnych dozwolano czasem na znaczne odstępstwa od przepisów. Zresztą „mordercy z Rahgaru” nie zamierzali nikogo pytać o zdanie.

Umundurowani i wyposażeni byli tak, jak uznali za słuszne i wygodne.

Wieś została zdobyta przez regularną półsetkę Gwardii Grombelardzkiej.

Otoczeni rozbójnicy skupili się jeszcze ciaśniej, nieustannie czujni, gotowi do odparcia ataku. Wymieniali uwagi. Było jasne, że jeśli drew zabraknie, stanie się konieczne przerwanie kręgu napastników. Jednak próba wydostania się z pułapki oznaczała walkę w ciemności — a więc to, czego oblężeni właśnie się obawiali... Jedynym wyjściem było oszczędzać opał i próbować dotrzeć do rana.

Ukryta w mroku kobieta z ciekawością patrzyła na tych, którzy jeszcze nie tak dawno byli strażnikami jej więzienia. Przykucnęła. Po chwili zjawił się Wemir, prowadząc dwa inne koty. Pierwszy z nich, czarny tak samo jak zwiadowca Hel-Krehiri, nosił na kolczudze tunikę z insygniami setnika gwardii. Oznaczało to — ni mniej, ni więcej — że jest jednym z najwyższych rangą wojskowych w całej Drugiej Prowincji... Fakt, iż dowodził tak małym oddziałem, był nie tylko zaskakujący, ale sprzeczny z regulaminem. Cóż — w przypadku kotów, wojskowe regulaminy bywały dziwnie rozciągliwe.

Setnik pochylił łeb, ozdobiony mocno przypiętym, trochę groteskowym, płaskim hełmem. Pomiedzy wycięciami na uszy widniała mocna, długa ostroga. Umazana była krwią — znak, że koci dowódca nie ograniczył się w tej bitwie do samego tylko wydawania rozkazów... Pół kroku za nim podążał rudy kocur, wielki nawet wśród swoich pobratymców gadba.

— Cóż za dziwne przymierze, Hel-Krehiri — rzekł mrukliwie setnik, unosząc łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

Odpowiedziała podobnym gestem. Wyglądał u niej zupełnie naturalnie.

— To już drugi raz się spotykamy — powiedziała. — Wtedy wybiliście mi oddział. Dzisiaj proszę o pomoc.

— Już ją otrzymałaś, chociaż ciągle nie wiem, w imię czego. Uwierzyłem ci na słowo. Słowo kota — podkreślił. — Czy zrobiłem błąd?

— Niedawno... złamałam słowo — rzekła posepnie. — Pomimo to postanowiłeś mi zaufać?

— Coś słyszałem. Chyba rozumiem, co tobą powodowało, Hel Krehiri. Nie rozmawiamy o tym. Nie ma we wsi kalekiego człowieka, o

którym mówił mi Wemir — oznajmił, zmieniając temat.

Kobieta rzuciła przekleństwo, którego powtórzyć niepodobna.

— To źle.

Kocur stulił uszy.

— Będzie jeszcze czas na rozmowę. Na razie mamy problem. Jeśli ogień utrzyma się do rana, to tych kilkunastu ucieknie bez trudu. W ciemnościach rozproszymy ich i wybijemy. Za dnia nie ma o tym co myśleć, możemy im najwyżej schodzić z drogi.

Spojrzał w stronę orężnej, groźnej grupy.

— Jest w Armeckie piękna, mądra gra — powiedział. — Czasem dochodzi w niej do sytuacji, gdy żaden z graczy nie może wykonać ruchu. Nazywa się to pat. Jeśli teraz uderzą, rozbijemy ich. Ale wątpię, by byli tacy głupi. A ja także nie zamierzam szarżować, to robota dla ciężkobrajnych. Przy tym świetle dostaniemy łupnia — zakończył zwięźle i treściwie.

— Wiem — rzekła ponuro. — Zaraz ruszę ich z miejsca, będą atakować na wyścigi. Tylko znajdźcie mi jakąś kuszę i parę bełtów do niej.

Kot poruszył wąsami.

— Werk — skwitował. — To niezły pomysł.

Wydał rudemu zastępcy kilka krótkich rozkazów.

Czas płynął.

Otoczeni przez gwardię rzeźnicy nie znali armeckańskiej gry, o której mówił setnik, nie mieli więc pojęcia, co znaczy słowo pat. Niemniej, gdy z ciemności, spoza kręgu światła wyleciał pierwszy pocisk, powalając barczystego draba z mieczem i maczugą, bez trudu pojęli, co się święci. Zebrali siły do desperackiego, rozpaczliwego ataku. Jakiś koci głos powiedział głośno „szach!”. Zawtórował mu głos drugi — rozkoszny, słodki, kobiecy:

— Hej, nie radzę... O, naprawdę, naprawdę nie radzę. Raczej pozwólcie się wystrzelać, pozabijam was, tylko tyle. Jeśli zaatakujecie, wpadnie w moje ręce wielu rannych. Wielu rannych... — powtórzyła z lubością i stęknęła, napinając cięciwę.

Drugi bełt wyprysnął z ciemności.

Rozbójnicy, wyjąwszy z ogniska co większe płonące żagwie, rzucili się do ataku.

Uderzenie trafiło w próżnię. Gwardzistów nie było.

Hel-Krehiri wypadła z mroku i błyskawicznie znalazła się przy płonącym stosie. Trzymała tęgą gizarmę. Zawinęła nią nad głową i rozmiotła żelźcem wciąż potężnie płonące ognisko. Gorejące głównie prysnęły w mrok. Następnymi uderzeniami rozwaliła stos do reszty i z powrotem przepadła w ciemnościach — upiorne, rozczochrane nagie widmo.

Koci taniec rozpoczął się na nowo. Pochodnie były bronią obusieczną — w migotliwym świetle kilkunastu płomieni rodziły się liczne, padające ze wszystkich stron cienie. Niektóre z nich wcale cieniami nie były... Ludzie poczęli się miotać, bezładnie wymachując żagwiami i orężem. Zamieszanie trwało dość długo — bez większego skutku. Ktoś ryknął z bólu. Inny wzywał pomocy. W powietrzu rozszedł się swąd przypalonej sierści...

Nikt nie zginął.

Potem wszystko ustało. Koty odstąpiły.

I było jasne dlaczego: prowizoryczne pochodnie dopalały się bardzo szybko. Gaśły jedna po drugiej...

Wkrótce pod chmurnym niebem grombelardzkim, na dnie ponurego wąwozu, pośród grubej, zimnej ciemności, migotały tylko rozrzucone jak gwiazdy na niebie — drobne, czerwone węgielki.

Wtedy ze wszystkich stron ozwały się mrukliwe, niewyraźne, niesłychanie szydercze głosy, przepełnione dobrym humorem:

— Widzimy was... Świetnie was widzimy. No i cóż, jak to będzie z tą bitwą?

Jakiś gwardzista podszedł do samych nóg jednego z mieszkańców wioski i zbadał trzymane przezeń drzewce długiej włóczni, prawie dotykając go nosem. Potem podniósł łeb i z wielką ciekawością oglądał przerażoną twarz ślepego niczym kret stworzenia. Grot na hełmie kołysał się w rytm poruszeń okrągłej kociej głowy.

— Werk. Zabijamy ich, już — rozbrzmiał stanowczy rozkaz.

Rozbójników zmasakrowano. Hel-Krehiri dostała kilku rannych.

*

Przeszukawszy wnętrze jednej z chałup, Hel-Krehiri rzuciła się na znalezione jadro. Prawie udławiła się wędzonym mięsem. Setnik znalazł sobie dobre miejsce na stole, tuż obok kopącego łojowego kaganka.

Ułożył się na boku i uważnie obserwował samobójcze próby kobiety. Pakowała do ust tyle, ile się zmieściło, po czym przełykała prawie bez gryzienia. Oczy wychodziły jej z orbit.

— Karmili mnie... pomyjami... — wyjaśniła między jednym kęsem a drugim.

Popiła czymś, co w Jarze uznawano za wino.

— Cieszę się, że ci smakuje, Hel-Krehiri. Doceniam też twą dbałość o strój — rzekł gwardzista. — Niemniej chciałbym wreszcie wiedzieć, w imię czego przyszedłem ci z odsieczą. Przemierzyłem pół Grombelardu.

— Co powiedział ci Wemir?

— Tylko to, że nie odpowiadasz za nic, co dzieje się w Górach. Że zostałeś uwięziona przez pewnego człowieka, żyjącego w tej wiosce. Ma to mieć jakiś związek z niedawnym uprowadzeniem jej wysokości Wereny. O ile dobrze zrozumiałem, cała ta dziwna zabawa ze Wstęgami Aleru dopiero się rozpoczyna. Nie lubię Szerni, a już najmniej interesuje mnie jej wojna z innymi potęgami — oświadczył z głęboką niechęcią. — Dla mnie ponad światem może wisieć cokolwiek. Ale góry to co innego. Dzieją się tu rzeczy groźne, widzę to i bez ciebie. Dlatego wszystko, co przekazano mi w twoim imieniu, nie jest dla mnie pozbawione znaczenia — nie dodawał, że gdyby takie rewelacje, nie poparte żadnymi dowodami, usłyszał od człowieka, to nawet by go do końca nie wysłuchał.

Dowódca kociego oddziału wiele słyszał o Kadze, bo słyszał o niej każdy, a ponadto już kiedyś zetknęli się osobiście. Gadba wiedział, że ta dziwna wojowniczką jest w istocie stworzeniem kalekim, ułomnym. Pomyłką natury, a może kaprysem Szerni. Kotem uwięzionym w ludzkiej skórze.

— Hel-Krehiri — rzekł ponaglająco gwardzista, gdy milczenie przeciągało się.

— Nie wiem, co powiedzieć — wyznała bezradnie. — Myślałam, że zabijemy go dzisiaj. Gdybym wiedziała, że opuścił wioskę, nie potrzebowałabym waszej pomocy, by uciec. Ten człowiek jest kimś w rodzaju mędrca Szerni — wyjaśniła. — Myślałam, że go dzisiaj zabijecie.

— Wemir wskazał mi właściwy dom. Tam uderzyliśmy najpierw — potwierdził setnik. — Powtarzam: nie ma we wsi beznogiego człowieka. Jeńcy to potwierdzają.

Nagle wpadła we wściekłość, czysto kocią, przychodzącą nagle, bez wcześniejszych objawów złości albo gniewu.

— Syn kurwy i szakala! — zaskowyczała, chwytając leżącą obok kuszę; wyrznęła orężem w ścianę i waliła tak długo, aż broń przestała być zdatna do użytku. — Śmierdzący kawał gnoju! Okłamał mnie! Ścierwo, aaa! — wycharczała. — Tropiłam Brula jak głupia suka! A to narzędzie, tylko narzędzie, rozumiesz?! Brule! Wielki, potężny Brule, cha, cha! Kpinaaaa!! — zawyła, demolując izbę — Kpina!!

Gwardzista przeczekał wybuch.

Opadła na ławę i walnęła parę razy potylicą o ścianę. Wściekłość przeminęła równie nagle, jak przyszła.

— Ciągle jestem głodna — powiedziała.

— Co właściwie dzieje się w Górach?

Przez chwilę zbierała myśli.

— A co ja o tym wiem? — zapytała wreszcie z głupia frant. — Siedziałam w klatce dwa miesiące. Kilka razy przekradł się do mnie Wemir. Nie ucinaliśmy pogawędek, były do omówienia ważne sprawy.

— Hel-Krehiri — rzekł setnik z wyraźnym znużeniem — czy można usłyszeć od ciebie chociaż jedno słowo, warte chwili uwagi? Czekam na wyjaśnienia. Zaufałem ci i jeśli okaże się, że wyszedłem na głupca, to nie przeżyjesz skutków tej głupoty.

Pokiwała głową.

— Werk. Nie groź, już mówię. Dawno z nikim nie rozmawiałam.

Były to przeprosiny.

— Po śmierci Brula — powiedziała — wróciłam tutaj, do Jaru. Dowiedziałam się o kilku dziwnych rzeczach i zażądałam wyjaśnień od człowieka... który właśnie nam uciekł. Miałam go za sprzymierzeńca, był kiedyś uczniem Brula. Przedstawił na to dowody, które uznałam za wystarczające, a nie jestem specjalnie łatwowierna. Przy pomocy Łowczyni człowiek ten udaremnił pierwszą próbę poruszenia Wstęg Aleru.

— Hel-Krehiri, nie obchodzi mnie historia Szereru. Jesteś rozwlekła — rzekł kot z niezadowoleniem. — Ten człowiek to wróg. Dlaczego?

— Wróg, ale nie wiem, czy człowiek... — poprawiła. — To... bardzo dziwna istota.

— Dlaczego wróg? Co zamierza? — indagował setnik.

Wspomniana przez rozmówczynię „dziwność” wyraźnie go nie interesowała. Zresztą Hel-Krehiri także nie zamierzała rozwodzić się na ten temat. Oboje przejawiali tę, tak typową dla kotów, niechęć do wszystkiego, co nie było związane z „tu i teraz”.

— Brule był jego narzędziem, ale jednocześnie celem ataku — powiedziała. — Posłuchaj, ja także nienawidzę czarnej gadaniny, możesz mi wierzyć, myślę! — rzekła z nowym gniewem. — Ale jak mam krótko i jasno opowiedzieć o czymś, co ledwo, ledwo pojmuję?!

Parsknęła przez nos.

— Tu nie chodzi o jakieś Pasma Szerni czy Wstęgi Aleru — powiedziała, znowu spokojnie. — Nie wiem, o co tu chodzi. O zniszczenie wszystkiego, co tylko można zniszczyć? Ta istota... ta siła... — zaplątała się — to c o s rozpętuje jakąś wojnę, gdzie wszyscy zaczynają walczyć ze wszystkimi. Łowczyni i ja — rozłożyła ręce. — Rozumiesz? Dwie największe wojowniczkę Gór wplątują się w wojnę z najpotężniejszym Przyjętym. Ten Przyjęty porywa żonę Księcia Przedstawiciela... Rozumiesz? Przecież to aż trudno wyobrazić sobie jakikolwiek powód, dla którego cesarski przedstawiciel miałby walczyć z Przyjętym, ten zaś z Łowczynią i ze mną! Co ja mam do Przyjętych? Dwadzieścia parę lat przeżyłam, nim ujrzałam takiego na oczy! Co Przyjęty może mieć do mnie? A jednak zaczyna się wojna i wszyscy ponoszą straty, wszyscy przegrywają, nikt nie wygrywa. Nikt! Łowczyni traci rozum, Przyjęty umiera, Werena zostaje upokorzona, ja... ja łamię dane przyrzeczenie i zostaję zamknięta w klatce — odwróciła wzrok. — A Wstęgi po staremu leżą w Górach i znów ktoś chce przy nich grzebać. Znowu będzie wielka bitwa wszystkich ze wszystkimi, a na koniec może znowu się okaże, że stoczono ją o nic... bo przecież tej wstęgi w Czarnym Lesie w ogóle tam nie było! Chaos! Ktoś... c o s chce chaosu, zamętu, coraz większego i większego. Bo to wcale, myślę, nie o te Wstęgi chodzi. One, myślę, obojętne jak są potężne, do niczego więcej nie służą, jak tylko do wzniecania głupich wojen. To te wojny są celem, nie jakieś tam wykorzystanie różnych sił. Miałam ostatnio dużo wolnego czasu — uśmiechnęła się zimno. — Wróciłam tutaj i zostałam uwięziona. Słuchasz? Wszyscy, których miałam pod komendą, wypowiedzieli mi posłuszeństwo. I kto? Sfora psów moczących się ze strachu na sam mój widok — rzekła z niedowierzaniem, wyciągając rękę, jakby chciała

wskazać trupy leżące gdzieś za ścianą domu. — Takie rzeczy się nie zdarzają, bo psy nie są zdolne do buntu. A zbuntowały się wszystkie! Wemir ledwie zdołał ująć z życiem, ja siedziałam w śmierdzącej jaskini i żarłam pomyje! — cisnęła z powracającą wściekłością. — A wiesz po co, w imię czego? Bo ja nie wiem! Nikt w ogóle ze mną nie rozmawiał, nawet się nie domyślałam, do czego chciano mnie użyć, bo przecież potrzebna byłam żywa, no tak? Każdego dnia mogli mi wpakować tyle bełtów z kuszy, że leżałabym za tą kratą i wyglądała jak jeź. Ale tego nie zrobili, trzymali mnie dwa miesiące. Wiem, że ktoś ujarzmił wszystkie moje oddziały w całym Grombelardzie. W jaki sposób, kto?! W górach toczy się znowu bezsensowna wojna czy tak? Bo o tym już chyba ty wiesz więcej niż ja. Co właściwie dzieje się w Górach? Zostałam tutaj sama! Swoich żołnierzy już nie mam, no to posłałam po cesarskich, jesteście tu, tak czy nie?! Powiedz — zapytała znów cicho, wyczerpana najdłuższą przemową, jaką wygłosiła w całym swoim życiu — powiedz, gwardzisto, co dzieje się w Górach? Czy coś złego? Ale naprawdę złego?

Spojrzał na jej wzburzoną, pociemniałą twarz,

— Tak — powiedział krótko. — Gdyby nic się nie działo, to bym się nie mieszał w porachunki między zbrojami — dodał z bezpośrednią szczerością.

Czekała.

— Coś się zaczęło — oznajmił. — W miastach tak bardzo jeszcze tego nie widać. Porywani i mordowani są ludzie. Różni ludzie, nie wiadomo kto ich zabija i dlaczego. Istna plaga bezsensownych zabójstw. Po zmroku nie spotkasz samotnego człowieka na ulicy. Ale w miastach na razie to wszystko. Za to w górach jest tak, jak powiedziałaś. Chaos. I zamęt. Wszyscy biją się ze wszystkimi, a powody są tak wydumane, że na dobrą sprawę nie ma żadnych powodów. Może źle, że mówię coś takiego rozbójnicze — błysnął zielonymi ślepiami — ale Legia Grombelardzka już w ogóle nad tym nie panuje. Ostatnie dwa miesiące przyniosły takie straty, że wojsko nie jest zdolne do niczego więcej, jak tylko służby patrolowej na ulicach miast. Szerzy się dezercja, nawet w gwardii, morale nie istnieje. Dowodzę ostatnim pełnowartościowym oddziałem w całym Grombelardzie. A wiesz, dlaczego to wszystko? Bo Książę Przedstawiciel Cesarza najwyraźniej chce, by tak było. Znasz jego wysokość N.R.M.Rameza? — zapytał.

— Wiem, jaki to człowiek, jeśli o to ci chodzi.

— Robi wszystko, by nikt niczym się nie przejmował. Gotów za to nagradzać. Niebawem. W Grombie zajmują się głupstwami, jakby nigdy nic. Podobno sam cesarz przerażony jest raportami, jakie ślą do Kirlanu urzędnicy Trybunału Imperialnego. Po raz pierwszy szczerze trzymam ich stronę — wyznał. — Chętnie bym im pomógł. Tylko Trybunał robi jeszcze cokolwiek.

Przygryzła usta. Wysoki stopniem wojskowy — a do tego kot! — przychylnie mówiący o armii cesarskich szpiegów, donosicieli i oprawców, był dla niej czymś zupełnie nowym. Legie cesarskie, podlegające Przedstawicielom, stale próbowano uzależnić od Trybunału, kierowanego bezpośrednio przez Kirlan. Samodzielność dowódców bardzo na tym cierpiała.

Przez jakiś czas milczeli.

Kocur, którego natura burzyła się przeciw snuciu dalekosiężnych planów i domysłów, stale jednak przebywał między ludźmi i nauczył się, że czasami warto uczynić coś wbrew sobie Teraz zmusił się do wysiłku.

— Hel-Krehiri — powiedział — pomóż mi myśleć. Powiedziałaś coś, co zwróciło moją uwagę. Powiedziałaś, że w tę wojnę wciągani są wszyscy wielcy, tak? Najpotężniejszy Przyjęty, najlepsze wojownicze Górniki...

— Co z tego?

— Może... nie wiem — powiedział niezadowolony i prawie rozgniewany, bo musiał bawić się w domysły. — Może trzymano cię po to, żeby ktoś tu przyszedł? To trochę dziwne, że wiedząc o ucieczce Wemira, pozwolono mu odwiedzać cię. I to chyba dość często?

— Parę razy.

Zamilkli.

— No tak — przyznała niechętnie, po długiej chwili namysłu. — Ale niby... chciano, żebym kogo tu sprowadziła? Przedstawiciela? — parsknęła. — Łowczynię? A może Łowczynię? — zastanowiła się. — Prawdę mówiąc... nawet o niej myślałam.

Prawie zabawny był wysiłek, z jakim te dwie istoty oddawały się zajęciu tak uwielbianemu przez ludzi.

— Nie wiem, kogo! — rzekł ze złością setnik. — Wiem, kto przyszedł: ja! I przyprowadziłem tu jedyny grombelardzki oddział, który

jest jeszcze zdolny do wyjścia w góry. Jeśli coś nas wykończy, to będzie oznaczać, że wojska w Grombelardzie już nie ma. Cała reszta to jakaś... straż miejska.

Podniósł się i zeskoczył ze stołu.

— Dostyc tego! — powiedział. — Twierdzisz, że przyczyną wszystkiego jest człowiek, który cię uwięził.

— Jestem tego pewna.

— I nie mylisz się?

— Nie. Jestem pewna, powiedziałam wyraźnie.

Nic więcej go nie obchodziło.

— Więc odnajdźmy go i zabijmy.

— Werk. Przepytałem jeńców.

19.

Siedząc z plecami opartymi o skałę, Karenira leniwie śledziła skłębione, ale wyjątkowo jasne chmury, płynące z zachodu na wschód. Wiatr zmienił kierunek... Oznaczało to, że pogoda znacznie się poprawi. Można było oczekiwać słabej mżawki, w miejsce nieustannej ulewy. Koło południa mogło wcale nie padać.

— No, no... — mruknęła z zadowoleniem.

Zobaczyła Ranera, maszerującego środkiem szlaku, między krępyimi barkami wzgórz. Wstała i machnęła ręką. Skierował się wprost ku niej. Wkrótce usiadł obok i sięgnął po bukłak.

— Ciągłe idą za nami. Stracili nas z oczu, ale chyba nieźle znają okolicę i wiedzą, że ten szlak jest jedyny. Dogonią nas tak czy owak.

— Ilu? — zapytała krótko.

— Pięciu.

Westchnęła.

— To co? Poczekamy tu na nich?

Wyraźnie nie usłyszał pytania.

— Dziwna rzecz — powiedział w zamyśleniu. — Chyba znam jednego z tych ludzi.

Czekała, ale ciągu dalszego nie było.

— No i? — ponagliła.

— Co? A... No i nic. Nie wiem, skąd.

Wzruszyła ramionami.

— Poczekamy tu na nich? — zapytała ponownie.

— Chyba tak.

— To przejdźmy trochę w bok — pokazała skalne okruchy, spiętrzone u stóp prawego zbocza.

— Światło — rzuciła wyjaśniająco, widząc pytające spojrzenie mężczyzny. — Dziś jest wyjątkowo jasno, mam strzelać pod światło? No co ty? — zdziwiła się szczerze. — Nigdy nie strzelałeś? Nawet z kuszy?

— Nie lubię kuszy — mruknął. — Nigdy w nic nie trafiłem.

— O... — westchnęła, przesadnie zmartwiona.

Miała ochotę podokuczać mu trochę, ale w porę przypomniała sobie, że ten człowiek wcale nie ma poczucia humoru; żartu nie pojmie, przyjacielską zaś kpinę gotów wziąć sobie do serca. Pokręciła więc tylko głową.

— Chodźmy do tych skał, Raner.

Poszli.

Przed wiekami żyło w Grombelardzie potężne plemię Shergardów. Zaiste wielki był geniusz wywodzących się z tego ludu budowniczych, bo starożytne budowle i drogi trwały na przekór upływowi czasu. Nie używane od setek lat, nigdy nie naprawiane, popadły w ruinę, ale przecież nie pozwoliły, by góry pożarły je bez reszty. Wiatr i woda, zabójcze dla brunatnej cegły, której używano w Grombie czy Badorze, zabójcze nawet dla samych Ciężkich Gór, okazały się bezsilne wobec znakomicie obrobionych kamiennych płyt i bloków, służących za budulec Shergardom. Drogę, ułożoną z takich właśnie czworokątnych płyt kamiennych, obserwowali Karenira i Raner. Nie zdołały rozmyć jej deszcze, chociaż wypłukały podłoże, po którym biegła. Popękane tafle już tylko gdzieś tam przezierały spod naniesionych przez wodę okruchów wietrzejącej skały. Jednak ten wyboisty, zapadnięty tu i ówdzie gościniec wciąż stanowił najlepszy ze wszystkich grombelardzkich traktów.

Lecz gościniec ów prowadził donikąd. Poprzecinany licznymi przepaściami — bo kamienne mosty Shergardów dawno przestały istnieć — urywał się nagle w samym sercu gór, kilkanaście mil od Badoru. Czy było kiedyś miasto, do którego wiodła ta droga? Chyba nie, bo pozostałyby przecież ruiny... Wyglądało na to, że budowniczowie

traktu zarzucili nagle swą pracę. Co mogło być tego przyczyną? Nikt nie znał odpowiedzi. Tak jak nikt nie wiedział, dokąd wywędrował potężny ów naród, najpotężniejszy, jaki kiedykolwiek żył pod niebem Szerni.

Karenira, usadowiwszy się między skałami, milczała zamyślona. Przeglądała strzały, wyjmując z kołczana te, które — z jakichś przyczyn — uznała za lepsze od innych. Widać było jednak, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

— Chciałabym wiedzieć, jacy byli naprawdę — powiedziała. — Chciałabym ich poznać.

— Kogo? — Raner obserwował szlak.

— Shergardów.

— A. No tak — powiedział i mądre to nie było.

Uśmiechnęła się lekko.

Odłożyła kołczan. Obejrzał się na nią przez ramię.

— Te strzały są lepsze?

— Lepsze, co nie znaczy, że dobre... W Grombelardzie nie ma dobrych strzał. Wilgoć — wyjaśniła.

Wyjęła łuk. Łubie zszyte było z kilku warstw natłuszczonej skóry. Grube jak deska, kryło całą broń, nie zaś tylko połowę.

— Ja nawet ci się nie dziwię — mruknęła — że nie możesz w nic trafić. A ja? Chcesz usłyszeć, jak się ma legenda do prawdy? — zagadnęła drwiąco.

Położyła łuk w poprzek kolan.

— W Armeckie za takie strzelanie wyrzuciliby mnie z legii. Na pięćdziesiąt kroków mogę trafić człowieka, ale w które miejsce, to już czysty hazard. Ciężka raz jest mokra, a raz sucha; strzały czasem lekkie, czasem ciężkie, bo wycisnąć można z każdej wodę. Zresztą obojętne — suche, mokre... Grunt, że zawsze źle wyważone i lecące gdzie im się podoba, bo pierzyska są dobre do fiku-miku z dziewczyną i naprawdę do niczego innego — wzięła strzałę i połaskotała się po szyi. — Ale dostań w Grombelardzie dobre strzały do łuku! A jak już dostaniesz, to potem przez pół roku mocz na deszczu, tłucz kołczanem o skały przy wspinaczkach, wywijaj tym, depcz, siadaj, a na koniec strzelaj — zakończyła z nie bywałą goryczą. — To do dupy — podsumowała. — I jeszcze ten wiatr.

Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą ich od traktu.

— Pięćdziesiąt kroków... Tu jest chyba więcej — rzekł z lekkim niepokojem. — A jeżeli nie trafisz? Pięciu to trochę za dużo.

W pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi, ciągle jeszcze zmarszczona od narzekań.

— Że co niby pięćdziesiąt kroków? — zapytała. — A... że trafiam człowieka? Ech, mówiłam o biegnącym człowieku. I w nocy — wytłumaczyła.

Przez chwilę oglądał ją bez słowa, potem wrócił spojrzeniem do drogi.

— Wiesz, Łowczyńni — powiedział — czasem nie wiem, kiedy sobie ze mnie żartujesz.

Przygryzła wargi, ale zaraz parsknęła przez nos śmiechem.

— Ech, Raner! — skomentowała. — Całe szczęście, że jesteś przystojny. Inaczej...

— Idą — przerwał.

Spoważniała natychmiast.

— Masz — podała mu kilka strzał. — Gdzie?! — syknęła ze złością. — Tak trzymaj! — pokazała, jak. — Mam je zbierać z ziemi, czy wbić przed sobą w te skały?

Uniosła łuk, zmierzyła wzrokiem odległość i nałożyła strzałę. Klęcząc na jednym kolanie, łagodnie napinała cięciwę. Spoglądał to na nią, to na zbliżających się ludzi. Nie oczekiwali ataku...

Mięśnie jej ramion, ściągnięte skórzanymi opaskami, spięły się i zgrubiały. Przyciągnęła cięciwę do ucha i zwolniła tak łagodnie, że omal mimochodem. Wyrwała mu z dłoni drugą strzałę i nim pojął, co właściwie zaszło, już sięgała po trzecią.

Idący na czele mężczyzna dostał w brzuch. Krzycząc, chwycił dłońmi brzechwę. Drugi pocisk trafił go w biodro. Zatoczył się i upadł. Zaraz potem kolejna strzała przebiła szyję jego towarzysza.

Pozostali rozbiegli się, szukając schronienia. Trafiony w szyję człowiek rzeził, miotając się w konwulsjach, po chwili wygiął plecy w łuk i znieruchomiał, dziwacznie wyprężony. Drugi mężczyzna niezgrabnie czołgał się na boku, wzywając głośno pomocy. Łowczyńni napięła łuk po raz czwarty. Jeszcze jedna strzała trafiła rannego. Oszałały ze strachu i bólu poderwał się, zarobił kolejną strzałą w kark i ostatnią w sam środek pleców.

— No, to kuszników mamy z głowy — mruknęła.

— Bardzo sprawnie zabijasz — powiedział.

Nie wiedziała, czy to zdziwienie, uznanie czy może przygana. Bo przecież nie kpina? Raner nie umiał kpić...

— Jedna strzała rzadko wystarcza — powiedziała na wszelki wypadek, odkładając łuk i sięgając po miecz. — To nie kusza...

A jednak kpił!

— Babska broń — powiedział z politowaniem, gramoląc się przez skały z mieczem w lewej, a pałką w prawej ręce.

Chciała chlasnąć go płazem w tyłek, ale był już poza zasięgiem.

— Ja ci dam babska! — wrzasnęła. — Głupi koniu! Żebym...

Wciąż jeszcze hałasowała, forsując skalne rumowisko, gdy długimi susami popędził w stronę kryjówki najbliższego wroga. Tamten wyrwał zza skały i pojął, że strzelanie już się skończyło, nadciąga natomiast nowe, bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wątpliwe, by pojął coś więcej. Okuta żelazem pała zdruzgotała mu zuchwę; cios był tak potężny, że mężczyzna poleciał do tyłu, grzmotnął łbem i plecami o ziemię, jednocześnie nakrywając się nogami. Jego towarzysze z mieczami w dłoniach rzucili się na szarżującego osiłka. Zadźwięczało żelazo. Raner odepchnął mieczem oręż przeciwnika i znów rąbnął pałką, łamiąc wysuniętą w obronnym geście rękę. Wbił miecz w brzuch tamtego i zostawił. Wyrwał z dłoni konającego własne jego żelazo, odrzucił precz — i znów ruszył do walki, jeszcze nim zgięty wpół mężczyzna osunął się na ziemię.

Ostatni z piątki, od początku idący do boju niezbyt energicznie, teraz zaczął uciekać. Trafił na Łowczynię. Kobieta wydała mu się rozsądniejszym niż Raner przeciwnikiem, ruszył więc w jej kierunku. Trzymała miecz oburącz. Ujrzał nagie ramiona, których mięśnie chciały rozerwać szerokie skórzane opaski. Zobaczył nadciągającego Ranera. Ujął miecz za ostrze i uniósł do góry. Nie uchroniło go to przed solidnym laniem. Od kobiety dostał kopniaka, od mężczyzny cios pięścią — jedno i drugie w zęby. Przekazali go sobie jeszcze parę razy. Upadł wreszcie.

— No to mamy jednego żywego.

— Tak — mruknęła. — Pytanie tylko: będzie z tego pożytek, czy kłopot?

Wyglądało na to, że jednak tylko kłopot.

Idiota nic nie wiedział. Sepleniać przez wybite zęby, plótł trzy po trzy. O niczym nie słyszał, nikomu nie służył. Przyłączył się do ludzi, którzy chcieli zapolować na Łowczynię. Puścili się w trop, licząc na nagrodę. W Badorze było o niej głośno.

— Co za dureń — powiedziała zniechęcona. — I co z nim począć? Hm?

Raner siedział oparty o skałę i uważnie obserwował jeńca.

— Już wiem — odrzekł, wyciągając rękę. — Łowczyni, daj mi jeden z tych swoich patyków. No, strzałę. Ale taką najgorszą, jaką masz.

— Po co ci? — zapytała zdziwiona.

— Wbiję mu ją w tyłek — rzekł podnosząc się.

— Oszalałeś?

— Nie, po prostu inaczej nic z niego nie wyciągniemy. Przysmażyłbym mu pięty, ale ognisko to kłopot. Podczas gdy strzała... — tłumaczył, przetaczając związanego mężczyznę na brzuch; rzeczywiście myślał o tyłku.

— A co jeszcze chcesz z niego wyciągnąć? — przerwała.

— Prawdę. Zresztą cokolwiek. Nie powiedział nic wartego uwagi.

— Bo nic...

— Bo jest szpiclem Trybunału — teraz on jej przerwał. — Pamiętasz? Wydawało mi się, że poznaję jednego z tych zuchów. No, to właśnie on.

Zamilkła.

— Pewien jesteś? — zapytała po chwili.

Skinął głową.

— Pewien.

Bez dalszych pytań wręczyła mu strzałę.

Jeniec słyszał rozmowę, ale nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy Raner usiadł mu na plecach i rozdarł spódnice na zadku, zaczął protestować, prosić, zaprzeczać posądzeniu, prosić, tłumaczyć się, kłamać i prosić. Ale Raner nie słuchał.

— No? — zapytał groźnie.

Widać nie bardzo liczył na odpowiedź, bo zaraz wziął tęgi zamach i wbił strzałę w odsłonięty, bezbronny półdupek, a uczynił to z taką siłą, że wyraźnie dało się słyszeć, jak grot zgrzytnął na kości. Jeniec ryknął i

pomimo więzów począł rzucać się tak gwałtownie, że strzała pękła Ranerowi w dłoni. Bezradnie pokazał ułomek właścicielce. Skrzywiona machnęła tylko ręką.

Jeniec skowyczał, przeżywając nie byle jakie katusze. Raner sumiennie grzebał grotem w krwawiącej, głębokiej ranie, bez powodzenia próbując naruszyć kość. Przestał wreszcie.

— No?

Jeniec, stękając i płacząc, próbował złapać oddech.

— Spie... spiegowałem... — wyseplenił urywanie.

— Szpiegowałeś — przytwierdził Raner, triumfalnie spoglądając na Łowczynię.

Uniosła brwi. Przykucnęła obok głowy torturowanego.

— A dla kogo? — zagadnęła ciekawie.

— Dla Trybunału — zeznał jeniec.

— Powiesz wszystko? — upewniła się.

— Tak, pani.

— Dawaj — odebrała Ranerowi okrwawiony ułomek strzały. — W każdej chwili mogę mu to oddać — zapewniła, znowu zwracając się do leżącego. — Więc mów. Od samego początku. Jak czegoś nie zrozumiem, to zapytam, albo poproszę o szersze wyjaśnienia.

Zmieniła pozycję na siedzącą, bo w kucki odsłaniała przed szpiclem widoki, na jakie nie zasługiwał.

— F górach... — stęknął — i f miastach... dzieją się dzifne zecy...

Słuchali uważnie, co jakiś czas wymieniając spojrzenia. Zostawili jeńca i odeszli na bok.

— I co myślisz? — zapytała.

— No... wynika z tego, że zabić cię chcieli właściwie przy okazji, bo po drodze, prawda? Zresztą ten to pewnie nie wzięłyby w tym udziału, chociaż z drugiej strony, Trybunał cię nie kocha, Łowczyni. Ale tamci szli do Jaru, do Hel Krehiri. Gdyby jej przynieśli twoją głowę, odebraliby nagrodę. Szłaś akurat w tym samym kierunku...

— Czekaj. Przecież to nie byli ludzie Kagi — powiedziała stanowczo. — Kaga nigdy nie mogła równać się z Glormem, bo jest na to za głupia i tyle. Ale swoich zbrojnych trzyma w garści chyba nawet mocniej, niż to robił Glorm. Co to, czyżbyś już zapomniał? No właśnie — mruknęła z przekąsem, po czym pokazała trupy na szlaku. — A te tutaj, cudaki?

Niemożliwe, by żołnierze Hel-Krehiri, aż tak bardzo zesзли na psy.

Zakołysał głową: tak i nie.

— Widzisz, doborowe oddziały Krehiri... zresztą Glorma, kiedyś, tak samo... to jedno. A cudaki, jak mówisz, to cała reszta. Zbieranina. Rzezimieszki, przyznające się do tego kto rządzi w Górach, ale właściwie... — zastanowił się, jak to wytłumaczyć — właściwie nikt tym nie rządzi. Czasem umyślni wysłannicy Kragdoba albo Kagi, tacy weźmy, jak ja, zwoływali całe tałatajstwo do jakiejś większej sprawy, gdy potrzebna była naprawdę liczna armia. Do osaczenia Brula w Czarnym Lesie, prawda? — przypomniał.

Skinęła głową.

— Ale normalnie — podjął — raczej zabrania się takim robienia pewnych rzeczy, niż wydaje jakieś polecenia. Przestrzegają zakazów, bo co mają robić? W tym sensie są to ludzie Hel Krehiri. Wiedzą, że nie wolno im ściągać od nikogo haraczu, nie wolno atakować kupieckich karawan i tak dalej, bo to sprawa dla lepszych i silniejszych od nich. Nie posłuchają? No to taki Raner — popukał się palcem w pierś — albo ktoś podobny poukręca im łby, prawda?

— Prawda, prawda — rzekła trochę zniecierpliwiona. — Znam Góry, Raner, i wiem, jak to działa na ogół. Prawda? — przedrzeźniała go bez litości. — Ale o co innego mi chodzi. Powiedz, czy to normalne, że byle rzezimieszek wie, gdzie szukać Hel-Krehiri? Nawet taki Raner — ironicznie popukała go w pierś — nie wie, gdzie właściwie jest teraz jego komendantka. Może w Jarze, a może gdzie indziej. Jakoś wszyscy ciągną do tej wioski — zastanowiła się. — Opuściłam dwór i wybierałam się właśnie do Jaru. Spotykam ich godności Armę i Ranera, „świetnie — mówią — właśnie chcemy posłać kogoś do Jaru”. Jakaś hołota chce do Hel-Krehiri. Gdzie idą? Do Jaru. Marny szpicel, ostatni ze szpiegów Trybunału, zabiera się z nimi, bo gdzie chce? Do Jaru. Podobno przepadł oddział rahgarskich gwardzistów... Pewno siedzą w Jarze — zakpiła. — Mówię ci, niedługo będą tam wszyscy. Może poza jedną jedyną Hel-Krehiri. Jar, nowa stolica Grombelardu.

— Nie, to mała wioska, nie da się tam zrobić stolicy — powiedział z właściwą sobie zdolnością odczytywania żartu. — Ale coś w tym jest... w tym, co mówisz. Najlepiej...

— Mm?

— Najlepiej sprawdzimy. Chodźmy do tego Jaru.

Wrócili po bagaże.

— No i co z tym durniem? — zapytała, spoglądając na jeńca. — Nie morduję ludzi z zimną krwią, zresztą za co to-to mordować? Ale wlec go z sobą? Puścić? Sama nie wiem.

Raner wzruszył ramionami i bez większych ceregieli zatłukł szpicla pałką.

— Nie waż się, przestań! — wrzasnęła, było już jednak za późno. Raner miał naprawdę ciężką rękę... Ze wstrętem odwróciła spojrzenie.

— Jak ty przeżyłaś w tych górach, to ja nie wiem — powiedział, ścierając z broni krew i przylepione włosy. Wytarł dłoń o kubrak zabitego.

— Widać jakoś jest to możliwe — pozbierała wolno swoje rzeczy i poszła.

— Hej, Łowczyni! — zawołał.

Odwróciła się, celując w niego palcem.

— Trzymaj się z daleka ode mnie — ostrzegła. — Zatłukłeś go jak psa. Nie jesteś wcale lepszy niż on.

Raner rozgniewał się.

— A kto powiedział, że mam być lepszy, co?! Czekać no, chcę usłyszeć! — rzucił ostro. — Wydaje ci się, że kim jesteś, wasza godność? Strzelać z łuku tchórzliwie i z ukrycia to jest dobrze, to jest bardziej szlachetnie? Jest człowiek i nie ma człowieka! Tak jak tamten. Szedł i mówił, a zaraz potem zdychał i nawet nie wiedział, kto go zabija. Strzała za strzałą! Ale pałką? Pałką to niedobrze, to źle!

— Skończyłeś?

— Nie skończyłem! Zabiłem go, bo w Górach się zabija, ale chociaż potrafiłem spojrzeć mu w oczy! A ty?!

— Skończyłeś? — powtórzyła.

Podszedł bliżej.

— Łowczyni, ty jesteś grombelardzką pomyłką — powiedział. Już nie krzyczał. — Taką... taką dziewczicą bez cnoty. Pasujesz do tego, co właśnie dzieje się w Górach, naprawdę pasujesz. Tutaj wszyscy, zamiast robić to, co trzeba, nagle zaczęli robić rzeczy dziwne i nie trzymające się kupy. Jak kobiety. A ty jesteś kobietą — zabrzmiało to jak obelga. — Jesteś niekonsekwentna — starannie wymówił bodaj najtrudniejsze ze

znanych mu słów.

Trzasnęła go w głowę. Potem stała przez chwilę, jakby czekając, czy mężczyzna powie coś jeszcze.

Odwróciła się.

— Chodź, Raner. No? Idziemy, czy nie?

Po długim, długim czasie — bo uszli może z milę — odezwała się znowu:

— Dostałeś po głowie, ale boję się, że masz rację.

20.

U wejścia do rozpadliny, nie dalej jak o dwa strzały z łuku, znajdowała się palisada. Cofnęli się ostrożnie, kryjąc za nieforemną piramidą skał.

— Znasz to miejsce? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Nigdy tu nie byłam. Od dawna wiem o tej wiosce, bo wiem chyba o wszystkich, jakie są w Ciężkich Górach, a przynajmniej w tych okolicach. Ale nigdy nie korzystałam z gościnności mieszkańców, przecież to jaskinia zbójcka. Zawsze była.

— Zdaje mi się, że nikogo tu nie ma — powiedział. — Palisada cała, domy chyba też. Ale nie widać wartownika. Byłem tu parę razy, zawsze ktoś pilnuje bramy. Zresztą zobacz: czy przypadkiem nie jest uchylona?

— Czy można jakoś niepostrzeżenie sforsować palisadę? Na przykład w nocy? — zapytała, ale zaraz wzruszyła ramionami. — To głupie... Jasne, że nie.

— W nocy palisady pilnuje dwóch-trzech ludzi.

— Ano właśnie. A górą? Można ze szczytu zbocza spuścić się po linie?

Pokręcił głową.

— To samobójstwo. Te skały są zwietrzałe, strącisz parę okruchów i narobisz hałasu. Już nie mówiąc o tym, że to pomysł zupełnie karkołomny, nawet gdyby nikogo nie było na dole... — zmarszczył czoło.

— Posłuchaj, dlaczego niby mielibyśmy zakradać się tam? To wieś Hel-Krehiri. Prawda? Obojętne, czy ona tam jest, czy nie... — urwał nagle i zamyślił się. — Zresztą, tam naprawdę chyba nie ma nikogo —

powiedział.

— I nie sądzisz, że to podejrzone?

— No tak. Ale co? Siedzą w domach i jaskiniach? Jak długo? To ma być pułapka, czy co?

Rzeczywiście, nie miało to sensu.

— Nie uśmiecha mi się tak po prostu tam iść. Bo jeśli jednak tam ktoś siedzi... Czy to przypadkiem nie Kaga wyznaczyła za mnie nagrodę? — zagadnęła kwaśno Karenira.

Jej towarzysz zmieszał się lekko.

— No tak. Ja.. nie myślałem, żebyśmy szli tam razem. Hel Krehiri nie wie, że porzuciłem służbę u niej.

— Że zdradziłeś — powiedziała słodko. — Takie „porzucenie” jak to twoje, to zdrada. Jesteś zdrajcą, misiaczku, a za chwilę, jak tylko tam pójdziesz, będziesz zdrajcą i szpiclem zarazem.

Nie posiadała się z radości, oglądając krwawy rumieniec na policzkach i czole mężczyzny. Przełknął ślinę.

— Tak — powiedział. — Na to wygląda.

Nie usprawiedliwił się ani słowem, chociaż mógł. To jej zaimponowało.

— No, no — powiedziała. — Przepraszam, Raner. Myślę, że to co robisz, jest słuszne. Niepotrzebnie ci dokuczyłam.

Przedostali się z powrotem do miejsca, skąd lepiej było widać bramę w palisadzie. Rzeczywiście wyglądało na to, że jest lekko uchylona. Przez dłuższy czas obserwowali częstokół i bramę, ale nie dostrzegli nic godnego uwagi.

— Może z góry? Z urwiska?

— Zanim tam wleziemy, będzie noc.

— No dobrze, więc chodźmy tam po prostu. Do tej wsi — zaproponowała. — Oboje. Niczego się nie dowiemy leżąc tutaj.

Dla odmiany, wątpliwości zaczął mieć Raner.

— Wchodzimy wilkowi w gardło. A jeśli...?

— To trudno, poradzimy sobie. Raner, co nam się stało? Jeszcze chwila, a zaczniemy uciekać.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mam... złe przeczucie.

— Miewasz przeczucia, Raner?

— Miewam, Karenira — rzadko mówił jej po imieniu. — Lepiej,

żebym poszedł tam sam. W razie czego przyjdiesz mi z pomocą.

— Komu przyjdę z pomocą? Zabitemu? Nie — ucięła. — Razem poradzimy sobie łatwiej... zresztą tam nikogo nie ma, no tak? Raner, przecież ja jeszcze nie tak dawno wybierałam się tu po prostu sama. Planowałam to już w Grombie.

— Wtedy jeszcze nie wiedziałas, że za twoją głowę jest nagroda — zauważył nie bez racji. — Jeśli...

— Chodź, Raner — nagle w jej głosie pojawiło się znużenie. — Jeśli, jeśli... Ja też mam złe przeczucie — przyznała. — Ale może zbyt długo już biegam po tych górach? Sama nie wiem. Starzeję się, Raner... — dorzuciła cicho.

Chciał coś powiedzieć, ale pokazała mu rękę. Zgięła palce i rozprostowała powoli. Na twarzy miała niewyraźny grymas.

— Widzisz? Boli... — powiedziała niegłęboko — Nigdy jeszcze nie strzelałam tak źle, jak do tego tam... na szlaku Shergardów. Pięć strzał, Raner. Dziś czy jutro... Co za różnica?

Pokręcił głową.

— Przestań, to głupie. Mamy iść, to chodźmy.

Skinęła głową. Po chwili nawet uśmiechnęła się lekko.

— Rzeczywiście głupie. No właśnie. Lepiej chodźmy, Raner.

*

Brama istotnie była niedomknięta. Wymienili spojrzenia. Łowczyni już wcześniej wyjęła łuk i kilka strzał. Niosła broń w lewej ręce, w sposób, który wyglądał na zupełnie naturalny. W okolicach, gdzie z bronią chodził każdy, noszenie jej na wierzchu nie mogło wzbudzać podejrzeń — tym bardziej, że w Grombelardzie naprawdę mało kto wiedział, co to jest kołczan i łubie. Tak samo niewinnie prezentował się Raner. Swoją pałkę niósł na ramieniu, zawiesił na niej sakwy podróżne, przez co groźny oręż nieco mniej rzucał się w oczy.

Stanąwszy przed bramą, Raner mocno pchnął nogą jej uchylone skrzydło. Brama, skrzypiąc, rozwarła się szerzej.

Wiatr, dosyć silny i porywisty, wiał im prosto w plecy i tym tylko dało się wyjaśnić, że dotąd nie wykryli fetoru gnijących trupów, których wygląd świadczył, że leżały już parę dni. Zabitych ludzi było około dwudziestu; ciała leżały w różnych miejscach wsi. Martwe dłonie niektórych wciąż jeszcze trzymały oręż. Przeszedłszy przez bramę,

Karenira zbliżyła się do rowu, odprowadzającego nadmiar wody. Teraz nie był potrzebny... Ujrzawszy, co w nim jest, kobieta cofnęła się i pobladła.

— Nie — powiedziała z większą niż zazwyczaj chrypką. — Nie pójdę tam.

Po raz pierwszy Raner widział Łowczynię naprawdę przestraszoną.

— Nie, Raner. Nie pójdę — powtórzyła, choć nie oponował. — Ja... ja wtedy myślałam, że to żart. Ja żartowałam, Raner...

Skinął głową i ze ściągniętą twarzą powoli ruszył wzdłuż rowu.

Rów stanowił zbiorową mogiłę kocich gwardzistów gadba. Trupów było wiele, bardzo wiele... ale ile dokładnie, nie dało się powiedzieć. Zabitych poćwiartowano. Raner czuł się niewiele lepiej, niż towarzysząca mu kobieta. Widywał pobojojwiska. Ale teraz stał nad otwartym grobem tego, co zwykł był uważać za... prawie niezniszczalne. Niewidzialnych, nieuchwytnych rahgarskich gwardzistów nie nazwano mordercami bez powodu. W Ciężkich Górach nie istniało nic, co mogłoby zagrozić temu oddziałowi całkowitym zniszczeniem. A jednak Raner widział na własne oczy to, co pozostało z najwspanialszej wojennej legendy wszystkich czasów. Widział wybitych do nogi, poćwiartowanych i wrzuconych do dziury w ziemi gwardzistów gadba. „Morderców z Rahgaru”.

Obejrzał się. Jego oczy spotkały się z oczami Kareniry.

Pomimo wcześniejszych zapewnień, ruszyła powoli jego śladem. Wyprostowana, sztywno patrzyła przed siebie, starając się nie zaglądać do rowu. Podeszła tuż i wtedy Raner zobaczył, że kobieta ma mokre oczy.

— Raner, kto im to zrobił? Kto mógł... kto potrafił to zrobić? Raner?

Zagryzając usta, raz jeszcze zajrzała do kociej mogiły.

— Raner... ja pewnego dnia po prostu ten kraj... pokochałam — powiedziała, nie kryjąc płynącej po policzku łzy. — Tutaj nic nie ma, zupełnie nic... Oprócz Legend. Najwspanialszych legend na świecie. Ten kraj składa się z legend, a oni są... oni byli jedną z największych. Największych i najpiękniejszych. Raner, c o ś zabija grombelardzkie legendy. Grombelard bez legend... to tylko wiatr i deszcz.

Poszła dalej.

— Ja zabiję to coś. Słyszysz, Raner? Zamorduję bez cienia litości, Znajdę i zamorduję — powtarzała zdławionym głosem. — Tak, jak to coś wymordowało najlepszych żołnierzy na świecie. Zabiję to, Raner,

przysięgam. Sprzymierzę się z każdym, kto mi dopomoże. Jeśli przyjdą do mnie sępy... to sprzymierzę się, Raner, z sępami.

Odwróciła się i patrzyła mu w oczy.

— Przysięgam ci, Raner. Na wszystko, co dla mnie święte. Na armektańskie Równiny... I na moją miłość do człowieka, który zamiast mnie wolał Dartan. Przysięgam, Raner, że zabiję to coś.

*

Oparta o ścianę jednego z domów, daleko od okropnego rowu, wodziła dokoła wzrokiem. Wiele różnych myśli snuło się jej po głowie.

Raner chodził po wsi, zaglądał do domów i jaskiń. Usiłował zrozumieć, co właściwie rozegrało się w Jarze.

Grombelardzka wieś... Wysoka wieś. Tak mówiono o podobnych sadybach.

Trupi odór przyprawiał o mdłości. Pomimo zmian wywołanych gniciem, Karenira łatwo poznała, co zabiło ludzi. Ostrogi kocich hełmów zostawiły charakterystyczne rany.

Ale co zabiło gwardzistów, nie wiedziała. Oglądanie rozkawałkowanych kocich zwłok było ponad jej siły i musiał uczynić to Raner. Nie zdołał uzyskać odpowiedzi. Szukał strzał albo bełtów — nie znalazł. Zabito z kuszy dwóch ludzi, co świadczyło o tym, że żołnierzom pomagał jakiś dwunożny wojownik. Ale spośród kotów ani jeden nie zginął od bełtu.

Raner zniknął w kolejnej jaskini. Wyszedł z niej po chwili.

— Karenira...

Jaskinia przedzielona była kratą z mocno powiązanych, drewnianych żerdzi. Dienne światło wpadające przez wejście, nie radziło sobie z mrokiem zalegającym kąty. Łowczyni wyteńczyła wzrok. Podeszła do samej kraty. W głębi, na ziemi, leżał jakiś bezkształtny toból, naszpikowany bełtami z ciężkiej, napinanej korbą kuszy... Minęło parę chwil, nim Karenira pojęła, że ogląda nagie, bezgłowe ciało Hel-Krehiri. Uczyniwszy dwa chwiejne kroki w tył, potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał jej Raner.

— To nie wszystko — powiedział. — Patrz tu...

W pęknięcia na ścianie jaskini powbijano drewniane kołki. Do jednego przywiązano za włosy głowę Pani Łez. Tuż obok wisiła głowa czarnego kota. Wieńcząca hełm ostroga była ułamana w połowie.

Raner wyprowadził ślaniającą się na nogach kobietę przed jaskinię. Jej blada twarz wydawała się o dziesięć lat starsza. Twarda wojowniczką, od lat samotnie przemierzająca górskie szlaki, tym razem spotkała się z czymś, co ją przerosło. Nie umiała pogodzić się z tym, co widziała.

— Nie tak... — powiedziała słabo. — Dlaczego tak?

Usiedli pod ścianą wąwozu.

— Pomordowani... Raner, dlaczego? Dlaczego w ten sposób, powiedz? Czy to jest śmierć dla kogoś takiego jak ona? Zastrzelono ją za tą kratą i strzelano dalej... kiedy już nie żyła... Ile razy, Raner? Trzydzieści? Kto to zrobił, powiedz? A potem... potem uciął jej głowę...

Głęboko zaczerpnęła powietrza.

— Chodźmy stąd... Nie zostanę w tym miejscu ani chwili dłużej.

Wcisnął jej do ręki łuk i strzały. Nawet nie wiedziała, kiedy odebrał jej broń. A może ją upuściła?

Zacisnęła dłoń na łączysku, aż zbielały kostki palców. Powoli dochodziła do siebie.

— Chodźmy stąd.

Bez słowa wziął swoje i jej rzeczy. Zarzucił sakwy na ramię. Ruszyli ku bramie, wzdłuż rowu.

Raner umarł tak, jak umrzeć nie chciał. Zupełnie nagle wypłynęły z pamięci i rozbrzmiały jej w uszach słowa, które wypowiedział tak niedawno — i pojęła, jak wiele było w nich lęku. Powiedział: „Zabić tchórzliwie, z ukrycia...”. I to, że miał odwagę spojrzeć tamtemu w oczy... Bał się śmierci, którą pośle mu z daleka niewidzialny zabójca, będący poza zasięgiem jego potężnych muskułów. Najbardziej na świecie obawiał się — bezradności.

Morderca nie spojrzał mu w oczy.

Kiepska, byle jak opierzona, wystrzelona ze słabego łuku strzała trafiła go w brzuch. Karenira krzyknęła, rzucając się na ziemię. Przetoczyła się na plecy, osada pocisku dotknęła cięciwy... Z gotową do strzału bronią, łuczniczka szukała celu. Ale nie widziała nikogo.

— Raner, nie! — wrzasnęła. — Zostaw!

Siłacz próbował wyrwać z rany strzałę, gdy nadleciała druga. Trafiony w biodro, klęknął ciężko obok upuszczonych bagaży.

— Raner! — krzyknęła raz jeszcze z rozpaczą i przerażeniem; wciąż nie miała do kogo strzelać.

— Uciekaj — powiedział. — Karenira, uciekaj stąd. No szybko!

Nadleciała skądś trzecia strzała... i Łowczyni wiedziała już, gdzie trafi. Lodowata obręcz ścisnęła jej gardło.

— Nie — powiedziała. — Nie, proszę...

Niechybny łucznik urządził sobie upiorną zabawę. Widział... musiał widzieć, jak strzelała do człowieka na trakcie. Był tam i widział wszystko. Arcymistrz łuku, ukryty w górskiej wiosce, szydził z niej, powtarzając kolejno haniebne kiksy... Miał dla Ranera pięć strzał, dokładnie tyle. Już wiedziała.

— Uciekaj — rzekł raz jeszcze, spokojnie i rozkazująco. — No już. Powiedziałem uciekaj.

Odgadła jego zamiar.

— Nie plecami! — wrzasnęła rozpaczliwie. — Nie odwracaj się... Raaaaneer!!

Wypuściła łuk i rzuciła się ku mężczyźnie, próbując zapobiec temu, co zaraz miało nastąpić. Nie zdążyła.

Kłęcząc, Raner sięgnął do tyłu, skracając ciało w biodrach. Podniósł z ziemi swoją pałkę i dostał strzałę w kark.

— Nie! — zawyła. — Nie tak, błagam, nie jego!

Chwyciła rannego towarzysza za rękę, ale on wciąż jeszcze był od niej silniejszy. Chciała go odciągnąć gdzieś na bok, choć nie miało to wcale sensu... Nie pozwolił. Wypluł z ust czerwoną strużkę śliny, dźwignął się raz jeszcze, przewrócił ją i osłonił szerokimi barami — bo nie wiedział tego, co ona i bał się, że następna strzała będzie dla niej.

— Uciekaj, głupia...

Drgnął pod ostatnim uderzeniem. Jeszcze przez krótką chwilę klęczał wyprostowany, nim upadł twarzą do ziemi, zanim zdołała go podtrzymać.

Wyjąc jak wilczyca, chwyciła wąty patyczek, sterczący z pleców zabitego, jakby chciała w ten sposób odwrócić to, co już się wydarzyło. Ale nie było odwrotu. Raner zginął w sposób, który — nawet o tym nie wiedząc — sama dla niego wybrała.

Ze zdławionym gardłem podniosła się powoli i czekała, wypatrując zabójcy. Myśli biegły szybko, sprawnie zazębiały się, łączyły, uzupełniały... Nie czuła już strachu, tylko nienawiść i wściekłość, że została w taki sposób wyszydzona.

Ale była łuczniczką — i obok tej wściekłości drżało niedowierzenie oraz zwykły lęk przed nieznanym. Ktoś, kto umiał posłać Ranerowi pięć takich strzał, był najlepszym łucznikiem na świecie. Taki człowiek siedział w grombelardzkiej wiosce... Teraz mogła stać lub leżeć, czołgać się, biec prosto albo jakkolwiek. Nie miała najmniejszych szans.

— No dalej! — powiedziała bezgłośnie. — No, strzelaj wreszcie, człowieku... o ile w ogóle nim jesteś.

Zrobiła dwa powolne kroki.

— Pokaż się — szepnęła. — No, pokaż się! — wrzasnęła z całej siły. — Gdzie jesteś?! Już nie trzymam łuku, możesz wyjść! Możesz wyjść i spojrzeć mi w oczy, bo jemu nie spojrzalesz, ty szczurze!

— Łowczyni, bardzo głośno krzyczysz — powiedziano. — Chodźże tu.

Odwróciła się gwałtownie. Na progu jednej z chat siedział... a właściwie póleżał jakiś człowiek pozbawiony nóg. Krótkie kikuty okrywała brudna spódnica.

— Nie pamiętasz mnie — stwierdził. — No proszę, nie pamiętasz człowieka, z którego uczyniłaś kalekę... Miałbym o to słuszny żal do ciebie, ale sam to sprawiłem. Trudno gniewać się na własne dzieło.

— Kto strzelał? — zapytała.

— Czy to jest dla ciebie najważniejsze? Ale dobrze. Ja.

To rzekłszy uniósł rękę. W dłoni pojawiła się strzała. Cisnął ją niedbale w powietrze i patrzył, jak strzeliła do góry, zawróciła i kręcąc obszerną spiralę dotarła do ściany domu. Utkwiła o łokieć od progu.

— Kim jesteś? — zapytała zdławionym głosem.

— Kimś, komu twój miecz odjął nogi. Ale przecież nie pamiętasz? O, to przykre. Sprzymierzyłaś się z Brulem przeciw mnie. Prawda, wszyscy sądzą, że było akurat odwrotnie. Że twym wrogiem był Brule, nie ja...

Przecząco pokręcił głową.

— Brule-Przyjęty dobrze rozumiał Szerń. Ale, właśnie, był tylko mędrce Szerni i potrzebował miecza. Oraz kogoś, kto potrafi go trzymać. Przyszedł do Łowczyni i poprosił o pomoc, a mężna i szlachetna Łowczyni chętnie mu tej pomocy udzieliła. Jak zwykle głupia, bardziej niż zwykle bezmyślna... Brule był niezwykle groźnym przeciwnikiem — w głosie kaleki zabrzmiał szczerzy szacunek — i gdyby twój miecz był na miarę jego rozumu... Ale nie był. Zesłałem na Brula szaleństwo, a on

chętnie podzielił się nim z tobą. To, że mało pamiętasz, to już moja wyłączna zasługa.

Milczała, z nieruchomym spojrzeniem wbitym w okrytą cieniem twarz mężczyzny.

— Siedzę tu i czekam — rzekł z nagłym gniewem. — Całymi miesiącami karmię jakąś kocicę ubraną w ludzką skórę, a po co? Żeby zamiast ciebie przywołała tu jakieś stado! Złazi się tu wszystko, co żyje!

Nieoczekiwanie znowu zmienił ton.

— W tym wąwozie leży Wstęga Aleru — powiedział cicho i łagodnie. — Cała Wstęga, nie jakieś szczątki. Dość ją zbudzić i podnieść. Przyjdzie na to czas. Już niedługo. A tymczasem mam ciebie, Łowczyni. Ach, Łowczyni! — roześmiał się głośno. — Ależ mnie bawiło to miano! Zawsze mnie bawiło, naprawdę. Chciałaś, żebym spojrzał ci w oczy — rzekł ostro — No, to... wedle życzenia.

Pochylił się i ujrzała jego źrenice. A wtedy pojęła, że nie można uciec przeznaczeniu... Wiele razy widziała takie oczy, nauczyła się opierać ich sile. Ale teraz była bezbronna — bo nieprzygotowana.

Głęboko, do samego dna jej umysłu i duszy, wdarło się spojrzenie nie będące spojrzeniem człowieka. Patrzyły na nią oczy śmiertelnego wroga...

Oczy sępa.

— Uklęknij — polecił.

Przyglądał się z zaciekawieniem, potem zamyślił na krótko.

— No Łowczyni, czy wiesz już, jakiej śmierci na pewno byś nie chciała?

Zamilkł i wyraźnie czekał na odpowiedź. Klęcząc, bezgłośnie poruszyła ustami. Ujrzała naraz całe swoje nieudane życie — od momentu, gdy znalazła się w Grombelardzie. Swoją pierwszą przegraną walkę z siłą sępich oczu. Potem człowieka, którego tak bardzo, bardzo kochała... a który rozumiał to, czego nie pojęła ona: że nie mogą być szczęśliwi w Grombelardzie. W myślach zaczęła go prosić o pomoc. Był władcą Gór Ciężkich, tutaj nic nie mogło mu się oprzeć...

— Szybciej, Łowczyni — ponaglił sęp. — Kragdob wróci w Góry prędzej albo później i niewiele z tego wyniknie. A dla ciebie zupełnie nic. Nie myśl teraz o nim, tylko o gatunku, który prześladowałaś. Pomyśl o tym, za co i dlaczego. Ludzie także wyrządzali ci krzywdę. Czy z tego

powodu mordowałaś ich wszystkich, bez wyboru? Myśl, myśl!

Pokiwał głową.

— Ale to chyba na nic. Zobacz: znowu ktoś musi pomyśleć za ciebie. Zdaje mi się, że dostałaś w darze miecz? Tak, ten właśnie. Wbij go sobie w brzuch. Powoli i bardzo głęboko... Powoli, powiedziałem. Czekać, przestań! Obróć się do mnie bokiem, chcę dobrze widzieć, jak wchodzi. O tak, teraz znowu wpychaj... Jeszcze głębiej. Kiedyś, ktoś ci oddał swoje oczy. Potem przebił się mieczem, nieprawdaż? Pora spłacić dług.

Z ciekawością patrzył, jak kobieta z nabrzmiałą twarzą i wytrzeszczonymi oczyma nawleka się na trzymany oburącz miecz. Stękała bełkotliwie, przeciągle. Sztych powoli zagłębiał się w ciało, krew spływała po głowni aż do jelca, coraz gęściej kapała na ziemię.

— Przestań, wystarczy. Teraz chodź.

Podniosła się i stała zgięta, na rozdygotanych, słabych nogach. Z ust poczęła płynąć strużka krwi. Po chwili druga wypłynęła spod spódnicy i zaczęła ściekać w dół, po udzie.

— Chodź ze mną — rozkazał.

Podpierając się dłońmi, niezgrabnie sunął na kikutach nóg. Uczyniła niepewny, krótki krok, potem drugi... Charkotliwie oddychając poprzez krew, wsparta dłońmi na tkwiącym w brzuchu mieczu, powłóczyła nogami, zmierzając ku jaskini, w której wisiały głowy. Gdy zabrakło sił, opadła na kolana i czołgała się dalej, na klęczkach.

— Bez pośpiechu, mamy dużo czasu — powiedział strofująco.

Był wyrozumiały i cierpliwy

— Połóż się — polecił, gdy dotarła do miejsca, gdzie czekał.

Legła na boku, skurczona. Umierała, czując to każdym kawałkiem udreżonego ciała. Popatrzył na nią i sięgnął po płaski, ostry kawałek skały.

Z szarych oczu, które kiedyś otrzymała w darze, spływały ogromne łzy.

Wepchnął skalny odłamek w jeden z oczodołów. Kobieta charczała, zaciskając zęby. Krew mocniejszym strumieniem wypłynęła pomiędzy skurczonych warg.

— Patrz tutaj — rozkazał, pokazując wyrwane oko. — Ostatnia rzecz, którą widzisz... Co? — zapytał, wciskając okrwawiony kamień w drugi oczodół. — Ty ciągle tylko zło! Zło i dobro, wciąż dobro i wciąż

zło... Skąd ta wiedza bezcenna? Niczego się nie nauczyłaś.

Wyrwane oczy rozgniółł na miazgę.

— Nie jest celem świata podróż do samego dobra albo zła — wytłumaczył. — Wiesz, co jest tym celem? No przecież, że nie wiesz. Podczas gdy ja — w i e m.

Wyszarpnął miecz z jej brzucha. Targnęła się, wyprężyła i znieruchomiła, przyciskając ręce do rany. Niezręcznie przecinał szyję. Włożył trochę wysiłku, by przerąbać kręgosłup.

— Więc nie próbuj być mądrzejsza ode mnie. Wiedza. Do oceny czyichś działań potrzebna jest wiedza. Mój gatunek zdobywał ją przez wieki. To, co teraz robię, jest po prostu właściwe, obojętne zatem, złe czy dobre.

Uniósł głowę za warkocz i przywiązał do kołka niedaleko głowy Hel-Krehiri. Z półotwartych ust kapnęły ostatnie, spóźnione krople krwi, dwie czerwone strużki spłynęły na policzki z martwych oczodołów.

— Obojętne, złe czy dobre — powtórzył odpoczywając. — A że cię nie lubię, to rzecz inna.

Część trzecia. Prawa Całości

21.

Wicher przyniósł ulewę. Wiatr i deszcz codziennie gościły w Grombelardzie — ale takiego wiatru i takiego deszczu Ciężkie Góry nie widziały od lat. Ulice Grombu przemieniły się w istne rzeki. Pomimo rowów odwadniających, siła pędzącej wody była taka, że z nastaniem nocy nie dało się zamknąć miejskiej bramy; zostałyby niechybnie wyłamane. Opuszczono tylko bronę. Grombelardzka stolica tonęła. Przepusty pod murami, którymi zwykle wydostawał się nadmiar wody deszczowej, okazały się zbyt ciasne, wkrótce zresztą zostały zatkane przez to wszystko, co pędzące strumienie zdołały zebrać z ulic. Nikt w Grombie nie spał tej nocy. Z rosnącą trwogą mieszkańcy czekali na koniec kataklizmu.

Wycie wiatru i huk spływających z nieba wodospadów nie pozwoliły zasnąć także jej wysokości Werenie, małżonce N.R.M.Rameza, Księcia Przedstawiciela Cesarza. Stara twierdza, będąca kiedyś zbójecką sadybą, a później przemieniona w książęcą rezydencję, zdawała się drzeć w posadach. Werena leżała w wielkim łożu skulona, walcząc z chęcią skrycia głowy pod poduszką. Ciężkie Góry, Gromb, wreszcie cała warownia — wydawały się jej zawsze niezniszczalne. Ponure, zimne — przecież dawały poczucie bezpieczeństwa, sprawiały wrażenie niewzruszonych i niepokonanych. Naraz Werena ujrzała, że krępe budowle grombelardzkie mogą być zaledwie igraszką dla żywiołu... Tej nocy księżna mogłaby uwierzyć, że Pasma Szerni powołały do istnienia jakiegoś demona wichru i deszczu, którego przeznaczeniem było zetrzeć z powierzchni ziemi całe Ciężkie Góry.

Wycie i huk na zewnątrz spotężniały — ulewa przybrała na sile! Werena zerwała się i stanęła na zimnej posadzce, czując napływ prawdziwego przerażenia. Postąpiła dwa kroki w stronę okna, lecz cofnęła się, przesyta dreszczem. Sięgnęła po futro, ale nim zdążyła okryć nagie plecy, bezcenne dartańskie szyby, osadzone w posrebrzanych ramach, zostały wgniecione do komnaty potężnym uderzeniem

wichury. Mokry, lodowaty podmuch cisnął w kobietę okruchami szkła, wyrwał jej z rąk futro i potargał włosy. Krzyknęła, odruchowo osłaniając twarz przedramieniem. Skaleczona okruchem szkła ruszyła ku drzwiom, bezlitośnie smagana przez hulający w komnacie wiatr. W ciemnościach zawadziła stopą o stojący przy łożu podnózek i straciła równowagę. Na czworakach poczołgała się do drzwi i próbowała je otworzyć. Nagle rozwarły się same... Liżący ściany sypialni jęzor wichru natychmiast sięgnął ku następnym pomieszczeniom, porwał płomień z wiszących na ścianach świec i zgasił je swą wilgocią. Nie wszystkie... W słabym migotaniu pochylonych ogni, Werena ujrzała pałacowych gwardzistów, zwabionych hałasem w jej sypialni. Zdyszana, z szeroko otwartymi oczami, wyciągnęła ręce...

— Wasza wysokość!

Żołnierz rzucił włócznię i bez chwili wahania klęknął przy wystraszonej kobiecie. Dojrawszy krew na policzku, krzyknął na kolegę, który z nastawioną bronią natychmiast wbiegł do sypialni, by sprawdzić, czy nie dostał się tam jakiś zamachowiec. Tymczasem pierwszy gwardzista, nie pytając o nic, pochwycił księżną na ręce i uniósł. Widok prostego żołnierza, trzymającego w ramionach nagą, obejmującą go za szyję córkę imperatora, mógł wprawić w osłupienie. Jednak oboje byli Armekańczykami; gotowi przestrzegać form, bawić się w grzeczności i tytuły, odrzucali je natychmiast, gdy stawały się zbędnym i szkodliwym ciężarem.

Dotarłszy do jednego z dziennych pokojów księżnej, gwardzista posadził dochodzącą do siebie kobietę w obszernym fotelu i obejrzał skaleczenie na policzku. Przekonawszy się, że to nic groźnego, okrył jej wysokość własnym płaszczem, po czym natychmiast odzyskał należyty dystans. Odstąpiwszy z szacunkiem, czekał na rozkazy. Tymczasem powrócił jego towarzysz. Księżna podziękowała im gestem, więc natychmiast opuścili komnatę. Wkrótce przyniesiono więcej światła, w pokoju pojawiła się służba. Skaleczenie opatrzone, otulono jej wysokość futrami i podano grzane wino. Gorączkowa bieganina pozwoliła odsunąć myśli o żywiołach, kłębiących się za murami pałacu.

Ale — pośród licznych osób, które otaczały księżną, zabrakło najważniejszej: nie pojawił się jej małżonek... Przez ostatnich kilka miesięcy, książę Ramez zaprzątnięty był poważniejszymi sprawami, niż

zdrowie i samopoczucie żony. A od kilku dni — owe ważne sprawy pochłonęły go już bez reszty.

Otoczona przez troskliwych (lub dobrze troskliwość udających) ludzi, księżna szybko doszła do siebie. Wszystkie obawy i lęki pozostały w pustej sypialni; wycie wichru teraz nie było już jedynym docierającym do uszu odgłosem. Okazało się, że świat wciąż istnieje i właściwie nie bardzo się zmienił... Może trochę niezwykły, o tak późnej porze, był fakt, że prawie nikt nie wyglądał na człowieka wyrwanego ze snu — poza tym wszystko w pałacu wydawało się zupełnie zwyczajne. Szarpana wichrem ulewa za oknem stanowiła zaledwie nowe tło dla zwykłych, dobrze znanych rzeczy.

Odprawiwszy większość zgromadzonych, księżna pozostała w towarzystwie dwóch niewolnic. Obie były kobietami mającymi bardzo szczególne uprawnienia. W Dartanie niewolnice tej rangi nazywano Perłami Domu — i nie bez kozery zaiste. Ich wartość w złocie sięgała sum zgoła absurdalnych, lecz właśnie dlatego dom nie mający Perły nie liczył się zupełnie. Armekt, przejąwszy liczne zwyczaje i etykietę Złotego Dartanu, przejął też instytucję Perły Domu. Z jedną różnicą: w Dartanie Perłami były zwykle Armektanki; w Armekcie — akurat odwrotnie.

— Lenea — odezwała się księżna — jego wysokość Ramez, mój mąż... Gdzie on jest?

Ruda jak ogień, trzydziestoletnia kobieta, zbliżyła się i z namysłem zaczęła poprawiać potargane włosy swojej pani. Nosiła ozdobioną szlachetnymi kamieniami, haftowaną złotem suknię, której wartość urągałaby zwyczajnie zdrowemu rozsądkowi — gdyby nie to, że Perła była klejnotem wymagającym należytej oprawy. Armektańczycy, zazwyczaj nieskłonni do okazywania zamożności, w przypadku Perel czynili wyjątki.

— Pytałam — ponagliła księżna. — Gdzie jest jego wysokość?

— Tak, jakbyś nie wiedziała — niechętnie odparła zapytana.

— Ze swoimi księgami? Tak? — dopytywała się księżna.

Rudowłosa wzruszyła ramionami.

— Od tygodnia. Ostatnio nikt go nie widuje, w ogóle stamtąd nie wychodzi. Powiadają, że...

— Co powiadają? — zniecierpliwiła się Werena, gdy milczenie trwało i trwało.

— Powiadają — rzekła druga niewolnica, znacznie młodsza od pierwszej, zielonooka blondynka — że jada tam, sypia i robi do nocnika.

Werena przymknęła oczy.

— Dlaczego na to pozwalasz? — pytała młodsza z Pereł. — Od kilku miesięcy twój mąż traktuje cię jak powietrze. Nie zasłużyłaś na to. Radziłam...

— Głupio radziłaś — ucięła księżna. — Lenea, przynieś mi coś do ubrania. Ale żadne suknie, nie zamierzam stroić się przez całą noc. Sandały, koszulę i spódnicę.

— Skąd ja ci wezmę takie rzeczy? — zdumiała się Perła.

— Od praczek. Wynoś się i daj mi, co powiedziałam! — wrzasnęła Werena. — Bo wreszcie każę wyrwać tę twoją bezczelną rudą kity!

Niewolnice wymieniły spojrzenia. Blondynka parsknęła cicho przez nos. Lenea podeszła do drzwi, obejrzała się jeszcze i wyszła.

Księżna, groźna jak grombelardzka chmura, siedziała w milczeniu, bezwiednie muskając palcem ledwie co zasklepioną rankę na policzku.

— Zostaw — powiedziała łagodnie blondynka. — Rozdrapiesz.

Trafiła fatalnie.

Księżna — odwrotnie, niż Książę Przedstawiciel — wcale nie miała kapryśnego usposobienia. Z natury dość wesoła, a czasem nawet figlarna, była szczerze lubiana przez służbę i większość dworaków, w gronie żołnierzy zaś wręcz uwielbiana — nieźle strzelała z łuku, a ponieważ w Grombelardzie było owo strzelanie właściwie jedyną jej rozrywką, często stawała w szranki z kusznikami Legii Grombelardzkiej. Niewolnica w randze Perły Domu, mając taką panią, z reguły bez trudu wczuwała się w jej nastroje, łatwo też oceniała, czy księżna chce akurat mieć w niej przyjaciółkę, czy też zwyczajny podnózek. Tym razem wycucie zawiodło... Blondynka, beznadziejnie i bez sensu, uczepiła się skaleczenia na policzku.

— Werena, słyszysz? — powtórzyła. — Zostaw to w spokoju, rozdrapiesz.

Księżna powoli uniosła spojrzenie. Nagle zacisnęła wargi i celowo szarpnęła paznokciem. Kręta strużka spłynęła po twarzy.

— Odejdź! — wysyczała przez zęby. — Odejdź, ale w tej chwili! Bo ci zrobię krzywdę, mówię, jazda stąd!

Dziewczyna cofnęła się, przestraszona nie na żarty.

— Wasza wysokość — szepnęła — ja... przepraszam. Już idę, wasza wysokość... Przepraszam.

Werena wskazała drzwi. Dartanka wycofała się ku nim, skłoniła nisko i bezszelestnie zniknęła. Księżna zagryzła usta i opuściła rękę. Marszcząc brwi, rozmazała krew na policzku. Rozważała coś w myślach. Nie były to dobre myśli... Usta siedzącej kilkakrotnie wygięły się w grymasie mrocznej pogardy, bólu i gniewu. Poruszyła nimi, jakby układając sobie coś, co wkrótce miała powiedzieć.

Po pewnym czasie wróciła Lenea. Prawdopodobnie usłyszała to i owo od wyrzuconej za drzwi towarzyszki, bo zachowywała się bardzo powściągliwie. Skłoniwszy głowę, czekała w pewnej odległości, trzymając rzeczy, po które ją posłano. Werena odrzuciła swoje futra i skinęła na znak, że chce zostać ubrana. Perła natychmiast podeszła.

— Idę rozmówić się z księciem — oznajmiła bez żadnych wstępów księżna. — Możliwe, że to potrwa trochę, a możliwe, że skończy się na dwóch słowach... Nieważne — uniosła ręce pozwalając, by Perła nałożyła jej koszulę. — Między moimi pismami, wiesz gdzie, znajdziesz jedno zapieczętowane. Przynieś mi je zaraz... Co to jest?

Ostatnie słowa dotyczyły obuwia, które niewolnica chciała nałożyć na boscie stopy swojej pani. Dartańska nowinka już od pewnego czasu gościła we wszystkich krainach cesarstwa: kobiece obuwie zaopatrywano w koturny, niskie z przodu, a bardzo wysokie z tyłu; podkreślało to smukłość nóg i sylwetki.

— Wasza wysokość? Ja... nie rozumiem?

Zdumienie niewolnicy było szczere; księżna od dłuższego czasu nie nosiła na nogach nic innego, słusznie doceniając wspaniałe zalety wynalazku.

— Zabierz to! — rzekła ze złością Werena. — Nie muszę się nikomu podobać! Co chcesz ze mnie zrobić? Ladacznice?!

Ze złością kopnęła obuwie w kąt pokoju.

— Ja... przyniosę inne — powiedziała pokornie Lenea.

Werena uśmiechnęła się krzywo.

— Pójdę boso — powiedziała z pogardą.

Perła nie śmiała oponować.

22.

Ponura, kamienna warownia, wzniesiona przed wiekami przez grombelardzkiego rozbójnika-rycerza, zupełnie nie nadawała się na siedzibę cesarskiego przedstawicielstwa. Cóż — w obrębie murów Grombu, tak czy owak była to największa budowla. Kwestie obronne przestały mieć znaczenie, podwyższono więc baszty i wieże, Co z tego? Wokół grombelardzkiego władcy skupiała się tak znaczna ilość osób, że niepodobieństwem było zapewnienie godziwych warunków... nawet książęcej parze. W Kirlanie pałac cesarski, będący miastem w mieście, oddawał jedynej córce imperatora blisko dwadzieścia pokoi i komnat. W Grombie, Werena zadowolić się musiała trzema niewielkimi izbami oraz „komnatą sypialną” — zimną, ponurą jaskinią, gdzie pod makatami wiszącymi na ścianach zbierały się krople wody. Była to jednocześnie sypialnia księcia Rameza. Małżeństwo władców Grombelardu musiało sypiać razem — czy chciało tego, czy nie... A jednak, spośród wszystkich osób mieszkających w pałacu, jej wysokość miała do dyspozycji najwspanialsze apartamenty. Książę Ramez zadowalał się tylko dwiema niewielkimi izbami... Oraz swoją „samotnią”.

Zamiłowanie cesarskiego zięcia do starych roczników i kronik było powszechnie znane. Objąwszy w Grombie urząd Przedstawiciela, Ramez musiał zrezygnować z większości przyzwyczajzeń i zainteresowań. Pozostawił sobie tylko to jedno. Czasem raz w miesiącu — a czasem, gdy było to możliwe, nawet kilka razy w tygodniu, uciekał do swojej wieży, by zgłębiać tajemnice historii Szereru. Nierzadko czynił to kosztem wypoczynku i snu. Dwór szybko przywykł do tego szczególnego dziwactwa — tym bardziej, że książę nie zaniedbywał spraw prowincji, przeciwnie; był bodaj najbardziej stanowczym i zdecydowanym władcą, jaki kiedykolwiek rządził Grombelardem. Lecz tylko do czasu, gdy porwano księżną Werenę. Od tamtej pory książę Ramez stał się innym człowiekiem, roztargnionym, nieuważnym, wiecznie zamyślonym... Pograżył się w swoich księgach, pragnąc chyba zrozumieć największe tajemnice świata; szukając odpowiedzi, których Pasma Szerni, skryte za kopułą nieba, udzielały tylko wybranym, przyjętym przez siebie istotom.

Ale zmienił się nie tylko książę Ramez. Wszystko się zmieniło; można by przypuścić, że porwanie Wereny i próba poruszenia martwych Wstęg Aleru, zapoczątkowały jakiś niepojęty proces rozpadu

Grombelardu... Wielu sądziło wówczas, że Przedstawiciel Cesarza, zmuszony sytuacją, powróci do swego normalnego sposobu bycia. Ten człowiek lubił i potrafił działać! Lecz stało się inaczej: jego wysokość uczynił wszystko co mógł, by chaos w prowincji narastał, zamiast maleć. Zabronił wzmacniania ruszających w góry patroli. Nie pozwolił przydzielać żołnierzy do eskorty kupieckich karawan. Ignorował raporty Trybunału Imperialnego, rozporządzającego armią szpiegów i donosicieli. Mało tego: zdjął ze stanowisk bądź surowo ukarał kilka osób, które na własną rękę i odpowiedzialność chciały coś przedsięwziąć... Słowem — mogło się wydawać, że upadek Drugiej Prowincji jest tym, czego Książę przedstawiciel potrzebuje najbardziej.

Dopiął swego. Rozprzężenie wkrađło się najpierw w szeregi Legii Grombelardzkiej. Źołnierze gotowi byli strzec porządku, walczyć, a nawet umierać — do wojska brano samych ochotników, z których każdy wiedział, co mu przyjdzie robić. Ale naraz okazało się, że posyłają ich nie tyle do boju, co na rzeź; kilkusobowe patrole dobre były w górach wtedy, gdy nie działo się tam nic specjalnego. Pośród wściekłej wojny wszystkich ze wszystkim, słabe i niedozbrojone oddziały przepadały jeden po drugim. Morale upadło, a potem (rzecz w cesarskich legiach zgoła niesłychana) poczęła się szerzyć dezercja. Niedługo trwało, jak wojsko zupełnie zniknęło z Ciężkich Gór. Nie pilnowano nawet traktu, łączącego grombelardzkie miasta. Wojskowy patrol można było spotkać co najwyżej na ulicach Grombu, Badoru lub Riksu, jednak zdemoralizowani żołnierze raczej sami wszczynali burdy, niżli im zapobiegali.

Szlak, którym nie dało się bezpiecznie przejechać i ulice, na których w biały dzień można było paść ofiarą rabunku, pobicia, albo i zabójstwa, nie były dobrym miejscem dla kupców. W Grombelardzkich miastach zapanowała drożyzna. Widmo nadciągającego głodu stało się nowym bodźcem do popełnienia przestępstw; przecież, kto nie mógł chleba kupić — ten kradł... Wkrótce poczęli opuszczać Grombelard co zamożniejsi, a niepewni swego losu mieszkańcy. Raz i drugi wszczęły się jakieś rozruchy; chociaż najpierw słabe — to i tak ledwo stłumione przez to, co pozostało z Legii Grombelardzkiej. Trybunał bił na alarm, przewidując niedaleki wybuch prawdziwego buntu.

Dokonawszy świetnego dzieła, książę Ramez już na dobre wyniósł

się do swojej samotni — i zwyczajnie zamieszkał tam. Przyjmował tylko kilku zaufanych niewolników, nie widywał się z nikim, nie interesowało go zupełnie nic.

Poza jednym: studiował swoje księgi.

*

Na krętych schodach siedzieli dwaj żołnierze. Ujrawszy idącą ku nim kobietę, wymienili zdziwione spojrzenia, po czym podnieśli się.

— Stać — rozkazał jeden z wartowników... i przestraszył się, poznawszy księżną Werenę.

— Wasza... wysokość — powiedział, prostując się i wspierając na włóczni.

Próbował zapanować nad zdumieniem — ale widok potarganych włosów, prostej spódnicy i koszuli, a na koniec bosych stóp cesarskiej córki, wprowadził go w osłupienie. Dodatkowo dojrzał po chwili, w migotliwym świetle płonącej na ścianie pochodni, drobny krwawy ślad na jej policzku.

— Wasza wysokość — powtórzył — nie poznałem waszej...

— Księżę; czy on tam jest? — zapytała sucho, choć niegłośnie.

— Tak, wasza wysokość.

— Dobrze. Zejdźcie niżej, chcę rozmówić się z księciem — powiedziała. — Nie powinniście nic słyszeć. Niech nam nikt nie przeszkadza.

Żołnierz otrzymał rozkaz, by prócz dwóch służących nie wpuszczać do księcia nikogo. Ale teraz nie wiedział, czy mógł obejmować ów rozkaz także jej wysokość. Tak czy owak, nie umiałby zabronić księżnej wstępu.

— Tak, wasza wysokość.

Minąwszy wartowników, pokonała jeszcze kilkanaście stopni i stanęła przed solidnymi, okutymi żelazem drzwiami. Pchnęła je mocno i przekroczyła próg małej, ciasnej izby. Zaraz zamknęła drzwi na powrót; przez chwilę mocowała się z wielką zasuwą, aż wreszcie żelazo ustąpiło ze zgrzytem i huknęło, osiągnąwszy koniec prowadnicy. Odwróciła się i dopiero wtedy spojrzała na męża.

W kamiennej izbie, oprócz stołu i krzesła, znajdowały się tylko półki. Leżały na nich księgi, jakieś pliki czystych i zapisanych kart, przybory do pisania, zwoje pergaminów... W kącie było posłanie, zarzucone licznymi futrami; w drugim kącie spiętrzone stos wielkich

kamieni. Przynoszono je tutaj gorące, prosto z ognia, by osuszyć i ogrzać pomieszczenie.

W milczeniu mierzyli się wzrokiem — oboje zdumieni, a nawet przestraszeni tym, co widzą. Ramez nigdy dotąd nie oglądał żony w podobnym stroju; owszem, raz i drugi, podczas zabawy z łukiem... Ale przecież i wtedy włosy nosiła odpowiednio upięte, nie miała krwi na twarzy, nie biegła boso... Wreszcie — ani spódnica, ani koszula, nie były w oczach Armektańczyka czymś nagannym. Synowie i córki Równin bardzo cenili prostotę. Musiała być jednak połączona z dobrym smakiem. Wygnieciona, niedbale zawiązana koszula, nie miała z tym nic wspólnego.

Ze swojej strony — Werena oglądała zmęczonego, przedwcześnie postarzałego, apatycznego człowieka z podkrążonymi, czerwonymi od bezsenności oczami, ubranego w wymiętą, a nawet nieco brudną szatę. Gdy przetarł twarz dłońmi, dostrzegła zaniedbane paznokcie.

Przyszła ze szczerym gniewem, niosąc dla męża wiele ostrych słów. Teraz przeraziła się ujrzawszy, jak wyglądał.

— Na Szerń, jak ty wyglądasz? Co się stało? — zapytała z prawdziwym bólem, zmieszana.

Ale w tej samej chwili on także zaczął mówić i dwa głosy złąły się w niezrozumiałą plątaninę słów. Zamilkli oboje. Potem znów jednocześnie otworzyli usta... Odchylił się na krześle do tyłu i pokazał ręką, żeby mówiła.

Wichura i deszcz szalały na zewnątrz wieży. Pośród ciężkiego milczenia, wyraźnie dało się słyszeć dziwne zgrzytanie i skrzypienie, dobiegające gdzieś z wnętrza budowli. Werena odniosła wrażenie, że stołp drga i kołysze się pod naporem wiatru.

Uczylińa dwa powolne kroki i odwróciła spojrzenie.

— Jak ty wyglądasz... — szepnęła. — Dlaczego tu siedzisz, powiedz?

— A gdzie mam siedzieć? — zapytał po długiej chwili i usłyszała w jego głosie prawdziwe, choć przygniecione znużeniem, zdziwienie.

— Jak to gdzie? No chyba... w naszej sypialni? — powiedziała zupełnie bezradnie. — Jest noc, niedługo świt. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Chyba istotnie nie wiedział. W izdebce nie było okien. Przedstawiciel stracił rachubę czasu...

Popatrzyła mu w oczy — i raz jeszcze przestraszyła się tego wszystkiego, co w nich było. Rezygnacja. Zmęczenie. Żal, smutek, trochę wstydu... Dużo, dużo goryczy. I jakiś dziwny, tępy upór.

— W sypialni? — westchnął i zamyślił się głęboko. — W sypialni... — powtórzył. — No tak.

Po czym zamilkł znowu.

Podeszła do posłania i usiadła pośród futer, podwijając nogi pod siebie. Zaczęła nerwowo skubać brzeg spódnicy.

— Posłuchaj, ja mam tego dosyć — oznajmiła cicho. — Staralam się pomóc, bo prosiłeś mnie o to. Nic nie rozumiałam i nadal niewiele rozumiem, jednak pomagałam ci, bo uwierzyłam, że tak trzeba. Teraz myślę, że zrobiłam źle.

Ramez milczał.

— Za pół roku — podjęła po krótkiej chwili — tutaj będą tylko gruzy. Nie kocham tego kraju, dobrze wiesz. Ale mój ojciec powierzył ci pieczę nad nim. Przecież zdajesz sobie sprawę, że w Kirlanie wiedzą o wszystkim? Trybunał śle raport za raportem, wszystkie alarmujące. Za miesiąc lub dwa, ojciec pozbawi cię urzędu. A może... może nawet wcześniej niż za miesiąc. Pokazałam ci listy, które przysłał.. Kłamałam odpisując, że nic złego nie dzieje się tutaj, kłamałam, dla ciebie. Teraz tego żałuję, naprawdę. Zresztą, ojciec to bardzo mądry człowiek, przecież wiesz. Ale i dumny. Nie ścierpi bezczelności nawet... a może zwłaszcza... od własnej córki, cóż dopiero od zięcia. Posłuchaj, myślę że powinnam napisać mu całą prawdę. Myślę... myślę, że powinieneś odejść z Grombelardu.

Pokiwał głową.

— A jednak nie odejdę — rzekł spokojnie. — Nie odejdę, Wereno, choćby próbowano zabrać mnie stąd siłą. Mam tu misję do spełnienia i jeśli nie pojmujesz jej wagi, to tym gorzej. To znaczy, że zostałem sam. Miałem nadzieję, że będziesz mnie wspierać do końca. Bardzo tego potrzebuję, Wereno.

Milcząco pokręciła głową.

— Niech i tak będzie... — rzekł smutno. — Prawdę mówiąc, od początku musiałem się liczyć z taką możliwością.

Zagryzła usta.

— To bez sensu... — szepnęła.

Ramez ożywił się nieoczekiwanie.

— Bez sensu? Co jest bez sensu? — zapytał prawie ostro. — Czy zrozumiesz wreszcie, że nie ma najmniejszego znaczenia to, co dzieje się teraz w Grombelardzie? Ludzie giną? No i bardzo dobrze. Głodują, uciekają stąd? Jeszcze lepiej! Masz rację, ależ oczywiście, że masz rację! Za rok, a może już tylko za pół roku, z całego tego kraju nie zostanie nawet kamień na kamieniu! Czy dotarło to do ciebie, że gdybym tylko potrafił, wygoniłbym stąd wszystkich? Wkrótce całe te góry rozlecą się jak kopnięta kupa pierza... o, słyszysz? — wyciągnął rękę, jakby chcąc pokazać to wszystko, co kłębiło się, wyło i huczało za ścianą. — To tylko zwykła burza, może trochę silniejsza, niż zwykle. Czy potrafisz wyobrazić sobie huragan sto razy potężniejszy?

Zerwał się nagle, zdjął z półki ogromną księgę i z łoskotem umieścił na stole. Oparł dłonie na skórzanej oprawie.

— A może tak zechcesz przemóc lenistwo i posłuchać? Chętnie przetłumaczę dla ciebie rozważania Wielkiego Dorlana i wielu, wielu innych mędrców Szerni. Dowiesz się, jak wyglądały zmagania wielkich potęg, zmagania Aleru z Szernią. Dowiesz się, co nastąpi, gdy wskrzeszone zostaną Srebrne i Złote Wstęgi.

— Ale ty przecież tego pragniesz?

— Tak! — zawołał. — Oczywiście, że pragnę! Powiedzże, dlaczego nigdy nie słuchasz mnie uważnie? Tłumaczyłem ci przecież to wszystko! Pragnę wskrzeszenia Wstęg, bo wiem, dlaczego ta wojna jest konieczna! Ludzie, koty i sępy, wszystkie istoty rozumne, nie powstały ot tak sobie! Jesteśmy strażnikami stworzonego świata i strażnikami samej Szerni! Zrozum że to wreszcie!

— Nie krzycz proszę — powiedziała. — Nienawidzę tego.

Puścił jej słowa mimo uszu.

— Szerń stworzyła Prawa Całości, ale teraz sama tym Prawom podlega — powiedział. — Tłumaczyłem przecież. Pasma Szerni nie mogą wydać wojny Wstęgom Aleru. A powinny. Tysiąclecia minęły od chwili, gdy Aler przegrał pierwszą wojnę z Szernią. Wkrótce będzie potężny, zapewne nawet potężniejszy, niż kiedyś. Podejrzewa się — oparł dłoń na Księdze Całości — że Aler przybył tutaj znanego innego świata, być może świata własnego, który wydarła mu jakaś inna potęga. Światów takich jak Szerer, są zapewne na Bezmiarach dziesiątki, a może nawet setki.

Pokonane moce Aleru przebyły niezmierzone przestrzenie, słabnąc. Nie były groźnym przeciwnikiem dla Szerni. Ale teraz Aler nie przybędzie z drugiego końca Bezmiarów. Jego Wstęgi, odepchnięte przez Szerń, rozpostarły się przecież tutaj, tuż obok, nad wydartym Szerni północnym krańcem naszego kontynentu. Upłynęło dość czasu by treści Aleru okrzepły, nabrały nowej mocy. Dojdzie do nowej wojny, i tym razem Szerń może zostać pokonana. A nawet, jeśli tak się nie stanie, to wojna będzie długa, zmagania zaś gwałtowne. Kto wie, jaka kraina zostanie obrócona w perzynę? Może Armekt? Czy pomyślałaś o tym? Że to może być nasz Armekt? Wielkie Równiny... tylko pomyśl! Przecież właśnie tam przebiega granica między Alerem a Szernią.

Zamilkł, jakby czekał na odpowiedź.

— Wojna jest nieunikniona — powtórzył raz jeszcze, po upływie pewnego czasu. — Dojdzie do niej prędzej, albo później. Ale im wcześniej, tym lepiej, dlatego trzeba ją sprowokować już teraz. I sprawić, by rozegrała się tutaj, nad grombelardzkimi górami. Trzeba, by Wstęgi Aleru wymierzyły cios Pasmom Szerni. Dzisiaj... jeszcze nie jest za późno. Jeśli wojna zacznie się tutaj, to siły Aleru przepłyną ponad Wodami Środkowymi, omijając Armekt, i wesprą walczące nad Ciężkimi Górami, osamotnione Wstęgi. Dlatego trzeba je wskrzесиć. Dzisiaj Aler jest słabszy od Szerni, zostanie więc pokonany szybko i niewielkim kosztem, bo bitwy nad tą kamienną pustynią przysporzą światu mniej cierpienia niż wieloletnia wojna nad Armektem albo Dartanem. Za sto lub trzysta lat, Aler będzie potężny, zbyt potężny. Jego siły szybko wzrastają. Przecież tłumaczyłem ci to wszystko. Dlaczego nie chcesz zrozumieć?

— Bo nie chcę.

— Dlaczego? — nalegał.

— Bo nie chcę i już.

Podniosła się.

— Robiłam to, o co mnie prosiłeś. Kłamałam, udawałam że nic się nie dzieje. Ale tylko dla ciebie. Nie dla jakiejś wojny, która może nastąpić za lat sto albo pięćset. Nic mnie to nie obchodzi. Nie sądziłam, że tak to będzie wyglądało...

— Że co będzie tak wyglądało?

— No.. to. Że Grombelard zacznie się rozpadać niczym próchno. Że będę się wstydzila spojrzeć ludziom w oczy. Wszyscy patrzą na mnie i

myślą, że mam męża szaleńca... albo nawet zbrodniarza, kto wie. Może nieudacznika. Mogę poświęcić wiele, ale nie poświęcę ciebie i siebie z powodu jakichś zmagania, co to nastąpią za ładnych kilka wieków. Kto wie, co będzie za tych kilka wieków? Kogo to obchodzi?! — zawołała rozdrażniona. — Mam tylko jedno życie i chciałam przeżyć je z tobą. Przecież nie możemy mieć dzieci — uniosła wzrok i przygryzła lekko usta. — A nawet... jeśli kiedyś będziemy je mieli, to i one tej wojny nie dożyją. Ale na razie nie mamy, nie możemy. Jeszcze jedno przekleństwo... Mam tylko ciebie, tylko ciebie, słyszysz? — powiedziała z ogromną powagą. — Kocham cię. I tracę. Doprowadzisz do tego, co sobie zamierzyłeś, a potem już do końca życia będziesz patrzył na mnie tak, jak dzisiaj, gdy tu weszłam. Ze wstydem, bólem i jakimś... jakimś zapiekłym gniewem na los, który tak pokierował twoim życiem. Nie pozwolę. Przygotuj się, że będę walczyć o ciebie. O nas.

Spoglądał na nią bez słowa.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — mówiła dalej — by te Wstęgi nie zostały wskrzeszone. Może jeszcze nie jest za późno. Mam przyjaciół, którzy wiele potrafią. Wprawdzie o Łowczyni słuch zaginął i... bardzo się o nią boję. Ale jestem córką cesarza. I wiesz, co zrobię najpierw? Pchnę gońca do mojego ojca. Imperator dowie się o wszystkim, a raczej uzyska potwierdzenie tego, co już wie, bo urzędnicy Trybunału jako jedyni ciągle robią to, co do nich należy. Zresztą nie wiesz jeszcze, że przez ostatnie dwa miesiące nie byłam do końca lojalna względem ciebie... Zasłużyłeś! — oskarżycielsko wycelowała palec. — Zasłużyłeś sobie na to! Posłałam list do Kirłanu, w którym nic nie wyjaśniam, co prawda, ale sugeruję między wierszami pewne rozwiązanie. I zostałam dobrze zrozumiana. W odpowiedzi nadeszły dwa listy, których treści nie znasz. Jeden od ojca, a drugi od matki.

— Co było w tych listach? — zapytał stłumionym głosem.

— Od matki otrzymałam... dobre rady. A ojciec odczytał moje sugestie...

— Co było w tych listach? — powtórzył niecierpliwie, przerywając.

— Ojciec pyta, czy nie zechciałabym przyjąć tymczasowej nominacji. Proponuje mi namiestnictwo Trybunału w Grombie i specjalne, wyjątkowe uprawnienia. Dość, bym powiedziała „tak”. A dobre rady matki sprowadzają się do tego, bym poważnie przemyślała propozycję

ojca. I... coś jeszcze...

Odwróciła spojrzenie.

— Matka radzi — powiedziała cicho — bym oddała ci list rozwodowy. Uważa, że powinnam zawiesić małżeństwo na rok, albo chociaż pół roku... Do czasu, aż zostanie orzeczona twoja poczytalność, lub brak poczytalności. To wszystko.

Przedstawiciel prostował się powoli. Dotykem odszukał krzesło za plecami i usiadł.

— Co zamierzasz? — zapytał ze spokojem aż nienaturalnym.

Smutno popatrzyła mu w oczy.

— Jeszcze dzisiaj poślę do Kirlanu dwa razy „tak”. Chyba... — z wysiłkiem przełknęła ślinę. — Chyba, że... — poddała raz jeszcze, z naciskiem, nawet nie próbując ukryć, że prosi.

Czekała, ale Ramez milczał.

— Więc postanowiliśmy, czy tak?... — zapytała na koniec niepewnym, stłumionym głosem.

Wydobyła zza koszuli niewielki rulonik pergaminu, opatrzony jej osobistą pieczęcią.

— Spisałam to przy świadkach — głos jej się załamał. — I powinnam... powinnam wręczyć ci tak samo... wtedy nabierze mocy. Dopełnimy formalności jeszcze dzisiaj. Nie jestem już twoją żoną i nie będę nią... przez najbliższe pół roku.

Położyła pismo na stole i rozpłakała się.

23.

Na dnie posępnej, ciasnej rozpadliny, leżała wieś zwana Bezpowrotem, a najczęściej po prostu Jarem. Dziwne miejsce, będące — jeszcze nie tak dawno — czymś w rodzaju stolicy Hel-Kreheri, legendarnej już za życia królowej górskich rozbójników. Teraz wieś wyglądała na opuszczoną: brama w palisadzie stała otworem, nigdzie nie dało się dostrzec wartownika... Także w głębi rozpadliny, za palisadą, nie było widać żadnego ruchu, żadnych oznak życia.

Stary, pochylony ku ziemi człowiek, z przewieszoną przez ramię dużą torbą podróżną i dziwacznym, strunowym instrumentem na plecach, nie wyglądał na kogoś, kto potrafiłby przemierzyć Ciężkie Góry.

A jednak tak właśnie być musiało; przecież ów wędrowiec nie pojawił się znikąd. Powoli, ale bez wahań, zmierzał ku otwartej bramie. Wydawało się, że cisza i bezruch panujące w wiosce nie dziwią go, ani nie martwią. Nie przystanął, nie rozejrzał się dokoła; owszem, kontynuował swój miarowy i spokojny marsz.

Przeszedłszy przez bramę, starzec zatrzymał się na chwilę. Uniósł głowę. Pośród słabej mżawki dało się dojrzeć wyzierającą spod kaptura siwobrodą twarz. Głęboko osadzone, trochę nieobecne oczy spoglądały w kierunku, gdzie na mokrej ziemi widniał okrągły, czarny ślad, coś jakby pogorzeliśko. Zbliżywszy się, wędrowiec rozgarnął stopą utworzone z mokrej sadzy i popiołu błoto, odsłaniając... chyba fragmenty nie spalonych do końca kości. Raz jeszcze uniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Potem sięgnął za plecy i poprawił pudło instrumentu. W trakcie tego — na lewej łopacie wyraźnie zarysował się garb, przysłonięty dotąd przez dźwigany bagaż. Wędrowiec był kaleką.

Obejrawszy domy, a także otwory ziejących w skalnej ścianie jaskiń, starzec ruszył dalej. Mogło się wydawać, że odkrył coś szczególnego, bo w jego poruszeniach znać było niejaki ożywienie. Zmierzał wprost ku jednej z pieczar. Dotarłszy doń, wszedł w mroczną czeluść i przez chwilę stał nieruchomo, pozwalając by oczy przywykły do ciemności. Potem, krok za krokiem, posunął się głębiej.

W jaskini cuchnęło zgnilizną. Mocna krata, utworzona z powiązanych drewnianych prętów (wyglądały jak drzewca włóczni, od których odjęto groty) przegradzała niską pieczarę na pół. W głębi, po drugiej stronie kraty, spoczywał na skalistym podłożu jakiś bezkształtny tobół. Przypatrzwszy się bacznie, garbus poznał, że jest to bezgłowe ludzkie ciało, w stanie daleko posuniętego rozkładu. Zaraz potem nastąpił na coś nogą — i odkrył drugie zwłoki, w takim samym stanie.

Na jednej ze ścian jaskini zawieszono były czaszki, okryte resztkami przegniłego mięsa. Sądząc po długich włosach, dwie głowy należały do kobiet. Trzecia — była głową kociego wojownika. Okrywał ją, mocno przypięty, zardzewiały już nieco koci hełm: płaska stalowa miska z wycięciami na uszy, uwieńczona mocną ostrogą. Groźny oręż został ułamany w połowie swej długości.

Garbus pokiwał głową i zwrócił się ku wyjściu. Szare światło, wdzierające się do jaskini, pokazało jego mocno zaciśnięte usta.

Ponownie znalazłszy się na zewnątrz, starzec nie poszukał schronienia w żadnym z domów. Oddaliwszy się nieco od wstrętnej, cuchnącej śmiercią groty, usiadł na dużym skalnym okruchu i zdawał się na coś czekać. Po jakimś czasie zdjął z pleców mokry instrument, sięgnął do torby i wydobył zeń nieduży bukłak. Odetkawszy go, pociągnął spory łyk. Wstrząsnął lekko; zapewne w bukłaku była wódka.

Potem dalej siedział na skale.

Deszcz ustał. Garbus raz jeszcze uniósł głowę, przez chwilę patrzył w niebo, wreszcie zsunął do tyłu kaptur płaszcza i odezwał się trochę drżącym, ale jednak dość dobitnie brzmiącym głosem:

— Nie jestem cierpliwy. Nie aż tak cierpliwy.

I po chwili dorzucił:

— Długowieczność nic tu nie ma do rzeczy. Można być nawet nieśmiertelnym, a pomimo to kąpanym w gorącej wodzie. Chyba już dość się naczekałem, nieprawdaż?

Minęła długa chwila — wyszło na jaw, że stary wędrowiec bynajmniej nie był kimś, komu deszcz pomieszał w głowie wszystkie klepki; nie mówił sam do siebie...

Na progu jednej z chałup pojawiła się dziwaczna postać. Człowiek, ów począł zmierzać w stronę siedzącego na kamieniu przybysza. Poruszał się na rękach i kikutach ud... Wobec tego kalectwa, garb starca sprawiał wrażenie zaledwie drobnej ułomności; przecież tak czy inaczej, owo spotkanie dwóch kalek, w samym sercu grombelardzkich gór, miało w sobie coś groteskowo-niesamowitego.

— Ta wioska należy do mnie — rzekł beznogi mężczyzna. — Nikogo tu nie zapraszałem. Kim jesteś, starcze, i co cię tu sprowadza?

Garbus zacisnął usta, tak samo jak wcześniej w jaskini.

— Ten jeden raz miałem nadzieję, że nie będą mnie pytać, kim jestem. Nie wiesz? — zapytał gorzko i z niejakim rozdrażnieniem. — Ty, ty mnie pytasz, kim jestem? Więc co ja tu robię właściwie?!

Wstał ze swojej skały, jego gniew był nieudawany. Sięgnął po instrument, jakby naprawdę zamierzał odejść.

Tamten milczał, marszcząc ciemne brwi.

— Ach! — zawołał nagle starzec, z przesadnym zachwytem i uznaniem. — Doskonale! Naprawdę doskonale!

Odłożył instrument i usiadł na powrót. Pochylił się, jakby słuchał...

— Oczywiście! — rzekł, prostując się i unosząc rękę. — Wolałbym jednak słyszeć twój głos, przyjacielu. Zmaganie się z chaosem czyichś myśli już dawno przestało mnie bawić. Zresztą nigdy mnie nie bawiło.

— Wybacz panie — rzekł pokornie beznogi mieszkaniec wioski. Po czym dodał: — Od tak dawna czekam tu na ciebie, że już prawie zwątpiłem, czy przyjdiesz.

Garbus skinął głową.

— Wielu wątpi, czy w ogóle istnieję — skwitował. — No dobrze.

Przez chwilę trwało milczenie. Na koniec starzec rozejrzał się dokoła.

— Jesteś tutaj sam? — zapytał.

Kaleka potwierdził, po czym nieoczekiwanie uśmiechnął się gorzko.

— Tutaj, panie? W ogóle. Jestem sam i pozostanę sam, aż do końca. Przybrawszy człowieka postać, przybrałem sobie też imię, ale sam dla siebie używam imienia innego. Nazwałem się: Heneghel Get.

— Ostatni i Jedyne? — zdziwił się garbus. — Dlaczego?

— Czyżbyś naprawdę nie wiedział panie? Jak to możliwe? — w głosie mężczyzny rozbrzmiała na powrót obudzona nieufność.

Starzec milczał przez chwilę; zdawał się znowu nasłuchiwać...

— Więc taka była cena... — szepnął wreszcie, pochmurniejąc. — Nie wiedziałem — dodał ze smutkiem. — Oczywiście, że nie jestem wszechwiedzący — wyjaśnił i zaraz zapytał tak, jak tamten przed chwilą: — Nie wiedziałeś o tym? Jak to możliwe? Jestem, synu, tylko Strażnikiem Praw Całości. Istotą żywą i ułomną. Cóż z tego, że nieśmiertelną? To nie zapewnia wszechwiedzy.

Pokiwał głową.

— Jakże, synu? Wszechwiedza jest nieosiągalna nawet dla Pasm Szerni. W jaki sposób ja miałbym ja posiadać? Powiedz mi.

Beznogi człowiek odwrócił spojrzenie.

— Dajmy temu spokój — rzekł garbus. — Chciałbym się dowiedzieć, co tu zaszło. Te kości... — wskazał czarny krąg na ziemi — te zwłoki i głowy w jaskini... Co to wszystko ma znaczyć?

— Strzegę Srebrnej Wstęgi Aleru, leżącej w tym wąwozie — odrzekł z wielką powagą, a nawet pewną surowością zapytany. — Jeszcze nie pora, by ją wskrzesić. Mam więcej czasu, niż sądziłem najpierw. Nie chcąc trwać w bezczynności, podjąłem starania, by usunąć jak

największą liczbę tych, którzy chcieliby, lub nawet tylko mogli, zagrozić mojej misji.

— Czy to potrzebne?

— Uważam, że tak. Żyjemy w bardzo niezwykłych czasach, panie.

— Zaiste. Ale co szczególnie masz na myśli?

— Ludzi — padła krótka odpowiedź. — Zwłaszcza ludzi... choć nie tylko.

Starzec lekko pochylony, cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

— Także koty — uzupełnił Heneghel, nie maskując niechęci. — Nie ma nic, co mógłbym cenić w tym gnuśnym i bezmyślnym gatunku — przyznał. — Niemniej, panie, najnowsza historia Szereru pełna jest wielkich nazwisk. Przecież to niezwykle? — trochę stwierdził, a trochę zapytał. — Kiedyś, w czasach wielkich podbojów, wielkich wojen... Nazwiska zdobywców i władców bardzo łatwo znajdują swoje miejsce w historii, to rzecz zrozumiała. Ale teraz mamy Wieczne Cesarstwo... i wieczny pokój.

Garbus skinął głową.

— Wielki Dorlan-Przyjęty i jego uczeń, Czarny Brule — ciągnął kaleka. — Dwaj najwięksi mędracy, jakich Szerń kiedykolwiek wybrała spośród ludzi. Legendarni już za życia. Lecz gdybyż tylko o mędrców chodziło. Są jeszcze... a raczej byli... wielcy wojownicy. Ludzie i koty. Rycerze, jakich Szerer nigdy dotąd nie widział i być może już nigdy nie zobaczy. Wiesz dobrze, panie, że nie wolno lekceważyć miecza. Istoty, których żywiołem i przeznaczeniem jest walka, mogą sprawić wiele dobrego, ale też wiele złego.

— Obawiasz się zatem...?

— Mamy misję do spełnienia — rzekł sucho Heneghel. — Obaj, panie. Stoimy na straży Praw Całości, ale każdy inaczej. Ty, panie, jesteś zawsze tam, gdzie spełniają się ich wyroki. Odrzucony przez Szerń, przecież do samego końca będziesz trwał pod jej niebem, patrząc na przemijanie wieków i tysiącleci. Ja jestem tylko iskrą, od której mają zająć się prochy. Gdy wybuchną i zniszczą to, co mają zniszczyć, moja misja zostanie spełniona. Potrzebna była mądrość i wiedza całego mojego narodu, zbierana przez setki lat, by uczynić ze mnie tę iskrę. Potrzebna była śmierć wszystkich moich współbraci, którzy całe życie, jakie im jeszcze pozostało, przelali w moją istotę, by dać mi potrzebne

siły. Ostatni i jedyny, jestem zarazem całym moim narodem, jego życiem, mądrością, przeszłością i brakiem przyszłości... Ty, panie, pytasz, czy się obawiam? Nie istnieje tak drobne ziarenko, którego nie byłbym gotów usunąć ze swej drogi, jeśli o grubość włosa przybliży mnie to do pomyślnego zakończenia mojej misji. Tymczasem po tych górach biegają istoty, gotowe rąbać mieczami każdego, kogo zachowanie wyda im się choćby niezrozumiałe, cóż dopiero wrogie! Pytasz, panie, czy się obawiam? Mając włożoną na barki taką odpowiedzialność? Ależ panie, gdyby to było w mojej mocy, wypaliłbym cały ten kraj ogniem do cna, a potem odgrodził od reszty Szereru bezdenną przepaścią, byle tylko nikt nie przeszkodził mi wtedy, gdy bezbronny, będę wystawiony na każdy, najśłabszy nawet atak! Noszę w sobie treść największego ze wszystkich Pasm Szerni, jestem jego symbolem i niejako samą Szernią. Ale zmagać się będę ze wskrzeszoną Wstęgą Aleru, nie będącą symbolem takowej, lecz czystą potęgą i treścią! Jakże więc? Mam przeciwstawić się tej sile dość długo, by Pasma poczuły się zmuszone do obrony swej istoty, a jednocześnie wywijać mieczem odpierając, być może, atak jakiejś wściekłej, niczego nie pojmującej kobiety, która przez całe swoje życie nauczyła się tylko dwóch rzeczy, a to nienawidzić i zabijać? Ależ... już z nią kiedyś walczyłem! Tylko popatrz!

W oczach wzburzonego mężczyzny pojawił się nagły ból. Szarpnąwszy brzeg spódnicy, odsłonił kikuty ud, owinięte grubymi szmatami.

— Kierował nią Brule — rzekł cicho po dłuższej chwili. — Brule błądził... Chciałem zachować ten wielki umysł i niezmierną wiedzę, chciałem zyskać sojusznika. Po to przecież przyoblekłem się w tę postać, Wierzyłem, że jako uczeń Brula, zdołam skierować jego myśli we właściwą stronę. Ale doszło do wojny. Brule potrzebował miecza i ramienia, które by ów miecz trzymało. Zawezwał na pomoc... właśnie ją. Zwyciężyłem, ale jakim kosztem! Nie dziw się zatem, panie, że mając dość czasu, uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by zwabić ją tutaj i zabić, nim znajdzie nowego sojusznika i wpadnie na pomysł przeszkodzenia mi po raz drugi.

— Mówisz o Łowczyni, czy tak? — przerwał starzec.

Heneghel zmarszczył brwi.

— Chciałem jej śmierci, to prawda — przyznał śmiało. — Nic i nigdy

nie było dla mojego narodu większym złem niż jej obecność w Górach. Ale jeśli myślisz, panie, że powodowała mną tylko chęć zemsty... To nieprawda. Uznałem jej śmierć za potrzebną i tylko przypadek sprawił, że usunięcie tego brudu, będącego przecież jednym z wielu, okazało się zarówno pożyteczne, jak i przyjemne. Tak, przyjemne. Zniszczyłem ostatnio bardzo wiele istnień i czyniłem to z zadowoleniem, bo stopniowe usuwanie spiętrzonych na drodze do celu przeszkód może, a nawet powinno, być źródłem zadowolenia. Ale śmierć tej kobiety sprawiła mi żywą, niekłamaną przyjemność. Tak, to prawda — potwierdził raz jeszcze. — Moje życie dobiega kresu, panie, treść Pasma, które noszę, szybko wypala moje siły, cenię więc sobie wszelkie przyjemności. I nie obchodzi mnie nawet, czy są to rozrywki w ogólnym rozumieniu znaczne, czy nie. Zechcesz to, panie, potępić?

Starzec pokręcił głową.

— Obaj wiemy, synu, że wszystko co zrobiłeś, a także to, co uczynisz jeszcze, nie ma najmniejszego znaczenia, o ile nie przeszkadza lub też nie pomaga twojej misji. A już najmniej ważne są twoje uczucia i doznania. Pytałem, czy mówisz o Łowczyni, bo to co leży w jaskini trudno rozpoznać, doprawdy... Uznałeś tę śmierć za potrzebną i wystarczy. Nie zmienia to faktu, że próbujesz ocalić miliony. A co przy tym czujesz, mianowicie rozpacz czy szczęście, jest mi najzupełniej obojętne. Zresztą tobie... w gruncie rzeczy również — uniósł spojrzenie i uśmiechnął się. — Kto jeszcze zginął w tej wsi?

— Hel-Krehiri i oddział cesarskich gwardzistów. Poza tym nikt istotny, jacyś wędrowcy. I szpiedzy Trybunału.

— Rozumiem, że zginęli z tych samych powodów, co Łowczyni?

— Poniekąd. Żołnierzy nie zwabiłem specjalnie. Ale skoro przyszli, uznałem... To był oddział kocich gwardzistów, najgroźniejsi żołnierze, jakich kiedykolwiek miała Legia Grombelardzka. Obawiałem się ich. Nie rozumiem kotów i tego, co nimi powoduje. Myślę, że to niepotrzebny gatunek.

— Wystarczy — osądził starzec.

Uśmiechnął się po raz drugi.

— Twoja wiedza o świecie, mój synu, jest aż zenująco powierzchowna...

Heneghel pochylił głowę.

— Tak, zapewne... To prawda. Wszystko, co wiem i ogarniam, dotyczy tylko sił Szerni. Skąd miałbym brać inną wiedzę, panie? Ale myślę, że ta niewiedza przynosi mi zaszczyt. I całemu mojemu gatunkowi. Określa bowiem wielkość ofiary. Zrezygnowaliśmy ze wszystkiego, Strażniku.

Garbus milcząco przytwierdził.

— Ja także nie próżnowałem — oznajmił po długiej chwili. — Udało ci się sprawić, że w Grombelardzie zapanował chaos, ja zaś zadbałem, by nie przywrócono porządku. Domyślasz się przecież, że zagadkowa bierność Księcia Przedstawiciela...

— Nie wzięła się znikąd, oczywiście — dokończył Heneghel. — Tak panie, mam tego pełną świadomość. Męczy mnie co innego. Czy księżna...?

— Jest zdrowa, choć zaczyna sprawiać kłopoty. Poradzimy z tym sobie — zapewnił Odrzucony. — Gdy przyjdzie pora, pójdę po nią. Nie jest to już twoim zmartwieniem.

— Boję się, panie — otwarcie rzekł Heneghel. — Ta kobieta jest absolutnie niezbędna. Boję się — powtórzył. — Tak wiele zależy od życia i zdrowia jednej, nieświadomej niczego istoty.

24.

Z prawdziwego znaczenia i siły Trybunału Imperialnego mało kto zdawał sobie sprawę. Oczywiście wiadano powszechnie, że jest to instytucja mająca potężne możliwości i szerokie wpływy, ale bardzo niewielu dysponowało wiedzą o faktycznym zakresie władzy szarych urzędników. Szczególnie w sytuacjach nadzwyczajnych

Najwyżsi Sędziowie Trybunału nigdy nie mieli swoich siedzib w stolicach prowincji. Najbardziej widoczną funkcją Trybunału było ściganie i sądzenie wszelkiego rodzaju przestępców, ale przecież o wiele ważniejsze były inne, nie tak bardzo rzucające się w oczy zadania: kontrola podbitych krain — co odbywało się przy współpracy z wojskiem — i na koniec (a raczej przede wszystkim) roztaczanie dozoru nad poczynaniami... cesarskich przedstawicieli. Oczywiście, by dozór w ogóle miał jakiś sens, wysocy urzędnicy Trybunału nie mogli być zależni od władców prowincji; owszem, podlegali ich rozkazom w zakresie

ściągnięcia pospolitych przestępców — i to wszystko. Dlatego uznano w Kirlanie za słuszne, by siedziby Najwyższych Sędziów w prowincjach nie mieściły się w tamtejszych stolicach. Ograniczało to liczbę nieuchronnych konfliktów i pozwalało niejako „zamaskować” bezpośrednie kontakty Sędziów z imperialnymi władzami w Kirlanie.

W Grombelardzie stolicą Trybunału był Bador; w pozostałych miastach — także w Grombie — Najwyższy Sędzia Trybunału mianował swoich Namiestników. Z oczywistych powodów Namiestnik rezydujący w Grombie (a więc pod bokiem Przedstawiciela) miał szczególne obowiązki, ale i uprawnienia. Niektóre były tajne... ale też sytuacja Namiestnika Sędziego w Grombie była niezwykle delikatna. Od kilku lat, a dokładnie od chwili, gdy cesarskim przedstawicielem w Grombelardzie został N.R.M.Ramez, stanowisko Pierwszego Namiestnika w stolicy było nieobsadzone.

Wiść o niezwyklej nominacji jej wysokości Wereny zbiegła się z plotką — a potem potwierdzoną wiadomością — o zawieszeniu jej małżeństwa. Armeктаńscy, bardzo ceniący sobie osobistą wolność, uważali rozwody, zarówno czasowe, jak i definitywne, za rzecz zrozumiałą i normalną. Niemniej ten rozwód — taki rozwód, przeprowadzony w taki sposób i w takim momencie, musiał stać się sensacją i skandalem. Nieomal w jednej chwili, jego wysokość książę Ramez, nosiciel świetnego nazwiska i jeden z najpotężniejszych ludzi w imperium, zięć imperatora, spadł do roli skarconego, niechcianego i niepotrzebnego urzędasza. Odwracano się odeń z pośpiechem tyleż ostentacyjnym, co panicznym. Naraz zostało ujawnione wszem i wobec (choć przecież nie powiedziane wprost) kto ponosi winę za sytuację w prowincji i kogo imperator pociągnie do odpowiedzialności. Jedyna córka panującego zawiesiła oto swoje małżeństwo, jednocześnie przyjmując nominację na wakujące od lat, bardzo szczególne stanowisko, które nieoczekiwanie okazało się potrzebne! Cesarz chciał mieć w Grombie kogoś, komu mógłby ufać — bo człowiek, któremu ufał dotąd, zawiódł. Można by to rozgłosić przez heroldów, doprawdy — a nie stało by się bardziej oczywiste.

W ten sposób Książę Przedstawiciel Cesarza, któremu przecież oficjalnie nie ujęto władzy ani przywilejów, został w istocie pozbawiony tak jednego, jak i drugiego. Jawne lekceważenie, lub chociaż niedbałe

wykonywanie jego poleceń, urosło omal do rangi powinności względem Grombelardu, Wiecznego Cesarstwa i samego imperatora. Tym gwałtowniej i szybciej wzrosło znaczenie księżnej — nie dość, że córki panującego, to na dodatek osoby cieszącej się zaufaniem Kirlanu. Każdy, kto choć trochę zorientowany był w politycznych sprawach imperium, doskonale wiedział, że cesarz nie jest człowiekiem skłonny do rozdzielania urzędów między członków najbliższej rodziny. Przy obsadzie najwyższych stanowisk, imperator najpierw brał pod uwagę zdolności, a dopiero potem nazwiska. Spośród trzech synów panującego, ani jeden jak dotąd nie otrzymał przedstawicielstwa w żadnej prowincji imperium! Było zresztą publiczną tajemnicą, że popiera (a może i dyktuje) tę politykę cesarzowa — której związku z Trybunałem były tyleż oczywiste, co nieoficjalne. Zdawało się, że pierwsza kobieta imperium, której niebywała energia była świetnym dopełnieniem wielkiego umysłu męża, po równo kocha swoich synów, co nie dowierza ich powadze, zdolnościom... a może i lojalności. Znała ich ambicje: były wygórowane, co się zowie...

Natomiast ufała Werenie.

Ponoć były do siebie zupełnie niepodobne. Czy też raczej: podobne z rysów twarzy, tym bardziej różniły się charakterami. Ale o członkach rodziny cesarskiej opowiadano tyle różnych historii, że nie sposób było dociec, które są prawdziwe, a które zmyślone od początku do końca.

*

— Wasza wysokość.

Potężny stół zasłany był nieprzebrany mnóstwem wszelkich dokumentów. Siedząca za stołem kobieta miała łokcie wsparte na blacie, czoło zaś na dłoniach. Nie poruszyła się.

Poza stołem i kilkoma krzesłami, w pokoju — bardzo zresztą niewielkim — nie było prawie nic. Na jednej ze ścian widniało wielkie godło imperium: srebrna gwiazda czteroramienna w otoczeniu trzech mniejszych. Na drugiej ścianie wisiało (jakże by inaczej?) trochę broni z różnych krain Szereru; bez oręża w zasięgu wzroku, Armektańczyk czuł się nieswojo...

S. M. Norwin, wojskowy komendant garnizonu w Grombie, uczynił dwa małe kroki i odchrząknął.

— Wasza wysokość — powtórzył.

Księżna uniosła głowę. Norwin prawie przeraził się, ujrawszy bladą twarz i czerwone, podkrążone oczy.

— A, witam... komendancie — powiedziała z ogromnym znużeniem, nawet nie próbując ukryć, że jego widok ani ją cieszy, ani martwi, bo w ogóle nie obchodzi. Potrzebowała snu, ale tak, jak potrzebuje się powietrza. Gotowa była umrzeć z jego braku.

— No co tam? — zapytała, jakby obecność wysokiego rangą wojskowego w gmachu Trybunału była czymś zupełnie normalnym i nie wartym większego zainteresowania.

— Wasza wysokość, złożyłem rezygnację. Książę... jego wysokość przyjął ją. Poprosiłem o urlop i dostałem go.

Werena ożywiła się na chwilę.

— Ach... — powiedziała z namysłem — z tego wynika, że mogę prosić cię o jakąś małą przysługę? Oczywiście prywatnie — zaznaczyła. — Masz przecież czas i chęci?

— Wasza wysokość — rzekł porywczo Norwin — jestem do dyspozycji! Przecież ja... właśnie dlatego — wyznał z głęboką szczerością. — Pozostając w służbie, nie mogłem być waszej wysokości pomocny. Teraz mogę.

Norwin — kiedyś — dowodził cesarską gwardią pałacową w Kirlanie. Księżna zabrała go z sobą do Grombu, choć stanowisko komendanta garnizonu grombelardzkiej stolicy żadną miarą nie było dlań awansem. Cesarska gwardia pałacowa liczyła bodaj więcej ludzi niż cała Legia Grombelardzka, nie wspominając już o tym, że służba w stolicy u boku imperatora dawała perspektywy, o jakich w Grombelardzie można było co najwyżej śnić. Jednak Norwin prosił, by go zabrać — i księżna uległa wiedząc, że ten człowiek jest jej bezgranicznie oddany.

— Książę... — powiedziała gorzko, znów wspierając łokcie na stole. — Zostawiłeś go. Wszyscy go zostawili, nawet ty i ja...

Dotknęła skroni palcami.

— Ależ boli mnie głowa — szepnęła. — Ja... nie wiedziałam. Tyle, tyle rzeczy trzeba pamiętać i rozumieć. Niepodobna, by ogarnął to jeden człowiek.

Wzięła do ręki zapisaną kartę i wpatrzyła się w nią trochę tępo, przygryzając usta.

— Niepodobna — powtórzyła.

Norwin stał i milczał. Werena odłożyła pismo, potrącając przy tym dość duże, płaskie pudełko o bogato rzeźbionym wieczku. Wpatrywała się weń przez chwilę, po czym, sięgnąwszy do środka, wyjęła małą garść żółtych kulek. Wsypała je do ust i rozgryzła, przymykając oczy. Norwin rozpoznał dartańskie rodzyнки. Zatopione w szybko krzepnącej masie o waniliowym smaku, stanowiły nie lada przysmak. No i nie lada wydatek... Legionistę dziwnie wzruszyła ta dziecięca słabość księżnej do słodczy. Przejawiała ją zawsze, jeszcze w Kirlanie.

— Usiądź — powiedziała. — Tu, koło mnie, chcę żebyś czytał razem ze mną. Popatrz.

Nie dała mu czasu na myślenie, czy wypada, by siedział koło niej. Rozgarniając dłonią leżące na stole dokumenty, wyciągnęła trzymane w drugiej ręce pismo w stronę pustego krzesła; chcąc zapoznać się z treścią, po prostu musiał usiąść tam, gdzie mu kazała.

— Potrzebuję rozmowy — wyjaśniła jakby mimochodem, nie odrywając spojrzenia od przekładanych kart i rulonów. — Sprawy Trybunału przerastają mnie. Drugi Namiestnik to głupiec, mówiący jakimś dziwnym językiem, akurat takim, jakim pisane jest to wszystko. Żywy dokument, wyobrazasz sobie? Chcę porozmawiać z kimś normalnym. Siedzę w tym gmachu od miesiąca i nie spotkałam tu nikogo takiego.

Zajął wskazane miejsce i bezmyślnie przebiegł wzrokiem treść listu, który mu podała.

— Wasza wysokość, ja także o sprawach Trybunału mam bardzo niewielkie...

— Wiem — ucięła. — Niemniej jako komendant garnizonu, od lat grzebałeś się w czymś takim i wszelkie dokumenty nie są dla ciebie niczym nowym. A po wtóre, chcę sprawdzić, czy istotnie jest tak, jak mówię, czy też raczej po prostu jestem zbyt głupia, by pojąć o co chodzi. Czytaj.

Skupił się i zagłębił w treści listu.

— Już? — zapytała po dłuższej chwili. — No to teraz dalej, masz.

Podowała inny dokument. Zapoznał się z nim i lekko skrzywił usta. Patrzyła z trochę drwiącym, a trochę ponurym uśmiechem.

— Tak więc mam specjalne uprawnienia. Pełnomocnictwo Najwyższego Sędziego... pełnomocnictwa z Kirlanu... — wyliczała,

odkładając na bok kolejne dokumenty. — I wszystko to daje mi zaledwie prawo do podejmowania decyzji. Zaledwie. Wykonanie tych decyzji leży na przykład w gestii wojska. A zwierzchnikiem wojska jest mój... jest Książę Przedstawiciel Cesarza. Jeśli zignoruje moje zalecenia, sprawa trafi do Najwyższego Sędziego w Badorze. Który przecież udzielił mi wszelkich pełnomocnictw, zresztą bardzo niechętnie i na wyraźne polecenie mego ojca. Niezwłocznie więc skieruje do mnie... no, moją własną skargę, bo rzecz dotyczyć będzie namiestnictwa w Grombie i Gromb może, a nawet powinien ją rozpatrzyć. Mam przecież wszelkie pełnomocnictwa, czy tak? Więc Najwyższy Sędzia zatrze tylko ręce z radości. Co dalej? Z ramienia Sędziego wyślę skargę do Kirlanu, bo cóż? A wtedy z Kirlanu... dostanę odpowiednie pełnomocnictwa! — nieoczekiwanie uderzyła dłonią w stół. — Już je mam!

Przez chwilę milczeli.

— Zażądałam wojska — rzuciła krótko po chwili.

— To bezprawne — odruchowo zaprotestował Norwin. — Trybunał...

I urwał.

Konflikt między dowódcami legii a Trybunałem istniał zawsze. Pierwsi mogli wszystko — ale byli głusi i ślepi, bo Trybunał udostępniał im tylko te informacje, które chciał udostępnić, strzegąc zazdrośnie innych — tych na przykład, dzięki którym wojsko mogłoby poszczycić się jakimś głośniejszym sukcesem. Taki sukces oznaczałby skierowanie na potrzeby wojska większych sum, w uznaniu efektywności działania. Odbyłoby się to kosztem innych instytucji — także Trybunału.

Urzednicy — odwrotnie: wiedzieli wszystko, nie mogąc wszakże nic zrobić bez pomocy legii, bo Trybunał nie miał własnych zbrojnych oddziałów, ani nawet sił porządkowych. A wojsko nie kwapiło się wcale do działań na rzecz urzędników. Każda z instytucji dbała o to, by zachować jak największe wpływy... Norwin na moment zapomniał, gdzie jest i z kim rozmawia, zapomniał też, że nie pełni już funkcji komendanta garnizonu.

— Och, nie przejmuj się aż tak bardzo — powiedziała Werena z wyraźną, choć nie złośliwą kpina. — Trybunał to ja. Już przywykłam. Przywyknij i ty.

Wyglądała znacznie lepiej niż w chwili, gdy stanął przed nią.

Rozmowa zdała się ją ożywiać.

— Jak wasza wysokość chce to przeprowadzić? — zapytał po krótkiej chwili. — Nawet cesarz nie może wyjąć wojska spod władzy swego przedstawiciela w tej czy innej prowincji. Może przesłać instrukcje, lub złożyć przedstawiciela z urzędu, ale nie może zabrać mu wojska.

— Toteż nie zabierze, wręcz przeciwnie — powiedziała. — Siedzę w tym gmachu już prawie pięć tygodni — popukała kostkami palców w stół — a gońcy zajeżdżają rozstawne konie na kurierskim szlaku do Kirlanu... Poprosiłam cesarza, by przysłał tu cztery półsetki łuczników z Rapy, ze specjalną misją. „Sprawa wagi państwowej” — pokazała inny list. — Książę Przedstawiciel proszony jest tylko o udzielenie dowódcy tych ludzi wszelkiej możliwej pomocy.

— Jeśli ta misja dotyczy Grombelardu, powinna być wykonana siłami prowincji.

— Powinna, no i co? Hm? Co z tego? Jeśli cesarz uznał, że Legia Grombelardzka nie sprosta zadaniu lub też, z jakichś przyczyn nie powinna brać w nim udziału...

— Książę temu zaprzeczy. Zażąda respektowania swoich...

— Niech zaprzecza. Niech żąda. Niech śle skargę do Kirlanu. Może czuć się obrażony i może nawet nie spełnić cesarskiego polecenia o udzieleniu pomocy przysłanemu oddziałowi. Ale nie może odwołać rozkazów, jakie dowódca tych ludzi otrzymał bezpośrednio od imperatora. To nie są żołnierze księcia i nie podlegają mu.

— Nie dostaną kwater, nie dostaną zaopatrzenia...

— Za to dostaną dość pieniędzy z kasy Trybunału. Wynajmą kwatery, kupią zaopatrzenie.

— Niemniej obce wojska...

— Jak to obce? — przerwała. — Jak to obce? Imperium jest jedno, a rządzi nim cesarz, nikt inny. Wszyscy zdają się o tym zapominać — zauważyła zgryźliwie — zarówno książęta prowincji, jak i urzędnicy Trybunału, a na koniec dowódcy legii. Książęta Przedstawiciele są właśnie tylko cesarskimi przedstawicielami, nie jakimiś udziałnymi władcami. Imperium jest jedno — powtórzyła — i cesarz może wysyłać swoich żołnierzy, imperialnych żołnierzy — podkreśliła — gdzie mu się podoba. Przynajmniej tych żołnierzy, którzy podlegają bezpośrednio

jemu, bo nie ustanowił nad nimi żadnej innej władzy. Armektańskich.

Norwin przygryzł wargę.

— Gdybym nadal pełnił swoją funkcję...

— Byłbyś wściekły, prawda?

— Tak, wasza wysokość.

— To tylko potwierdza, co mówiłam — skonkludowała. — Pewna niezależność prowincjonalnych książąt i wojsk ma służyć cesarstwu, nie zaś na odwrót. Cesarstwo nie jest strażnikiem suwerenności różnych krain Szereru. Jeśli cesarz postanowi, że w interesie imperium będzie puszczenie całego Grombelardu z dymem, to jego przedstawiciel w Grombie powinien wykazać tylko czysty entuzjazm, bo reprezentuje tutaj interesy Kirlanu, nic więcej. I interesy Kirlanu winien mieć na oku, żadne inne.

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie; była w coraz lepszym humorze.

— Norwin — powiedziała mu po imieniu — ale przecież sam musisz przyznać, że już pomijając wszystko inne, Legia Grombelardzka naprawdę nie jest zdolna do podjęcia jakichkolwiek działań? Po tym, jak przepadł w górach ten koci oddział z Rahgaru, w całym Grombelardzie, może poza Londem, gdzie siedzi straż morską, nie ma i pięciu żołnierzy, na których można by polegać. Mój... — zająknęła się znowu. — Jego wysokość Książę Przedstawiciel zadbał o to, by wojska prowincji przemieniły się w bandy mętów. No tak? — zwrócona ku niemu oparła łokieć na stole, a głowę na dłoni.

Uniósł spojrzenie. Czuł jej delikatny waniliowy oddech, gdy mówiła.

— To prawda — przyznał niechętnie.

— Powiedz, czy pomożesz mi?

— W jaki sposób, wasza wysokość? Tak, pomogę — zapewnił zaraz.

— Ale nie mam już... od dzisiaj nie mam już żadnej władzy. Może niepotrzebnie złożyłem rezygnację? — zawahał się.

— Wręcz przeciwnie... Mojej władzy wystarczy na nas dwoje. Chciałabym nawet, żebyś w ogóle porzucił służbę.

— W jaki sposób, wasza wysokość? Książę nie zgodzi się na skrócenie mojego kontraktu, byłoby to...

— Wytoczę ci proces — powiedziała.

Patrzył zaskoczony.

— Pospolite przestępstwo... — poddała, pochylając się jeszcze

trochę ku niemu; oprócz waniliowego oddechu, poczuł także zapach jej włosów. — Upij się i sprowokuj bójkę... bo ja wiem, w oberży? Zdemoluj ją! Osądzę cię i wydam wyrok, wszystko jedno jaki. Człowiek skazany za pospolite przestępstwo nie może służyć w wojskach imperialnych, prawo mówi o tym wyraźnie. Zostaniesz karnie wydalony z legii, ja zaś znajdę ci inną funkcję. Z głodu nie umrzesz, możesz być o to spokojny. Umiem zadbać o swoich ludzi. Potrzebuję cię.

Myślał, marszcząc brwi i nie bardzo nawet ukrywając swą niechęć do propozycji. Milczała wyczekująco, patrząc troszeczkę z ukosa. Przechyliwszy głowę, rozwarła lekko usta i dotknęła językiem górnych zębów.

— No?

Dostrzegł, że jej senność zniknęła bez śladu. Nie była już blada, przeciwnie — na policzkach miała wyraźne, nawet trochę nienaturalne rumieńce.

— Jeśli nawet, to sprawa trafi najpierw do księcia — powiedział.

— Pospolite przestępstwo — przypomniała. — To nie jest wykroczenie przeciwko dyscyplinie, ani żadna ze spraw, które wojsko rozstrzyga we własnym zakresie, wewnątrz. Pospolite przestępstwo urlopowanego żołnierza musi zostać skierowane do rozpatrzenia przez Trybunał. Stary sposób urzędników na pozbycie się niewygodnych wojskowych — poinformowała szyderczo. — Poznałam go, nurzając się w tym wszystkim — pokazała stertę dokumentów.

Dotknęła czoła grzbietem dłoni.

— Gorąco tutaj...

Zamyślony, niezadowolony i ponury, zatrzymał wzrok na pudełku z łakociami. Pośród żółtych kulek znajdowały się w nim także nieliczne brunatne bryłki, sporo większe.

— Tak, wasza wysokość — odrzekł tępo. — Ale...

Odsunęła się trochę, przygryzła paznokiec, a potem wsunęła mały palec w usta i zaczęła ssać. Oczy błyszczały jej mocno.

— Ale? — mruknęła.

— Książę będzie zwlekał. Przecież wie doskonale, że pijaństwo i burdy to do mnie niepodobne. Przejrzy grę waszej wysokości, odgadnie komu jestem potrzebny i upłyną miesiące, zanim sprawa trafi do Trybunału... Stary sposób na nieoddanie urzędnikom niewygodnych dla

nich wojskowych... — mówił z roztargnieniem; nawet nie zauważył, że pozwolił sobie zakpić z Namiestniczki Sędziego.

Nie odwracał spojrzenia od pudełka. Czuł się nieco zagubiony, zdziwiony i... tak, zwyczajnie zgorszony. Szeharea. Brązowe bryłki w pudełku sporządzano z pewnych nasion, które zlepione sokiem rozmaitych liści, działały pobudzająco, poprawiały nastrój — ale też, przy dłuższym zażywaniu, były zwyczajną trucizną. Szczególnie żołnierze unikali tego jak ognia; po shearei krew nie chciała krzepnąć, a rany nie goiły się. Norwin pojmował, dlatego księżna sięgnęła po to święństwo, niemniej... Jej nagłe ożywienie, a także wyraźnie prowokujące, trochę nawet nieprzyzwoite zachowanie, znalazły wytłumaczenie. Jednak Norwin czuł, że coś mu odebrano. Jej wysokość Werena była dlań zawsze kimś, kogo nie dotyczą słabości zwykłych ludzi.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zacisnęła usta. Zatrzasnęła wieko pudełka. Odsunęła się gwałtownie, czerwieniejąc jeszcze bardziej, niż dotąd.

— Rzecz trafi nie do księcia, lecz jego sekretarzy — oznajmiła sucho. — Jeden z nich użyje swych uprawnień w całej rozciągłości i niezwłocznie skieruje sprawę do rozpatrzenia przez Trybunał, choć zwykle o takich rzeczach najpierw powiadamia się księcia. Zwykle, ale niekoniecznie. Księżę, gdy się dowie, wpadnie w gniew, ale będzie już za późno, tym bardziej, że sekretarz nie uczyni przecież nic, czego nie miałby prawa uczynić.

Unikała jego spojrzenia.

— Dobrze, wasza wysokość — powiedział. Był zmęczony rozmową i wciąż zakłopotany odkryciem. Zgodziłby się na wszystko, byleby pozwoliła mu odejść.

Przez długą chwilę panowało niezręczne milczenie.

— Biorę to, bo muszę — rzekła nagle otwarcie. — Przestanę, gdy tylko...

Roześmiała się nieoczekiwanie.

— Przestanę — zapewniła, znów dotykając dłonią czoła i policzków. — Ależ tu duszno...

Nie była to prawda.

— Wasza wysokość... nie powinna tłumaczyć się przede mną.

Spojrzała z ukosa, trochę ironicznie, a trochę z zaciekawieniem.

— Mądrała...

Patrzyła z nowym uśmiechem.

— Nie pytasz, jaką funkcję zamierzam ci powierzyć? — zagadnęła wreszcie.

— Jaką, wasza wysokość? — zapytał z wysiłkiem.

— Chcę, żebyś zorganizował mi prywatne wojsko. Osobistą gwardię. Dostaniesz pieniądze, z tym jednym nie mam problemu... jak dotąd. Jest mi obojętne, skąd weźmiesz żołnierzy i jakich. Mają być sprawni i wierni.

— Dobrze, wasza wysokość.

— Udzielę ci takich pełnomocnictw, jakie tylko będą potrzebne... — kręcąc głową rozmasowała sobie kark i szyję. — Hejże — powiedziała — jestem wolna, no tak? Źle korzystam z tej wolności, naprawdę.

Coś ją rozbawiło, bo przygryzając usta próbowała zapanować nad śmiechem.

— Lepiej idź już, żołnierzu... No, uciekaj.

Zaśmiała się urywanie.

Wstał z krzesła.

— Wasza wysokość.

— Uciekaj, uciekaj... Muszę popracować — znów parsknęła krótkim, stłumionym śmiechem. Odchyliła się na oparcie krzesła i przeciągnęła bez troski.

— Idź już, Norwin, proszę. Pomyśl o tej gwardii dla mnie. I przyjdź jutro. Rano.

Posłała mu całusa od dłoni i uniosła rękę, lekko przebierając palcami w figlarnym geście pożegnania.

Wyszedł tak prędko, jak tylko mógł. Zamykając drzwi ujrzał jeszcze, jak pochylona nad dokumentami, uśmiecha się sama do siebie.

25.

Przez kilka minionych tygodni książę Ramez postarzał się o lat kilkanaście. Widywano go tak rzadko, że już raz i drugi poczęła krążyć plotka o jego nieobecności w pałacu. Potem przebąkiwano, iż oszalał... Prawie wcale nie wychodził ze swojej izdebki, a jeśli już — to przemykał wzdłuż ścian niczym szczur, wyraźnie unikając rozmowy z kimkolwiek. Jawnie snuto domysły, kiedy cesarski rozkaz odwoła go z Grombelardu;

dziwiono się nawet, że nie nastąpiło to do tej pory. Jednak lepiej zorientowani wiedzieli, że sprawa wcale nie jest taka prosta. Z pozycją rodziny N. R. M., w prostej linii pochodzącej od książęcego rodu Sar Soa, liczyć się musiał nawet imperator. Ojciec i stryj księcia trzymali w Armekcie dobra ustępujące tylko cesarskim... Zawieszenie małżeństwa było — w armektańskim rozumieniu — wyłączną sprawą Wereny; jej ojciec mógł się od tego odżegnać. Lecz pozbawienie Rameza urzędu zależało tylko od niego. Tu już rzecz wyglądała inaczej... W Kirlanie miano pełną tego świadomość i — czekano na efekty działań Wereny. Istniała uzasadniona nadzieja, że nowa Namiestniczka Sędziego, korzystając z nadzwyczajnych uprawnień, zdoła pozbierać grombelardzkie sprawy do kupy. Jeszcze bardziej liczone na to, że owe radykalne posunięcia — więc list rozwodowy i nominacja Wereny — podziałają na księcia trzeźwiąco. Powstawało wprawdzie pytanie, czy autorytet cesarskiego przedstawiciela w Grombie w ogóle można jeszcze odbudować bez wymiany człowieka piastującego ów urząd. To już jednak było wyzwanie dla Rameza. Gdybyż tylko zechciał je podjąć!

Ba, kiedy wyraźnie — nie chciał.

*

Stary garbus, żądający by zapowiedzieć go księciu, jeszcze pół roku wcześniej wzbudziłby niemałą sensację. Teraz opatrzone książęcą pieczęcią pismo, które okazał wartownikowi, przeszło bez większego wrażenia. Wprawdzie gwardia pałacowa nie uległa rozprężeniu w takim stopniu jak reszta wojsk grombelardzkich, niemniej skutki powszechnego bałaganu dotknęły i tę formację. Dyżurny oficer wziął przedstawiony dokument i bez większego pośpiechu zaniósł Przedstawicielowi.

Wrócił wkrótce — ale jakże odmieniony! Przeprosił starego kalekę i począł okazywać mu specjalne względy. Prowadził do księcia szybko i bez zwłoki, ba! otwierał przed dziwnym gościem drzwi i puszczał go zawsze przodem, na koniec zaś nie kazał czekać przed „samotnią” jego wysokości, lecz wprowadził od razu, bez zapowiedzi. Potem zniknął — ze wskrzeszoną, jakimś cudem, iście wojskową sprawnością i zręcznością wytrawnego dworaka.

Jego wysokość Ramez powstał na powitanie przybysza. Podszedł do drzwi i zamknął je na zasuwę. Zaraz potem wskazał garbusowi swoje

własne krzesło. Ten — skorzystał bez ceregieli.

Na twarzy gospodarza znać było wielkie ożywienie i... niezwykłą energię! Jego wysokość w jednej chwili odzyskał dawny swój wigor, wyraźnie zapominając, że dopiero co był znużony, przygnębiony, apatyczny... i czuł się niemal równie stary, jak garbaty grajek. Nagłość owej przemiany zdawała się dowodzić, że nadzieje Kirlanu na wskrzeszenie poprzedniego wcielenia Rameza, były wcale uzasadnione. Ten człowiek, gdyby tylko przyszła mu ochota, z całą pewnością mógł przywrócić porządek w pałacu w dwa dni, zaś ład i spokój w całym Grombelardzie — może w ciągu miesiąca. Lecz cóż? Może i mógł, ale nie chciał.

— Wasza godność — powiedział do garbatego starca — proszę nie wystawiać mojej cierpliwości na tak ciężkie próby. Zbyt wiele czasu minęło od naszego ostatniego spotkania.

Garbus uśmiechnął się lekko.

— Niepodobna, książę, przyspieszyć biegu spraw. To nie ode mnie zależy.

Ramez skinął głową. Starzec przez dłuższą chwilę obserwował go bacznie.

Ostatnich kilka miesięcy Książę Przedstawiciel Cesarza spędził brodząc w czymś, co było jak gęsty sen... Rządzące światem siły zniżyły się ku jego osobie, stały częścią codziennego życia... i choć pojmował ich naturę, wciąż na nowo zdumiewało go to dziwne współistnienie nieogarnionej wieczności — i właśnie codzienności. Patrząc na swego gościa wiedział, z kim, a może raczej z c z y m przyszło mu obcować — i prawie nie wierzył, choć wiedział... Własnymi oczami oglądał oto PRZYCZYNE, dla której Szerń stworzyła życie na świecie. Nieśmiertelny garbaty grajek był PRZYCZYNA. Ucieleśnioną na wieczną swoją pamiątkę. Szerń była tylko ślepą, choć przepotężną siłą — a jednak w owej sile drzemała jakaś... skłonność do szyderstwa. Na odwieczne pytanie każdej rozumnej istoty o przyczyny, dla których powstało życie, Pasma dawały aż nazbyt wyczerpującą odpowiedź: oto jest właśnie przyczyna... Wszystkie powody, dla których rafa życia wynurzyła się z otchłani niebytu, można było sprowadzić do postaci kalekiego starca, wygrywającego fałszywe melodie na rozstrojonym, groteskowym instrumencie. Czyż więc to nie było szyderstwo? Tym większe, że kazano

owej kalekiej przyczynie potwierdzać się na przestrzeni tysiącleci. To, co dało życiu początek, miało stać na straży jego współistnienia z Szernią, miało strzec Praw Całości. Praw ułomnych i niespójnych. Zaiste pasujących do tego, czego dotyczyły... I Ramez — bał się wierzyć. Bo ileż warte było to wszystko, co powstało dla takiej przyczyny?

— Przebudź się, książę — rzekł łagodnie starzec. — Pojmuję twoje uczucie i przecież sam je podzielałam... Moje człowieczeństwo sięga głębiej niż bym tego pragnął. A jednocześnie zbyt płytko, bo jestem tylko i wyłącznie tym, czym jestem i nie mogę być nikim, ani niczym więcej. Jedyną częścią szerszego istnienia raz na zawsze odrzuconą przez Szerń, Strażnikiem Praw Całości. Nikim i niczym więcej, czy rozumiesz, książę? Nie mam tego, co nazywać się zwykło prawem wyboru, wolnością... Mogę tylko, i muszę, trwać na straży istnienia, które za moją sprawą powstało.

— Wybacz panie — powiedział cicho Ramez.

— To ty mi wybacz, synu — odparł tamten z powagą. — Nie prosiłeś o swoje istnienie i za nic nie odpowiadasz. Obojętne, ile dobra i zła jest na świecie; obojętne, ile ty sam sprawisz jednego lub drugiego — ja jestem tego przyczyną... Cóż, że nieświadomą i bezwolną? Przyczyną — i to wszystko. Sprawić, by coś zaistniało, a potem owo coś rozliczać i oceniać — byłoby doprawdy nadmiarem bezczelności.

*

Dziwna rozmowa, prowadzona w ciasnej izbie starego stołu, trwała przez całą noc. Gdyby ktokolwiek z zewnątrz mógł ją słyszeć — nic by nie zrozumiał, to pewne. Zarówno książę, jak i garbaty grajek posługiwali się najczęściej starogrombelardzkim — językiem prawie zapomnianym, martwym od wieków, czy też raczej żyjącym tylko w sferze związanej z Szernią, naturą jej Pasm, a wreszcie Prawami Całości. Niepodobna było rozmówić się swobodnie w tym języku na żaden temat związany z codziennym życiem; zbyt wiele słów do tego przydatnych już dawno przepadło w niepamięci... Lecz Księga Całości, dotycząca związków świata z rządzącą nim potęgą, wciąż była spisywana przez Przyjętych po starogrombelardzku. Nikt nigdy nie poważył się dokonać przekładu, bo zabiłoby to wieloznaczności ukryte w poszczególnych ustępach; wieloznaczności ujawniające się niekiedy pod postacią nowych Praw lub nawet Przepowiedni.

Czasem jednak — a mianowicie wtedy, gdy poruszane były sprawy bardziej związane z codziennością — rozmawiający przechodzili na armektański, będący najbujniejszym, najdoskonalszym językiem Szereru. Lecz i wówczas wymiana zdań dotyczyła rzeczy zupełnie niezrozumiałych dla kogoś, kto nie wiedział o pradawnej wojnie potęg, o leżących w Ciężkich Górach szczątkach Wstęg Aleru i pragnącym ich wskrzeszenia narodzie, który całą swą historię, wiedzę i istnienie zaklął w postaci beznogiego mężczyzny, zwącego się Ostatnim i Jedynym...

— Czego żądasz, książę? — niecierpliwie, a nawet trochę gniewnie pytał starzec. — Chciałbyś, żeby rzeczy wielkie dokonywały się gładko i bez ofiar? Żal ci kraju, którym rządziłeś? Ależ mówiliśmy już o tym! Toczymy przecież wojnę, rozgrywamy bitwę! Chciałbyś zwycięstwa bez ofiar? Nawet najgłupszy z dowódców doskonale rozumie, że czasem trzeba poświęcić stu lub dwustu żołnierzy, bo inaczej może zginąć cała, wielotysięczna armia. Spośród trzech gatunków, powołanych do stania na straży Praw Całości, tylko jeden pojął swą misję i bez chwili wahania poświęcił swoje istnienie, gdy stało się to konieczne. Małe, odtrącone przez współbraci w rozumie, powszechnie wzgardzone i znienawidzone za swą „inność” plemię, dokonało samounicestwienia w imię dalszego trwania Armektu i Dartanu. Żaden sęp nigdy nie widział żadnej z tych krain! Już jutro będą na świecie tylko dwa narody rozumne. Kto zastąpi tych, którzy właśnie poświęcili swą przyszłość? Koty przecież odwróciły się od Szerni i nie widać, by kiedykolwiek zamierzały choć spojrzeć w jej stronę. Ludzie? Oto człowiek! Tak, ty książę! Nawet ty, który przecież pojmujesz, jaka jest stawka tej walki, nawet ty gorączkowo szukasz sposobu, by nasycić wilka, a i ocalić owcę. Przy takiej gotowości do ponoszenia ofiar...

Starzec urwał wzburzony.

— Czyżbym naprawdę poświęcał aż tak mało? — niegłęboko zapytał Ramez.

— Osobiste szczęście, głównie to — bezlitośnie odpowiedział grajek. — Może jeszcze ambicję... Co chcesz kupić za tego miedziaka? Szczęście jednostki, a niechby i jej życie, nic nie znaczą, wasza wysokość! Może są na Bezmiarach takie dziwne światy, w których jeden człowiek (pewno jakiś pół-bóg niezwykły) zbawia całe narody, ale ja, książę, w takie bajki nie wierzę. Żyjemy w prawdziwym świecie, gdzie dla ocalenia tysięcy

zginąć muszą setki, zaś dla ocalenia milionów tysiące. Najwygodniej by było stać z boku i czekać, aż przyjdzie jeden, za to wszechpotężny zbawiciel. Najlepiej stwórcą całego bałaganu. Popatrz więc na mnie, książę! To ja właśnie... Jestem kaleką, cierpię od tysiącleci i co osiągnąłem? Nic! Nawet umierałem parę razy — Strażnik Praw, zdjęty bólem, począł szydzić z własnej bezsilności. — Zabijano mnie to tu, to tam... Nawet w karczemnej bójce. Ale nie mogę oddać życia, książę, nie mogę nawet za darmo, cóż dopiero za jakąś sprawę! Mogę je najwyżej... wypożyczyć. Łatwo się umiera, a nawet zabawnie, mój książę, gdy masz pewność, że dnia następnego zmartwychwstaniesz... Jestem nieśmiertelny, niestety.

Odrzucony roześmiał się... choć, być może, miał ochotę zapłakać.

— Jedyne, co mam dla świata, to słowa... — rzekł na koniec. — Nie mam żadnej mocy, oprócz mocy słów. Jestem jedyną pod niebem Szerni istotą, która nie może odwoływać się do niej, bo nie jestem przecież jej dziełem. Byłem i jestem p r z y c z y n ą. Niezależną od Pasm. Mam dar rozumienia wszystkiego, bo nawet niewypowiedzianych myśli... i mogę tylko mówić.

Zaległo długie milczenie.

— Dalej, książę — rzekł starzec. — Wątpliwość i niepewność... Obawa... — czytał w uczuciach rozmówcy. — Nie przeniknę twych myśli, jeśli będziesz się wzbraniał. O co chcesz zapytać?

— O moją żonę, panie.

Odrzucony wzniosł brwi do góry.

— Więc słucham.

— Czy ona... jest potrzebna? Czy musi, bądź powinna współuczestniczyć...? — nie dokończył.

— Skąd ten pomysł? — zdumiał się starzec.

— Nosi znak Wstęgi Aleru. Pasma srebrnych włosów, ma je od zawsze. To oznaka base-kregheeri, Armektanki przynależnej zarówno do Szerni, jak i do Aleru. Brule-Przyjęty wprowadził ją kiedyś, pragnąc właśnie wskrzesić Srebrną Wstęgę.

— I wskrzesił? — głos Odrzuconego pobrzmiwał wyraźną drwiną.

— Brule pomylił się. Tam, dokąd zabrał Werinę, leżała Złota Wstęga, nie Srebrna.

— To wszystko bzdury, wasza wysokość — powiedział garbus już

poważnie, bez drwiny. — Księżna Werena, zdaje się, jest przeciwna twojej roli w walce o zachowanie Praw Całości?

— Istotnie.

— Moja obecność przy poruszeniu Wstęgi jest niepotrzebna, a nawet, hm, niewskazana. Gdy wyruszysz w góry, gotów jestem spotkać się z jej wysokością i wyjaśnić to wszystko, czego ty sam wyjaśnić nie mogłeś, bądź nie umiałeś.

— Będę wdzięczny waszej godności.

— Niemniej twoja małżonka, księżę, nie musi, a nawet nie może, w żaden sposób wpłynąć na wskrzeszenie Wstęg Aleru — oznajmił Odrzucony z jeszcze większą niż poprzednio powagą. — Zapewniam cię o tym i zaręczam.

— Czy na pewno nie mylisz się, panie?

— Wasza wysokość — rzekł starzec spokojnie, ale w tle jego głosu zabrzmiało coś, jakby delikatne politowanie. — Wasza wysokość — powtórzył.

Ramez pochylił głowę.

— Jestem tylko człowiekiem, panie — powiedział. — Zgodzę się na wszystko i poniosę każdą ofiarę. Ale nie chcę, by coś złego spotkało Werenę. Tej jednej, jedynej rzeczy nie wolno żądać ode mnie.

— Nic takiego nie wydarzy się, księżę — raz jeszcze zapewnił starzec. — Zaufaj mi.

— Ufam, panie.

Starzec kłamał z prawdziwym bólem, bo szanował w swym rozmówcy wielką duszę, serce i umysł... Dopuszczał się podłości wobec człowieka, który wcale na to nie zasłużył. Tak, doprawdy — Strażnik Praw mógł jawnie drwić z bajek o zbawianiu światów za cenę własnej śmierci, bo sam płacił nie śmiercią, a życiem... Życiem pełnym kłamstw i podłości. Ale na tym polegała ta walka. Odrzucony wiedział, o co walczy i ponosił konieczne ofiary. Tak jak powiedział, jedynym jego orężem były słowa.

Kłamstwo składało się ze słów...

26.

Wyrazista i niepokorna, armektańska uroda Pierwszej

Namiestniczki Sędziego, nie tyle może przygasała, co zmieniała swój charakter. Przybyło powagi... Werena zrzuciła proste w kroju, ale bogato — choć dyskretnie — zdobione, różnobarwne suknie, zamiast tego nosiła aksamity w przygaszonych barwach; przeważały szarość i czerń, haftowane srebrnymi nićmi. Włosy upinała w kok, co zresztą tym bardziej podkreślało świetne kształty głowy i szyi. W uszach zwykle miała srebrne kolczyki, tańczące tuż nad obojczykami, na przedramionach również srebrne, przedniej roboty bransolety, zaś na palcach — zaledwie kilka drobnych i dyskretnych pierścieni. Armektańczycy nie lubili złota, widząc w nim ozdobę głupców, nie mogących olśnić świata niczym innym, jak tylko widokiem bogactwa; podobnie jak złoto traktowali zresztą pyszne szaty. Przecież jeśli człowiek nie umiał pokazać swej wartości i znaczenia inaczej, jak poprzez nabyte stroje, trudno było traktować go poważnie. Ale Werena nosiła się skromnie nawet w rozumieniu armektańskim. Jeśli cokolwiek wyróżniało ją spośród innych wysokich urzędników Trybunału, to chyba właśnie owo nieuchwytnie „coś”, co mogła mieć w sobie tylko córka władcy Szereru. Tym większy był jej autorytet. Nie cieszyłaby się takim szacunkiem, gdyby nie umiała pokazać, że najbardziej warta uwagi w osobie Pierwszej Namiestniczki — jest właśnie sama osoba.

Złotowłosa, średnio ładna, trochę krępa kobieta, którą wprowadzono do pokoju Wereny, oceniła to wszystko jednym rzutem oka. Była Grombelardką, co bez trudu dało się poznać — niemniej strojem dawała do zrozumienia, że nieobca jej armektańska wstrzeźliwość i umiar. Różowo-granatowa suknia wyrażała prędeż dobry smak, niż bogactwo, zaś wplecione w nią łańcuszki — choć złote — były raczej ustępstwem na rzecz barwy włosów, niżli czymkolwiek innym. Delikatne i cienkie jak pajęczne nitki, żadną miarą nie mogły być uznane za zbyt ostentacyjne.

Obie kobiety przez chwilę mierzyły się spojrzeniami. Werena zmarszczyła lekko brwi.

— Wasza dostojność zna mnie doskonale — powiedziała przybyła, posługując się świetnym armektańskim, bez żadnego akcentu. — Przed laty, udawałam kuzynkę jednego z doradców jego wysokości Księcia Przedstawiciela. Stale przebywałam na dworze... choć nigdy zbyt blisko, to prawda. Prawdziwe moje imię brzmi Arma. Nie mam żadnego

nazwiska.

Werena uniosła rękę.

— Pamiętam... — powiedziała z wahaniem. — Ale... więc to nieprawda?

Blondynka zrozumiała pytanie.

— Wasza dostojność — po raz drugi użyła tytułu przysługującego nie córce cesarza, a wysokiej urzędniczce imperium; było to całkowicie dopuszczalne. — Wasza dostojność, na przedstawicielskim dworze znajdowałam się nie z racji jakiegoś pokrewieństwa. To pokrewieństwo było dziełem... pokaźnej sumy w złocie. Wasza dostojność u boku księcia Rameza rządziła Grombelardem jawnie, ja zaś skrycie, u boku innego władcy... Szpiegowałam dla Basergora-Kragdoba, króla Ciężkich Gór — powiedziała wprost. — Podlegali mi też wszyscy inni jego wywiadowcy, w całym Grombelardzie.

Namiestniczka Sędziego nie zdołała zapanować nad zdziwieniem.

— Nie — powiedziała powstając i wychodząc zza stołu. — Boję się, że nie rozumiem, co do mnie mówisz... Wasza godność twierdzisz, że kim jesteś? — świadomie użyła tytułu, choć Grombelardka wyraźnie zaznaczyła, że nie ma żadnego nazwiska.

— Kim byłam. Rozbójniczką, pani. Nie taką, co z toporem biega po górach... chociaż czasem także. Przed laty opuściłam Grombelard, tak jak uczynili to moi przyjaciele. Wróciłam jakiś czas temu, bo dzieje się tutaj coś złego. Być może wróciłam dla tych samych powodów, dla których wasza dostojność zajęła to oto stanowisko.

Werena zbliżyła się powoli. W końcu stanęła w odległości dwóch kroków od przybyłej i przyglądała się jej bez słowa.

— Prosiłaś, by cię przyjąć, wasza godność — powiedziała wreszcie, ani myśląc zrezygnować z tytułowania rozmówczyni. — Dlaczego? Powody, które podałaś... — zawiesiła głos.

— Były dobre, by uzyskać posłuchanie. Tyleż dobre, co nieprawdziwe.

— Kłamałaś — skonstatowała Werena z nagłym rozbawieniem.

— To właśnie potrafię najlepiej — przyznała blondynka z powagą. — Dlatego tak niezręcznie i ciężko się dziś czuję... Nie chcę dzisiaj kłamać i nie będę. Gdyby kiedyś ktoś mi powiedział, że przyjdę do Namiestniczki Sędziego Trybunału dobrowolnie i z zamiarem mówienia samej prawdy,

wyśmiałałabym go. Lub zabiła.

Werena odwróciła się i niespiesznie podeszła do okna.

— No dobrze — powiedziała, wyglądając na zewnątrz — wszystko to jest bardzo ciekawe. Nawet bardzo niezwykle. Ale przecież pojmujesz, wasza godność, że nie wolno pod byle pretekstem wdzierać się do gmachu Trybunału? Podaj mi więc prawdziwe powody, dla których poświęcam ci czas. Życzę sobie, by były istotne. Bardzo nie chcę karać twojego zuchwalstwa. Przecież to, co powiedziałaś dotąd, najzupełniej wystarczy by na zawsze osadzić cię w twierdzy.

— Dlaczego nie ma tu straży? — zapytała Arma. — Dlaczego wasza dostojność nie dba o własne bezpieczeństwo? Dlaczego nie ma strażnika w tym pokoju?

Werena odwróciła się i spojrzała jej w twarz.

— Zaraz będzie — rzekła sucho. — Bardzo krótko, co prawda. Zabierze cię i wyjdzie, wasza godność.

— Wasza dostojność, wiem co mówię, proszę mi wierzyć...

— Kiedy nie wierzę — ucięła Werena. — Dostyc już. Spiesz się, pani, bo naprawdę zaczynasz mnie męczyć.

Blondynka zrozumiała, że przeciąga strunę.

— Jakiś czas temu — powiedziała — zaginęły w górach dwie osoby. Jedna z nich to mój brat. Druga osoba... to Łowczyni. Przez kilka miesięcy przebywała u twojego boku, pani. Przyjaźniłyście się... Czy tak, wasza dostojność?

Werena przymknęła oczy. Na krótko... ale dla Army był to wyraźny znak, że może i powinna mówić dalej.

— Mój brat był kiedyś przybocznym gwardzistą Basergora-Kragdoba, a mówię to dlatego, by uświadomić waszej dostojności, że Łowczyni nie ruszyła w góry w towarzystwie chłopca. I oto dwoje wojowników tej miary przepadło bez wieści. Nie wiem tego na pewno... ale czuję, że mój brat nie żyje. Myślę, że zginęli oboje.

Werena raz jeszcze przymknęła oczy, po czym powoli podeszła do swojego krzesła. Usiadła.

— Mów dalej, pani.

Nieoczekiwanie... blondynka straciła pewność siebie.

— Kiedy to już... prawie wszystko... — powiedziała niegłęboko. — Ja... wiem, wasza dostojność, dlaczego objęłaś to stanowisko i jakie

otrzymałaś uprawnienia. Masz władzę prawie nieograniczoną. Przez dwa miesiące patrzyłam, jak z tej władzy korzystasz, zanim postanowiłam, że przyjdę. Chcę pomóc. To, co czyni Książę Przedstawiciel... albo raczej to, czego nie czyni...

— Ocena poczynań cesarskiego przedstawiciela nie do ciebie, pani, należy — przerwała chłodno Werena.

— Nie chcę oceniać — zaprotestowała Grombelardka. — Chcę powiedzieć, że działania jego wysokości to zaledwie skutek tego, co dzieje się w Grombelardzie. Jeden ze skutków... Przyczyny leżą gdzie indziej, w Górach. Myślę, że w wiosce zwanej Bezpowrotem lub Jarem.

Werena milczała wyczekująco.

— Łowczyni, mając do pomocy mego brata — podjęła Arma po chwili — poszła właśnie tam, do Jaru. Jestem przekonana, że nie żyją, inaczej już dawno otrzymałabym jakąś wiadomość. Wasza dostojność, w tej wiosce... tam coś jest. Ja myślę, że to nie jest człowiek. To jest... c o ś. Myślę, że zabiło nie tylko Łowczynię i Ranera. Zniknęła z gór Hel-Krehiri, następczyni Basergora-Kragdoba. Była wojowniczką tej miary, co Łowczyni. Przepadł także oddział Gwardii Grombelardzkiej, mam na myśli „morderców z Rahgaru”. To byli najlepsi żołnierze, jacy kiedykolwiek przemierzali Ciężkie Góry. Przecież nikt nie wie, co się z nimi stało? — nie tyle zapytała, co stwierdziła. — Ponoć ktoś ich widział tutaj, w tej części Gór. To nie jest obszar ich działań. Poszli do Jaru, pani. To, co strzeże tej wioski, jest potężniejsze, niż cokolwiek innego w Grombelardzie! Łowczyni, Hel-Krehiri i rahgarskie koty... Coś pożarło i wchłonęło bez śladu najgroźniejsze istoty, jakie kiedykolwiek istniały pod niebem tego kraju. Spójrz dokoła, pani, a zobaczysz, co się stało z Grombelardem. Zresztą... widzisz to lepiej ode mnie. Chcę pomóc. Przyszłam, wasza dostojność, by oddać ci całą swoją wiedzę i zdolności. Wciąż jeszcze mogę sprawić wiele. Mam kilku oddanych ludzi i to takich, jakich wasza dostojność mieć nie może. Mam też... sporo pieniędzy.

— Pieniądze ja mam także...

— Nieprawda, powoli się kończą — padła spokojna uwaga. — Służę więc swoimi. A gdy mówię o pieniądzach, wasza dostojność, nie myślę o chudej sakiewce, brzęczącej byle czym. Kazałam sprzedać las, kilka wsi i dwa swoje domy w Dartanie. Dartzańskie domy — zaznaczyła leciutko, żeby było wiadomo, iż nie myśli o byle kamienicach. — Złoto wkrótce

nadejdzie. Jeśli braknie, sprzedam drugie tyle... bądź dwa razy tyle. Skorzystaj, wasza dostojność, z mojej propozycji. Czy nie potrzebujesz sprzymierzeńców?

— Być może.

Namiestniczka ukryła twarz w dłoniach, mocno przecierając oczy palcami. Gdy na powrót uniosła wzrok, wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Być może — powtórzyła. — Ale w czym właściwie chcesz mi pomóc, wasza godność? Powiem tylko, że Grombelard nie bardzo mnie obchodzi.

— Jednak wasza dostojność robi wszystko, by go ratować. Mniejsza o powody... zresztą wcale nie są głęboko ukryte.

— A jednak pozwalasz sobie na zbyt wiele — stwierdziła Werena; znużenie w jej głosie było tak wielkie, że Arma spojrzała uważniej. Zdawać by się mogło, że Namiestniczka lada chwila zaśnie, lub zemdleje... — Na zbyt wiele, zbyt wiele... — powtarzała, wyraźnie myśląc o czym innym.

Bawiła się wieczkiem płaskiego pudełka, stojącego na stole.

— Dobrze, wasza godność, doskonale... — rzekła na koniec z roztargnieniem. — Przemyślę to sobie. Masz na imię Arma, dobrze zapamiętałam? Zostaw, proszę, wiadomość, gdzie można cię znaleźć... U moich sekretarzy... Idź już! — zawołała z nagłym rozdrażnieniem, zatrzasnąwszy swoje pudełko. — Wezwę cię, jeśli uznam, że warto! Teraz idź już!

Milcząc, Arma ukłoniła się i wyszła.

*

Dziwna, trochę tajemnicza kobieta, która w ciągu niespełna tygodnia wkradła się w łaski Namiestniczki Sędziego, traktowana była zrazu dość nieufnie. Szybko jednak stało się jasne, że Werena niezwykle sobie ceni jej usługi, starannie powściągano więc odruchy niechęci. Tym bardziej, że usposobienie Namiestniczki stało się ostatnio dość przykre: bardzo łatwo zmieniała humory i nastroje, popadała w irytację, to znów tryskała jakąś nieuzasadnioną pogodą i energią. Kładziono to na karb przeciążenia pracą, choć powtarzano też czasem inne domysły i plotki. Trochę zastanawiająca była... nieco nadmierna poufałość, z jaką jej dostojność odnosiła się do S.M.Norwina, niedawnego komendanta garnizonu w Grombie, a obecnie dowódcy jej najemnej straży

przybocznej. Pojawienie się Army na jakiś czas usunęło tę sprawę w cień. Złotowłosa powierniczka Wereny wcale nie chciała być popularna i znana. Jednak w gmachu Trybunału pracowali ludzie, od których wymagano właśnie nieprzeciętnej dociekliwości. Ktoś odkrył, że blondynka miała swego czasu stałe miejsce na przedstawicielskim dworze. Drążono sprawę nieomal odruchowo — bo wiązanie różnych drobnych faktów w jedną spójną całość było tym, za co urzędnikom płacono... Jednak niezależnie od wszystkiego liczone się z Armią coraz bardziej.

Werena niezwykle wysoko oceniła jej przydatność — jednocześnie zaś poczęła się mieć na baczności. Grombelardka zorientowana była w sprawach zarówno Trybunału, jak i przedstawicielskiego dworu, przy czym jej wiedza o sprawach prowincji sięgała tak głęboko, że Namiestniczka Sędziego odczuwała coraz większy niepokój, zwyczajnie graniczący ze strachem. Zdała sobie sprawę z zakresu władzy, będącej udziałem tych, których tak ogólnie i beztrąsko zwano w Grombelardzie „zbójami”... Zbójce! Co i rusz jakieś nowe słowo blondynki sprawiało, że Werena uświadamiała sobie istnienie kolejnych jej powiązań z dworem, wojskiem... a na koniec i samym Trybunałem. Przed oczyma cesarskiej córki odsłaniało się z wolna drugie, ukryte w cieniu bezprawia imperium. Dane Army na temat Legii Grombelardzkiej były pełniejsze i bardziej wiarygodne niżli te, które przedstawić mógł Norwin. Komendanci innych garnizonów miejskich nie kwapili się wcale z powiadamianiem Grombu o istotnym, tragicznym stanie swych oddziałów. Być może była Arma jedyną w całej prowincji osobą, potrafiącą zebrać dokładne dane na ten temat!

Jednym z pierwszych jej posunięć było dokonanie dyskretnego przeglądu osobistej gwardii, którą Norwin zorganizował na żądanie Wereny. Bez namysłu wskazała kilku ludzi, na których można polegać — ale też kilku innych, gotowych sprzeniewierzyć się obowiązkowi przy pierwszej po temu okazji.

— Tych paru to najemnicy Kragdoba, a później Krehiri — powiedziała o pierwszych. — Żyją ze swoich mieczy i nie posiadają się z radości, że mają komu służyć. Jeśli są dobrze opłacani (a są przecież?) to mogą za nich ręczyć. Odpowiednia reputacja jest dla nich tym, czym dla innych list polecający. Ale tamci...

— Zwolnić?

— Jak to: zwolnić? — zapytała chłodno blondynka. — Do twierdzy, albo powiesić.

— Wasza godność chyba żartujesz? — zaprotestował zdumiony Norwin. — Do twierdzy? A z jakiego powodu?

— Bez powodu. Nie można ich trzymać, bo gotowi zdradzić. Nie można ich zwolnić, bo zemszczą się, przystając do naszych wrogów.

— Czyli do kogo?

— No do tych, przed którymi twoja gwardia broni Pierwszej Namiestniczki Sędziogo. Albo bronić będzie. Czyżby twoi żołnierze byli zbędni, panie?

Spór nabierał rumieńców. Oboje skierowali spojrzenia ku siedzącej za stołem Werenie.

— Wasza dostojność, proszę mnie poprzeć! — zażądała gniewnie Grombelardka.

— Wasza wysokość! — dla Norwina córka cesarza była w pierwszym rzędzie księżną Wiecznego Cesarstwa, a dopiero potem urzędniczką Trybunału.

Zamilkli, nie odwracając wyczekujących spojrzeń od cichej, pogrążonej w myślach Wereny. Namiestniczka uniosła głowę... i opuściła ją na powrót, wspierając czoło na dłoni. Wiecznie zalegające blat stołu dokumenty przesunęły się pod naciskiem łokcia.

— Już nie mogę — powiedziała niegłówno.

Norwin i Arma nieco oprzytomnieli. Wymienili spojrzenia.

— Żąda się ode mnie — mówiła cicho Werenia — niezwłocznego rozstrzygnięcia sprawy finansowych malwersacji, dokonywanych być może za wiedzą intendenta jego wysokości Księcia Przedstawiciela... Wpłynęło oskarżenie przeciwko kwatermistrzostwu garnizonu, najprawdopodobniej defraudowany jest majątek Legii Grombelardzkiej. Leży sprawa nadużyć poborców podatkowych... Spekuluje się zbożem dotowanym przez Kirlan... Lada chwila wybuchnie już nie bunt, a prawdziwe powstanie w Grombie... Kwitnie wyprzedaż wysokich urzędów i stanowisk... Czy o czymś zapomniałam?

Zaległa chwila ciszy.

— Już nie mogę — powtórzyła Werenia. — Minęły dwa miesiące... Nie zrobiłam nic. Zupełnie nic. Zrezygnuję.

— Wasza dostojność... wysokość... — powiedzieli jednocześnie.
Nie słuchała.

— A jutro — rzekła — być może rozpęta się nad tymi przekłętymi górami jakaś wojna potęg, wszczęta przez jakichś szaleńców... Tak, szaleńców. To chyba jakiś sen? Malwersacje, łapówkarstwo... Szerń i Aler. O, tutaj leżą raporty od wywiadowców z gór. Nic z nich nie wynika ponad to, że właśnie... nie zrobiłam nic.

— Wasza...

— Dosyć. Rozstrzygnijcie tę sprawę beze mnie. Zaraz, o co to chodziło? Ach, już wiem! Tak, rozstrzygnijcie tę sprawę. Tę... i inne.

Zrobiła lekki gest, nakazujący im opuszczenie komnaty. Norwin chciał coś powiedzieć, lecz Arma lekko pociągnęła go za ramię. Pokręciła głową.

Po chwili — Werena została sama.

W ciągu minionych dwóch miesięcy widziała Rameza zaledwie trzy razy. Nie odwiedzała pałacu... a on tym bardziej nie kwapił się do gmachu Trybunału. Wszystkie lata, które przeżyli razem, przestały znaczyć cokolwiek. Była mu obojętna — zaczynała przekonywać się o tym. Wątpiła, czy — zatopiony w swych księgach — przez wszystkie te dni poświęcił jej choć skrawek myśli. Jeśli nawet, to myślał o niej jak o zdrajczynie... Była pewna. Naiwnie sądziła, że Ramez głęboko przeżyje jej decyzję o zawieszeniu małżeństwa. Najtrudniejsza decyzja w jej życiu. Płakała przy jej podejmowaniu, płakała mówiąc o niej... płakała potem, przy świadkach, wręczając mu list rozwodowy. Płakała teraz, wspominając tamten płacz. Kochała tego mężczyznę jak nikogo innego na świecie, podziwiała go, szanowała... i lubiła, bo był jej prawdziwym, szczerym przyjacielem. Dzieliła z nim wspólne, nierealne marzenie o dzieciach. Jeszcze nie tak dawno... gotów był porzucić wszystkie sprawy i bez chwili wahania, w prostej kolczudze legionisty, z łukiem, biec jej na ratunek, gdy dostała się w ręce szaleńca. Teraz... sam był takim szaleńcem. Pragnącym dokładnie tego, czego pragnął Brule. A wtedy... Zawsze jej się wydawało, że kochając kogoś i nie przestając kochać, nic już więcej poczuć nie można. Nieprawda. Wtedy, gdy przyszedł po nią z mieczem w ręku, jak prosty żołnierz-wojownik... jak mężczyzna po swoją kobietę po prostu... w jednej chwili pokochała go podwójnie. Tak mocno, mocno wtedy czuła, że ma s w o j e g o m ę ż c z y z n ę! Kogoś, kto bez

chwili wahania podpali cały świat, jeśli będzie to ceną za jeden włos z jej głowy! Gotowa była umrzeć, tu i teraz, byle tylko raz jeszcze móc poczuć to, co czuła wtedy.

Lecz nie. On już nie chciał. Po prostu... Więcej warte wydawało mu się być bohaterem w oczach własnych — niż w oczach swojej kobiety. Postanowił poświęcić się dla świata.

Dla świata... A co to jest świat?

Chciała przeżyć z tym człowiekiem życie. Nic więcej... Przeżyć życie. Własne życie: pierwsze, ostatnie i jedyne, jakie jej dano do przeżycia. Próbowwała walczyć — i walczyła. Po dwóch miesiącach tej walki okazało się, że nie zrobiła nic. Nie wskrzesiła w Ramezie człowieka, który ją kochał i którego ona kochała. Czy mogła zrobić coś jeszcze? Udaremnić jego plany... Złe plany, szalone, niepotrzebne. Głupie. Może gdyby udało się przekreślić jego szanse na zbawienie świata...

Śmiała się i płakała bezgłośnie.

Walczyła o człowieka, który postanowił zbawić świat! Nie, nie było odwrotu... Nigdy już nie zdoła zobaczyć w tym przerażającym, lecz i śmiesznym maniaku tego armektańskiego wojownika, który wtedy przyszedł po nią z mieczem w dłoni. Już nigdy. Mogła więc zrezygnować.

Dziś, jutro, a może za tydzień — gdzieś pośród smaganych wiatrem i deszczem szczytów, ożyje wroga siła. Ciężkie Góry po raz drugi w swej historii popękają od ciosów, będą się rozpadać, płonąć... Choćby nawet chciała, to jak mogła temu zapobiec? Podjęła się zadania ponad siły. Tak, jak przed miesiącem powiedziała Norwinowi, cała jej władza sprowadza się do wydawania poleceń. Poleceń, których nie miał kto wykonać. Ludzie Trybunału mogli dostarczyć wielu potrzebnych wiadomości, mogli sądzić i skazywać — lecz nie mogli ruszyć w góry przeciw temu c z e m u ś, czego bała się Arma. Złotowłosa Grombelardka wcale nie była pierwszą osobą, która donosiła o dziwnej wsi, nazywanej Jarem. Trybunał wiedział od dawna, że takie miejsce istnieje, i że dzieją się tam rzeczy niezrozumiałe. Lecz co z tego? Choćby ów zły duch Grombelardu, o którym mówiła Arma, a o istnieniu którego ona sama po prostu wiedziała, siedział sobie na placu pośrodku tej wioski — nie miał kto iść do niego. Pojedynczy szpiedzy, wysyłani na zwiady, przepadali w Jarze bez wieści. To była walka z cieniami. Potrzebny był niezłomny wojownik, który pójdzie tam z jedną tylko myślą: zabić to coś, albo zginąć. Kimś

takim... mógł być jej mąż, prowadzący grombelardzkich żołnierzy.

— Nie — powiedziała cicho. — Przecież nie zrezygnuję.

Wyciągnięta dłoń trafiła do pudełka... Pierwsza Namiestniczka Sędziego Trybunału odchyliła się na oparcie krzesła i przymknąwszy oczy rozgryzła trzy gorzkie, palące język i gardło bryłki.

*

Tego samego dnia wieczorem nadeszły dwie pierwsze półsetki łuczników Legii Armeckańskiej.

27.

Przybycie wojska wywołało nie lada poruszenie i sensację. Widok karnych trójek, poprzedzanych przez dziesiętników był czymś, o czym w Grombie już dawno zapomniano. Wojsko przeszło ulicami niczym na paradzie; juczne muły zostawiono pod strażą na przedmieściu, by mieszkańcy grombelardzkiej stolicy mogli podziwiać zwarte, obciążone tylko bronią, idące jak do boju szeregi. Jaskrawoniebieskie tuniki na kolczugach wzbudzały powszechną ciekawość i — w odróżnieniu od ciemnozielonych tunik grombelardzkich — wydawały się raczej krzepiące, niż groźne. Jeszcze bardziej niezwykle były łuki. W Drugiej Prowincji bardzo rzadko używano tej broni; Legia Grombelardzka miała oddziały kuszników, łucznicy byli rzadkością. Wieść o przybyciu wojska, na dodatek tak niezwyklego, wyprzedziła maszerujący oddział. Ludzie niezwykle tłumnie wylegli na ulice. Pozdrawiano legionistów, ba! zgotowano im prawdziwą owację, obiecując sobie po ich mieczach... chyba aż nazbyt wiele. Ale też ulice grombelardzkich miast od pewnego czasu były miejscem naprawdę nieprzyjaznym, zaś w nocy — zwyczajnie groźnym. Przeciętny mieszczuch niewiele wiedział o całości spraw prowincji — ale przecież miał oczy i widział, że życie jest coraz droższe, patroli na ulicach ani śladu, za to rzezimieszków i zwyczajnych bandytów co niemiara. Do tego wszystkiego dochodziły jakieś dziwne, ponure wieści z gór...

Lecz oto przybyło wojsko! Setka armeckańskich łuczników rozrosła się natychmiast do pełnego tysiąca, a nawet kilku tysięcy — bo byli ci żołnierze namacalnym znakiem, że Wieczne Cesarstwo wciąż istnieje, imperator ma karnych i posłusznych żołnierzy, którzy przyjdą

zaprowadzić porządek, jeśli zajdzie taka potrzeba. W Grombelardzie nie przepadano za Armektańczykami, nie lubiano ich sposobu bycia, języka i dziwacznych zwyczajów — ale samo Cesarstwo, w świadomości szarego mieszkańca Grombu, istniało od zawsze i od zawsze Grombelard był jedną z jego części. I tak, jak powiedziała Norwinowi Werena: armektańskie wojsko było (o ironio!) wojskiem „obcym” tylko dla... pierwszego Armektańczyka w Grombelardzie. Dla Księcia Przedstawiciela.

Arma, przez całe swoje życie kochająca legionistów akurat tak, jak urzędników Trybunału, miała ochotę śmiać się z własnego entuzjazmu — bo czuła entuzjazm, nic innego! Zarówno dwór przedstawicielski jak i Trybunał były powiadomione o zbliżaniu się obiecanych przez cesarza łuczników; wszakże wyglądano ich dopiero za dzień albo dwa. Tymczasem dwie pierwsze półsetki przestrzeń między Badorem a Grombem pokonały forsownym marszem, pojawiając się zupełnie nagle — ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich. Arma, podniecona jak ostatnia z mieszczyk, bez zapowiedzi wpadła do pokoju Wereny.

— Wasza dostojność! — zawołała od progu... i zamilkła.

Namiestniczka siedziała na krześle, z głową odrzuconą do tyłu. Pochylała się nad nią Lenea — Perła Domu, którą Werena zabrała z sobą, opuszczając pałac. Jasnoszara suknia Namiestniczki splamiona była krwią, podobnie jak leżące na stole pisma. Niewolnica próbowała zatamować krwotok, przyciskając szmatkę do nosa swojej pani. Arma biegiem ruszyła w stronę krzesła i... stanęła jak wryta, usłyszawszy śmiech Wereny. Namiestniczka Sędziego była w doskonałym humorze.

— Wiele hałasu... o nic... — powiedziała trochę chrapliwie, bo z gardłem pełnym krwi. — Och, zostaw mnie wreszcie! — niecierpliwie krzyknęła na Perłę. — Albo nie, nie zostawiaj... Mówię ci, Armo, cóż to za... — znów się roześmiała — cóż to za dziwny pomysł, żeby sypiać tylko z mężczyznami... Popatrz na nią, mmm...

Były to jakieś brednie.

Rudowłosa Dartanka bezradnie spojrzała na Armę i ruchem głowy wskazała stojące na stole pudełko. W oczach miała łzy. Arma odchyliła wieczko i zacisnęła usta.

— Chyba byłam ślepa... — powiedziała z nagłą, bezradną wściekłością. — Te jej humory... O na wszystkie... Zimne okłady! Krew

niech spływa, niech jej nie połyka! — rzuciła, pospiesznie ruszając ku drzwiom.

— Tak, pani... — powiedziała niewolnica. Głos jej się załamał.

— Mogę połknąć ciebie — oznajmiła Namiestniczka. — Chciałabyś? Arma wyszła.

Pokoju Wereny strzegł jeden z gwardzistów Norwina.

— Nikogo tu nie wpuszczaj, zrozumiałeś? Tylko ja i twój komendant.

— Tak, pani.

— Nikt inny! Nawet sam cesarz, nikt!

— Tak, pani — powtórzył gwardzista.

Arma biegiem dotarła do schodów. Wkrótce była na ulicy. Wieść o tym, że cesarska córka, piastująca jedno z najważniejszych stanowisk prowincji, truje się najgorszym świństwem Szereru, nie mogła wydostać się na zewnątrz. Arma to i owo słyszała o shearei. Krwotoki pojawiały się dopiero wówczas, gdy nie wystarczała jedna mała grudka. Mężczyźni znosili to lepiej. Kobiety... z natury rzeczy krwawiące co miesiąc... prędzej czy później wykrwawiały się na śmierć. Najpierw dosyć łatwo było robić parodniowe przerwy, gdy zachodziła taka potrzeba. Później... później już nie. Jeśli Werena dostała krwotoku z nosa, oznaczało to ni mniej ni więcej, że najbliższe naturalne krwawienie może być jej ostatnim. Arma miała świadomość, że przy tak dużych dawkach Namiestniczkę tylko siłą da się powstrzymać od połknięcia kolejnej brunatnej grudki. Zresztą... Było to zmartwienie na później. Werena mogła wykrwawić się już teraz, krwotoki po shearei nie ustępowały ot, tak sobie.

Na przedmieściach Grombu mieszkał jedyny człowiek, który mógł coś poradzić. Zwany był Koniarzem — bo leczył konie... Arma wiedziała, co o tym sądzić: Koniarz nauczył się oceniać, czy zwierzę zdoła samo wyzdrowieć, czy też zdechnie — i to była cała jego sztuka. Ale miał różne śmierdzące mikstury na pokaz. Wszystkie — poza jedną, która istotnie działała. Odkrywszy jej właściwości przypadkiem, używał niezwykle oszczędnie, bo sam nie miał najmniejszego pojęcia, z jakich właściwie śmieci i odpadków ją przyrządził. Koniarz zwykł był kosztować owych strasznych nalewek, nie chciał bowiem otruć przypadkiem któregoś z „leczonych” koni (przez co kiedyś omal nie otruł sam siebie...). Koński znachor cierpiał na przykrą dolegliwość: otóż bywało, że nie mógł wcale usiąść... a nawet krwawił z odwrotnej swojej strony. Wypróbowałszy

nową miksturę właśnie w takim momencie, stwierdził, że nie dość, iż nie jest zabójcza, to jeszcze pomaga na owo krwawienie. Kolejne próby potwierdziły cenne spostrzeżenie. Koniarz dysponował skarbem.

Ten skarb właśnie Arma chciała mu odebrać

Brama miejska nie była daleko, ale najkrótsza doń droga wiodła przez Mały Rynek, gdzie zatrzymały się armektańskie półsetki, otoczone przez radosne tłumy. Od dawna już na ulicach Grombu nie było tylu ludzi spieszących dokądś, zadowolonych, podnieconych... Wszyscy chcieli zobaczyć łuczników. Arma chętnie popatrzyłaby także, ale każda zwłoka mogła przynieść tragiczne następstwa — i zebrane tłumy zaczęły ją drażnić. Musiała ominąć rynek. Prawie biegła. Nie miała pojęcia, jak dawno zaczęła się krwotok. Każda chwila mogła być droga.

Niedaleko bramy miejskiej została zatrzymana przez trzech drabów — wyraźnie należących do rodzaju tych, którzy nie mieli powodów, by świętować z okazji przybycia wojska. Jej suknia, chociaż trochę już wymięta, ubłocona i wilgotna od mżawki, zwracała uwagę; gdyby nie wielki pośpiech, Armie nawet nie przyszyłoby do głowy bieganie w czymś takim po ulicach Grombu. I klejnoty! Wszystko na wierzchu... bo nie wzięła nawet płaszcz.

Chwycono ją wpół i przyparto do muru.

— Ach, jaka jestem zmęczona! — zaszcebiotał drab uwieczony jajowatą bryłą, którą aż trudno było nazwać głową. — Ach, jak szybko biegnę! Ach, ach!

Pochwycono ją za ramiona. Pośród pogaduszek, które miały być niezmiernie dowcipne, została zawleczone w pobliski zaułek. W tej części miasta było już pustawo; ci, co szli oglądać żołnierzy, dawno dotarli na miejsce. Zdołała dojrzeć samotnego mężczyznę, szybko rozglądającego się dokoła...

W zaułku znów została popchnięta na ścianę.

— Ach, ach! — zawołał raz jeszcze najdowcipniejszy z obwiesiów. — Ach, jak będzie nam dobrze...

Szarpnąwszy mocno, oderwał od sukni delikatną agrafę z rubinem.

— Ach, ach — powiedziała z wściekłością, ujrawszy ponad jego ramieniem nadchodzącą odsiecz.

Grzmotnęła draba kolanem w przyrodzenie, ale tak potężnie, że znowu powiedział „ach” i upuścił zdobytą agrafę. Przysiadł na

miękających nogach, gdy jego towarzysze usłyszeli odgłos kroków. Odwrócili się, puszczając ramiona kobiety. Nadbiegający był tuż; w prawej dłoni trzymał krótki miecz, a w lewej sztylet... Jeden z obwiesiów zaklął, odskakując, drugi sięgnął pod pelerynę i wyciągnął nóż. Mężczyzna z mieczem zamachnął się potężnie — i pięść rzezimieszka, wciąż ściskająca trzonek noża, zwiśla na cienkim płacie mięsa i skóry. Nim umilkł opętańczy skowyt, obrońca Army kopnął w głowę próbującego powstać dowcipnisia. Trzeci łotr umykał co sił. Pośród nie milknących ryków wijącego się pod ścianą draba z odciętą ręką, Arma bez cienia litości kopała tego, który usiłował odebrać jej agrafę. Gdy przestał się ruszać, odnalazła szczelinę między ramionami, którymi osłaniał głowę. Wymierzyła jeszcze dwa zajadłe kopniaki, rozgniatając ucho na miazgę.

Przybyły z odsieczą mężczyzna schował miecz i sztylet pod płaszczem. Odstąpił krok do tyłu. Arma przekroczyła nieprzytomnego, schyliła się i podniosła swoją agrafę.

— Ostatni raz czekam tak długo! — rzekła z gniewem, spiesząc ku wyjściu z zaułka. — Płacę i masz być natychmiast, gdy tego potrzebuję! Rzygać mi się chce, gdy patrzę na to miasto...

Mężczyzna skłonił się krótko, odczekał aż „podopieczna” oddali się nieco, po czym ruszył jej śladem, jak poprzednio.

Ranny wciąż skowyczał w zaułku.

Znalazłszy się przy bramie miejskiej, Arma przywołała jednego z żołnierzy. Był już wieczór i musiała zapewnić sobie możliwość powrotu do miasta; z nadejściem nocy bramę zamykano. Żołnierz wskazał jej dowódcę posterunku. Arma zamieniła z nim kilka niegłośnych słów; dziesiętnik zaśmiał się, klepnął ją w pośladek i wyciągnął dłoń. Agrafa z rubinem niezwykle przypadła mu do gustu. Machnął ręką. Blondynka odszukała wzrokiem swojego towarzysza i skinęła nań. Zbliżył się, a wtedy mruknęła:

— Obejmij mnie... Właśnie robię za najdroższą kurwę w mieście.

Przeszli przez bramę.

— Wrócę sama — powiedziała. — No trudno. Dasz mi swój sztylet. Przedostań się do miasta tak szybko, jak tylko będziesz mógł, i waruj przed Trybunałem, jak zwykle. Kto wie, czy nie odbędę tej nocy jeszcze paru spacerów.

Wkrótce znaleźli się przed domem Koniarza. Gospodarz był trochę pijany, lecz wytrzeźwiał usłyszawszy, po co Arma przysłała. Krzyczał i płakał tak długo, aż wymieniła sumę.

*

Wieść o ciężkiej chorobie Pierwszej Namiestniczki Sędziego rozeszła się głośnym echem. Znowu wybuchły przypuszczenia i plotki; nikt nie wiedział, co właściwie cesarskiej córce dolega. Wstęp do niej miało niewielu. Poza Norwinem i Arma widywała tylko swoją zaufaną niewolnicę, dartańską Perłę. Pierwszy dzień minął spokojnie... ale już drugiego dnia z prywatnych pokojów Namiestniczki poczęły dochodzić krzyki i odgłosy zwyczajnych awantur. Wkrótce umilkły. Arma wcale stamtąd nie wychodziła. Norwin dniem i nocą czuwał przy wejściu do pokoi, mając przy sobie kilku prywatnych żołnierzy. Sytuacja przestała być niecodzienna; zaczęła być groźna... Odprawiono posłańca od księcia Rameza. Przybył drugi — tego wręcz przepędzono, był bowiem zbyt natarczywy. Przychodzących z różnymi sprawami urzędników odsyłało z kwitkiem. W końcu przyszedł Drugi Namiestnik Sędziego i wręcz zażądał widzenia z jej dostojnością. Norwin tłumaczył, usprawiedliwiał się i kłamał. Wreszcie przestał i po prostu zagroził drzwi. Oparł się o ich skrzydło.

— Więc przejdź, wasza dostojność — powiedział, gdy namiestnik zaczął ponawiać swe żądania.

Urzędnik wziął to za dobrą monetę i począł mocować się z drzwiami. Norwin nie odsunął się. Nie należał wcale do olbrzymów, niemniej był słusznego wzrostu — i trzeba by ze czterech takich dziadków, jak Drugi Namiestnik Sędziego, do otwarcia drzwi, przy których stał. Skrzyżował ramiona na piersi.

— Ależ odsuń się, panie! — zawołał urzędnik ze złością. — Nie wejdziesz, dopóki tu stoisz!

— No właśnie próbuję ci to, panie, powiedzieć — rzekł Norwin. — Nie wejdiesz, dopóki tu stoję.

W ten sposób zakończył rozmowę.

Co nie oznaczało, że rozwiązał problem...

Próby dotarcia do Wereny stawały się coraz bardziej natarczywe. Urzędników, bądź petentów, można było przepędzić, służbę odprawić, ciekawskich nie wpuścić. Ale lada chwila mógł przybyć trzeci posłaniec

od Księcia Przedstawiciela, poprzedzany przez żołnierzy gwardii pałacowej. Mógł też — co bardziej prawdopodobne — pojawić się osobiście sam książę... Nikt już chyba nie wierzył w tajemniczą „chorobę” — i doprawdy, gdyby wstępu do jej dostojności bronił ktoś inny niż Norwin, już dawno usunięto by go siłą. Jednak przywiązanie byłego komendanta legii do cesarskiej córki było powszechnie znane i dlatego wciąż jeszcze próbowano wierzyć, że nie odbył się jakiś... zamach. Jednakże Werena wkrótce musiała się pokazać. Córka imperatora i — od pewnego czasu — najważniejsza właściwie osoba w Grombelardzie, nie mogła zniknąć w jednej chwili ot, tak sobie. Bez względu na przyczyny.

Norwin posłał po następnych dwóch żołnierzy. Licząc i jego — w przedpokoju Wereny czuwało odtąd siedmiu ludzi pod bronią.

Strzeżone drzwi rozwarły się na chwilę.

— Wasza godność — powiedziała Arma.

Norwin bez słowa poszedł za nią. Minęli kancelarię i znaleźli się w dziennym pokoju Wereny. Dalej była już tylko jej sypialnia.

Grombelardka zatrzymała się. Niewysoka — musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć Norwinowi w twarz. Zobaczył, że kobieta jest zmęczona i podenerwowana.

— Co z jej wysokością? — zapytał.

— Możesz zobaczyć ją, panie — powiedziała znużonym głosem — chociaż myślę, że wolałbyś takiego widoku uniknąć. Jest... związana i zakneblowana.

Norwin zacisnął zęby. Potem otworzył usta, chcąc coś powiedzieć... ale zrezygnował.

— Wiem, co myślisz, wasza godność — powiedziała. — Ale nie ma innego sposobu. To potrwa parę dni. Ataki są tym gwałtowniejsze, im większe były ostatnie ilości tego świństwa, ale tak w ogóle, to nie powinno trwać długo. Zdaje się, że używała tego zaledwie przez dwa miesiące. To krótko.

Norwin milczał.

— Jutro powinna poczuć się lepiej — rzekła Arma. — Nie na długo... Ale może zdąży pokazać się wszystkim i wydać parę poleceń.

— Nie wiem, czy mamy czas do jutra — zauważył Norwin.

Krótko opowiedział o drugim posłańcu Rameza (o pierwszym Arma wiedziała) i natarczywości Drugiego Namiestnika.

— No więc pociesz się tym, wasza godność — skostatowała Grombelardka — że jeśli ktokolwiek wejdzie tam teraz, to już po nas. Jej dostojność po wyjęciu knebla pierwsze co zrobi, to każe nas zwyczajnie rozsiekać. Jeśli chcesz zobaczyć oczy kogoś, kto cię naprawdę nienawidzi, to wejdź tam teraz. Zapraszam.

— Nie.

— A zatem musisz dalej zatrzymywać wszystkich.

Norwin skinął głową.

— Jednak, pani, gdy tylko...

— Nawet w samym środku nocy — obiecała Arma. — Choćby przyszło zbudzić wszystkich, to przyprowadzimy ich do niej. Im szybciej ją zobaczą, tym lepiej.

Norwin wrócił na swój posterunek.

Arma przez chwilę rozważała coś w myślach, po czym weszła do sypialni. Zakneblowana Werena, przywiązana do łóżka, wyginała się w łuk. Stękając przeciągle, wytrzeszczała oczy na widok Perły Domu, która chciała obetrzeć jej pot z czoła. Zawyła głucho, dojrawszy Grombelardkę.

— Już nie mogę na to patrzeć — powiedziała Arma, zwracając się do Dartanki. — Mówisz, że jutro... na pewno będzie lepiej?

— Powinno być lepiej — odparła Lenea. — Posłałam po jakieś zioła na sen. Trzeba to przeczekać, to jedyny sposób. Może pięć, może sześć, może siedem dni... To zależy. Potem już da się nad tym zapanować.

— Jeśli będzie chciała zapanować.

— Oczywiście — przyznała Dartanka.

Werena wyprężyła się znowu, po czym poczęła dziko skakać na łóżku, jak wyjęta z wody ryba. Oczy nabiegły jej krwią.

— Ufam ci, Lenea — powiedziała Arma, odwracając wzrok od Namiestniczki. — Niewiele wiem o tym paskudztwie. Słyszałam tyle, co wszyscy. Albo niewiele więcej.

— Czasem bym tak chciała — powiedziała Perła z nieznacznym uśmiechem. — Ja o niewielu rzeczach dowiedziałam się przypadkiem. Prawie wszystkiego mnie nauczono. Języków, śpiewu i matematyki... Muszę wiedzieć po trosze o wszystkim. Jest to wliczone w cenę — uśmiechnęła się raz jeszcze.

— Źle ci z tym, Lenea? — zapytała Arma. — Jakoś nigdy o tym nie

myślałam... Jak to jest: być Perłą Domu?

Dartanka wzruszyła ramionami.

— Głupie pytanie, prawda? Wasza godność? — zapytała z jawną ironią.

— Chyba tak — przyznała blondynka.

Wyciągnęła rękę i z nieoczekiwana tkliwością dotknęła mokrego czoła Namiestniczki. Szybko cofnęła rękę, jakby zawstydzona okazaną słabością.

— Wydaje mi się... — zaczęła Lenea.

Arma ostrzegawczo podniosła rękę. Obie zastygły w bezruchu, wsłuchując się w nagły hałas, dobiegający od strony przedpokoju.

— Ramez! — powiedziała Arma, lekko blednąc.

— Księżę — potwierdziła Dartanka. — Nie, pani — zaprotestowała widząc, że Grombelardka szykuje się do wyjścia z pokoju. — Ja będę rozmawiać. Nie powinnaś wchodzić księciu w oczy. Usiądź gdzieś z boku i to tak, jakby cię wcale nie było.

To rzekłszy pospiesznie opuściła sypialnię. Zaraz natknęła się na Norwina i Rameza.

— Wasza wysokość, proszę się zatrzymać! — zażądała z ogromną stanowczością. — Najpierw...

Zamknęła drzwi wiodące do sypialni i reszty słów Arma musiała się domyślać. Potem dobiegały ją strzępy rozmowy, mniej lub bardziej zniekształcone. Zarówno Lenea, jak i Norwin, czy wreszcie sam księżę, najwyraźniej chodzili po pokoju, mówiąc w różnych kierunkach, stąd czasem nie słyszała prawie nic, czasem zaś — więcej i dosyć wyraźnie. W pewnej chwili wszyscy troje zaczęli mówić jednocześnie, z coraz większym wzburzeniem i przerwał to dopiero gniewny okrzyk Dartanki:

— Mówię ci, że nie!

Po czym rozbrzmiało coś jak okrzyk zaskoczenia.

— Pozwoliłaś sobie... — to był głos Rameza.

— Pozwoliłam! Norwin wyjdź stąd! Wyjdź!!! A ty dokąd, panie?!

Arma wytrzeszczyła oczy i zakryła usta dłonią. Perła Domu najwyraźniej... krzyczała na księcia Rameza!

Trzasnęły jakieś drzwi. Księżę i niewolnica zostali sam na sam.

Rozmowa przycichła i Arma znów nie mogła zrozumieć pojedynczych słów, poznawała tylko brzmienie głosów. W sąsiednim

pokoju najwyraźniej nastąpiło jakieś dziwne odwrócenie ról: kobieta mówiła szybko i zdecydowanie, tonem stanowczym, jeśli nie zgoła rozkazującym. Mężczyzna odzywał się rzadziej, chyba coś tłumaczył i przedkładał. W pewnym momencie zniecierpliwiał się widocznie, bo zawołał:

— Dość tego! Naprawdę dość! Nie będziesz mi mówiła...

— Będę! — wrzasnęła Dartanka. — Odzywam się w imieniu mojej pani i nic mi nie możesz zrobić, książę! Jestem rzeczą, która nie do ciebie należy!

W tych dwóch zdaniach zawarło się wszystko — i Arma uświadomiła sobie nagle, jak głupie w istocie było jej pytanie: „jak to jest być Perłą?...” Ano właśnie tak.

— Ano właśnie tak... — szepnęła sama do siebie.

Prawie zapomniała o związanej i zakneblowanej Werenie. Spojrzała na nią szybko. Namiestniczka leżała spokojnie. Oddychała ciężko i widać było, że męczy się nadal. Ale — ona też słuchała...

— Wasza dostojność... przepraszam — powiedziała Grombelardka.

Sama nie do końca wiedziała, za co właściwie przeprasza. Chyba za to, że... musiała jakoś uciec. Było tak, jak powiedziała Lenea: książę Ramez nie miał nad nią żadnej władzy, bo była tylko Perłą Domu. Klejnotem. Rzeczą, należącą do kogo innego. Ale Arma nie była Perłą... Jego wysokość nie powinien się dowiedzieć, że przez drzwi słuchała takiej rozmowy.

O słuszności decyzji upewniły ją lekkie stuknięcia w drzwi: dwa... i jedno... dwa... i jedno... Oparta o ich skrzydło niewolnica bębniła palcami niby mimochodem, ale Arma na tyle już poznała tę kobietę, że wiedziała, co myśleć. „Wynoś się!” — stuknęła do niej Perła.

Drzwi otwierały się do wewnątrz. Arma stanęła tak, by zasłoniły ją przed wzrokiem wchodzącego. Rozmowa w pokoju obok dobiegała końca. Nikt już nie krzyczał...

Drzwi otworzyły się i... pierwsza weszła Dartanka, stając tak, by dodatkowo zasłonić Armę. Domyśliła się, gdzie jest! Przedstawiciel ruszył prosto w stronę łoża, a Lenea odsunęła się nieco, przepuszczając Grombelardkę pod trzymającym drzwi ramieniem i zamknęła je natychmiast, nawet nie spojrzawszy na uciekinierkę.

Oparłszy się o ścianę, Arma odetchnęła.

„Nie, na Szerń” — pomyślała.

Ruszyła ku wyjściu.

„Nie, na Szerń... I ja ją pytałam, czy to dobrze być Perłą Domu...”

Norwin, siedzący w przedpokoju na ławeczce wartownika, zerwał się natychmiast.

— I...? — zapytał.

Skrzywiła usta i lekko wzruszyła ramionami.

— Jeśli cesarz też ma taką, to znaczy, że tym imperium rządzą niewolnice — powiedziała.

Uniósł brwi... lecz po chwili zrozumiał.

*

Księżę pozostał przy Pierwszej Namiestniczce do chwili, gdy nadeszła zapowiadana przez Leneę krótkotrwała poprawa. Obecność Rameza wyraźnie przyniosła chorej ulgę, jednak normalna rozmowa nie bardzo była możliwa. Werena nie potrafiła skupić uwagi na czymkolwiek, co nie było małe, okrągłe i nie miało gorzko-palącego smaku shearei. Uwolniona z więzów i knebla, wiedziała i słyszała Rameza, chciała z nim rozmawiać — lecz po prostu nie mogła. W pewnej chwili zerwała się i próbowała uciec. Księżę nie spodziewał się czegoś takiego; Perła Domu — owszem... Pochwyciwszy Namiestniczkę przy drzwiach, została przez nią podrapana i pogryziona do krwi, nim księżę Ramez przemógł osłupienie. Wspólnymi siłami zaciągnęli Werenę z powrotem do łóża. Wyła z rozpacz i wściekłości. Z przerażeniem i bólem, księżę musiał przyznać rację Perle Domu: jeśli cały Grombelard, a potem całe cesarstwo nie miały się dowiedzieć, co zrobiła z sobą córka panującego — sznur i knebel były niezbędne.

Rzeczywista ulga przyszła nad ranem. Werena panowała nad sobą. Wtedy rozmówili się z Ramezem.

Perła czekała w pokoju obok. Wkrótce posłano ją po pieczęcie i przybory do pisania. Pisała pod dyktando: jedne dokumenty w języku armektańskim, inne po grombelardzku, niektóre — w obu tych językach.

Potem wezwano Norwina — miał natychmiast sprowadzić jego dostojność Drugiego Namiestnika Sędziego i dowódcę przybyłych z Armektu łuczników. Wiedząc, jak mało jest czasu, wierny oficer biegiem ruszył spełnić polecenie — potrafił kilka osób, kogoś nawet przewrócić, a na schodach przeskakiwał po trzy stopnie; dopiero w przedpokojach

Namiestnika zwolnił i uspokoił oddech, by wejść jak gdyby nigdy nic...

Wkrótce sprowadzono też nadsetnika Legii Armeckańskiej.

Werena z trudem dobrnęła do końca tej rozmowy — zdołała jednak zapanować nad sobą tak dobrze, iż nawet Ramez i Lena nie zauważyli, co się dzieje. Lecz gdy tylko drzwi zamknęły się za wychodzącymi, Namiestniczka pobladła tak, że zdawało się, iż zemdleje. Okryta lodowatym potem, zacisnąwszy zęby, opadła na łóżko, wciskając Ramezowi w rękę swój knebel...

— Zrób... to... — wykrztusiła.

Księżciu drżały ręce, gdy spełniał tę prośbę. Dartańska niewolnica dostrzegła, że krępując Werene — zapłakał.

28.

Przedstawiciel, raz wytknąwszy sobie cel, zwykł był dążyć do niego niezłomnie. Wiele się zmieniło — lecz nie to... Ramez czuwał przy Werenie, ale z myśli o wskrzeszeniu leżących w górach Wstęg bynajmniej nie zrezygnował. A jednak każdy, kto chciał posądzić tego człowieka o małostkowość — błądził. Namiestniczka Sędziego Trybunału była jego przeciwniczką w walce, którą prowadził. Jednak nie zniżył się do tego, by wykorzystać jej słabość i związaną z tym chwilową bezczynność. Wręcz przeciwnie. Norwin mylił się uważając, że sprowadzone półsetki łuczników napotkają jakieś kłopoty z zakwaterowaniem, wyżywieniem i innymi podobnymi sprawami. Dyspozycje, które Perła Domu spisywała pod dyktando, regulowały te kwestie. Przedstawicielowi nawet przez chwilę nie powstała w głowie myśl, że armeckańscy żołnierze mieliby się tułać po jakichś prywatnych kwaterach i kupować jedzenie na targu. Umieścił ich w kwaterach garnizonu i polecił wydać odpowiednie kwoty z własnej swojej szkatuły. Załatwił też od ręki parę innych, większych i mniejszych spraw, z którymi Werena borykała się od dawna... bo nawet nie próbowała iść z nimi do Przedstawiciela. Była przecież głęboko przekonana, że spotka się z odmową. Tymczasem Ramez, wytrwale zmierzając do celu, jednocześnie po prostu nie potrafił bezinteresownie utrudniać jej życia. Coś takiego było poniżej jego godności. Nie zamierzał, rzecz jasna, własnymi rękami burzyć swoich planów — ale wieść o tym, że

Namiestniczka za własne pieniądze zorganizowała sobie przyboczny oddział, tak jakby nie mogła zażądać najlepszych żołnierzy z jego gwardii pałacowej, wydała mu się wręcz przerażająca. Wybieg, którego użyli z Norwinem, by uzyskać jego zwolnienie z wojska, Przedstawiciel uznał po prostu za wstrętny. Tak dalece, że choć nie była to sprawa najważniejsza, niezwłocznie zażądał ponownego procesu i — po oczyszczeniu komendanta z zarzutów — przywrócenia go do służby. Procedura musiała potrwać; niemniej Ramez zawczasu podyktował pismo pozytywnie załatwiające sprawę skrócenia kontraktu Norwina i zwolnienia go z wojska, z prawem do renty dożywotniej i zachowania stopnia. Ponadto oficjalnie potwierdził swym autorytetem wiadomość o niegroźnej, lecz wymagającej odosobnienia chorobie Namiestniczki i zażądał, by zapewniono jej niezbędny spokój. Uczyniwszy to wszystko, nie odstępował Wereny do chwili, gdy jej dolegliwości zaczęły ustępować. Wówczas... wrócił do swoich ksiąg.

*

Dwa dni później do gmachu Trybunału przyniesiono wiadomość o nieobecności księcia w Grombie. I tym razem nie była to plotka...

29.

Pierwsza Namiestniczka Sędziego pozornie wróciła do swych zajęć. Pozornie — bo apatyczne przekładanie dokumentów z jednego końca stołu w drugi, nie miało wcale sensu i zupełnie niczemu nie służyło. Wciąż jeszcze bała się przebywać sama, więc Lenea towarzyszyła jej nieustannie. Nie wiadomo po co właściwie, bo Werena nie miała ochoty do rozmów; owszem, często popadała w zamyślenie tak głębokie, że nie słyszała, co do niej mówiono.

Taki właśnie stan beznadziejnie głębokiej zadumy przerwało jej nagle wtargnięcie Army.

Grombelardka, kiedyś pewna siebie, stanowcza i nie bardzo zważająca na różnicę między jej pozycją, a pozycją cesarskiej córki, od pewnego czasu dziwnie przycichła jakby czując, że t e r a z jej sposób bycia powinien ulec zmianie. Mogła być arogancka wobec energicznej, wysoko noszącej głowę Namiestniczki; nie potrafiła wobec wciąż jeszcze chorej, sporo jej zawdzięczającej kobiety. Tym dziwniejsze było jej

zachowanie, gdy rozwarłszy drzwi uczyniła kilka szybkich kroków i powiedziała:

— Uciekł! Książę Ramez uciekł, nie ma go w Grombie. No?!

Był w tym krótkim okrzyku jakiś nieuzasadniony wyrzut, złość i żądanie wyjaśnień. Namiestniczka uniosła głowę i przez długą chwilę spoglądała Armie prosto w oczy.

— Co ma znaczyć to „no”? — zapytała.

— Wiedziałaś o tym, wasza dostojność! Że zamierza opuścić Gromb!
— blondynka nie zamierzała się cofnąć.

— Jeśli jeszcze raz — powiedziała niegłośnie Namiestniczka — odezwiesz się o jego wysokości w tonie tak pozbawionym szacunku, każę cię oćwiczyć. Zrozumiałaś?

Zaległa krótka cisza.

— Zrozumiałaś? — powtórzyła Werena.

— Zrozumiałam... wasza dostojność.

Namiestniczka skinęła głową.

— To teraz mów.

— Dziś rano — zaczęła Arma, z wysiłkiem przełknąwszy nauczkę — jego wysokość Książę Przedstawiciel po raz kolejny przyjął u siebie garbatego starca, na którego wasza dostojność kazałaś zwracać szczególną uwagę. Rozmawiali o czymś, niezbyt długo. Garbus wkrótce odszedł. Nadal jest pilnowany i będziemy wiedzieć, co uczyni, tak jak sobie tego wasza dostojność życzyła... Ale zaraz po jego odejściu książę Ramez udał się do komendantury garnizonu. Sprowadzono mu objuczonego konia, wziął przewodnika i odjechał, nie mówiąc dokąd. Wiem, że już opuścił miasto. Wasza dostojność... — Grombelardka z wysiłkiem próbowała powściągnąć wracający gniew. — Wasza dostojność... wiedziała o tym, że książę nosi się z zamiarem... Czy tak? To dlatego kazałaś pilnować bramy miasta, pani. Czy tak?

Werena spokojnie wytrzymała spojrzenie.

— To prawda. Tak, wiedziałam.

— Więc... dlaczego...?

— Dlatego — spokój Namiestniczki był zgoła kamienny. — Nie będę tłumaczyć się przed tobą. Ani przed nikim innym.

Arma zrobiła pół kroku naprzód. Cofnęła się na powrót. Było tak, jakby szukała dogodnej pozycji do ataku.

— Wasza dostojność — wyszeptała złowieszczo — zawarłyśmy umowę.

— Jaką umowę?

— Pomagam waszej dostojności nie bezinteresownie. Powiedziałam, że wszystko mi jedno, co powoduje tobą, pani, o ile zmierza do zaprowadzenia porządku w tym kraju. Zdaje się...

— Skąd wiesz, że wyjazd księcia nie przysłuży się temu?

— Wasza dostojność!

Werena wzruszyła ramionami.

— No więc dobrze, złamałam umowę. I co teraz?

— Teraz... — powiedziała Grombelardka. — Teraz...

Cofnęła się znowu i spojrzała na milczącą Perłę Domu.

— Teraz... — wykrztusiła po raz trzeci — każ mnie pojmać, wasza dostojność. Niezwłocznie. Zrób to, wasza dostojność, bo w przeciwnym wypadku pokażę ci... na co stać mnie naprawdę.

— Ech, na nic cię nie stać — lekceważąco orzekła Namiestniczka; jej apatyczna bierność znikła gdzieś bez śladu. — Na nic cię nie stać... — powtórzyła. — Twoi płatni mordercy nałożyli kagańce przywódcom ruchawki, która już, już miała wybuchnąć. Ano tak, znam parę twoich tajemnic. Zaskoczona? Ależ wasza godność, bawiąc się ze żmiją, dobrze jest nałożyć rękawice! — zauważyła ze zjadliwym rozbawieniem. — Chcesz mi grozić wybuchem zamieszek? Cóż za głupstwo... Przecież to ty próbujesz zebrać cały ten kamieniołom do kupy, nie ja! Wojna na ulicach Grombu? Ależ proszę bardzo!

Arma milczała.

— Zobaczymy — szepnęła po chwili.

— Rozruchy nie wybuchną. Odkąd Legia Armektańska patroluje ulice, a żywność jest dotowana z prywatnej mojej szkatuły, nastroje znacznie się poprawiły — oceniła zwięźle Werena. — Ale... gdyby uległy pogorszeniu? Gdyby dotacje wstrzymano i gdyby, na przykład, łucznicy wyszli z miasta? I gdyby rozpuszczono pogłoski, że odeszli na dobre? Co? Jak sądzisz?

Arma nie zdołała zapanować na twarzą.

— Ja... nie rozumiem. Do czego zmierzasz, pani? Co mi chcesz powiedzieć?

Namiestniczka przygryzła usta.

— Przepraszam — powiedziała nieoczekiwanie. — Przepraszam za... początek tej rozmowy. Celowo cię sprowokowałam do pogrózek, bo nie byłam pewna, czy istotnie trzymasz w garści podżegaczy do buntu. Ale trzymasz przecież? Powiedz śmiało, i tak już wiem.

Grombelardka przytaknęła niepewnie.

— No więc teraz chcę usłyszeć: czy gdyby Legia Armektańska opuściła Gromb, rozruchy mogłyby wybuchnąć? Odpowiedz.

Arma wahala się.

— Tak...

Namiestniczka pokiwała głową.

— I być może poproszę cię o to. Nie, nie pytaj o nic! — uniosła rękę. — Nie teraz. Oczekuję pewnej wizyty. Myślę, że to będzie dzisiaj, a najdalej jutro. Czy możesz poczekać tak długo?

Arma patrzyła badawczo.

— Innymi słowy... pytasz, wasza dostojność, czy gotowa jestem obdarzyć cię ślepym zaufaniem?

Werena skrzywiła się.

— Cóż za bezczelność — mruknęła. — Nie, właściwie nie pytam — powiedziała. — Chcąc być uprzejma, nadałam poleceniu taką a nie inną formę. Ale nie pytam, bo w całym Szererze jest może pięć lub sześć osób, które mogą się zgodzić lub nie zgodzić z tym, co postanowię. Więc nie pytam. Rozkazuję i żądam.

Blondynka długo milczała.

— Dobrze, wasza dostojność.

Werena skinęła głową.

— No to znakomicie. Teraz uzbrój się w cierpliwość. Ja usiłuję być cierpliwa od kilku dni. Popróbuj i ty... Aha! Gdyby ten garbus, którego obserwujesz, próbował opuścić miasto... udaremnij mu to.

— Tak, pani.

Arma odeszła nic nie rozumiejąc.

*

Stary grajek przyszedł dopiero następnego dnia wieczorem. Werena wezwała Armę i Norwina, odbyła z nimi krótką rozmowę, po czym odesłała oboje. Wydała rozkaz, by wprowadzić gościa. Obrzuciła jeszcze pokój pospiesznym spojrzeniem, jakby sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak trzeba.

— Lenea, wyjdź — powiedziała, wskazując jednakże nie drzwi do przedpokojów, ale te, za którymi były jej prywatne komnaty. — Wiesz, jak masz się zachować? Chcę, byś słyszała każde słowo. Nie ufam temu człowiekowi i gdyby... — zawiesiła głos.

— Tak, pani — spokojnie rzekła Dartanka, pokazując zdjęty ze ściany, lekki oszczep; mało kto wiedział, jak niebezpieczna w rękach kobiety mogła być taka broń.

— Dobrze. Wyjdź.

Wkrótce potem odźwierny niewolnik wprowadził żądającego posłuchania starca — i skłoniwszy się, odszedł.

Namiestniczka w milczeniu spoglądała na skromną, brunatną szatę, okrywającą kalekie ciało. Ubiór, choć ubogi, był czysty, a twarz i ręce grajka na pewno nie należały do żebraka. Przybysz, świadom dobrych zwyczajów, stał w milczeniu czekając, aż przyjmująca go osoba pozwoli, by przemówił.

— Oczekiwałam cię, panie — powiedziała.

Odrzucony zdziwił się trochę.

— Witam waszą wysokość — powiedział. — Więc byłem oczekiwany?

Próba uzyskania odpowiedzi bez użycia słów natrafiła na zdecydowany opór — i Strażnik Praw natychmiast zrozumiał, że Namiestniczka wie o jego umiejętności sięgania w głąb myśli. Więcej: wiedziała, że owa umiejętność musi zawieść wobec jej sprzeciwu...

— Jego wysokość Książę Przedstawiciel uprzedził mnie, panie, że przyjdiesz — powiedziała. — Wyjaśnił mi też dokładnie, kim jesteś.

Uczuć i emocji nie dało się osłonić tak, jak myśli. Twarz kobiety, spokojna i prawie nieruchoma, była zagadką — pomimo to jednak, garbus bez trudu odbierał nieufność i wrogość, graniczącą prawie z nienawiścią. Lecz spodziewał się takich lub podobnych uczuć i o wiele bardziej zaniepokoiła go wyraźnie bijąca od kobiety — satysfakcja...

— Czy jesteśmy sami, wasza wysokość?

— Obok jest moja niewolnica. Wkrótce też będą tu żołnierze. Być może już czekają za drzwiami.

— Widzę, wasza wysokość, że nie żywisz względem mnie przyjaznych uczuć — posępnie stwierdził starzec. — Wielka szkoda, naprawdę. Książę Ramez, pani, uczestniczy w ogromnym dziele, choć

prawda, że uczestniczy inaczej, niż to sobie wyobraża. Niepotrzebnie wasza wysokość próbuje zapobiec temu, co nieuniknione.

— Przyszedłeś panie, by podjąć próbę nawrócenia mnie, czy tak?

— I tak, i nie... Prawdę mówiąc nie wierzę, by to było możliwe.

— Bo nie jest. Nie cofnę się, panie.

Jej determinacja i pewność siebie były takie, że Strażnik Praw zupełnie odruchowo ponowił próbę zbadania źródeł tych uczuć. I znowu napotkał zdecydowany, świadomy sprzeciw. Nieustannie pamiętała o tym, że ma bronić wstępu do swej prywatności. Coś takiego wymagało wysoce podzielnej uwagi... Imponujące, jak łatwo sobie radziła.

— Wasza wysokość — powiedział — to, czy się cofniesz, czy nie, jest w tej chwili zupełnie obojętne. Jesteś absolutnie niezbędna do powodzenia wielkiego dzieła, które dokonywało się dotąd bez twojego udziału. Możesz uczestniczyć w nim dobrowolnie, lub nie.

— Czy to jest jakaś groźba?

Starzec zmarszczył brwi.

— Groźba? Nie, pani — rzekł, prawdziwie zmartwiony. — Słyszę, że książę Ramez opowiedział ci o mnie. Może to i dobrze. Pragnę usprawiedliwić się przed tobą, pani. Bez względu na to, co myślisz, nie jestem złem ani dobrem, a moje działania też nie są złe ani dobre. Czynię tylko to, co czynić muszę. Nie dano mi żadnego wyboru, albo raczej: dano taki, że wybierać mogę spośród wielu wiodących do celu dróg. Wszakże, jeśli z owych dróg zostanie mi tylko jedna, muszę na nią wstąpić i nie leży w mojej mocy zapobieżenie temu. Moja wolna wola tak daleko nie sięga. Spróbuj więc przez chwilę wczuć się w podobną sytuację, pani. Moje istnienie jest jak oddech. Rad bym oddychał zawsze świeżym, górskim powietrzem i dopóki mogę wybierać, wybieram właśnie takie. Lecz jeśli górskie powietrze zostanie mi odebrane, a zastąpi je inne, stęchłe i cuchnące, czy przestanę oddychać? Czy możesz nie oddychać, pani? Zrozum więc, proszę, z czego wynikają moje czyny, obojętne jak bardzo znajdujesz je zacnymi albo nikczemnymi. Muszę zmierzać do celu, jakim jest ochrona Praw Całości i rad bym osiągał ów cel środkami szlachetnymi. Lecz jeśli to niemożliwe?

Werena słuchała z uwagą, co nie znaczy, że ze zrozumieniem.

— Czy mówię zbyt zawile, wasza wysokość? — zapytał starzec. — Powiedz proszę. Nie wiem, jak wiele powiedział ci książę Ramez.

Wyjaśnię wszystko, o co zechcesz zapytać. Poświęcę ci tyle czasu, ile tylko zażadasz. Uczynię to, co uczynić muszę, ale wciąż jeszcze istnieje szansa, że... nie będę musiał wejść na ostatnią, najgorszą z możliwych dróg. To, wasza wysokość, zależy tylko od ciebie.

— W jaki sposób?

— Wesprzyj mnie, pani. Twoja pomoc jest nieodzowna. Okłamałem twego małżonka mówiąc, że jest inaczej. Ale tylko czystej krwi Armektanka, base-kregheeri, naznaczona symbolem Srebrnej Wstęgi, należąca do dwóch światów, może wskrzesić moce Aleru. Uczyni to dobrowolnie, wasza wysokość. Proszę.

Spokój i pewność siebie, bijące od Namiestniczki, poczęły ustępować zwątpieniu, na koniec zaś — pospolitemu lękowi. Nie oczekiwała tego, co powiedział starzec.

— Ramez... — zaczęła. — On... nie mówił mi o tym!

— Bo nie wiedział. Okłamałem księcia — powtórzył Odrzucony. — Żądał zapewnienia, iż twój udział, pani, do niczego nie jest potrzebny. W ten sposób... skierował mnie właśnie na drogę, której wcale nie chciałem wybrać. Mogąc tylko kłamać — kłamałem.

— Dlaczego właśnie ja? — zapytała. Wstała i wyszła zza stołu. — Dlaczego?

— Czasem losy świata zależą od tak małych spraw... Cóż poradzić, pani? W całym Grombelardzie jesteś jedyną Armektanką wyjętą spod władzy Pasm, bo poczętą tam, gdzie graniczą z sobą Szerń i Aler. Przewór niczyjego nieba, rozciągający się między potęgami, czasem nasycony jest mocą Pasm, a czasem mocą Wstęg. Znak, który nosisz na skroni, wskazuje...

— Wiem o tym — przerwała. — Raz już byłam w mocy szaleńca, który pragnął tego, co ty. Nie pytam, czego symbol noszę, bo wiem. Pytam, czy nie nosi go nikt inny.

— Ależ nosi zapewne — odpowiedział starzec. — Ale, wasza wysokość, świat jest wielki, gdy zaś Strażnik Praw tylko jeden... Spełniały się Prawa na Bezmiarach i musiałem być przy tym obecny. Konieczność podniesienia Srebrnej Wstęgi Aleru wynikła niedawno. Nie jestem niestety wszechwiedzący, a co za tym idzie, nie jestem władny przygotować się na wszelkie możliwe zdarzenia. Kobiet noszących znak Srebrnej Wstęgi jest być może w całym Armekcie zaledwie kilkanaście.

Może kilka? Musi to być rdzenna Armektanka, odpowiednio młoda i silna, by przetrzymać wyprawę w Ciężkie Góry, ba! odpowiednio rozumna! Nieodzowne jest, by nosicielka symbolu Srebrnej Wstęgi zdołała ogarnąć rozumem i pojąć to, czego się od niej zażąda... Powiedz, pani, jak odnaleźć i pozyskać kogoś takiego, a natychmiast pozostawię cię w spokoju. Choćby przez wzgląd na rozum, serce i zasługi twego męża. Niezwykle szanuję księcia... i bardzo boli mnie krzywda, którą mu wyrządzam.

Znowu była spokojna. Pierwszy lęk przeminął.

— Myślę, panie, że kłamiesz — powiedziała. — Wątpię, by bolało cię cokolwiek. Żeby poczuć ból, o którym mówisz, trzeba mieć jakieś sumienie, a więc coś, co jest zupełnie zbędne niewolnikowi stojącemu na straży bzdurnych reguł... Zresztą, to nieważne. Nie wiem, na czym opierasz swe nadzieje, ale są złudne. Nie pomogę ci, panie. A wręcz przeciwnie: przeszkodzę.

Starzec przymknął powieki.

— Szkoda — szepnął. — Ale czy na pewno...?

— Na pewno — ucięła.

— Szkoda — powtórzył Strażnik Praw. — Wasza wysokość kocha księcia, czy tak? Ależ tak, wiem na pewno... A zatem, wasza wysokość, musisz wiedzieć, że księżę Ramez wyruszył w góry, choć jego obecność jest tam najzupełniej zbędna. Nie odegra, i odegrać nie może, żadnej roli... choć uważa inaczej. Prawda jest taka, pani, że księżę Ramez umrze, jeśli nie zrobisz tego, czego od ciebie żądam. Oto, na czym opieram swe nadzieje, a właściwie pewność, że uzyskam twą pomoc.

Werena pobladła.

— Już rozumiem — powiedziała samymi wargami.

Odwróciła się i powoli podeszła do okna.

Odrzucony nie umiał cieszyć się z uzyskanego takim kosztem zwycięstwa. Ofiary, jakie ponosił Heneghel Get, ofiara całego narodu, którego był ostatnim i jedynym przedstawicielem, była czymś wielkim i wzniosłym — i dlatego trwający na swym posterunku w górskiej wsi, beznogi bohater, mógł odczuwać dumę, usuwając spiętrzone na drodze przeszkody. Ale Odrzucony czynił tylko to, co uczynić musiał — i żadne dobrowolne męczeństwo tego nie uświęcało. Tak, jak powiedział złamanej szantażem kobiecie — spośród wiodących do celu dróg

najchętniej wybierał te, które nie były szlakami cudzego cierpienia. Miał sumienie... choć w to nie wierzyła. Ale teraz nie pozostawiono mu wyboru. Więc uczynił, co uczynić musiał. Bez radości.

Zamyśliwszy się — nie od razu dostrzegł, iż rezygnacja, ból i przerażenie Namiestniczki przeradzają się w coś innego... Gdy zauważył przemianę, od Wereny z nową mocą biła determinacja, spokój i... głęboka wiara we własne siły.

— A jednak przeliczyłeś się, panie — oznajmiła, wciąż stojąc przy oknie. — Czy to wszystko, co masz dla mnie?

Przez chwilę zdawała się czekać na odpowiedź.

— No dobrze. Teraz posłuchaj mnie uważnie — odwróciła się ku niemu.

Jednak przez następną chwilę milczała. Podeszła do stołu i w zamyśleniu skubała palcami róg podniesionego z blatu dokumentu.

— Księżę Ramez to tylko mężczyzna — powiedziała wreszcie. — Co oznacza, że bywa zadufany w sobie... łatwowierny i naiwny. Nieszczęśliwa, słaba i cierpiąca, osiągnęłam to wszystko, czego nie mogłam osiągnąć przy pomocy stanowczości i siły. Zdobyłam potrzebne wiadomości, a jak są rozległe, o tym zaraz się panie przekonasz. Zdobyłam je, prosząc męża o przebaczenie, przysięgając miłość i wierność oraz poparcie dla wszystkich jego planów. Obiecałam, że nigdy więcej nie odstąpię od jego boku. Przyznałam się do słabości i wyznałam, że nie radzę sobie bez niego. Nie powiedział ci, panie, o tym wszystkim?

— Uważałem, że to nieprawda — odrzekł starzec. — Byłem przekonany, i sądzę tak nadal, iż prowadziłaś grę, wasza wysokość. Rzecz bez znaczenia zważywszy, że przez wzgląd na swą miłość do księcia i tak uczynisz to, czego zażądam. Obawiałem się tylko, że zechcesz udaremnić wyjazd księcia z Grombu i dlatego poprosiłem, by uczynił to wcześniej, niż pierwotnie było zamierzone. Nalegałem też, by nie żegnał się z tobą.

— Ależ jesteś przebiegły, mój panie! — zadrwiła. — Nie znajduję wręcz słów... No naprawdę!

Pokręciła głową.

— Pozwól sobie pani powiedzieć — rzekł, odrobinę rozgniewany — że to, co uczyniłaś swemu małżonkowi, jest zwyczajnie niskie i podłe. Tak, podłe. Ten mężczyzna kocha cię, pani, i próba wykorzystania jego słabości...

— Ależ ja także go kocham! — przerwała. — No pewnie, kłamałam — przyznała prawie pogodnie, przedzierając trzymany w dłoniach dokument. — Ale kłamałam i oszukiwałam, bo go kocham.

Połówki rozdartej stronicy opadły na dartański kobierzec. Patrzył na nie, próbując pojąć pokrętną logikę takiej dziwnej „miłości”.

— Wiem wszystko — rzekła. — Dowiedziałam się kto, a właściwie co siedzi w Jarze i jakie ma możliwości. Nic nadzwyczajnego. Albo może raczej: nic szczególnie groźnego. Wszystkie sępy świata zebrane w jednym ciele. Stu armektańskich łuczników dokładnie wiedzących, czego się spodziewać, to akurat tyle, ile trzeba. Prawda, panie?

Poczuł nagłe przyzwolenie... i zobaczył jej myśli. Nie kłamała.

— Wasza wysokość chcesz tam posłać...

— Już posłałam. Podobno umiesz czytać w myślach, panie? A więc zrób to, pozwalam. Zdaje się, że przyzwolenie jest niezbędnym? Łuczników już posłałam — powtórzyła. — Wszyscy oczekują, że śladem pierwszego armektańskiego oddziału, lada dzień przybędzie do Grombu następny. Nie przybędzie. Ci ludzie wyruszyli z Badoru, ale tylko po to, by zaraz porzucić trakt. Są teraz w drodze do Jaru. Przydano im dobrych przewodników. A księżę Ramez nigdy tam nie dotrze i tym samym ów siedzący w Jarze największy sęp świata nie będzie mógł mu zagrozić. Jeśli nawet moi posłańcy nie zdołają dogonić Rameza, to zatrzymają go łucznicy pilnujący Jaru. Będą tam sporo wcześniej.

— Obecność księcia w Jarze wcale nie jest konieczna. Mogę sprawić, by jego życiu już teraz zagroziło...

— Ech, panie, kłamiesz często, ale raczej kiepsko! — przerwała. — Jakim cudem przez tyle stuleci nie nauczyłeś się porządnie łągać? Nie wiedziałam, że przyjdiesz po to, by mnie szantażować, kładąc na szali życie księcia. Ale wiedziałam, że przyjdiesz, bo powiedział mi o tym. Zresztą, gdybyś do jutra nie przyszedł, to by cię przywlekli... Wiedziałam też, że księżę wyruszy w góry i nie za bardzo polegałam na terminie, który mi podał. Z wielu różnych powodów, ale najbardziej kierowana zwykłą troską o jego bezpieczeństwo, podczas samotnej górskiej wyprawy, kazałam zostawić na przedmieściu kilku zbrojnych, którzy w tej chwili dyskretnie podążają jego śladem. To wyborni ludzie... — wydeła lekko wargi. — Miałam kiedyś pomysł, żeby utworzyć sobie mały oddział straży przybocznej. Dzięki dobrym radom, pozostali w nim tylko

żołnierze wyjątkowo pewni, a znający góry tak, że już lepiej nie można. Kiedyś służyli największym grombelardzkim rozbójnikom. Czyż to nie zabawne? Powiedz, starcze?

Z zadowoleniem poczęła strącać ze stołu na podłogę różne karty i rulony. Przewróciła się butla z inkaustem. Ciemna ciecz splamiła stronicę.

— Jakie to wszystko nieważne — powiedziała niemal z czułością Namiestniczka. — Te wszystkie bzdury Trybunału. Trzeba będzie podłożyć ogień w archiwach... — zamyśliła się na krótko, marszcząc brwi. — Bo otóż widzisz, panie — podjęła po chwili — ten gmach zostanie zdobyty, będzie tu istna rzeź... Skoro przyszedłeś do mnie, a Ramez wyruszył obejrzyć wskrzeszenie Wstęgi, to znaczy, że trzeba posłać jego śladem te dwie półsetki łuczników, które mam tutaj pod ręką. Znowu w trosce o jego bezpieczeństwo, rzecz jasna, ale już jawnie tym razem. A wiesz, panie, co będzie, gdy ci ludzie opuszczą miasto? Nie wiesz, więc ci powiem: otóż wybuchną rozruchy. A wiesz, dlaczego wybuchną? Bo mój mąż rozgniewa się na mnie, jeśli siłą zawrócę go do Grombu. I podobnie jak ty, będzie miał mi za złe, że wykorzystałam jego męską słabość, okłamałam go i złamałam dziesięć obietnic naraz. No powiedz, panie? Przecież wpadnie w wściekłość gdy się dowie, że wszystko, co mi powierzył w zaufaniu, zostało obrócone przeciw niemu. Będę się miała z pyszna... no chyba, że opuszczona, nieszczęśliwa i drżąca o własne życie, pošlę jego śladem gońców z wieścią o wybuchu zamieszek, co pozwoli mu wrócić do Grombu na czele spotkanych w Górach łuczników... Przecież rzuci wszystko, by pospieszyć mi na ratunek. No tak? Wróci i ocaliwszy żonę, przy okazji ocali swoją reputację, autorytet i stanowisko. Ach, no i najważniejsze: sprawcą zamieszek i demonem dybiącym na moje życie koniecznie musi być pewien garbaty muzykant — uniosła spojrzenie znad poplamionego stołu... i pomimo lekkiego tonu, jakim wypowiedane były słowa, Odrzucony wyraźnie zobaczył (już nie tylko poczuł), że ta kobieta to ktoś, kto go bez reszty nienawidzi. — Zrozumiałeś mnie, cuchnący fałszem stary śmieciu? Ramez ścierpi moje krzywoprzysięstwo... a jeśli będę dość nieszczęśliwa, to jeszcze przeprosi mnie za nie i weźmie winę na siebie. Ooo, na pewno tak będzie! Ale w żadnym wypadku nie wybaczy krzywoprzysięstwa komuś, kto dokona zamachu na jego własność. Czyli

na mnie — końcami palców strąciła ze stołu przewrócona butlę. — Zapewniłeś go solennie, że nie spadnie mi nawet włos z głowy, a tymczasem, gdy wróci, będę zaszczuta, bezbronna, bezradna i upokorzona. Przez kogo? No przecież przez garbusa z siwą brodą, którego wszyscy ujrzą na czele buntowników. Garb i brodę nietrudno chyba sporządzić? — zagadnęła retorycznie. — A prawdziwy garbaty starzec... zniknie. Potem zniknie i tamten.

— Wasza wysokość śni na jawie — rzekł cicho Odrzucony. — Podziwiam misterność tego planu, ale nic nie uratujesz w ten sposób. Jeśli księżę kiedykolwiek pozna prawdę...

— Plan jest dosyć siermiężny, nie misterny — ze szczerym politowaniem powiedziała Werena. — Choć prawda, że na tle twoich intryg, mój panie... Wasza godność nigdy nie żyłeś na dworze. Dowiedziałbyś się, co to są misterne plany. A tak... nie jesteś, starcze, przeciwnikiem dla mnie. Mogłeś być nim wtedy, gdy błądziłam po omacku, nie wiedząc z kim i z czym właściwie walczę. Omotałeś księcia, bo sprawy Szerni zawsze ogromnie go zajmowały i oślepl, gdy przedstawiłeś mu wizję zmagających się potęg. Ale ja nie jestem zaślepiona. Być może wiesz wszystko o Szerni, ale bardzo niewiele o świecie, naprawdę. Już raz widziałam kogoś takiego... No cóż, panie. Twoja misja skończyła się właśnie.

— Nic nie uratujesz, pani — powtórzył starzec. — A gdy księżę pozna prawdę...

— Pozna prędzej czy później, na pewno — przyznała swobodnie, próbując zetrzeć z nadgarstka plamkę inkaustu. — Powiem, że o niczym nie wiedziałam. Że stałam się bezwolnym narzędziem, że zostałam omotana intrygą. Może nawet znajdę jakichś winnych?

— Księżę nie uwierzy.

— O, więc znasz księcia lepiej ode mnie? Komu nie uwierzy? Kobiecie, którą kocha? I gdy już znikną powody, dla których powstał spór między nami? — zaśmiała się krótko. — Uwierzy, przecież dam mu słowo honoru. Sto pierwsze... a może sto jedenaste. Dosyć już.

Klasnęła w ręce. W pokoju natychmiast pojawiła się Lenea.

— Przywołaj Norwina.

Garbus rozejrzał się, jakby szukając drogi ucieczki. Ale... był tylko kaleką, za jedyną broń mającym swoją wiedzę i słowa. Norwin i czterej

najemnicy Wereny wpadli do pokoju i chwycili go za ramiona. Namiestniczka patrzyła, nie kryjąc satysfakcji. Zbliżyła się i szepnęła mu w samo ucho:

— Wiem, co myślisz... Ale gmach Trybunału zostanie zdobyty, zburzony i spalony, a ja dopilnuję, by go nigdy nie odbudowano. A wiesz, gdzie ty będziesz, panie? Otóż pod gruzami, pięknie zamurowany w jednej z piwnicznych ścian. Są tu wspaniałe lochy, w których trzyma się takich, jak ty. Wnęka i łańcuchy już czekają... Przygotowałam dla ciebie coś naprawdę, naprawdę, naprawdę specjalnego... Godnego nieśmiertelności.

Szeptła zupełnie bezgłośnie, właściwie zaledwie poruszając ustami. Ale widział jej myśli... i widział nieskończoność, którą mu obiecała.

Epilog

Zapadła noc. Ostatnia, której nadejście dane mu było oglądać.

Na dnie posępnej, czarnej rozpadliny, wypełnionej nieustannym zawrotem wiatru, umierał bezradny kaleka, zwący się Ostatnim i Jedynym. W jednym ciele, w jednym umyśle i duszy, zjednoczono kiedyś wszystkie treści, symbolizujące największe Pasma Szerni. Rozumienie tych treści dawało ogromną siłę — przecież na koniec owa siła zabarwiła się czystym szyderstwem. Heneghel Get mógł uczynić to tylko, co leżało w mocy Pasma, które ucieleśniał i symbolizował. Mógł więc — czasem — widzieć rzeczy, dziejące się o całe mile dalej. Mógł ranić, a czasem zabijać dotykiem — lub uzdrawiać jednym spojrzeniem. Wyrzekłszy kilka prostych słów, mógł pozbawić kogoś pamięci...

Ale nie mógł chodzić. Ciało, w którym zamykała się tak wielka potęga, było okaleczone. Nie mógł odzyskać władzy w nogach — których brakowało.

Ostatni i jedyny z żyjących na świecie sępów, nosiciel treści Szerni, przyobleczony w człowiecze ciało, mógł w obronie Wstęgi Aleru rozbić w pył całe armie, gdyby takie przybyły do Jaru. Ale armie nie przybyły, on zaś nie mógł zmusić ich do tego, ani ruszyć im na spotkanie.

Cieleśnie — był tylko kaleką. Beznogim mężczyzną, uwięzionym pośród górskich szczytów i grani. Mogącym pełzać na rękach i kikutach ud, lecz zupełnie niezdolnym do sforsowania najmniejszej rozpadliny,

czy ściany.

Górska stacja, celowo przecież założona w dzikim, niedostępnym miejscu nazywana była Jarem, ale czasem także Bezpowrotem...

Heneghel Get wiedział już, ile przewrotności i szyderstwa kryje się w tej nazwie.

Spotkało go to samo, co garbatego Strażnika Praw Całości: został żywcem zamurowany. Inaczej — a zarazem tak samo. Silne oddziały armektańskich łuczników wcale nie przysły po to, by z nim walczyć. Żołnierze obsadzili wszystkie, nawet te najbardziej karkołomne, wiodące do Jaru szlaki, i cierpliwie czekali. Nic więcej. Nawet nie wiedzieli, czego strzegą. Pilnowali tylko, by nikt nie mógł przedostać się do wioski. Żaden człowiek, żaden oddział. Nikt.

Minęły trzy miesiące. Przedziwna istota, zrodzona i trwająca tylko po to, by oddać życie w imię przyszłości świata — konała z głodu jak pies.

Treści Szerni były nieśmiertelne. Inaczej, niż ciało, w którym je zamknięto.

Heneghel Get rozumiał wiele, a z każdym mijającym dniem więcej. Zamknięta w nim siła Pasma pozwalała czasem pochwycić myśli i rozmowy żołnierzy — hen! daleko strzegących górskich ścieżek i przełęczy. Czasem widział świat ich oczami. Czasem słyszał to, co słyszeli oni... Ułożony z małych kawałeczków obraz był już prawie kompletny. Heneghel zrozumiał, że Odrzucony nie przyjdzie. Pojął też, że Księżę Przedstawiciel Cesarza nie odwoła łuczników do Grombu; zamiast tego otrzymali posiłki. Na koniec nieszczęsnemu kalece zaczęło się wydawać, że rozumie, dlaczego zdarzyło się to, co się zdarzyło.

Wyczerpawszy zapasy żywności — głodował. Kiedyś zdołał narzucić swoją wolę przywódcom wielu zbójeckich oddziałów. Przybywali czasem do wioski i przynosili prowiant. Ale wojna z licznym armektańskim wojskiem, patrolującym okolice Jaru, była ponad siły górskich rzezimieszków.

Pojawiły się majaki i wizje, zrodzone z wycieńczenia i głodu. Kaleka bronił się przed utratą sił i rozumu. Próbował przetrwać za wszelką cenę, jedząc ohydne resztki śmierdzącego trupiego mięsa, które leżało w jaskini. Ale ludzkie ciało, w którym był uwięziony, odrzuciło pokarm, który uratowałby... sępa. Ostatnie, bezmierne szyderstwo.

Czasem płakał, tęskniąc za lotem.

Kiedyś — latał...

W ostatnich chwilach życia Heneghel Get pojął, czym jest słabość. Wiedział już, że nie wypełni swojej misji. Rozumiał, że umiera. I z męczennika-bohatera na powrót stał się zwykłą, mającą zwykłe smutki i radości istotą. Ostatnim jego wielkim, nieziszczalnym pragnieniem było tylko na chwilę, na jedną, krótką chwilę... wzbić się w chmurne, grombelardzkie niebo. Heneghel wiedział to, o czym dawno zapomniały żyjące tu, na dole, istoty: wiedział, że nad chmurami jest słońce... I tak bardzo, bardzo chciał je zobaczyć raz jeszcze.

Zapadła noc. Ostatnia noc umierającego zbawiciela świata.

Odchodząc, Heneghel Get zrozumiał, że nie dokonał w życiu niczego. Niczego, za co warto by umierać. Bez względu na to, w co wierzył i ku czemu zmierzał — nie uczynił w swym życiu nic dobrego, czy chociażby tylko — właściwego. Wielkie cele uświęcają środki, ale tylko wówczas, gdy się owe cele osiągnie. Przez całe swoje życie Heneghel czynił zło — w imię dobra, co prawda... ale dobra, które się nie spełniło.

Umierając, zapagnął gorąco uczynić coś dobrego. Znaleźć jakikolwiek cel, choćby mały i nieistotny, ale taki, który mógłby osiągnąć... Przyszła mu na myśl istota, której nienawidził. Istota, którą zabił nie tylko z obowiązku, ale także dla przyjemności. I w ostatnim momencie swego życia zapagnął nagle zrozumieć ją i przebaczyć...

Przebaczyć.

Pomyślał, że jeśli osiągnie choć tylko tyle, będzie mógł odejść z przekonaniem, iż dokonał w życiu... czegoś. Wywołał z pamięci twarz Łowczyni — i chciał, naprawdę chciał przebaczyć. Przebaczyć tej, której miecz odjął mu nogi; tej, która przez całe swoje życie zabijała jego braci, nawet nie próbując zrozumieć, za co właściwie zabija... i kogo. Gorączkowo szukał w sobie przebaczenia dla niej...

Nie znalazł. I odszedł z pustymi rękami.

*Jej Królewska Wysokość N.R.M. Werena
Księżna Przedstawicielka Cesarza
w Grombie*

Wasza Wysokość,

najpierw powiem, jak niezwykle radość sprawił mi Twój list! Najbardziej dlatego, Pani, iż dowiaduję się zeń, że cieszysz się dobrym zdrowiem, co w czasach rozpalającej się drugiej wojny dartańskiej, gdy wszyscy chcą wojować ze wszystkimi, jest wieścią o ogromnej wartości. Tym bardziej boleję, że nie zdołam chyba sprostać Twojej prośbie, choć nie poskąpię starań. Otóż, Wasza Wysokość, jakkolwiek miłość własną starego człowieka mile łechce okazane zaufanie, to człowiek ten musi powiedzieć, że zbyt wiele po nim oczekują. Bo i czegoż żąda od badacza Praw Całości Jej Wysokość N.R.M. Werena? Rzeczy niemożliwej: oto badacz ów ma zająć się materią baśni i legend, spisanych przez kogoś, kto z kolei czerpał wiedzę z nie wiadomo jakich źródeł i od jakich świadków... Wydarzenia, których sam byłem uczestnikiem, znam dobrze, zaś wiele innych, Pani, Ty z kolei sama osądzisz i nikt nie uczyni tego lepiej. Lecz w posłanych mi tomach (jest to dzieło monumentalne i nie kryję swego podziwu!) takich zdarzeń opisano niewiele. Przyjdzie nam, Wasza Wysokość, odebrać bardzo niezwykle, lecz tym bardziej cenną lekcję pokory: otóż trzeba sobie powiedzieć, że zarówno Ty sama, Córka Imperatora i wicekrólowa Drugiej Prowincji, jak i ja, jeden z wielu Przyjętych przez Szerń, jesteśmy tylko małymi fragmentami największej grombelardzkiej legendy, o której pamięć przetrwa długo po tym, jak żadnego z nas nie będzie już na świecie. Historia wspomni może Twoje imię, Pani, zaś w Księdze Całości na zawsze zostanie moje — lecz o samotnej armektańskiej łuczniczce, którą Ciężkie Góry uznały za swą część, pamięć przetrwa wieki. Wieści o niej całe pokolenia przebiegaczy gór przekazywać sobie będą z ust do ust, zaś każdy, kto wybierze się do masywu Medevenu, ujrzy Łuczniczkę, najpiękniejszy i najbardziej niezwykle ze wszystkich szczytów Szereru. Byłem tam, Wasza Wysokość, i mogę tylko powiedzieć, że ze wszystkich niepojętych rzeczy, jakie widziałem w swoim długim życiu, ta jest chyba

najbardziej niezwykła. Bo w żaden sposób nie da się wytłumaczyć, co sprawiło, że od jednego z siedmiu szczytów Korony tak długo odpadały w różnych miejscach kamienne bloki i schodziły lawiny, tak długo rysowały się pęknięcia, aż powstał zgrubny posąg siedzącej kobiety, z łukiem położonym w poprzek kolan.

A teraz już, Wasza Wysokość, gotów jestem służyć Ci opinią, choć raz jeszcze powiem, że nie trzeba moim sądom ufać bez zastrzeżeń; na zbyt kruchych oparte są przesłankach.

Wasza Wysokość, w żaden sposób nie zdołam przedstawić tutaj praw rządzących Szernią i Szererem, jest to zresztą najzwyczajniej niemożliwe — bo choćbym zapisał tysiąc kart, nie przekażę tego, co czuję, a co nie da się nigdy ubrać w słowa. Przecież lah'agar — co znaczy dosłownie „część odnaleziona” — to właśnie Przyjęty, Przyjęty przez Pasma, Pani, stanowiący ich część — symbolicznie, ale także, w jakiejś mierze, dosłownie. Powiadając Ci, czym jestem, musiałbym opisać samą Szerń, czy choćby tylko jej część, a uczynić to można w jednym tylko języku: języku matematyki. Tak samo to wygląda, gdy trzeba opisać reguły rządzące Szernią, albo liczne od tych reguł wyjątki. Powiem najprzystępniej, jak potrafię: nie wiadomo właściwie, co dokładnie zaszło, gdy Pasma lokalnie zaburzyły równowagę świata, by przekazać młodej Armektance oczy starego żołnierza, choć jest wzór ogólny takie fenomeny (fluktuacje Pasm) opisujący. Przekazanie daru tego legionisty jest zdarzeniem bez wątplenia prawdziwym, lecz choćbym otrzymał wszystkie potrzebne wartości wyjściowe i podstawił je do właściwego wzoru, to wywód miałby wartość dowodu matematycznego, a więc byłby cenny dla badacza Szerni — i niestety dla nikogo innego. Boję się, że pisząc w ten sposób znużę Waszą Wysokość, musisz więc wybaczyć mi Pani wszystkie dalsze uogólnienia.

Największe wątpliwości, Pani, wzbudza we mnie historia, którą Twój kronikarz i gawędziarz opatrzył tytułem „Czarne miecze”. Zbierzmy, Księżno, najpierw same fakty. Otóż Łowczyni, albo lepiej jej godność A.J.Karenira, później zaś A.B.D.Karenira, bo przyjęła monogramy rodu męża, została żoną człowieka ze rycerskiego Domu, wiemy to na pewno. Spotkała go w Ciężkich Górach, gdzie ten niezwykły i chyba szczerze kochający ją mężczyzna (dziś niestary przecież i, o ile mi wiadomo, cieszący się dobrym zdrowiem) trafił — z jakichś powodów. Bo to już jest wszystko, Pani, co wiemy na pewno, a powiem nawet więcej: cała reszta tej

historii to, w moich oczach, grombelardzko-dartańska legenda, gdzie zmyślenia i przemilczenia postawione są jedne na drugich. Najpierw powiem — Wasza Wysokość wie to zresztą lepiej ode mnie — że historia porwania pięknej siostry Baylaya, jej godności A.B.D.Leyny, została wyssana z palca. Jest zupełnie niemożliwe, by kobieta z takiego Domu zniknęła nagle ot, tak sobie, wywieziona dokądś, przez kogoś. To jeden z najznacniejszych Domów Rollayny... i przebacz, lecz znów przyłapuję się na myśli, że Ty Księżno wiesz o tym sto razy lepiej ode mnie. Sprawa była w Rollaynie, kiedyś, bardzo głośna; aż tak głośna, że usłyszał o niej nawet zakopany w swoich księgach lah'agar, gdy opuścił na krótko swą samotnię... Powiadano wtedy rzeczy bardzo różne, a ze wszystkich pogłosek najbardziej podobna do prawdy — bo trochę znam Dartan — jawi mi się ta, że jej godność Leyna uknuła pewną intrygę wspólnie ze swoim kochankiem, jak słyszałem istotnie wysokim oficerem gwardii, i zdaje się że w samej rzeczy dokądś z nim uciekła, zaś najbardziej chodziło o pogrążenie osób trzecich. Daruj mi, Wasza Wysokość, lecz knowania tego rodzaju nigdy mnie nie zaprzętały, więc umiem powiedzieć tylko tyle, bo niczego więcej nie pamiętam. Ale wydaje mi się jeszcze (nie przysięgnę) że zaginięcie Leyny po dziś dzień nie zostało wyjaśnione. Teraz dalej: w świetle tego, co już powiedziałem, zachowanie cesarskich gwardzistów nie dziwi, szkoda więc czasu na kręcenie głową, iż to była chyba jakaś banda zbójców. Wiesz, Pani, jak i ja wiem, że za dziesiątą część tych uczynków wszyscy ci żołnierze wydaleny by zostali z legii, a niektórzy trafili wprost na stryczek. Teraz może pora nareszcie, bym powiedział o tym, czego możesz Księżno nie wiedzieć: więc o Dorlanie-Przyjętym i jego rozmowie z Brulem. Obaj mędracy Szerni niewątpliwie wiedli pewien spór, lecz zarówno ich spotkanie, jak i samą materię sporu, twój kronikarz przedstawił w dobrej wierze i starając się niewątpliwie... wszakże nie wiem, na czym się opierał? Obaj wielcy Przyjęci nie żyją, zaś świadkiem ich ostatniej rozmowy był najwyżej stary zamek Shergardów, co istotnie może być możliwe — z listu Waszej Wysokości zrozumiałem, że kronikarz dotarł do jego godności Baylaya. Ten zaś, nawet jeśli wiele przemilczał, a może nawet kłamał z jakichś przyczyn, to akurat o ruinach Shergardów (wcale licznych w Romogo-Koor) zmyślać chyba nie musiał. Lecz dziwi mnie trochę, że Brule już wtedy myślał o stopieniu Wstęg Aleru z Pasmami Szerni — czy nie sądzisz, Wasza Wysokość, iż kronikarz odtworzył w swym umyśle tę

historię, opierając się na zdarzeniach późniejszych? A znał je ze źródła najpewniejszego z możliwych, bo od głównej bohaterki tych zdarzeń: od Jej Wysokości Wereny...

Na sam koniec, Wasza Wysokość, powiem jeszcze o innych historiach, spisanych w tych dwóch wielkich tomach. Otóż, bez wątpienia, wiele jest tam wydarzeń, które działy się głównie w wyobraźni Twego kronikarza — wszakże gotów jestem go bronić. Bo wydaje się, że poza historią opisaną pod tytułem „Czarne miecze”, cała reszta łatwo mogła się wydarzyć. Na potrzeby narracji (bo żądałaś przecież, by historię o życiu Łowczyni przedstawić na wzór starej armektańskiej sagi) pracowity i biegły w swej sztuce dziejopis musiał wyobrazić sobie wiele zdarzeń, lecz wydają się one niezmiernie prawdopodobne. Nie warto więc chyba kłócić się o słowa, które Twoja słynna już za życia przyjaciółka wyrzekła do kogoś w cztery oczy. Tak samo nie warto domniemywać, czy ze wszystkich strasznych znalezisk w wiosce Jar wyczytano samą prawdę, czy tylko coś do niej podobnego. Bez względu, Księżno, na wszystkie wątpliwości — także te najważniejsze, które Waszej Wysokości przedstawiłem — mamy do czynienia z nieśmiertelną grombelardzką legendą, największą, o jakiej słyszały Ciężkie Góry. Legendą, która oto, dzięki Twoim staraniom, żyje nie tylko w ustnych przekazach, lecz została uwieczniona w tych dwóch księgach.

Bądź zdrowa, Władczyni Świata, i nie zapomnij o starym człowieku z krzywą twarzą, który zawsze jest Ci życzliwy i w miarę sił pospieszy na wezwanie, gdy go będziesz potrzebowała.

Gotah-lah'agar (Przyjęty)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Mapy](#)

[Księga pierwsza. Serce Gór](#)

[Prawo sępów \(Czyn wojownika\)](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[Przełęcz Mgieł](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[Prawo gór](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[Czarne miecze](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)
- [14.](#)
- [15.](#)
- [16.](#)
- [17.](#)
- [18.](#)
- [19.](#)
- [20.](#)

[Epilog](#)

[Królowa Grombelardu](#)

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)

[Epilog](#)

[Księga druga. Wstęgi Aleru](#)

[Prolog. Korona Shergardów](#)

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)

6.

7.

8.

9.

Część pierwsza. Władczynie świata

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

Część druga. Wiatr i deszcz

15.

16.

17.

18.

19.

20.

Część trzecia. Prawa Całości

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

Epilog